



SEZON  
na SZCZĘŚCIE



ROMA J. FISZER

ROMA J. FISZER

SEZON  
na SZCZĘŚCIE



EDIPRESSE  
KSIĄZKI

*Icie Turowicz – za nadzwyczajne serce w redagowaniu tekstu,  
Agnieszce Jeż-Kaflik – za artyzm edycyjny.*

Copyright for the Polish Edition © 2017 Edipresse Polska SA  
Copyright for the text © 2017 Jacek Wojtkowiak

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska  
Redaktor inicjujący: Natalia Gowin  
Produkcja: Klaudia Lis  
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska  
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska  
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51)  
Barbara Tekiel (tel. 22 584 25 73)  
Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Opieka redakcyjna: Agnieszka Jeż  
Redakcja: Ita Turowicz  
Korekta: Agnieszka Jeż, Ita Turowicz

Projekt okładki i stron tytułowych: Izabella Marcinowska  
Zdjęcie na okładce: Sun Kids, PJ photography/Shutterstock.com  
Koncepcja typograficzna: Marzena Madej  
Skład: Perpetuum

Biuro Obsługi Klienta  
[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)  
e-mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)  
tel.: 22 584 22 22  
(pon.-pt. w godz. 8:00-17:00)  
[www.facebook.com/edipresseksiazki](http://www.facebook.com/edipresseksiazki)  
[www.instagram.com/edipresseksiazki](http://www.instagram.com/edipresseksiazki)

ISBN: 978-83-8117-183-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

## *Tak tu cicho o zmierzchu*



„Skierka” opustoszała w ciągu kilku godzin. Jeszcze podczas śniadania tętniła życiem, po nim zaś kolejni uczestnicy wczorajszej imprezy stopniowo zegnali się i odjeżdżali. Przy podwieczorku na werandzie spotkali się już tylko sami domownicy.

– Coś tak nagle zmarkotniała...? – Felcia spojrzała znad filizanki na Annę. – Przecież zagląda tu jeszcze słoneczko, choć to już trzydziesty wrzesień... To dla ciebie – mrugnęła.

– Przywykłam do wakacyjnego gwaru... a teraz uzmysławiam sobie, że... – Anna zawiesiła głos i uśmiechnęła się blado.

– Mamo... Babciu... – Kasia i Eliza odezwały się prawie jednocześnie i spojrzały po sobie.

– Wam to tak łatwo... – Anna próbowała się uśmiechnąć. – Ty, Kasiu, będziesz brykać sobie codziennie do pracy, Elizka na studiach w Gdyni...

Zza wzgórza dobiegł odgłos silnika, a po chwili między drzewami ukazał się ciężko dyszący, wspinający się pod górę autobus. Wszystkie zamilkły i jak na komendę spojrzały w tamtym kierunku.

– Jezus, Maria! – wrzasnęła raptem Kaśka i zerwała się na równe nogi. – Eliza! Dlaczego nic nie przypominasz! Przecież przed chwilą odjechał twój autobus!

Na werandzie zrobiło się cicho. Anna, Felicja i Kasia wpatrywały się w najmłodszą, na której okrzyk matki nie zrobił żadnego wrażenia.

– Czemu milczysz?! – Kaśka uniosła ramiona i potrząsnęła nerwowo dłońmi.

– Mamuś... usiądź i pij spokojnie kawę. Mam wszystko pod kontrolą. – Eliza zmrużyła oczy.

– No, ale Maciej też już przecież pojechał. – Kaśka ponownie potrząsnęła dłonią i opadła na krzesło, aż stęknęło.

– No przecież... chyba mnie ktoś zawiezie... jutro, o świcie... – Eliza cedziła wolno, uśmiechając się przymilnie.

– Igorek przyjedzie? – Felicja założyła ręce na brzuchu.

– Gdybym tylko go poprosiła... – Eliza uniosła oczy w górę i potrząsnęła czupryną.

– Jak nie Maciej i nie Igor, to kto? – Kasia spojrzała na córkę.

– No właśnie, Elizka, kto? – Zmrużyła oczy Anna.

– A kto Elizkę najbardziej kocha? – Eliza skromnie spuściła wzrok.

Na werandzie ponownie zapadła cisza. Kaśka zmarszczyła nos i podrapała się po nim. Córnka uśmiechnęła się do niej.

– Czy ty może... myślisz... o mnie? – odezwała się Kaśka, lekko się jękając.

– Wiedziałam, że się domyślisz. No bo jak to... Miałyśmy nie wypić kawy i nie poplotkować sobie o wczorajszej imprezie? – Eliza rozłożyła komicznie dłonie.

– Ha, ha, ha! – roześmiała się donośnie Felcia.

– Moja krew!

Anna i Kaśka spojrzały na nią rozszerzonymi oczami, wywołując z kolei chichot Elizy.

– Na tym wzgórzu każdy, chcąc nie chcąc, przejmuje coś po mnie – oświadczyła Felcia, stukając palcem po stole i rozdając wokół uśmiechy.

– No, ale... – Kaśka ponownie podrapała się po nosie.

– A od czego są esemesy? – rzuciła, mrużąc oczy, Eliza.

– A co mają wspólnego esemesy z twoim wyjazdem?

– Spóźnisz się jutro o godzinę do pracy, więc napiszesz im o tym w esemesie – przerwała matce Eliza i pogłaskała ją po dłoni. – Będziesz musiała tylko dwie godzinki wcześniej wstać.

– Ale ja i tak wstaję koło siódmej...

– To po co w takim razie całe to halo? – wzruszyła ramionami Eliza.

– No właśnie... – powiedziała Anna.

– No też właśnie... – jak echo powtórzyła Felcia.

– A ty, mamuś, myślisz, że zapomniałam, na czym kilka chwil temu przyłapała cię Felcia? – nieoczekiwanie wykrzyknęła Kaśka, patrząc przekornie w jej kierunku.

– No właśnie! – powtórzyła za Kaśką Felicja, aż Anna się wzdrygnęła i wcisnęła w oparcie. – A o co to ją zapytałam...? – Felcia spojrzała na Kaśkę, a potem przeniosła wzrok na Elizę.

– O markotność...

– A właśnie! Więc dlaczego jesteś, Aniu, markotna? – Felcia bawiła się doskonale; Kaśka i Eliza chichotały.

– Poczekać na mnie! Ja też chcę się pośmiać!

Na werandę wbiegła, dysząc i kręcąc pupą, nauczycielka miejscowej szkoły, Marysia Sołyga; opadła obok Kaśki i nabrała głęboko powietrza.

– To z czego się śmiałyście?

– Że babcia jest markotna – rzuciła Eliza i ponownie zakrztusiła się śmiechem.

– No nie mów...? – Marysia pokręciła głową. – A co się stało? – Spojrzała na Annę.

– A bo wszyscy powyjeżdżali...

– Jacy wszyscy? – Marysia potoczyła wzrokiem wokół. – Jan jest? – spytała Felcię.

– W gabineciku, pracuje. Coś pisze albo czyta – odparła Felcia, machając ręką.

– A Maciej...? – Przeniosła oczy na Kasię.

– Wyjechał rano. Musi na jutro przygotować wykład inauguracyjny.

– No, to tylko Maciej wyjechał, a reszta jest na miejscu... Nie rozumiem. Przecież my też zostajemy, Stachu zostaje, nawet proboszcz zostaje – zachichotała.

– Ale już zrobiło się inaczej... – Anna spojrzała niepewnie wokół. – Wczoraj jeszcze był taki gwar, a dzisiaj...

– E tam, gadanie, te parę osób. Ale za to będziemy mogły teraz spokojnie dupska im poobrać – Marysia znowu zachichotała.

– No wiesz, córcia! – zachnęła się Felcia, a Annie z wrażenia szeroko otwarły się oczy.

– Ojejku. Tak się tylko mówi... Będziemy wspominać piękne lato przez całą jesień i całą zimę, bo wiosną już nie będzie czasu. – Marysia przewróciła oczami i po swojemu potrząsnęła końskim ogonem.

– Już mi w takim razie lepiej – rozchmurzyła się Anna. – To mówisz, córcia, że rano zawozisz Elizkę... – Strzeliła oczami w kierunku Kaśki; ta wzruszyła ramionami.

– *Chciałabym...* – zanuciła Eliza; Marysia uśmiechnęła się do niej, a potem zajrzała w oczy Kasi.

– Wrobiła mnie, wiesz... – Kaśka podjęła próbę wyjaśnienia jej sprawy, ale widząc zdziwienie w oczach Marysi, machnęła dłonią. – To znaczy umówiliśmy się, że dzisiaj plotkujemy, a rano zawożę ją na uczelnię.

– Przeniosła wzrok na córkę.

– Jesteś gites, mamuś! – Eliza pokazała zęby.

– Ależ wy się rozumiecie... Też tak... *chciałabym*

– Marysia zakończyła śpiewnie i znów potrząsnęła końskim ogonem; uśmiechnęły się do siebie z Elizą.

– Będę mieszkała tam, gdzie na egzaminach, więc już się cieszę. Jutro zdążę jeszcze przed wyjściem na uczelnię z grubsza się rozpakować i nawet się nie zgrzeję. – Eliza powachlowała się dłońmi.

– Ale powiedz, dlaczego tak długo nie przypomniałaś, że to już jutro? – Kaśka spojrzała z wyrzutem na córkę.

– Naprawdę miałam wszystko pod kontrolą... – zapewniła Eliza. – To ty zapomniałaś, mamo, a nie ja!

– Kobiety roześmiały się. – Zrobić kawkę? – Eliza spojrzała na Marysię i poderwała się.

– *Chciałabym...* – Marysia zanuciła w odpowiedzi; Eliza zniknęła w sieni.

– No widzisz, Aniu, że ta twoja markotność nie ma sensu. Marysia ładnie ci to wyjaśniła. – Felcia postukała palcem o stół.

– Słuchajcie, od podjęcia w Poznaniu decyzji o wyjeździe tutaj, w poszukiwaniu moich korzeni, mija dzisiaj sto pierwszy dzień. Ładna liczba... – Anna zmrużyła oczy. – Niby tak niewiele, a spójrzcie, ile się w tym czasie wydarzyło. – Przebiegła wzrokiem wokół. – Każdej z nas przydarzyło się coś, o czym wcześniej nie miała odwagi nawet marzyć...

– Masz rację. – Felcia spojrzała daleko w dolinę.

– Gdyby mi ktoś rok temu... co tam rok, dwa miesiące temu powiedział, że wróci do mnie Jan i pogodzę się z Maćkiem, uznałabym, że wariat. – Przyłożyła dłonie do policzków. – Już nie jestem sama... a do tego znalazłaś się jeszcze ty, Aniu. – Położyła swoją kościstą, wypracowaną dłoń na delikatnej ręce Anny.

– Tak... – Anna położyła drugą rękę na dłoni Felci. – Kiedy dwudziestego trzeciego czerwca wściekłam się na te dwie moje kozy... – Wskazała głową w kierunku córki i wnuczki, która w tej chwili wróciła na werandę z kawą dla Marysi.

– Kozy, a nie dziewczynki? – przerwała jej, śmiejąc się, Marysia.

– Tak... ale wtedy przez dwa dni zachowywały się jak dwie złośliwe kozy. Stały, a właściwie siedziały naprzeciw i pokrzykiwały na siebie co i rusz. Wcześniej miałam już wszystko obmyślane z wyjazdem na Kaszuby, ale brakowało mi ostatniego impulsu. I one wówczas mi go dały – uśmiechnęła się. – Dziękuję wam, dziewczynki.

– Babciu, ale ja koza? – Eliza zmrużyła oczy.

– Ty to może i jesteś koza, ale ja, w moim wieku?

– pokręciła głową Kaśka.

– Wiecie co...? – Marysia prychnęła. – Słabo znam się na kozach, bo w Parchowie chyba tylko przy drodze do Mausza widziałam kiedyś, ale takich fajnych kózek jak wy dwie, to chyba jeszcze nie było – uśmiechała się, zamiatając końskim ogonem to w lewo, to w prawo.

– Poznała się koza na kozach – zarżała gromko Felcia, zarażając śmiechem pozostałe.

– Dajcie dokończyć... – Anna uniosła dłoń. – Tamten wypadek tutaj przy pekaesie,

a potem poznanie Marysi...

– A jaki pyszny alkohol miała ... – Kaśka przymknęła oczy. – Sporo wówczas wypiliśmy.

– To dzięki burzy, bo inaczej byłoby tylko po lampce – zapiszczała Marysia.

– Przestańcie, kozy, mi przerywać – zaśmiała się Anna. – A następnego dnia poznałyśmy Felcię... – Teraz ona położyła dłoń na dłoni Felci. – Zanim rozmówiliśmy się tak szczerze, trochę nam zeszło... Wcześniej była wizyta u Feliksa Kiedrowskiego, a potem odnalezienie grobu Bronka Zalewskiego, który wówczas, zgodnie z opowiadaniem Feliksa, miał być moim tatą... – Anna przymknęła oczy i ucichła na chwilę. – A potem te zapasy słowne z tobą... – spojrzała na Felcię – ...bo żadna z nas nie miała odwagi powiedzieć nic wprost.

– Tak było... – głośno westchnęła Felicja. – Dopiero jak ci się ten szal zsunął z pleców i zobaczyłam znaną mi plamkę... – uśmiechnęła się.

– Serduszko, rombik, kóleczo... – wtrąciła Eliza.

– Serduszko, rombik, kóleczo... – powtórzyła Anna, a Felicja skinęła głową. – No, i wtedy puściły lody!

– Ale dzięki temu polubiłaś moje nalewki! – wykrzyknęła Felcia.

– Czy ja się tutaj czasem za bardzo nie rozpiłam?

– Anna roześmiała się. – Ale pyszne są one!

– Kaśka! – huknęła rozbawiona Felcia. – Szoruj po wiśniówkę i kieliszeczki... Wlałam ją do karafki i zostawiłam w spizarcie.

Kaśka i Eliza puściły się biegiem ku sieni; po chwili były z powrotem.

– No, a potem proboszcz, gmina, szukanie po internecie Krysi Zalewskiej... – Anna uniosła do ust kieliszek, zrobiła łyk i przymknęła oczy. – A cóż to za чудо? – spojrzała na Felcię. – Poczekaj, nie mów, niech sama odgadnę...

Powtórny łyk, przymknięcie oczu i smakowanie; poruszała ustami i językiem.

– Czuję chyba jeszcze miód? – Spojrzała pytająco na Felcię, ta skinęła głową, uśmiechając się. – Chyba odrobina wanilii... i pewnie coś tam jeszcze jest... – znowu mały łyček – ...poddaję się, ale to pychota.

– Miód i wanilię odgadłaś, ale jest tam jeszcze cynamon i goździki. To najbardziej zdrowotna z wiśniowych nalewek. – Felcia wzięła się pod boki. – A jak się zrobi chłodniej, poznacie jeszcze wiśniówkę cytrynową. Przeziębienie was wtedy nie ruszy. – Klasnęła w dłonie.

– A ja też miałam tego lata dużo przeżyć... – odezwała się Kaśka.

– Cicho, kozo! – wykrzyknęła Anna. – Matce przerywać...

– Myślałam, że skończyłaś.

– Ja ledwie zaczęłam... Dolej nam lepiej. – Anna wskazała na kieliszki; Felcia znowu klasnęła.

– Się porobiło... – Pokręciła głową Kaśka, spełniając życzenie matki; kobiety roześmiały się.

– Więc na czym skończyłam? Aha, internet i poszukiwania Krysi. To wszystko dzięki Elizie... – Spojrzała z wdzięcznością na wnuczkę. – Twoje zdrowie!

– No wiesz, babciu...

– Od zdrowia nic złego ci nie będzie – zaśmiała się Felcia. – Należy ci się jak nic!

– Ależ z tym internetem i Zalewskimi było emocji...



– Anna machnęła dłonią. – A potem oni przyjechali tutaj.  
– A przedtem...? – Eliza zmrużyła oczy.  
– Co przedtem? Mówiłam, że potem...  
– Ale co było przed tym potem? – Eliza nie dawała za wygraną i zaśmiała się; Felcia, Kaśka i Marysia dołączyły do niej. – Opowiedz najpierw, jak to było z polowaniem na... Lwa – zerknęła zaczepnie na babcię.  
– Ach, Ryszard... – Anna westchnęła i przymknęła oczy. – No, polej! – Oprzytomniała nagle, omiatając wzrokiem córkę; ta uniosła brew w górę. – Nigdy bym nie pomyślała, że mnie się może coś takiego przydarzyć.  
– Że możesz... się rozpic? – prychnęła Kaśka; Anna pogroziła jej.  
– Że mogę się zakochać i... – podniosła oczy w górę – ...że będę mogła, umiała, mówić o tym głośno przy córce i wnuczce... – Pokręciła głową.  
– Na tym wzgórzu pełnym słońca różne cuda się zdarzają. – Felcia zaplotła dłonie na brzuchu.  
– Dobrze, że się wyrwałam z domu, bo inaczej ominęłyby mnie takie ciekawe rozmowy – zatrajkotała Marysia, uniosła swój kieliszeczek do ust i potrząsnęła końskim ogonem.  
– Czyli Ryszarda mamy już z głowy... – Anna zawiesiła głos, czując na sobie spojrzenie pozostałych kobiet. – Sprawdzam, czy kontrolujecie to, co mówię – uśmiechnęła się. – Znaczący opowiedziałam o nim... wystarczająco – dodała, widząc niedosyt w oczach córki. – A potem przyjechali tutaj Władek z Maxem. – Uniosła oczy w górę i objęła się ramionami. – Czyż to nie nadaje się na film? I jak w ogóle wytłumaczyć... – powoli przesuwiała wzrok po siedzących przy stole – ...że trafili nam się tacy dobrzy ludzie?  
– Ech, to akurat jest proste. Dobro idzie do dobra. W Biblii tak stoi i w prawdziwym życiu też tak jest. Zawsze tak jest. Czasami zanim to się spełni, człowiek pyta samego siebie, dlaczego ja mam być ciągle dobry, a inni nie, ale potem się okazuje, że jednak było warto... – Felcia pokiwała głową. – Trzeba po prostu w to wierzyć i robić swoje.  
– Nawet jeśli to Zocha? – Anna spojrzała jej w oczy.  
– Wyjaśniliśmy sobie już wszystko... Parę razy w życiu byłam dla niej niemiła, chociaż robiłam to... wbrew sobie – zaśmiała się smętnie. – Ale już nie będę.  
Kaśka, Marysia i Eliza wpatrywały się to w jedną, to w drugą z kobiet z otwartymi ustami. Na werandę wszedł Jan Werra.  
– Wasze głośne śmiechy mnie rozpraszały i w końcu się zaciekawilem, czym się tak dobrze bawicie – rzucił, czując na sobie pytający wzrok Felci.  
– Opowiadamy sobie takie babskie historie... – Felcia, uśmiechając się, machnęła dłonią. – Chyba to cię nie zainteresuje.  
– Ja też przez ponad czterdzieści lat nosiłem sukienkę, więc kto wie – mrugnął Jan i przysiadł obok Marysi.  
– Opowiadamy, co się komu wydarzyło tego lata  
– wyjaśniła Anna.  
– Oj, ciekawe było to lato... ciekawe. – Jan wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na Felcię; ta zgodnie pokiwała głową.  
– Kiedy już przyjechali, a potem pojechali Zalewscy i przeżyliśmy brak paliwa na środku jeziora...  
– uśmiechnęła się szeroko Anna, wracając do przerwanej opowieści – ...zdarzył się tutaj jeszcze jeden cud. Przyjechał czarny rycerz na srebrnym koniu i piękna księżniczka zesła

ze swojej wieży, i wspięła się wreszcie na... stopnie ołtarza. – Spojrzała na Marysię; ta podniosła brodę w górę, wyprężyła się i już-już otwierała buzię. – Jeszcze nie skończyłam... – Anna położyła palec na ustach. – Niedługo potem odwiedził nas przypadkiem dziadek Wiki, Tadeusz, no i wtedy wszystko to, co już było wcześniej ustalone, pewne, zostało przekreślone. Krysia nagle przestała być moją mamą, Władek bratem, ale... zyskałam nową mamę i nowego brata: Józefę Kuszer i Tadzia, choć okazało się, że on tak naprawdę ma na imię Mieczysław... – Rozłożyła dłonie.

– Ale mimo to Władek z niczego się nie wycofał

– pośpieszyła z uwagą Felcja. – Podtrzymuje wszystkie swoje obietnice, dalej chce sfinansować budowę siedliska, a przede wszystkim chce, żebyś go traktowała wciąż jak brata. – Felcja dotknęła dłoni Anny, a ta opuściła głowę.

Zapadło milczenie. Wszyscy wpatrywali się w Annę.

– Nie zdążyłem go poznać, czego żałuję, ale z tego, co słyszę, to on jest chodzącym dobrem – odezwał się cicho Jan. – Ileż on musiał w życiu przejść? Matka dobrze go wychowała... – Znowu zapadła cisza.

– A na koniec... – Anna uniosła głowę – ...przyjechali Dziedzicowie. Będzie nam tutaj Henryk włodarzył i mieszkał razem z całą rodziną. Mam nadzieję, że się wpasują.

– O to akurat się nie martwię. Henryk wprosił się na spacer ze mną... – Kaśka zamrugła oczami. – Nie mówiłam wam o tym, bo nie było kiedy; najpierw się nacieszył, a potem wyplakał. Powiedział, że przy mnie się nie wstydzi. Od czasu kiedy go wytupałam w „Zielonym Dworze”, przypominając mu, że jest Sarmatą, traktuje mnie jak swoją bardzo mądrą, chociaż malutką siostrę. Tak mi powiedział.

– I spójrzcie, że nawet w takim momencie potrafił być bardzo elegancki. Pięknie cię skomplementował... – Anna spojrzała na córkę.

– No właśnie... Wtedy w podzięce uściskałam go strasznie mocno... albo jeszcze mocniej, a on nieoczekiwanie puścił się biegiem za drzewa i przez pięć minut nie chciał wrócić. A potem, za to moje wyściskanie, kolejne pięć minut mnie jeszcze przeproszał. – Kaśka pokazała zęby.

– Bo Henryk ma kindersztubę i zna się na ludziach! – Felcja klasnęła, a Anna i Jan jej przytaknęli.

– Ojejku, tylko wy teraz przestańcie mnie jeszcze podkręcać, bo już robi mi się duszno... – Kaśka powachlowała się dłońmi.

– Jak skończysz się chłodzić, to będzie twoja kolej.

– Anna zmrużyła oczy.

– A ty już skończyłaś? A wycieczka do księstwa z Ryszardem?

– Już raz wam... – Anna zawiesiła głos i wskazała na córkę i wnuczkę – ...nie opowiedziałam, więc dzisiaj uczynię podobnie – uśmiechnęła się; Kaśka i Eliza udały smutek. – Jesteście jeszcze małe kozy, jeśli trzeba wam wszystko opowiadać boldem – zaśmiała się i machnęła dłonią.

– No już dobrze, dobrze... – Kaśka potarła czoło.

– Znaczący ja... nie chciałam tu jechać jak cholera...

– Kasiu! – matka skrzywiła się.

– Anno... *Homo sum; humani nihil a me alienum puto*<sup>[1]</sup> – poważnym tonem odezwał się Jan. – Myślę, że to słowo oddało doskonale stan ducha Kasi w tamtych dniach.

– Tak było! – Kaśka uderzyła się w piersi. – Ale od poniedziałku wieczór, od trzeciej lampki koniaku u Marysi w szkole, po awarii Żaby, już dobrze się czułam – zachichotała i przybiła sobie z Marysią piątkę.

– Dla mnie najważniejszym wydarzeniem tego lata jest to, że zakochałam się z wzajemnością... – zawiesiła głos i spojrzała matce w oczy – ...w pięknej i mądrej kobiecie. – Zmrużyła po kociemu oczy; Annie, Felci i Marysi oczy z kolei rozszerzyły się jak koła. – Miało być przecież szczerze, czego się więc dziwicie... – sama rozłożyła ramiona – ...czyżbyście mojej... Elizki nie znały?

– O Boże – Anna głęboko odetchnęła. – Chodźcie tu do mnie, dziewczynki.

Przez kilka chwil trwało potrójne ściskanie się i całowanie.

– Chyba jednak napełnię kieliszki – odezwał się Jan, spoglądając wokół śmiejącymi się oczami.

– To ty jeszcze nie polaleś? – fuknęła na wesoło Felcia.

– To stało się wówczas, kiedy wyskoczyłam do Gdyni, żebyście wy mogły sobie spokojnie porozmawiać.

– Kaśka wskazała głową na matkę i Felcię, a córkę uchwyciła za dłoń. – No, a kiedy wracałyśmy do was z Elizą z Gdyni, poznałam drugi raz w życiu Krzyśka, a niedługo potem... zerwałam z Piotrem. W międzyczasie zakochałam się też w Kaszubach, rzuciłam pracę w Poznaniu, nową znalazłam w Kartuzach i... już

– spuściła powietrze.

– Co i już? – zaprotestowała Marysia, potrząsając końskim ogonem. – Przecież coś jeszcze się stało.

– Stało się, Marysiu... – Kaśka przyłożyła dłonie do policzków; wszyscy wpatrywali się w nią z uwagą.

– No i...?

– Teraz przygotowuję głowę, oczyszczam ją, bo to sprawa raczej... poważna, więc nie można tak pochopnie. – Kaśka spojrzała przeciągle na Marysię.

Anna i Eliza uśmiechnęły się do siebie; Felcia i Jan uczynili podobnie. Kaśka kolejny raz powachlowała się dłonią.

– Teraz ty – potrząsnęła Marysię za ramię.

– Ale co ja?

– To samo co ja, a wcześniej Felcia i mama – odparła Kaśka.

– Ja... cóż, ja w czerwcu myślałam, że lato przeleci, a ja dalej będę sama. To znaczy z Klausem, ale sama

– zatrajkotała Marysia i dla animuszu po swojemu potrząsnęła końskim ogonem. – To wszystko przez was... – Wskazała palcem na Annę, potem na Kaśkę i zakończyła na Elizie.

– Co przez nas...? – roześmiała się Kaśka.

– Wszystko! Tak, a dokładniej *dzięki* wam. Jak ja lubię takie katastrofy, awarie... Tfu, co ja gadam.

– Ale akurat dwie tego lata miały dla ciebie dobry koniec – uśmiechnęła się Anna.

– Tak... teraz mi dobrze. Dzieci szczęśliwe, znalazły z Klausem wspólny język, teraz też muzykują, więc ja... hyc do was! – zaśmiała się perliście. – Mam ci ja Klausika w swoim domku – zapiszczała.

Wszyscy teraz przenieśli wzrok na Elizę.

– No... – zachęciła ją Felcia.

– A ja co? Dostałam się na studia, gdzie chciałam, byłam na wolontariacie, gdzie chciałam, spakowałam się już do Gdyni i od jutra będę studiowała tam, gdzie chciałam. – Spojrzała na mamę.

– No mów, mów – zachęciła ją Kaśka.

– Ale co jeszcze? Aha! Poznałam Wiczkę, jej rodziców i dziadków, Mroza, no a tutaj... – zatoczyła ramieniem łuk i uśmiechnęła się do Felci – ...będzie moja baza w czasie studiów. Z tego się najbardziej cieszę, bo inne rzeczy miały prawo się zdarzyć, ale ta jest nieprawdopodobnie cudowna i nie ma mowy, żebym z niej zrezygnowała.

Felcia otworzyła ramiona, a Eliza wpadła w nie z impetem.

– Zawsze cię tutaj podkarmię, ptaszynko. – Felcia otarła palcami zawilgotniałe oczy. – Tylko masz często przyjeżdżać. – Pogroziła na niby, a Eliza potwierdziła skinieniem głowy.

– Ale o czymś chyba jeszcze zapomniałaś? – Kaśka spojrzała kocim wzrokiem na córkę. – No...?

– Jeśli idzie ci o tego kartuziaka strzyżonego na jeża, o Igoria... – Eliza uśmiechnęła się – ...to musi mieć się na bacności. Ze mną nie pójdzie mu tak łatwo, jak mu się wydaje. Nie, nie, nie. Chociaż zadatki ma...

Od śmiechu kobiet i Jana weranda aż zadygotała.

Kiedy wreszcie się uciszyło, Jan chrząknął.

– To ja też muszę coś opowiedzieć, bo jak wszyscy, to i dziadek – uśmiechnął się niepewnie; Felcia wcisnęła się w oparcie, zaś pozostałe kobiety spoglądały na niego zachęcająco. – Jeszcze na początku lipca myślałem, że Pan Bóg pogniewał się na mnie na zawsze za to, że odszedłem z zakonu. Ale ja Go przecież nie porzuciłem, tylko zmieniłem nieco stan... skupienia – uśmiechnął się. – Mimo że długo Mu to wszystko tłumaczyłem, wyglądało jednak, jakby się pogniewał – zamyślił się.

– To znaczy, tak myślałem... I nic nie pomagało, że pracowałem więcej, by zapomnieć o samotności. Budziłem się w nocy i czułem każdą mijającą sekundę... – Uderzył się kilka razy w klatkę piersiową, aż zadudniło; Felcia zakryła dłonią oczy. – Ten stan trwał ponad rok... – przerwał na chwilę. – Kiedy znalazł mnie Maciej, byłem w szoku. Nie umiałem się pozbierać, nie wierzyłem we własne szczęście. Był bardzo pokojowo do mnie nastawiony, a ja sobie niegdyś wyobrażałem, że gdyby się coś takiego przypadkiem zdarzyło, byłaby to strasznie ciężka rozmowa. Już na wstępie mnie zaskoczył. Powiedział wówczas, że robi to dla kobiety, która jest aniołem. Nic mi więcej nie powiedział, chociaż mógł; ja go nie pytałem, bo byłem zbyt spięty. Teraz, kiedy tutaj trochę pobyłem, nie dziwię mu się ani trochę. – Jan przeniósł wzrok na Kaśkę i przez chwilę wpatrywał się w nią z nabożeństwem.

Felcią wstrząsnęło szlochaniem; Jan poderwał się ku niej.

– Przepraszam cię jeszcze raz za te wszystkie lata, Felu... – Przytulili się; zrobiło się cicho. – Wam, Anno, Kasiu, Elizo i Marysiu, dziękuję, że jesteście z nami – odezwał się po chwili; Felcia pokiwała głową, ocierając łzy. – Nie opuszczajcie nas i tego wzgórze. To wszystko się wydarzyło tylko dzięki wam. – Wzruszony otarł oczy chusteczką.

– A czy wy nie jesteście czasem głodni? – Felcia nieoczekiwanie wstała, zakręciła spódnicą i klasnęła w dłonie. – Pomożecie mi, dziewczynki? – Zaprosiła gestem Kaśkę i Elizę.

– Idziemy wszyscy. My też pomożemy – zaśmiała się Anna.

\*

Kolacja upłynęła w dobrym humorze. Wcześniej Felcia oganiała się od każdego, kto chciał jej jakoś pomóc, wyręczyć w przygotowaniach. Wreszcie dostała ataku śmiechu i opadła na krzesło.

– A róbcie sobie wobec tego sami, co chcecie i jak chcecie.

Kiedy wreszcie stół został nakryty, a półmiski z pokrojonym chlebem, wędliną, pomidorami i serami ozdobiły go pośrodku, pokiwała głową z uznaniem.

– No, super! Moglibyście zawsze to robić, ale dałam się odgonić tylko dzisiaj. Od jutra będą tutaj stały widły i będę nimi dźgać, gdzie i kogo popadnie, jeśli ktoś się zbliży – zaśmiała się. – To moja robota i ja ją uwielbiam.

Po kolacji wszyscy ponownie wyszli na werandę. Anna owinęła się wełnianym szalem, bez którego wołała wieczorami nie pojawiać się ani tutaj, ani na swoim tarasiku. Słońce skryło się już za Bytowem i szybko zaczęła zapadać szarówka. Nikomu nie chciało się mówić; głośne rozmowy i śmiechy, którymi była przesycona kolacja, ucichły. Wszyscy wpatrywali się w zachodni horyzont i niebo ponad nim, na którym niewielkie chmury służyły do zabawy w chowanego pojawiającym się z wolna gwiazdom. Rechot żab nie był już dzisiaj tak donośny jak jeszcze kilka, kilkanaście dni temu, a ciszę raz po raz przeszywało cykanie świerszczy.

– Czy widzicie tę jasną gwiazdę na wprost werandy? – odezwała się cicho Eliza.

– Gdzie ona jest? Która? – padły pytania.

– Najjaśniejsza, na wysokości gdzieś tak... trzydziestu stopni nad horyzontem – Eliza wskazała ramionami kąt i kierunek.

– Aha, aha! – rozległo się.

– To jest Arktur, najjaśniejsza gwiazda północnego nieba – powiedziała Eliza z nutą przechwałki.

– A skąd ty, dziecko, wiesz takie rzeczy? – Kaśka podniosła oczy w górę.

– A wiecie, ile Wika i Olek wiedzą o gwiazdach?

– Olek? – spytała Anna.

– No Olek, tato Wiki... ale ostatnio się pomylił, bo powiedział, że ta tutaj nazywa się Altair, a to jest jednak Arktur; należy do gwiazdozbioru Wolarza.

– A ty jak to wykryłaś, malutka? – wtrąciła pytanie Felcia.

– Bo jak mi wtedy, na jego imieninach, tyle naopowiadali o gwiazdach, to pożyczyłam od Wiki książkę i czasami ją przeglądam.

– No, a ten... drugi, druga...? – Anna zamachała dłonią.

– Altair też jest bardzo jasną gwiazdą, tyle że w gwiazdozbiornie Orła. U nich ją trochę może widać, chociaż tam dużo drzew. Nie to, co u nas...

– O, jak ładnie powiedziałaś – zachwyciła się Felcia.

– Dawno już polubiłam, Felciu, tak mówić. Ja pierwsza!

– Wiem, tak było.

– A wiecie, że ten Arktur jest sto dziesięć razy jaśniejszy od słońca?

– No, nie mów... – odezwała się z niedowierzaniem Marysia. – Ale to dziwne, on jakoś w oczach... jaśnieje.

– Bo robi się coraz ciemniej – zachichotała Kaśka.

Znowu zapadła cisza. Wszyscy przypatrywali się Arkturowi, który był coraz jaśniejszy

i zaglądał ciekawsko do wnętrza „Iskierkowej” werandy.

– Czy ja wam kiedyś mówiłam, że dolina pod naszym wzgórzem nosi nazwę Rusland? – przerwała ciszę Felcia i spojrzała na poznanianki; wszystkie pokręciły przecząco głowami.  
– Ona daje nam życie, bo tam jest źródło doskonałej wody. Kiedyś, gdy się chodziło po nią, a na zboczu leżał jeszcze śnieg albo był lód, nieraz pojechało się dupskiem w dół, a wiadro puste. I znowu trzeba było schodzić na dół napełnić wiadro.

– No, a w kranie wody nie było...? – Anna spojrzała na Felcię.

– Nie wiem, bo... kranu nie mieliśmy – zachichotała Felcia. – Była studnia, ale wodę miała gorszą. Tam po wodę chodzili także inni ludzie ze wsi. Gospodarz, którego rodzina od pokoleń tam gospodarzy, ma od wielu lat stawy hodowlane. To te oczka wodne w głębi, widoczne za moim stawem.

– A od czego wzięła się nazwa Rusland? – spytała Eliza.

– A bo ja wiem? – Felcia wzruszyła ramionami.

– Muszę kiedyś spytać się Feliksa, może on wie...

Ponownie wszyscy zamilkli.

Z łąk nadchodziło falami cykanie świerszczy, a czas pomiędzy nimi wypełniał tylko szum drzew.

– Tak tu cicho o zmierzchu... – rzuciła Anna; Jan Werra spojrzał na nią badawczo.

– Pamiętam... – pokiwał głową.

– Ale ja tego nie powiedziałam celowo, nie chciałam. – Zatrzepotała dłońmi Anna.

– Ale dobrze powiedziałaś – wtrąciła Felcia.

– Był kiedyś taki film, właśnie o takim tytule jak te moje słowa, radziecki film... – Anna spojrzała na Jana, który znowu pokiwał głową. – Film wojenny, okrutny, ale momentami cudowny, poetycki. Bohaterkami były kobiety żołnierze. Kończy się tragicznie, bo wszystkie giną, a ostatnie sceny filmu dzieją się na bagnach, wśród cykania świerszczy, szumu drzew, w przejmującej ciszy. Takiej jak teraz, tutaj. Dziewczyna jest pochłaniana powoli przez bagno. Nie miałam siły wyjść z kina... – Pokiwała głową. – Rosjanie potrafili kręcić cudowne filmy – dodała cicho, a Jan znowu przytaknął.

– I od razu takie skojarzenie? – zdziwiła się Kaśka.

– Tak mi się tylko niechcący powiedziało, ale Jan na mnie spojrzał i natychmiast zrozumiałam, że on też zapamiętał.

– Ja tam na takie smutne filmy nie chodziłam. W ogóle do kina nie chodziłam – zachichotała Felcia.

– Żeby za własne pieniądze iść do kina i tylko się bać, przeżywać, albo nawet płakać? Ale pamiętam taki ruski film, co się na nim śmiałam bez przerwy, do łez. Po wojnie objazdówka z nim do nas przyjechała. Dużo śpiewu i ładna muzyka... Że świat jakiś taki wesoły, czy coś.

– Miał tytuł: *Świat się śmieje* – poprawił Jan. – Piękna przedwojenna komedia muzyczna, na wzór amerykańskich musicali. Wiem, że byłaś na nim, bo ja siedziałem kilka rzędów za tobą.

Felcia odwróciła się raptownie w jego kierunku.

– To dlaczego do mnie nie podszedłeś, nie usiadłeś obok?

– Bo wówczas jeszcze za mną nie patrzyłaś – roześmiał się Jan.

– W takim razie musiało to być przed pięćdziesiątym rokiem – zawtórowała mu radośnie Felcia.

Weranda wypełniła się śmiechem.

## *Gaudeamus<sup>[2]</sup> Eliza*



Eliza już któryś raz spojrziała na matkę zdziwiona. Nie zareagowała jeszcze słownie, bo nie była pewna, czy wszystko, co dotąd mówiła, było na poważnie, czy tylko żartowała.

– ...i pamiętaj, żeby wracać do domu, zanim się ściemni, a w ogóle to z chłopakami uważaj, żeby cię tam czasem ludzie nie wzięli na języki – dokończyła przemowę Kaśka.

Elizie oczy otwarły się szeroko – matka była całkiem poważna, a więc mówiła to wszystko na serio.

– ...i pierz codziennie majtki, a w ogóle trzymaj się Wiki... Chyba jeszcze o tym zapomniałas – rzuciła poirytowana.

– Dobrze wszystko łapiesz. – Kaśka pokiwała głową. – To też, a szczególnie to pierwsze.

– No nie! Kobieto, ja tam nie jadę na kolonie, ale dzisiaj już tak na poważnie rozpoczynam własne życie! – zawołała; Kaśka aż się wzdrygnęła. – Miałaś szansę opowiedzieć mi coś miłego... no, choćby o przyrodzie. Jak ślicznie się ścieli mgła po polach i łąkach, jak słońce przez nią prześwituje, jakie kolorowe są drzewa i jak pięknie się odbijają w wodach jezior... Ale nie! Ty o praniu majtek – Eliza zirytowała się nie na żarty.

– O majtkach to ty powiedziałaś...

– Bo ty już prawie przy nich byłaś!

– Ależ córcia. Chciałam ci tylko przekazać pewne zasady...

– Dlaczego matki muszą mieć tak krótką i selektywną pamięć? – Eliza pokręciła z dezaprobatą głową; Kaśka podrapała się po czole i zmarszczyła nos.

– Córeczko, nie gniewaj się, przecież ja to dla twojego dobra – uśmiechnęła się niepewnie Kaśka.

– A pamiętasz jeszcze, że my na ogół kłócimy się o to, co ty nazywasz zasadami, a ja wtrącaniem się w moje sprawy?

– No już dobrze, dobrze...

– A co do majtek...

– Ale to ty o nich zaczęłaś – Kaśka przerwała córce i strzeliła wesoło oczami.

Zaśmiały się obie. Przez chwilę były cicho; Kaśka podkręciła nieco głośność odtwarzacza. Gdy ruszyły z Parchowa, puściła *Voyagera* Oldfielda, bo jakoś wydał jej się najstosowniejszy na dzisiaj.

– Dobrą muzykę wybrałaś – pochwaliła Eliza i pokiwała głową. – Tyle tylko, że ją niepotrzebnie zakłócałaś – dodała.

Przez chwilę obie milczały.

Jechały przez Borucino uroczą, pełną zakrętów szosą. Przed nimi wyrosły białe zabudowania stacji meteorologicznej Uniwersytetu Gdańskiego, dzisiaj już uczelni Elizy. Latem zawsze spacerowało wzdłuż szosy wielu wczasowiczów, a także studentów. Na



odcinku drogi wiodącej przez groblę z obu stron połyskiwały lśniące wody jezior: z prawej Raduńskiego Górnego, z lewej Raduńskiego Dolnego. W wodzie przeglądały się przydrożne, cudownie kolorowe drzewa.

– A wiesz, że z tymi drzewami to masz rację? – Kaśka mrugnęła i uśmiechnęła się przepraszająco.

– W naszym Parku Sołackim jesień jest piękna, taka w pigułce, a tutaj cały czas ją widać. A kiedyś nie lubiłam podziwiać widoków... Trzy miesiące i tyle mi się pozmieniało... – Spojrzała na matkę.

Tuż przed dziewiątą były na Kamiennej Górze. Miłe przywitania z gospodarzami.

– Bardzo się cieszymy, że Eliza będzie tutaj mieszkać. Czasami kupi nam ciasteczka w „Arkadii”... – rzekła gospodyni i zmieszała się po tych słowach.

– A to dobra cukiernia? – uśmiechnęła się dziewczyna.

– W Gdyni chyba najstarsza, no i blisko nas. Wystarczy tylko zejść na dół i już. To ulica Lipowa, a właścicielką jest pani Deręgowska – pani Franciszka podkreśliła nazwisko.

– Od powojnia ulica nosi nazwę Pierwszej Armii Wojska Polskiego – sprostował jej mąż. – Ale starzy gdynianie i tak mówią po staremu.

– Deręgowska...? Tak samo nazywała się tancerka z Opery w Poznaniu, koleżanka Luby Maćkowiak.

– Kaśka spojrzała na Elizę. – Może dzisiaj kupię tam sobie coś słodkiego do pracy?

– Ci z cukierni też są chyba z Poznania ... – dodała pani Franciszka. – Świat jest jednak mały, dopytam ich jeszcze kiedyś. Zdecydowaliśmy, że damy Elizie ten pokój, w którym mieszkaliście na początku lata – starsza pani zmieniła temat i uśmiechnęła się.

– Ojeju, super – pisnęła Eliza.

– Ale straciecie państwo na wynajmie, to taki duży pokój – Kaśka nie kryła zaskoczenia.

– Jeśli mamy gwarancję, że będzie mieszkać przez prawie cały rok akademicki, to nam się to opłaca. Chociaż to duży pokój, może mieszkać sama, albo dobrać sobie jakąś koleżankę. Jak będzie chciała – dopowiedziała pani Franciszka.

Pan Antoni złapał za dużą torbę, ale po chwili puścił jej ucho.

– Chciałem pomóc... ale nie dam rady – westchnął.

Kaśka i Eliza wniosły na raty bagaże na górę.

– Mamuś, ale super – powtórnie zapiszczała Eliza, ściskając Kaśkę, kiedy zostały same.

– Będę mogła wychodzić na taras. Hura! – wykrzyknęła stłumionym głosem. – Dobrze, że lornetkę zostawili. Jeden pokój mi wystarczy... – zaśmiała się.

– Zazdroszczę ci... – Kaśka zmrużyła oczy. – Tylko pamiętaj, córca, telefon zawsze przy sobie...

– Zaczynasz znowu?

– No dobrze, dobrze.

– Wiesz co, ty już jedź, a ja sobie wszystko sama zorganizuję.

– Ale ja ci pomogę... Napisałam Robertowi, że będę na dwunastą.

– Nie, nie! Jedź, niech się sama nacieszę. – Eliza uścisnęła mamę i bezceremonialnie łapiąc ją pod ramię, poprowadziła do drzwi. – Pa!

Kaśka popatrzyła na radosną córkę i zrezygnowana machnęła dłonią.

– Jeszcze tylko ich popytam, jak najłatwiej zjechać do „Arkadii”... W takim razie pa, córeczko.

Gdy tylko za Kaśką zamknęły się drzwi, Eliza z rozpędu rzuciła się na łóżko.

– Tego się nie spodziewałam! Hura! – Załomotała piętami po pościeli.

\*

Kwadrans przed jedenastą dotarła do budynku uczelni. Tuż przy wejściu wpadły na siebie z Wiką. Otaksowały się wzrokiem.

– Obie jesteście znowu ubrane na szaro – zaśmiała się Wika.

– Bo jesteście szare i do tego niezwykle oszczędne myszki – potwierdziła wesoło Eliza.

– No tak, czasami zapominam, że w moich żyłach płynie przecież połowa „ziemniaczanej” krwi... – Wika zmrużyła oczy.

Uroczystość inauguracji roku akademickiego w auli uczelni spodobała się Elizie. Żadnej zbędnej podniosłości czy sztuczności. Owszem, było dostojnie, a kadra naukowa wydziału w galowych szatach dodawała splendoru. Szczególnie nobliwie wyglądał dziekan z wielkim łańcuchem na szyi. W czasie kiedy podziwiała kolorystykę biretów i kołnierzy siedzących na podwyższeniu naukowców, zabrzmiało *Gaudeamus igitur*. Wszyscy wstali. Nucąc pieśń, której słowa nie wiadomo skąd znała, próbowała określić jakąś nazwą dziwny odcień biretów i kołnierzy. Kiedy pieśń wybrzmiała, nie zdzierżyła i nachyliła się do ucha Wiki.

– Te birety... no wiesz, to jest jakiś brąz czy co?

– Cicho teraz bądź... – syknęła Wika; Elizę bardzo zdziwiło, że Wiki nie zainteresowała ta sprawa.

Na mównicę wstąpił dziekan. Wygłosił krótkie, treściwe, a jednocześnie ciepłe przemówienie powitalne, szczególnie dla takich jak ona, rozpoczynających naukę studentów. Potem nastąpiło wręczenie indeksów. Swoją otrzymała z rąk doktora Szarego, którego poznała na egzaminach. Uśmiechnął się do niej całą twarzą.

– No, to jak będzie z tymi... z Wildy? Polubisz ich kiedyś trochę?

– Jednego takiego stamtąd... – zmrużyła oczy – ...doktora, już bardzo lubię.

Doktor Szary roześmiał się i uściśnął mocno jej dłoń.

– Najlepszego... Wpadnij do mnie, jakbyś chciała się w czymś poradzić... – szepnął – ...albo bez powodu, to pogadamy choćby o Poznaniu – mrugnął; Eliza dygnęła.

Kiedy wszyscy ponownie zajęli miejsca, zapowiedziano wykład inauguracyjny. Na mównicę wkroczył dziarsko profesor Maciej Skierka.

– Bravo! – wyrwało się nieoczekiwanie z ust Elizy i natychmiast zasłoniła je dłonią.

Obecni w auli jak na komendę odwrócili się. Profesor Skierka poprawił okulary i też spojrzał w jej kierunku.

– Parchowo górą... – rzucił i uśmiechnął się; doktor Szary siedzący za stołem spoglądał na przemian to na Elizę, to na profesora. – Za aktywność podczas pierwszego wykładu ocena pięć. Poproszę o indeks – dodał wesoło profesor Skierka; aula gruchnęła śmiechem. – Jeśli już tylko moje podejście do mównicy tak się spodobało, to jakież będzie aplauz na zakończenie wykładu...?

– Rozłożył zabawnie ramiona; znowu wybuch śmiechu.

– Ale dałaś czadu! – Wika pacnęła dłonią w kolano Elizy.

– Sama nie wiem, jak to się stało! – Eliza śmiejąc się, wzruszyła ramionami.

Po wykładzie inauguracyjnym grupa, w której były obie z Wiką, zgromadziła się na dziedzińcu. Skrzykiwał grupę Zenek, który już na egzaminach dał się poznać jako dobry organizator.

– Dałaś niezły występ... – huknął w jej kierunku, gdy uznał, że zebrali się już prawie wszyscy.

– Ale to naprawdę mi się wyrwało – tłumaczyła się ze śmiechem Eliza.

– Dobra, dobra... Słuchajcie, kochani! Dopóki się jakoś nie poznamy, ja będę załatwiał w imieniu grupy sprawy na uniwerku, bo lubię takie działania, a zastępować mnie będzie Eliza, jako że dała się dzisiaj poznać władzom wydziału. Co wy na to? – zaśmiał się.

– Jasne, dobra, okej! – rozległo się.

– To skąd ty właściwie jesteś, z Parchowa...? Na egzaminach mówiłaś, że z Poznania – spytała drobna blondynka Kasia.

– Jedno i drugie jest prawdą – uśmiechnęła się Eliza. – Teraz już mieszkam w Parchowie... – spojrzała na Wikę, a ta skinęła głową – ...ale na egzaminy przyjechałam z Poznania. Widziałam, że Szaremu coś się nie zgodziło, bo głowa mu latała w obie strony: do Skierki i do mnie.

– Dobra, pogadamy jak usiądziemy... To co, robimy dzisiaj małą inaugurację jak po egzaminach? – ni to spytał, ni zakomenderował Zenek. – Proponuję „Erin”. Widzę, że nie ma innych propozycji, więc naprzód.

Kilka osób wymówiło się, ale większość pociągnęła za Zenkiem. Ruszyli w kierunku Domu Marynarza. Zenek delikatnie objął Elizę ramieniem.

– Rozumiem, że ze Skierką znasz się dobrze – zagadał.

– Znamy się dobrze obie. – Wskazała na Wikę. – Ja mieszkam w Parchowie u jego matki, a Wika co i rusz tam bywa. – Eliza wyswobodziła się z Zenkowego objęcia.

– No dobra. To meteorologię mamy obstawioną!

– krzyknął Zenek, obracając się do tyłu. – Ale zauważyłem, że znasz się też z tym doktorem, który na egzaminach był w komisji.

– Znasz... to za dużo powiedziane. To doktor Szary, on jest z Poznania. Zgadaliśmy się przypadkiem na rozmowie kwalifikacyjnej, a dzisiaj sam do mnie zagadał.

– Wiele osób to widziało i słyszało, więc gdybyśmy z nim mieli na pieńku, to wiadomo kto będzie u niego załatwiał sprawy – mrugnął Zenek. – Słuchajcie! – znowu obejrzał się do tyłu. – Jutro mamy zajęcia od dziesiątej, więc bądźcie kwadrans wcześniej, to zrobimy sobie wstępną listę, kto jeszcze kogo zna. Wszystko może się przydać.

– Widzę Zenek, że z „Erinem” tworzy nam się taka świecka tradycja – wykrzyknęła Kasia.

– To jest ten lokal, gdzie byłaś wtedy z mamą na tańcach? – Wika spytała półgłosem Elizę; ta skinęła głową.

– No nie. To ty chodzisz z matką na tańce? – zaśmiał się gruby Grzegorz.

– Gdybyś ją zobaczył, to byś się zdziwił... – zgasła go Wika.

– Co prawda to prawda, ale twoje niedoczekanie

– zachichotała Eliza.

– Byłaś w „Erinie” na tańcach? – Zenek spojrzał ponownie na Elizę.

– Przypadkiem tego wieczoru po egzaminach...

– Przypadkiem... z matką... To może jeszcze *Portsmouth* był?

– A żebyś wiedział, że był. Świetna zabawa.

– Ja też miałem wtedy pójść, ale po piwie zbyt długo drzemałem i przepadło – zaśmiał się.

– Żałuj, bo to był niezapomniany wieczór... – Eliza przymknęła oczy.

– To może byli ci z Wysp... bo szantymen kiedyś zapowiadał.

– Właśnie to mam na myśli. Najpierw był *Portsmouth*, potem szkocka kobza Grega, a jeszcze potem cudowny śpiew Susan, a do tego muzyka Oldfielda i jeszcze koktajl z ciemnego piwa irlandzkiego z rumem i syropem klonowym – cedziła Eliza, a z każdym jej słowem oczy Zenka robiły się coraz większe. – I potem jeszcze cudowny spacer... aż na Kamienną Górę.

– Klepnęła go w ramię.

– Bożesz, co ja straciłem. Głany miałem przygotowane, chustkę zieloną pod szyję zdobyłem, miałem nawet pomarańczowego t-shirta... Aleś mnie zdołowała. I jeszcze ci z Wysp! – jęknął Zenek. – Tylko ten Oldfield... – rzekł, kręcąc z dezaprobatą głową.

– To właśnie dzięki niemu ten wieczór był taki fajny. A czy wiesz, że najbardziej znane wykonanie *Portsmouth* jest właśnie jego?

– Poważnie? Ja lubię szanty, no i lubię też hard rocka, ale Oldfield... – wykrzywił się.

– Powinieneś go posłuchać.

– No, skoro ty tak mówisz, to może spróbuję...

Ani się obejrżeli, kiedy doszli do „Erina”. Wika próbowała się wycofać, ale Eliza ją przytrzymała.

– Pół godziny możemy poświęcić... – szepnęła jej na ucho – ...trzeba się z grupą zadzierzgnąć – powiedziała nieco głośniej.

– Podoba mi się to określenie. Będziemy zadzierzgiwać! – Zenek powtórzył okrzykiem ostatnie słowa Elizy.

Sprawnie rozsiedli się w części irlandzkiej, bo Eliza powiedziała, że tutaj się bawiła. Kiedy przysła kelnerka, było sporo przekrzykiwań, ale najbardziej zdumiało Elizę to, że Zenek zamówił sobie... coca-colę.

– A dlaczego nie piwo? – spytała go.

– Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć, a po piwie znowu mogę coś fajnego przespać – mrugnął i roześmiał się.

\*

Po kilku dniach, w trakcie jednej z przerw pomiędzy zajęciami, Eliza wpadła na Aleksa o „powłóczyście spojrzeniu”, z którym poznała się w lipcu podczas jazdy autobusem na egzaminy.

– Ooo! – wykrzyknął zachwycony. – Jak ty, Eliza, ślicznie wyglądasz... – Oparł delikatnie dłonie na jej ramionach. – Duża zmiana, ale jednak cię poznałem. Już od kilku dni marzyłem, żeby cię spotkać, ale... mieliśmy sporo zajęć wyjazdowych. Cóż za oczy... – nie dawał jej dojść do słowa. – Piękna byłaś w czerwieni, ale dopiero ta czerń podkreśla ich piękno i głębię... – Ogarniał ją swoim powłóczyście spojrzeniem, na przemian to odsuwając, to przysuwając się do niej.

– Czyli to była prawda, że tutaj studiujesz... – rzuciła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy, i zmrużyła oczy.

– Powiedz mi tylko, w której sali macie kolejne zajęcia, a ja pojawię się pod nią na przerwie – powiedział ciszej.

Eliza poczuła, że jego długie ciemne rzęsy bez jakichkolwiek zahamowań omiatają ją, jak wówczas w autobusie, wzdłuż i w poprzek ciała.

Ich aksamitny dotyk, mimo iż tylko wirtualny, wywołał w niej prawie dreszcze. Okręciła się raptownie, jego ramiona opadły.

– Aleś ty szybka i zwinna – niezrażony szeptał dalej, nie zaprzestając obrzucania jej uwodzicielskim spojrzeniem. – Widzę, że teraz się spieszysz, ale może po południu wypijesz ze mną kawę.

– No, nie wiem... – nieudolnie usiłowała się wykręcić.

– To ja zdecyduję za ciebie... O której kończysz?

– Nie, nie. Może lepiej późnym popołudniem, pod wieczór, gdzieś...

– Nie śmiałem marzyć... – szepnął teatralnie i przymknął oczy.

– Nie znam jeszcze dobrze Gdyni, ale może gdzieś tutaj, niedaleko...

Teraz ona przymknęła oczy, żeby się skupić. Po co ja to robię! – krzyknęła na siebie w myślach. Przecież on jest... on jest... – otworzyła oczy. On dalej stał tuż obok i wpatrywał się w nią intensywnie; delikatny, zniewalający uśmiech błąkał mu się po twarzy.

– Pomogę ci, Eliza. Skoro niedaleko, to czy może być przy Urzędzie Miasta, pomiędzy zegarem a drzwiami wejściowymi?

– Doskonale, wiem, gdzie to jest.

– A godzina osiemnasta, czy to nie będzie dla ciebie zbyt późno?

– To będzie akurat, bo kończę o szesnastej i zdążę się jeszcze ogarnąć – uśmiechnęła się.

– Lecę!

Aleks nachylił się ku niej i musnął ustami jej policzek.

Pobiegła galopem schodami w dół. Zatrzymała się dopiero, kiedy minęła pierwsze piętro. A dokąd ja w ogóle pędzę? Miałam przecież pójść do dziekanatu; wszystko mi pomieszało. Ze mną chyba jest coś nie tak. Długo pocierała czoło, aż poczuła ból skóry.

\*

Usiedli przy kawiarnianym stoliku. Eliza przyglądała się widokowi za oknem, oświetlanemu przez lampy. Ruch na ulicy bocznej od Świętojańskiej był prawie żaden. Samochody parkowały już zapewne na noc, ci, co mieli w pobliżu coś załatwić, to załatwili, nikt poza mieszkańcami nie zapędzał się w tę stronę. Ale po co ja się z nim w ogóle umówiłam...? Zmarszczyła nos i przeniosła oczy na Aleksa; jak zwykle czekało ją uwodzicielskie spojrzenie.

– Ładnie tu... chociaż pustawo – uśmiechnęła się.

– Czekałem, aż otaksujesz przedpole – odwzajemnił uśmiech. – Chciałaś pewnie ocenić, dokąd cię wyprowadziłem, co?

– Przytulnie tu – odparła wymijająco.

– Pijasz o tej porze kawę? – spytał.

– Tak późno w zasadzie nie, ale dzisiaj zrobię wyjątek.

– Dwie kawy i dwa ciasteczka, ale bez kremu

– uśmiechnął się do kelnerki, która pojawiła się szybko przy ich stoliku.

– Szarlotka czy serniczek, a może... – Panienska spoglądała przymilnie na Aleksa.

– Dla mnie szarlotka – powiedziała Eliza.

– To i dla mnie – dodał Aleks. – A może lampeczkę wina...? – Spojrzał pytająco na Elizę; zaprzeczyła ruchem głowy.

Włożyła dłoń do torebki wiszącej na oparciu i wyszukała komórkę, bo poczuła jej wibrację. Zerknęła na wyświetlacz. Mama.

– Czekasz na jakiś telefon? – zaciekawiał się Aleks.

– Nie, po prostu mam doskonałą intuicję.

– Ty w ogóle jesteś doskonała... – Szybkim, ale delikatnym ruchem przykrył jej dłoń swoją.

Takich słów i tego gestu się nie spodziewała, jednak nie było jej to niemiłe. Patrzył na nią zza swoich długich rzęs i z delikatnym uśmiechem błakającym się po twarzy, a ona przyglądała mu się lekko zmrużonymi oczami. Z głośnika płynął śpiew Jennifer Rush.

– Podoba mi się ta piosenka – powiedziała cicho.

– Poważnie? Ta piosenka ma już przecież tyle lat...

– Ale jest doskonała. – Wyzwoliła rękę spod jego dłoni.

– Wolę raczej coś mocniejszego.

– Ja lubię każdą dobrą muzykę, niezależnie ile ma lat. Wsłuchaj się w słowa... – Wykonała ruch kciukiem w kierunku głośnika; zamilkł posłusznie.

Na stoliku pojawiła się kawa i ciastka. Eliza ucieszyła się, że będzie miała czym zająć ręce. Przez moment zobaczyła w myślach zeszyt i książkę do matematyki. Otrząsnęła się.

– Zimno ci, Eliza? – spytał ją i jakimś cudem znowu dotarł do jej dłoni; potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, ale miałam wrażenie, jakby coś przeleciało mi po plecach... – skłamała.

– Słowa tej piosenki rzeczywiście są piękne. Nie wsłuchiwałem się w nie nigdy... Czuję, że będę mógł się od ciebie sporo nauczyć.

Spojrzała na niego przenikliwie, bo nie wyczuła w jego słowach fałszu, ale nie pasowały one do wcześniej wygłoszonego poglądu na temat muzyki.

– Wiem, co sobie pomyślałaś – ubiegł ją. – Mam taki mechanizm, że jeśli słyszę jakieś ramoty... o! przepraszam cię! – Poglądził ją delikatnie po dłoni. – Masz taki dar przekonywania... że chyba zmienię pogląd na muzykę.

– Nic na siłę – zaśmiała się, ale poczuła się mile polectana.

– Masz rację. Na początek nie będę natychmiast przełączał radia w poszukiwaniu innej muzyki, albo przesuwiał odtwarzacza do ulubionych utworów.

– No, no... – uśmiechnęła się filuternie.

Albo z ciebie taki cwaniak, albo... taki naprawdę jesteś – pomyślała.

– Wyczuwam w twoim wzroku pewną niewiarę...

– Wykonał obronny gest dłońmi, ale nie przestał się uśmiechać.

Bożesz! On jest niebezpieczny... czyta w moich myślach. Takie doświadczenie, czy też wyczuł się tego? Zmarszczyła czoło i nos.

– Drugi raz mam wrażenie, że... – zaczęła.

– Nie, proszę cię, nie kończ. Pomogę ci. Są takie chwile, ale myślę, że również i takie osoby, które ułatwiają mi nadążanie za ich tokiem myślenia... – zamilkł i wpatrywał się w nią badawczo.

Czy ty jesteś szarlatanem...? Eliza nie wiedziała, co myśleć, ale postanowiła wysłuchać go do końca, zwłaszcza że jego powłóczyście spojrzenia robiły na niej coraz większe wrażenie. W myślach pojawiła się jak błyskawica poważna twarz Igora; przymknęła oczy.

– Proszę cię, mów dalej – poprosiła po chwili.

– Mama jest psychologiem i ma w domu wiele książek...

– Aha!

– To nie tak prosto – roześmiał się. – Nigdy bym się do książki z psychologii nie dosadził... bo się dosadziłem... gdyby nie Mel Gibson.

– Jak to?

– W ubiegłym roku byłem z rodzicami w kinie...

– No nie mów!

– Czasami lubiłem z nimi chodzić, ale w domu mamy hyzia na punkcie Gibsona. To znaczy mama się w nim kocha, tata to znosi, ale ponieważ przypadkiem też lubi jego filmy, to rozwodu nie ma – zaśmiał się głośno.

– Kupowała gdzie mogła kasety z jego filmami, ma chyba wszystkie. No, to ja siłą rzeczy też go polubiłem. Oglądałaś *Teorię spisku*?

– No... może...

– Facet jest taksówkarzem, a w domu wszystko trzyma pod kluczem, zabezpiecza kłódkami – spoważniał. – Gra tam także Julia Roberts.

– Raczej nie pamiętam... ale *Pretty Woman* z nią, tak – uśmiechnęła się; Aleks musnął jej twarz aksamitnym spojrzeniem i machnął dłonią.

– Wróćmy do Mela... Jestem jego fanem od *Teorii spisku*. Genialny film, ale chcę powiedzieć o innym filmie, tym, na który w ubiegłym roku poszliśmy rodzinnie do kina. To komedia. Facet w łazience upada nieszczęśliwie... coś mu się przestawia w głowie i zaczyna słyszeć, co mówią kobiety... – Spojrzał na Elizę przenikliwie.

– Nie, tego filmu także nie znam – przyznała ze zmartwioną miną.

– Nie będę opowiadał fabuły, ale w drodze powrotnej do domu rozmawialiśmy sobie wówczas, kto jak odebrał film. Mama powiedziała, że z punktu widzenia psychologii pewne rzeczy są możliwe, choć w filmie przedstawili to kompletnie nierealistycznie, baśniowo. Po powrocie do domu dała mi książkę... ale autora nie pamiętam. Jak będziesz chciała, to ci pożyczę. Zrozumiałem z niej, w jaki sposób słuchać rozmówcy, kiedy poznać, że mówi prawdę, szczerze, jak wydedukować, co chciał powiedzieć, co myśli...

– Ej, to ty jesteś niebezpieczny!

– Eliza, to nie tak – roześmiał się. – Ty jesteś tak szczerą i uczciwą, że przy tobie potrafię się wyjątkowo skupić, śledzę dokładnie, co mówisz, staram się przynajmniej, mam wrażenie, że wiem, co myślisz, albo nawet, co za chwilę chcesz powiedzieć. Ty tak nie masz?

– Zauważyłam u ciebie rzadką zdolność skupienia się, zainteresowania rozmową, pewnie ta książka pomogła ci w tym, ale mam nadzieję, że nie wykorzystujesz tego dla niecznych celów...

– Jeśli myślisz o tym, o czym ja teraz pomyślałem, to nie – zaśmiał się. – Próbowałem w końcu roku eksperymentować na wykładowcach, ale nie wychodziło mi – zachichotał. – Wiesz... bo oni przecież grają. Tam nie ma szczerości.

– Aha! A my jesteśmy zwierzyną łowną, na którą polują...

– Eliza! Znakomicie! Tak właśnie jest!

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

– Teraz zażartowałem... ale można by dojść do takich wniosków – roześmiał się znowu.

Eliza poczuła, że w międzyczasie komórka wibrowała ze dwa razy. Nie mogła się oprzeć ciekawości i zerknęła na wyświetlacz. Ponownie dzwoniła mama, ale dzwonił także

Igor. O Jezu! Nie dadzą mi spokojnie wyjść choćby na kawę.

Bawili się miłą rozmową przez ponad godzinę. Aksamitne spojrzenie Aleksa co i rusz spoczywało na niej. Już jej to nie irytowało, raczej było coraz bardziej przyjemne. Eliza ani się nie obejrzała, jak zrobiło się wpół do ósmej.

– Muszę już lecieć – rzuciła przeproszającym tonem; dojrzała w jego spojrzeniu lekkie rozczarowanie. – Jeśli chcesz, możesz mnie podprowadzić trochę pod górę, to jeszcze chwilę ze sobą pobędziemy.

Oczy mu się zaświeciły.

Po co ja takie rzeczy opowiadam, jak głupia jakaś... – zezłościła się na siebie. Nie widział jej twarzy, bo odwrócona tyłem narzucała kurteczkę; pewnie znowu coś by zauważył.

– A ty może mieszkasz na Kamiennej Górze?

– Mhm. Tam, gdzie na egzaminach.

– Poprowadzę cię na skróty, tylko sama tą drogą nigdy nie chodź.

Skinęła głową.

Kiedy wyszli na zewnątrz, poczuła chłodny wiatr. Wzdrygnęła się, co nie uszło uwagi Aleksa. Objął ją ramieniem; poczuła, że jest jej nieco cieplej. Gdy weszli na schody, nieoczekiwanie zatrzymał się i musnął wargami jej policzek. Nie zdążyła zrobić uniku.

– Dziękuję ci za spotkanie – powiedział półgłosem.

– Mnie też się podobało – odparła szczerze.

Jeszcze dwa razy bez zapowiedzi zatrzymywał się i przelotnie dotykał ustami jej policzka. Przy ostatnim razie już się nie uchyliła. A kiedy w pobliżu domu celował w jej usta, ubiegła go, sama musnęła jego policzek, odwróciła się i oddaliła szybkim krokiem.

Co ja robię? Chyba całkiem mi odbiło – puknęła się w czoło, gdy weszła do willi. Starsza pani spojrzała na nią od progu kuchni.

– A ciasteczek pewnie nie było... – odezwała się z zawodem.

– Jutro idę na dziewiątą, więc zdążę zbiec. Będą świeższe; nie podobały mi się dzisiaj.

– Jesteś kochana... O, a tutaj masz przygotowane kanapeczki, tylko herbatkę zrób sobie sama. – Pani Franciszka wskazała na talerz przykryty szklanym kloszem.

– Dziękuję.

Jadła nerwowo, spoglądając na otwartą książkę z zadaniami oraz przyglądając się przykładom rozwiązywanym na zajęciach. Kurczę, jak to jest, że w Poznaniu potrafiłam się skupić, wszystko kapowałam, a tutaj w jakiejś czarnej dziurze się znalazłam? Znowu usłyszała wibrowanie komórki. O Boże! Zapomniałam!

– Mama?...

– Nie odbierasz, nie dzwonisz?

– Oj, bo przyciszyłyśmy sobie komórki celowo, żeby nie przeszkadzały...

– Martwiłam się, bo nie wiedziałam, czy jeszcze jesteś na uczelni, czy dokądś zbłądziłaś po drodze?

– Nie, dopiero wróciłam, siedziałam z koleżeństwem w stołówce na uczelni, ale tam po dziewiętnastej zamykają...

– Tylko w drodze powrotnej uważaj, bo na schodach na Kamienną Górę, jak pamiętam, jest dosyć ciemno.

– No tak, jest ciemno, jak wszędzie, ale kolega z koleżanką mnie odprowadzili...

– Czy może Wika?



– Nie, to nie Wika, bo ona jeździ w zupełnie inną stronę. Zresztą blisko uczelni ma autobus. A co u was?...

– Babcia czuje się dobrze, u Felci i reszty bez zmian... a ja super!

– To dobrze, że wszystko u was dobrze...

– A którym autobusem planujesz przyjechać?

– Jeszcze nie wiem, na który zdążę, bo do szesnastej mam zajęcia...

– Czekam w takim razie na informację, o której ruszysz. Pa, córcia!

– To pa! Pa.

Eliza czuła, że adrenalina ją rozsądza. Oddychała głęboko. No, nie. Wyjechałam, a teraz jeszcze kontrole. Nie dość, że mam problem z matmą, to ciągle telefony. Zadzwonię, jak będę miała czas, przecież to jasne. Komórka po chwili zagrała *Most na rzece Kwai*. Po co ją zrobiłam tak głośno? A to kto? Igor?

– No cześć, Igorio...

– Witaj! Dzwonię do ciebie, a ty nie odbierasz.

– Jak to nie odbieram? Przecież odebrałam... A stało się coś?

– Po prostu chciałem cię odwiedzić, zobaczyć...

– Igorio, po co masz się męczyć, zobaczymy się w Parchowie...

– Krótkie spotkanie, odskocznia, dobrze ci zrobi.

– Nie mogę sobie na to pozwolić, bo mam za dużo nauki...

– Nauka jest zawsze, a na drugim semestrze jest jej jeszcze więcej.

– Co ty...? Tutaj się mówi, że potem jest łatwiej, tylko trzeba przejść przez pierwszy semestr...

– Musisz się w takim razie lepiej zorganizować.

– To dopiero drugi tydzień, a ja się muszę przestawić...

– Mam wrażenie, jakbyś nie chciała, żebym do ciebie dzwonił.

– Nie no, dzwonić możesz, tylko ja nie zawsze mogę rozmawiać...

– Dobrze, więc jutro nie będę cię niepokoił, ale może spróbuję pojutrze,

– No dobrze, zadzwoń pojutrze, może wówczas będę w lepszym humorze...

– Tylko odbierz. Trzymaj się w takim razie i dobranoc.

– Dziękuję, dobranoc.

Teraz jeszcze ten...! Eliza ponownie wyciszyła telefon i cisnęła go na poduszkę. Każdy chciałby ją tylko kontrolować i pouczać. Ten może mi pomóc... Niby jak? Spotkać się, żebym się zrelaksowała. Ja przecież nie mam teraz czasu na jakieś tam spotkania. Cały czas jestem spięta, bo pomocy potrzebuję teraz, a nie kiedyś.

Podeszła do okna. Światła portu i bulwaru wyglądały pięknie. Jak to Felcia mówi? Kowaliki... Też chyba mi się jakieś w głowie zaległy. Przyłożyła czoło do szyby. Och, jak teraz dobrze. Oddychała głęboko. Byłoby pięknie, gdyby nie ta nauka... Co ja pitołę! Odwróciła się do stołu i spojrzała na książkę i notatnik. Boże! A rano jeszcze po ciastka!

\*

Obudziła się z bólem głowy. Siódma. Trzeba wstawać. Spojrzała na stół. Ależ tu bałagan. Że też wszystko muszę zrobić sama. Opuściła nogi z łóżka. Przecież jestem niewyspana i nie mam siły. I nic nie umiem. Przycisnęła dłonie do głowy. Tylko do kogo mam pretensje. Chciałam być tutaj...? Chciałam! To i jestem. Przestań się, babo, mazać i weź się w garść!

Ruszyła do łazienki.

Za piętnaście ósma schodziła na dół. Z kuchni wychyliła głowę pani Franciszka.

– Może nie chodź już, dziecko, do cukierni, bo się zmęczysz przed zajęciami.

– Przejdę się i to z przyjemnością, a kiedy wrócę, zdążę jeszcze zjeść kanapkę.

\*

Nie rozumiała, dlaczego kolokwium z matmy poszło jej nie najlepiej. Niby podobne zadania zaliczyła wczoraj, a dzisiaj miała z dwoma kłopoty. Namęczyła się przy nich i ostatecznie zostawiła je. Należało mieć nadzieję, że dwa pozostałe dobrze wyszły, co powinno wystarczyć do zaliczenia. Jednak po rozmowie z Wiką jej humor się zwarzył, kiedy ta jej uzmysłowiła, że jedno z nich też pewnie zostało zrobione źle. Wyszła więc na korytarz uspokoić się. Tuż przed sobą usłyszała klaśnięcie i cichy okrzyk.

– Eliza, głowa do góry!

Na wprost niej, oparty o parapet, stał Aleks, a obok niego ten drugi chłopak z lipcowego autobusu. Aleks nachylił się ku niej, jakby chciał ją pocałować. Zrobiła unik.

– Coś nie w sosie? – Omiótł ją swoim powłóczystym spojrzeniem.

– Niewyspana, źle mi poszło kolokwium, to z czego się cieszyć.

– Z życia dziewczyno, z życia! – Rumiany Kuba zrobił się jeszcze bardziej rumiany.

– Wam tak łatwo powiedzieć... Macie już te swoje strategie i taktyki, i co tam jeszcze, a ja muszę dopiero to wszystko poznawać – próbowała się uśmiechnąć.

– Eliza, nie dołuj się... – Aleks delikatnie położył dłonie na jej ramionach. – Spójrz na mnie. – Podniosła posłusznie oczy w górę; głąskał ją wzrokiem, aż prawie poczuła na ciele dotyk jego powłóczystych rzęs.

Rzeczywiście zrobiło jej się troszkę lepiej. Uśmiechnęła się.

– Wczoraj zabrakło mi trochę czasu i pałera...

– Jeszcze trochę i nabierzesz rutyny – uśmiechnął się Aleks. – Wiesz, mamy propozycję. Spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na Kubę.

– Dobrą propozycję. – Kuba skinął głową, a jego rumiane policzki rozciągnęły się w uśmiechu.

– No, to słucham.

– Chcemy zaprosić ciebie z koleżanką na tańce...

Tym razem Eliza zatrzepotała powiekami.

– Zaraz, zaraz. Rozumiem, że my, niby razem...

– wskazała na Aleksa – ...a Kuba z koleżanką?

– Zgadza się... – potwierdził Aleks – ...ale z twoją koleżanką.

– Z moją koleżanką? A którą? – Eliza zagotowała się, z trudem ukrywając irytację.

– No... z jakąś fajną koleżanką. – Kuba jeszcze bardziej rumianie się uśmiechnął; Aleks potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Wiesz co, Eliza, dokończymy rozmowę na następnej przerwie, bo później jedziemy do Gdańska, a teraz musimy jeszcze popędzić do biblioteki. Może być?

– Może być.

Popatrzyła na zadowolonych z siebie kolegów, podniosła dłoń w górę i odwróciła się na pięcie. Ja mam być stręczycielką? – zawołała bezgłośnie. Wasze niedoczekanie.

Na kolejną przerwę wyszła razem z Wiką. Chłopcy już uśmiechali się do niej z daleka.

Podniosła dłoń w górę, ruszyli w jej stronę. Zdążyła jeszcze coś szepnąć Wice, która skinęła głową i odbiła w kierunku koleżanek.

- No i jak... pomyślałaś o nas? – zagaił Aleks.
- Trudno o was nie myśleć – Eliza uśmiechnęła się.
- Jesteś super... – oddał rumiany uśmiech Kuba.

- A ona jest gdzieś tutaj? Ta koleżanka? – spytał suchymi wargami.

Eliza zwróciła twarz w stronę grupy koleżanek, wśród których stała Wika. Ich wzrok się spotkał; uśmiechnęły się do siebie.

- To ta, która się do mnie uśmiechnęła. – Wskazała głową.
- Łał... – wyszeptał Aleks.
- Łał... – jak echo powtórzył Kuba i jeszcze bardziej spłoszował.
- Poprosisz ją? – Aleks kuł żelazo póki gorące.
- Nie ma sprawy, podejźmy.

Eliza delikatnie przywołała Wikę; ruszyli sobie naprzeciw.

- Jestem Kuba... – uśmiechnięty na pąsowo Kuba wyciągnął dłoń.
- A ja Wika...
- A ja Aleks...

- Jeśli to ci będzie pasowało, Eliza da ci mój numer telefonu, a ty, proszę, wyślij esemesa, o której i gdzie mam czekać. – Nie spuszczać wzroku z Wiki, Kuba wyszeptał spieczonymi wargami; obu dziewczynom rozszerzyły się oczy.

- My już musimy lecieć, bo za dziesięć minut mamy kolejkę. To pa! – zawołał niespodziewanie Aleks i raptownie ruszył w kierunku schodów; za nim, ociągając się i oglądając za dziewczynami, ruszył Kuba.

- To na razie! – rzucił jeszcze w ich kierunku.

- Co to było? O co tu chodzi? Czego oni się tak wdzięczyli? – Wika wyrzuciła z siebie serię pytań.

- No wiesz... To Aleks i Kuba, chłopcy, z którymi latem jechałam autobusem od Węsior do Gdyni. Opowiadałam ci kiedyś... – Eliza zmrużyła oczy.

- Okej, rozumiem. Tylko po co jeden z nich ma gdzieś na mnie czekać?

- Ojej, jakaś ty niedomyślna. Umówiliśmy się z nimi... na tańce – zachichotała Eliza.

- Umówiliśmy? My? To mogłaś mnie chociaż o tym uprzedzić. – Wice też zaczęły się śmiać oczy.

- Po co? Tak wyszło bardziej naturalnie. Niech się łudzą... – Teraz obie rozchichotały się na dobre.

- Tylko nie dawaj mi czasem jego telefonu, bo jeszcze przez pomyłkę wyślę esemesa – Wika próbowała się uspokoić. – Ale coś musimy zrobić? – Spojrzała na Elizę nieco poważniej.

- Wiesz, oni nie są źli, ale za tę niezdarność umówimy się z nimi... na pusto.

Eliza złapała Wikę pod ramię.

- Znaczy się jak?

- Wyślemy im esemesy i... nie pójdziemy. Niech kombinują, co jest nie tak...

- Git!

Felcia spoglądała przez okno; ktoś szedł od bramy, ale nie mogła poznać kto. Uniosła dłoń do oczu. Kogo mi tu diabli niosą... Ojeju, to Julcia i Tadzio! – zawołała do siebie i wybiegła do sieni.

– Jak się cieszę, że wpadliście! Zachodźcie do środka.

– Nie, nie, my tylko na chwilę, żeby się pożegnać. Wracamy już do Gdyni – rzucił Tadzio i cmoknął po swojemu.

– No chyba cię pogięło! – fuknęła po młodzieżowemu Felcia, aż Tadeusz uniósł oczy w górę; Julcia uśmiechnęła się. – Kawy ze mną nie wypijecie? No, zachodźcie!

Wycalowała Julcię i pociągnęła ją za sobą.

– Ech, Tadziu, chyba małą kawkę to możemy wypić. Będziesz miał więcej siły... – Obejrzała się na niego.

– Juluś... Tak się tylko mówi, mała kawka... i zaraz zrobi się godzina, a potem druga i zacznie się ściemniać. – Tadeusz cmoknął.

– W południe?! – Julcia machnęła dłonią i ruszyła posłusznie za Felcią.

– Jaaaan! Aniaaa! Jaaaan! Aniaaa! – zawołała gromko Felcia. – Chodźcie tutaj! Siadajcie, kochani. Ależ się cieszę.

– Co się, Felciu, stało?

Po kilku chwilach Jan wszedł do kuchni szybkim krokiem, a po kolejnych kilku pojawiła się Anna.

– O! Julcia, Tadzio, witajcie. Jak miło! – Oczy wszystkim się śmiały.

– W czym ci, Felu, pomóc? – Jan spojrzał na Felcię.

– Siadź i bądź... – uśmiechnęła się Felcia całą sobą. – Aniu, jak miło, tacy goście, prawda?

Anna uśmiechała się.

– Juluś, tylko nie śpiewaj... – Tadzio spojrzał na żonę, która pobudzona miłym przywitaniem zanuciła lalala, kilka taktów *Gdzie strumyk płynie z wolna...*

– Jan, przynieś jakąś nalewkę.

– Tak z rana? – Tadzio spojrzał na gospodynię.

– Rano to jest szósta, no, może ósma, ale pół do dwunastej to raczej południe. – Felcia zakręciła przy kredensie spódnicą. – A wczoraj wieczorem dla poprawy humoru upiekłam drożdżówkę. Spójrz... – Pokazała Julci.

– Ooo! Lepsza niż moja...

– Juluś, ty też robisz smaczne. Przynajmniej mnie zawsze smakuje. – Tadeusz spojrzał na żonę.

– A bo tobie wszystko smakuje! – prychnęła Julcia.

– Jak ty gotujesz, to mi zawsze smakuje.

– Ależ wy jesteście zgodni! – Anna spojrzała kolejno na Julcię i Tadzia.

– Tyle lat, to można przywyknąć – zaśmiała się Julcia.

– To dokąd się dzisiaj wybieracie? – spytał z poważną miną Jan, spoglądając na przybyłych.

– Wracamy do domu, na zimę, już czas. Siedzieliśmy tutaj od maja... – Tadzio uśmiechnął się.

– Nie, ty przyjechałeś zaraz po Wielkanocy – skorygowała go Julcia.

– Tak było... wodę podłączyłem już kilka dni po świętach.

– Lato było w tym roku cudowne... – Julcia westchnęła.

– Masz rację. Dawno takiego nie było, pod każdym względem – potwierdziła Felcia, rozstawiając filiżanki.

– Myśmy po „Studniówce” zrobili sobie tutaj popołudnie letnich wspominek. Gadalśmy aż do późnego wieczora. – Anna spojrzała na Julcię błyszczącymi oczami.

– Szkoda, że dopiero tego lata się poznaliśmy – zasmuciła się Julcia.

– Nie szkodzi, nadrobimy! – Felcia klasnęła w dłonie. – No to zdrowie! – Uniosła kieliszek z nalewką.

– A ty czego się stalujesz? – Spojrzała na Tadzia, który odsunął swój kieliszek na środek stołu.

– Ktoś musi prowadzić – uśmiechnął się i cmoknął; Felcia machnęła dłonią.

– No tak, nie ma zmiłuj – zgodził się Jan.

– Posłuchaj, Julcia, my już tutaj o sobie wszystko wiemy, tylko o tobie jeszcze jakoś mało... – Felcia spojrzała na nią z ukosa.

– A bo nie za bardzo było kiedy... – Babcia Julia uśmiechnęła się szeroko. – Ciągłe mi się wydaje, że do Gdyni przyjechałam zupełnie niedawno... – spojrzała wokół – ... w połowie września czterdziestego piątego roku, z Albinem... bratem.

Wszyscy skupili uwagę na niej z zainteresowaniem.

– To on chciał tam pojechać i rozejrzeć się za pracą, a ja kiedy tylko się o tym dowiedziałam, zaczęłam męczyć mamę, żebym mogła pojechać z nim. Nie chcieli o tym słyszeć, wybijali mi to z głowy jak mogli, bo wiecie, głównym problemem był brak pieniędzy. Przecież to było zaraz po wojnie. Ja się jednak uparłam i długo ich nagabywałam. Wreszcie moja siostra Janka nie wytrzymała i powiedziała mamie, że może dać kilim, co to miała na posag zostawiony, żebym spieniężyła sobie, to starczy mi na bilet – uśmiechnęła się. – Takie to były czasy... – Znowu popatrzyła wokół. – Pojechałam do Białegostoku na targ, udało się dobrze go sprzedać, no i były pieniądze na wyjazd. Co Albin się po drodze namarudził... Że mam się go pilnować, nie odzywać się, jak nie pytają... Z początku tak było, ale kiedy zobaczyłam, jaki piękny jest Skwer Kościuszki, że w centrum miasta nic prawie nie zostało zniszczone i jeszcze śliczna fontanna tryskała wodą... Słoneczko świeciło, ciepłutko było, więc mówię mu, chodź, zobaczymy plażę. Posiedziałam na ciepłutkim piasku, pochodziłam sobie po wodzie, pooddychałam pełną pierś, dobrze mi było, że nie wiem. On się szybko znudził i mówi, żebyśmy wracali do noclegowni. Była na Grabówku, obok Wyższej Szkoły Morskiej.

Kiedy przechodziliśmy koło kiosku, jeszcze w centrum, to mu powiedziałam, żeby kupił gazetę, bo ja tu zostaję i będziemy szukać dla mnie pracy. Wściekał się, groził, ale kupił. Pojechaliliśmy do noclegowni i przeszukiwaliśmy gazetę. Mnie się spodobała praca w szpitalu, bo siostry szarytki – to była ich placówka – zapewniały zamieszkanie na ich terenie. Wtedy nie miałam osiemnastu lat. Albinowi nic się nie podobało, dla siebie nic w gazecie nie znalazł. W noclegowni co chwila pojawiali się organizatorzy jakichś wyjazdów za granicę: do Szwecji, Norwegii, Anglii. Jemu nic nie pasowało; on i ja różne charaktery. Sąsiad z łóżka mówił mu, że warto pojechać do Orłowa, bo tam polskie domy można zająć. Pojechali następnego dnia po naszej wizycie w szpitalu. Spodobał im się jeden dom. Facet mówi, że on może wziąć dół, a oni górę. Albin poszedł na górę, powyrzucał pierze z poduszek i pierzyn, i zabrał same inletry. Dacie wiarę? – Potrząsnęła dłońmi.

Powiedział, że zamieszkać tutaj, w Gdyni, to niepewna sprawa, bo nie wiadomo, jak to

będzie z pracą, a czasy zresztą niepewne... Ja sobie zaklepałam zatrudnienie w szpitalu i gwizdałam na niego. Awanturował się, że beze mnie nie wraca, bo matka go zabije, a ja spokojnie mówiłam, że będę mieszkać i pracować tutaj, a nie w tym zapyziałym Czaplinie, żeby ciągle oglądać, jak jemu nic się nie podoba. I zostałam – uśmiechnęła się wokół triumfalnie.

– No, to zdrowie Julci! – huknął nieoczekiwanie Jan; Tadeusz spojrzał na niego zdumiony. – Bardzo z ciebie odważna kobieta! – dodał Jan z uznaniem.

– A żebyście wiedzieli... – rozechociła się Julcia.

– Kiedy Ruscy przyszedli do nas, do Czaplina, w czterdziestym roku, pojawiła się najpierw ichnia *razwiedka*, a niedługo potem zaczęto u nas budować lotnisko... no, takie wiecie, na łąkach.

– Polowe, zapasowe – podpowiedział Jan.

– No tak, tak... Kto tylko mógł, miał im pomagać przy równaniu łąki; ja z innymi dziećmiakami też drapałam łąkę grabiami. Na zakończenie roboty przyszedł do nas lotczik i spytał: *Kto chcesz pokatać'sia?* Zgłosiła się jedna dziewczyna, dwa lata ode mnie starsza, a z chłopaków nikt. Wtedy ten lotczik spytał się jeszcze raz: *No i szto? Bolsze nikawo?* I znowu popatrzył na dzieciaki. No, to ja się jeszcze zgłosiłam... Polatałam sobie ichnim kukuruźnikiem nad wsią, rzeką, polami, lasem... a jakże... – Powiodła wokół dumnym wzrokiem.

– To ty naprawdę byłaś dzielna, odważna! – Felcia klasnęła.

– Byłam i jestem...

Tadeusz zaczął się drapać po głowie, postękiwać i cmokać. Julia spojrzała na niego z dezaprobatą.

– A kto do ciebie przyleciał na Wyspy Kanaryjskie? No przecież wiesz, że tak było... – Julcia karcąco spojrzała na męża.

– Juluś, no tak. Tak było... ale wiesz co? Ja z działki zapomniałem zabrać prostownik do akumulatora...

– Tadzio, wszyscy muszą oglądać twoje miny?... A po ci ten prostownik? – fuknęła Julcia.

– No, przecież muszę go mieć, jakby przyszło gdzieś jechać zimą, albo potem wiosną – wyjaśnił Tadzio, cmokając raz po raz.

– A gdzie ty zimą jeździsz? Na halę, na drugą stronę ulicy?

– Juluś... – Tadzio podniósł oczy w górę. – Bo wiesz... – przeniósł wzrok na Jana – ... po mieście jeżdżę rzadko, no, to akumulator nie ma się kiedy naładować. Samochód stoi w garażu, więc akumulator wyciągam na zimę i co jakiś czas podładowuję.

Jan pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A może jeszcze Olek przyjedzie kiedy na Mausz, to ci przywiezie? – Julcia spojrzała na męża.

– Na to bym nie liczył, wiesz, jak to z nim jest... Poza tym postawiłem prostownik na balustradzie małego domku, żeby nie zapomnieć, no i właśnie... – zaczął cmokać i uśmiechać się.

– Do ciebie to podobne... – Babcia Julia machnęła dłonią i zaśmiała się.

– Więc rozumiesz, Juluś, on nie może tak zostać, bo przemoknie i będzie po nim... – Tadeusz wiercił się na krześle.

– No, to dopij i jedź, a ja poczekam.

– Wiesz ty co...! – zawołała Felcia, spoglądając na Julcię. – Niech Tadzio sobie pojedzie po ten dynks...

– przeniosła wzrok na okno – ...tylko nie ma co tego odkładać, bo wnet zacznie padać, ale ja was... i tak stąd dzisiaj nie wypuszczę! – wykrzyknęła triumfalnie.

– Zostaniecie u nas trochę. Pogadamy sobie o starych dziejach... Latem nie ma kiedy, ciągle coś do roboty, albo są goście... – Felcia zamachała dłońmi.

– Ale po co mamy wam robić subiekcje – cmoknął Tadzio.

– A ty znowu swoje... No jasne, że możemy zostać na dzień, dwa – Julcia uśmiechnęła się do Felci.

– A ja nic, tylko ciągle będę się pakował albo rozpakowywał! – zirytował się Tadzio.

– A co my mamy lepszego do roboty? – Julcia aż podskoczyła na krześle.

– Juluś, jakie my? Ty siedzisz i tylko komenderujesz, a to przecież ja pakuję i rozpakowuję... – Tadzio machnął wreszcie ręką i zaśmiał się.

– Ależ wy jesteście fajni. – Felcia wzięła się pod boki. – Tadzio, ty się nic nie zmieniłeś od tamtych dni...

– Oczy jej się śmiały. – „Felcia, przecież nad stawem byliśmy wczoraj i przedwczoraj...” – przedrzeźniała go.

Tadeusz wzruszył ramionami, ale w oczach miał błyski. Wstał i machnął ręką; obaj z Janem spojrzeli na siebie ze zrozumieniem.

– Nic, chłopie, nie wskórasz... Zawsze nas zagadają i obśmieją... – Jan mrugnął.

– A ty, choćby ci się nie chciało, i tak musisz to coś zrobić – Tadeusz znowu się zaśmiał.

– No dobra, jadę, bo deszcz naprawdę przyjdzie lada chwila i wtedy z prostownikiem to będzie po ptokach. – Nachylił się ku oknu.

– Cieszę się, że znaleźliśmy sobie wreszcie i my trochę czasu na jesienny odpoczynek. Uradowana Felcia podeszła do Julci i objęła ją; Anna dołączyła do nich.

\*

Wieczorem Kaśka zajrzała do pokoju mamy. Anna leżała już w łóżku i czytała *Pianistę Szpilmana*; Kaśka poznała po okładce.

– Jednak czytasz ją... – Wskazała ruchem głowy.

– Wiesz, to jest piękna książka, a Szpilman opisał wojnę, getto i muzykę cudownie. – Anna poprawiła sobie jasiek.

– A wtedy mówiłaś...

– Mówiłam, bo to nie książka na lato, na plażę... Teraz co innego. Nie wiedziałam, że napisał ją już w czterdziestym szóstym roku. I że potem w pięćdziesiątym nakręcono na jej kanwie film *Miasto nieujarzmione*, ze scenariuszem Miłosza i Andrzejewskiego.

– Ale to przecież jest nowa książka!

– Okazuje się, że nie... Pierwsza wersja była wydana właśnie w czterdziestym szóstym roku pod tytułem *Śmierć miasta*, opracowywał ją Waldorff. Została wtedy mocno ocenzurowana i wyszła w małym nakładzie. – Anna machnęła dłonią; Kaśka przysiadła w nogach łóżka.

– Waldorff? Ten Jerzy Waldorff?

– Mhm... On opracował, ale nie on był cenzorem. Na pewno chciał dobrze, ale to nie był jeszcze czas, by pokazywać, że niektórzy wrogowie byli dobrzy, a niektórzy Polacy

szmalcownikami...

– I czytasz takie rzeczy na noc? To cię nie męczy?

– W moim wieku ma się już pewien dystans do wszystkiego... Szpilman jest, moim zdaniem, bardzo sprawiedliwy. Wysoko ocenia Polaków, jednak tam, gdzie trzeba, pisze prawdę. Tak uważam... Ale nie będziemy chyba rozmawiać o książce, przeczytasz sobie sama

– uśmiechnęła się Anna. – Z czym, córca, przyszłaś?

– Wiesz... – Kaśka zmarszczyła czoło. – Niepokoję się o Elizę – zrobiła smutną minę; Anna uśmiechnęła się. – Ciebie to, mamó, bawi?

– No nie, ale czy masz powody?

– Dzwonię, a ona nie odbiera. Piszę esemesy, a ona nie odpisuje... To znaczy oddzwania i odpisuje, ale to zawsze trwa tyle czasu.

– Kasiu, dziecko – Anna spoważniała. – To jest dorosła kobieta, ma swoje życie... dorosłe życie. A oprócz tego błahaego, masz jakieś inne poważniejsze powody, żeby się martwić? Bo ten to nie jest żaden powód. Z tobą było znacznie gorzej, pamiętasz?

– Pamiętam, mamó, i dlatego... myślę i przyszłam porozmawiać.

– Wyjaśniłyście już sobie wszystko, postawiła na swoim, to znaczy realizuje to, co sobie zaplanowała. A to, że nie zawsze jest pod telefonem, że nie może albo nie chce jej się podnieść słuchawki, lub natychmiast odpisać, nie jest dowodem, że dzieje się coś niedobrego.

– No niby tak, ale nie wiem, co tam robi, jak ma wolny czas, z kim się spotyka...

– Kasiu! – Anna aż się uniosła na ramieniu. – Nie szpieguj jej, nie stwarzaj przesłanek, żeby tak to odebrała. Rozumiem cię, ale ja miałam kiedyś z tobą gorzej. Bo byłaś w domu, ale za szklaną ścianą. Potrafiłaś całymi dniami milczeć... Ty miałaś powód... – Anna pogładziła córkę po dłoni. – Eliza sama ci opowie, spyta, jak będzie miała z czymś problem. To wyjątkowo rozsądna dziewczyna. A nawet, jeśli coś... – zmrużyła oczy – ...niech się sparzy.

Kaśka zatrzepotała powiekami. Wstała i spojrzała w ciemne okno. To jak to? Mam nie myśleć, co ona robi? Pozwolić jej na... no właśnie, na co? Nawet nie wiem, na co miałabym jej pozwolić. Spojrzała z wyrzutem na matkę.

– Eliza wszystko sama sobie ułoży... musi – powiedziała Anna z naciskiem, patrząc mocno córce w oczy. – Zajmij się lepiej swoimi sprawami, jak nie chcesz, żeby pomiędzy wami zrobiło się gorzej.

– Myślałam... – wydukała Kaśka.

– Wiem, rozumiem, ale złe myśli odrzucaj. Poczytaj coś miłego... – Anna uśmiechnęła się do córki, mrużąc oczy.

– To pa, mamusiu. Może masz rację. Idę do siebie.

– Kaśka zmusiła się do miłej miny, pomachała paluszkami i ruszyła do siebie.

W pokoju spojrzała na komórkę. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Nikt nie dzwonił, żadnego esemesa. Na szafce przy łóżku ta sama co latem *Kalamburka* Musierowicz. Jutro wejdę do księgarni po coś nowego, pomyślała. A może internet? – Zatrzymała wzrok na laptopie. Dobra, tylko sprawdzę sobie najpierw biorytm. Co...? Potrójne zero? Boże! Trzasnęła pokrywą.



## *Biblioteka na strychu*



Pobyty Julii i Tadeusza Kuszerów w „Iskierce” trwał tydzień. Julia wysypiała się do późna, podczas gdy Tadeusz po ósmej ruszał z Janem na spacer w kierunku Bawernicy. Dopiero po ich powrocie rozpoczynało się długo celebrowane śniadanie, a po krótkiej przerwie – przedpołudniowa kawa. Któregoś dnia Felcia wróciła do historii ich poznania.

– A opowiedzcie, jak wyglądały wasze pierwsze spotkania... jak w ogóle się poznaliście. Bo wiemy już wszystko od czasu, kiedy przyszły na świat wasze dziewczynki, ale jak to wyglądało na początku...? – Felcia założyła ręce na brzuchu; Julcia i Tadzio spoglądali po sobie z uśmiechem.

– Pierwszy raz zobaczyłam go... – babcia Julcia przymknęła oczy i zmarszczyła czoło – ...na posterunku milicji na ulicy Trzeciego Maja. – Tadzio skinął głową.

– Koleżanka ze szpitala, Kazia z Gdyni, poprosiła mnie, żebym poszła z nią zanieść koledze książkę. Nie za bardzo mi się chciało, choć to było niedaleko, bo przecież jesień, szybko robiło się ciemno, ale uległam jej. Kiedy doszliśmy na miejsce, powiedziałam, że poczekam na zewnątrz.

– Kazia weszła do środka z książką... – wtrącił Tadeusz. – I tylko za te książki ją lubiłem, że pożyczła mi zawsze ciekawe, za całą resztę już nie.

– Szpetna była? – Jan spojrzał na Tadeusza z uśmiechem.

– Nie, to nie to... – Tadeusz spoważniał. – Ona pochodziła z rodziny, która podpisała w czasie wojny niemiecką narodową listę... – Machnął ręką. – Czy wiecie, że moja mama i rodzeństwo zostali wypędzeni przez Niemców z Gdyni właśnie za to, że mama nie chciała podpisać takiej listy? – zmienił mu się głos. – Tak jak większość wypędzonych gdynian, dostali piętnaście minut na opuszczenie mieszkania... Mogli wziąć tylko rzeczy osobiste... – Zatrzęsła mu się broda.

– Tadzio, daj spokój, nie opowiadaj – odezwała się cicho Anna.

– Opowiem... – Spojrzał na Jana, który skinął głową zachęcająco. – Mieliśmy wyjechać wszyscy... to znaczy pójść na dworzec, dać się zapakować do bydłowego wagonu; stamtąd rozwozili ludzi po Polsce... – Znowu zatrzęsła mu się broda. – Na szczęście mama wskazała, że ma rodzinę w Wieluniu, bo tak to nie wiadomo, dokąd by trafili... – Pokiwał głową. – Mówiło się wtedy, wszyscy chcieli w to wierzyć, że wojna szybko się skończy, bo Anglia i Francja wypowiedziały ją Niemcom, chociaż już wówczas docierało do nas, że te dwa kraje jakoś nie palą się do wyprowadzenia wojsk w pole.

– Przyjaciele... sojusznicy... diabli z nimi – mruknął Jan i pokiwał głową.

– Myśleliśmy, że mama z resztą mojego rodzeństwa wróci tutaj niebawem... – zamilkł na chwilę. – Z Nicholasem Neubauerem, właścicielem „Villa Rosa”, byliśmy jak rodzina; nazywaliśmy go wujkiem. To on namówił mamę, żebym został z nim w pensjonacie jako członek rodziny. Miałem się nim niby opiekować, zresztą on wtedy naprawdę źle się czuł.

– Tadzio... ale wracaj do opowiadania, jak to z nami było – fuknęła Julia.

– Tylko dokończę krótko, jak to z nim dalej było... – Tadeusz położył ściśnięte dłonie na stole. – On był Żydem. Tego samego dnia, kiedy mamę z moim rodzeństwem wygnano z domu, dotarło do niego, że on też musi się wyprowadzić. Początkowo i on sam, i my myśleliśmy, że to jego nie dotyczy... – Machnęła dłonią. – Dzięki temu, że miał pieniądze i paszport, cudem, niemal w ostatniej chwili, wyjechał. Gdyby nie to, długo by nie żył... – Znowu zatrzęsła mu się broda.

– Potem po wojnie przysyłał nam jakiś czas paczki, ale już więcej do Gdyni nie przyjechał i szybko umarł – dodał po chwili.

– Ale, Tadius, powiedz wreszcie, jak to z nami było... – Babcia Julia koniecznie chciała zmienić temat.

Tadeusz pogładził się po krótko przystrzyżonej czuprynie i blado uśmiechnął.

– No tak... – zmarszczył czoło. – Więc ta Kazia nie podobała mi się... już wiecie, z jakiego powodu – cmoknął. – I ona wówczas mówi do mnie, że przysłała z koleżanką, która czeka na ulicy. Więc zaprosi ją, mówię. A ona, że to uparta koleżanka i na pewno nie wejdzie.

Julcia uśmiechnęła się.

– No, to sam wyszedłem po nią... Jak ona mogła zostawić koleżankę na ulicy? – Uniósł nieco teatralnie ramiona w górę.

– Ale przecież wiesz, że to ja sama nie chciałam wejść – zaperzyła się Julcia.

– Opowiadam, jak ja to wtedy widziałem. – Oczy mu się uśmiechnęły. – Kiedy wówczas wyszedłem po ciebie na ulicę, nie wiedziałem, że ty naprawdę jesteś taka uparta. Teraz to już wiem – zachichotał, a wszyscy w ślad za nim huknęli śmiechem.

– Oj, Tadius, Tadius... – Julcia pogroziła mu palcem.

– Proszę więc tę koleżankę, żeby weszła do środka, bo chłodno – uśmiechnął się Tazio. – A ona mówi, że nie wejdzie, bo Kazia powiedziała, że to będzie krótko. A ja jej na to, że nie wiadomo, czy to będzie krótko, i że bardzo proszę, aby weszła. Spojrzała na mnie i powiedziała, że dobrze, ale niech to jednak będzie krótko. Kiedy weszła, zobaczyłem przy świetle, że jest bardzo ładna... mimo że taka uparta. Ha, ha, ha – zaśmiał się pełnym głosem.

– Tadius, Tadius... – pisnęła Julcia, ale widać było, że jest bardzo rada z jego opowiadania.

– Rzeczywiście nie przedłużałem już rozmowy z Kazią, ale w międzyczasie patrzyłem na nią... – Wskazał na Julcię roześmianymi oczyma. – Chyba miała na głowie chustkę, ale wyglądały spod niej bardzo ciemne włosy i ciekawskie błękitne oczy.

Julcia machnęła dłonią.

– Wyście znali tę Kazię niezależnie od siebie? – próbowała dociec Felcia.

– Tak. Ja ją poznałem, kiedy szukałem mieszkania, zanim mama wróciła z Wielunia, a Julcia natrafiła na nią podczas pracy w szpitalu. Ze Starowiejskiej do szpitala miała parę kroków. Kiedy się zorientowałem, co jej rodzina ma na sumieniu, po kilku dniach zrezygnowałem z mieszkania u nich, ale Kazia chyba za mną trochę świrowała albo chciała po prostu jakiegokolwiek Polaka za męża. – Tazio wzruszył ramionami. – Często przynosiła mi książki i strzygła oczami, a ja nic.

– Ciekawe czasy... – Felcia pokiwała głową.

– Za jakiś czas poszłam z Weńką do kina „Goplana”... – Babcia Julia szybko chciała zmienić smutną rozmowę i przejść do weselszego wątku.

– A kto to taki i co to za imię? – Anna przerwała jej, potrząsając ze zdziwienia głową.

– Taki skrót od Weronika... To była inna moja koleżanka ze szpitala, która przyjechała w ślad za mną z Czaplina, bo mi zazdrościła, że wyjechałam do Gdyni i jest mi tutaj dobrze. Po jakimś czasie przyjechał do mnie na kontrolę Albin, potem jeszcze raz szwagier, a po ich powrocie zrobiło się głośno we wsi o moim pobycie tutaj – zaśmiała się. – Że mi tak dobrze! – uśmiechała się. – I dlatego Weńka też przyjechała! No i wtedy, po wyjściu z kina, zastąpił nam drogę Tadziu, który mówi: „My się znamy” i zaczął opowiadać skąd, bo Weńka się strasznie zdziwiła. Mówił, że jest ciemno i pewnie się boimy, a w ogóle to on ma czas i nas odprowadzi. Przecież to nie było daleko, ale... co mi tam...

– Machnęła dłonią rozbawiona. – I tak się jakoś stało, że umówiliśmy się na jedno spotkanie, potem na kolejne i tak już zostało.

– Tyle tylko, że ty potem wiele razy przychodziłaś na nasze spotkania z Weńką... – wtrącił Tadeusz.

– No, bo ona się mnie uczepiła, mówiąc, że on taki przystojny... – Babcia Julcia, szukając zrozumienia, spojrzała na Felcię, a potem na Annę.

– Ja na nią nawet nie spoglądałem, żeby ją zniechęcić... – Tadzio zrobił minę.

– To ja wiem, tylko że jakoś nigdy nie mogłam się od niej oderwać, zgubić jej... – Julcia rozłożyła ręce.

– Ale potem wreszcie coś tam jej powiedziałem i przestała przychodzić – Tadeusz zachichotał i machnął dłonią.

– A wesele mieliśmy w czterdziestym ósmym roku w Czapliniu, dwunastego lipca... – Julcia radośnie strzelała oczami na boki. – Ślub był w kościele w Niewodnicy, do którego jechaliśmy z Czaplina dorożką. Pięknie było, tylko Tadzio był sam, bo od niego nikt z Gdyni nie mógł wtedy przyjechać.

– Takie to były biedne czasy... – Tadzio pokiwał głową. – Wy tam mieliście, Juluś, jakieś gospodarstwo, a moja mama przywiozła nas trójkę i kilka tobołków do Gdyni. Nic więcej nie miała, a ja dopiero zacząłem pracować.

\*

Następnego dnia po wyjeździe Kuszerów Anna i Felcia wzięły się po śniadaniu za porządkowanie gazonu. Kiedy wróciły do domu owiane wiatrem, Anna przypomniała sobie, że nie ma już żadnej książki do lektury.

– Felciu, miałaś mi pokazać swoją biblioteczkę – poprosiła. – Chciałabym coś ciekawego przeczytać.

– Masz rację! Już czas otworzyć strych po lecie.

Kiedy Felcia uchyliła drzwi do pomieszczenia nazwanego przez nią strychem, Annę zamurowało.

– Mówiłaś, że to strych, a to całkiem fajny pokój, prawdziwa czytelnia.

Felcia spojrzała na Annę.

– Przecież wiesz, że mam gust... – uśmiechnęła się. – Stachu najpierw to pomieszczenie ekstra ocieplił, a potem dodatkowo obił deskami boazeryjnymi.

– Ale tutaj można nawet spać! – Anna wskazała na wersalkę. – A reszta wyposażenia to chyba też twój pomysł.

– A co ja miałam innego do roboty?

Anna skierowała się w stronę stolika przy lukarnie, przysiadła na jednym ze stojących obok niego dwóch fotelików, zadarła głowę, przyglądając się drewnianej lampie pod sufitem, po czym wstała i ruszyła w stronę przeszklonych regałów. Wykładzina w ciemnomiodowej barwie tłumiała kroki. Dwa prawie dwumetrowe regały w znacznej części wypełnione były ciasno książkami, w dwóch kolejnych książek było niewiele. Felcia podeszła do jednego z regałów i złapała się pod boki.

– Tutaj mam książki dotyczące historii i geografii, ale także kosmologii i fantastyki, w rodzaju opowieści o Atlantydzie, kontynencie Mu i temu podobnych...

– Otworzyła jedno z drzwiczek.

– Ty to sama wszystko kupowałaś i... przeczytałaś?

– Z tym kupowaniem to już ci kiedyś mówiłam, jak to jest. W księgarniach nie kupuję, bo prawie nigdzie nie jeżdżę. Załatwiają to za mnie od wielu lat Ludka i Artur. Kochani. A wcześniej dużo kupowała mi Marysia.

Podeszły do następnego regału.

– Starsze książki w tej części to pozostałości z czasów szkoły średniej Macieja; szkoda mi ich wyrzucić, bo mają dla mnie wartość emocjonalną. No i szkoda, bo to wszystkie lektury od podstawówki. – Felcia spojrzała nieco zawstydzona na Annę.

Anna dotykała książek i kręciła głową. Schyliła się i uchyliła drzwiczki na najniższym poziomie regału.

– O, a ile tutaj atlasów?! – zdziwiła się.

– Dawno do tej części nie zaglądałam, bo teraz co innego mnie interesuje, a zresztą mam w pokoju duży globus, więc wiesz – uśmiechnęła się Felcja.

– Ten duży to tak zwany atlas wojskowy z początku lat sześćdziesiątych. – Anna dotknęła książki w ciemnozielonych okładkach i spojrzała na Felcię. – Taki sam sprawiliśmy sobie z Mikołajem, a korzystała z niego Kasia.

– Już nie pamiętam, jak to było, czy on odbierał kolejne karty w księgarni, czy one były przesyłane do domu, ale zafundowałam Maciusiowi, jak jeszcze był w podstawówce, bo się dobrze uczył, a i sama chciałam podróżować po ładnych mapach. – Felcja przyłożyła dłoń do twarzy, zabłysły jej oczy.

Podczas otwierania kolejnych drzwiczek zdumienie Anny rosło. Co jakiś czas brała jakąś książkę, podchodziła do stolika i siadała w fotelu, żeby chociaż przerzucić kilka stron. Felcia zainstalowała się na drugim foteliku i z uśmiechem przyglądała się rozradowanej Annie, spacerującej pomiędzy regałami a stolikiem.

W jednej z części kolejnego regału książki leżały na płasko, jedna na drugiej.

– A te, dlaczego tak... inaczej? – spytała Anna.

– To są książki z tego lata. Jeszcze nie przydzieliłam ich do odpowiednich działów. – Felcia podeszła do niej i mrugnęła. – Pamiętasz, jak Arturek dźwigał ciężki karton i zdziwiłaś się, co to takiego? To właśnie to. Stąd wezmę sobie coś na dzisiaj, chociaż teraz, jak jest Jan, to trudniej mi się skupić na czytaniu w łóżku. No wiesz... – Trąciła Annę łokciem.

– Może ja też sobie coś stąd wybiorę? – Anna przeglądała książki. – Może tę... *Potop Noego*, William Ryan i Walter Pitman. O czym to jest? – Spojrzała pytająco na Felcię.

– No... nie wiem, bo nie czytałam, ale wierzę w gust Gulewskich, bo zawsze przywożą ciekawe książki.

– „Nowe odkrycia naukowe dotyczące wydarzenia, które zmieniło bieg historii...” –

przeczytała Anna na głos z okładki; przewróciła na tylną stronę i dalej czytała już bezgłośnie. – Tak, wezmę to. Zobaczę, co ciebie w takiej tematyce pociąga – uśmiechnęła się do Felci. – A ty co weźmiesz?

– Jedną z ksiązek Zecharii Sitchina. – Felcia strzeliła wesoło oczami i pokazała na cztery prawie identycznie wyglądające książki. – Czytałam o nim, że inaczej niż inni interpretuje stare kroniki... no, te wszystkie historie zapisane na glinianych tabliczkach poznajdowanych na Bliskim Wschodzie, choćby taką *Enuma elisz*, babiloński epos...

– Co takiego? – Anna otworzyła szeroko oczy.

– Mój aktualny konik to kosmogonia, kosmologia i takie tam. Fruwam wysoko – zachichotała, zasłaniając usta dłonią Felicja. – No, nie dziw się... albo dziw. Wolę to od jakichś Bułhakowów czy Heminglęjów. – Strzepnęła niewidzialny kurz ze spódnicy i spojrzała nieco zakłopotana na Annę. – To znaczy wiem, kim oni są, mam serię pereł literatury pięknej... – wskazała głową na najwyższą część regału, przed którym stały – ... a to, co widziałam w telewizji jako film czy teatr na podstawie adaptacji wielkich pisarzy, podobało mi się, ale wolę jednak coś innego. Bo ja jestem po prostu inna!

– Felcia furknęła spódnicą.

Anna z niedowierzaniem kręciła głową na boki.

– I ty chcesz mnie teraz wepchnąć w takie tematyki...? – zmrużyła oczy.

– Ja? Ty sobie sama to wybrałaś. W tamtym regale jest beletrystyka, taka popularna, na co dzień, ale mówiłam ci, że czytała raczej pożyczam w gminnej bibliotece. – Wskazała na słabo wypełniony ostatni regał.

– Nie chcę stamtąd, chcę tę książkę, którą trzymam – zaśmiała się Anna. – Może tutaj trochę pobędę? – Postukała w poręcz fotela, na którym siedziała. – Gdyby mi się ona nie spodobała, zawsze mogę sobie zamienić na coś innego.

– A może chcesz... – Felcia spojrzała przenikliwie na Annę, aż ta zamrużyła oczami – ... napić się kawy?

– zachichotała.

– No jasne! – Anna dołączyła swój chichot do Felcinego.

– To w takim razie spadamy stąd!

Felcia kolejny raz zakręciła spódnicą i ruszyła do wyjścia; Anna, chichocząc, ruszyła za nią.

Gotowanie wody i zaparzenie kawy trwało kilka minut i już siedziały przy stole. Każda spoglądała na wybraną przez siebie książkę.

– Ciekawa jestem, jak Jan zareaguje na nią – zaśmiała się Felcia, gładząc okładkę książki *Genesis jeszcze raz*. – No, bo wiesz, to przecież teolog, kreacjonista. Ta książka, tak przeczuwam, raczej niekoniecznie będzie zgodna z jego poglądami, ale też nie za bardzo zgodna z teorią ewolucjonizmu.

Anna już kolejny raz tego przedpołudnia otwierała szeroko oczy.

– To o co w niej chodzi?

– Jeszcze nie wiem, ale nie mogę się doczekać, kiedy zacznę ją studiować, bo ja to czytam trochę, cofam się, zastanawiam się i znowu kilka kartek... Na razie znam tylko krótką zapowiedź.

Anna spojrzała na Felcię i odsunęła na bok swoją książkę. Zamyśliła się.

– Felciu, myślę tak sobie od jakiegoś czasu, że chyba musimy wreszcie coś ważnego pomiędzy sobą uzgodnić

- powiedziała wreszcie, patrząc przenikliwie w oczy Felci.
- O co ci chodzi? – Felcia z wrażenia opadła plecami na oparcie.
  - Mieszkamy u ciebie już prawie cztery miesiące, nie mamy zamiaru stąd wyjeżdżać, czasami tylko coś kupimy i to całe nasze tutaj wydatki. Powinnyśmy więc wreszcie ustalić sprawy finansowe.
  - Jakie sprawy finansowe? Co ciebie naszło? Dopiero co rozmawialiśmy o książkach, a ty nagle o finansach?
  - Felcia zaczęła głęboko oddychać, przycisnęła dłoń do piersi i przymknęła oczy; Anna przestraszyła się.
  - Coś ci jest? No dobrze... już nic więcej nie mówię.
  - Ani mi się waź! – Felcja dotknęła palcami skroni, a po chwili powoli otworzyła oczy.
  - Ale kiedyś? – Anna spojrzała przymilnie na Felcię.
  - Kiedyś... – Felcia uspokoiła nieco oddech. – Kiedyś-sredyś – zachichotała. – Tak czasami mówicie, no nie? – błysnęła okiem. – Już mi nieco lepiej... Miał przyjechać Stach... – spojrzała na zegar, a potem za okno – ...i przywieźć jakąś świeżą rybę. Dawno nie jedliśmy niczego z jeziornej wody. Ryszard lubi, może go zaprosisz?
  - No, a jak Stach nie przywiezie?
  - Telefon wiszący na ścianie obok kredensu rozdzwonił się nagle.
  - Pewnie to właśnie on. – Felcia ruszyła się z krzesła.
  - Wiedziałam, że przyjedziesz... Rozmawiałam z Anną... Za godzinę jesteś? To czekamy! – Odwiesiła słuchawkę. – No widzisz! Mówisz, masz! – Płasnęła dłońmi.
  - To w takim razie idę dzwonić do Ryszarda... A na którą może przyjechać?
  - A na którą chce, byle prędko, ale nie później niż za dwie godziny, bo wtedy, jak mawia Tadzio, będzie już po ptokach, czyli zimna ryba – zarżała Felcia; Anna zaśmiała się w głos razem z nią.
  - Idąc do siebie, rozmyślała, jak tu na przyszłość dobrać się do Felci, żeby złamać jej upór w sprawach zapłaty za pobyt. Przecież tak nie można. Zła była na siebie, że dzisiaj uległa, bo po nagłym ustąpieniu Felcinych duszności szybko uzmysłowiła sobie, że ta znowu odegrała swoją wielką rolę. Modrzejewska z Parchowa
  - zachichotała bezgłośnie.
  - Ryszard...? Cieszę się, dziękuję za komplement... Mam niespodziankę kulinarną: rybka z Mausza z patelni... Już jedziesz? Cudownie. To pa...

\*

- Stachu, zostań na trochę, zjesz sobie chociaż dzwonko... – Felcia wskazała gestem na stół z pokrojoną rybą.
- Stach spojrzał na Felcię. Już dwa razy nakładał czapkę i ruszał w kierunku drzwi, a potem zdejmował ją i wracał na środek kuchni.
- No przecież ci się należy, bo opracujesz nam gratis.
  - Nie gratis, tylko to było *a conto* tego, co kiedyś znowu zarobię na was. He, he, he. No dobra, idę już.
- Teraz zdecydowanie ruszył w kierunku sieni.
- No to sobie jedź! – rzuciła za nim Felcia. – Aha! Ryszard już ruszył z Bytowa, bo też ma apetyt na rybkę – dokończyła, gdy zniknął za drzwiami.

– Krucafuks! – rozległ się głośny okrzyk Stacha z sieni, a po chwili jego rumiana twarz znowu rozświetliła kuchnię. – A nie mogłaś tego od razu powiedzieć? Tyle kilometrów tu niepotrzebnie nadreptałem! – Machał dłonią, wskazując stół i drzwi. – He, he, he. Już go miesiąc nie widziałem, długo mi za nim – dodał ciszej i łypnął okiem na Felcię.

– Rozumiem, to dobry człowiek.

Stach rozparty na krześle popijał gorącą herbatę i spoglądał raz na Felcię przygotowującą szczupaka do smażenia, a raz za okno. Co i rusz rzucał jakąś kolejną informację, co nowego we wsi, a potem przysłuchiwał się Felcinemu komentarzowi. Pierwsze dzwonka ryby zaczęły skwierczeć na patelni.

– Ryszard przyjechał – rzucił i poprawił się na krześle. – Co za zapach...! – rozanielił się.

Na schodach dał się słyszeć tupot zbiegającej z piętra Anny. Stach spojrzął w kierunku drzwi.

– Poleciała na werandę – powiedział cicho i uśmiechnął się.

– Ona się cieszy i ja też – Felcia mrugnęła.

– Ja też. – Stach zrobił pocieszoną minę, rozbawiając Felcię.

– Witaj, Felicjo! – zawołał Ryszard od progu i podszedł się z nią przywitać. – Jak tutaj bosko pachnie!

– Wciągnął powietrze i przymknął oczy. – Długo mi za tobą, Stachu, było. – Spojrzął radośnie na Stacha.

Felcia i Stach popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

– Co to za szyfr? – spytała, mrużąc oczy, Anna.

– Bo przed chwilą tak samo powiedział mi Stach o Ryszardzie. – Felcia zakręciła spódnicą w kierunku kuchenki; Ryszard zrobił wielkie oczy.

– I mogę to powtórzyć – zaśmiał się Stachu.

– Nie, nie, nie, bo jeszcze zacznę ryczeć. – Ryszard i Stach pokleпали się po plecach.

– A mnie tak ładnie nie powiedziałaś... – Anna zmrużyła oczy.

– Czyżby? – Ryszard podszedł do niej i szepnął coś do ucha; Felcia zrobiła maślane oczy.

– Ale wiecie... – Anna pociągnęła Ryszarda w stronę krzesła – ...podoba mi się to określenie: długo mi za tobą. – Odwróciła się do Ryszarda. – Strasznie pędziłeś... – Ryszard pogładził uspokajająco jej dłoń.

– A wiesz, dlaczego tak naprawdę on dzisiaj pędził? – Stach wbił wzrok w Annę. – Na gorącą rybę się spieszył. He, he, he.

– Zdradziłeś mnie, przyjacielu! – zaśmiał się Ryszard. – Coś mam do rybki, Felciu. – Sięgnął do torby i postawił na stole butelkę.

– A cóż to? – zaintrygowała się Anna. – Arbois Chardonnay... francuskie, pewnie zaraz opowiesz, skąd ono jest?

– Mhm... – Ryszard niespieszony skubnął wąsika.

– Region Jura, tuż przy granicy ze Szwajcarią, to zagłębienie winiarskie. Zwiedziłem je kiedyś. To próżność... – Spojrzął w oczy Annie. – Śliczna kraina, wzgórza pokryte winnicami ciągnącymi się aż do samych dolin. Mam jeszcze kilka butelek tego wina ze starszych roczników, ale do świeżej ryby lepsze jest młodsze. To, jak widać, jest z dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– To stare... he, he, he – zaśmiał się Stach. – Kiedyś nastawiałem na wino, ale starczało

ledwie do karnawału, no więc przestałem. Ciągłe capilo i smakowało drożdżami. – Machnął dłonią. – Co innego nalewka.

– Masz rację, ale może nasi potomkowie, za jakiś czas, znowu będą u nas zakładać winnice. Aż do szesnastego wieku nasze tereny służyły z winnic i tłoczenia wina. Potem jeszcze klimat z początku osiemnastego wieku był dobry, ale ówczesne wojny spowodowały, że winnice upadły.

Do kuchni zawitał Jan.

– Cześć, Ryszardzie, cześć, Stachu! Co tu się pysznego robi?

– Szczupaczek... – Stach przełknął ślinę.

– Ojoj! – Jan zatarł dłonie. – A kto tu tak szybko zbiegał niedawno po schodach?

– Ta mała panienka – mrugnął Stach; Jan podniósł brwi.

– Eliza przyjechała?

– He, he, he. Anna tak pędziła do swojego chłopaka.

Cała piątka uśmiechnęła się.

– No dobrze, Aniu. Rozstawiaj talerze. Najpierw po kawałku na rozgrzewkę, a ja dalej smażę.

Ryszard otworzył butelkę i zaczął napełniać winem smukłe kieliszki z lekko rozchylającą się czaszą w kształcie tulipana. Stach przytrzymał dłoń nad swoim i pokręcił głową.

– Zaraz jadę do Nakli...

– Ale ten jeden?

– Y-y-y – odpowiedział pełnymi ustami Stach. – Jeszcze wpadnę na jakiegoś wariata.

– Znaczy on na ciebie chyba...

– Nie, ja na wariata policjanta... – uśmiechnął się Stach – ...i nie zrozumie, że to była tylko mała lampeczka szardony, czy jakoś tak, a wlepi mi mandat jak za pół litra. He, he, he.

Roześmiali się wszyscy.

– Zatem spróbujmy... – zachęcił, unosząc swój kieliszek Ryszard.

– Smaczne – pochwaliła Anna.

Felcia i Jan skinęli głowami. Stach zgarnął z półmiska jeszcze jeden kawałek ryby i pokazał na zegarek, że się spieszy.

– Wy sobie ucztujcie dalej sami, a ja już pędzę – wykrzyczał po chwili już z progu sieni.

– Ależ nam zrobił ucztę. Jak dobrze, że on jest...

– Felcia pokiwała głową.

– Mnie dzisiaj coś nie szło i tylko czekałem na pretekst, żeby wyjść od siebie – wyznał Jan i spojrzał na Felcię.

– Bo chyba nie musisz codziennie tyle tam siedzieć... – Felcia wykonała nerwowy ruch dłońmi.

– Mam jedną zaległą pracę, robimy ją wspólnie z kolegą z Lublina, ale coś mi nie idzie... – Jan spojrzał przepaszająco wokół. – I żeby się od tego trochę zdystansować, postanowiłem zająć głowę choć na trochę czym innym.

Ryszard ponownie napełnił kieliszki.

– A cóż to jest to coś, czymś się dystansujesz? – Anna zmrużyła oczy.

– Zdziwicie się, ale to tytułowa *Welewetka* z naszej kaszubskiej piosenki. Tyle tylko, że do tego mam zbyt mało materiałów, ale temat mnie wciągnął. Inspiracji dostarczyła mi



Joasia, córka Marysi, kiedy na czyjeś pytanie odparła, że nie wie, co to znaczy. Ja stary i też nie wiem, Fela nie wie, kogokolwiek we wsi pytałem, to też nikt nic nie wie.

– Czyli mimo że siedzisz, to stoisz – rzuciła Felcia i się roześmiała.

– No właśnie, jest jak mówisz – Jan uśmiechnął się dobrotliwie. – Moje słowniki, książki etnograficzne dotyczące sąsiednich regionów i te o samych Kaszubach nie dają odpowiedzi. Nie mogę znaleźć rozsądnego wyjaśnienia, a jakieś musi być. – Uniósł palec wskazujący w górę.

– No tak, naukowcy to jednak ciekawa grupa ludzi... – Anna zmrużyła oczy.

– Wiesz, Jan... Jak chcesz znaleźć inspirację, trochę od swojego odpocząć, to może zajmij się zaprojektowaniem, co zrobić w pomieszczeniu obok biblioteki, które ciągle stoi puste. Mnie na razie skończyły się pomysły. – Felcja spojrzała na Jana poważnie.

– Nie ukrywam, że wołałbym się wyżyć na górze w stodole.

– Ani mi się waż! – Felcia popukała palcem w stół, aż wszyscy podnieśli głowy.

– Ale dlaczego?

– Bo ja ją zaczęłam i chcę sama skończyć. Może nie rysuję tak jak ty, jak Ryszard, ale koncepcję w głowie mam i jak mówię o niej Stachowi, to on wszystko rozumie.

– Ale przecież bym cię odciążył... – Jan uśmiechnął się niepewnie.

– Nie! – ucięła krótko Felcja; spojrzała wokół. – Coś mnie ten szczupak rozleniwił, albo te szardony, więc chyba pójdę na chwilę do siebie – ziewnęła, podniosła się z krzesła i ruszyła w kierunku wyjścia. – A ty, Jan, posprzątaj po obiedzie, może wtedy z *Welewetką* coś ci wpadnie do głowy. Mnie przy sprzątaniu zawsze pojawia się wiele pomysłów.

Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem do wyjścia.

– To ci Felcia... – Jan zrobił zdziwioną minę.

– Nie przejmuj się, Janie, ja ci pomogę, ale jeszcze po kropelce nam tego winka starczy. – Ryszard rozlał z butelki wino do ostatniej kropli. – Albo wiesz co? To będzie dla mnie wyzwanie, bo u siebie nie mam na to szansy. Ja tutaj posprzątam, Ania popatrzy, czy dobrze robię, ty zresztą też zerkniesz, a potem możemy wypić herbatę albo kawę.

– Nie, nie będę wam przeszkadzał, chociaż to ja powinienem pozmywać... – Jan wstał i nie mógł się zdecydować, co ze sobą zrobić.

– O nie, nie – uśmiechnął się Ryszard. – Już zawiąłem rękawy...

– To za pół godziny przyjdę.

Jan, oglądając się, wyszedł wolno z kuchni.

– Coś Felcię ugryzło? – Ryszard spytał półgłosem.

– Sądzę, że z jednej strony irytuje ją, że Jan wciąż siedzi w gabineciku, a z drugiej strony, nie chce mu pozwolić na nic, co mogłoby zachwiać jej rolę przywódcy stada. – Anna zmrużyła oczy. – Ona tu była dotąd samcem alfa.

– Ładnie to opisałaś... Chyba właśnie o to chodzi.

– Ryszard pokiwał głową. – Aniu, ja będę mył, a ty jak chcesz, to możesz tylko kieliszki powycierać; reszta niech obeschnie sama.

– No dobrze.

– Władek długo milczał. – Ryszard skierował na moment wzrok na Annę. – Dzwoniłem, pisałem maile i nic. Cisza. Trwało to ponad trzy tygodnie... – Anna stanęła w bezruchu z kieliszkiem. – Nie chciałem cię tym niepokoić...

– Nie wiem dlaczego, ale miałam takie myśli, że to wszystko było... jest zbyt piękne – Anna przerwała mu i spoważniała.

– Ale komunikacja pomiędzy nami została już przywrócona – uspokoił ją Ryszard. – Wszystkie uzgodnienia potwierdził. – Anna uśmiechnęła się niepewnie.

– Nic nie jest zagrożone z tego, co sam proponował, a co ty na bazie jego propozycji planowałaś. Kiedy wrócili do Stanów, skupił się na akcie notarialnym, żeby jak najszybciej go wysłać, ale w międzyczasie co innego zaczęło im zajmować głowy. – Ryszard spoważniał.

– A co się stało? Coś ze zdrowiem?

– Nie zgadniesz. Dla mnie też to był wielki szok...

– No, to powiedz, bo zaczynam się już denerwować. Co tam się dzieje?

– Kiedy wrócili do Chicago, w Ameryce trwała już w najlepsze akcja propagandowa związana z walką, ba, z wojną z terroryzmem. – Ryszard zakręcił wodę i wytarł blat wokół umywalki. – Usiądźmy...

– Dziękuję, że wyręczyłeś Jana... i mnie. – Anna pocałowała go w policzek.

– Max miał rozpocząć pracę w WTC, jak pamiętasz, od października. – Anna skinęła głową. – Okazało się, że wówczas, jedenastego września, w pracy byli jego przyszły szef i sekretarka. To znaczy sekretarka miała coś załatwić w budynku sąsiadującym z wieżami; takie polecenie dostała po drodze do pracy. Kiedy rozległ się huk od uderzenia samolotu w pierwszą wieżę, razem z innymi zaczęła w panice uciekać z tego budynku przy wieżach. Po kilkunastu minutach, kiedy drugi samolot uderzał w drugą wieżę, osunęła się na chodnik, bo nie miała już siły biec dalej. Jakiś młody chłopak pociągnął ją na siłę za sobą. Potykając się, dobiegła z nim do parku przy Broadwayu, tuż obok budynku ratusza. Tam upadła na trawę bez sił. Kiedy wreszcie doszła do siebie, zaczęły walić się na ich oczach obie wieże, jedna po drugiej. Siedziała i płakała, ale narastający dym i opadające pyły zmusiły ich do dalszej ucieczki. Chłopak wziął ją do mieszkania swoich rodziców przy SoHo, kilkaset metrów dalej.

– To prawdziwa tragedia... A co z Maxem?

– Max spotkał się z kuzynem i z nią, i ona im to wszystko opowiedziała... Ocalała, chociaż była prawie w samym centrum zdarzenia. Zginął, niestety, szef, a firma przestała istnieć.

– I co Max zrobił? Gdzie pracuje?

– Na fali akcji propagandowej, o której wspomniałem, postanowił złożyć akces do wojska. Zaproponowali mu po egzaminach i badaniach jakąś specjalną służbę państwową. Władek nic więcej nie może na razie powiedzieć, tym bardziej że w tej chwili nie ma z synem kontaktu.

– Bierze udział w jakiejś akcji?

– Według moich przypuszczeń, jeszcze nie, ale widać z tego, że dostał przydział do jakichś elitarnych służb. Teraz, tak myślę, mają okres szkoleń, a co dalej będzie, nie wiadomo. Władek bardzo się tym martwi i nie potrafi się niczym innym zająć.

– Teraz rozumiem. – Anna pokiwała głową.

– Hasła o zagrożonej Ameryce w przypadku Maxa trafiły na podatny grunt! Jest dobrze wykształcony, inteligentny, wysportowany i ma dobry charakter, więc może na pierwszej linii go nie rzucać.

– Na jaką pierwszą linię?

– Tak mi się powiedziało, ale służby czy siły specjalne biorą przecież udział w różnych akcjach bojowych, więc nigdy nie wiadomo, co i jak... – Ryszard miał prawdziwie

zmartwioną minę.

– Tak opowiadasz, jakbyś jednak coś wiedział.

– Polubiłem Władka jak brata i strasznie się wkręciłem w to wszystko, co opowiadał. Władek jako jedynak, pamiętający o tragicznej historii swoich prawdziwych rodziców, mający tyle do zawdzięczenia Krysi, całe plany na przyszłość wiązał... wiąże z synem. Nie wiem, czy wiesz, ale on był krótko w Wietnamie...

– Nic mi nie mówił!

– Mnie zdążył wspomnieć... Kiedy po maturze ukończył community college, dwuletnie studia pomaturalne, taki pomost pomiędzy naszym liceum a studiami wyższymi, zgarnęli go do wojska. Był wśród organizatorów protestu na uczelni i to wystarczyło. Miał szczęście, że został tam ranny na samym początku pobytu...

– Szczęście, że został ranny?

– Likwidowali szpitale polowe, bo ofensywa Vietkongu postępowała szybko i zakwalifikowali ranę jego uda do leczenia w szpitalu stacjonarnym. Miał zostać wysłany do szpitala w Niemczech, ale przez pomyłkę załadowali go do samolotu lecącego z rannymi do Ameryki. Z jego raną było sporo kłopotów; bał się nawet, czy nie straci nogi. Udało mu się najpierw dostać wypis z wojska, bo woleli zapłacić i pozbyć się problemu, a potem porządnie wyleczyć nogę. W prywatnej klinice, do której trafił, spotkał swoją Betty, która była tam pielęgniarką na fizykoterapii.

– A to ciekawa historia! – Anna rozpromieniła się.

– Prawie filmowa... co? Dobrze, że Krysię było stać na leczenie syna, bo dużo jego kolegów nie miało tego szczęścia i straciło kończyny. On ostatecznie zerwał z pacyfizmem, wziął się do studiowania. Tu zasługa leży równo po stronie Krysi i Betty. Obawy Władka o Maxa mają więc, jak widzisz, solidne oparcie w jego własnych doświadczeniach, poza tym naoglądałem się w życiu filmów o tematyce wojennej czy działalności służb specjalnych, przeczytałem sporo książek, no i mam oprócz tego bogatą wyobraźnię.

Anna wpatrywała się w Ryszarda z wypiekami. Wcisnęła rękę pomiędzy jego dłonie.

– Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie... A co jeszcze u Władka?

– W najbliższym czasie prześle mi papiery, że jest synem Krystyny Zalewskiej, a ja je przedstawię sądowi, razem z wnioskiem o przejęcie przez niego ojcowizny. Wówczas sąd będzie mógł wydać orzeczenie, że Władek jest formalnie jedynym spadkobiercą – uśmiechnął się Ryszard.

– A dalej?

– A dalej, tak jak kiedyś rozmawialiśmy na zamku w Bytowie: on zrzeknie się spadku, który kolejnym orzeczeniem sądu zostanie przekazany tobie. I to wszystko.

Anna zamyśliła się.

– Aha, zapomniałam ci podziękować za przygotowanie umowy na sprzedaż mieszkania przy Szamarzewskiego. Kasia mówi, że jest idealna. – Anna uśmiechnęła się promiennie.

– Drobiazg.

– Nie taki drobiazg, bo ta klauzula o prawie do pierwokupu przeze mnie lub Kasię, i to po cenie, po jakiej Krzysztof je kupił, to prawdziwy majstersztyk.

– Już takie coś kiedyś robiłem, tylko co będzie, jeśli mieszkania potanieją? – Ryszard spojrzał badawczo na Annę.

– To się wtedy pomyśli – Anna uśmiechnęła się.

– Mam jeszcze jedną prośbę, muszę się ciebie w pewnej kwestii poradzić. – Potarła czoło.

– Co się stało?

– Mieszkamy u Felci już prawie cztery miesiące na „krzywy ryj”... – Anna zawiesiła głos, widząc, że Ryszard podniósł brwi, a po chwili oboje się roześmiali.

– Specjalnie tak powiedziałam, żeby wzmocnić wydźwięk tego problemu. Ona nie chce przyjąć żadnych pieniędzy, ale tak na dłuższy dystans nie można...

– Rozłożyła ręce.

– Tak, to jest problem. Wiesz... może porozmawiaj, albo razem porozmawiamy o tym z Maciejem. – Ryszard podniósł brwi. – Myślę, że raczej z Maciejem, a nie z Janem, bo po dzisiejszej rozmowie, której byliśmy świadkami, można przypuszczać, że Felcia będzie Jana trzymać od tych spraw na dystans.

– Też tak mi się wydaje, tylko nie wiem, czy Maciej...

– W tej sprawie będzie na pewno bardziej konkretny. Jestem pewien. Można zaproponować jakąś stałą miesięczną wpłatę wprost na konto. Zlecisz w banku dyspozycję i już. – Pokiwał głową.

– Tak zrobimy.

Do kuchni wszedł cicho Jan.

– Ale błysk! – Spojrzał na umywalkę i kuchenkę. – Ja przez te wszystkie lata nie musiałem takich rzeczy robić, ale z czasem się nauczę. Muszę. – Minę miał nieco zakłopotaną i uciekał ze wzrokiem.

– Wszystko, Janie, powoli. W zupełności ciebie rozumiem. – Ryszard starał się, aby ich wzrok się spotkał; Jan uśmiechnął się blado.

– Ale kawę potrafię zrobić, czy też zaparzyć herbatę – powiedział już nieco pewniejszym tonem.

– Jak tak, to ja poproszę małą słabą popołudniową kawę. – W progu stała, uśmiechając się miło, Felicja.

Jan odwrócił się; Felicja podeszła i pocałowała go w policzek.

– Postaram się już więcej cię nie denerwować

– uśmiechnęła się szeroko. – Chyba napijecie się ze mną kawy?

– Tak! – wykrzyknęła Anna. – Pod warunkiem, że dla mnie będzie herbata owocowa. – Wszyscy się roześmiali.

## Konferencja na wierzchu



Pod wieczór zrobiło się w „Iskierce” gęsto. Najpierw pojawiła się Kaśka z dobrą nowiną, że Eliza jednak przyjedzie na weekend, a potem Maciej odezwał się do Kaśki esemesem, że jest już w drodze i właśnie tankuje w Kartuzach. Natychmiast wybrała numer do córki.

– Czy już wyjechałaś z Gdyni?... Aha! Już dojeżdżasz do Kartuz... To może przesiądziesz się do Macieja, bo on właśnie gdzieś w Kartuzach tankuje... Gdzie ma czekać?... Tak mu powiem – na rynku, okej. Pa! – Spojrzała uśmiechnięta. – Super się złożyło, bo Maciej przechwyci Elizę w Kartuzach.

Znowu złapała komórkę.

– Maćku, poczekaj w Kartuzach na rynku, zabierzesz stamtąd Elizę... Ruszyłeś już? To wróć po nią!... Dziękuję. Pa!

Za niecałą godzinę kuchnia tętniła życiem. Felcia była w siódmym niebie. Smażyla rybę, której zapach roznosił się po całym domu.

– Elizka, i jak ci tam? Chyba trochę schudłaś, ptaszyno... – Felcia omiotła ją wzrokiem.

– Nie jest źle, chociaż nie myślałam, że będzie tyle roboty, takie tempo.

– A masz z czymś problemy? – Maciej poprawił okulary.

– Nie... w zasadzie nie – zawahała się. – Po prostu muszę się nauczyć innego trybu życia.

– A jak koleżanki, koledzy? – Anna chciała zmienić temat.

– Grupa fajna... – Eliza rzuciła w kierunku matki krótkie spojrzenie. – Czasami siedzimy w stołówce po zajęciach i coś razem robimy, ale to nie jest proste. Ci, co są z Gdyni, mieszkają w różnych dzielnicach i trudno ich zgrać, ci, co mieszkają w akademiku, to po zajęciach pędzą na kolejkę. Więc ta grupa, która jakoś się skrzyknie, nie zawsze jest identyczna.

– A z Igorkiem się widzisz? – Felicja uśmiechnęła się szeroko.

– No właśnie, nie za bardzo starcza czasu...

– No, ale jak to?

– Z Gdyni do Gdańska jest prawie tak daleko jak stąd do Kartuz. Godzina w jedną, godzina w drugą, a jeszcze dodać godzinę, żeby się zobaczyć, to już byłby wieczór. A kiedy przygotować się na następny dzień, jak kończę koło szesnastej?

– Oj, dajcie dziewczynie spokój. Za pół roku, jak sobie wszystko poukłada, będzie miała z górki – Maciej wziął ją w obronę; Eliza spojrzała na niego z wdzięcznością. – W środę wyjeżdżam na konferencję do Krakowa... – Spojrzał na Kaśkę. – Mam pomysł, Kasiu, żebyś może pojechała ze mną. Co ty na to?

– Bo ja wiem... – Kaśka zaczęła się krygować, chociaż po minie widać było, że spodobała jej się ta propozycja. – A jak by to czasowo wyglądało?

– W środę wyjazd, czwartek dzień plenarny w Krakowie, na piątek zespoły się rozjeżdżają wokół, a w sobotę podsumowanie znowu w Krakowie.

– Oj, to strasznie rwane... – Kaśce zrzędała mina.

– Mój zespół wyjazdowy, uważaj, ma posiedzenie w Zakopanem – uśmiechnięty Maciej pięknie

modulował swój baryton. – Mam tam jeden półgodzinny wykład od dziewiątej rano i zaplanowałem spotkanie robocze w mniejszym gronie na około godzinę. Od jedenastej mogę już sobie zrobić wolne... – uśmiechnął się – ...a w sobotę... może w ogóle urwę się na wagary! – prychnął, co wywołało śmiech w kuchni.

– A to już zupełnie inaczej wygląda... tylko ja powinnam pojechać z Krzyśkiem podpisać tę umowę do Poznania... – zafrasowała się – ...i przekazać mu formalnie klucze i tak dalej. Do elektrowni trzeba iść, do gazowni. Dwa dni jak nic... – Podrapała się po głowie.

– Ale musisz w najbliższym tygodniu? – Anna spojrzała na córkę.

– No nie, nie muszę, ale to i tak trzeba porządnie zaplanować. – Spojrzała na Maćka, który jakby nieco stracił humor. – Bardzo podoba mi się twoja propozycja, bo moglibyśmy się zatrzymać w Bukowinie Tatrzańskiej u moich przyjaciół... – Przeniosła wzrok na matkę, a potem na córkę.

– To ta sama znajoma, co Marysi, tak? – Maciej znowu się uśmiechnął.

– Tak, ta sama Hania. Dzisiaj pomyślę, a jutro może nawet do niej zadzwonię. – Spojrzała, mrużąc oczy, na Maćka.

– Ale wam dobrze – jęknęła Eliza.

– Przy okazji odnowię kontakty wycieczkowo-turystyczne, bo mam plany dla firmy związane właśnie z Zakopanem – rozochociła się Kaśka. – Dobrze, rozplanujemy to sobie jutro szczegółowo, a wyjazd z Krzyśkiem do Poznania przełożę na koniec przyszłego tygodnia – uśmiechnęła się zadowolona.

\*

Kaśka zerknęła przez dziurkę od klucza do pokoju Elizy. Jeszcze nie śpi. Zastukała szybko paluszkami w drzwi – taki miały umówiony sygnał w Poznaniu – i nacisnęła klamkę.

– Nie mogłaś sobie dzisiaj zrobić wolnego? – Spojrzała na córkę piszącą w brudnopisie i na książkę leżącą obok na pościeli.

– Każda chwila dobra. – Eliza machnęła dłonią.

– Ale nie masz chyba kłopotów?

– Zawaliłam jedno kolokwium z matmy, a ćwiczenia z chemii to w ogóle jakiś koszmar. – Eliza potrząsnęła głową. – Wiesz, te dni są takie krótkie, a tyle się dzieje... – Spojrzała na matkę; przyglądały się sobie w milczeniu.

– Zdziwiłam się trochę, jak powiedziałaś o Igorze...

– Mamo! Ja muszę wszystko sama... – rzekła stanowczo. – Nie chcę nadopiekuńczości. Tak postanowiłam i koniec. – Spojrzała twardo w oczy matki. – Nie tyle chodzi mi o ciebie, co czasami o Igora. On to musi zrozumieć. – Pokiwała energicznie głową.

– Czyżby cię czymś uraził? – Kaśka uniosła brwi.

– Nie... i to jest też mój problem. – Eliza machnęła dłonią. – Za wysoko zawiesiłam mu poprzeczkę... ale jej nie opuszczę! – Potrząsnęła czupryną.

– Ale z tego wynika, że jednak...

– Nie, mamo! Nic z tego nie wynika. – Eliza przymknęła oczy. – Było piękne lato... –

zawiesiła głos

– ...a teraz jest jesień! – Otworzyła oczy i zmarszczyła czoło. – Chciałabym, żeby lato trwało wciąż, ale tak się nie da – powiedziała ciszej. – Musi się bardziej starać, bo nie jest jedyny na tym świecie... – spoważniała; Kaśka zrobiła wielkie oczy.

– Ale czy coś?

– Nie, nic... i nie chcę o tym mówić, rozumiesz?

– Zmrużyła oczy i lekko się uśmiechnęła.

– Chyba rozumiem, ale wiesz... moje doświadczenia też były słabe... – Teraz Kaśka przymknęła oczy.

– Mamo, wszystko pamiętam... daj spokój.

– Ja dopiero teraz się uczę i też nie jest łatwo... Zobacz, ile się nakombinowałam tego lata – uśmiechnęła się; złapała się za dłoń.

– Lato było piękne, a Igor niech się uczy i stara.

– Elizie zaświeciły się oczy.

– I niech sobie nie myśli, że jest jedyny na świecie

– prychnęła Kaśka.

– Cicho...! – Eliza zawołała konspiracyjnym szeptem i rozejrzała się na boki; matka podążyła za jej wzrokiem.

Roześmiały się głośniej.

– Cicho, cicho... – Obie przyłożyły jak na komendę palec do ust, ledwie powstrzymując się od śmiechu.

– Ja sama będę się odzywać... – Eliza spojrzała poważnie na matkę – ...no, chyba że jakiś alarm, dobrze?

– Dobrze, córcia. – Kaśce ulżyło.

– Żeby nie wyszło, jaka jestem zołza, napisałam mu, że jutro mam trochę wolnego czasu.

– Dobrze zrobiłaś. A teraz nad czym siedzisz?

– Cholerna chemia... Nie cierpiałam jej, ale Grzędzińska mnie lubiła od pierwszej klasy... – zaśmiała się – ...to i wciąż miałam piątkę. A teraz wychodzi, że ja gównu wiem!

– Córcia!

– Bo to prawda! To trzeba po prostu wykuć, a ja tak nie lubię. – Rozłożyła dłonie. – A ty mi nie pomożesz. – Spojrzała na matkę z wyrzutem.

– Nie pomogę, ponieważ z chemii nic nie pamiętam, bo jej nienawidziłam! – ostatnie słowa Kaśka wykrzyczała; zaśmiały się obie głośno.

– To ja to mam po tobie, zołzo! – Eliza podskoczyła na łóżku.

– Tylko nie zołzo! – pogroziła Kaśka i zaczęła gilgotać córkę, która po chwili wyskoczyła z łóżka. – Teraz muszę do kibelka! – zaśmiewała się do łez. – Przestań! Poczekaj chwilę!

Wróciła niebawem. Kaśka wpatrywała się w brudnopis córki, przewracając kartki.

– I co? Coś kaman? – Eliza wskoczyła na łóżko.

– A w jakim to, córcia, języku? – Spojrzała na Elizę; znowu zaśmiały się głośno.

\*

Igor przyjechał przy końcu śniadania. Kiedy stanął w progu kuchni i głośno powiedział

„dzień dobry”, wszyscy obrócili się w jego stronę, tylko Eliza wskazała palcem na jego stopy.

– A to co? – wycodziła oskarżycielsko; Igor spojrział w dół i zrobił zdziwioną minę.

– No... głany, chyba tak się na nie mówi.

– A dlaczego nie sandały? – zachichotała Eliza; Igor uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ale żeś mnie...

– I to nie był ostatni raz! – Eliza prychnęła i nawet nie ruszyła się z krzesła.

Igor spojrział na nią, zrobił ruch w jej kierunku, zawahał się i... obszedł stół dookoła, witając się ze wszystkimi. Kaśka spojrziała na córkę; ta zdążyła do niej mrugnąć. To ci mała zołza! Musztruje go od rana!

– Wiecie co, kochani...? – Anna odezwała się

tajemniczo. – Jeszcze niedawno nie miałam wątpliwości, że po lecie zrobi się tutaj nudno. – Spojrzała na Felcię; ta uśmiechnęła się szeroko. – Ale nawet latem tak dużego śniadania nie było! Jest cudownie, aż sama nie wierzę.

Panel pochwał dla lata i uczestników śniadania trwał dosyć długo. Igor kilka razy chciał coś wtrącić, ale zawsze ustępował starszym. Wreszcie Felcia poratowała go.

– Dajcie coś wreszcie powiedzieć naszemu Igorkowi! – uśmiechnęła się i złożyła ręce na brzuchu.

– Dziękuję, Felciu. Na początek chcę powiedzieć, że tak pysznej sałatki warzywnej tej jesieni jeszcze nie jadłem – uśmiechnął się do gospodyni.

– Igorku, dostaniesz słoiczek na wynos! – wykrzyknęła Felcia, co wywołało ogólny wybuch śmiechu.

– Szczupaczek na zimno też super...

– A coś wreszcie nie o jedzeniu? – Ryszard zachęcił go gestem i mrugnięciem.

– Rzadko umiem powtórzyć swoje słowa, ale ta chwila była wyjątkowa, więc zapamiętałem je i to raczej wiernie: „Jeśli kiedyś odrosną ci włosy, co się zapewne wydarzy, to będziesz co najmniej tak atrakcyjna jak Scarlett O’Hara! Jestem tego pewien!”.

– Wbił oczy w Elizę.

A ona najchętniej wskoczyłaby teraz do mysiej dziury.

– Jest już czarnowłosa, włosy jej odrastają, a reszta też już się stała – dodał Igor i pocałował ją znienacka w policzek; Eliza uniosła jedną brew w górę i przymknęła oczy.

Rozległy się oklaski. Uśmiechnięte spojrzenia Kaśki i Elizy spotkały się ponad stołem.

\*

Szli przez las pustą o tej porze roku szosą, biegnącą w kierunku Bawernicy.

– To niby czasu jest tak mało, że nie masz kiedy oddzwonić? – Igor spojrział na Elizę.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale tak robisz.

– A wątpisz, że tak może być? Na esemesy odpowiadam, chociaż...

– Dopiero po kilku godzinach... – Igor zatrzymał się i spojrział Elizie w oczy.

– Posłuchaj, Igorio... – Eliza nawet nie mrugnęła

– ...ja uczę się żyć po swojemu, po nowemu. Wszystko jest dla mnie odmienne, większość sytuacji mnie zaskakuje; nie chcę, żebyś swój czas tracił na jazdy do mnie, albo na spotkania nasze, gdzieś tam... – Machnęła ręką.



– Nie rozumiem?  
– Muszę się w tym semestrze wszystkiego nauczyć...  
– Mogę ci przecież w czymś pomóc, jeśli masz kłopoty... A masz?  
– Nie chodzi tylko o naukę. Uczę się też samej siebie i niech ci to wystarczy. – Musnęła ustami jego policzek i ruszyła biegiem. – Goń mnie!  
Kiedy ją dogonił, objął ramionami i przygarnął do siebie.  
– Bo ja myślałem...  
Położyła palec na jego ustach.  
– Tutaj się widzimy i niech ci to wystarczy. – Zmrużyła oczy. – A w ogóle to nie myśl za dużo, bo... myśliwym zostaniesz. – Chciała jeszcze raz dotknąć ustami policzka, ale trafiła prosto na jego wargi. Uśmiechnęła się i raptownie wywinęła z objęć. – Chyba na razie z tego spaceru nici. – Naciągnęła kaptur przed narastającym deszczem. – Wracajmy, tam zaraz będzie kawa.  
Igor spojrział na nią zawiedziony; roześmiana Eliza złapała go za dłoń i pociągnęła za sobą.  
– Chyba masz rację – uśmiechnął się do niej.

Środowy świt rozpoczął się mżawką. Wycieraczki rytmicznie przeganiały osadzające się na przedniej szybie kropelki deszczu, z odtwarzacza płynęły smooth jazzowe kawałki; Kaśka sama tę płytę wybrała. Teraz przyglądała się spod oka Maćkowi za kierownicą. Na krótkich trasach w okolicach Parchowa nie zauważyła tego, co dzisiaj, i to było jej pierwsze tego dnia pozytywne zaskoczenie. Niby flegmatyk... – uśmiechnęła się do własnych myśli – ...a za kierownicą inny, zdecydowany i dynamiczny. Żadnych przypadkowych ruchów, wszystko wyliczone. Krzysztof też dobrze prowadzi, ale co on się czasami namacha dłońmi, a nawet, jak to Igor mówi, potrafi wypuścić z dłoni fajerę – znowu się uśmiechnęła.

– Masz dobry humor, widzę – przez dźwięki muzyki dotarł do niej melodyjny głos Macieja; ich wzrok spotkał się na chwilę.

– Sucho, ciepło... – Zmrużyła oczy.  
– Lubię twoje poczucie humoru. – Zerknął na nią.  
– O której chcesz wypić kawę?  
– Jeśli wytrzymamy... – uśmiechnęła się – ...może być dopiero w „Zielonym Dworze”.  
– O, to miło, że masz ochotę zatrzymać się u Henryków! Tak właśnie kombinowałem, bo o tym nie rozmawialiśmy...

– Mówiłeś, że masz zawsze wszystko starannie zaplanowane.  
– Wyciągnij z kieszeni atlas, to zobaczysz, że tak jest.  
Kaśka otworzyła atlas w miejscu, gdzie była zakładka.  
– Przygotowałem trzy warianty – pochwalił się, modulując głos; Kasia obdarzyła go uśmiechem. – Niewiele trzeba nadłożyć, a spędzimy kilka chwil w sympatycznym miejscu. Mamy dużo czasu, ważne, żeby zajechać na miejsce przed siedemnastą. – Zerknął na Kaśkę przypatrującą się kartce z jego planami. – Poza Kaszubami niezbyt lubię jeździć po ciemku.  
– Tak czy owak obiad zaplanowałeś za Częstochową.  
– Na ogół tam się zatrzymuję; to mój taki jakby rodzinny zajazd.  
– Podoba mi się. Plany jak u rasowego organizatora wycieczek. Wyślę do Henryka eemesa, że będziemy, tak? – Kaśka spojrzała pytająco na Macieja; skinął głową.

Niewiele po dziesiątej wjechali na teren „Zielonego Dworu”.

– Ależ bajkowo tutaj – zachwycił się Maciej. – Szkoda, że muszą to miejsce opuścić.

Przywitania z Adelą, Henrykiem i dziećmi trwały dłuższą chwilę. Widać było po ich minach, że pogodzili się już z losem, ale na zewnątrz zajazdu, jak i wewnątrz, wszystko lśniło jak zawsze.

– Spójrzcie, już się bawię w projektowanie... – Kiedy posilili się trochę, Henryk otworzył dużą tekturową teczkę. – Diana we wrześnie zrobiła kilka zdjęć waszych gruntów, a ja w oparciu o nie coś sobie szkicuję.

Kaśka i Maciej byli zdziwieni, bo szkice nie przypominały terenów wokół wzgórza.

– Widzę, że nie do końca poznajecie teren, ale musiałem posadzić trochę zieleni... – spojrzał na nich z uśmiechem – ...a poza tym wrysowane zabudowania wszystko zmieniają. Ależ ja tam będę mógł się wyżyć!

– podniósł głos z zadowolenia i podkreślił wąsa.

– To w zasadzie wszystko już pan ma! – wyraziła przypuszczenie Kaśka.

– Pani Kasiu! A to? – Pokazał kolejny rysunek.

– A to? – Wyciągnął kolejny szkic.

– Ojeju! Ależ pan się już utrudził!

– Co też pani mówi! Jestem w swoim żywiole!

– Henryk obruszył się. – To dopiero początek drogi. Jakieś tam próbne warianty! Zanim wszystko zostanie uzgodnione z panią Anną w wersji koncepcyjnej, zużyję pewnie kilkanaście takich szkicowników. To dopiero drugi! – Mrugnął i podkreślił wąsa.

– Jesteś, Henryku, prawdziwym artystą. – Maciej uważnie oglądał rysunki. – Szczególnie podoba mi się ten. – Uniósł jeden z rysunków. – Tu jest spojrzenie z dołu od zakrętu w kierunku wzgórz i naszych zabudowań. Pięknie tam kiedyś będzie – pochwalił.

– Tam teraz jest pięknie, a ja muszę się postarać, żeby nic z tego nie zniszczyć... Wszystko, co tam się pojawi, musi jakby wyrastać z ziemi, wkomponować się w otoczenie w sposób naturalny – wyjaśnił Henryk z nutą przechwałki w głosie.

– A jak wasze zdrowie? – Kasia spojrzała kolejno w oczy Adeli i Henryka.

– Po wizycie u was zaczęło mi się poprawiać. – Adela zarumieniła się. – Tak się cieszę, że do was trafimy.

– Gdyby nowe miejsce, Parchowo, było gdzieś bliżej tego, tu... – Henryk wskazał palcem na podłogę – ...byłoby nam trudniej. Stamtąd nie będzie takiej pokusy, żeby znów wyskoczyć tutaj, nacieszyć oko, powspominać... – Pociągnął nosem. – Za daleko... Zresztą będzie tyle pracy, że na takie rozrywki nie starczy czasu

– uśmiechnął się.

– A ja się cieszę, że będę mogła spotykać się z Elizą na co dzień. – Dianie włączyły się dołeczki w policzkach.

– Z tym będzie chyba gorzej – westchnęła Kaśka.

– W ostatni weekend przyjechała dopiero pierwszy raz, a czuję, że nie zawsze będzie mogła urwać się nawet co drugi tydzień. – Diana zasmuciła się. – Ale za to potem, przez trzy miesiące wakacji, będziecie się codziennie widywać – uśmiechnęła się do dziewczyny. – Zresztą może i ty zaczniesz studiować.

Diana spojrzała na rodziców.

– Ja sobie zaplanowałam życie tutaj, w „Zielonym Dworze”. Myślałam, że może kiedyś spróbuję zaocznie coś z dziedziny kulinarnej... – Na moment błysnęła oczami; Adela i Henryk pokiwali głowami.

– Dzisiaj o tym nie myślmy... – Kaśka zawiesiła głos. – Może porozmawiamy podczas świąt Bożego Narodzenia w Parchowie?! – zawołała radośnie; Dianie ponownie włączyły się dołączki. – A właśnie, pani Adelo i panie Henryku. Trzeba powoli zacząć planować przeprowadzkę do nas! Mam nadzieję, że już troszeczkę myślicie o tym.

– Coś byśmy chcieli pewnie stąd wziąć, żeby z samymi tobołkami nie jechać – Henrykowi załamał się głos.

– Henryku, przemyśl, ile tego będzie, a ja już zajmę się tym, żeby wszystko wygodnie zostało przechowane. Myśmy już też z mamą o tym rozmawiali i zdecydowaliśmy się wyłączyć na nowy sezon wozownię, tam, gdzie mieszkaliście, będąc we wrześniu. W niej jest tyle miejsca, że będziecie mieć wygodnie – oświadczył Maciej swoim głębokim głosem; Dziedzicowie słuchali go jak natchnieni.

– Dobrze... przygotowuję listę i gabaryty tego, co do was wyślemy – Henryk uśmiechnął się blade.

– Głowy do góry...! A tymczasem na nas już chyba, Kasiu, czas. – Maciej spojrział na nią, a potem na panią Adelę i Henryka.

– Dziękujemy za wspólne śniadanie. – Kasia uniosła się i podeszła do Adeli. – Następny wspólny posiłek zjemy już w „Iskierce”. – Objęły się i wycalaowały.

\*

W granice Krakowa wjechali, kiedy już zmierzchało. Zamieszkali w hotelu „Pod Różą” niedaleko Starego Rynku. Kaśka wcześniej nie pytała Macieja, jak to będzie wyglądało. Na miejscu okazało się, że dla niej zamówił apartament, a dla siebie pokój jednoosobowy.

– Będziemy mieć blisko – uśmiechnął się.

– Pokoje sąsiadują ze sobą – uzupełniła recepcjonistka, wręczając klucze i obdarzając ich uroczym uśmiechem.

– W takim razie już mi się tutaj podoba! – Kaśka zmrużyła oczy.

Była oczarowana wnętrzem apartamentu. Szczególnie podobało jej się szerokie łóżko i stary, biały kafłowy piec, pełniący już tylko funkcje ozdobne. Uchyliła okno. Ładna ta ulica św. Tomasza – pomyślała. Teraz jest cicho, to i w nocy będzie cicho.

Kolację zjedli na Grodzkiej, w restauracji „Pod Aniołami”. Wspaniałe jadło, smaczne wino i cudowna atmosfera. Potem uroczy spacer aż pod Teatr Słowackiego. Kasia była w nim niegdyś na przedstawieniu; zapamiętała jego czerwone wnętrze, nieco przypominające Operę w Poznaniu, ale szczególnie upodobała sobie widok z zewnątrz. Teraz reflektory, którymi był oświetlony, podkreślały jego kształtną bryłę. Obeszli go wokół i skierowali się w kierunku Barbakanu. Na Plantach było niewielu przechodniów. Maciej przygarnął ją i pocałował. Nie bronila się; podobała jej się podróż, cudowny wieczór, spacer, więc spodobał jej się także pocałunek. Stanowił dla niej drugie tego dnia pozytywne zaskoczenie. Spojrzała na niego szczęśliwymi oczami.

– Podoba ci się? – spytał cicho; Kaśka skinęła głową. – Bałem się, że odmówisz.

– Bardzo się cieszę, że przyjechaliśmy tutaj. – Zmrużyła oczy.

Znowu nachylił się do jej ust i znowu się nie bronila. Kiedy weszli do hotelu, spoglądał na nią niepewnie, wyglądał na spiętego. Kaśka przejęła inicjatywę.

– Może jak chwilę odpoczniesz, a ja przedzwonię do mamy i Elizki, wpadniesz na trochę do mnie. Jest jeszcze dosyć młoda godzina.

Widziała, że się ucieszył, choć w pierwszej chwili wyglądał na nieco zaskoczonego. W pokoju najpierw wysłała esemesa do Elizy: „Kraków jest piękny... co u ciebie, córcia?”. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast: „Rozerwij się – należy ci się. Siedzę nad matmą, brrr”. Potem krótka rozmowa z mamą. Tylko zdawkowe: „...jaka była droga?, ...co u ciebie?, ...a u ciebie?, ...to pa”. Mama wie wszystko bez słów. Głos miała radosny... W Parchowie właściwie cały czas taki ma. Nie to, co w Poznaniu.

Postanowiła wziąć jeszcze szybki prysznic, a kiedy wyszła z łazienki, rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał Maciej, a obok niego kelner.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej... Kasiu, czy napijesz się wina, czy szampana? – Spojrzał jej w oczy.

– Może, jeśli już, to wino – uśmiechnęła się.

Przysiadła na sofie i przyglądała się, jak napełnia lampki. Dojrzała napis Madeira. Ostatnio zaczęła się moda na portugalskie wina, więc nie zdziwiła się jego wyborem. Podał jej napełnioną lampkę i usiadł obok na fotelu. Kiedy wypili, przesiadł się na sofę obok niej, przytulił i zaczął całować. Przywarła do niego z radością. Czekwała na to już od dawna. Cieszyła się, że wreszcie się ośmielił, rozluźnił. Jego dłonie błędziły delikatnie najpierw po plecach, potem przesunęły się na ramiona, szyję i powoli dotarły do piersi. Było jej dobrze. Na chwilę przerwał. Tylko leciutko otworzyła oczy, aby przez malutką szparkę widzieć go. Odłożył okulary na stolik i szybkim ruchem zrzucił z ramion sweter. Nachylił się ku niej ponownie i znowu przywarł ustami do jej ust. Przerzuciła szybkim ruchem nogi przez jego kolana, z wolna odchylając głowę na podłokietnik sofy. Znowu przez moment obserwowała go zza zmrużonych powiek. Kiedy jego dłonie przesunęły się z jej piersi w kierunku brzucha, zamknęła szczelnie oczy. Pieścił delikatnie jej ciało, od kolan do szyi. Poczula, jak unosi jej nogi w górę, schodzi z sofy i klęka obok niej. Teraz pieścił ją ustami. Nagle poczuła, że delikatnie unióśł ją w powietrze i dokądś niesie. Nawet nie próbowała otworzyć oczu. Po chwili jej plecy wyczuły chłód pościeli.

– Przygaś światło – poprosiła cicho.

Potem było jej tak dobrze, jak nigdy z nikim dotąd. Mówił miłe, czułe słowa, a ona odpowiadała mu podobnie. Wreszcie wyrwał jej się z ust delikatny jęk, aż sama przestraszyła się i na moment otworzyła oczy. Szybko je znowu zamknęła i silnie przywarła do Macieja całym ciałem. Czuła przyjemne mrowienie w stopach. Zapadła w krótkie odrętwienie. Nawet nie zauważyła, kiedy pogasił wszystkie światła w pokoju. Dostrzegła jeszcze, że do pokoju dociera delikatna poświata lamp ulicznych i usłyszała stukot kopyt konia. Ułożyła się na boku i teraz ona gładziła go pieszczotliwie po całym ciele. Kiedy jej palce wyczuły na podbrzuszu dziwne zgrubienie na skórze, przykrył jej rękę swoją dłonią i pocałował w usta. Przytuliła policzek do jego ramienia i nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła.

Przebudził ją o brzasku jakiś szmer. Maciej ubierał się. Chwilę wodziła za nim wzrokiem. Podszedł i ucałował ją.

– Dziękuję, Kasiu... Będę w okolicach obiadu. Pa.

Znowu zasnęła i obudziła się powtórnie, kiedy do dziewiątej brakowało kilkunastu minut. Boże...! Nie pamiętam, kiedy tak długo spałam! Wstawała mimo to niespiesznie. Potem dłuższy niż wieczorem prysznic, ubieranie się, makijaż. W restauracji hotelowej przekąsiła co nieco i wyszła na spacer w kierunku rynku. Nogi same zaprowadziły ją pod kościół Mariacki. Kiedy zabrzmiał hejnał z wieży, właśnie zbliżała się do kościoła.

Spojrzała na zegarek, dochodziła dziesiąta. Weszła do środka.

Siedziała w ławce już od wielu minut i ciągle nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego jest tutaj. Przecież tego nie planowała. To stało się zupełnie samo, bez udziału mojej świadomości, pomyślała. Nogi same mnie tutaj przyniosły. Ale nogi same nie chodzą... Coś chyba nimi kieruje?! Jednak ja naprawdę o przyjsciu tutaj nie myślałam.

– Więc jak to się stało...? – wypowiedziały jej usta.

Rozejrzała się wokół. Nikt chyba nie słyszał. Potarła palcami czoło i westchnęła głośno. Raz jeszcze

spojrzała w koło. Pokręciła głową. Chyba przyprowadziła mnie tutaj podświadomość! Wpatrywała się jak urzeczona w otwarty dzisiaj ołtarz – dzieło Wita Stwosza, przebiegała wzrokiem po prezbiterium ozdobionym polichromiami Jana Matejki. Uniosła oczy w górę na sklepienie świątyni. Zawsze urzekały ją złote gwiazdy na błękitach. Bezwiednie opadła na kolana. Przymknęła oczy. Dziękuję ci, Panie Boże... – wyszeptała cicho.

\*

Wyczuła wibrację komórki na sygnał odebranego esemesa, gdy kończyła kawę. „Gdzie jesteś? Jestem już po konferencji. Mogę być za pół godziny”. „Będę w pobliżu Mickiewicza” – odpowiedziała.

Kończyła właśnie sesję zdjęciową na krakowskim rynku, kiedy dojrzała jego uradowaną twarz.

– Co to znaczy, że jesteś już po konferencji?

– uśmiechnęła się całą buzią.

– Dokładnie to, co napisałem. Mam wolne! – roześmiał się. – Przepraszam... mamy wolne!

– Ale jak to?

– Tak to! – wykrzyknął rozbawiony.

Nie był podobny do wczorajszego Macieja, uśmiechającego się, ale momentami ze spłoszonym wzrokiem. Dzisiaj widać było rozpierającą go radość i energię. Zdjął krawat i marynarkę, którą zawiesił sobie niedbale na palcu i przerzucił przez ramię. Kaśka aż odsunęła się na krok i omiotła go wzrokiem. Ruszyli zaraz w kierunku straganów, śmiejąc się radośnie.

– Jesteś niesamowity!

– A kto to, Kasiu, uczynił?! No kto?

Przytulił ją i ucałował. Nie bronila się. Po chwili spojrzał jej głęboko w oczy.

– Sam sobie nie wierzę, że coś takiego mogło mi się przytrafić – wyszeptał.

Znowu ją przytulił i ucałował.

– Ależ wy jesteście piękni... Młodzi i piękni...

– odezwała się kwiaciarka.

Obdarzyli ją uśmiechem.

– Jeśli pani tak mówi, to poproszę spacerowy bukiet dla mojej damy – powiedział swoim melodyjnym głosem Maciej; kwiaciarka aż uniosła dłonie do policzków.

– Za to go pani kocha? – rzuciła w kierunku Kaśki.

– To było pierwsze wrażenie, ale nie ostatnie... – odparła, śmiejąc się perliście.

– A ja nie jestem wcale taki młody... – rzucił Maciej w kierunku kwiaciarki, ścisząc

głos.

– Jak się całuje kobietę w pełnym słońcu, szczerze i głośno śmieje, to się kocha i jest się ciągle młodym. Znam się na tym, bo takim najbardziej lubię sprzedawać kwiaty... I takim zawsze daję upust. Na szczęście.

– Jest pani cudowna – zaśmiał się Maciej. – A ja chcę pani zapłacić więcej, ze szczęścia.

– Za kwiaty jest upust, ale... – kwiaciarka wyciągnęła spod lady puszkę – ...wezmę od pana, bo wyda się na gołąbki. – Pokazała gestem chmary gołębi.

– Pani ma gołębie serce... – pochwaliła z uśmiechem Kaśka.

– Na mnie nigdy jeszcze nie narobiły... Szkoda tylko, że na mistrza Adama nie przestają – uśmiechnęła się i machnęła dłonią.

– Do widzenia! – rzucili prawie jednocześnie Kaśka i Maciej. Pomachali sobie dłońmi.

– No, to powiedz teraz szczerze, co i jak się stało

– poprosiła Kaśka.

– Wygłosiłem referat, wcześniej odbyłem dwie zaplanowane rozmowy i... zrobiłem sobie wagary. Tak jak zapowiadałem ci, wszystko mi się udało. Jak chcesz, możemy zaraz ruszyć do Zakopanego. Wygłoszę tam referat o dziesiątej, który przełożyłem sobie z piętnastej i też zrobię sobie wagary. Wymówiłem się na dzisiaj i jutro ważnymi sprawami rodzinnymi – przewrócił oczami.

– Czym...?

– A czy nasze szczęście to nie są ważne sprawy rodzinne?

Maciej znowu przykrył usta Kaśki swoimi.

– A w sobotę nie wracamy do Krakowa, tylko mamy czas dla siebie – wyszeptał w trakcie brania oddechu przed kolejnym pocałunkiem.

\*

Za godzinę jechali zakopianką. Kaśka przyglądała się Maciejowi, którego rozpieła radość.

– Czy ty często robisz sobie wagary?

– Szczerze? Pierwszy raz – zaśmiał się.

– Dla mnie to też są pierwsze tego typu wagary.

– Kaśka pogładziła jego dłoń opartą na kierownicy i zmrużyła oczy, zwracając ku niemu twarz.

Uwielbiała tę trasę. Mogłaby jechać i bardzo, bardzo długo przyglądać się wylaniającym się w oddali Tatrom, z ich skrzącymi się śniegiem białymi szczytami.

– Ze mnie taki taternik jak z koziej... – rzucił i zaśmiał się Maciej.

– Jakbym Felcię albo Stacha słyszała.

– To jest też mój język... Mówię tak, bo jestem na wagarach!

Miał twarz tak rozpromienioną jak wówczas, kiedy popłynęli na Mausz na *essoxa*; Kaśka nie zdołała powstrzymać parsknięcia.

– To ze mnie...? – Zamrugał pociesznie.

– Nie, Maćku... do ciebie. Nie włączaj żadnej muzyki! – dodała zdecydowanym tonem i powstrzymała jego dłoń, zmierzającą w kierunku radia. – Tak mi dzisiaj dobrze.... Dawno nie upajałam się tak ciszą, szumem samochodu, jak dzisiaj.

– A wracając do taternictwa... – Maciej ledwie stłumił śmiech, spoglądając na Kaśkę

niby poważnie. – Zamiast szczytów, wolę zdobywać... kolejne stragany i zajadać się pieczonym oscypkami z żurawiną.

Kaśka spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

– Czy ja tobie kiedyś... może w nocy, przez sen... opowiadałam o moich tatrzańskich dokonaniach?

– Kasiu, ty śpisz uśmiechnięta, czasami tylko sobie słodziutko mlaśniesz, ale nic nie mówisz. – Maciej popatrzył na nią poważnie, ale po chwili twarz jego rozjaśniła się znowu uśmiechem.

– Ty łobuzie! Podglądasz mnie!

– Uwielbiam!

– A ja mlaskam?

– Szkoda, że tak rzadko, bo to takie rozkoszne! No, to teraz opowiem ci o moim taternictwie... – Maciej próbował wrócić do wcześniejszego tematu.

– Za każdym razem kiedy jestem w Zakopanem, staram się zdobyć koronę Tatr! – przerwała mu Kaśka.

– Tak czułem... Tylko ze mnie prawdziwy ceper.

– Pokiwał smętnie głową.

– Ja cię nauczę!

– Chyba nie mam woli zdobyć nawet jednego szczytu, o koronie Tatr nie wspominając.

– Nie wiem, ile zdobędę tym razem, ale kiedy ostatnio tam byłam, za jednym zamachem zdobyłam trzy... i tylko w drodze na Gubałówkę – roześmiała się.

– Jak to? Nie rozumiem... szczyty? W drodze na Gubałówkę? – Maciej przewrócił oczami.

– Mówię o straganach z oscypkami, które też pasjami lubię zdobywać... – roześmiała się w głos. – I tyle było ich właśnie ostatnio na samej Gubałówce!

– Mówisz poważnie... oscypki, stragany? A ta korona Tatr?

– Trzy lata temu od targu pod Gubałówką do końca Krupówek zaliczyłam oscypka z żurawiną z ośmiu straganów. Potem wypiłam trzy zielone herbaty...! A oscypek z pięciu straganów nazywa się koroną Tatr! – Kaśka teraz już rżała w niebogłosy; Maciej przyłączył się do niej.

– A jak powstała ta urocza nazwa?

– Z Zakopanego mam cudowne wspomnienia z pierwszego przyjazdu w czerwcu siedemdziesiątego roku i wówczas powstała ta nazwa. Przyjechałam tutaj z mamą i tatą jeszcze w trakcie roku szkolnego... na wagary!

– Co takiego?

– Mama dostała wczasy z Opery. Tata jakoś się wykręcił z aktualnych spraw procesowych, mnie wyreklamowali w szkole, no i przyjechaliśmy tutaj. Mieszkaliśmy w „Hyrnym” koło skoczni, a stamtąd wszędzie było blisko. To wtedy polubiłam oscypki. Rodzice się śmiali, bo ja prawie przy każdym straganie zatrzymywałam się i chciałam znowu. Tata mówił, że alpiniści, himalaiści zdobywają koronę Himalajów, jak wejść na czternaście ośmiotysięczników, a dla mnie ustanowił koronę Tatr. Trzeba zjeść oscypki z pięciu straganów w ciągu jednego dnia. Wtedy zdobyłam dwa razy... I ta nazwa została ze mną na zawsze.

– A lubisz chodzić w góry?

– Bardzo wiele w Zakopanem spaceruję, ale w góry już nie chodzę, chociaż tu i ówdzie

w trakcie wielu pobytów byłam: Gubałówka, Jaszczurówka, przespacerowałam się Ścieżką nad Regłami. Byłam nawet na Kasprowym Wierchu kolejką, a kiedyś wdrapałam się na Giewont. Po powrocie stamtąd w ulewie i rozpoczynającej się burzy uznałam, że wolę je oglądać niż zdobywać. To było traumatyczne doświadczenie ocierające się o szkołę przeżycia. Z górami nie ma żartów.

– A ja już myślałam, że to tylko ze mnie taka taternicza ciućma!

– Wszystko, tylko nie ciućma! – obruszyła się Kaśka. – Więc w związku z tym, że uwielbiam tutaj bywać, stałam się koneserem tak zwanego zakopiańskiego klimatu, widoków i... oscypków! Wiesz... jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy zlikwidować te zakopiańskie stragany, oscypki, korale, ciupagi i płyty z muzyką „Krywania”, to... to... będzie zbrodnia przeciw ludzkości!

– No co ty, Kasiu?

– Mówię to jak najbardziej serio... To jest coś, co wyróżnia Zakopane i nasze góry od innych miejsc, a byłam naprawdę w wielu miejscach w Europie. Nie ma pogody, nie masz humoru albo kondycji na spacer, dowlekasz się jakoś do Krupówek, a tam żyć nie umierać. Wracają siły, gęba się uśmiecha, nie chce się wracać nawet na spanie! – Kaśka uśmiechała się. – Oczami wyobraźni widzę Witkacego, Gombrowicza, Szymanowskiego czy Kasprowicza, spacerujących obok mnie ze swoimi damami, zajądających tak jak ja oscypki, podnoszących oczy na Giewont, chroniących się przed kolejnym deszczem w kolejnej karczynie, i jest mi cudownie.

– Kasiu! Nigdy lepszej reklamy czy słów zachęty do odwiedzenia Zakopanego nie słyszałem.

– A ja jeszcze nie skończyłam... Dorożki z pięknymi końmi, fiakrzy w strojach góralskich, biały miś zapraszający do fotki, Folszowy Potok z kładką, Muzeum Tatrzańskie, Dworzec Tatrzański, hotele, knajpki... Wszystko to ma swój urok. Piękny kościół Świętej Rodziny, a niedaleko za nim bazar, targ pod stacją na Gubałówkę. „Atma”, „Harenda”, urokliwy cmentarzyk na Pęksowym Brzyzku, dużo spacerów po dolinach, muzea, Wielka Krokiew, no i... oscypki w cieniu Giewontu! Jak ja to wszystko Kocham! – Kaśka przymknęła oczy; zapadła cisza.

– Ty naprawdę o każdym mieście, miejscu potrafisz tak pięknie opowiedzieć? – odezwał się Maciek po chwili.

– Mówią... że nieźle opowiadam. – Kaśka zerknęła na Maćka.

– Jesteś niesamowita! A ja przyjeżdżałem tutaj tylko na nudne konferencje i sympozja, i zawsze o nieciekawej porze roku. Dzisiaj jest ładna pogoda, choć to koniec października, ale to tylko dlatego, że ty jesteś...

– Maciej łypnął roześmianym okiem.

– W siedemdziesiątym roku byłam z rodzicami w „Morskim Oku”, teatrze, który ciągle nie może doczekać się porządnego remontu, na koncercie Czesława Niemena; rodzice wówczas za nim szaleli. Ja wołałam słuchać „Czerwonych Gitar”, „Trubadurów”, „ABC”; ich skocznych melodii. Na tym występie, jak to na koncertach, ludzie krzyczeli, bili brawa... Po przerwie czekały na nas przygaszone światła, zapalone świece na podłodze sceny. Niemen, który sam wtedy zapowiadał, poprosił, aby podczas kolejnego utworu była absolutna cisza. Podniosły wstęp... To był *Bema pamięci żałobny rapsod*. Do dzisiaj przechodzą mnie ciarki, jak sobie przypominam tamten koncert. Ciągle mi się wydaje, że wówczas grali z nim ten koncert obaj bracia Skrzekowie i młodziutki Antymos Apostolis,



choć formalnie stali się Grupą Niemen dopiero w siedemdziesiątym pierwszym. Ponieważ ten koncert tak mi utkwił w pamięci, chciałabym, aby ten teatr, sala, znowu tętniły życiem jak wówczas.

– Piękne wspomnienie, Kasiu... Ja na koncerty nie chodziłem, niestety. Kupowałem sobie winyle i zajeżdżałem je na adapterze w czerwonej walizeczce... Chyba nosił nazwę „Narcyz”. Płyte Niemena *Enigmatic* z Bemem też miałem.

Przy drodze pojawił się znak drogowy RABKA.

– O! To już więcej niż połowa drogi... Jak szybko zleciało... – uśmiechnęła się Kasia. – A powiedz mi, jeśli to nie tajemnica, gdzie zaplanowałeś nas ulokować?

– Gdybym jechał sam, spałbym jak większość uczestników konferencji w „Kasprowym”, ale że jedziemy oboje, zmieniłem na hotel „Logos”, niedaleko Krupówek.

– O, super! Już się cieszę!

Kaśka ucichła i przymknęła oczy. Maciej prowadził spokojnie. Spoglądał na coraz bliższe Tatry. Nad szczytami kłębiły się chmury, ale powyżej było sporo błękitu. Dało się już rozróżnić, że śnieg leży tylko blisko samych szczytów, a poniżej są gołe ciemne skały, potem kosodrzewina, a jeszcze niżej lasy i hale, stąd widoczne jako plamy o różnych odcieniach zieleni z domieszką brązu.

Rzucił okiem na Kasię, której powieki lekko drżały. Wiedział, że to nie drzemka, lecz że nad czymś gwałtownie rozmyśla. Delikatny uśmiech błąkał jej się ciągle po twarzy, a palce rąk od czasu do czasu wykonywały jakieś krótkie tańce po kolanach. Wyprostowała się nagle.

– A co byś powiedział na to, gdybyśmy zatrzymali się w Bukowinie Tatrzańskiej?

Spoglądała na Maćka z lekkim uśmiechem. On potarł czoło palcami, wzruszył delikatnie ramionami i spojrzał na nią.

– Ale tak nagle? Będzie, jakby co, daleko do Krupówek, Gubałówki... – Spoglądał raz na nią, raz na szosę; Kasia uśmiechała się szeroko.

– Mam ci ja w Bukowinie, na Olczańskim, od wielu lat przyjaciółkę...

– Pamiętam, rozmawialiśmy o tym w domu, że jest to również Marysi koleżanka. Miałaś do niej dzwonić.

– Wypadło mi z głowy! Hańcia to nasza wspólna przyjaciółka! Marysia co prawda najpierw poznała jej męża Jaśka, ale potem poznały się one same i przyjaźnią się od osiemnastu już lat.

– To dziwny przypadek! Wy z Poznania, ona z Parchowa, a znacie się z tymi samymi ludźmi.

– Phi, znamy się... Hańcia to moja przyjaciółka od zawsze! Poznałam się z nią jeszcze wcześniej niż Marysia, kiedy miałyśmy po trzynaście lat. Byłam tam ze szkołą na wakacjach. Mieszkaliśmy w pensjonacie jej rodziców. Wolałam bawić się z nią niż z koleżankami ze szkoły. Dziwadło ze mnie było. Potem kilkanaście lat się nie widziałyśmy. Kiedy Elizka miała kilka lat, przypadkiem natrafiłam na kopertę z adresem Hańci, napisałam list, dzwoniłyśmy się, a niedługo potem pojechałam tam z córką i tak już zostało. Jeździłyśmy każdego roku przynajmniej dwa razy. Ostatnie dwa lata nie udało się. Ależ ona by się ucieszyła... – Kaśka przyłożyła dłonie do policzków i na chwilę zamilkła.

– Jak mówiłaś o niej w Parchowie, byłem pewien, że zadzwonisz... – Maciej rzucił okiem na Kaśkę, ta rozłożyła ramiona. – Za pięć kilometrów Nowy Targ.

– Wskazał ruchem głowy na drogowskaz z napisem.

– Dobrze, że to mi się teraz przypomniało, bo możemy pojechać na Bukowinę inną drogą.

– Czy jesteś pewna, że to dobra myśl tak niespodziewanie zwalić się komuś na głowę? – Maciej spojrzał na Kaśkę z poważną miną.

– Zwalić się komuś na głowę? Maćku, przecież tłumaczę ci od kilku minut, że to jest moja największa przyjaciółka! Ona się... zśiska z uciechy! – Kaśka uśmiechnęła się, manipulując po klawiszach komórki.

– Ale w Zakopanem mam zarezerwowane miejsca...

– No to odmówisz! Cicho! Mam ją na wołaniu... Tak, Hańciu, nie mylisz się, to ja! – Kaśka aż podskoczyła na fotelu. – Zgadnij, gdzie ja jestem? ...Nie w Poznaniu, a dalej w Parchowie, ale teraz dojeżdżam do... no zgadnij... do Nowego Targu! – wrzasnęła.

Maciek z wrażenia przyhamował i zjechał na pobocze. Z komórki dochodził do niego dziki wrzask i pisk, zresztą Kasia czyniła podobnie. Dopiero po chwili przeszły do spokojniejszej rozmowy.

– Jadę z Maciejem do Zakopanego na dwa dni... no dobrze, zatrzymamy się u was... będziemy, jeśli tak mówisz, za godzinkę z kawałkiem... – Znowu z komórki Kaśki zaczęły do Macieja dochodzić piski i wrzaski.

– Piętro nam oddasz? – Kaśka spojrzała na Maćka.

– Wjeżdżamy już do Nowego Targu i zatrzymamy się jeszcze tutaj na tankowanie... To pa!

– Ale ja nie muszę tankować. – Maciej spojrzał na Kaśkę. – I co w was w ogóle wstąpiło?

– Maćku, my się po prostu kochamy! Ona jedynaczka i ja jedynaczka, więc mamy ze sobą dużo wspólnego. Ty nie rozumiesz, co to znaczy przyjaźń zawarta między dziewczynkami, kiedy ma się po trzysta lat.

– Chyba masz rację... – Uśmiechnięty Maciek przecierał okulary. – Tankowanie jest zbędne, ale może powinniśmy coś kupić... Mam dwie butelki dobrego alkoholu i karton piwa... Też dobrego. – Machnął kciukiem do tyłu.

– Ja w zasadzie też mam wszystko dla niej i jej dwóch dziewczynek, a w zasadzie już pannic, ale może spotkamy jakieś delikatesy, to dokupię jeszcze wino, albo szampana i słodkie łakocie, odpowiednie do plotkowania przy kawie.

– To ruszamy? – Maciej spojrzał na Kaśkę; skinęła głową. – Tylko powiedz mi, jak to będzie tam ze spaniem... bo...

– Hańcia wykrzyczała mi, że oddaje nam całe piętro, a dodatkowe piętro będzie nas jeszcze oddzielać od nich – zachichotała Kaśka.

– Z czego tak się śmiesz? – Maciej miał dziwny wyraz twarzy.

– Kiedyś wygadałam jej się o nas... – Zmrużyła oczy. – Ona ma fajne poczucie humoru. Powiedziała mi, że wie, co to znaczy młodość, oraz że młodzi muszą się dopasować i potrzebują trochę intymności, więc ją nam zapewni...

– I to wszystko teraz zdążyła ci powiedzieć?

– Jest błyskotliwa. – Kaśka spojrzała na Maćka z figlarnym uśmiechem.

– Już ją lubię... – oddał jej uśmiech.

Niezbędne zakupy poczynili sprawnie i za niecałą godzinę wjechali na podwórze przy Olczańskim Wierchu. Maciej jeszcze nigdy nie widział takiego powitania. Kaśka i Hańcia najpierw z krzykiem rzuciły się na siebie i podskakiwały, a potem długo się ścisnęły, stojąc nieruchomo i coś sobie szepcząc do uszu. Na koniec znowu zaczęły krzyczeć i jeszcze raz

się wycalaowały.

– O! Gosia i Ania! Jak wyście wyrosły przez te trzy lata! – Kaśka spojrzała na córki Hańci i wyciskała się z nimi. – A to, Hańciu, Maciej... – powiedziała na końcu.

Maciej poczuł na sobie przenikliwe spojrzenie pięknych ciemnych migdałowych oczu gospodyni. Podał jej mały bukiecik i ucałował dłoń.

– Śliczniutkie... Dziękuję. – Na moment spuściła oczy, ale po chwili podniosła i zaczęła nimi lustrować Macieja od stóp do głów. – Fajnie, że jesteście... – rzuciła, patrząc mu prosto w oczy – ...tu u nas i w ogóle... razem – uśmiechnęła się.

– Takie niezapowiedziane wizyty... – Maciej próbował coś wyjaśnić.

– A jakie tam niezapowiedziane? Przecież Kaśka... zapowiedziała się – uśmiechnęła się słodko.

– A mnie się wydawało...

– Godzinne ostrzeżenie, jak dla nas, jest wystarczające! – zachichotała gospodyni; do śmiechu przyłączyła się Kaśka.

Po kilku minutach siedzieli w dużej kuchni przy pachnącej kawie.

– Jak ja się cieszę. To dla mnie największe święto od trzech lat... – Spojrzała na córki, bo usłyszała ich chrząknięcia i ujrzała zdziwienie w oczach. – No tak, wasze osiemnastki i matury też były najważniejsze...

– Powachlowała się dłońmi. – Trochę mi to głupio powiedzieć, ale chyba jako gospodyni mogę sobie na to pozwolić, żeby do chłopaka... – zachichotała – ...mojej przyjaciółki nie mówić na pan.

– Maciej jestem... – Nazwany panem uśmiechnął się szeroko.

– No tak... słyszałam, ładne imię, ale mimo wszystko jakoś mi dziwnie... – Spuściła oczy.

– Ależ śmiało... to może ja zacznę pierwszy... – Maciej cudownie zmodulował głos, aż oczy gospodyni z wrażenia zrobiły się okrągłe. – Hanno, jestem poruszony przyjęciem nas przez ciebie i twoje córki.

Hańcia ponownie powachlowała się dłońmi.

– Tylko nie Hanno, bo czuję się jak w szkole, profesorze Macieju – zachichotała. – Po prostu Hańcia... Maćku.

Kaśka i dziewczyny zaklaskały. Hańcia uśmiechnęła się, machnęła dłonią i sięgnęła do miseczki z czekoladkami.

– Pyszne te likworki, Kasiu... – rzuciła, jak gdyby przed chwilą nic się nie stało, przymknęła oczy i oddała się ich smakowaniu. – Mocne są... – Sięgnęła po kolejną. – Aha! Niech która wciśnie plaja. – Wskazała duże przenośne radio stojące na kredensie; oczy córek powędrowały za jej gestem.

– A kiedy mamusia je tutaj zniosła? – spytała młodsza z córek.

– Miałam godzinę na to, a ta muzyka musi być na dzień dobry, żeby Kasiuła poczuła się, że hej!

Po chwili zabrzmiał podniosły wstęp, po którym Kaśka klasnęła w dłonie.

– Krywań, *Dwie tęsknoty*...

Pierwsze zwrotki wysłuchała w ciszy, a potem dołączyła do śpiewania razem z zespołem.

W ślad za nią odezwały się Hańcia i jej córki, aż w kuchni zrobiło się głośno i radośnie.

Maciej nie mógł się napatrzeć i nasłuchać. Kiedy piosenka się skończyła, zaczął bić brawo.

– Powinnyście razem występować... ładnie stroicie. – Uśmiechnięty potoczył wzrokiem wokół stołu.

– Śpiewamy dla siebie i naszych hal – uśmiechnęła się Hańcia. – Jak przyjedziecie wiosną, latem, to damy ci, Maćku, Krywaniowy koncert na naszych łąkach.

– Oj, polatać znowu po tych łąkach na bosaka...

– rozmarzyła się Kasia.

– Czy wypijecie po lampce wina teraz, czy wieczorem, jak będzie Jasiek? – spytała Hańcia.

– Wieczorem, bo teraz chciałabym skoczyć z Maćkiem na godzinkę na Krupówki. – Kaśka spojrzała na niego.

– Oczywiście, gdzie tylko zechcesz.

– To jeszcze macie trochę czasu, tym bardziej że jest coś jeszcze – poderwała się i wypadła z kuchni.

Kaśka i Maciej spojrzeli po sobie, ale nie zdążyli się nadziwić, bo Hańcia była już z powrotem. Szybko wymieniła płytę w odtwarzaczu i usiadła na swoim miejscu. Kaśka spojrzała na nią pytająco, ale ta położyła palec na ustach, bo już zaczęła się przygrywka fortepianowa.

– Mój... nasz... *Imagine*... Lennon – Kasia uśmiechnęła się i złapała Hańcię za dłoń; obie cicho nuciły z Lennonem.

Maciej znowu patrzył i słuchał jak oczarowany.

– Kiedy się poznałyśmy, to Kasia miała ze sobą mały odtwarzacz na słuchawki. Zdarzało się, że szłyśmy na łąki i leżąc na plecach, słuchałyśmy muzyki, każda z jednej słuchawki. No i tam było to nagranie...

– Uczyłyśmy się obie angielskiego w szkole, ale słów piosenek jeszcze wtedy nie potrafiłyśmy na żywo sobie tłumaczyć... – wtrąciła Kaśka.

– Słowo „*imagine*” rozumiałyśmy, inne słowa też, więc mogłyśmy wyobrazić sobie, co nam tylko przyszło do głowy, ale cała wymowa treści piosenki umykała nam... no i dobrze! – Hańcia roześmiała się. – To płyta dla ciebie do samochodu, bo kiedyś mówiłaś, że nie masz.

– No i dalej nie mam! Jesteś cudowna, Hańciu... A Jasiek dzisiaj...? – Przebiegła palcami po stole.

– Powinien być koło dwudziestej, no bo trza z Morskiego Oka wrócić, konie oporządzić... Ale ucieszy się... bo noc długa, a jutro ma wolne!

– Maćku! Przynieś, proszę, z samochodu brązową torbę. Tam mam suweniry... – Uśmiechnięta Kasia spojrzała na Hańcię, przeniosła z niej wzrok na Gosię, a potem na Anię; Maciej poderwał się bez słowa.

– Pójdę ci pokazać, Maćku, jak stanąć, kiedy wrócić z Zakopanego po ciemku. – Hańcia ruszyła za nim.

– Pięknie tu u was i cudowna atmosfera... – rzucił Maciej, kiedy wyszli na podwórze; spojrzał w kierunku gór, potem przeniósł wzrok na kapliczkę i świerki za płotem, a na koniec przebiegł wzrokiem po domu.

– Mógłbym tutaj mieszkać... – zatoczył krąg ramieniem – ...tym bardziej, że i Kasia lubi góry.

– Ona je kocha! Wiele razy mi mówiła, że jak jej się coś zepsuje tam... – pokazała

w kierunku północy – ...to przyjedzie i zamieszka tutaj. Ale widzę, że jest szczęśliwa... – Przynęła się tak blisko do Macieja, że jemu nie pozostało nic innego, jak oprzeć się o stojący za nim samochód.

Jej ciemne migdałowe oczy świdrowały go, a piersi falowały na jego torsie. Miała poważną minę.

– Ona ciebie bardzo kocha... Widzę to. A ty jak...? – spytała cicho aksamitnym głosem; spuścił wzrok na nią, na jej piersi, którymi przyparła go do auta. – Nie bój się, nic ci nie zrobię... – na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech – ...muszę tylko czuć, jak odpowiadasz, każde twoje słowo. Oczami i ciałem wszystko wyczuję. Nie oszukasz mnie.

– Ja też ją kocham... bardzo...

– I to wszystko...? – Nie spuszczała ciemnych migdałowych oczu z jego twarzy.

– Ale nie wydasz mnie? – Przeszywali się wzrokiem.

Hańcia pokręciła delikatnie głową.

– Mam wobec niej bardzo poważne plany...

– No i... – Migdałowe świderki wkręcały się coraz mocniej w jego oczy, napierała na niego całym ciałem.

– Mnie kiedyś się w życiu nie ułożyło, ale z Kasią rozumiemy się jak dotąd doskonale i chciałbym... żeby została moją żoną. – Maciej zdjął zaparowane okulary.

Hańcia podniosła dłonie w górę, przyłożyła je na chwilę do jego policzków, potem go pocałowała i wreszcie odstała o krok.

– Wierzę ci. Nie wyczułam żadnego fałszu... Poza tym jesteś miły w dotyku. – Ciemne oczy Hańci omiotły go znowu od stóp do głów.

– Ty też, Hańciu... – powiedział szczerze, nałożył okulary i próbował się uśmiechnąć.

– Tylko mi tu bez takich... – roześmiała się głośno i jeszcze raz go ucałowała. – Od czasu spotkania z Marysią przed dwudziestu laty na trudne rozmowy, na wszelki wypadek, mam zawsze ze sobą to. – Rozprostowała dłoń, w której dojrzał dużych rozmiarów pilnik do paznokci; zaśmiała się ponownie.

– Teraz wszystko rozumiem, Hańciu... Ach! Torba!

– Ja bym ci sama przypomniała, bo tam są dla nas suweniry! – znowu się zaśmiała. – A jak potem przyjedziecie, to właściwie możesz zaparkować gdzie i jak chcesz... To był tylko pretekst, żeby porozmawiać z tobą na osobności. Ale żeby nie było, że ci nic nie powiedziałam, to jak wróćcie, stań może tyłem do tamtych drzwi. – Wskazała dłonią. – Tam mamy składzik suchego drewna.

Maciej teraz wreszcie miał okazję przyjrzeć się Hańci w całej krasie. Z każdym ruchem spódnica w zielono-czerwone wzorki fruwała wokół jej zgrabnych łydek. Czarna chusta w kwieciste wzory z frędzlami, którą przy wyjściu z kuchni narzuciła na siebie, podkreślała biel bluzki i czerwień koralu. Czarny koczek spięty na kształtnej głowie podkreślał jej urodę, równolatki jego Kasiuli. Dwie piękne kobiety, a jakże inne. Zobaczył, że tak naprawdę Marysia nie miała kiedyś szans w walce z nią o Jaśka, chociaż przecież i jej niczego nie brakuje.

Trafiam ostatnio na same anielice... ale wówczas, ten jeden raz, nie miałem szczęścia – pomyślał nagle i pokręcił głową.

– A coś ty tak nagle zmarkotniał? – doszedł go ciepły, aksamitny głos Hańci.

– A bo, bo... zrobiłaś mi odciski na piersiach

– uśmiechnął się szeroko.

– Na więcej nie licz. To był stan wyższej konieczności.  
Hańcia zakręciła spódnicą i ruszyła w kierunku wejścia do domu.

\*

Chciał jechać przez Poronin, ale Kasia przekonała go do drogi przez Murzasichle.

– Lubię zjazd serpentynami do Zakopanego, a wcześniej popatrzeć na wielkie świerki w lasach.

Spoglądał na nią i widział ją całkiem odmienioną. I wczoraj, i dzisiaj od rana była bardzo radosna, ale błysk jej oczu teraz, a wcześniej przy powitaniu z Hańcią, jej głośny, niczym nieskrępowany śmiech, pozwolił mu zobaczyć jeszcze inną Kasię.

– Bardzo ciepła jest ta twoja Hańcia... – zaśmiał się.

– Nie ma takiej drugiej... Aż szkoda, że mieszkamy tak daleko od siebie. – Spojrzała na Maćka. – Jak teraz sobie pomyślę, że możemy mieć do siebie jeszcze dalej... – zamilkła i spłoszona odwróciła wzrok.

– Kasiu, jeśli to ma być powód... – odezwał się po chwili.

– Tak mi się tylko powiedziało – weszła mu w słowo i znowu spoglądała na niego roześmianymi oczami. – Jest cudowna, szczerza. Kiedy przyjechałam do niej pierwszy raz z Elizką po latach niewidzenia się, po kilku dniach wyznała mi, że gdyby ktoś wyrządził jej najlepszej przyjaciółce, czyli mnie, przykrość, uczynił jakiegokolwiek zło, nie zawahałaby się odplacić mu z nawiązką. „Nikt by się nie spodziewał zobaczyć, do czego jestem zdolna, więc nie radzę nikomu”. Tak mi powiedziała. – Pokiwała głową i na chwilę spoważniała. – Ja bym chyba nie była w stanie nawet tak pomyśleć. Zdradziła mi, że to wszystko przez nasze cudowne, powtórne spotkanie.

– Dzisiaj dopiero zobaczyłem, jakie mogą być prawdziwe góralki.

– Chyba jeszcze nie – roześmiała się Kasia. – My dwie rozmawiamy, patrząc sobie prosto w oczy, ale ona ponoć potrafi słuchać całym ciałem. Marysia mi o tym opowiadała – mrugnęła. – My nie miałyśmy dotąd żadnych trudnych rozmów, więc nie wiem jeszcze, jak to wygląda.

Maciek przyhamował i spojrzał badawczo na Kasię. Czy się czegoś domyśla?

– Coś się stało? – spytała.

– Miałem wrażenie... – zawahał się – ...jakby coś stuknęło...

– Może szyszka? – Wskazała głową na wysokie świerki.

– Może – skwitował z uśmiechem.

Krupówki przywitały ich delikatną mżawką. Kasia spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę. W pobliżu dojrzała tylko dwa stragany z oscypkami.

– Niewiele dzisiaj pojem...

– A może pójdziemy na targ i kupimy na wynos?

– Masz rację, ale teraz przynajmniej dwa szybkie

– zachichotała.

Na pobliskim straganie oboje zamówili po dwa oscypki. Po kilku chwilach siedzieli pod dużym parasolem. Śmiejąc się, zjadali z apetytem.

– Zawsze się zastanawiam, co w nich jest takiego, co mnie do nich ciągnie. Nie znam odpowiedzi – powiedziała pełną buzią. – Skrzypią pod zębami, to znak, że niepodrabiane.

– Mówisz? Z nimi jest jak ze śliwkami albo z paluszkami... – Maciej sięgnął po

drugiego oscypka.

– Trochę podobnie, ale od tamtych mogę się oderwać, a od nich nie.

Teraz ona złapała drugiego oscypka i pomacała w żurawinie.

Kiedy zjedli, postanowili pójść od razu na targ, a potem wrócić i zjeść obiad w którejś z karczm. Maciek przy jednym ze straganów kupił dwadzieścia oscypków. Gaździna dała do każdego pięćdziesiąt groszy upustu, bo dobrych klientów trzeba dopieszczać. Wrócili na Krupówki okrężną drogą w doskonałym humorze. Wybrali karczmę „Po Zbóju”. Maciej zaordynował placki po zbójnicku z gulaszem.

– Chyba będę miała problem... – Kasia jęknęła, spoglądając na obfitą porcję.

– Do odważnych świat należy. Najwyżej jednego oscypka mniej zjesz na kolację.

Okazało się, że z pomocą soku z grapefruta dała radę.

– Jutro rano przyjadę z tobą do Zakopanego, byś nie musiał dwa razy jeździć.

– A po co masz tak wcześnie wstawać? Ja będę musiał już o dziewiątej stamtąd ruszyć!

– Nabijasz się ze mnie? Nigdy tak długo nie śpię...

– Zobaczmy rano – uśmiechnął się.

\*

Jasiek wkroczył do kuchni po dwudziestej, zmęczony, ze zboląłą miną, ale kiedy zobaczył Kaśkę, stanął jak wryty, uśmiech rozświetlił mu twarz od ucha do ucha i wróciło mu życie. Przeniósł wzrok na Macieja i poczochnął swoje i tak potargane włosy.

– Wyściskam się z wami za kwadrans! Hej! – wrzasnął, schował pociesznie ręce za siebie i zniknął w korytarzu.

– A gdzie on poleciał, nawet nie zdążyłem go poznać, uścisnąć dłoni – zadudnił Maciej, aż Hańcia odwróciła się od kuchni.

– Dobrze, że on tylko przeleciał przez kuchnię, bo jakby tu chwilę dłużej postął, to byś nieco inaczej gadał – zaśmiała się Hańcia.

Po kwadransie w drzwiach pojawił się Jasiek w białym wełnianym swetrze, z mokrą jeszcze głową. W całej kuchni zapachniało wodą kolońską. Hańcia postawiła na stole parujący talerz z zupą.

– Teraz mogę się z wami przywitać. Witaj, Kasieńko! – jego gardłowy, tubalny głos, zagłuszył wszystkich.

– Jasiek, tylko ciut ciszej! – krzyknęła Hańcia.

– Ino trochę przywyknę!

– To jest mój... Maciej – Kaśka przedstawiła Jaśkowi.

– Miło mi... skądś cię, gościu, znam... – Jasiek wyciągnął rękę do Maćka.

– Masz takie lepsze... imadła. – Maciej rozcierał dłoń po przywitaniu z Jaśkiem i z szacunkiem spoglądał na jego żylaste dłonie.

– Musimy mieć krzepę... Jak jest jakaś awaria, to czasem trzeba we dwóch unieść wóz w górę. – Jasiek mrugnął, pokiwał głową i zanurzył łyżkę w zupie.

Chwilę jadł w milczeniu, wpatrując się w talerz. Kobiety uśmiechały się, a Maciej zawiesił wzrok na Jaśku.

– Pewnie się zdziwiłeś, że przedtem tak szybko wyprysnąłem z kuchni, co? – Jasiek oparł łyżkę o dno talerza; Maciej skinął głową. – Cały dzień ocierają się o mnie różni ludzie, a ludzie, jak wiesz... różnie pachną – zaśmiał się. – Więc nawet jeśli potem, żeby

trochę ze mnie ten zapach ludzi zeszedł, powycieram się w stajni o konie, to niewiele pomaga i dlatego muszę się szybko spryszcicować. – Przeczesał lewą dłonią mokre włosy. – Inaczej nos by się wszystkim wyprostował – zaśmiał się gardłowo, a razem z nim Hańcia i jej córki.

– Ale nie zawsze jesteś taki akuraty. – Hańcia z uśmiechem pogroziła mu palcem, a córki pokiwały głowami.

– Czasami tak mam ze zmęczenia... – Jasiak przewrócił oczami. – Ale ja naprawdę skądś cię znam...

– Spojrzał znowu na Maćka, postukując łyżką o talerz. – Już wiem... – Wyprostował się nagle na krześle. – Masz takie same okulary i kitek jak ten... – machał przez chwilę w powietrzu dłonią z łyżką – ...co to śpiewał, ale go zabili.

– Jaśko, co ty wygadujesz? – pisnęła Hańcia.

– Zabili...? Za to, że śpiewał...? – Maciej zeszywniał ze zdziwienia.

– Poczekajcie chwilę... – Jasiak machnął dłonią, zmarszczył nos i zmierzwił czuprynę. – Cicho, mam go na końcu języka... To był jeden z tych czterech... no, Bitelsów. O...! Lennon! – wykrzyknął zadowolony z siebie. – Józek Ciaptaków kiedyś tak nazwał swojego konia – roześmiał się gardłowo.

– Józek to wariat... – prychnęła Hańcia. – Ale z tym Lennonem to chyba masz rację – zgodziła się z Jaśkiem po kilku chwilach przekrzywania głowy, żeby się dobrze przyjrzeć Maćkowi. – Tylko tamten miał nieco inny nos...

Maciej zakłopotany rozglądał się wokół.

– Ale wy jesteście modele – roześmiała się Kaśka, przenosząc wzrok z Jaśka na Hańcię. – Chociaż z drugiej strony, też zawsze miałam przecucie, że już cię gdzieś widziałam... – Popukała wyprostowanym palcem po ramieniu Macieja; teraz wszyscy w kuchni roześmiali się głośno.

– I tak niechcący zostałem Lennonem... – Maciej powoli oswajał się z faktem, że mimowolnie stał się obiektem zabawnej sytuacji. – Muszę wam jednak zdradzić, że bardzo lubiłem jego styl, kiedyś go skopiowałem i... tak już zostało – prychnął wesoło. – Ale grać na gitarze i tak jak on śpiewać nie umiem.

– Ej tam...! Głos masz dobry – Kaśka zrobiła maślane oczy.

– Jestem tego pewna! – wykrzyknęła Hańcia i zamknęła piekarnik, do którego wstawiła blachę wypełnioną oscypkami. – Przecież słyszę, jak go modulujesz. Oprócz tego jesteś bardziej wysportowany niż tamten. Masz klatę! – dodała z uznaniem, pochylając na bok uśmiechniętą twarz i wskazując palcem na tors Macieja.

Jasiak odsunął talerz, pokręcił głową i głęboko westchnął..

– Się narobiło... – rzucił z uśmiechem, spojrzał wokół stołu i zatrzymał wzrok na Macieju; ten machnął dłonią.

– Pomóżcie nakryć do nasiadówki – rzuciła cicho Hańcia, spoglądając na córki.

– Chodź na podwórze, to trochę ochłonesz. Pokażę ci gwiazdy nad Tatrami.

Jasiak wykonał zapraszający gest głową, wstał i ruszył w kierunku drzwi; Maciej podążył za nim.

– Ale to przecież ty wynalazłeś to podobieństwo do Lennona, a nie żadna z nas – rzuciła Hańcia za mężem.

– Ja tylko chciałem powiedzieć coś wesołego...

– Jaśko wzruszył ramionami i zaśmiał się tubalnie.



Gdy przechodzili przez korytarz, podał Maćkowi ciepłą kamizelkę, którą zdjął z wieszaka.

– Zaczyna chłodzić... – wyjaśnił śpiewnie.

Podwórze przywitało ich podmuchami wiatru.

– Da dzisiaj trochę, już widać, ale halnego nie będzie – zapewnił Jasek. – Miesiąc temu halny połamał w okolicy kilka świerków... tam obok kapliczki, na skrzyżowaniu, dwa nawet całkiem spore. – Pokazał ręką.

– Mijaliśmy ją, jadąc do was... – Maciej skinął głową i wstrząsnął się od podmuchu wiatru.

– Na trasie do Morskiego Oka było dzisiaj właściwie cieplutko, ale na samej Włosienicy od czasu do czasu zawiąło mocniej.

– Kiedyś byłem nad Morskim Okiem...

– Ja tam jestem prawie codziennie – zaśmiał się Jasek. – Długo się znasz z Kasią? – Zrobił krok w kierunku Macieja i spojrzał na niego z uwagą.

Zaskoczony Maciej wpatrywał się w jego twarz oświetloną lampą nad wejściowymi drzwiami.

– Niedługo będzie... cztery miesiące... – wydukał zaskoczony. – Ale skąd to pytanie?

– Kasia jeszcze nigdy do nas nie przywiozła... – zawiesił głos – ...żadnego swojego znajomego.

– No, ale...

– Mam przecież oczy – zaśmiał się gardłowo. – Lubię ją jak siostrę, rozumiesz?

– Wiesz co? Pierwszy raz w życiu spotkałem się z czymś takim jak tutaj, choć lat mam sporo. Najpierw przesłuchała mnie Hańcia...

– A przycisnęła cię do muru? – roześmiał się Jasek w głos, aż sam rozejrzał się wokół.

– Do muru nie, ale do mojego samochodu... – Maciej uśmiechnął się.

– Bo mnie często tak przesłuchuje! – znowu zabrzmiał jego tubalny śmiech. – No, to znaczy, żeś jej nie podpadł, skoro dalej uśmiecha się do ciebie – ponownie się roześmiał.

– Ależ wy jesteście!

– Kasia to nasza najlepsza przyjaciółka... znaczy się Hańci!

– Jasek... Nigdy nie myślałem, że z facetem i to właściwie obcym...

– Tylko nie obcym! – Jasek znowu się głośno roześmiał.

– Boże!

– A teraz to już ci na pewno wierzę, więc możemy zmienić temat.

– A co się stało?

– Boga nadaremno byś nie przywoływał, a zresztą Hańcia już cię przesłuchała. Ty jesteś Kaszub, tak? – Położył dłoń na ramieniu Macieja.

– Tak.

– Góral i Kaszub nigdy by Boga nie przywoływali przy kłamstwie, dlatego ci wierzę.

– Ale...

– A daj już spokój! – Jasek znowu gruchnął śmiechem.

– To może napijemy się czegoś?

– Tu na podwórzu, przed własną chatą...?

– No przecież ciemno, nikt z sąsiadów nie zobaczy.

– Żartujesz!

– No jasne.

– Lubię cię, ale ja mam jakiś alkohol w domu, jestem gospodarzem; to przecież mój obowiązek.

– Ale ja przywozłem specjalną rzecz w gościnę.

– Pewnie jakąś rudą i mocno capi, co?

Teraz Maciej roześmiał się.

– Jo, ruda. Chyba trochę capi, ale muszę ci powiedzieć, że innej nie lubię, no, chyba że wino.

– Chłop i wino!

– Taki ze mnie chłop – Maciej znowu się roześmiał.

– Tak nie gadaj, bo będę musiał ostrzec Kasię – teraz z kolei Jasiek roześmiał się.

– Ależ ty i Hańcia jesteście fajni. Czuję, jakbyśmy się znali od dawna.

– Podpuszczasz mnie, chociaż wiesz, że mam rękę.

– Jasiek podszedł bliżej i zacisnął bicepsa. – Dobra, pozartowaliśmy, bierz rudą i idziemy do chaty, bo zaczyna chłodzić... – roztarł ramiona.

Maciej podszedł do auta i wyciągnął z bagażnika torbę. Po chwili w kuchni wyciągał butelki na stół.

– Długo was nie było, myślałam, żeście poszli na klina – rzuciła Hańcia śpiewnie.

– Nie ma tam żadnych dziewuch jak latem, więc nie ma po co iść – odpowiedział jej podobnie Jasiek, zaśmiewając się; Hańcia machnęła dłonią. – Zapomniałem pokazać ci gwiazdy... – Spojrzał na Maćka. – Wracamy?

– To coście wy tak długo, tata, robili, jak nie patrzyliście we gwiazdy? – zaśmiała się córka Gosia.

– A bo wiało i jakoś zapomnieliśmy o nich. A poza tym ciemno, bo miesioncka nie ma, więc ja patrzyłem na niego, a on na mnie. No nie? – Klepnął swoją wielką dłonią w plecy Maćka.

– Dobrze, że przyjechaliśmy tutaj. – Maciej spojrzał na Kaśkę.

– Mówiłam ci... – Kasia zmrużyła oczy.

– Ale teraz już siadajcie, bo mam gorące oscypki!

– zawołała głośno Hańcia.

– A ta metaxa to chyba jakiś antykorozyjny środek jest, co...? – Jasiek podniósł butelkę i mrugnął do Maćka.

– No nie, tata, proszę... – jęknęła Gosia.

– Ja tam w sklepie patrzę tylko na jedną półkę, bo mi się zawsze spieszy. – Jasiek znowu się zaśmiał.

Po chwili wszyscy podnieśli małe kieliszki wypełnione jasnobrazowym alkoholem. Zapach pieczonych oscypków pomieszany z ziołowym, słodkawym alkoholem, wypełnił kuchnię. Nasiadówka w kuchni, jak nazwała Hańcia wieczorne spotkanie, udała się wybornie.

A potem, w ich pokoju, znowu było pięknie. Kiedy palce Kasi wyczuły na podbrzuszu dziwne zgrubienie na skórze, Maciej prawie podskoczył, szybko przykrył jej dłoń swoją dłonią i pocałował w usta.

– Mam łaskotki... Chcesz, żebym się głośno chichrał?

– Chichrał. Dawno tego słowa nie słyszałam... – Poglądziła go po dłoni.

– Śpijmy dzisiaj, nie hałasujmy – wyszeptał.

## *Czarna dziura*



Kaśce nie było dane nacieszyć się wspólnie z mamą i Felcią swoją radością z wycieczki z Maciejem; on zresztą zaraz po rozpakowaniu i małej kawie wyjechał z Parchowa do Gdyni. I choć Felcia z błyszczącymi oczami była gotowa dalej rozmawiać o tej wycieczce, to dołek, w jakim znalazła się Anna, wymagał natychmiastowego rzucenia jej koła ratunkowego. Nie zważając na rwącą się do opowiadania Kaśkę, matka zaczęła relacjonować ze zboląłą miną swoją rozmowę z Ryszardem sprzed ponad tygodnia. Przy końcu prawie się rozplakała.

– Mamo! Przecież to, co ci Ryszard opowiedział o Władku i Maksie, kończy się happy endem.

– Niby tak, ale staram się być realistką i dlatego dopuszczam, że z naszego osiedlenia w Parchowie może nic nie wyjść... – Anna pociągnęła nosem.

– Teraz to pojechałaś grubo... Ale dlaczego nie opowiedziałaś mi tego wszystkiego przed moim wyjazdem?

– Było mało czasu, a poza tym nie chciałam ci psuć humoru.

– Skoro Ryszard powiedział ci, że Wladek wszystko potwierdził, to przecież potwierdził. Więc co cię martwi?

– Bo nie wiadomo, co się może wydarzyć... No wiesz, na przykład z Maxem!

– Dlaczego tak czarno to widzisz? Max to przecież mądry młody człowiek...

– Ale wojna to nie jest gra komputerowa, jemu naprawdę może się tam stać coś niedobrego.

– Boże! Czy jest coś takiego, mamo, co mogłoby cię przekonać, żebyś zaczęła inaczej myśleć?

– Sama nie wiem... Może gdybym zobaczyła Poznań, Sołacz, nasz dom, to może... – Anna skuliła się na krześle; wyglądała jak mała bezradna dziewczynka.

– No przecież jadę tam pojutrze, zdam ci potem dokładną relację.

– Na groby powinnam pojechać i może bym ci pomogła w czymś w Poznaniu?

– Ale w czym? Mamy z Krzyśkiem proste urzędowe sprawy do załatwienia, którymi nijak nie można się podzielić. Nawet z tobą. Groby też zdążę obskoczyć!

– Kaśka potwierdziła to gestem dłoni. – Nie musisz na ten tłok, na dzień, dwa porywać się! Poprzednio wyrejestrowałam, jak chciałaś, stacjonarny telefon, rachunki wszelkie przesyłają już tutaj, dałam Kaczmarkowej klucze od furtki i schowka, żeby jej mąż mógł sobie wyciągnąć kosiarkę... Mówiła mi, że on tam latem przesiadywał godzinami, bo ciągle miał coś do zrobienia

– Kaśka uśmiechnęła się. – Więc wszystko gra i jest pod kontrolą – mrugnęła.

– Na pewno jest coś, o czym zapomniałyśmy, i gdybym to zobaczyła, zaraz by mi się przypomniało! Jak o tym wszystkim myślę, to wydaje mi się, że jestem w czarnej du...

– Wiesz co...? – Felcia, która dotąd ze spokojem przysłuchiwała się rozmowie, prawie krzyknęła. – Tobie się tylko wydaje, że jesteś w czarnej dupie! W czarnej dupie to jest

Władek i zaraz znajdziemy się my wszyscy, jak będziemy tak ciebie słuchać i tobie ulegać!

– Co...?! – Anna poderwała się na krześle; wypieki pojawiły się na jej twarzy.

Przyłożyła dłonie do policzków, a Felcia spokojnie skrzyżowała ręce na brzuchu.

– Kasia tłumaczy ci spokojnie, jak jest, jak może być, wskazuje, że ciężko to ma Władek, a ty powtarzasz, że nie wiesz, jak będzie! A jak ma być? A jak jest? Jest i będzie tak, jak tylko sama zechcesz. Wydawało mi się, że o tym rozmawialiśmy już tyle razy. A ty wciąż do tego wracasz, wałkujesz i chcesz, żebyśmy cię nieustannie przekonywały i... pocieszały. Tak chcesz, lubisz?

– Ale ja chciałam tylko powiedzieć o czarnej rozpacz, a ty...

– To najpierw wytłumacz mi, prostej babie, jaka jest różnica pomiędzy czarną dupą a czarną rozpaczą – znowu przerwała jej Felcia i uśmiechnęła się.

Anna z niedowierzaniem spoglądała to na Felcię, to na córkę. One jednak jakby się umówiły – obie kiwały głowami, czekając na jej odpowiedź.

– Ale... czego wy ode mnie... chcecie? – wyjąkała.

– My czegoś chcemy? – Felicja wskazała na siebie, a potem na Kaśkę. – Ja... niczego. No, chyba że Kasia.

– Tak, chcę tutaj zostać i zrobię to nawet wbrew tobie, jakby co! – wywołana do odpowiedzi Kaśka rzuciła zadziornie.

– No widzisz! Elizy nawet nie ma co pytać – Felcia znowu się uśmiechnęła.

– Więc uważacie, że nie ma żadnego problemu?

– Na dzisiaj żadnego nie widzę, co nie znaczy, że kiedyś nie może się coś pojawić, tylko po co to zawczasu samemu wymyślać? – Kaśka wzruszyła ramionami.

Anna wyprostowała się na krześle, na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– To kiedy, córeczko, jedziesz do Poznania? – spytała, poprawiając gumkę na kitce i spoglądając na córkę, jakby się nic nie stało.

– A teraz ty tak na poważnie? – Kaśka przewróciła oczami.

– Najpoważniej. Przekonałyście mnie – uśmiechnęła się zawstydzona Anna.

\*

Poznańskie mieszkanie przy Szamarzewskiego przywitało ich zapachem lawendy. Kasia zamaszystym ruchem odsunęła w pokoju stołowym zasłonę i lekko uchyliła okno.

– Fajnie tutaj! – z podziwem rzucił Krzysztof po kilku chwilach rozglądania się wokół.

– Na początek niczego nie będę zmieniał, chyba tylko... – rozejrzał się ponownie wokół – ...sprawię sobie telewizor.

– Teraz ci pokażę to, co, moim zdaniem, jest najważniejsze w mieszkaniu.

Kaśka zmarszczyła brwi i kiwając palcem, zaprosiła Krzysztofa, żeby ruszył za nią.

– Podoba mi się zapach tego mieszkania. Poza tym jest tu cicho, choć to właściwie centrum – zauważył, idąc za nią posłusznie.

– Głos tramwajów dochodzi tutaj, szczególnie wieczorem, ale nie jest męczący. – Kasia zatrzymała się w przedpokoju przed dużym lustrem i odchyliła je jak drzwi; ukazały się dwie wnęki z zaworami.

– To są centralne zawory gazu i wody dla całego mieszkania, oprócz tego w łazience i kuchni są dodatkowe.

– Tak było od nowości?

– Kiedyś, jak widać, potrafiono to właściwie zaplanować – uśmiechnęła się Kaśka. – Za czasów babci wisiał tutaj sielski widoczek, ale mama chciała tu mieć lustro. Mówiła, że zawsze go brakowało w przedpokoju, bo to w szafie było, jej zdaniem, za małe.

Podeszła do szafy i otworzyła drzwi.

– Ale ona ogromna! To dlatego w stołowym nie ma żadnej...

– Tam by się nawet nie zmieściła. To znaczy przy innym umeblowaniu tak, ale nie przy tym.

Ruszyła w głąb przedpokoju. Po chwili pchnęła lekko uchylone drzwi i zachęciła Krzyska ruchem głowy. Wszedł do wnętrza drugiego pokoju.

– Ładna sypialenka – rzekł do Kaśki stojącej w drzwiach. – Nic mi nie mówiłaś, że to mieszkanko z takim klimatem... – Sam podszedł do okna, rozsunął zasłony i uchylił okno. – Będę tylko musiał pamiętać, żeby zamykać okna przed wyjściem.

– Tak, to jest ważne. Kilka lat temu wynajmujący o tym zapomnieli i narobił się bałagan z parkietem. Mama nadenerwowała się, bo trzeba było kawał podłogi wymienić, o, spójrz! – Uniosła dywanik, pod którym przebiegało łączenie dwóch części parkietu za pomocą szerokiej listwy o nieco innej barwie.

– Ale sprytnie to zrobili! Wygląda, jakby specjalnie od początku było tak zaprojektowane.

– A bo to był jeszcze uczeń starego przedwojennego parkieciarza. Mawiał jak tamten, że parkiet to dusza mieszkania. Potrafił dobrać rodzaj drewna albo nadać mu odpowiednią barwę. Tę listwę celowo zrobił nieco ciemniejszą, żeby trudniej było odróżnić starą i nową część parkietu.

– Ale przecież obie części mają identyczną barwę!

– Tak samo kiedyś mu powiedziałam, ale on to skwitował krótko: tak widzą laicy! – Machnęła dłonią.

– Spójrz, Krzysiu, jaką będziesz miał śliczną toaletkę. Każdego rana zrobisz się na bóstwo! – mrugnęła.

– Podoba mi się... zresztą lampka do czytania nad łóżkiem z wyłącznikiem łańcuszkowym też.

– Chciałam ją kiedyś zakosić do siebie, ale mama nie pozwoliła – uśmiechnęła się Kasia.

– No i dobrze, bo przy czym ja bym teraz czytał?

– Ty szatanie! Chodź, idziemy zwiedzić kuchnię i łazienkę.

Kiedy po kilku minutach wrócili do stołowego, Kaśka wyłożyła na stolik teczkę z umową. Krzysztof, zanim usiadł na sąsiednim fotelu, rozejrzał się jeszcze raz wokół; Kaśka podążała wzrokiem za nim.

– Musisz nauczyć się koniecznie starych nazw mebli – rzekła z udawaną powagą. – Ten długi mebel z drzwiczkami i szufladami to bufet, mebel stojący obok z przeszkloną nadstawką to kredens, tamto coś z wieloma szufladami to szyfoniera, a obok niej sekretarzyk. To kawiarka... – Wskazała na stolik, przy którym siedzieli.

– Po co był ten galop do nowoczesnych mebli, skoro tamto wszystko takie piękne? – Krzysiek zatoczył ramieniem łuk w powietrzu. – Szczególnie nazwy...

– Też nie wiem... – Kasia jeszcze raz obejrzała się wokół. – Niby lubię nowoczesne, proste kształty, ale każdorazowo, jak jestem tutaj choć przez chwilę, chciałabym mieć właśnie tak urządzone mieszkanie.

– Kasiu, a może chcesz sobie coś stąd wziąć? Co prawda na razie nie zamierzam niczego

zmieniać, ale za jakiś czas, kto wie.

– Kiedyś rozmawialiśmy o tym z mamą i ustaliłyśmy, że emocjonalnie jesteśmy związane z sekretarzykiem, toaletką i szyfonierą, więc chciałabym, żebyś miał to na względzie. Nie będziemy tego dopisywać, Krzysiu, do umowy – uśmiechnęła się i podała mu jeden z egzemplarzy.

Czytał powoli i co chwila kiwał głową.

– Podoba mi się ten zapis o pierwokupie i cenie. Prawdę mówiąc, też miałem pomysł, żeby coś w tym stylu zaproponować, ale widzę, że same wpadłyście na to.

– Ja nie, mama nie, ale zrobił to Ryszard, który ogarnął umowę za nas. Przekonał nas, że akurat ty nie będziesz miał nic przeciwko.

– No i miał rację! Aha, do wypełnienia pozostała tylko, jak widzę, sprawa kwoty i sposobu płatności.

– Możemy chyba zaraz wpisać kwotę, którą uzgodniliśmy po drodze.

– Ale może chcesz naradzić się jeszcze z mamą.

– Wyobraź sobie, że miałyśmy to już ustalone widełkowo przed wyjazdem. Napisałam mamie w esemesie uzgodnioną kwotę i dostałam potwierdzenie, że jest okej! – mrugnęła. – A jak jest okej, to możemy podpisywać. Wpisz to wszystko sam i podpisujmy. Przygotowałam trzy egzemplarze, żeby każda z nas miała swój oryginał, może być?

– No tak, bo wy jesteście współwłaścicielkami.

Kasia przypatrywała się, jak Krzysztof starannie wpisuje kwotę cyfrowo i słownie, a potem powtarza zapis w kolejnych dwóch egzemplarzach. Gdy podpisał, przekazał je Kasi. Kiedy i ona podpisała, włożył z powrotem do teczki, którą jej wręczył.

– A teraz do banku. Dopiero kiedy już dokonamy przelewu, dasz mi mój egzemplarz i klucze. Jedziemy?

– Jedziemy! – Kasia pokazała wszystkie zęby w uśmiechu i skierowała się w stronę drzwi wejściowych.

– Kasiu! Jeszcze coś! – Zatrzymał się pośrodku stołowego pokoju.

Kasia odwróciła się, przyglądając mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Muszę zamknąć jeszcze okna! – roześmiał się.

– Patrz, a ja zapomniałam...

– Bo ty już nie musisz pamiętać – roześmiał się.

\*

Po wizycie w banku wypili w małej kafejce w centrum Poznania kawę i wówczas Kasia przekazała Krzysztofowi egzemplarz umowy i klucze. Potem złożyli wizytę w biurze abonenckim gazowni, gdzie sprawy załatwili w kilkanaście minut i dotarli do biura elektrowni, gdzie przywitała ich długa kolejka. Ledwie udało im się załatwić przerejestrowanie licznika w godzinach pracy biura; przez pewien czas groziło im nawet przyście tutaj powtórnie, następnego dnia rano. W drodze powrotnej na Sołacz kupili w pizzerii jedzenie do podgrzania w domu, gdyż w międzyczasie uzgodnili wypad na kolację do restauracji nad Maltą.

– No wiesz, Kasiu... kupujący stawia. – Krzysztof zrobił pocieszoną minę.

– Nie odmówię – skwitowała, mrużąc po swojemu oczy.

Po przekazaniu i długim prysznicu Kasia postanowiła przenieść się do swojego pokoju.

– Masz teraz dwie godziny, Krzysiu, dla siebie... – uśmiechnęła się, po czym skierowała się w kierunku schodów.

Teraz powoli przeglądała szafy i komódki, rzucając na łóżko cieplejsze jesienne rzeczy, które chciała wziąć ze sobą. Po skończeniu usiadła na foteliku i nostalgicznie przyglądała się swojemu pokojowi. Tyle lat w nim spędziłam – pociągnęła nosem i zatrzymała wzrok na wiszącej nad łóżkiem reprodukcji obrazu Paula Cezanne’a *Jabłka i pomarańcze*. To od jego kupna kiedyś zaczęła zmianę wystroju pokoju, żeby nie wyglądał jak izba pamięci Piotrusia, ojca Elizy. Było to trzy lata po jego śmierci, kiedy zaczęła pracować w firmie innego Piotra. Wówczas właśnie postanowiła uczynić swój pokój nieco bardziej kolorowym, dostosować go do zmieniającego się na lepsze samopoczucia.

Zawsze do obrazu Cezanne’a dobierała kolor ścian, które niezmiennie miały zielone pastelowe barwy. Wpatrywała się w czerwień, żółć i pomarańcz owoców na obrazie. Początkowo zadurzyła się w Piotrze, swoim pracodawcy, i te kolory oddawały stan jej ówczesnych uczuć. Kiedy po jakimś czasie podeszła do związku z Piotrem racjonalnie, obraz i ogniste kolory utwierdzały ją w przekonaniu, że wciąż jest zdolna do uczuć, jednak... nie zmieniała partnera. Wiedziała, że to wygodnictwo, ale było jej z tym dobrze. Poza tym nie wyobrażała sobie wprowadzenia do sołackiego domu innego mężczyzny, przedstawienia go rodzicom, poznania z rosnącą i coraz bardziej wrażliwą córką. Nie wyobrażała sobie także zamieszkania z kimkolwiek gdzieś poza Sołaczem.

Więc obraz wisiał, a ona zmieniała w wystroju pokoju drobiazgi, lecz w życiu żadnych istotnych zmian nie chciała. Pokiwała głową. Ach! Poderwała się nagle. Przecież mam jeszcze zabrać rzeczy mamy i Elizki! Sięgnęła do torebki po wykazy, które od nich dostała. W ich pokojach poszło jej sprawnie. Dobrze, że przyjechaliliśmy z Krzysiem sami, bo cały bagażnik i tylne siedzenia będą wypełnione naszymi ciuchami!

\*

Kolacja przebiegała wybornie. Oboje w doskonałych humorach zjadali kolejne potrawy z apetytem i przysłuchiwali się próbom instrumentów dokonywanym przez członków zespołu.

– Znaczy się, dzisiaj mamy tutaj dancing – rzuciła Kasia pełną buzią i uśmiechnęła się.

– Może wiedzieli, że mamy co świętować – potwierdził mrugnięciem Krzysztof.

Lokal się zapełniał. Kasia stwierdziła, że wraz ze zmianą zespołu pojawiła się w nim zupełnie inna klientela, młodsza. Nie dostrzegła jakiegokolwiek znanej twarzy, choćby tylko stąd, z widzenia. Zespół grał technicznie nieźle, ale bardziej hałaśliwie niż niegdysiejszy, a i repertuar był zlepkim utworów głównie z lat dziewięćdziesiątych. Po lampce szampana Krzysztof wygłosił mowę dziękczynną za doprowadzony do finału biznes z mieszkaniem.

– Ależ dałeś przedstawienie! – zawołała Kasia, śmiejąc się do łez i przekrzykując zaczynający się kolejny utwór zespołu; odstawiła lampkę z szampanem, żeby go nie wychłapać.

– A wiesz, co to jest?

– No... Queen.

– Ale tytuł utworu?

– *Show must go on*, wiadomo.

– Czyli przedstawienie musi trwać! Zatańczmy więc, niech moje przedstawienie trwa! –

rozbawiony Krzysztof pociągnął Kaśkę w kierunku kłębiących się na parkiecie par; nie opierała się.

Bawili się razem z innymi, podśpiewując słowa i wymachując rękoma. Kiedy skończył się utwór, chciała wrócić do stolika, ale pierwsze takty kolejnej piosenki zatrzymały ją na parkiecie. Postanowiła posłuchać w tańcu, jak drobna ciemnowłosa wokalistka da sobie radę z ekspresją piosenki Sinéad O'Connor *Nothing compares to you*. Krzysztof przyciągnął ją do siebie. Bezwiednie przywarła do jego torsu. Wsłuchiwała się w słowa, które płynęły z estrady. Lubiła tę piosenkę, bo niektóre słowa pasowały do jej stanu po śmierci Piotrusia, chociaż cały tekst dotyczył nieszczęśliwej, zawiedzionej miłości. Spodobała jej się dzisiejsza interpretacja.

– Kasiu, bardzo ci dziękuję, że przekonałaś mamę, no i ty sama zgodziłaś się także, żeby sprzedać mi mieszkanie – usłyszała nagle ciepły głos Krzysztofa w uchu.

Odchyliła głowę do tyłu i zmrzyła oczy.

– Czego się nie robi dla partnera...

Ostatnim słowem miało być: biznesowego, ale nie wypowiedziała go głośno, tylko pomyślała i uśmiechnęła się. Przytulił ją mocniej. Nie oponowała. Po chwili poczuła muśnięcie jego ust na policzku, przywarła do Krzysztofa silniej. Kiedy jeszcze po chwili poczuła jego pocałunek na szyi, znowu odchyliła głowę do tyłu i przyglądała mu się szparkami oczu. Nachylił się ku niej i pocałował w usta. Nie uchylała się, oddała pocałunek żarliwie. Po chwili zdrętwiała i odskoczyła od niego.

– Krzysiu! Co my robimy! Tak nie wolno! – Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem w kierunku stolika.

– Ależ, Kasiu... to tylko... taki moment. Przepraszam.

– Wykorzystałeś mnie, a ja się temu poddałam

– uśmiechnęła się. – Przecież niedawno wydorośleliśmy, nieprawdaż?

– Prawdaż... – uśmiechnął się niepewnie.

– Posłuchajmy jeszcze trochę muzyki, dokończmy kolację i... może to ci się wyda dziwne, ale odwieziesz mnie na Sołacz, a sam pojedziesz na Szamarzewskiego, okej?

– Ale, Kasiu...

– Uwierz mi, że tak jednak będzie lepiej. – Klepnęła go w dłoń. – Z nami nigdy nic nie wiadomo!

– No dobrze, tylko że ja...

– Coś sobie, łobuzie, pomyślałeś? – Zmrzyła oczy; Krzysztof przecząco kręcił głową, ale oczy mu się śmiały. – Widzisz! – dorzuciła. – Ciągłe jesteśmy jak dzieci, a chcemy w swoich związkach być wiarygodni.

– Ty możesz, Kasiu, spokojnie o takich sprawach mówić?

– Miałam całe lato na przemyślenie ostatnich kilkunastu lat, a w szczególności ostatnich czterech miesięcy. Wiem, że nie wolno niczego żałować... – zamilkła na chwilę i pogroziła palcem – ...ale niekoniecznie trzeba popełniać dalej błędy. Zgadzasz się?

– Oj, jaka ty jesteś teraz dorosła! – uśmiechnął się szeroko.

– Ja ci dam! – Klepnęła go w dłoń. – Krzysiu! Chcę żebyśmy zostali prawdziwymi przyjaciółmi, co to wskoczą za sobą w ogień, pomogą sobie bez warunków wstępnych, ale nie będą wykorzystywać siebie w żaden inny sposób – ostatnie słowa powiedziała nieco twardziej, ale uśmiech zaraz rozjaśnił jej twarz.

Krzysztof podczas całej jej mowy kręcił głową na boki.



– Sporo muszę się jeszcze od ciebie nauczyć.

Kasia nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję ci jeszcze raz za wszystko, co wydarzyło się pomiędzy nami tego lata, a szczególnie za to, że przy tobie jestem w stanie tak trzeźwo myśleć i jeszcze głośno o tym mówić.

– Jesteś precudowną kobietą! – Teraz Krzysztof pocałował ją w policzek. – Zawsze będziesz mogła na mnie liczyć, a ja obiecuję, że naprawdę, w razie potrzeby, wskoczę za tobą w ogień!

– Rano będę miała potrzebę... – mrugnęła; Krzysiek zbaraniał. – Przyjedź, ale nie za późno... – zmrużyła oczy – ...na śniadanie, bo przecież musimy mieć sporo sił na raję po cmentarzach!

– Oj! Bym zapomniał!

– Najpierw na Jeżyce do Jana Bartkowiaka, potem do reszty na Junikowo. – Kasia pokiwała głową.

– A dużo tam na Junikowie macie grobów?

– Tatuś... – Kasia spojrzała smutno – ...babcia Jutka, dziadkowie, znaczy rodzice taty, no i kilka cioć i wujków. Będziesz miał sporo zniczy do niesienia i kwiaty – zakończyła, kiwając głową.

– Nie ma sprawy!

## *Studencki przekładaniec*



Przebieg wizyty w Parchowie uzmysłowił Elizie, że w kwestii Igora nie osiągnęła dotąd celu, który sobie zamierzyła. Postanowiła jakoś go zmienić, aby stał się dla niej bardziej przewidywalny. Wracając autobusem do Gdyni, wpatrywała się tępym wzrokiem w otwartą książkę od biologii, a myśli błąkały się w poszukiwaniu zmiany strategii. Nic jednak konstruktywnego nie zdołała wymyślić. Nie bardzo potrafiła już dociec, skąd się w niej taka myśl w ogóle pojawiła, ale nie miała ani chęci, ani czasu, aby ponownie przeprowadzać analizę.

Skoro kiedyś zdecydowałam, znaczy był powód, pewnie musiał mi z czymś podpaść i już. Chociaż z drugiej strony, niby latem wszystko było okej, no, prawie wszystko, ale przecież dobrze byłoby go jednak urobić po mojemu. Ja w takich sprawach nie myślę się nigdy.

Wydeła wargi i uśmiechnęła się do siebie, ale po chwili znowu spochmurniała. Pojawiły się bowiem nie wiadomo skąd, niczym błyskawica, dwa pytania: co to znaczy „po mojemu” i ile już takich spraw w życiu przeprowadziła? Sama sobie zripostowała. A co to ma do rzeczy? Wzruszyła ramionami. Trzeba coś zmienić i już! Wszak nie będę się teraz z tego pomysłu wycofywać, zresztą on też próbuje mnie uformować po swojemu. Wciąż zagłaskuje mnie, wszystko tłumaczy, jakbym była dzidzią... a ja przecież chcę robić tak jak mnie pasuje i sama o wszystkim decydować. I... ma być po mojemu!

Zacisnęła pięści, aż książka od ćwiczeń z biologii, która leżała na kolanach, z wrażenia zsunęła się na podłogę. Schyliła się po nią, otworzyła na właściwej stronie i spojrzała za okno, gdzie już poszarzało na dobre. A, to chyba dlatego nie idzie mi czytanie. Pokiwała głową. Po chwili jak bumerang wróciły myśli o Igorze. Zmarszczyła czoło. Wizyta w Parchowie uprzytomniła jej, że metody stosowane przez nią w celu zmiany Igora były i są błędne. Znowu wzruszyła ramionami. Autobus przeciskał się ciasnymi uliczkami Kartuz; spoglądała na nielicznych pieszych. Może gdzieś pomiędzy nimi zobaczę Igora...? Po chwili machnęła ręką i potrząsnęła czupryną. Przymknęła oczy. W myślach dojrzała twarz uśmiechniętego Aleksa. Jego powłóczyście spojrzenie spoczywało na niej. Odpowiedziała mu uśmiechem zmrużonych oczu.

\*

Nowy tydzień na uczelni nie zaczął się dla niej najlepiej. Kolejne dni zajęć oraz tempo pojawiania się podczas nich nowego materiału, spowodowały powiększenie się zaległości. Czemu oni tak pędzą? Jak mam to wszystko nadgonić? Jej drobne piąstki załomotały po leżącym przed nią na biurku brudnopisie. Przebiegała wzrokiem zadanie z matematyki, w którym znowu się zapętliła. Gdzieś tu robię błąd. Zerknęła na przykład w książce. Aha! No tak. Tylko dlaczego mi to umyka? Pokręciła głową. Spojrzała ponad biurkową lampką na światła portu i bulwaru. Pewnie nikogo tam nie ma. Za duży wiatr. Spoglądała na rozkołysane gałęzie, które coraz bardziej traciły schnące liście. Niedługo będą zupełnie

gołe. Nie lubię tego czasu. Znowu pokręciła głową. Może jeszcze jedno zadanie tego typu? Albo może teraz spojrzę na ćwiczenia z chemii...? Muszę zrobić sprawozdanie, bo przedtem robiła Wika. Leżąca na parapecie komórka rozświetliła się, zaczęła wibrować i lekko poruszać się. Kogo tu licha...? Igor!

– A cześć...

– Witaj, Eliza! Co dzisiaj robisz?

– Co robię? Matma... Żle mi idzie!... W planie mam zamiar porobić chwilę sprawozdanie z ćwiczeń z chemii, a potem wrócę do liczenia zadań z matmy...

– Powinnaś dać sobie trochę czasu na odpoczynek. Jakies wytchnienie jest niezbędnym.

– Wytchnienie?... Dobrze sobie. A kto za mnie to wszystko opanuje?...

– No, nie przesadzaj.

– Przesadzam?... Siedzę jak ten kołek, a ty mówisz, że przesadzam...

– Proponuję, Eliza, wypad na kawę. Mogę zaraz do ciebie przyjechać.

– Nie, jednak dziękuję, bo potem będę żałowała... Dwie godziny stracisz, żeby ze mną pół godziny posiedzieć... To bez sensu.

– Chciałem ci tylko zrobić przyjemność.

– Doceniam to, ale innym razem, Igorio! Ustaliliśmy, że spotykamy się w Parchowie, prawda?

– No trudno. W takim razie pa.

– To pa!

Potrząsnęła czupryną. Może jednak mogłam się zgodzić? Nie! Dobrze zrobiłam. Wstawiłby mi na pewno mowę mobilizującą, może by i coś podpowiedział

– ogarnęła brudnopis wzrokiem. Ale gdzie? W kafejce, na spacerze? Przecież tu go nie zaproszę. Komórka na parapecie ponownie się odezwała. Czego on znowu chce? A nie, to Aleks.

– A witaj... – uśmiechnęła się.

– Co o tak pięknej porze robi studentka?

– Co robi studentka? Uczy się i głowa jej puchnie!...

– Może byś chciała rozprężyć się troszeczkę?

– Rozprężyć...? Raczej nie... albo wiesz co, dobrze. Jesteś w centrum?

– Coś załatwiałem, ale nie chce mi się jeszcze wracać do domu, bo tam... nauka.

Proponuję kawę... albo kawę...

– To za pół godziny podejdz pod schody Kamiennej Góry...

– Tam, gdzie poprzednim razem cię doprowadziłem?

– Tak, dokładnie.

– To do zobaczenia. Pa!

– Pa!

Ach, przewietrzę się. Może to i dobrze mi zrobi. Cholipa! Ten to potrafi mnie podejść. Psycholog! – roześmiała się.

Kiedy schodziła ze schodów, dojrzała go stojącego po drugiej stronie ulicy. Pomachał do niej; też ją zobaczył. Szybkim krokiem pokonał jezdnię i nawet się nie spostrzegła, kiedy cmoknął ją w policzek. Miłe to było

– zmrużyła oczy, zaglądając mu w twarz.

– Jakaś propozycja? – rzuciła.

– A ile dajesz mi czasu? – spytał aksamitnym głosem i ogarnął swoim powłóczyстым spojrzeniem.

– Góra godzina...

– Super!

Nawet się nie zauważyła, kiedy jego usta znalazły się na jej wargach. Lekko zeszywniała, ale po chwili poddała się. Poczowała ciepło na karku. Wywinęła się.

– Wykorzystujesz ciemności! – pisnęła.

– Przecież tutaj są latarnie! – roześmiał się i znowu przywarł do jej ust.

Eliza bezwiednie wspięła się na palce. Teraz on po chwili odsunął głowę do tyłu.

– Czy może być „Cafe Anioł”?

– Lubię ją.

– To taka nasza przystań... – Posłał jej uwodzicielskie spojrzenie.

Eliza zmarszczyła brwi.

– Tak, to ładna przystań... Całkiem blisko, a wydawało mi się, że to nieco dalej... – Wskazała na jaśniejące niedaleko witryny lokalu.

Tym razem poprosiła o herbatę, ale skusiła się na kawałek sernika. Z głośników płynęła nastrojowa smooth jazzowa muzyka. Od czasu koncertu w „Leśnym Dworze” polubiła ten nieznaną jej wcześniej styl – na twarzy Elizy pojawił się uśmiech.

– Lubię, jak się uśmiechasz. – Aleks położył rękę na jej dłoni, wykorzystując świadomie magnetyzm swego wzroku.

– Bo... powiem ci prawdę, taką muzykę lubię od pewnego koncertu tego lata. – Delikatnym ruchem uwolniła swoją dłoń.

– Mnie ona nie przeszkadza, ale być może kiedyś do niej dorosnę. – Aleks wskazał głową na głośnik. – Były jakieś nadzwyczajne okoliczności ...? – spytał aksamitnym głosem.

Co ja głupia gadam...? Jeszcze brakuje, żebym mu zaczęła mówić o Igorze! Eliza poruszyła kilkakrotnie głową na boki.

– Były, bo wybrałam się rodzinnie na koncert w ramach festiwalu „Jazz w lesie” w Sulęczynie – uśmiechnęła się.

– W naszym Sulęczynie?

– Tak, w naszym. – Pokiwała głową.

– Aha! Przez moment zapomniałem, że ty kaszubiejesz niedaleko Sulęcyna.

– O, skojarzyłeś!

– Nawet pamiętam, że ta wieś nazywa się Parchowo.

– A już myślałam, że dla ciebie świat się kończy na Węsiarach...

– Tam byłem najdalej na tej trasie, ale teraz, dzięki tobie, może poznam następne miejscowości... – nie spuszczał z niej magnetycznego wzroku.

– Obie wsie są stare i pochodzą z początku trzynastego wieku, warto je zobaczyć ze względu na zabytkowe kościoły i zespoły pałacowe. Ale oprócz tego tam i tak jest pięknie.

– Eliza przymknęła oczy.

– O! Widzę, że poznajesz je od korzeni.

– Bo warto! Kiedyś nie myślałam, że oprócz mojego kochanego Poznania coś jeszcze będzie mnie w stanie zauroczyć – pokiwała głową. – Czy wiesz, że do „Leśnego Dworu” wpada czasami Nigel Kennedy? Czy wiesz, że w tamtejszym parku jest klon, który w obwodzie ma prawie pięć i pół metra i pod tym względem jest rekordzistą w Polsce?

Jego wiek to co najmniej dwieście lat! – zaperzyła się.

– Ale mimo wszystko to wsie – powiedział lekko, wykonując dziwny gest dłońmi.

– Aleks! Gdynia do niedawna też była wsią... może nie? Jest piękna, ja chcę tu mieszkać i pracować... tylko, kurczę, najpierw muszę pokonać pierwszy semestr! – roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

– No, to z czym masz problemy? We wszystkim mogę ci pomóc. – Ręka Aleksa znowu przykryła małą dłoń Elizy.

– Nie potrafię się zorganizować... a ty mi nie ułatwiasz. – Eliza gwałtownie wyzwoliła swoją dłoń. – Dałam się wyciągnąć, a powinnam się uczyć. Pojutrze mam ćwiczenia z chemii, laborki, muszę się do nich przygotować i zrobić sprawozdanie z poprzednich, kolejne kolokwium z matmy będzie lada dzień... No wiesz. Dobrze, że wcześniejsze poprawiłam – przewróciła oczami.

– Dasz radę. Wszystko trzeba brać sposobem.

– Pamiętam, że tak mówiliście z Kubą latem w autobusie, ale te wasze różne sposoby, taktyki można stosować od drugiego semestru, a pierwszy trzeba po prostu pokonać.

– Dobrze słuchałaś – uśmiechnął się.

– Ho, ho, ho! Kończymy i muszę wracać. – Eliza podniosła filiżankę i wysączyła ostatnie krople herbaty.

– No, ale to ledwie minęło kilkanaście minut...

– I starczy, jeśli mam zamiar dalej tutaj studiować

– roześmiała się głośno.

– Tak nie można!

– Chcesz mojej zguby? Chcesz, żebym stąd wyjechała?

– Niecee...! – Utkwił w niej na chwilę swoje uwodzicielskie spojrzenie i poderwał się z krzesła.

Pomagając jej włożyć kurtkę, nachylił się i delikatnie musnął ustami kark Elizy. Przeszył ją dreszcz. Odwróciła się i zmrużyła oczy. Wykorzystał moment i pocałował ją szybko w usta. Eliza odskoczyła.

– Lubię, jak tak się droczysz.

– Aleks, Aleks... – zachnęła się i pogroziła palcem; kiedy ujrzała zdziwienie w jego oczach, zaśmiała się i ruszyła szybkim krokiem w kierunku wyjścia.

On sobie za dużo pozwala, a ja się zapominam! Zmarszczyła czoło i nos, schodząc po schodach. Zrównał się z nią i otoczył ramieniem.

– No już dobrze, nie gniewaj się... – aksamitnym głosem wyszeptał jej do ucha.

Pokiwała głową. W połowie schodów na Kamienną Górę sama musnęła ustami jego policzek.

– A teraz już trafię bez pomocy, ale ty tutaj postój, póki nie będę na szczycie.

Pogłaskała go po policzku i ruszyła zwawo pod górę.

Na samej górze odwróciła się i pokiwała Aleksowi. Stał tam, gdzie się rozstali. Odmachał jej. Kilkadziesiąt metrów dalej, kiedy wchodziła w Mickiewicza, wydało jej się, że obok sąsiedniej willi, pod drzewami, widzi zakapturzoną postać. Przyspieszyła kroku. Kiedy wchodziła w furtkę domu, spojrzała w prawo. Postać w kapturze stała na środku chodnika.

I teraz co? Siedziała już od kilkunastu minut przy biurku i nie mogła się zdecydować, do czego ma się zabrać. Do chemii czy matematyki? Po co w ogóle z nim poszłam? Teraz zacznij sobie jeszcze coś obiecywać. Przecież to było tylko na złość Igorowi, a Aleks albo za łapki, albo do całowania. Całusny taki! Ale sprytny i ciepły jest – uśmiechnęła się. A jak tym swoim wzrokiem mnie omiata... diabeł jeden. On to wszystko wie i wykorzystuje. Zna swoją broń... Casanova – pokręciła głową z podziwem. Biedne te dziewczyny. A Igorio? Przecież to głupie, żeby spędzał w podróży kolejką prawie dwie godziny, a mielibyśmy się spotkać tylko na pół. Ale z drugiej strony, co mi do tego? Jak chce, to niech jedzie. Na drugi raz się zgodzę. Tak, tak... wystarczy, że raz się zgodzisz i będzie cię cały czas nawiedzał. Nie, nie zgodzę się, dobrze zrobiłam. Tylko po co poszłam z Alekssem? A bo ja wiem? – wzruszyła ramionami. A co to, jakieś przesłuchanie? Spojrzała na swoje odbicie w szybie. Wydawało jej się, że miało taki sam głupi wyraz twarzy i zdziwienie w oczach jak ona sama. To by się nawet zgadzało – powiedziała głośno i zaśmiała się. Usłyszała pukanie do drzwi. Pani Franciszka przyszła z tacą.

– Nawet się nie zatrzymałaś na dole – powiedziała z lekkim wyrzutem, choć na twarzy miała uśmiech.

– Ech! Bo miałam się dzisiaj mocno uczyć... ale na godzinę wyskoczyłam i chciałam szybko nadrobić.

– To dobrze, że się przewietrzyłaś. Głowa potrzebuje tlenu, tyle tylko, że jak nie musisz, to nie chodź po ciemku. Co innego latem. Bo teraz taka moda, że chodzą różni tacy w kapturach, twarzy nie widać... kiedyś tego nie było. – Pokręciła głową.

– A mnie ktoś w kapturze też się właśnie przyglądał. Tutaj, niedaleko – powiedziała Eliza.

– Tak? No widzisz. Jakąś godzinę temu, już mocno szaro było, też miałam takie wrażenie, że ktoś w kapturze przechodził przed naszymi oknami. Chyba ze dwa razy nawet, tam i z powrotem. – Pani Franciszka, mówiąc to, wykonała ruch dłonią w dwie strony. – Przyniosłam ci kanapeczkę i herbatkę z cytryną.

– Oj, dziękuję. Sama bym zaraz zeszła.

– Dziecko, przecież szykuję Antoniemu, więc dla mnie jeszcze jedną zrobić to żaden problem. Lubię to

– uśmiechnęła się pani Franciszka. – Mieć takie miłe obowiązki to duża przyjemność. Tylko nie przy zeszytach... – zareagowała, gdy Eliza uniosła tacę – ...zjedz przy stole, jak człowiek

– Jakbym swoją babcie słyszała – westchnęła Eliza.

– Jeśli tak mówi, to mądra kobieta. Mam nadzieję ją poznać – ucieszyła się pani Franciszka i wyszła.

Każdy chce mnie czegoś uczyć, coś nakazywać, jak nie mama, to babcia, jak nie Igorio, to teraz pani Franciszka. Aha...! Jeszcze Wice się kiedyś zdarzyło. Czy oni nie mogą zrozumieć, że ja wszystko wiem, a zrobię i tak jak uważam? Ależ pani Franciszka robi pyszne kanapki. Eliza uśmiechnęła się. Szkoda, że tak mało. A ten ktoś w kapturze? To ciekawe. Tu przed domem też chodził. Pokręciła głową. Może jakiś psychopata albo co gorsza... Nie! Przestań się sama strachać. Zjedz, kobito, spokojnie.

Wyzbierała okruchy z talerzyka i popiła herbatą. Rozejrzała się po pokoju. No dobrze, czas na naukę. Przeniosła się wolnym krokiem do biurka. Spojrzała za okno. Światła statków na redzie, portu i bulwaru zatrzymały na krótko jej wzrok. Pięknie jest tutaj! No,

ucz się wreszcie, ciućwo, żebyś nie musiała ciupasem stąd wyjeżdzać!  
Potarła czoło.

\*

Przez kolejne dwa tygodnie Eliza próbowała się lepiej zorganizować. Zrezygnowała nawet kolejny raz z wyjazdu do Parchowa.

– Mówiłam ci! Muszę się nauczyć uczenia! – krzyknęła poirytowana, gdy zadzwoniła zmartwiona mama.

– Ale nie przemęczaj się, córcia!

Chciała jeszcze krzyknąć: „Mamo, oprócz nauki mam poważniejszy problem”, ale ugryzła się w język! To Igor i Aleks! Muszę sobie sama z nim poradzić. Właśnie. Igor i Aleks. To przez nich jej myśli często się kłębią, chociaż z powodu Aleksa właściwie nie powinny. Przecież z nim to ona umawia się tylko po to, żeby zrobić Igorowi na złość. Albo na chwilę oderwać się od nauki. Tyle że on jest taki... nieobliczalny. I te jego powłóczyste spojrzenia i aksamitny głos. Zmrużyła oczy. A Igor? Przecież ja chcę się z nim spotykać, ale nie tak, jak on to sobie wyobraża. Nie na jego warunkach. Tak czy owak, najpierw muszę nadrobić zaległości. A w ogóle, co to kogo obchodzi – czy Igor, czy Aleks? Zresztą nie cofnę czasu, tego, co już się stało, i nie zmienię się. Spojrzała na swoje odbicie w szybie. A sio, myśli! Teraz nauka!

\*

Wika zrobiła Elizie awanturę o odrzucone przez panią doktor sprawozdanie z ćwiczeń z chemii. Miała w zasadzie rację, bo przez to musiała niepotrzebnie powtarzać ćwiczenie. To znaczy powtarzały obie, ale Wika zaparła się i postanowiła tym razem sama przygotować sprawozdanie, bo Elizie póki co nie może ufać. Potem zaproponowała, że dopisze do sprawozdania jej nazwisko, ale Eliza uniosła się honorem.

– Aha! Chcesz zrobić sama... – Wika podniosła brew. – Jakby co, pamiętaj, że proponowałam.

Niedługo Wika zawałiła drugie z kolei ćwiczenie z chemii. I to ponownie przez źle zrobione sprawozdanie. Ich wzrok się wówczas spotkał, ale żadna nie uzewnętrzniła swoich myśli. Eliza miała więc teraz już dwa ćwiczenia i dwa sprawozdania niezaliczone, a doszedł do tego jeszcze fatalny błąd na drugim kolokwium z matematyki. Bo początkowo, jak się później okazało, miała dobrze zrobione cztery na pięć zadań, ale ponieważ inni szeptali, że mają inne wyniki, zdenerwowana zaczęła poprawiać. I to był błąd. Dostała niestety dwóję, a miałyby czwórkę. No i znowu Wika triumfowała.

– Słuchaj siebie, a nie tego, co inni szepczą. Wiesz, tłum nie zawsze ma rację – powiedziała i zrobiła mądrą minę. – Przyjeżdżaj do mnie, będziemy się razem uczyć. Ja na uczelni nie będę zostawać, bo nie lubię tłoku.

– Nie, muszę sama do wszystkiego dojść...

– Nie bądź taka Zosia Samosia! Rodziców moich przecież znasz, zamkniemy się w pokoju, nie musimy wciąż gadać, a tylko wtedy, kiedy to niezbędne. Są pewne rzeczy, które ty lepiej zapamiętujesz, a są i takie, które mnie lepiej leżą. Pomóżmy sobie.

Eliza zacięła się i odmówiła. Męczyła się dalej sama, ale efekt był taki, że Wika na ogół

była dobrze przygotowana, jakoś wszystko zaliczała, a Elizie przytrafiały się wpadki. Ukojeniem na doznawane niepowodzenia były spotkania z Alekssem, bo Igorowi dla zasady wciąż odmawiała. Sama już przestawała to rozumieć, ale odmawiała. A potem podczas wyjścia na kawę czy herbatę z Alekssem zdarzały się przypadkowe pocałunki, które zaczynała traktować jako coś zupełnie normalnego, chociaż wciąż jeszcze starała się robić uniki. Każdorazowo po serii jego powłóczyстых spojrzeń i kilku słodkich słowach wypowiedzianych aksamitnym głosem zapominała o czujności. Czuła się przy nim mimo wszystko bezpieczna, bawił ją i nie dostrzegała w tych spotkaniach nic zdrożnego. Po powrocie z nich miała jednak za każdym razem moralnego kaca, a kłębiące się myśli: Igor czy Aleks utrudniały skupienie się na nauce.

Podczas powrotów do domu na ogół zauważała w oddali zakapturzoną postać i z czasem uznała to za coś normalnego, element tutejszego krajobrazu. Gdy pewnego razu nie dostrzegła tej postaci, bezwiednie zaczęła się za nią rozglądać. Kiedy po chwili oprzytomniała, palnęła się dłonią w czoło, aż prawie ujrzała świeczki. Skretyniałam! – wrzasnęła w duchu.

Jadąc na weekend na Wszystkich Świętych, znowu oddała się rozmyślaniami dotyczącym strategii wobec Igora. Wcześniej nie miała na to czasu, bo ciągle działo się coś ważnego, a kiedy dopadał ją psychiczny dołek, po niepowodzeniach na uczelni czy kolejnej odmowie udzielonej Igorowi, spotykała się na chwilę z Alekssem, co w efekcie wcale nie poprawiało jej stanu. Aleks działał na nią jak narkotyk. Im bardziej chciała o nim zapomnieć, odrzucić, tym bardziej potem miała ochotę się z nim spotkać. Dziwiła się sobie, że po ostatnim esemesie od Igora sama do niego zadzwoniła i zaprosiła do Parchowa. Ucieszył się, chociaż w głosie wyczuwała pewną rezerwę. Dla ocieplenia zaproponowała, że przesiądzie się w Kartuzach do jego auta, jeśli może jechać już w piątek. To rzeczywiście poprawiło mu humor.

Gdy po przesiadce ulokowała się już na siedzeniu, zaczął wpatrywać się w nią badawczo.

– Czyżbym się jakoś zmieniła, że mnie tak taksujesz? – spytała, mrużąc oczy.

– Sama chyba wiesz najlepiej – odparł, cedząc słowa, i ruszył.

– Przecież tylko dwa tygodnie nie widzieliśmy się.

– Dwa tygodnie, ale to nie musiało być aż tak długo – odparł, obrzucając ją chłodnym wzrokiem.

– Chyba nie cieszysz się z naszego spotkania.

– Te dni to nie karnawał, to czas zadumy... – zawiesił głos.

Zerknęła na niego z ukosa.. O! Igor z Kartuz, filozof. Ale zasunął.

– ...a poza tym... – teraz on spojrzał na nią ukradkiem – ...wiozę skarb, więc muszę bardzo uważać – lekko się uśmiechnął.

Musnęła palcami jego policzek. Uśmiechnął się nieco szerzej.

– Dziękuję, że tym razem zadzwoniłaś i napisałaś esemesa. Jedno i drugie bardzo mnie ucieszyło.

– Igor... ja naprawdę staram się nie ingerować w niczyje plany, nie kraść nikomu czasu ani narażać na niepotrzebne eskapady... to również dotyczy ciebie.

– Czy to twój jedyny komentarz do tych odmów, gdy proponuję spotkanie?

– Znakomicie to ująłeś. – Eliza starała się, aby ton jej głosu był spokojny.

– Ale w czym nasze spotkania mogą być przeszkodą dla ciebie?



Mimo ciemności dojrzała błysk w jego oczach.

– Już o tym kiedyś długo rozmawialiśmy, przed chwilą powiedziałam to w skrócie. Ale dodam jeszcze jedno. Uczę się siebie i chcę do wszystkiego dojść sama. Chcę sobie sama dawać radę w sprawach błahych i złożonych, a najważniejsze – przełamać sytuację patową w nauce. Mam kłopoty z ćwiczeń z chemii, zawałam też z własnej winy dwa kolokwia z matematyki. Chcę sobie udowodnić, że dam radę, że moja decyzja, by tutaj studiować, była słuszna. I chociaż może nie wszystko, co robię, wygląda z boku dobrze, to jednak chcę to robić po swojemu. Na bieżąco staram się korygować to, co robię źle. Widzę swoje błędy.

– Wszystkie błędy? – Igor zwolecił i spojrzął na Elizę badawczo.

– Sądzę, że wszystkie, ale jeśli jeszcze czegoś nie dojrzałam, to wkrótce sama zobaczę. Jestem pewna.

Zamyślił się. Po chwili z jego twarzy zniknął mars i pierwszy raz od chwili spotkania w Kartuzach uśmiechnął się szeroko.

– Tośmy sobie... porozmawiali, tak zasadniczo.

– Odchylił się lekko, żeby dotknąć dłoni Elizy, która spoczywała na jej kolanach.

– Ty lepiej pilnuj fajery! – zawołała już na luzie. – Jak by nie było, wiesz skarbie! Roześmiali się obydwójce. Lody puściły.

\*

– Ojejku! Ale pachnie! – Eliza zawołała wesoło, gdy przekroczyła próg kuchni i kilkukrotnie głęboko wciągnęła powietrze.

– Oj, kruszyno, wymizerowana jesteś... – Felcia pierwsza ją przytuliła. – O! Igor też jest!

Eliza wyściskała się z mamą i babcią, a potem z Janem i Maciejem.

– No i jak tam, opowiadaj... – uśmiechnęła się Kaśka, gdy Eliza usiadła przy stole.

– Słuchajcie, bo dwa razy nie będę mówić. – Eliza zmrużyła oczy; twarze wokół stołu rozjaśniły się uśmiechami. – Jest źle, ale nie beznadziejnie – przebiegła wzrokiem wokół; miny wszystkich nieco spoważniały. – Igorio już wie... Nie jest z górki, ale to, co jest źle, to wszystko moja wina. No, nie dziwcie się... Raz, że jak ta głupia wsłuchałam się w to, co mówi tłum...

– Możesz jaśniej, dziecko? – Anna zatrzepotała powiekami.

– Bo na ostatnim kolokwium z matematyki zrobiła dobrze zadania – wtrącił Igor – ale usłyszała szeptem inne wyniki, spanikowała i zaczęła sprawdzać, kreślić, i dopiero wtedy się pochrzało, a czas się skończył.

– Zamiast mieć cztery zadania na pięć dobrze, to tylko jedno zostało dobre. Dostałabym czwórkę, a tak wyszła pała.

– Najważniejsze, Eliza, że już wiesz, by nie słuchać podszeptów – wygłosił barytonem Maciej; mama i babcia pokiwały głowami.

– No, to chyba nie ma się o co martwić! – Klasnęła w dłonie Felcia.

– Nie tak do końca, bo to nie wszystko... – Eliza nieco spoważniała. – Zawałam też dwie laborki z chemii i to też z własnej głupoty. – Rozłożyła ramiona. – Tylko macie nie mówić Wice, że się do tego przyznałam.

– Ale dlaczego, dziecko, z twojej winy? – zaproponowała Kaśka.

– Wszystko przez to, że nie chcę nikomu w niczym ulegać, czegoś zawdzięczać, chcę wszystko robić sama i po swojemu, wiem, co robię źle, ale z każdym dniem staram się działać lepiej. Jasne? Muszę dać radę, bo do Poznania i tak nie mam zamiaru wracać. To już zresztą kiedyś mówiłam, nie...? – Spojrzała na matkę.

– Dziecko, ale...

– Mamuś, tylko nie dziecko! – Eliza zaśmiała się.

– Wiecie co? – odezwał się Jan, który na ogół w tego typu rodzinnych dyskusjach nie zabierał głosu; teraz wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Mamy dwa dni wolnego, Eliza wszystko już powiedziała, więc zajmijmy się dla odmiany czym innym.

Anna, Kaśka i Felcia spojrzały na niego z niedowierzaniem.

– No, ale... – zaczęła Kaśka.

– Gdyby do mnie kiedyś przyszła studentka i wykazała taką odwagę w ocenie swoich potknięć czy niewiedzy, to ze swoich przedmiotów wstawiłbym jej do indeksu same piątki. Z góry! Za szczerą i prawdę, bo miałbym pewność, że ona wie, czego nie wie, i w swoim czasie nauczy się wszystkiego jak należy. Ot, co!

– A wiesz, tato? – odezwał się tubalnie Maciej. – Pomyślałem podobnie jak ty. – Wymienili spojrzenia.

– Eliza! Ty masz już studia z głowy!

– Jak to z głowy? – Zaskoczona Kaśka zrobiła wielkie oczy.

– No co wy mówicie? – Anna też wyglądała na zdezorientowaną.

– Dziękuję panom profesorom. – Eliza skłoniła się teatralnie najpierw w stronę Jana, a potem Macieja.

– Jak już wyjadę, to sobie tutaj resztę wyjaśnicie. – Spojrzała wymownie na mamę, babcie i Felcie.

– Mnie do tego nie mieszaj – zachichotała Felcia.

– Ja też jestem tego samego zdania, co Jan i Maciej. Moja krew – zaśmiała się głośno.

Kuchnia wypełniła się śmiechem.

\*

Dwa dni upłynęły w „Iskierce” naprzemiennie na rozmowach przy stole i spacerach. Oczywiście nie obeszło się bez dłuższej rozmowy w trzy pary oczu, Anny, Kaśki i Elizy. Rozstały się po niej w dobrych nastrojach. Igor – poza tą rodzinną naradą – nie odstępował Elizy na krok, aż do niedzielnego śniadania, po którym musiał wrócić do Kartuz, a ona cały czas starała się być dla niego miła.

Znalazła wreszcie chwilę, aby pomyśleć o swojej poznańskiej „paczce” z liceum; wysłała esemesy z pozdrowieniami do Zuzy i Jolki. Po chwili napisała też do Oskara. Zdziwiła się, kiedy pierwsza odpowiedź przyszła właśnie od niego. „Kiedy wpadniesz z Igorem na imprezę?” Nie mam czasu, chłopie, na żadne imprezy, pomyślała. „Na wiosnę” – odpisała. Po godzinie przyszły, jeden po drugim, esemesy od dziewczyn. Zuza: „Masz siły na naukę? Mnie ledwo idzie. Trzymaj się!”. Jolka: „Jesteśmy z Zygą na Halloween. Ściskam cię”. Dziewczyny zamieniły się charakterami?! Ciekawe!

Podczas powrotnej drogi, w autobusie, Eliza złożyła sobie solenną obietnicę, że w pewnych sprawach zmieni tryb postępowania, ale jeśli idzie o strategię wobec Igora, odwrotu nie ma. Zakrzuszyła się śmiechem, aż zdziwiona sąsiadka zmierzyła ją wzrokiem.

## Ostatnią jazda



Anna nacisnęła klamkę do pokoju Kaśki.

– Dalej męczą cię kaszel? – Spojrzała na córkę z troską.

– Już mniej, bo utarte jajko z czosnkiem zawsze pomaga – usłyszała pełną ulgi odpowiedź.

– Ale dlaczego wstałaś? – Anna wskazała na dres, w który ubrała się Kasia.

– Przecież leżę – córka prychnęła śmiechem. – Trzy dni starczy. Wyprysznicowałam się o świcie, że hej, poleżałam trochę pod kołdrą, żeby się jeszcze rozgrzać, ale pół godziny temu ubrałam się i sobie poleguję. Przez dwa dni jajko z czosnkiem to więcej niż najlepszy antybiotyk. Przypomniała mi się wyprawa z tatą do Kórnika, kiedy ty tam zachorowałaś. Pamiętasz? Przywieźliśmy świeże gospodarskie jajka i też jadłaś ucierane z czosnkiem.

– Pamiętam... wówczas prawie straciłam głos, a już następnego dnia po jajku zaczęłam mówić. – Anna przysiadła na łóżku. – Zastanawiam się, co ze sobą zrobić?

– Nie rozumiem? Co się stało?

– Od czasu wyprawy z Ryszardem do Słupska i Łeby nigdzie się nie ruszałam. Trochę mnie nosi.

– Ale masz jakiś pomysł? Ja nigdzie z tobą nie pojadę. Postanowiłam sobie, że jeszcze ze trzy dni odpocznę i wykuruję się do końca. W inne lata lekceważyłam samopoczucie, ale teraz nie ma głupich. Rozmawiałam o tym rano z Krzyśkiem, poinformowałam też załogę w Kartuzach.

– No i słusznie! Trochę podsłuchałam twoją rozmowę z Krzysztofem.

– Jak mogłaś! – Kaśka uniosła się na łokciu.

– Tak się darłaś, że trudno było nie słyszeć. – Anna poklepała córkę po pupie. – Właśnie wtedy pomyślałam, że skoro ty się nie ruszasz, to ja wezmę Żabę i przejadę się na początek do Ryszarda. Zrobię mu niespodziankę.

– No, no, no! Żebyś się nie zdziwiła.

– A daj ty spokój, przecież to rycerz w każdym calu. Prędszej ja bym coś wykombinowała... – Anna zmrużyła oczy.

– Ty wirażko! – Kaśka odpowiedziała także zmrużeniem oczu. – No, to w czym problem?

– W zasadzie to w niczym, ale chciałam ci po prostu o tym powiedzieć.

– To o której ruszasz? Teraz dobrze spytałam? – Kaśka usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

– Tak, dobrze... – Anna uśmiechnęła się. – Przyszłam spytać, czy nie masz ochoty na kawę i wtedy bym dopiero ruszyła.

– E tam. Nie mam smaku na kawę. Trochę poczytam, potem zerknę do komputera do planów na nowy rok, a ty nie zwlekaj, tylko jedź.

– Mówisz?

– No, chyba że wypijesz kawę z Felcią.

– Z Felcią piłam rano, a teraz ona coś tam u siebie robi.

– No, to jedź zaraz!

– No, to dawaj papiery i kluczyki!

Zaśmiały się obie.

– Masz zatankowane. Tego dnia, co padłam, byłam na stacji. Nawet do Poznania dojedziesz.

– Ty mnie nie kuś! – Anna wyprostowała się i spoważniała.

– Żartowałam z tym paliwem. Jest tylko na sto kilometrów, ale do Bytowa i z powrotem starczy.

– Kiedy ty, córcia, mówisz poważnie?

– Zawsze żartuję – uśmiechnęła się Kaśka. – Tak naprawdę to nie pamiętam, ale jak poprosisz Ryszarda, to zerknie. – Kaśka podała matce dokumenty wozu i kluczyki.

– No dobrze, to jadę. – Anna wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. – To pa! – Pomachała, zamykając drzwi.

Za niecałe pół godziny Kaśka usłyszała pracę silnika Żaby. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

\*

– Ależ mi zrobiłaś niespodziankę... – Ryszard przytulił Annę. – To ja dzisiaj robię sobie wolne!

– Poważnie?

– A co, chcesz siedzieć tutaj sama?

– Nie.

– No, to już mam wolne. Zadzwoń tylko do sekretariatu. A na co masz ochotę?

– Zanim ty coś wymyślisz... – Anna zawiesiła głos i pocałowała Ryszarda w policzek – ...to może byśmy odwiedzili szpital, wiesz... – skończyła cicho.

– Anno. Przecież tego, że tu leżałaś, nie pamiętasz, więc potraktuj to jako zwiedzanie... bo ja wiem, muzeum.

– Niby tak, ale emocji trochę mam.

– Proponuję spacer, żebyś się uspokoiła. To przecież niedaleko i nawet niezła pogoda – ocenił po zerknięciu za okno. – Może najpierw wypijemy kawę albo lampkę wina?

– Kawę wypijemy po powrocie, a wino... chcesz pić przed południem? Jakoś nigdy nie potrafiłam.

– A u Felci nalewka bywa przecież z rana.

– Nigdy wcześniej niż o dziesiątej nie piłyśmy, a i to wówczas, kiedy nigdzie się nie wybierałam.

– Żartowałam. To od razu czy za chwilę?

– Miałaś zadzwonić...

– Aha! – Złapał komórkę. – Wiesia? Robię sobie dzisiaj wolne... że co?... Nie, nie, nie... Oni odmawiali dwa razy, potem przełożyli termin, a dzisiaj ja nie mogę... dasz radę... Do poniedziałku.... Jak mówię jeden dzień, to biorę trzy dni – zaśmiał się. – Jakby co, to dzwoń. Do widzenia.

Szli wolnym krokiem. Ryszard opowiadał o mijanych kolejno kamienicach.

– Znasz dobrze ich historię – zauważyła.

– Wbrew pozorom, Bytów stosunkowo krótko był poza Polską, bo dopiero od tysiąc sześćset pięćdziesiątego siódmego roku, a więc razem z wcześniejszą przejściową zależnością od Krzyżaków w czternastym wieku tylko trzysta sześćdziesiąt dziewięć lat. Czyli wynika, że przy Polsce i słowiańskich książełach pomorskich Bytów był pięćset dwadzieścia lat. Ciekawa historia. Na samym początku gród powstał jako słowiański – podkreślił Ryszard.

– Jakbyś czekał z tym opowiadaniem na dzisiejszy dzień. Wykuty jesteś, że ho, ho... – Anna ścisnęła jego dłoń.

– Jako niegdysiejszy szef rycerzy tutejszego zamku, musiałem to wiedzieć, żeby móc o słowiańskości tych ziem wszem i wobec poświadczać – dodał nieco teatralnym tonem.

– Śmiejesz się ciągle z tego? – Anna spojrzała mu filuternie w oczy.

– Ten twój „szef rycerzy”... – powiedział Ryszard znacząco – ...obrósł już w wiele anegdot. Pan Paweł Dzieżba przekazał mi informację na temat waszej rozmowy o tym szefie, czyli o mnie, i wyczuł w twoich słowach wielką estymę, kiedy mówiłaś o sprawach zabaw w rycerzy jako o misji. Powiedział, że w każdym twoim słowie czuć było wielką damę, a poza tym miał i ma wielki szacunek do dawnych czasów, kiedy działaliśmy na tym polu wspólnie z Mikołajem. – Ryszard przyłożył dłoń do serca.

– No, już dobrze... – Anna uśmiechnęła się.

– Wracając do historii, rynek i okolice były po czterdziestym piątym roku całkowicie pogruchołane, a domy na tej ulicy, które w części ocalały, zostały odbudowane. Dopiero teraz zaczyna się powoli mówić o odbudowie przynajmniej niektórych innych domów, według zachowanych przedwojennych zdjęć czy filmów, ale to nie jest łatwe.

Anna pokiwała głową.

– Spójrz, Anno, szpital już niedaleko.

Poprzez gałęzie drzew przed nimi prześwitywała bryła szpitala. Anna zwolniła kroku.

– Na samym początku, czyli w trzydziestym trzecim roku, były trzy kondygnacje, a po drugiej wojnie światowej została nadbudowana, w części powierzchni dachu, czwarta kondygnacja.

– Ciekawa jestem, gdzie wówczas była izba przyjęć... – Anna spojrzała na napis widniejący na budynku.

– Mój kolega jest tutaj ordynatorem chirurgii, ale teraz przebywa za granicą. Myślę, że kiedyś nas zaprosi i opowie dokładnie, co i jak, dowiadując się najpierw sam wszystkiego. Dzisiaj zerknijmy tylko do obecnej izby przyjęć, a potem wejdźmy na chwilę przez wejście główne, dobrze?

– Masz rację. – Anna skinęła głową.

Izba przyjęć podobna była do innych tego typu miejsc w krajowych szpitalach, więc po chwili rozglądania się wyszli przed budynek.

– Dalej masz emocje?

– W zasadzie całkiem mi opadły – uśmiechnęła się Anna.

Zatrzymali się przed głównym wejściem do szpitala. Olbrzymie frontowe drzwi z okazałym portalem oraz szerokie siedmiostopniowe schody z murkami po bokach uczyniły na Annie duże wrażenie.

– Jan Bartkowiak podjechał samochodem chyba pod same schody i razem z Jutką, niosącą w beciku małą Anię, weszli do środka. Chociaż wówczas to była jeszcze Basia, o czym Jutka nie mogła wiedzieć... – Anna spojrzała na Ryszarda.

– Tak pewnie było – zgodził się.

Weszli do wnętrza szpitala. Niewielki hol łączył się z długim korytarzem biegnącym wzdłuż całego budynku. Po obu stronach widać było drzwi do sal i gabinetów.

– Gdzieś tutaj musiała być izba przyjęć. – Anna wskazała dłonią. – Kiedy lekarz dyżurny spytał podczas badania dziecka o jego imię i nazwisko, Jutka po chwili zawahania odpowiedziała: Anna Nagengast. I tak narodziła się tutaj moja nowa tożsamość... – Annie zadrżały usta.

– Tak przypuszczalnie było, Anno... Jan i Jutka z całą pewnością cię uratowali, przywożąc tutaj bezzwłocznie, chociaż były jeszcze z tobą kłopoty przez tydzień.

– Tak było. – Anna przysiadła na ławce i spoglądała raz w jedną, a raz w drugą stronę korytarza.

Ryszard trzymał jej rękę w swojej i delikatnie głaskał drugą dłonią.

– Dobrze mi tutaj było. Dobrze się tutaj czuję, już nawet nie czuję emocji. – Anna spojrzała uśmiechniętymi oczami na Ryszarda. – Dziękuję ci, że mi towarzyszyłeś. Nie muszę już tu więcej przychodzić, no, chyba że twój kolega będzie dokładnie wiedział, jaki był układ pomieszczeń, jakie były ich funkcje w trzydziestym ósmym roku.

– Dobrze, wypytam go o to. To co, ruszamy?

– Ruszamy! – Anna uniosła się zdecydowanie.

W drodze powrotnej miała już dobry humor; jej wcześniejsza melancholia rozproszyła się w szpitalu.

– Anno, a może zrobilibyśmy sobie wypad za miasto? – nieoczekiwanie spytał Ryszard.

– Jak to za miasto? – Anna przystanęła i spoglądała na niego ze zdziwieniem.

– Nad jeziorem Sudomie, pół godziny jazdy stąd, mam domek letniskowy, daczę. Niedawno rozmawiałem ze Zbyszkim, kolegą, z którym dzielimy ten domek, że on do Gwiazdki się tam nie wybiera. Po cichu myślałem sobie o wyjeździe na dzień, dwa, żeby trochę powędkować.

– Nigdy nie mówiłeś o domku albo że wędkowanie cię bawi!

– Nie składało się, no i nie myślałem, że w tym roku będzie okazja o tym mówić. Na pewno by się kiedyś zgadało. – Ryszard spojrzał Annie w oczy.

– Ale tak, z zaskoczenia, no nie wiem...

– Jeśli chcesz, możemy podjechać na chwilę do Parchowa i zabrać coś cieplejszego, chociaż akurat dresów, płaszczy przeciwdeszczowych, parasolek i kaloszy jest tam pod dostatkiem.

– No, ale czy tam w ogóle jest ciepło? Przecież mamy listopad, a to domek kampingowy. – Anna spojrzała niepewnie na Ryszarda.

– To domek całosezonowy, ma ogrzewanie w podłogach, a oprócz tego kominek. Po godzinie od chwili wejścia będzie tam ciepło jak w uchu. To co, do Parchowa?

– W zasadzie nie potrzeba... – Anna zmrużyła oczy. – Mam w samochodzie torbę z wystarczającą ilością rzeczy. Przewidziałam, że może u ciebie zostaną. Wiesz?

Ryszard nachylił się i pocałował Annę w policzek.

– Jesteś kochana.

– Tak na ulicy? Ryszard...

– A niech ludzie patrzą – uśmiechnął się. – Dzień dobry sąsiadce. – Ukłonił się przechodzącej kobiecie, która wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami.

– Czy ta pani ma coś z... – Anna zamilkła i wskazała palcem na oczy.

Ryszard po chwili parsknął, tłumiąc śmiech.

– Zdaje mi się, że musiała coś zobaczyć i bardzo się zdziwiła. Chyba mnie wezmą na języki. Należy mi się.

Anna obejrzała się dyskretnie za kobietą, która przed momentem ich minęła. Stała, trzymając się oburącz słupa, i spoglądała za nimi.

– Tak, wezmą cię... nas, na języki. Ale ja nie przejmuję się tym. Może nawet z tą sąsiadką się zapoznam

– teraz Anna zachichotała cicho.

Przepakowali torbę z samochodu Anny do wozu Ryszarda i weszli do mieszkania.

– Odstawimy najpierw twój samochód na parking całodobowy, a potem pojedziemy pod Szultę zrobić spontaniczne zakupy i w drogę. Może być?

– Doskonale! – Anna była w coraz lepszym humorze.

Za niecałą godzinę byli w drodze.

– Umiesz robić zakupy – Anna pochwaliła Ryszarda.

– Bardzo ułatwiły mi sprawę twoje pytania, czy to albo tamto tam jest.

– A mnie jeszcze bardziej podobały się odpowiedzi: nie wiem, bo skąd.

Zanieśli się śmiechem.

– Jakby co, to mamy wiktuałów na co najmniej tydzień. – Ryszard puścił oko.

– A jeśli coś zostanie, to pojedziemy dokończyć...

– Anna zmrużyła oczy.

– Och, ty czarnooka.

*Oczy czornyje, oczy strastnyje!*

*Oczy żgucznyje i priekrasnyje...*

– zaintonował piosenkę; Anna pogładziła go po dłoni.

– Ach, jak mi dobrze.

– Tak się cieszę.

*Kak lublu ja was, kak bajus' ja was!*

*Znat' uwidiel was ja w niedobryj czas*

– wniebowzięty Ryszard dokończył zwrotkę piosenki.

– Pięknie śpiewasz. Już ci to zresztą kiedyś mówiłam, ale teraz zaśpiewałeś tylko dla mnie... – Anna była rozpromieniona.

– Przy kominku zaśpiewam ci resztę piosenki...

– Ryszard uścisnął jej dłoń.

Jechali szeroką drogą na Kościerzynę. Anna z uśmiechem spoglądała za okno.

– Latem ładniej, ale teraz też niebrzydko – uśmiechnęła się.

– Mhm. Czy może pamiętasz, Anno, jak nazywała się ulica, przy której mama Jutka mieszkała wówczas w Bytowie?

– Nie pamiętam, ale to było stosunkowo blisko zamku, bo prawie codziennie chodziła tam na spacer. To musiała być chyba jakaś... *strasse* – zmrużyła oczy i parsknęła śmiechem; Ryszard dołączył się. – Muszę przywieźć z Poznania zapiski Jutki, jej całe archiwum i tam

na pewno będzie ta nazwa. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku mama pokazywała mi te swoje papiery. Miałam wrażenie, że one w znacznej części były po niemiecku, a ja wówczas nie czytałam jeszcze w tym języku zbyt dobrze. Głównie chodzi mi o metryki i inne dokumenty rodzinne. To znaczy znałam już niemiecki niezłe, ale pisma ręcznego szwabachą nie potrafiłam przeczytać. Zresztą wtedy akurat co innego mi chodziło po głowie, niż czytanie jakichś staroci. Dopiero później odkryłam, że są jeszcze bruliony z kalendarium, takie pamiętniki Jutki, ale przerzucałam je kiedyś tylko pobieżnie. Aż mi teraz wstyd. – Anna pochyliła głowę.

– Nadrobisz... Jutka miała piękny charakter pisma. Pamiętam, że zachwycałem się nim już w ubiegłym roku, gdy dałaś mi do przeczytania jej listy znalezione w skrytce biurka Mikołaja.

– I to pisała zwykłą obsadką. Kaligrafia była wówczas podstawą nauki pisania i jakoś nikt nie miał dysgrafii ani dysleksji. Kiedyś, na ogół, wszyscy ładnie pisali, a przynajmniej czytelnie. Ja też miałam kaligrafię i też pisałam zwykłą obsadką.

– Tak, to prawda. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale teraz w tym względzie panuje istna epidemia bazgrołów i szkoła nie zwraca na to uwagi... – Ryszard wzruszył ramionami.

– Wracając do Jutki i tych papierów... nagle przestała mi je pokazywać i już do tego nie wróciła. Wyciągnęła za to albumy rodzinne. Może dostrzegła moje zbyt małe zainteresowanie albo sama nie była gotowa...? A potem, po jej śmierci, nie ciągnęło mnie jakoś do ich studiowania, zresztą mieliśmy problem z Kasią i malutką Elizą. No i nieustannie było zbyt mało czasu. Kiedy dostałam od Szymona Epsteina listy Jutki, byłam za bardzo przybita, żeby jeszcze grzebać się w innych dokumentach. Zresztą Jutka w listach wszystko łopatologicznie wyłożyła. Uznała pewnie, że nazwa ulicy nie jest istotna, albo że sama do tego dojdę.

Przy drodze pojawiła się tablica z nazwą miejscowości Korne.

– Zaraz za Kornem skręcimy na Łubianę, a stamtąd już blisko do Sudomia – obwieścił Ryszard.

– Kasia przywiozła kiedyś mnie i Felcię do Zakładów Porcelany „Lubiana”, a potem pojechaliśmy na Wdzydze.

– O, to już trochę znasz tę drogę.

– Myślisz, że się jej wtedy przyglądałam? Bawiłyśmy się w drodze z Felcią, że hej – zaśmiała się.

– Zbyszek chciał mnie kiedyś obdarować, bo pomogłem mu wygrać sprawę o znaczną nieruchomość. To było w końcu lat osiemdziesiątych; odmówiłem mu. Cała jego rodzina mnie potem nachodziła, on, żona, teściowa. Koniecznie chcieli mi dać znaczną kwotę. Wciąż odmawiałem, zaparłem się na „nie” – Ryszard mrugnął. – I wtedy wymyślił tę działkę i współwłasność. Dla świętego spokoju zgodziłem się, bo postanowiłem, że na ślub mojej chrześniaczki, a ich córki, i tak na nią przepiszę – ponownie mrugnął do Anny. – Z początku nie bywałem tutaj w ogóle. Dopiero jak mnie zaprosił kiedyś wiosną na ryby, spodobało mi się. Namówiłem go na radykalny remont. On pieniądze miał i ma, ale głowę, żeby zrobić coś ekstra, to już nie. Ma biznes i mało czasu, a ja nie miałem czasami co robić z czasem – zaśmiał się. – Wyzywałem się, by wykombinować takie udogodnienia, żebym mógł przyjeżdżać tutaj o każdej porze roku.

Niebawem zatrzymali się przed niepozornym, okrytym gęstwą bluszczu płotem z metalową bramą. Ryszard nacisnął guzik na małym pilocie i brama zaczęła się otwierać.



– Przekonałem go do autoalarmu i takich jak ta brama ułatwień. A wiesz, że on między innymi produkuje takie bramy, a tutaj przez całe lata zamykało się na kłódkę? – zaśmiał się.

– Ale tutaj ładnie... – Anna wysiadła z samochodu i podeszła do drzew owocowych.

– Z początku jego dziewczyny miały tutaj też spory warzywnik, poletko z truskawkami, ale przekonałem je, żeby dać sobie z tym spokój. Kiedy bym nie przyjechał, zawsze ubabrane ziemią i zmęczone – uśmiechnął się. – Do dzisiaj mi dziękują... – Podniósł nos do góry. – Dla dzieci zostawiliśmy tylko malutki ogródek trzy na trzy metry, a i to czasami narzekają.

Anna pokiwała głową.

– W takich warunkach jak tutaj... – rozejrzała się wokół – ... najlepiej udają się czerwone porzeczki i różne śliwy. Jeszcze niektóre jabłonie. Widzę, że są czereśnie i wiśnie, ale... jak one tu rodzą?

– A widzisz! Też się zastanawiali, o co chodzi, a ja nie chciałem się wtrącać w dobór drzew.

– To przecież skraj lasu i nieodpowiednia gleba.

– Powiem im to!

– Ja też wolę iglaki niż drzewa liściaste. – Anna podeszła do zagajnika z iglaków. – Liściastych zresztą wokół jest pod dostatkiem. – Spojrzała w górę za płot.

– A potem te liście...

Przez niewielką werandę podeszli do drzwi wejściowych.

– Większa weranda jest z drugiej strony; oni lubią się żywcem przypiekać... – Ryszard mrugnął, otwierając zamek. – Zaraz rozbiorę alarm i włączę ogrzewanie.

– Podeszedł do niewielkiej skrzyneczki i nacisnął kilka przycisków.

Anna przechadzała się po salonie. Podeszła do kominka, pogładziła jego kamienne obramowanie, przysiadła na fotelu i spojrzała na stojący w głębi telewizor.

– Żyć nie umierać – zaśmiała się. – Domek letniskowy kojarzy mi się z wystrojem z drewna, skórą na podłogach, na ścianach powinny być rogi, nastrojowe obrazy i wszystko to tutaj jest. Podoba mi się. Proste i jednocześnie stwarzające ciepłą, domową atmosferę.

– To był mój pomysł... – Ryszard uderzył się kilkakrotnie pięścią w tors. – Jego dziewczyny planowały zostawić tutaj dwa mniejsze pokoje, bo tak było przed ostatnim remontem i zrobić w nich cuda na kiju, ale ja go przekonałem, że z dużym salonem będzie lepiej. Rozebraliśmy ściany, daliśmy grube stemple i powstała spora powierzchnia. Niewysokie komódki, duży stół z krzesłami, sofa i fotele, stolik do kawy i wystarczy. Teraz robią tutaj wszystkie rodzinne imprezy.

– Też bym tak robiła... i duży salon, i imprezy.

– To widzę, że mamy podobne gusty. – Ryszard przytulił Annę i pocałował w policzek. – Jest teraz czternaście stopni, już nastawiłem na dwadzieścia dwa, a za pół godziny odczujesz zmianę. Możesz zdjąć kurtkę, dam ci ciepły polar.

– To i tak było tutaj ciepło.

– W listopadzie ustawiamy termostat na dziesięć stopni, a w grudniu na osiem. Nie zużywa się przez to jakoś dużo energii, bo mamy opcję nocnej taryfy, więc w dzień ogrzewanie włącza się dopiero, kiedy na dworze jest naprawdę zimno. Ale już dosyć o technice. Pochodź sobie sama po domu, to się rozgrzejesz, a ja poznoszę bagaże.

Annie podobało się wewnątrz wszystko. Obejrzała dwa pokoje wychodzące na tylną werandę, łazienkę, ubikację i niewielką kuchnię, a potem weszła na górkę. Zaskoczona była, że tam rozplanowano cztery niewielkie sypialnie oraz ubikację i prysznic. Pokoik Ryszarda poznała od razu po... zapachu jego wody, a dopiero potem upewniła się, ujrawszy książki na stoliku nocnym. O! Ma wygodne łóżko. Uśmiechnęła się. Spojrzała na termometr – szesnaście stopni. No tak, góra.

– Anno! Co powiesz na kawę? – doszło ją wołanie Ryszarda.

Fajnie tak być tutaj samym. Przymknęła oczy.

– Już idę!

Kawa, lampka wina, kawałek czekolady, a potem spacer na przystań. Ryszard wziął spinning i Anna przyglądała się, jak zgrabnie zarzuca wędkę.

– Może jutro przyjdę sobie na pół godziny przed śniadaniem? – rzucił.

Anna skinęła głową.

Kiedy wrócili, Ryszard wziął się do obiadu. Przez chwilę Anna droczyła się z nim, że może lepiej będzie, jeśli ona to zrobi, ale był niewzruszony.

– Jak będziesz chciała, to następnym razem. Dzisiaj nie odbieraj mi przyjemności.

Po tych słowach uległa mu. Teraz póżeła na sofie i przerzucała kolorowe magazyny z paździenika. Widocznie zostawiły je dziewczyny Zbyszka.

– Czy dzisiaj wolisz rybę, czy kotlet? – Ryszard pojawił się w salonie z pytaniem.

– A jak ją zrobisz? – Uniosła głowę.

– W piekarniku, w folii, z jarzynami – zachwalił.

– Chcę! – Zacisnęła oczy i potrząsnęła głową jak mała dziewczynka, która z czegoś się cieszy.

Widziała, jak u Szulty przebierał w mrożonych łososiach, wybierając najjaśniejsze kawałki. Wcześniej przeczytał na małej karteczce, że ryba pochodzi z łowisk kanadyjskich. Znał się na tym. Niedługo zaczęło apetycznie pachnieć. Ryszard nakrył gustownie stół, postawił wino i dwa wysokie kieliszki.

– Za pięć minut podaję! – zawołał.

Po chwili Anna pośpieszyła do stołu niczym ciekawa wszystkiego młoda uczennica.

– Już siedzę! – odkrzyknęła.

Spojrzała na butelkę z winem; bladożółtawa barwa. Riesling. Dawno takiego nie piła. Dostrzegła, że pochodzi z Francji. Zdziwiła się, bo myślała, że to zasadniczo niemieckie wino. Ryszard wkroczył do salonu z dwoma parującymi talerzami.

– Postanowiłem nałożyć i przystroić w kuchni, żeby...

– Nie brudzić półmisków! – przerwała mu ze śmiechem Anna.

– Ot, poznańska pyrka. Myśli tylko o tym, żeby oszczędzać, na czym się da: na czasie, na talerzach, na płynie do mycia... To wszystko też... – mrugnął – ...ale przede wszystkim chciałem, żebyś dostrzegła moje zdolności w dekorowaniu talerzy.

Anna otworzyła szeroko oczy, bo rzeczywiście potrawy na talerzach były przystrojone cudownie. W jakiejś superrestauracji spodziewałaby się czegoś takiego, ale nie w głuszy, nad jeziorem Sodomie.

– Myślałam, że głównie specjalizujesz się w winach, ale widzę, że masz jeszcze wiele innych ukrytych talentów... – Pokręciła głową z uznaniem.

– Dziękuję! – uśmiechnął się. – Łosoś nie jest podrabiany! Sprawdziłem. Spróbujmy przed jedzeniem kropelki wina na apetyt.

– Doczytałam, że z Francji!

– Tak, z Alzacji, znad Renu. Tamta gliniasta gleba jest zdecydowanie bardziej wapienna od podłoża po stronie niemieckiej, co czyni jego smak wyraźniejszym, nieco bardziej kwaśnym. Ma także trochę więcej alkoholu – mrugnął.

– Chcesz mnie, łobuzie, upić na tym pustkowiu?

– Przejrzałaś mnie, o pani! Ale spróbuj i jedzmy.

Anna posmakowała wina. Pokiwała z uznaniem głową. Wpatrywała się w danie przystrojone świeżą pietruszką i koperkiem, wstążeczkami czerwonej papryki i cienkimi talarkami ogórka. Sam łosoś w sosie własnym z warzywami wyglądał zachęcająco, ułożone obok przypieczone kulki ziemniaczane aż się prosiły, żeby je natychmiast przenieść do ust.

– Mistrzu, czy to się je, czy służy tylko do oglądania?

– Smacznego, Anno, ciesz się, że podziwiasz wygląd, ale jednak spróbuj... – Ryszard trzymał już w dłoniach widelce.

Annie nie pozostało nic innego, jak tylko przyłączyć się z ochotą.

– Smakowo akurat! – rzuciła po pierwszym kęsie.

– Ja nie zawsze tak trafiam z przyprawami.

– A co ja miałem przez te wszystkie lata do roboty? Znudziło mi się chodzenie po restauracjach, więc zacząłem się szkolić w gotowaniu. Zacząłem od jajecznicy... – na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. – Potem miałem okres pierogów z mrożonek, kotletów schabowych, z kolei przyszedł czas na bitki, zrazy, gołąbki, a wreszcie na ryby. Na końcu zacząłem studiować dekorowanie potraw. – Podniósł kieliszek. – Pij, będziesz miała jeszcze lepszy apetyt.

– Umiesz tyle, że mógłbyś otworzyć restaurację...

– poddała Anna, mrużąc oczy. – A ja mogłabym cię wspomagać w zakresie doboru alkoholi do potraw.

– O! A jak byłaś u nas, to powiedziałaś, że słabo u ciebie z ich znajomością.

– Bo wtedy miałam potrójne dno – roześmiała się.

– Kiedy wróciłam do „Iskierki”, pokazały mi je w komputerze Kasia i Felcia.

– W komputerze?

– To taka zabawa, program do badania biorytmów.

– Ale...

– Nie mogłam sobie wówczas przypomnieć wierszyka, którego nauczyła mnie teściowa, gdy kiedyś spytałam ją, jakie wino do jakiej potrawy.

– O!

– Posłuchaj:

*Ryby, drób i cielęcina*

*lubią tylko białe wina.*

*Zaś pod woły, sarny, wieprze*

*jest czerwone wino lepsze.*

*Frukty, deser i łakotki*

*lubią tylko wina słodkie.*

*A szampana – wie i kiep,*

*można podczas, po i przed.*

- Znakomicie! A ja tyle musiałem się nauczyć teorii od wuja – uśmiechnął się Ryszard.
- No więc widzisz, jeśli otworzysz restaurację, to masz fachowca pod ręką. – Anna wzięła do ust kolejny kęs łososia i przymknęła z lubością oczy.
- Jeszcze niedawno mógłbym otworzyć, ale teraz już nie mogę, a w zasadzie nie chcę. – Oczy mu się śmiały, chociaż starał się, aby twarz zachowała powagę.
- A to dlaczego?
- Bo ty się pojawiłaś! – Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. – I teraz będę robił tylko dla ciebie; dla innych już bym nie znalazł czasu.
- Jesteś kochany... – szepnęła Anna.

\*

Wieczorem, przy kominku, rozmowa zeszła na poznańskie tematy.

- Czy masz już jakiś sygnał... czy znalazł się oferent na nasz dom na Sołaczcu? – spytała Anna poważnym tonem.
- Zaskoczę cię, ale nie przekazałem tej sprawy komuś ode mnie, ani do jakiegoś poznańskiego biura pośrednictwa sprzedaży – odparł.
- Czy coś z tym domem jest nie okej? – zdziwiła się.
- Nie, ale postanowiłem sam się tym zająć.
- Tylko czasu nie starcza? – domyśliła się.
- Byłem raz zupełnie przypadkowo w Poznaniu...
- I mnie nic nie powiedziałaś? Pojechałabym z tobą! – rzuciła Anna z lekką pretensją w głosie.
- Byłem z klientem w Gnieźnie i okazało się, że musimy podjechać po jakiś dokument do Poznania. To znaczy on to musiał załatwić. On ma tam rodzinę, a ja wzięłem pokój w hotelu przy Solnej. Wieczorem zrobiłem sobie spacer do twojej dzielnicy, bo to niedaleko. Superlokalizacja, superwarunki, a więc będzie, musi być, supercena – podkreślił ostatnie słowa.
- Ale czy przy takim podejściu nie będzie to czekanie na Godota?
- Gdybym krzyknął, dał ogłoszenie i podał, że interesuje mnie połowa ceny, to chętnych byłyby setki. Ale gdzie ty się, Anno, spieszysz? Masz przecież pieniądze, czasu też masz sporo, więc chyba nie ma problemu. Zresztą teraz, z każdym dniem, czy chcesz, czy nie chcesz, cena rośnie. Tak się porobiło!
- Tylko ja nie chcę, żeby to cię tak mocno zajmowało.
- Dlatego też nie przesadzam z tempem! Anno, naprawdę nie masz się czym przejmować. Sprawa sprzedaży twojego domu jest w dobrych rękach. – Przesiadł się na sofę obok niej.
- Uniósł jej dłoń i pocałował ją. Anna przytuliła się do niego. Ryszard delikatnie gładził ją po plecach. Po chwili odchylił się nieco, spojrzał głęboko w oczy i pocałował w usta.
- Jak mi dobrze... – wyszeptwała po chwili.
- Mnie też... Warto jednak czekać.
- Ponownie przywarli do siebie ustami.

\*

Kiedy Anna usłyszała głęboki, ale spokojny oddech Ryszarda, otworzyła oczy. Miał łagodny wyraz twarzy. Uśmiechnęła się. Poruszył się i zaczął przesuwać swoją dłoń z jej przedramienia w górę. Przymknęła oczy. Jego dłoń zatrzymała się blisko szyi. Poczuła miłe ciepło.

Zamiast dokończyć dla Marysi tłumaczenia listów, wyrwałam się jak nastolatka autostopem. Prawie parsknęła śmiechem. Spojrzała, czy to go nie obudziło. Nie, wciąż spał spokojnie, głęboko oddychając. Ale dlaczego tych listów nie zrobiłam wcześniej? Pewnie zabrakło mi czasu... ale w takim razie, co ja robiłam? Przecież nie mam nic innego do roboty, czyli co? To chyba po prostu lenistwo. Ech, jak mi dobrze.

\*

Dziwne, nie słyhać kur, koguta i psów? Cisza, że aż w uszach dzwoni. Felcia pewnie czeka w kuchni z kawą. Czas wstawać. Anna niechętnie otworzyła oczy. Wzrok wolno ślizgał się po dziwnie dzisiaj skośnym suficie z desek, a po chwili dotarł do zasłoniętego żaluzją okna. Przecież to nie jest moje okno. Zaraz, zaraz. Gdzie ja jestem? Potarła czoło. Aha! Ryszard, Sudomie. Uśmiechnęła się i spojrzała w prawo, na jego poduszkę. Gdzie on się podział i która to jest godzina? Podniosła do oczu zegarek. Boże! Dochodzi dziewiąta. Kiedy ja ostatni raz tak długo spałam? Przeciągnęła się raz i drugi. Po chwili powoli wstała i podeszła do okna. Uniosła żaluzję. W tej chwili dostrzegła Ryszarda, jak zamyka furtkę i kroczy ze sprzętem wędkarskim w stronę domu. Ich wzrok się spotkał. Pomachał jej. Uniosła dłoń w górę.

Za kilkanaście minut była na dole. Zdziwiła się, że stół jest już przygotowany do śniadania.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– I poszłabyś ze mną na chłodny mostek?

Poruszyła przecząco głową.

– Mocno spałam... Nie pamiętam, kiedy mi się tak zdarzyło. Wstałeś cichutko.

– Dochodziła siódma. Była niewielka mgielka, ale zdecydowałem się pójść ze spinningiem. Upolowałem jednego szczupaka, ale darowałem mu życie.

– A co sobie pomyślałeś? Kasia opowiadała, że jak była z Maćkiem na Mauszu...

– Nie chciałem obudzić przyrody i nie wrzasnąłem jak ona – przerwał jej i roześmiał się.

– To ci Kasia! Ale tak było...! A co sobie pomyślałeś?

– Patrzył na mnie ten szczupak i patrzył, czekał, aż wypowiem jakieś życzenie, a ja nic... – Ryszard zmrużył oczy.

– I o nic nie poprosiłeś?

Pokręcił głową.

– Ja już raczej wszystko mam. – Wzruszył ramionami. – Jestem dziwnym człowiekiem, bo niby taki wiesz, rzeczowy, o zdolnościach techniczno-kulinarnych, ale tak naprawdę, głęboko... – zamilkł na chwilę. – Nie zdradzisz tego nikomu?

Anna poruszyła przecząco głową.

– ... straszny jest ze mnie romantyk. – Przyciągnął Annę do siebie. – Doczekałem się ciebie, mam już wszystko, więc żadnego życzenia nie musiałem wypowiadać.

– Jesteś kochany.

- Siadaj, a ja za kilka minut podam jajka na miękko.
- Ja miałam zrobić śniadanie – droczyła się Anna.
- Ej tam. Mam w planie zjeść z tobą jeszcze wiele śniadań, to może któreś pozwolę ci zrobić – zaśmiał się i pocałował ją w policzek. – A teraz sio! Siadaj, bo jak będziemy tak stać na czczo, to opadniemy z sił.
- Obrócił ją za ramiona i delikatnie pchnął w kierunku krzesła.  
Za kilka minut przyniósł parujące jajka.
- Mamy wszystko. Smacznego! O, widzę, że nawet mi przygotowałaś kanapki... – spojrzał na swój talerzyk.
- Trochę ci pomogłam... – przyznała, mrużąc oczy.  
Wspominali wczorajszy spontaniczny wyjazd, a potem było także o działce i domu. Anna chwaliła tutejszą ciszę, która pozwoliła jej długo spać. Poranny spokój zakłócił sygnał telefonu Ryszarda.
- Gdzie on jest? – Rozejrzał się. – Aha, w kuchni! Miałem go po powrocie z wędkowania przyciszyć i zapomniałem. – Machnął dłonią i ruszył po telefon. – To Kasia! – krzyknął. – Witaj, Kasiu... może mama zostawiła na górze! Bo... zrobiliśmy sobie niespodziankę i pojechaliliśmy na daczę... Już ci daję... Ma dziwnie poważny głos – szepnął Ryszard, podając Annie telefon.
- Jestem, Kasiu... Wypadek?! Jezus Maria! Ale co, gdzie?... Jesteśmy niedaleko, pół godziny od Bytowa, a tam została Żaba. Boże!... Aha, nauczyciel ją zawiózł... Za niecałą godzinę jesteśmy po ciebie. Pa.  
Anna ukryła twarz w dłoniach.
- Co się stało, Anno?
- Klaus miał wypadek. Jest w Bytowie w szpitalu. Kasia potrzebuje samochodu, bo chce być przy Marysi... – Anna spojrzała przejęta na Ryszarda.
- Ale coś wiadomo więcej?
- Jest przytomny... Przynajmniej był, jak zadzwonili do Marysi ze szpitala. Jeszcze stamtąd się nie odezwała. Kasia też nic więcej o wypadku nie wie.
- Rozumiem. Za kwadrans możemy ruszać. Weź tylko swoje rzeczy, a wszystko pozostałe może zostać jak jest. Wpadnę potem. Po drodze powiesz mi, dokąd jedziemy.  
W paręnaście minut byli gotowi.
- To dokąd? – spytał Ryszard.
- Jedziemy najpierw po Kasię do Parchowa... – powiedziała Anna, gdy ruszyli spod bramy – ...a potem na parking w Bytowie. Ja z Kasią przemieścimy się do szpitala, a ty...  
- Ja będę cały czas przy was. Mam wolne... nie pamiętasz? – uśmiechnął się blade. – Pojedziemy przez Pólcarno i Gołczewo, i zaraz potem już jest Parchowo. Jazda potrwa niewiele ponad dwadzieścia minut.
- Ryszard, zwolnij trochę – poprosiła cicho Anna, gdy mocniej rozpędził się na szosie. Przyhamował nieco, ale i tak za dwadzieścia minut wspinali się już pod „Iskierkę”.
- A ty, mamuś, gdzie masz telefon? Dzwoniłam do ciebie parę razy, ale nie podnosiłaś!
- wyrzuciła z siebie Kaśka, gdy dosiadła się do nich.
- Nawet nie wiem... – Zaczęła grzebać w torebce.
- O, jest, ale całkiem rozładowany. Przepraszam.
- Oj ty! – Kaśka pokręciła głową.
- Ryszard porwał mnie na daczę nad jezioro Sudoń, to koło Łubiany...

Kaśka uśmiechnęła się lekko.

– Nie gniewasz się, córcia?

– No co ty. Niby o co?

Ryszard spojrział na Kasię przez lusterko wsteczne.

– To moja wina...

– Ej tam. Módlmy się, żeby Klausowi nic nie było. Kiedy ze szpitala zadzwonili do Marysi, powiedzieli tylko, że jest przytomny, a obrażeń właściwie nie ma. Dobrze, że on umie padać.

– Jak to padać...? – Anna odwróciła się w kierunku córki.

– Opowiadał nam, jak byliśmy z Marysią po niego, kiedy miał poprzedni wypadek, że najważniejsze wtedy to zachować zimną krew i upaść planowo.

– To znaczy jak, nie rozumiem? Jak można upaść planowo, kiedy ma się wypadek?

– Mamo, to jest jego teoria padów...

– Anno, motocykliści to taka elitarna kasta – Ryszard przerwał Kasi. – Ale tylko tacy motocykliści jak on! A „pad” to wojskowo-sportowe powiedzenie. Padać, czyli upaść zgodnie z planem, tak jak się chce.

– Ho, ho, ho... Tyle mądrości, a mówimy o upadku, a właściwie o wypadku... – Anna machnęła dłonią.

– Boże! Żeby tylko wyszedł z tego cało.

Tuż za skrzyżowaniem w Pomysku trafili na miejsce wypadku. Po prawej stronie drogi dojrżeli w rowie jakiś samochód osobowy i stojące obok dwie osoby, ze sto metrów dalej po lewej stronie drogi stał TIR z poobijaną maską, a przed nim leżał pogruchotany motocykl Klausa. Policjanci coś wokół odmierzali, a na poboczu stała laweta.

– Może na chwilę się zatrzymam i spytam kierowcę TIR-a i policjantów, jak to było? – Ryszard spojrział na Annę; ta skinęła głową.

Po kilku minutach wrócił w niezłym humorze.

– Kierowca mówi, że Klaus był przytomny, jak go zabierali... Pojękiwał, był bladawy, ale nie wyglądał najgorzej.

– A ten kierowca sam wypadek widział?

– Widział wszystko jak na filmie... Samochód, który widzieliśmy w rowie, wyskoczył zza niego, na zakazie wyprzedzania. Klaus na motocyklu jechał tak jak my i próbował coś zrobić. Ponieważ widział, że lewy pas jest zajęty przez jadącego z naprzeciwka TIR-a, więc próbował zjechać maksymalnie na prawe pobocze, chociaż to ta osobówka z przeciwka władowała się na jego pas. Jakoś się obok niej zmieścił, ale koła motocykla złapały żwir z pobocza, motocykl zaczął się chybotać, a on widząc, że go nie opanuje, zeskoczył z niego na prawą stronę i nadział się na słupek znaku drogowego, natomiast odepchnięty przez skok Klausa motocykl zaczął sunąć ukosem wprost pod TIR-a.

– A policjanci co mówili?

– Jeden z nich przysłuchiwał się temu, co opowiadał mi kierowca... Powiedział, że pan z TIR-a opisał wypadek dokładnie.

– A dlaczego ten samochód jest w rowie? Przecież nie było powodu?

– Bo tak spanikował, że zaczął hamować, kiedy już nie musiał, wpadł w poślizg i wjechał do rowu. Sierota nie kierowca. TIR był przecież za nim i zdążył zahamować.

– Daj Boże, żeby nic mu nie było... – Anna przeżegnała się.

Za kilkanaście minut wchodzili do izby przyjęć bytowskiego szpitala. Anna i Ryszard

spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Marysia Sołyga siedziała na ławce z Joasią i Miłozsem. Była blada i miała przymknięte oczy.

– Mamo, pani Kasia już jest – szepnęła do mamy Joasia.

Marysia otworzyła oczy. Kasia podeszła do niej i uściśliła ją. Po niej uczyniła podobnie Anna. Oczy Marysi zaszkliły się.

– Po co on tu jechał... – wyszeptała przez zaschnięte wargi. – To miała być jego ostatnia jazda... – Spod przymkniętych powiek wypłynęły łzy.

– Chciał pewnie dobrze. – Kasia przysiadła obok niej na miejscu zwolnionym przez Miłozsa.

– Proszę, Marysiu, napij się, proszę, dzieci... – Ryszard podał całej trójce butelki z wodą.

– Jaki jest stan Klausa, jakie miał badania? – spytała Kasia.

– Zamieniłam z nim słowo... Wyglądał, jakby miał każdej chwili zemdleć. Był strasznie blady. – Marysia miała przerażony wzrok.

– Mamuś, tacie nic nie będzie. Jest silny! – powiedział Miłoz cicho, ale z przekonaniem

Marysia spojrzała na niego z wdzięcznością. Joasia blado się uśmiechnęła i skinęła głową. Z gabinetu szybkim krokiem wyszedł lekarz dyżurny i zbliżył się do Marysi.

– Okazuje się, że mąż ma w jamie brzusznej krwotok wewnętrzny. Straciliśmy z nim kontakt, a musimy natychmiast rozpocząć operację. Zgadza się pani?

– Och, nie! – zawołała dramatycznie Marysia.

– Nie zgadza się pani?!

– Zgadzam się... – załkała Marysia; Joasia i Miłoz przytulili się do niej. – Czy ja mogę iść pod salę operacyjną? – wyszeptała, patrząc szklanym wzrokiem na lekarza.

– Damy znać, poprosimy panią, jak operacja się skończy. Tu ma pani wygodniej – powiedział lekarz i wszedł na powrót do gabinetu.

Czas płynął wolno. Marysia z zamkniętymi oczami pólleżała na ławce, oparta o Miłozsa. Joasia przytuliła się do niej z drugiej strony i od czasu do czasu spoglądała na jej twarz. Mijały minuty, kwadranse, godziny. W izbie przyjęć pojawiali się nowi pacjenci, wchodzili do gabinetu zabiegowego, a potem opuszczali go. Kasia, Anna i Ryszard siedzieli przygnębieni, zamieniając czasami słowo. Po prawie czterech godzinach z gabinetu wyszedł lekarz dyżurny.

– Proszę panią ze mną, pojedziemy pod salę operacyjną. Operacja się skończyła – powiedział z kamienną twarzą.

– Ale jak mąż? Dlaczego pan tak mało mówi?! – zawołała Marysia, łapiąc lekarza za ramię.

– Zaraz pani wszystkiego się dowie. Idźmy do windy. Dzieci też mogą iść. Jedna z pań także.

– Idź, Kasiu. Pilnuj Marysi... – szepnęła Anna.

Pojechali windą na pierwsze piętro. Lekarz dyżurny wprowadził ich do niewielkiego pokoju obok bloku operacyjnego.

– Pan doktor jest ordynatorem oddziału chirurgii i przeprowadził operację – przedstawił stojącego obok okna mężczyznę w zielonym uniformie.

– Nazywam się Czarnecki. Proszę spocząć.

Doktor wskazał Marysi krzesło po drugiej stronie biurka, przy którym sam usiadł po



chwili. Wpatrywał się w jej bladą, przerażoną twarz.

– Proszę, aby pozostali państwo także usiedli. – Poczekał, aż wszyscy zajęli miejsca. – Okazało się, że pani mąż w czasie wypadku doznał bardzo poważnych obrażeń wewnętrznych. Niestety, nie przeżył operacji, choć robiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy.

Marysia kilkakrotnie jęknęła, zaczęła się dusić, zamachała rękoma i zsunęła się bezwładnie z krzesła.

\*

Gdy Kasia pojawiła się w „Iskierce”, była już prawie noc. Wszyscy siedzieli jeszcze w kuchni.

– Jak ona, mów. – Anna spojrzała na córkę.

– Musieliśmy ją z Miłozem trzymać, bo chciała sobie zrobić krzywdę. – Kasia rozplakała się. – Boże, dlaczego to ich dotknęło?

– Niezbadane są wyroki Boskie... – Jan Werra wypowiedział to podniosłym głosem; wszyscy spojrzeli na niego. – Ktoś musiał to głośno powiedzieć... – dodał ciszej.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna... – Felicja rozpoczęła modlitwę, do której wszyscy się przyłączyli; w kuchni, po jej odmówieniu, zapadła cisza.

– Zjesz coś, dziecko? – przerwała ciszę Felcia.

– Nie dam dzisiaj rady... Czy ty, mamo, rozmawiałaś jeszcze później z ordynatorem, kiedy wyjechaliśmy ze szpitala? – Kasia spojrzała na Annę.

– Tak. Mówił, że uderzenie o słupek drogowy spowodowało u Klausa pęknięcie śledziony i wątroby. Kości bioder, miednicy i żebra miał całe, co dla lekarza było dziwne, ale świadczyło o dobrym umięśnieniu. Ono zabezpieczyło kości, jednak uderzenie przejęły też miękkie organy wewnętrzne. Gdyby był w kombinezonie motocyklowym, prawdopodobnie tak źle by nie było.

– Marysia oskarża siebie o śmierć Klausa – powiedziała cicho Kaśka.

– Dlaczego? Przecież to był wypadek! – zawołała Anna.

– Ona zabraniała mu jechać motocyklem do Bytowa. Chciała, żeby klient przyjechał sam. No i na tym pomiędzy nimi stanęło. Ale tamten zadzwonił dzisiaj rano jeszcze raz do Klausa, kiedy Marysia była już w szkole, i poprosił, żeby mu jednak przyprowadził motor. Marudził tak długo, że Klaus wreszcie uległ. Marysia, jakby przewidując całą sprawę, schowała gdzieś Klausa kombinezon. Nie znalazł go, więc pojechał w zwykłej dmuchanej kurtce. Teraz czuje się winna, bo wie, jakie kombinezon ma właściwości.

– No to rzeczywiście... biedna Marysia.

– Wezmę na siebie załatwienie wszystkich spraw związanych z pogrzebem. Rozmawiałam z Maciejem, ale on właśnie jest na lotnisku w Warszawie; leci na konferencję do Szkocji, w poniedziałek po południu będzie z powrotem. Zdaży na pogrzeb. Krzysztof z kolei jest z wycieczką w Hiszpanii, wraca w środku nowego tygodnia.

– Przecież ja jestem – odezwał się Ryszard.

– Ja też pomogę... – dodał Jan.

– Wiem, że wszyscy pomożecie. – Kaśka spojrzała z wdzięcznością na obu. – Nagrałam się też Adamowi, który zaprzyjaźnił się z Klausem i Marysią. Jeśli jutro do wczesnego przedpołudnia nie odezwie się, wykorzystam was – zwróciła się do Ryszarda i Jana. –

Wiecie...? Chyba zrobię sobie kanapkę, bo czuję jednak potężny głód. Troszkę mi puściło.

\*

Po północy Kasia dostała wiadomość od Adama: „Wylądowałem w Rębiechowie. Jestem gotów do działania i do rozmowy. Adam”.

Natychmiast zadzwoniła do niego.

– Adam? Straszna sprawa, ale wybaczone, że przez telefon nic więcej ci nie powiem. Na razie niech ci wystarczy to, co napisałam w esemesie. Czy możesz przyjechać na trochę?... Tylko teraz, po nocy, czasem nie szaleję, prześpij się i jeśli możesz, to przyjedź jutro na dziesiątą, okej?... Dziękuję ci bardzo... Marysia jest w strasznym stanie, sam zobaczysz... Pa!

Zapukała do mamy. Mama już leżała, a Ryszard siedział na fotelu.

– Rozmawiałam z Adamem. Przyjedzie jutro z rana – Kasia uśmiechnęła się blado.

– Ale może nie trzeba było go męczyć – powiedział Ryszard.

– Znali się z Klausem krótko, ale przepadali za sobą. Stali się wielkimi przyjaciółmi. Motory, muzyka, turystyka światowa... i jeszcze wiele innych wspólnych zainteresowań. Pokrewne dusze. Nie mogłam mu więc nie przekazać tej informacji. – Pokręciła głową. – Poza tym on jest bardziej tutejszy ode mnie, więc na pewno dużo pomoże.

– Co racja, to racja – zgodził się Ryszard.

– Jak trzeba będzie być przy Marysi, to ja zostanę, a on będzie załatwiał sprawy. W razie potrzeby podpowiesz mi, co i jak w Bytowie... – Kasia spojrzała na Ryszarda.

– Oczywiście. Tym bardziej, że mam tam masę znajomych, nawet w tej smutnej profesji – Ryszard spowaźniał.

– Tak, to też ważne – powiedziała cicho Anna.

– Dobrze, to ja idę spać, a wy też nie siedźcie długo po nocy – Kasia mrugnęła do mamy i Ryszarda.

– Ty smarkulo! – Anna pogroziła palcem.

\*

Weekend był przygnębiający. Do okoliczności dostosowała się nawet pogoda. Potoki wody płynęły nieustannie z nieba. Kaszuby płakały po Klausie. Kasia dwoiła się i troiła, żeby sprostać zadaniu, które sama na siebie wzięła. Teraz jechała z Adamem do Bytowa, aby zamówić pogrzeb męża swojej najbliższej przyjaciółki. Przeżyła już trochę lat, ale nigdy, od liceum począwszy, przez studia i pracę, nie spotkała żadnej dziewczyny czy kobiety, która by miała takie pokłady bezinteresowności jak Marysia. A poznały się przecież tak niedawno... Czerwiec, burza, awaria Żaby w centrum Parchowa, szkoła, kolorowa Marysia podśpiewująca piosenkę „Czerwonych Gitar”, a potem trochę brandy, żeby nie bać się burzy, i dużo śmiechu. Kasia odtwarzała sobie film z wieczoru, kiedy ją poznała. Szybko złapały dobry kontakt i odnalazły wiele wspólnych strun. Potem były piękne słowa o Klausie... Przypomniała sobie jego przyjazd i ich wspólne szczęście, którym się ze wszystkimi dzielili. Otwartość Marysi sprawiła, że Kasia sama otwierała się, mogła z nią rozmawiać na każdy temat, była gotowa powierzyć jej najgłębszą tajemnicę. Wreszcie ich ślub i wesele we wrześniu. Kasia przymknęła oczy, żeby się nie rozplakać. Godzinę temu

przyjechał Adam; bez zbędnych słów przyłączył się do pomocy. Prowadził, milcząc, pewnie czekał, aż ona sama zacznie coś mówić. Otworzyła oczy. Sine niebo nad Bytowem, ciężko pracujące wycieraczki. Dobrze, że Felcia krzyknęła jej o kaloszach. Mijali właśnie feralne skrzyżowanie w Pomysku.

– To tutaj... – rzuciła Kasia.

Adam spojrział na nią, jakby nie rozumiał, o co chodzi, ale po chwili skinął głową.

– To chyba to miejsce, tak?

Zwolnił i wskazał na słupek ze znakiem zakazu wyprzedzania, w pobliżu którego leżały drobne kawałki czarnego plastiku.

– Tak, on wylądował na tym słupku, a motor doleciał aż tutaj... – Kasia wskazała na miejsce po przeciwległej stronie jezdni, które właśnie mijali, z widocznymi jeszcze drobnymi kawałkami plastiku i szkła.

– Niezbadane są wyroki Boskie...

– Coś ty powiedział?

– No przecież...

– Słyszałam dobrze, ale wczoraj tych samych słów użył wieczorem Jan Werra.

– No właśnie...

– Tak, tylko on jeszcze niedawno był księdzem, a ty?

– Kiedy pijany bandyta za kierownicą zabił moją żonę... Kasię, chciałem sobie coś zrobić, ale najpierw temu bandycie. Podczas przygotowań do pogrzebu spotkałem się z ojcem jezuitą z mojej parafii... – Adam mówił metalowym głosem, wpatrując się w szosę.

– Ten ksiądz w tym czasie organizował, a właściwie reaktywował gdyńskie przedwojenne liceum Ojców Jezuitów i wówczas powiedział mi te słowa. Pokażę ci kiedyś kościół i liceum znajdujące się na jednym z gdyńskich wzgórz oraz ojca dyrektora. Wspaniały człowiek. – Pokiwał głową. – Wówczas początkowo się wzburzyłem, ale on powtórzył spokojnie jeszcze raz: „Niezbadane są wyroki Boskie”. I dodał: „Skup się, synu, ciebie na to stać”. Wtedy wkurzyłem się mocniej. On, taki okrągły, rumiany, o wyglądzie zupełnie nieprzypominającym księdza, gdyby nie habit, wyglądałby jak... hydraulik, czy ktoś taki.

Adam zerknął na Kasię i uśmiechnął się.

– I wtedy on popatrzył na mnie poważnie, a potem uśmiechnął się i jeszcze raz powtórzył te same słowa. A po chwili dodał: „Zabij w sobie nienawiść, jesteś człowiekiem”. Powtórzył raz jeszcze: „Stać ciebie na to!” – I ścisnął mnie mocno za nadgarstek. Miał krzepę... i miał rację. – Adam pokiwał głową. – Czuję, co możesz myśleć o tym kierowcy, chłystku spod Bytowa, może też twoja mama podobnie myśli, może Ryszard, może Marysia i jej dzieci, ale słowa: „Niezbadane są wyroki Boskie” są naprawdę właściwe; także te drugie: „Zabij w sobie nienawiść”. Tak, mnie się udało zabić w sobie nienawiść. Oby Marysi i jej dzieciom także się udało – zakończył cicho.

Kasia była zaskoczona. Wszystkiego by się spodziewała, tylko nie takiej opowieści i nauki. I to od Adama.

– Ty jesteś... prawie święty. – Jej oczy rozszerzyły się z podziwu.

– Oj, Kasiu, bo pojedę jeszcze raz ojcem Pawlickim... – lekko się uśmiechnął i pokręcił głową. – Kiedy uspokoilem się, następnego dnia nogi same mnie poniosły do niego. Długo z nim rozmawiałem... Teraz spotykamy się czasami, jesteśmy, mogę tak powiedzieć, przyjaciółmi, nawet kielicha czasem wypijemy. On wszystko doskonale rozumie. – Adam mrugnął.

– A wiesz, skąd on pochodzi... z urodzenia? Z Poznania!

– No, nie mów – Kasia zmrużyła oczy.

– Aha, Kasiu, prawie zapomniałem! Zdążyłem jeszcze dzisiaj rano porozmawiać z Maciejem i Ryszardem. No, co tak patrzysz? Od czego są telefony? Założyłem sobie tutaj taki specjalny dynks do głośnej rozmowy telefonicznej... – Dotknął czegoś czarnego, wystającego z pulpitu. – Stać mnie na to i szkoda mi czasu... no wiesz. Jak będziesz chciała, to dam ci adres do mojego mechanika... – mrugnął. – Ustaliliśmy wspólnie, że dla Klausa ma być wszystko z najwyższej półki. Rozmowy o pieniądzach zostawiaj mnie, okej?

– My też się z mamą dołożymy. – Kasia pokiwała głową.

– Mamy zadzwonić do Ryszarda po przyjeździe do Bytowa. On chce być obecny przy rozmowie w smutnym biurze...

Wjechali do Bytowa. Adam zaparkował samochód w rynku, w pobliżu biura Ryszarda.

\*

Trumnę ze szpitalnej kostnicy w Bytowie przywiózł olbrzymi cadillac wyłożony poduszkami w kolorze czerwonego burgunda. Ryszard i Adam bardzo się postarali, aby Klaus w swojej ostatniej podróży miał wygodnie, a zarazem dostojnie. Karawan poprzedzali i jechali za nim ubrani na czarno motocykliści na harley-davidsonach. Cała kolumna od rogatek wsi przemieszczała się bardzo wolno, z włączonymi klaksonami i migającymi reflektorami. Sześciu rosłych motocyklistów wniosło następnie wielką wiśniową trumnę po schodach do kościoła i złożyło ją na udrapowanym materiale w kolorze ciemnej czerwieni katafalku. Za trumną, ze stukotem metalowych obcasów, niczym rycerze w ostrogach, wolnym krokiem, w dwóch kolumnach, postępowali pozostali motocykliści, którzy stanęli rzędem pod ścianami. Jeszcze przed rozpoczęciem mszy ułożono pośrodku zielonego wieńca na trumnie czarny kask z imieniem Klaus, wypisanym srebrnym kolorem, a o trumnę została oparta srebrna gitara.

Proboszcz w kazaniu przypomniał niedawny ślub Marysi i Klausa. Marysia wówczas krótko załkała, ale Kasi i Maciejowi udało się ją uspokoić. Po bardzo osobistych słowach proboszcza można było odczuć, że jego długa rozmowa z Klausem, którą odbyli latem przed ogłoszeniem zapowiedzi przedślubnych, zapadła mu w pamięć i poznał w jej trakcie dokładnie całe życie Klausa. Kiedy zakończył kazanie słowami, że teraz w niebie Pan Bóg będzie miał znakomitego gitarzystę, a jednocześnie motocyklistę, nikt nie wstydził się łez. Z chóru rozległ się nieoczekiwanie ostry dźwięk gitary. Wszyscy jak na komendę zwrócili głowy w tamtą stronę. Miłosz, syn Klausa, którego bladą twarz widać było zza balustrady chóru, zagrał solo gitarowe z *Comfortably Numb*. Jego palce potykały się nieco. Gdy skończył wydłużonym *vibrato*, w kościele nastąpiła długa cisza.

Na czas wyprowadzenia trumny na cmentarz zaświeciło słońce. Znowu niosło ją sześciu motocyklistów, a pozostali utworzyli dla konduktu pogrzebowego szpaler, przesuwający się wolno w kierunku mogiły. Wiatr strącał z kilkusetletnich dębów osiadłe na ich konarach i gałęziach krople deszczu, które spadając, dzwoniły o wieko trumny.

W imieniu przyjaciół mowę pożegnalną wygłosił Adam. Marysia na moment podniosła na niego oczy.

– Choć znaliśmy się krótko, to jednak dostatecznie długo, żeby się zaprzyjaźnić i nawet zaplanować wspólną wyprawę do Nowej Zelandii, aby poznać miejsca związane

z kręceniem filmu *Władca pierścieni*. Mieliśmy w lutym nowego roku pojechać razem na ten film do Gdyni... – kontynuował – ...a potem zjeść w „Erinie” kolację z innymi wspólnymi przyjaciółmi – ale ty postanowiłeś wybrać seans w towarzystwie Pana Boga. Mam nadzieję więc, że gdy pojawię się kiedyś z twoją rodziną w Nowej Zelandii, spojrzysz na nas przychylnie zza chmury, nie będziesz zdziwiony. Ja swojej obietnicy zamierzam dotrzymać, więc na pewno tam pojedziemy. Powiedziałeś mi całkiem niedawno, że mimo wszystko powinienem założyć rodzinę, bo chciałbyś mi obiecać, iż gdyby coś mi się w życiu stało, to byś się nią zaopiekował. Że właśnie od tego są prawdziwi przyjaciele. Kręciłem głową, że to niemożliwe, a ty uśmiechając się, przytoczyłeś zasłyszane ode mnie, z opowieści o moim życiu, słowa: n i e z b a d a n e s ą w y r o k i B o s k i e.

W tym momencie oczy Kasi i Adama spotkały się; Kasia skinęła kilkakrotnie głową.

Adam mówił dalej.

– Poprzedziłeś tamte słowa innymi słowami: N i g d y n i e m ó w n i g d y. Wypiłem wówczas zbyt dużo alkoholu i nie dokończyliśmy tego przekomarzania się, ale dzisiaj stojąc przy twoim grobie, obiecuję ci, że zaopiekuję się twoją rodziną. Kiedy się znowu spotkamy, zdam ci ze wszystkiego relację. Żegnaj, przyjacielu.

\*

Marysia na chwilę tylko pojawiła się w „Iskierkowej” stodole. Po jej wejściu na salę wszyscy obecni wstali, a ona blada, widziana pierwszy raz tutaj na czarno, na oko jeszcze drobniejsza niż zwykle, przemieszczała się z wolna pomiędzy przyjaciółmi i innymi zaproszonymi na poczęstunek gośćmi. Kiedy dotarła do Adama, spojrzała mu prosto w oczy.

– Kiedy wście tak szczerze z Klausem rozmawiali?

– Wtedy gdy zaprosiłem go z moimi pozostałymi dwoma muszkietierami, Konradem i Wojtkiem, na *Portsmouth* do „Erina”. Po kilku dzbanach mojego trunku przyjęliśmy go jako d’Artagnana do naszej muszkieterskiej paczki.

– To wtedy, kiedy byliście następnego dnia tak mocno zmęczeni, czy tak?

– Wybacz, Marysiu...

– Dziękuję ci za wszystko. Wiem, że to ty byłeś głównym organizatorem pogrzebu... – Ponownie spojrzała mu prosto w oczy. – Kasia oraz Ryszard także... Zupełnie nie wiem, jak ja się wam mogę odwdziżyć... ale pewnie kiedyś do tego wrócę. Dzisiaj nie mam siły. Jesteście wszyscy tacy dobrzy...

Rozejrzała się wokół, łzy napłynęły jej do oczu i wybiegła ze stodoly bez pożegnania; Kasia i Maciej ruszyli za nią.

– Adamie, nie myślałam, że byliście tak blisko z Klausem.

Anna, przysłuchująca się jego rozmowie z Marysią, podeszła bliżej i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Klaus był wyjątkowy... Tak szczerego i prawdomównego człowieka, oprócz naszej trójki z piaskownicy, nigdy nie spotkałem. Twardy, a jednocześnie głęboki romantyk i idealista. No, to jak mieliśmy go nie przyjąć do muszkietierów?

– Był doskonałym rozmówcą o muzyce, ale wyczułem, że znał się także na prawie – wtrącił Ryszard.

– Musiał... wiesz, umowy. Ryszardzie, dzisiaj jest specjalny moment na szczerą rozmowę. – Adam spojrzał mu prosto w oczy. – Na tym spotkaniu z Klausem rozmowa zeszła również na twój temat...

– To muszkietery bawią się w plotki? – Anna pokręciła głową.

– Żołnierz jak się nie bije, to pije. A jak pije, to się dusza otwiera... – Ryszard zasłonił usta, żeby powstrzymać śmiech.

– Tak to właśnie jest – mrugnął Adam. – I właśnie wtedy podjęliśmy uchwałę... – Adam zaczął rozglądać się wokół; wykonał gesty przyzywające. Po chwili podeszli Konrad i Wojtek. – Poznacie? – zwracając się do nich, wskazał na Ryszarda.

– No oczywiście...! – zaczął Konrad.

– Ryszard, czyli kapitan de Treville! – zawołał Wojtek.

– Jasne, Ryszardzie? – Adam z trudem powstrzymał parsknięcie.

– Ależ wy jesteście... jak to się mówi? Modele!

– Anna pokręciła głową.

– Jestem zaszczycony. – Ryszard skłonił się i położył dłoń na piersi.

– No, to mamy już wszystko uzgodnione, kapitanie, teraz musimy spotkać się w „Erinie”! – Adam znowu mrugnął.

– Chyba nie myślicie... – Anna zatrzepotała rzęsami.

– Nie, teraz na pewno nie. Dopiero kiedyś... w karnawale.

Czterej mężczyźni pochylili głowy, tłumiąc śmiech.

\*

– O której Maciej wyjechał z Elizą? – zawołała Kaśka, wpadając do kuchni. – Pewnie zaspali?

– Ktoś tu czuwać musi... – Felcia uśmiechnęła się.

– Anna obudziła Elizkę, Jan Macieja, a ja czekałam na wszystkich z kanapkami. Wyjechali o szóstej piętnaście.

– Za dziesięć ósma Elizka przysłała esemesa, że już jest na uczelni – uzupełniła Anna.

– Dzięki Bogu...

– A nam wszystkim pozostałym ziemianom, to co...? – odezwał się Jan, który od kilku chwil stał w progu kuchni.

– Oczywiście, wam wszystkim także dziękuję – Kasia obdarowała towarzystwo uśmiechem. – Ależ ja dzisiaj twardo spałam.

– No, nie dziwię się. Tyle spraw mieliście do ogarnięcia. Adam przeszedł samego siebie... – Anna uniosła dłonie w górę.

– A Ryszard, mamo? Czy wiesz, że on jeszcze przedwczoraj późnym wieczorem pojechał do znajomego do Słupska po burgundowe poduszki do karawanu i taki sam materiał na katafalk? Adam, który był scenografem pogrzebu, nie wyobrażał sobie innych, więc Ryszard ze swoim znajomym ze smutnego zakładu w Bytowie obdzwaniali wczoraj od rana całe Kaszuby!

– A ci motocykliści, jak wam się udało ich zorganizować? Boże, co to był za efekt!

– Eliza przypominała sobie tego motocyklistę z Chojnic, co to miał wypadek, kiedy jechaliśmy latem do Poznania. Miała jego telefon.

– Przecież ja latem nie jechałam do Poznania...

– Mamo, nie ty, tylko my dwie z Elizą, z Krzyśkiem i Igorem!

– Aha!

– No! To ten właśnie chłopak, Rafał, obdzwonił kilku motocyklistów z Kaszub, powiedział im, że chodzi o ich kolegę Klause, a potem już poszło. Sami dzwoniли dalej. Czy wiesz, że większość na wczorajszy dzień wzięła dzień urlopu? Jacy oni wszyscy byli zadowoleni z zaproszenia na obiad... To są zakręceni ludzie. Niektórzy zresztą zaraz po kawie podziękowali, nie czekając na obiad, bo nie chcieli wracać po ciemku.

– Felciu, czy w twojej głowie to się wszystko mieści? – Anna zmierzyła Felcię wzrokiem.

– Nawet gdybyś spytała, czy to w mojej pale się mieści, też bym odpowiedziała twierdząco – zachichotała Felcia.

– Ależ ty się wysławiasz...! – Jan spojrzał z niedowierzaniem.

– O! Święty się znalazł! – zgasiła go Felcia; kuchnia wypełniła się śmiechem.

– Czy myśmy nie powariowali? Przecież jest żałoba! – Anna przybrała poważną minę.

– Aniu! Człowiek musi dać upust emocjom. To jest normalne. Bóg i wiara tego nie zabraniają – dobrotliwie wyjaśnił Jan.

– No, to wreszcie tak czy tak, bo się pogubiłam? – Felcia spojrzała spode łba na Jana.

– Tak to jest, jak się wciąż chce być Modrzejewską, a innym się odmawia, by mogli choć na chwilę wcielić się w rolę na przykład... Osterwy – Jan uśmiechnął się i przymrużył zabawnie oczy.

– To ty zagrałeś...? No, to teraz mamy kompletną trupę aktorską w domu. Możemy chodzić po podwórkach albo zgłosić się na jakiś festiwal – Felcia znowu zachichotała.

– No dobrze, wy się bawcie, a ja jadę wreszcie zobaczyć, czy firma się nie przewróciła.

– Kaśka poderwała się z krzesła.

Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem do sieni.

– A córka nie dzwoniła? – Anna spojrzała na Felcię.

– Od następnego dnia po śmierci Klause nie dzwoni. – Felcia pokręciła głową. – Może się naprawi, ale to nie będzie takie łatwe. – Po tym, jak pierwszego dnia zaczęła bić z rozpaczny głową o ścianę, a po pierwszym uderzeniu zemdląła z bólu, to myślałam, że i tak będzie gorzej.

– Nie znam jej długo, ale wydaje mi się, że to mądra i twarda kobieta – odezwał się Jan.

– To była kulminacja rozpaczny, chwilowa... Tak myślę.

– Moim zdaniem, całkiem niedawno obmyśliła sobie, że teraz już nie musi sama o wszystkim myśleć, że jest Klaus, który choć w części spraw ją wyręczy, że może bardziej zająć się swoją pracą, zainteresowaniami, a tu w jednej chwili wszystko się zawaliło i znalazła się w czarnej dziurze... – Anna ostatnie słowa podkreśliła rozłożeniem ramion.

– Masz rację. Ładnie to opisałaś. – Jan pokiwał głową.

– Widzisz, jak ją sobie zdalnie wychowałam? Moja krew! – Felcia objęła Annę. – Mój prezent imiennowy! Ma się zresztą teraz na kim wzorować bezpośrednio

– Felcia znowu pofolgowała sobie chichotem.

– Co ja bym bez was zrobiła? – Anna położyła jedną rękę na dłoni Felci, a drugą na dłoni Jana. – Jesteście tacy kochani.

– A cóż to za piękna scena? Dzień dobry. Nikt mnie nie obudził, a jestem śmiertelnie głodny – zawołał Adam od progu; potupał w wycieraczkę i zdjął buty.

– A co to, na bosy będzie chodził? – Felcia spojrzała na jego stopy.

– Nałożyłem cieplejsze skarpety. W domu zawsze noszę łapcie, mam zamiar tu częściej bywać, więc jakieś sobie sprawię.

Jan odchylił się do tyłu, uśmiechnął do niego i machnął dłonią.

– Pożyczyłbym jakieś swoje, ale dla niego potrzeba wielkości futerału od skrzypiec

– Tak na oko musiałbym pożyczyć ze dwie pary i je zszyć. – Adam zajrzał pod stół i mrugnął. – Ale dziękuję za dobre chęci. Czy mogę, Felciu, liczyć na coś śniadaniowego? – spojrzał na nią błagalnie.

– A na co masz apetyt? – Anna poderwała się.

– A co ty mi się wtrącasz do mojej kuchni? – Felcia ruszyła za nią i odsunęła od kredensu; Anna wróciła na swoje krzesło.

– Adam, a co byś powiedział na jajecznicę na prawdziwym gospodarskim boczku z pajdą chleba z masłem? – Jan trącił go łokciem. – Robię taką pyszną, że już nigdy nie będziesz chciał jeść czegokolwiek innego.

– Ty to mówisz poważnie? – Felcia znieruchomiała.

– Kiedy w czerwcu jechaliśmy tutaj, to w zajeździe „Zielony Dwór” jadłam jajecznicę staropolską dla białogłów. Czy to może taka sama? – Anna przymrużyła oczy.

– Nie wiem, jak tamtą robili, ale po mojej, uwierz, Adamie, zapomnisz o innym jedzeniu. – Jan podszedł do lodówki.

– Jajka są na werandzie. Tam jest wystarczająco chłodno. Przynies całą kobiałkę, bo ja też chcę takiej!

– Rozemocjonowana Felcia usiadła obok Anny.

– A ja mówiłam już, że też chcę? – Anna filuternie spojrzała na Jana, który oparł się o drzwi lodówki.

– Jeszcze nie – uśmiechnął się Jan.

– No, to też chcę!

– No to, panie kelner, trzy porcje! – Rozbawiony Adam uderzył palcami w stół.

– Według moich obliczeń, trzeba zrobić cztery porcje! – Jan klasnął w dłoń. – Ale fajnie!

Na wszystkich twarzach pojawił się uśmiech.

– Felciu, czy ja mógłbym wynająć, na jakiś czas, ten pokój, co to dzisiaj w nim spałem?

– Adam kolejny raz spojrzał na Felcię z prośbą w oczach.

– Byłam wczoraj pod wielkim wrażeniem twoich słów. Chyba dopiero wówczas się spłakałam. – Felcia skinęła głową.

– Że też ty potrafiłeś to powiedzieć tak spokojnie... – pokręciła głową Anna.

– To wszystko dzięki temu jezucie... – Adam opuścił głowę na piersi.

– Muszę powiedzieć, że mnie, specjalistę, aż zatkało – wtrącił Jan, który słyszał ostatnie słowa Adama. – Ale momencik, tu jest tylko ze dwadzieścia jaj! – Przeniósł oczy z trzymanej kobiałki na Felcię.

– Dla mnie z dziesięciu, a dla każdego z was po trzy i jakoś wyda – uśmiechnął się Adam i poruszył zabawnie ramionami.

– To ty mówisz po naszymu? – Felcia uniosła brwi.

– Przecież ja z Gdyni, no to prawie Kaszuba.

– A no jo. No diachle, to u mnie tym jeszcze bardziej zapunktowałeś. Za to możesz siedzieć gratisowo parę dni – Felcia uśmiechnęła się kokieteryjnie; Jan zmierzył ją wzrokiem.



– Myślę, Fela, że Adam mówi o czymś, co potrwa dłużej. Wsłuchałem się uważnie w to, co wczoraj mówił o rodzinie przyjaciela. – Jan popatrzył poważnie najpierw na Felcię, a potem przeniósł wzrok na Adama.

– W rzeczy samej. – Adam pokiwał głową.

– Ale jak to sobie wyobrażasz, Adamie? – Anna położyła rękę na jego dłoni.

– Muszę to sobie na spokojnie ułożyć... Teraz myślę pobyć do końca tygodnia, a od nowego się zobaczy. Poradzę się jeszcze Kasi.

– A dlaczego jej?

– Ona bardzo zaprzyjaźniła się z Marysią, dużo o tym w tych dniach rozmawialiśmy, a ja z Klausem.

– No, ale przecież my też jesteśmy... – Felcia zatoczyła ramieniem po kuchni. – Przecież to moja... prawie córka.

– No właśnie – dodała Anna.

– Jak ona nie chce do nas przyjść sama, to może my ją odwiedzimy? – Felcia spojrzała na Annę, która skinęła głową.

– Pozwólcie, że na razie ja sam spróbuję ją odwiedzić... – Adam popatrzył na Felcię i Annę.

– Może Adam ma rację. – Jan odwrócił się i pokiwał głową.

– No, ale...

– Niech spróbuje... – Jan wrzucił na patelnię drobniutko pokrojony boczek.

– No jo – Felcia ustąpiła. – A z tym wynajęciem, to mi więcej nie gadaj.

– Ten tydzień przyjmuję, ocenisz, jak się zachowuję, a w nowym porozmawiamy, dobrze? – Adam wyciągnął przez stół swoje długie ramię i pogładził Felcię po dłoni.

– Ty mnie tu... – obruszyła się Felcia, ale widząc wzrok Adama, poklepała tylko jego dłoń. – No jo, porozmawiamy.

\*

Adam wypatrzył przed parchowską szkołą Joasię. Pokiwał dłonią. Podeszła do niego wolnym krokiem.

– Dzień dobry, Joasiu. Czy mogę cię odprowadzić do domu?

Skinęła głową.

– Widzę, że jakoś funkcjonujesz... – Adam zajrzał jej w oczy.

– Rozmawialiśmy wczoraj z Miłozsem i ustaliliśmy, że teraz my musimy być silniejsi od mamy.

– Jesteście wspaniali... To truizm, co powiem, ale jesteście młodzi, więc dacie sobie radę. A powiedz mi, jak mama?

– Mama siedzi u siebie i nie rozmawia. Miała być dzisiaj w szkole, ale nie widziałam jej tam, więc podbiegłam w przerwie do domu i kazała mi przekazać dyrektorce, że do końca tygodnia bierze urlop.

Adam pokiwał głową.

– Jak myślisz, czy ja mogę ją... was odwiedzić w domu?

– Wczoraj, kiedy pani Kasia i pan Maciej przyprowadzili ją do domu, to długo płakała. Potem została już tylko Kasia, ale też mało rozmawiała.

– To jest bardzo świeże... może za kilka dni. A jak wyglądacie z zakupami? – zmienił temat.

– Jakby co, to mamy od kilku lat domową puszkę zakupową. My z Miłozem dajemy sobie radę, bo wiemy, co kupować. Muszę tylko nauczyć się gotować – zerknęła na Adama.

– A masz jakieś książki o gotowaniu?

– Kiedyś dostałam od mamy taką dla dzieci, ale nie garnęłam się do niej, wczoraj ją odnalazłam, a potem jeszcze zajrzałam do dorosłej książki kucharskiej. To wcale nie jest takie trudne, tylko trzeba się odważyć.

– Jej oczy na moment rozbłysły.

– Jakby co, to zawsze możesz wpaść do pani Felci czy Anny, Kasi... tam wszyscy znają się na tym. Czy wiesz, jaką dzisiaj Jan Werra zrobił pyszną jajecznicę? Czegoś takiego w życiu nie jadłem! A ja też potrafię co nieco zrobić.

– Naprawdę? Ten przepis na jajecznicę muszę mieć, bo mama lubiła, jak tata robił... – Joasia posmutniała.

Kiedy zbliżyli się do domu, Adam kątem oka dojrzał postać Marysi w oknie. Gdy spojrział raz jeszcze, cofnęła się.

– To miło, że zaszedłeś... – Marysia podniosła wzrok na Adama, kiedy weszli do środka, ale zaraz opuściła go. – Napijesz się czegoś?

– Jestem wypełniony po korek... – rzucił weselszym tonem; Marysia znowu spojrzała na moment na niego. – Ale z tobą mogę się napić.

– Nie dam rady... Joasiu, zrobisz dzisiaj dla was kotlety, bo tylko to zostało w lodówce... – Jej oczy rozbłysły łzami; Joasia przytuliła się do matki. – Trzeba będzie coś kupić, dasz radę, córca?

– Jak wróci Miłoz, to ustalimy.

– Poza tym warzywa, owoce, nabiał... wszystko wyszło. – Marysia machnęła dłonią. – Boże.

– Marysiu, jeśli się nie pogniewasz, to mogę im jakoś pomóc – Adam ruchem głowy wskazał na Joasię. – Niczym się nie przejmuj, tylko mów.

– Daj spokój, wszyscy mają swoje rodziny i swoje problemy...

– Ja dysponuję czasem bez ograniczeń – rzucił pogodnie; Marysia podniosła na Adama zaszklone oczy.

– Masz swoje życie, pracę, a do tego mieszkasz przecież w Gdyni...

– To jest rzut beretem. Zrobiłem sobie krótki urlop i zostaję na kilka dni, może wpadniesz do „Iskierki”?

– Nie dam rady. W tym tygodniu nie pójde także do pracy.

– Joasia mi mówiła.

– A co powiedziała dyrektorka? – Marysia spojrzała na córkę.

– Masz się niczym, mamuś, nie przejmować.

Marysia pokręciła głową.

– Przecież miałyśmy zrobić korektę planu! Zapomniała! Ale ja nie mam teraz siły... – Znowu jej oczy zaszkły łzami.

– Wybiera się do ciebie Felcia, a może i Anna – Adam uśmiechnął się lekko.

– Nie, nie! Nie mam siły na rozmowę z nimi. Przeprós je... Na razie nie. – Opadła na sofę i przykryła twarz dłońmi.

Joasia spojrzała na Adama.

– Marysiu, jeśli pozwolisz, to uzgodnię z Joasię sposób pomocy w zakupach, a potem sobie pójdę.

Marysia spojrzała na niego i smarknęła w chusteczkę.

– Ty... akurat... możesz być. Jeśli możesz, to pomóż Joasi, dzieciom. – Znowu przykryła oczy dłońmi.

Wzrok Joasi i Adama spotkał się ponownie.

– Już jestem! – od drzwi rozległ się głos Miłosza.

– Puścili nas dzisiaj godzinę wcześniej, bo matematyczka urodziła i nie wymyślili zastępstwa. Autobus mi...

– zawiesił głos, gdy zobaczył Adama.

– ...podpasował – dokończyła za niego Joasia.

– Tak właśnie... Dzień dobry panu – Miłoz rzucił sucho w kierunku Adama.

– Witaj, Miłoz.

– Pan Adam może wam pomóc w zakupach. Rozmawialiśmy o tym – odezwała się cicho Marysia.

– Damy sobie sami radę... – wycedził Miłoz; matka spojrzała na niego błagalnie. – Dobrze, tym razem ustąpię, ale... następnego razu nie będzie. Jestem prawie pełnoletni.

– To prawda, Miłoz. Jesteś pełnoletni i wiesz, co mówisz. Czy Joasia będzie wiedziała, co kupić, czy chcesz się z siostrą naradzić? – Adam starał się mówić miłym głosem; Marysia i jej dzieci spoglądali chwilę po sobie.

– Będziesz wszystko wiedziała, czy ci coś podpowiedzieć? – Miłoz spojrzał na siostrę.

– Rozejrzałam się... Dam radę.

\*

Po drodze do sklepu w Parchowie Adam starał się przekonać Joasię do zrobienia większych zakupów, w Bytowie.

– Zostanie wam potem tylko kupowanie pieczywa, a ja raz w tygodniu mogę tam podjechać, albo z tobą, albo z Miłozem.

– On będzie chyba przeciwny. Wczoraj powiedział mamie, że sami sobie damy radę i że w czerwcu kończy osiemnaście lat, więc w czym się da, zastąpi tatę.

– Ma rację.

– Poważnie? A ja myślałam, że pan...

– Pół roku to pestka. Podoba mi się jego postanowienie. A co mama na to?

– Przytuliła się do niego i płakała, a ja razem z nimi.

– Czyli wzięła to za dobrą monetę. To jak, Joasiu? Zakupy raz w tygodniu, czy codziennie po trochu i ciągle będziecie wymyślać, co na jutro? – uśmiechnął się Adam.

– Tylko że ja wzięłam sto złotych, a to nie starczy, trzeba by...

– Jak wrócimy, to oddasz, okej? – mrugnął do niej, ona skinęła głową.

Zakupy zrobili u Szultry, który to sklep Adam zdążył ostatnio poznać. Joasia ciągle zastanawiała się, czy czegoś nie biorą za dużo, bo takich obfitych zakupów nigdy nie robiła.

– Zawsze kupujemy, co potrzeba, na bieżąco, a jak czegoś nie ma, to zamawia się i kierownik na jutro przywozi. Bez samochodu jest trudno. Tata miał sprzedać motor i chyba chciał kupić jakieś małe auto... – Jej oczy wypełniły się łzami.

– No tak. Chciał ułatwić wreszcie życie mamie, wam zrobić trochę przyjemności. Tak długo czekali na siebie.

– Ja już mu ze trzy lata temu mówiłam, żeby został. – Zasłoniła oczy.

– Joasiu, tata miał plany, ale też trudną pracę. Na pewno zawsze chciał dobrze. To, co się stało, to przypadek. Każdemu mogło się przytrafić.

Musieli wyjechać wózkiem aż do samochodu, tyle zakupów się narobiło.

– Nawet cukier i mąka są teraz na zapas! Mama się ucieszy, bo zawsze ganiałiśmy do sklepu, jak się kończyły. Zawsze była gonitwa, kiedy mama nagle chciała coś upiec.

– Z tego, co kupiliśmy, nic się nie zepsuje. Kurczak na połowę, drugie mięso w mniejsze porcje i do zamrażalnika. W przeddzień wieczorem wyciągasz, co chcesz, wkładasz do miski z wodą i rano do użycia.

Kiedy wrócili, Miłoz wyszedł przed dom, by pomóc wnieść zakupy.

– Od razu pomyślałem, że pojechaliście do Bytowa. Ile trzeba oddać?

– Poczekaj. W domu. We dwóch weźmiemy wszystko na raz. Dziękuję.

Marysia przyszła na chwilę do kuchni. Pokręciła głową i z wdzięcznością spojrzała na Adama.

– Dacie radę? – Spojrzała na dzieci; odpowiedziały jej skinieniami głowami.

– Ile trzeba panu oddać? – Miłoz rzucił w powietrze.

– Dwieście, bez kilku złotych – odpowiedziała Joasia.

– Za tyle pieniędzy to bym kupował przez cały tydzień – skwitował cierpko Miłoz.

– Ale pomyśl. Wszystko jest na tydzień kupione, tylko zostaje pieczywo – wyjaśniła Joasia.

– No... niby tak.

– Następnym razem możesz jechać ty – dodała Joasia.

– No, nie wiem, czy będzie kolejny raz. Dzisiaj nie chciałem odmawiać mamie.

Adam jeszcze chwilę usiłował porozmawiać z Marysią, ale jakiego by tematu nie zaczął, przymykała w najlepszym wypadku oczy.

– Jutro wpadnę, Marysiu. Trzymaj się.

Podniosła oczy w górę i delikatnie skinęła głową. Zaszedł jeszcze na moment do kuchni.

– Czy potraficie zrobić lekką jajecznicę?

– Ale mama może nie zjeść – Miłoz rzucił oschle.

– Nie wiesz tego, ale spróbować trzeba. Potraficie?

– Tak.

– Dwa jajka, dodaj łyżkę mleka albo śmietany, stanie się puszysta. Na odrobinie masła. Nie za gorącą herbatę z miodem i cytryną i dwie kanapki z bułki paryskiej z masłem.

– Takie rzeczy przecież wiemy... – uciął Miłoz.

– Tak właśnie zrobię – Joasia uśmiechnęła się blado.

– To do jutra – oddał jej uśmiech Adam.

– Dziękuję, panie Adamie. Do widzenia. – Joasia uniosła dłoń w górę; Miłoz tylko nieznacznie schylił głowę.

\*

Anna i Felcia siedziały przy stole.

– Myśmy już zjedli obiad, ale zaraz mogę tobie podgrzać. Jan pracuje u siebie... – Felcia poinformowała Adama. – I jak tam Marysia?

– Czy dzisiaj trochę z nią lepiej? – uszczegółowiła Felcine pytanie Anna.

– Ciężko. Niechętnie rozmawia, nie chce nigdzie wychodzić, nie ma też ochoty na jakiegokolwiek wizyty u siebie. Joasia otwarta, a Miłosz w stosunku do mnie nastroszony. Byłem z Joasią po zakupy w Bytowie.

– O! To super! – Anna pokiwała głową.

– Miłosz szybko wydorósł, ale widzi pewne sprawy inaczej niż ja... Zachowuje się trochę jak młody lew w stadzie, a przecież ja nie mam zamiaru podważać jego statusu. Nie żebym chciał się wam tłumaczyć, ale wczoraj powiedziałem to, co naprawdę myślę, i chcę się tego trzymać. – Spojrzał przeciągle na obie kobiety.

– Marysia się podniesie... tylko musi sobie jeszcze raz na spokojnie wszystko w głowie ułożyć. Znam ją.

– Felcia założyła ręce na brzuchu. – To nie chcesz teraz obiadu?

– Napiłbym się chętnie kawy szatańskiej – uśmiechnął się Adam.

– Się robi! A ty, Aniu?

– Dla towarzystwa... i tak dalej. – Annie zaśmiały się oczy.

– Jak już tu sobie plotkujemy... – Adam spojrzał wesoło na kobiety – ...to muszę wam powiedzieć coś, żebyście nie interpretowały moich zachowań inaczej. Na przykład, że jestem tutaj, bo mam za dużo czasu wolnego – mrugnął. – Ale tak na poważnie, wszyscy macie jakoś zorganizowane życie rodzinne, a ja... mam jak mam.

– Ej tam! – Felcia fuknęła. – Młody jesteś i wszystko może się jeszcze zdarzyć. Mało to kobiet?

– To teraz mnie przycisnęłaś do muru. I co ja mam powiedzieć?

– Adaś... przepraszam, że tak zdrobniale, ale pomyśl, ile tracisz? – Anna nachyliła się nad stołem. – Nie możesz całe życie rozpamiętywać tamtego feralnego wieczoru... Jesteś tak wartościowym człowiekiem, że powinieneś zostawić po sobie ślad na ziemi.

– No, ale przecież moja praca, projekty...

– Nie wykręcaj się. Powiem to, chociaż przy kim innym nie powiedziałabym tego głośno. Chodzi mi o ślad w postaci potomka!

Adam odchylił się do tyłu i złapał za głowę.

– Nikt mi nigdy czegoś takiego nie powiedział wprost, chociaż jedna z koleżanek napuszczała mnie kiedyś na inną. – Adam pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

– Poważnie! A tamta była chyba z nią w zмовie...

– A kto ci broni pamiętać o twojej Kasi? Po co człowiek jest na ziemi? Tego ci ten jezuita nie mówił? – Felcia postawiła przed Adamem duży kubek z kawą.

– Mocna! Prawie trzy łyżeczki. A my z Anią małe kawy, bo pierwszą pijemy już po szóstej.

– Tak wcześnie?

– Oj tam, słabą, a do tego kanapka z miodem. Ale ty mnie nie zagaduj!

Felcia ustawiła na stole filiżanki dla Anny i dla siebie.

– Ładne filiżanki...

– Widzisz, Aniu, jaki to cwaniak? Wciąż próbuje zagadywać.

– Myślę, że jemu teraz zwoje pulsują, skręcają się i prostują. – Anna przechyliła głowę i zajrzała w oczy Adamowi.

– Aleście mnie, kobiety, obsiadły. Zgodziłem się na ploty, ale nie na magiel! – zaśmiał

się. – A z tymi zwojami... to dobre!

– Tak nam Eliza zawsze mówi. – Felcia podniosła brwi. – I zawsze ma rację!

– Tak... dałyście mi dużo do myślenia. A Eliza to rzeczywiście bardzo mądra dziewczyna.

– Patrz, Aniu! Eliza mu się podoba! Adasiu! To nie twoja kategoria wiekowa!

Adam przycisnął dłoń do ust. Cały trząśł się od śmiechu.

– Myślę, Felciu, że Adam ma od dzisiaj o czym myśleć – Anna zmrużyła oczy. – Niezbadane są wyroki Boskie... – Wzrok Anny i Felci spotkał się, jednocześnie skinęły głowami.

– Ale dlaczego te słowa akurat teraz? – Adam spowaźniał.

– A czy one nie są prawdziwe? – Anna przymrużyła oczy; Felcia pokiwała głową.

– No, są... – Adam wzruszył kilkakrotnie ramionami.

\*

Kolejne dni nie przyniosły przełomu w stanie Marysi. Adam raz dziennie odwiedzał ich dom. Starał się bywać tam po południu, kiedy w domu był już także Miłosz. Ten przypatrywał mu się zawsze z niechęcią, ale nie atakował słownie. Marysia, sądząc po pojawiających się momentami błyskach w oczach, akceptowała jego wizyty. W dalszym ciągu odmawiała wyjścia dokądkolwiek albo wizyty u siebie kogokolwiek. Kiedy przyszedł w niedzielę pożegnać się przed wyjazdem do Gdyni, w jej oczach dojrzał smutek.

– Przyjadę we wtorek po południu – powiedział na odchodnym; skinęła głową.

W ciągu następnych dni zmieniło się o tyle, że Marysia wychodziła z Joasią do szkoły, unikała pokoju nauczycielskiego, prowadziła lekcje, a gdy je skończyła, wracała szybko do domu. Zaczęła już także krzątaninę po kuchni, z czego bardzo ucieszyły się dzieci. Kiedy pod wieczór na chwilę odwiedzał ją Adam, na moment się ożywiła. Wciąż jednak nie była gotowa pójść gdzieś dalej albo przyjąć kogoś u siebie.

Kiedy w kolejną sobotę Adam przed wyjściem rzucił mimochodem, że w powrotnej drodze wstąpi na cmentarz, żeby zapalić znicze, rozplakała się. Do pokoju wkroczył Miłosz.

– Czy musiał pan mamę zdenerwować? Jeszcze nie jest gotowa...

Marysia spojrzała załzawionymi oczami na syna.

– Pan Adam tylko powiedział, że idzie... – powiedziała cicho.

– Ale mama znowu płacze!

– Bo pomyślałam sobie, że też powinnam wreszcie tam pójść, i trochę się przestraszyłam.

– Ale chyba nie chcesz iść z panem? – Miłosz spoglądał zaciętym wzrokiem to na matkę, to na Adama. – To już chyba lepiej pójdź z nami.

Do pokoju weszła cicho Joasia. Przysiadła na sofie obok mamy.

– Miłosz, mylisz się. Kiedyś muszę wreszcie wyjść z domu dalej niż do szkoły, a to dobry moment – powiedziała Marysia, patrząc na syna. – Przecież możemy pójść wszyscy razem.

– Ale pan Adam nie jest naszą rodziną!

– Posłuchaj... cmentarz to takie miejsce, gdzie nie powinno się dzielić odwiedzających na rodzinę i na nie rodzinę. Tata pewnie by nie chciał, żebyś tak myślał.

– Mamo, a może naprawdę pójdziemy wszyscy razem? Kupiłam dzisiaj rano kilka zniczy... – wtrąciła Joasia.

– Jesteś kochana... – Marysia przytuliła córkę. – Ty też jesteś kochany – przywołała syna i też go przytuliła. – Pójdźmy we czwórkę, proszę.

– Ależ, mamo...

– Chcę tego. Poza tym muszę się wreszcie odważyć. Przygotuję się i za kilka minut będę gotowa.

Marysia wyszła z pokoju. Miłosz zmierzył wzrokiem Adama i też wyszedł.

– Cieszę się, panie Adamie – Joasia uśmiechnęła się.

Robiło już się szarawo, kiedy ruszyli w stronę cmentarza. Dzieci trzymały się z obu stron mamy, Adam szedł nieco z boku.

Przy grobie Marysia się rozszlochała. Miłosz obejrzał się złym wzrokiem na Adama. Joasia gładziła matkę po policzku. Nagle Marysia głęboko jęknęła i się zachwiała.

– Mama mdleje! – krzyknęła Joasia.

Adam w ostatniej chwili pochwycił ją i podniósł. Trzymał na rękach i spoglądał w jej bladą twarz. Joasia patrzyła to na matkę, to na Adama oczami pełnymi łez. Zwilżoną chusteczką przetarła jej usta.

– No i widzi pan, co pan narobił? – syknął Miłosz.

Marysia ocknęła się. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Zaniósę cię do domu – powiedział cicho Adam.

– Nie, już mi lepiej... Muszę pójść do lekarza, bo mam chyba coś z krtanią, a właściwie niżej, z tchawicą. Przy dużych emocjach miewam czasami kłopot z oddychaniem. Postaw już mnie, proszę.

Adam delikatnie postawił ją na ziemi. Oparła się o niego. Joasia podała mamie butelkę z wodą; Marysia wypila dwa łyki i ponownie głęboko zaczerpnęła powietrza.

– A z tą tchawicą to od dawna masz?

– Właściwie to od... urodzenia Joasi.

Córka zdziwiona spojrzała na matkę.

– A dlaczego ja nic o tym nie wiem? – nie potrafiła ukryć zaniepokojenia.

– Dziękuję, że pan złapał mamę... – Miłosz pierwszy raz od wielu dni spojrzał przychylniej na Adama. – Ja odszedłem o jeden krok za daleko...

– Ważne, że mama szybko doszła do siebie.

– Mamo, ale nie odpowiedziałas mi na moje pytanie. – Joasia nie spuszczała wzroku z matki.

– Miałam kłopoty z tarczycą po urodzeniu ciebie. Brałam leki hormonalne, ale potem zbagatelizowałam i wreszcie zapomniałam, chociaż czasami, kiedy ponosiły mnie nerwy, emocje, traciłam na wadze. Zapal, Miłosz, znicze, proszę.

Miłosz próbował zapalać, ale płomień ciągle gasł.

– Może teraz ja spróbuję. – Adam wyciągnął dłoń.

Odpiął kurtkę i przykucnął za pomnikiem sąsiedniego grobu, czyniąc z pleców parawan przed wiatrem. Zapalał znicz po zniczu i podawał Miłoszowi.

– Sprytnie to pan wykombinował, żeby nie gasły

– rzuciła już nieco uspokojona Joasia.

– Miałem na takie eksperymenty wiele lat – odparł.

– Tyle ma pan grobów w rodzinie?

- Dziadkowie, rodzice, żona, a do tego wszyscy na jednym cmentarzu.
  - Żona? – Miłosz stanął wprost przed nim.
  - Tak, ale nie mówmy dzisiaj o tym. Kiedyś ci opowiem. – Adam obszedł grób dookoła i wcisnął nieco głębiej w piasek wszystkie znicze.
  - Nie za głęboko? – zdziwił się Miłosz.
  - Zaczyna wiać, a kiedy przyjdą mocniejsze podmuchy, szkoda, żeby znicze przewróciły się, a potem zajęły się ogniem świerkowe gałązki.
- Marysia przysłuchiwała się wymianie zdań Adama z jej dziećmi. On zerkał chwilami na nią i w pewnym momencie odniósł wrażenie, że na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.
- Wracajmy już, kochani – poprosiła cicho. – Cieszę się, że jednak przyszłam dzisiaj. Dziękuję wam wszystkim. – Marysia przebiegła wzrokiem po twarzach dzieci i zatrzymała wzrok na Adamie.

\*

Gdy ruszyli, Anna odetchnęła głęboko.

- Chciałam się wyrwać stąd choć na chwilę... – Pokazała kciukiem za siebie, na „Iskierkę”; Ryszard spojrział na nią z niedowierzaniem.
- Czy masz jakieś problemy, może pokłóciłaś się z kimś z domowników?
- Nie, wręcz odwrotnie. Pogrzeb Klausea zbliżył nas jeszcze bardziej. Rozmawiamy teraz dużo z Janem. Ależ to jest mądry człowiek.
- Bardzo go lubię, chociaż nie potrafię odgadnąć, czy on odszedł z zakonu dla Felci, czy był inny powód?
- Kiedyś zastanawiałam się, a nawet w przypływie bezczelnej odwagi już prawie miałam go spytać, ale stwierdziłam, że ma prawo do tajemnicy. Ciekawa jestem, czy Felci powiedział, ale jej też nie pytam. Niech sobie jest, jak jest.
- To powiedz mi wreszcie, dlaczego tak bardzo chciałaś się wyrwać, jak powiedziałaś?
- Bo się za tobą stęskniłam, a przy nich nie miałabym szansy, żeby ci to powiedzieć. Oj, mężczyźni!
- Anna zmrużyła oczy.
- Ależ ja jestem niedomyślny. Strasznie mi wstyd.
- Ryszard przepraszająco spojrział na Annę i pogładził jej dłoń. – Mnie też ciebie brakowało, zwłaszcza że wtedy przerwaliśmy miłą wycieczkę.
- Jeszcze nadrobimy... – obdarowała go uśmiechem. – Cieszę się, że z Marysią jest już nieco lepiej.
- O! Byłyście u niej?
- Na razie jeszcze nie, ona też nie jest jeszcze gotowa, aby do nas przyjść, ale Adam zdaje nam na bieżąco relacje o jej stanie.
- Widzę, że to, co powiedział nad grobem, wcieliła mocno w czyn.
- Podziwiam go za to, ale prawda jest taka, że Marysia tylko jego toleruje. Zastanawiam się, jaki wpływ na to miała jego mowa, czy to jest powód, dla którego przy nim jakoś funkcjonuje.
- On rycerzem nie był... – Ryszard spojrział przelotnie na Annę – ...ale to wyjątkowo prawy człowiek.



– Prawie na stałe u nas zamieszkał. A właśnie... wiesz już pewnie, że on dogadał się z Felcią w sprawie zapłaty za pokój, prawda?

– Nie, bo skąd miałbym o tym wiedzieć?

– No tak, przecież ci nie mówiłam, bo to było przedwczoraj. Kiedyś rozmawialiśmy już o tym, pamiętasz?

– Spojrzała na Ryszarda; ten skinął głową. – Ja z Felcią nie będę poruszała tematu, teraz czekam, aż pojawi się Maciej i z nim uzgodnię.

– Chyba słusznie.

– Najważniejsze jednak dla mnie jest to, że nadrobiłam zaległości w zakresie współpracy z gminnym ośrodkiem kultury, tylko nie mogę się efektem pracy pochwalić przed Marysią. Skończyłam z lenistwem!

– Co ty opowiadasz? Ty i lenistwo? – Ryszard pokręcił głową.

– Nie wiedziałeś, bo wszystkim się nie chwale. Gorzej, jeśli Marysia nie będzie miała nic kolejnego do roboty, bo wtedy mogę się znowu rozleniwic i wtedy już na pewno zauważysz.

– Jeśli wpadniesz znowu w taki stan, to pojedziemy jeszcze raz na Sudomie – Ryszard uśmiechnął się do niej szeroko.

## *Mężczyzna nigdy nie płacze*



Anna była zadowolona z ostatniej wizyty Macieja w „Iskierce”. Wykorzystała moment drzemki Felci i porozmawiała z nim o pieniądzach.

– Nie może być tak, że my nic nie płacimy – powiedziała z groźną miną. – Szczerze mówiąc, na początku października nie chciałam jeszcze bardzo naciskać...

– mrugnęła – ...bo czekałam, aż Krzysztof zdecyduje się na kupno mojego mieszkania.

– Aha, rozumiem.

– Chyba nie bardzo. Pieniądze cały czas miałam i mam, ale wiesz, wylazła ze mnie poznańska pyra

– Anna uśmiechnęła się. – Dopiero jak wpłynęła na konto kwota za sprzedaż mieszkania, uznałam, że sprawę trzeba załatwić ostatecznie. Teraz mi powiedz, o jakiej kwocie powinnam myśleć? Czy też sama mam zdecydować?

– Ja wiem, jakie stawki mama bierze za pokoje podczas turnusów letnich, a ile żąda w mniej atrakcyjnych terminach, ale nie mam pojęcia, jak by chciała was potraktować? – Teraz on mrugnął, wciągając się w konwencję narzuconą przez Annę.

– Chociaż ty daj się przekonać, że dłużej tak nie może być. Oddała nam trzy wizytowe pokoje, więc trzeba to jakoś zrekompensować.

– Okej, tylko od razu ustalmy, że jeśli w ogóle, to nie wstecz, a dopiero od teraz, albo lepiej od stycznia. Tak, od stycznia!

– To jeszcze mi powiedz, ile mam wpłacać. – Anna przechyliła głowę na bok i spojrzała Maciejowi w oczy. – Nie ustąpię, więc coś musisz powiedzieć.

– Za pokój, w którym ty mieszkasz, to ani się waż, bo byś zrobiła mamie przykrość. Natomiast za pozostałe dwa... może nie więcej niż tysiąc złotych za jeden na miesiąc.

– Czyś ty, człowieku, oszalał? Maciej, tak nie wolno!

– Anno, spokojnie. Mieszkacie w tych pokojach cały czas, a nie od czasu do czasu, więc to i tak, w porównaniu z innymi pokojami, będzie dla mamy lepszy stosunek koszt – efekt.

– Aleś, Maćku, zasunął...

– Anno, jeśli nie zgadzasz się na te warunki, to porozmawiaj z mamą – Maciej zachichotał. – Kasi prześlę mailowo numer konta i koniec rozmowy!

– No, ale to nie jest do końca po poznańsku.

– Masz rację, Anno, bo... to są Kaszuby, a nie Poznań. I tak jeśli mama się dowie, to zrobi awanturę, albo co gorsza, wydziedziczy mnie – zaśmiał się głośno. – A dowie się czy zorientuje prędzej czy później.

– Ale od kogo?

– Ona ma zdolności profetyczne, nie wiedziałaś?

\*

Kasia lubiła kartuską filię powiększonego imperium wycieczkowego Krzysztofa oraz tutejsze biuro i uważała, że już nie najgorzej je przeorganizowała. Postanowiła jednak od

nowego roku zrobić kolejne zmiany, które na przyszłość zabezpieczyłyby ją przed koniecznością nieoczekiwanego wyjazdu z wycieczką. Ostatni bowiem taki swój wyjazd, na przełomie

października i listopada, okupiła przecież poważną niedyspozycją.

– Sama chciałaś! – beznamiętnie rzucił Robert, gdy wysłuchał jej uzalania się, zaczesując włosy nad uchem.

Tak! Chciałam – pomyślała – bo nigdy nie byłam na południu Hiszpanii: w Sewilli, Maladze, Granadzie i Gibraltarze!

– Ale ktoś musiał pojechać! – odgryzła się.

Robert, z impertynenckim wyrazem twarzy, wypunktował ją.

– Termin wyjazdu wycieczki był widełkowy, uczestnicy zgodzili się na to, podpisując umowy, ale ty chciałaś pojechać w najbliższym terminie, nie czekając, aż wrócą do Kartuz Wanda albo Teresa. One też chętnie by pojechały!

I miał rację! Mogła też choćby wziąć przewodnika z Poznania, od Krzysztofa. Podczas choroby wiele o tej krótkiej rozmowie z Robertem myślała. Uzmysłowała sobie, że to, co chciała w świecie zobaczyć, to już w zasadzie zobaczyła, oraz że trzeba się szanować i skończyć z iluzoryczną oszczędnością i zaciskaniem firmowego pasa! Krzysiek przyznał jej rację, więc powiadomiła swoją kartuską załogę, że od stycznia zatrudnią dwie dodatkowe osoby. Pozwalały na to tegoroczne wyniki, a plany na przyszły rok zapowiadały dalszy progres.

Coraz trudniejsze warunki pogodowe na Kaszubach sprawiały, że od czasu do czasu pojawiały się myśli dotyczące zakupu jakiegoś bardziej przewidywalnego samochodu. Była z Żabą związana emocjonalnie, ale zaczynała myśleć w sposób racjonalny. Na ogół auto spisywało się dzielnie, jednak niespodziewane naprawy, które zdarzyły się w początku października, poważnie nadszarpnęły jej budżet. Kiedy auto jeździ, to się psuje. Stara prawda sprawdziła się. Obliczyła, że tylko we wrześniu i październiku przejechała tyle kilometrów, co przez ostatnich pięć lat. Gdy przypadkiem podzieliła się tą myślą z Krzysztofem, ten znalazł od razu rozwiązanie. Suzuki Grand Vitara! Oczywiście w tle był przyjaciel, właściciel salonu w Słupsku, i tani leasing. Załatwił jeszcze, że w ostatnim tygodniu listopada właściciel przyjedzie po nią osobiście do Parchowa, wszystkie sprawy z rejestracją będą już w międzyczasie załatwione, a jej pozostanie tylko podpisanie papierów, opłata polisy, zatankowanie i powrót nowym autem do domu. Musiała się tylko zgodzić na biały kolor. Zgodziła się tym łatwiej, że już kiedyś marzyła o białym samochodzie. Co prawda przez pół roku był samochodem do jazdy próbnej, ale w porównaniu z Żabą mógł wiekowo uchodzić za embriona. Poza tym był tańszy w eksploatacji, a takie biznesy jej poznańska natura uwielbiała. Teraz czekała już tylko na telefon, bo termin był tuż, tuż.

– Wytrzymaj jeszcze trochę, mała! – szepnęła i poklepała Żabę po desce rozdzielczej.

Zwolniła i sięgnęła dłonią, w ciemno, do pudełka z płytami. Nie, to *Felicita!* – skrzywiła się. Chciałam przecież jakiegoś Oldfielda. Albo nie, niech będzie – uśmiechnęła się. Przecież jestem szczęśliwa. Włączyła płytę i zaczęła podśpiewywać razem z Rominą i Albanem. Zrobiło jej się ciepło. Zdjęła apaszkę. A może...? Nie, to głupia myśl. Zaskakiwać go? I jechać po ciemku do Gdyni? Nie lubię tak. Ale z drugiej strony...? Przecież jest sucho i może to będzie ostatnia moja jazda Żabą do Gdyni? Właściwie jest jeszcze wcześniej, dopiero trochę po piątej. Maciej się ucieszy... chyba. Chociaż ostatnio

jest trochę dziwny – podrapała się po czole. Ale z drugiej strony ma prawo do dziwności, bo to nie jest już przecież junior. Prychnęła. Junior! Gdyby usłyszał moje myśli! Mówi, że mnie kocha... ja jego też, ale ostatnio coś mnie chyba unika. Może mi się tylko tak wydaje? Ostatnio był na pogrzebie Klause, wcześniej miał wyjazd do Szkocji, ale w październiku przyjechał tylko na jeden weekend. Tak, on mnie unika. Uderzyła lekko palcami o kierownicę. Jadę do niego! Zaraz Złota Góra, tam zawrócę i zadzwonię do mamy, żeby się nie denerwowała. Zmarszczyła czoło i powoli przeglądała w pamięci film z ostatniego okresu. Wszystko było cały czas dobrze, chyba się czepiam... Ale mimo to pojedę! – uśmiechnęła się. Zjechała na parking, z którego latem po ciemku tak zachwyciły się z Elizą doliną pełną świateł. Dzisiaj jest ich trochę mniej, bo wczasowiczów prawie nie ma.

– Mamo, jadę do Macieja... – rzuciła do słuchawki. – Ojejku, po prostu! Coś mi strzeliło do głowy i już... Nie wiem, kiedy wrócę... Odpocznę? – zaśmiała się.  
– Przynajmniej trochę zmienię sobie klimat... Mówisz, że należy mi się...? Może masz rację... Felcia się cieszy...? Pozdrów ją i trzymajcie się. Pa!

Kurczę! Stara baba i się tłumaczę. Ja chromo! A do niego nie zadzwonię! – uderzyła pięścią w kierownicę. – Co najwyżej wyślę mu esemes, kiedy będę bliżej. Tak zrobię! Odetchnęła głęboko, rozejrzała się na boki i powoli zjechała z powrotem na szosę.

Zaraz. A jak to było we wrześniu? Dobrze! Pokiwała głową. A potem pojechaliśmy do Krakowa. I było super! Uśmiechnęła się. Cudowny wieczór, spacer po Krakowie, a potem ...? Ach! To wtedy pierwszy raz wyczułam na jego brzuchu zgrubienie czy bliznę? Przytrzymał wówczas moją dłoń i... zaraz zasnął. Zmarszczyła czoło i nos. Ale co to było, kiedy w Bukowinie powtórnie wyczułam to zgrubienie, tę jakby bliznę? Wyprężył się, a właściwie cały zeszytniał, miałam wrażenie, że zaraz wyskoczy z łóżka. Po chwili powiedział, że ma łaskotki, i przekonał mnie, żeby nie hałasować. Opuściliśmy więc sobie karesy i poszliśmy spać. Uśmiechnęła się. Karesy... Jak ja się wyrażam! Tylko spaliśmy. Dobrze sobie. Ale... może właśnie z tą blizną coś jest na rzeczy? Zamyśliła się. Oj, czepiam się. Chociaż, może nie...? A może ostatnio jest po prostu przepracowany...? Ja też przecież pracuję! Machnęła dłonią. Mieliśmy sobie mówić wszystko, prawdę! Nie chcę ukrywania czegokolwiek! Teraz miało być inaczej! Potarła czoło i podkręciła głośniej radio. Nie! Puszczę płytę! Sięgnęła ręką do pudełka z płytami. O! Tym razem jest Oldfield! Niech będzie *Voyager*, chociaż liczyłam na *Earth moving*. Zachichotała.

Już Przodkowo! Jak zobaczę Gdynię, napiszę mu esemes. Uśmiechnęła się, gdy rozpoczął się kolejny utwór. *Celtic Rain*. Lubiła go bardzo. Wyjechała z bocznej drogi na główną do Gdyni. Przebierała palcami po kierownicy, towarzysząc Mike'owi w jego cudownej muzyce. Gdy utwór wybrzmiał, zjechała pod jakiś lokal i napisała do Macieja: „Niespodzianka! Za pół godziny jestem. Kasia”. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. „Jestem w szoku, ale cieszę się”.

Niedługo zobaczyła światła Gdyni. Szczególnie polubiła widok oświetlonej Płyty Redłowskiej, gdzie mieszkał Maciej, jednego z kilku wzgórz, na których powstały ładne osiedla. Gdy witali się, dojrzała jego lekko spłoszony wzrok. Zapalił w dużym pokoju, jak go nazywał, górne światło. Dotąd paliła się widocznie tylko lampka na biurku. Nad czymś pewnie siedział.

– Ależ mnie zaskoczyłaś!

– W esemesie szok, teraz zaskoczenie... coś słabo się czujesz – zmrużyła oczy.

– Nie, cieszę się naprawdę, ale w lodówce mam tylko takie tam, więc chyba pójdziemy

na miasto coś zjeść.

– Chętnie – uśmiechnęła się.

– A jadłaś obiad?

– Tylko sałatkę. Jestem już głodna jak wilk. – Znow zmrużyła oczy; wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

Czuła, jak trochę opuszcza go napięcie. Oderwała się od jego ust i spojrzała w oczy. Były ciut spokojniejsze.

– To dokąd mnie zabierzesz?

– Właśnie zastanawiam się, bo to nie jest moja specjalność.

– Ale chyba gdzieś przy okazji ważnych spotkań, konferencji bywasz, chodzicie...

Podrapał się po policzku. Niepewny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Mam dwa typy: Polonia albo Hotel Gdynia, ale sam nie wiem.

Wyglądał na zakłopotanego nie na żarty.

– Zdecyduję za ciebie. Zgoda?

– Cieszę się.

– Wybieram Hotel Gdynia. Słyszałam o imprezach, które odbywają się w tamtej restauracji przy okazji festiwali filmowych, i chętnie ten lokal zobaczę.

– Dobrze, że wybrałaś za mnie – uśmiechnął się.

Restauracja nie zrobiła na Kasi wielkiego wrażenia, ale jedzenie było smaczne. Widziała, że Maciej czuł się tam mało komfortowo. Nie męczyła go więc i po zjedzeniu posiedzieli już tylko trochę. W powrotnej drodze zatrzymał się przy delikatesach.

– Wiesz, na tym, co mam w domu, to ja bym dociągnął do jutra ze śniadaniem włącznie, ale... – zaczął.

– Maćku, takie życie – przerwała mu z uśmiechem.

– Rozumiem, nie tłumacz się. Chciałam zrobić ci niespodziankę, więc mam ją ze wszystkimi konsekwencjami.

Po powrocie wrócili do dalszego odsłuchiwania płyt Ornette'a Colemana, które rozpoczęli we wrześniu. Wieczorem Kasia zrobiła kolorowe kanapki.

– Ale fajne! – Maciej ucieszył się jak sztubak. – Ależ mi smakują.

Otworzył jedną z butelek whisky, których kilka przywiózł z ostatniej podróży do Szkocji.

– Niech cię nie zmyli prosta, jakby niedopracowana naklejka... – przybliżył butelkę do Kasi – ... za to whisky jest niezwykła.

– Naklejka... jakby robiona na domowej drukarce. Ale tu tyle napisów, że nie wiem, co jest ważniejsze

– wzruszyła ramionami.

– Z tą domową drukarką trafiłaś! – Maciej pokiwał głową. – To wszystko jeszcze manufaktura: i produkcja samej whisky, i naklejek, i dystrybucja. Gorzelnia whisky Kilkerran jest, a właściwie dopiero będzie, w Campbeltown, na półwyspie Kintyre w Szkocji.

– To znaczy jak? Jest czy będzie?

– To złożona sprawa. Podczas ostatniego wyjazdu poznałem wreszcie Kendrawa Mitchella, naukowca, z którym dotąd rozmawiałem głównie listownie, mailowo. Wpadliśmy sobie na konferencji w oko... – uśmiechnął się – ...bo jesteśmy z tego samego rocznika, pięćdziesiątego trzeciego – podniósł nos do góry.

– Mój też nie jest zły. – Kasia przechyliła głowę.

– Twój jest znakomity! – Maciej pocałował ją w usta z głośnym cmoknięciem. – On pochodzi z odnogi

słynnego klanu Campbellów, z rejonu środkowej Szkocji oraz półwyspu Kintyre właśnie. Przez kilkadziesiąt lat żył jako Andrew, czyli Andrzej, ale w ramach powrotu do celtyckich źródeł zmienił sobie imię na jego starą, celtycką formę.

– A pamiętasz Grega, dudziarza? On pochodzi z klanu Lachlanów, a właściwie McLachlanów. Ich zawołanie to *Fortis et fidus*, co znaczy silny i wierny; tak to sobie kiedyś przetłumaczyłam.

– Ja nie znam zawołania Campbellów, ale Mitchellowie pochodzą, jak i tamci, z gór. Dawno temu osiedlili się w pobliżu Campbeltown, a ich potomkowie zajęli się produkcją whisky.

– Oj, to strasznie długa historia...

– To dopiero początek... – Maciej mrugnął – ...ale nie będę cię dłużej zanudzać. Niedawno kuzyn Kendrawa, Hedley Wright, pra-pra-siostrzeniec założyciela znanej w dziewiętnastym wieku destylarni Glengyle, postanowił wrócić do produkcji whisky.

– Ojej, tyle nazw i nazwisk, że zaczynam mieć szum w głowie.

– Spójrz uważnie na naklejkę, to wszystko się wyjaśni. Nazwa whisky Kilkerran widnieje u góry, po lewej stronie nazwa destylarni Glengyle, pod rysunkiem miejsce produkcji Campbeltown. Nazwa Kilkerran pochodzi od celtyckiego *Ceann Loch Cille Chiarain*, nazwy osady, gdzie święty Kerran prowadził praktyki religijne.

– Ale dałeś czadu... – Kaśka pokręciła głową. – Powiedz, co w tej whisky jest niezwykłego?

– Ma lekko oleistą strukturę, dębowy oraz słodki aromat i owocowy smak. Da się wyczuć tam cytrynę, pomarańczę, a nawet wanilię, miód i toffi.

– Takie trochę Felciopodobne...

– A wiesz, że nie pomyślałem? Mam jeszcze jedną taką samą butelkę; dam ją mamie.

– No, to nalej wreszcie, bo mi pypeć już prawie uciekł!

Maciej wlał do niewielkich kieliszków alkohol o złotobursztynowej barwie. Kasia spróbowała i przymknęła oczy.

– Lubię whisky, ale ta jest bliska likierowi, chociaż smak i zapach rudej jest w niej wyczuwalny – powiedziała po chwili smakowania.

– Lubię, jak mówisz o whisky ruda, bo sam tak często mówię. Wracając do Szkocji... Drugi dzień konferencji był w Glasgow. Pojechałem tam z Edynburga rolls-royce'em jego kuzyna Hedleya... – Maciej przymknął oczy i pokręcił głową. – Co za komfort! W Glasgow skończyła się sesja chwilę po czternastej i ruszyliśmy z powrotem, bo wieczorem miał być jeszcze lunch kończący konferencję. Tym razem sam usiadł za kierownicą tego auta. Kendraw wioził mnie inną drogą. Jechaliśmy, jechaliśmy, aż zajechaliśmy do ich domku wiejskiego... – Maciej zmieszał się, widząc na sobie wzrok Kasi. – Wiem, co myślisz, bo tu pogrzeb Klause, a ja tam na majówce... – Pokiwał głową. – Samolot i tak miałem w poniedziałek rano. Dużo po drodze opowiadał mi o Szkocji, zna doskonale historię kraju; kiedyś jako student był nawet przewodnikiem w Edynburgu...

– No co ty, przewodnikiem jak ja? – Kasia przymrużyła oczy.

– Mhm, ale rodzinie to się nie podobało, bo przez dwa lata zbyt kręcił się przy organizowaniu corocznych pokazów musztry oraz parad orkiestr wojskowych na zamku

i bali się, że to go pochłonie i zapomni o karierze naukowej – Maciej mrugnął. – Mówił mi, że wtedy poznał szefów orkiestr dudziarzy poszczególnych szkockich klanów.

– To może zna też szefa orkiestry klanu McLachlanów? Może nawet Grega?

– Wykluczyć nie można... Ale wracając do tej przejażdżki... okazało się, że ich wiejski domek jest w pobliżu Mull of Kintyre.

– Tego Mull of Kintyre?

– Tak! Podjechaliśmy do latarni morskiej. Akurat wiało, duże ciężkie chmury napływały od morza, momentami nie było widać ani latarni, ani samego cypla, a okoliczne wznesienia pojawiały się i znikwały; miało się wrażenie, że jesteśmy na końcu świata.

– Kiedy zobaczyłam pierwszy raz klip z piosenką Paula McCartneya *Mull of Kintyre*, zapragnęłam zobaczyć kiedyś to miejsce z bliska – westchnęła; Maciej uniósł brwi.

– Kiedy wybraliśmy się tam w niedzielę przed południem, widok był zgoła inny. Zielone wzgórza, słońce i błękitne niebo... – Maciej pomógł sobie gestem; jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. – Prawdziwie sielski wygląd, a u dołu, pod skarpią brzeg morski.

Podnieśli kieliszki w górę. Kasia przymknęła oczy i odtwarzała sobie w pamięci obejrzany dawno temu klip z Paulem McCartneyem, jego żoną Lindą oraz orkiestrą dudziarzy, maszerujących brzegiem morza, u podnóża skarpy.

\*

Kasia poczuła, że kilka kieliszków kilkerrana stępiło nieco jej wojowniczość, z jaką pokonywała drogę do Gdyni. Gdy Maciej zgasił światło, poczuła się trochę jak w krakowskim hotelu „Pod Różą”. Cisza, lekka poświata z ulicznej lampy i zakochany Maciej obok. Brakowało tylko stukotu kopyt konia z krakowskiej dorożki.

Znowu było jej tak dobrze, jak wówczas w Krakowie, a na koniec z jej ust wyrwał się delikatny jęk. Miała obok siebie ukochanego mężczyznę, z którym mogła rozmawiać o wszystkim, który nie wracał potem do innej kobiety. Pieściła go po całym ciele. Jej palce zbłądziły na podbrzusze. Znowu wyczuła nimi dziwne zgrubienie; otworzyła oczy, bo miała wrażenie, że znowu, jak kiedyś, nieco zeszywniał. Złapał jej dłoń i wolnym ruchem wyciągnął ponad kołdrę. Obsypał ją pocałunkami. Przytuliła się do niego. Zasypiała.

– Kasiu – szepnął. – Muszę dzisiaj dokończyć referat i go wysłać. Mam termin.

Na moment oprzytomniała. Czy to prawda, co powiedział, czy też powodem jego zachowania jest ta blizna? Bo jednak zeszywniał. Otworzyła oczy i spojrzała w jego twarz.

– Co ty masz tam, na podbrzuszu? – wyszeptwała i pokazała oczami. Wydało jej się, że się zawahał.

– Jak byłem dzieciakiem, nadziałem się w gonitwie z chłopakami na sprzęty gospodarskie i trzeba było jechać do szpitala. Musiało być szcicie.

Poczuła, że żołądek na chwilę uniósł jej się w górę. Straszne!

– Czy to ciebie boli, jak dotykam?

– Nie, ale trochę... drażni albo łaskocze. – Pocałował ją w ramię.

Po chwili poczuła jego dłoń na piersiach, a jeszcze potem na biodrze i brzuchu. Przymknęła oczy. Poczuła, że sen ponownie nadchodzi.

– Przepraszam... już więcej nie będę – pocałowała go w ramię. – To skończ to pisanie i szybko wracaj.

Nawet nie poczuła, kiedy zasnęła.

\*

Adam starał się odwiedzać Marysię jak najczęściej. Kiedy musiał zostać w Gdyni, czuł jakąś pustkę i następnego dnia szybko wracał. Wydawało mu się, że w ostatnich dniach Marysia nieco dłużej zatrzymywała wzrok na nim. Udzielała zresztą dłuższych odpowiedzi, a czasami nawet sama o coś pytała.

– Co słyhać u Felci, Anny i Kasi? – przedwczoraj rzuciła pytanie i nie cofnęła wzroku.

– Tęsknią za tobą – odparł z uśmiechem.

– Powiedz im, że ja za nimi też – przymknęła oczy. – A jak tam Eliza?

– Kiedy była przed pogrzebem, to trochę narzekała na naukę... – Machnęła dłonią.

– Pamiętam. Kasia coś mi wtedy opowiadała. A teraz...? – zawiesiła głos.

– Domyślam się, że wciela w życie swój program: „robię wszystko po swojemu, bo nie chcę nikomu niczego zawdzięczać” – mrugnęła.

– A ty? Nie jesteś zmęczony tymi ciągłymi przyjazdami? – Spojrzała na niego badawczo.

– Ja tylko wsiadam do samochodu i on sam jedzie. Wiesz chyba, że mam autopilota!

Uśmiechnęła się blado. Poczul w klatce piersiowej dziwne uklucie. Westchnął głęboko.

Na jego twarzy też pojawił się uśmiech.

– Czy powiedziec w „Iskierce”, że mogą już cię odwiedzić?

– Jeszcze nie... ja pierwsza do nich zajdę. Niedługo – pokiwała głową.

Wczoraj zaproponowała mu kawę. Choć pił przed wyjściem z „Iskierki”, chciał unieść się w powietrze ze szczęścia.

– To może ja zrobię? – poderwał się.

– Poczekaj, proszę. Muszę sobie przypomnieć, jak to się robi. – Wyszła z pokoju.

Z kuchni dochodziły do niego strzępy jej rozmowy z Miłozsem. Za kilka minut weszła do pokoju z tacą.

– Ostatnio... źle mówię. Cały czas robisz świetne zakupy – uśmiechnęła się blado. – Znalazłam nawet w kredensie kruche ciasteczka i czekoladę. – Wskazała na miseczkę.

– Ja tylko robię za kierowcę – uśmiechnął się i pokiwał głową. – Albo Joasia, albo Miłozs kupują. Czasami nieśmiało coś sugeruję.

– Tak jak teraz jest wygodniej z zakupami. Dzieci mają więcej czasu, a mnie jest łatwiej zaplanować obiad. Koleżanka już mi kiedyś proponowała, ale ja jestem taka...

– Zosia Samosia – ubiegł ją.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, podobnie jak on kilka chwil wcześniej.

– Marysiu. Dobrze byłoby w najbliższych dniach załatwić sprawy bankowe, bo już najwyższy czas. Możesz przygotować Kasi upoważnienie, ona wszystko pozłatwia.

– Dopytam ją, kiedy może pojechać, to razem się wybierzemy. Podpowie mi.

– Dałem do dobrego mechanika w Gdyni motocykl do naprawy... Za tydzień, dwa można będzie zacząć szukać klienta do kupna. Tym sam się mogę zająć.

W jej oczach pojawiły się łzy. Opuściła powieki. Zapadło milczenie.

– Dlaczego jesteś taki dobry? – wyszeptwała po jakimś czasie.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, Marysiu. Ja mam po prostu bardzo dużo wolnego czasu, bo nie mam żadnych obowiązków... – Jego twarz rozpromieniła się szczerym uśmiechem; odwzajemniła go.

– Jak ja się tobie zrewanżuję...?

– Uśmiechem, tym, że wyjdiesz dla zdrowia na spacer, że pójdziesz wreszcie do lekarza



z tarczycą... – pokiwał głową. – Dlaczego w ogóle tak pomyślałaś? Każdy normalny człowiek zrobiłby tak jak ja.

– Tyle tylko, że takich normalnych ludzi jest mało... Tak w ogóle.

– Tak w ogóle może i mało, ale tutaj, w Parchowie, masz wielu uczynnych, tyle tylko, że nikt nie chce mi wchodzić w paradę. Jestem silniejszy. – Pokazał na biceps.

Marysia uśmiechnęła się i zasłoniła usta. Jej oczy błysnęły. Adam poczuł w klatce piersiowej dziwne łomotanie; prawie zabrakło mu tchu. To już nie pierwszy raz! Co się ze mną dzieje? Czy ja też mam kłopoty z tarczycą?

\*

Już ładnych kilkanaście minut Adam szedł brzegiem lasu w kierunku Bawernicy. Nie przeszkadzało mu, że dawno zapadła ciemność, że mżyło. Czasami potykał się, trafiając na jakiś kamień albo korzeń, niekiedy w ostatniej chwili odsuwał gałęzie pojawiające się nieoczekiwanie nad nim. Głowę zajmowały mu myśli o Marysi. Od czasu pogrzebu miał wciąż jej umęczoną twarz przed oczami, a drobna, przygięta brzemieniem nieoczekiwanej tragedii postać przyjaciółki wzbudzała jego głębokie współczucie. Pomagał jej, bywał u niej w domu, bo przysiągł. Przysiągł, bo męska przyjaźń z Klausem była autentyczna, choć krótka. Oprócz swoich dwóch muszkieterów z piaskownicy, nigdy nie spotkał kogoś, kogo by tak od razu polubił, zaufał, mógł rozmawiać prawie na każdy temat, nie nudził się w jego towarzystwie. Po męsku tęsknił do kolejnego z nim spotkania. Pamiętał dokładnie, co mówił nad jego grobem. Nie! Nie chciał, nie potrzebował przed kimkolwiek starać się wypaść dobrze. Coś takiego zresztą nigdy by mu nie wpadło do głowy. Słowa same wypływały z niego. Zdarzało mu się tak czasami w życiu i ci, co go znali i mieli mu odwagę cokolwiek powiedzieć, mówili, że przesadził, że tak szczerze nie wolno. Ale to zawsze było silniejsze od niego. Marysia została sama, a on nie mógł Klausa zawieść. Jednak w ostatnich dniach zaczynało się z nim dziać coś, czego nie potrafił sobie w żaden racjonalny sposób wytłumaczyć. Łomotanie w piersiach na widok uśmiechniętej Marysi, które przechodziło prawie w utratę tchu, było dla niego czymś nieoczekiwanym.

Pierwszy raz pomyślał, że to pewnie wzruszenie, po kolejnym razie pomyślał o tarczycy. To wskutek dolegliwości Marysi. Tylko skąd u mnie chora tarczyca i dlaczego usadowiła się w cieśni tchawicznej? Poradził się na wszelki wypadek lekarza endokrynologa, przyjaciela z liceum, przy okazji umawiając u niego wizytę dla Marysi. Ten wypytał go o objawy i sprawdził jego węzły dotykiem. Oceniał, że według niego, wszystko jest w porządku. Powiedział mu, że zawsze może zrobić USG. Poprosił, żeby opowiedział coś więcej o okolicznościach tych ataków, jak je sam nazwał. Przyglądał mu się badawczo podczas opowieści i lekko uśmiechał. Adamie, powiedział, sam się domyśl, co to jest, ale tarczycę masz zdrową. Ciesz się, bo w Gdyni pojawia się dużo przypadków z tarczycą po Czarnobylu. Tylko spójrz inaczej na tę kobietę, o której mówiłeś.

No i od kilku dni przyglądał się sam sobie i... Marysi.

Uaaa! Wrzasnął nagle i poczuł, że ześlizguje się w wykrot; mokre gałęzie uderzały go pac, pac, po twarzy. Oferma ze mnie! Kto nakłada śliskie adidas, a potem łązi jeszcze po mokrej trawie? Powoli wspinał się pod górę, chwytając się kęp trawy i gałęzi. Ostatnia gałąź, tuż przed wierzchołkiem, zadała mu cios prawie nokautujący. Uaaa! Znowu wrzasnął, ale nie rozluźnił uchwytu. Usiadł na mokrej trawie i masował poobijaną twarz

i kolana. Poczul, że z oczu płynęły mu łzy z bólu. Przecież do pioruna, nie będę ryczał! Dobrze, że mnie tu po ciemku nikt nie widzi. Podciągnął się na gałęzi i wstał.

– Boże! – wrzasnął. – Przecież ja ją kocham...! Ja ją kocham! – zawołał powtórnie. Poczul, że od tego okrzyku zabolęły go struny głosowe. Zza zakrętu nieoczekiwanie wyjechał samochód. Światła jego reflektorów oświetlając szosę, ślizgały się po drzewach, a wreszcie i on znalazł się w ich zasięgu. Samochód przyhamował. Odezwał się klakson.

– Coś się stało? Czy może pana podwieźć? – rozległo się wołanie kierowcy.

– Wpadłem do dziury! – Adam wrzasnął w jego kierunku. – Wszystko jest pod kontrolą! Dziękuję!

– Okej! – usłyszał odpowiedź.

Adam podniósł dłoń w podziękowaniu. Poharatany policzek piekł go, a obolałe kolana z trudnością pozwalały iść. Co chwila przystawał i dalej je masował. Jak dobrze, że do „Iskierki” nie jest daleko.

\*

Kasia spoglądała na niego z niedowierzaniem i kręciła głową.

– To mówisz, że do dziury wpadłeś. Na pewno z nikim się nie biłeś?

– Kasiu! A któż chciałby się na takie chuchro porywać?

– No tak. Masz rację. Dobrze, że pamiętałeś, że tu w holu jest apteczka.

Przemywała mu policzek wodą utlenioną.

– Kasiu, a teraz jeszcze spirytusem salicylowym. Tylko nie żałuj!

– A co ty? Masochista? – Najpierw zrobiła wielkie oczy i zaraz zaśmiała się głośno.

– E, tam! Gorzej. – Machnął ręką. – Napijesz się brandy?

Kasia rozejrzała się po jego pokoju.

– Czy ty mnie nie podrywasz na litość? Masz jakieś nieczne plany? – zmrużyła oczy.

– Kasienko! Jednego i to eleganckiego kosza, jakiego mi kiedyś dałaś, wystarczy! Nie pamiętasz? – zaśmiał się i napełnił kieliszki. – Ale pocałunku nie zapomnę.

– No, no, no! – Kaśka zmrużyła oczy i po chwili podniosła kieliszek do ust. – Eliza się śmiała, że majtałam w powietrzu nogami!

– Ona to widziała?

– Ta mała jest zawsze tam, gdzie nie musi, i wszystko widzi...

Roześmiali się oboje.

– To mogę już mówić? – Adam spoważniał.

– Mów, bo z ciekawości, jak mawia Felcia, aż mnie pięty swędzą – zaśmiała się.

– Zakochałem się!

– No nie mów! Nalej w takim razie na odwagę. Sobie! No dobra, mnie też. Mów!

– Myślałem, że jestem odporny. Staralem się nie robić głupich ruchów, gestów, niczego specjalnego nie mówić. Sam nie wiem, jak to się stało? – rozłożył ramiona. – A ponieważ ty ją znasz, dlatego chcę się ciebie poradzić.

– Ale ty przecież prawie wciąż bywasz tutaj...? Mówisz, że ją znam?

Adam skinął głową.

– Kochasz się na odległość...? Ciekawe. Czy to Magda o aksamitnym głosie?

– Nie, to nie ona.

– To może ta druga, jak jej tam...

– Ułatwię ci. To ktoś stąd...

– Stąd? – Kaśka podrapała się po czole. – Jak to stąd? – pokręciła głową. – Nalej jeszcze jednego. Przecież tutaj nikogo takiego nie ma. Chyba że Felcina Zocha – zachichotała.

– Skup się, Kasiu – spojrzał na nią błagalnie. – To nie są żarty.

– Przecież chyba... – zadrżała mu w głębooko oczy

– ...nie, to chyba niemożliwe... – Wykonała głową serię ruchów przeczących; jej oczy rozszerzyły się jak spodki. – Czy chodzi o... Marysię?

Kasia opadła na oparcie fotela i wpatrywała się w Adama z niedowierzaniem; Adam kiwał głową.

– To nie tak miało być. – Złapał się za głowę.

– Boże! Boże! – zawołała dwukrotnie Kasia. – I co teraz?

– To ja się ciebie chciałem poradzić, Kasiu.

– Boże! – Kaśka wyprostowała się. – W innych okolicznościach powiedziałabym: ale numer! Ale w tej sytuacji?

– Czy myślisz, że powinienem stąd wyjechać, zniknąć jej z oczu?

– Bo ja wiem? Nalej jeszcze jednego i schowaj butelkę – zmrużyła oczy. – No, chyba że ma być burza, to wtedy nie chowaj.

– A co to ma do burzy? – spytał, wskazując butelkę.

– Bo podczas burzy piję na umór – zaśmiała się. – Adam! Ja po prostu nie znajduję innych słów! To jest naprawdę numer!

– No, to co ja mam zrobić?

– A odkochać się nie możesz?

– Musiałbym stąd wyjechać daleko... ale chciałbym zaraz natychmiast wrócić. Czy wiesz, że ona się do mnie już uśmiecha? Zrobiła mi nawet kawę. Powiedziała, że odwiedzi was!

– No nie mów! To w takim razie w żadnym wypadku nie możesz wyjeżdżać, znaczy zniknąć na zawsze

– Kasia uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. – Myślę także, że nie powinieneś jej nic o swoich uczuciach mówić. Przynajmniej na razie. Niestety.

– Tego akurat jestem pewien. Ja potrafię cierpieć. Jak mówiłem, nauczyłem mnie tego ten jezuita z mojej parafii z Gdyni.

– Szkoda mi ciebie, Adaś. Ale powiedz mi jeszcze, jak układa ci się z dziećmi? – Spojrzała na niego badawczo.

– Z Joasią mam naprawdę świetny język, ale Miłosz... Myślę, że też jakoś się wszystko między nami ułoży, tyle tylko, że to trochę potrwa.

– Cóż ja mogę więcej powiedzieć? – Kasia rozłożyła ręce. – Dzięki tobie Marysia wraca do życia. Gratuluję ci tego najgoręcej. Aha! Pani z GOK-u na ręce mamy złożyła serdeczne podziękowania, że załatwiłeś im Wojtka jako instruktora zajęć z młodzieżą.

– Myślę, że on załatwił tę pracę niejako sobie sam, to znaczy razem z Konradem namówili mnie, żebym zareklamował w GOK-u Wojtka.

– To cudownie!

– Magda przestraszyła się po pogrzebie Klause, że bez przerwy jeżdżę w tę i z powrotem. Poprosiła więc Konrada, żeby coś zrobili, by mieć mnie na oku. Oni mi to powtórzyli, a ja chcąc, żeby Magda i zespół naprawdę się nie martwili, załatwiłem pracę Wojtkowi. Dzieciaki mają więc instruktora, Magda i mój zespół w pracy ma odczucie, że

Wojtek mnie pilnuje, a ja czasami mam z kim wypić kielicha.

## *Przełomy*



For po ostatniej dłuższej rozmowie w Parchowie przestał dzwonić do Elizy, czasami przysyłał jej tylko esemesy. Aleks dalej krążył wokół niej, czasami wyszła z nim na kawę, ale teraz już się pilnowała. Wyjazd na pogrzeb Klause sprawił ją w kilkudniowe przygnębienie, ale wreszcie udało jej się wziąć w karby. Była na dobrej drodze, żeby rozwiązać problemy z matematyką, bo nie chciała, aby pierwszy semestr był jej ostatnim podczas studiów w Gdyni. Kiedy zastanawiała się, jak tu podejść w podobny sposób do ćwiczeń z chemii, bo one na razie wciąż były jej piętą achillesową, zirytowała ją Wika, proponując, że dopisze ją do kolejnego swojego sprawozdania.

– Posłuchaj, Wika. – Eliza spojrzała na nią twardo.

– Wiem, że chcesz mi pomóc, chcesz dobrze, zresztą wszyscy chcą dla mnie dobrze. Jeśli sama nie dam sobie rady w tym semestrze, to nie mam tutaj czego dalej szukać.

– Przecież jedno nie wyklucza drugiego. Dziwię się tobie... – Wika wzruszyła ramionami.

– Jak dojrzeję, przekroczę ten semestralny Rubikon bez pomocy, przyjdę do ciebie sama, dobrze? – zakończyła pojednawczym tonem Eliza.

– Bo wiesz... Chciałabym, żebyśmy spotykały się tutaj przez pięć lat. – Wika zrobiła smutną minę.

– Spróbuj mi uwierzyć, że o niczym bardziej nie marzę, ale muszę to zrobić sama, rozumiesz? Sa-ma!

Wika uśmiechnęła się i pokiwała głową. Kolejne laborki chemiczne i sprawozdanie z nich Eliza zaliczyła. Ucieszyła się i z radością przybiła sobie z Wiką piątkę.

– To mam wreszcie przełom! – wrzasnęła, przyciskając do piersi sprawozdanie.

– Twarda jesteś – pokiwała głową Wika. – A kiedy odrobisz te dwie zaległe?

– Posłuchaj, jest tak. Materiał w zasadzie już z grubszą opanowałam, ale żeby teraz znaleźć czas na pójsie na powtórkę laborek, musiałabym coś innego zawalić. Pilnuję więc się ciągle, żeby wszystko inne zaliczać na bieżąco. Pani doktor odpytała mnie ostatnio mocno ze sprawozdania i nawet się uśmiechnęła, a wiesz, co to u niej znaczy.

– No właśnie! Wydawało mi się, że nawet dłużej z tobą rozmawiała, niż to ma w zwyczaju.

– Tak, bo starała się mnie namówić, żeby nie odkładać i przyjść w specjalnym terminie.

– I odmówiłaś jej?

– Wyjaśniłam, jak chcę to zrobić... Wysłuchała mnie, wykonała całą serię nerwowych ruchów, jak to ona, ale wreszcie uśmiechnęła się i powiedziała, że jej zdaniem tamten materiał też już umiem, a ona trochę mi się dziwi, ale poczeka.

– No widzisz...?

– Wika, przestań mnie znowu kąsać. Będzie po mojemu!

– Albo nie będzie wcale! – Wika zarżała.

– Na ogół cichutka z ciebie myszka, ale czasami...

– Bo się cieszę, że idzie ci coraz lepiej. Spójrz! Aleks i Kuba! – Wika pokazała wzrokiem.

– A oni co tacy... obśmiani? – rzuciła szeptem Eliza i uśmiechnęła się do zbliżających się, rozweselonych chłopców.

– Te pudełka coś źle wróżą – zdążyła jeszcze odszepnąć Wika.

– Z okazji Świętego Mikołaja drobiażdżek, proszę... – Aleks podał Elizie kartonik z kokardką i cmoknął ją niespodziewanie w policzek.

– Dla ciebie, Wika, też drobiażdżek od Mikołaja...

– Kuba z emocji spąsował niczym Mikołajowa szata.

– Dziękuję. Dziękuję. – Eliza i Wika dygnęły.

– My dla was, oprócz uśmiechu, niestety nic więcej nie mamy – wyrwała się Wika i spojrzała na Elizę; ta pokręciła głową.

– Coś jeszcze mamy! – wyrzuciła z siebie Eliza i zastrzygła na boki oczami; cała trójka wpatrywała się w nią z ciekawością.

– A co takiego? – Aleks omiótł ją bardzo długim i powłóczystym spojrzeniem.

– A to! – Eliza uśmiechnęła się promiennie. – Jeszcze jeden uśmiech.

– Ależ ty się pięknie uśmiechasz... – Aleks zatrzepotał powiekami.

– Chłopcy, za godzinę mamy godzinę wolnego, zapraszamy was do bufetu na herbatę. – Wika mrugnęła.

– Ale... – Kuba ponownie spąsował.

– Będziemy – potwierdził Aleks skinieniem głowy.

– Dla mnie z cytryną – mrugnął. – Na razie. – Pociągnął za sobą zdezorientowanego Kubę. Pomachały im.

– Wiesz, skąd są te kartoniki? – Wika wskazała ruchem głowy; Eliza zaprzeczyła. – Z Rossmanna. Pięciopalczaste, czerwone rękawiczki w Mikołaje, po siedem dwadzieścia.

– Słodcy są!

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście!

– Chociaż właściwie... – Wika zmarszczyła brwi

– ...z drugiej strony, musieli pójść do sklepu, coś wybrać, poprosić o przypięcie do kartonika kokardki. Wczoraj coś kupowałam w tym sklepie dla domu, to rzuciły mi się takie drobiazgi w oczy – uśmiechnęła się. – No, no, no.

– No widzisz! Dla nich to było duże przedsięwzięcie organizacyjne. Jestem pod wrażeniem. Stawiam herbatę bez szemrania. Nawet z cytryną, chociaż droższa!

– teraz Eliza zarżała.

– Na ogół cichutka z ciebie myszka, ale czasami...

– Wika zacytowała z uśmiechem wcześniejsze słowa Elizy i podniosła dłoń w górę; Eliza przybiła swoją dłoń.

Skądś rozległa się melodia *Most na rzece Kwai*. Eliza rozejrzała się, a po chwili zmarszczyła brwi i sięgnęła do tylnej kieszeni.

– Nie przyciszyłam jej? Kto i dlaczego? O kurczę!

– spojrzała na wyświetlacz. – Diana! – przebiegała wzrokiem po wyświetlaczu. – Pisz, że na przyszły weekend przyjeżdżają do Parchowa!

– Fajni ludzie... – Wika wystawiła kciuk. – Jakoś będą musieli się na nowo zorganizować.

- Odpiszę jej, że pod wieczór zadzwonię. – Eliza już naciskała klawisze.
- Pozdrów ją ode mnie – rzuciła Wika.
- Mhm...

\*

Ja chyba nie zmądrzeję. Eliza pacnęła się w czoło. Wypiłam herbatę i to powinno być wszystko. Po co się z nim umówiłam na dodatkową kawę? I jeszcze ten spacer dookoła. Musieli tak pójść, bo nasypało sporo śniegu i na schodach było niebezpiecznie ślisko. Obok parkingu, niedaleko domu, znowu dojrzała zakapturzoną postać. Miała wrażenie, że odchodzi szybkim krokiem. Aleks musnął Elizę w policzek i znowu nie zdążyła zrobić uniku. Zawsze tak ładnie pachnie, pomyślała.

- Zakapturzony spacerował... – ni to spytała, ni to poinformowała ją pani Franciszka na dzień dobry.

- Gdzieś tak ponad pół godziny temu. O! Pomyślałaś! – spojrzała radośnie na zawiniątko w papierze z nadrukiem „Arkadia”. – Jak jest tak ślisko, to wolimy nie wychodzić.

- Przyszłam teraz dookoła, bo schodów nie zdążyli odśnieżyć.

- A widzisz. Jeszcze to! Antoni lubi zimę, ale nie chce kupić sobie śniegowców. – Pani Franciszka pokręciła głową. – Przecież one mają głębokie protektory, a wtedy bym się nie bała, jak gdzieś wychodzi. A tak czekamy tylko na suche dni.

- A nie może pani sama mu ich kupić?

- Nie pozwala! Mówi, że musi przymierzyć, ale tak naprawdę to mam patyczek, co to go wnuk zrobił z pięć lat temu, w szufladzie, w szafce z butami przy wejściu. Sprawdziałam ostatnio, czy jest dobry. I wciąż jest dobry.

- No tak, to ma pani problem.

- Masz tutaj zrobione kanapeczki i herbatę w termosie, żebyś nie musiała schodzić. – Pani Franciszka pokazała palcem, choć żółta taca jak co dzień leżała w tym samym miejscu.

- Dobranoc, pani Franciszko. – Eliza cmoknęła ją w policzek.

Przyzwyczała się do starszych państwa i traktowała ich jak przyszywanych dziadków, zresztą oni też traktowali ją jak wnuczkę. Spojrzała na korkową tablicę z planem. Fizyka. Wykładowca odgrażał się, że zrobi kolokwium z mechaniki. Wystarczy powtórzyć. Aha! Komórka. Położyła ją na parapecie, a ta jak zaczarowana, wibrując, ruszyła bokiem. Któż to taki...? Ojejku!

- Diana! Tak cię przepraszam, skleroza. Miałam wczoraj zadzwonić...

- Na pewno masz dużo zajęć i musiałaś domowe odrobić – Diana weszła jej w słowo. – To nic. Co u ciebie?

- U mnie, jak to u mnie... Wiesz, sporo tego jest, ale czasem, tak jak dzisiaj, da się jeszcze wyskoczyć z kolegą na herbatę.

- To ty tak o Igorze, oficjalnie? – prychnęła śmiechem Diana; Eliza oczami wyobraźni zobaczyła, jak włączają jej się na policzkach dołeczki.

- Wcale nie byłam z Igorem, tylko z innym kolegą. Z Igorem mamy do siebie za daleko.

- Przecież Igor studiuje w Gdańsku. To co to za odległość? Ja bym poszła na herbatę tylko ze swoim chłopakiem.

Czy ja musiałam jej coś takiego powiedzieć? Eliza pacnęła się dłonią w czoło, aż

syknęła.

– Czy coś się stało? – spytała Diana.

– Książka mi spadła na podłogę. – Uniosła oczy w górę. – A już wiesz, Diano, kiedy dokładnie ruszacie?

– Tata zamówił TIR-a na przyszłą środę, żeby go pakować; on ruszy do was w czwartek z rana. Mniejszą ciężarówkę zamówił na piątek, a my pojedziemy, kiedy tylko ją zapakujemy. Wczoraj rozmawiał o tym z twoją babcią i panią Felcią.

– To w takim razie na przyszły weekend przyjadę. Już się cieszę. A jak rodzice się czują?

– Wiesz, to dziwne. Po wizycie u was całkiem się uspokoili. Tata bez oporu poszedł do swojego lekarza na kontrolę i ten mu powiedział, że jest z taty dumny.

– Dumny?

– Tak! Bo dotąd tata nie stosował się ani do diety, ani do innych wskazań, a po powrocie z Parchowa sam mamie o diecie wciąż przypominał. Wyniki ma dobre. Mama, jak tylko odeszły jej nerwy przez tatę, też czuje się o wiele lepiej.

– To niesamowite! Znaczący się cieszę, że tak pozytywnie się nakręciliście.

– A wiesz, że tak właśnie powiedziałam w niedzielę przy obiedzie? Jestem pozytywnie nakręcona przez ten wyjazd do „Iskierki”. Okazało się, że oni mają podobnie!

– Aż nie chce się wierzyć.

– Tata dodał jeszcze, że mamy wreszcie przełom!

– Nie uwierzysz, że ja też tak niedawno powiedziałam, jak udało mi się trochę podreperować chemię.

– O! To u wszystkich jakieś przełomy. Kocham też przełom Dunajca, byłaś tam?

– Byłam i też mi się podobał. A co tam jeszcze w domu?

– Brat jest markotny, bo będzie miał daleko do dziewczyny. Ale wiesz, że ciągle nie potrafię zrozumieć, jak ty mogłaś pójść na herbatę nie ze swoim chłopakiem?

– Diana. To kolega ze studiów. Potrzebowałam z niego wyciągnąć, co było na kolokwium z fizyki. Jego grupa miała wcześniej, a my jutro. W czasie przerw na uczelni jest za mało czasu, więc poszliśmy po południu spokojnie pogadać do kawiarni.

Boże! Dlaczego ja muszę się zawsze tłumaczyć! A do tego... zmyślać? Eliza zacisnęła pięść.

– To tak trzeba było mówić od razu! Już myślałam, że ty jesteś taka nowoczesna, co to potrafi chodzić z dwoma chłopakami jednocześnie.

– Aż taka nowoczesna to nie jestem, chociaż czasami wydaje mi się, że trochę przesadzam z nowoczesnością. Dziękuję ci, żeś coś takiego mi powiedziała, ot tak, wprost... – Od chwili usłyszenia słów Diany o nowoczesności, Eliza kręciła głową na boki.

– Przecież to jest oczywiste! Bo albo się jest z kimś parą, albo nie, prawda?

– Prawda, Diano. – Teraz głowa Elizy przełączyła się machinalnie na ruch potakiwania.

– Nie pogniewasz się, jak cię już pożegnają? Właśnie siedzę nad fizyką, a jutro...

– No co ty! Dziękuję, że odebrałaś. Pozdrów wszystkich. Pa!

– Ty też uściskaj od nas wszystkich swoich. Pa!

Eliza potarła czoło. O kurczę! Jeszcze jedna zasadniczka! Ale mi dała z tym Igorem. Albo się jest parą, albo nie. Dobrze! No, no, no! Ale z drugiej strony, jest kochana, szczerza, a ja kiedyś na tej nowoczesności się poślizgnę. Kurczę blade!



Kolokwium poszło jej całkiem niezle. Siedziały z Wiką na parapecie uśmiechnięte i machały nogami.

– Miałam ci powiedzieć coś przed kolokwium, ale nie zdążyłam... – Wika spojrzała nieco poważniej na Elizę.

– A co?

– Jak byłam w bibliotece oddać książki, wpadłam na Kubę. Prosił, by ci przekazać, że Aleksa nie zobaczysz przez kilka dni, bo trzasnął się wczoraj japą w drzwi od windy.

– Japą? No bez przesady!

– Kuba mówił, że nagle zgasło światło w klatce, on źle obliczył odległość i wiesz, nadział się na drzwi. Pewnie mają takie, jak u moich dziadków. Czasami trzeba na siłę ciągnąć, a czasami lecą jak głupie.

– No, ale tak mocno sobie rozwalił? Aż mi żołądek uniósł się w górę.

– Wiesz, że mi się tak samo zrobiło, jak Kuba mi opowiadał?

Roześmiały się.

– To mam kilka dni przerwy od niego – Eliza zachichotała jeszcze raz. – Jak będę w domu, to zadzwonię do niego na spokojnie.

– No tak...

– Ale ja też coś zapomniałam! – Eliza pacnęła się dłonią w czoło i aż syknęła z bólu. – Chyba sobie kiedyś czoło rozwalę. O kurczę!

– To po co się w nie walisz?

– Bo miałam ci coś powiedzieć.

– No i powiedziałaś.

– Nic nie powiedziałam, tylko pacnęłam się w czoło, bo sobie coś przypominałam.

– Powiedziałaś przecież: o kurczę – Eliza mrugnęła. – Ale wiesz, zakreśliłaś mną. – Po aktorsku zrobiła zdziwioną minę.

– Oj tam, oj tam! Masz pozdrowienia od Diany! To miałam ci powiedzieć – uśmiechnęła się Eliza.

– Od tej Diany? – Wika zabawnie nacisnęła palcami na policzki; uśmiechnęły się obie. – Co słychać u nich? Jadą?

– Tak, w przyszły weekend! Może wpadniesz?

– A przyjeżdżają tylko na weekend?

– No coś ty! Przyjeżdżają... bo ja wiem... – Eliza zawahała się i wzruszyła ramionami – ...chyba już na zawsze!

– To po co mam pędzić, jak u was będzie Sodomia i Gomoria?

– Felcia lubi, jak jest gęsto, a teraz będzie jeszcze tłoczniej.

– Letnicy jacyś są?

– Tam ciągle są jacyś letnicy, ale tylko w dwóch czy trzy pokojach, i nie o nich tu mówię. Jest gęsto, bo Jan Werra mieszka już na stałe. Aha! To już wiedziałaś. Potem jeden pokój zagospodarował sobie, właściwie też na stałe, professore Maciej, a od niedawna zamieszkał też Adam.

– Ten Adam?

– Mhm. Realizuje swoje przyrzeczenie z pogrzebu

– obie pokiwały głowami, przybierając poważniejsze miny. – Najlepsze są potyczki Felci z Janem o to, kto jest szefem, no wiesz, przywódcą stada. Bywa, że się przemawiają – Eliza zmieniła temat.

– A jakie jest tego podłoże, bo nie łapię?

– Felcia wszystko do tej pory robiła zawsze sama. To znaczy robił Stach Janik, a Felcia miała tylko olśnienia, które on jakoś potrafił odczytać, zrozumieć, a potem to realizował.

– Ależ on jest niesamowity! Czasami go traktuję jak członka rodziny. Czy wiesz, Eliza, a nie, nie wiesz, bo ci nigdy nie mówiłam o tym, że on z tatą czasami do siebie dzwonią, ot tak, bez powodu, i mówią, że im za sobą długo? Od tego zaczyna się rozmowa!

– Patrz! Chłopy za sobą tęsknią. Ja też jego i jego żonę bardzo polubiłam. Czasami jak się nastroszą... Ale miałam ci mówić o Janie i Felci! Teraz chodzi o dokończenie stodoły i pewne zmiany na jej górce, a także w głównym domu, bo tam da się zrobić jeszcze jeden pokój obok biblioteki.

– No i co?

– Kiedy Jan zaczyna coś mówić, że może to tak, albo tak, to Felcia wpada prawie w furję. To znaczy najpierw jest delikatnie, ale potem Felcia albo zaciska pięści, albo zakłada ręce na brzuchu i ścisza sobie palce, że stają się całe białe. Finał na ogół jest taki, że wreszcie ona na niego warknie, on robi się czerwony i idzie do siebie do gabinetu pracować.

– To biedni... Może im się jakoś ułożyć?

– Oni się kochają. Jan chce ją po prostu wyręczyć, przyspieszyć prace, bo widzi, że coś na przykład za długo trwa, a Felcia tak jak dotąd, działa swoim tempem, zresztą Stach też nie lubi, bo nie może pracować innym tempem.

– A to dlaczego?

– Bo ma naczęte, jak to on mówi, kilka różnych prac i musi pilnować wszystkich. Na każdą musi przeznaczyć trochę czasu i nie może żadnej faworyzować, a jeszcze nieustannie pojawiają się nowe! – Eliza pomagała sobie, gestykulując dłonią.

– Kiedyś mu współczuliśmy i śmialiśmy się na zmianę, bo przyjechał do taty i coś tam robili albo po prostu pili kawę, nie pamiętam, no i zadzwonił telefon, których odbiera dużo, co chwilę jeden po drugim i tak na spokojnie mówi: „Dobra, szefie, rozumiem, zaraz jadę” – Wika pokiwała głową. – Tak wiesz, wyraźnie z tym jego RRR – mrugnęła. – Odłożył słuchawkę i zaczął się wkurzać, że nigdy nie może mieć wolnego, bo jak już ma za dobrze, to gdzieś jakaś awaria. I walnął pięścią w pień. Chyba za mocno. Zaczął skakać z bólu i przeklinać. Zapomniał, że do niego szef dzwonił i tata mu po chwili przypomniał. „Krucafuks!”

– wrzasnął i poleciał do auta. Biedny...

– To też z nim macie czasami wesoło... – Eliza zmrużyła oczy. – W „Iskierce” też niezgorzej, aż czasami żałuję, że studia zabierają mi za dużo czasu i wiele tracę!

Obie się roześmiały.

– Coś mi brzęczy... – Eliza sięgnęła do tylnej kieszeni. – No, nie! Ale jaja! Ha, ha, ha! Spójrz! – po przeczytaniu esemesa podała komórkę Wice.

– „Wczoraj na siatkówce nabawiłem się kontuzji. Na tydzień jadę do domu. Masz ode mnie wolne. Igor” – Wika przeczytała głośno i spojrzała na Elizę. – A ten co?

– Jeśli skręcił nogę, albo coś takiego, to jak on pojedzie? – Eliza spojrzała pytająco na Wikę.

– Może matka przyjedzie po niego? Ty... spójrz! Nasza grupa już weszła do sali!

Od czwartku w „Iskierce” działo się już ciekawie. Wczesnym popołudniem przyjechał TIR od Dziedziców z „Zielonego Dworu”, wypakowany meblami. Stach Janik i Jan Werra kierowali rozładunkiem. W piątek od rana wyczuwało się atmosferę oczekiwania. Około jedenastej Henryk zadzwonił do Anny, że ruszają w trasę.

– Dobrze, że wszędzie są czarne drogi, to damy radę w niewiele ponad trzy godziny dojechać. Udało nam się dzisiaj szybko i bez problemu zapakować resztę rzeczy.

– To czekamy na was. Tylko spokojnie!

– Będziemy jechać ostrożnie. Do zobaczenia.

Kasia wróciła wcześniej z pracy, a Maciej z Elizą urwali się z uczelni. Powitanie Dziedziców było frenetyczne. Wszyscy padali sobie w ramiona, całowali się, nie brakło okrzyków ani łez. Na specjalny obiad powitalny zostali zaproszeni Stach z żoną Stefcią. Pojawiły się głosy, czy nie wypić najpierw kawy, ale Felcia postawiła na swoim i pobyt Dziedziców w „Iskierce” zaczął się uroczystym obiadem.

– Panie Boże, wybacz, że łamiemy dzisiaj uświęconą piątkową tradycję, ale zdążymy się jeszcze w życiu napościć – Felcia wyrecytowała na stojąco słowa, po których wszyscy przeżegnali się w ślad za nią.

– Gdybym, Felciu, wiedział... – odezwał się zarumieniony z powodu wyjątkowych emocji Jan.

– Ale o czym, Janie? – Felcia spojrzała na niego zabawnie.

– O tym! – Jan wskazał wzrokiem półmisek wypełniony kotletami schabowymi.

Ręka Anny sięgająca już po pierwszy z brzegu zawisła w powietrzu, Dziedzicowie spoglądali po sobie nieco skonsternowani.

– Zartowałem! – roześmiał się Jan. – Wspaniale to powiedziałaś. Lepiej bym nie ujął.

Na wszystkich twarzach pojawił się uśmiech ulgi.

– Ja, niestety, jak zwykle wygadam się proboszczowi – rzucił Stach z oczami wpatrzonymi w kotlety schabowe, przełykając ślinę.

– Ani się waż! – huknęła na niego Felcia.

– Stachu, czy ty zawsze musisz...? – Stefcia dała mu kuksańca.

– Ale nie tak prywatnie, czy na roboczo, tylko służbowo, oficjalnie, przy spowiedzi – uśmiechnął się do schaboszczaka na swoim talerzu, który dłuższą chwilę kołysał się na widelcu, ale wreszcie odczepił się od niego.

– Uważam, że Stach ma rację – podkreślił wąsa Henryk Dziedzic.

– A ty co znowu? Do czyjejś spowiedzi się mieszasz? – jego żona Adela pogroziła mężowi.

– W życiu! Mnie zależy tylko na prawdzie, a ta jest taka, że musi powiedzieć, iż to z mojej winy się stało

– mrugnął do Stacha.

– Nie inaczej, przyjacielu. Sam mam podpaść u proboszcza, to ciebie pociągnę za sobą. Będziesz musiał odpracować pokutę na plebanii – Stach łypnął okiem na Henryka.

– Ale fajnie sobie przygadujecie – uśmiechniętej Dianie dołeczki w policzkach włączały się i wyłączały jak szalone.

– Tato, jak dostaniesz dużą pokutę, to ci trochę pomogę – wtrącił roześmiany Sebastian, syn Henryka, młodsza wersja ojca, choć jeszcze bez wąsów.

– Aha! Zapomniałam! – Felcia stuknęła nożem w szklaneczkę z kompotem. – Będziecie mieszkać sami w wozowni.

– Nie godzi się... żebyśmy zajmowali cały... taki dom! – wyjąkał Henryk, błyskając okiem.

– A tam! Musicie mieć spokój! – wyjaśniła mu krótko Felcja i spojrzała na Kaśkę, widząc w jej oczach niepokój. – Spał tam co prawda jeszcze wczoraj Adam w jednym z pokoi, ale jak przyjedzie z Gdyni, zajmie pokój na górcie stodoły; tam są już wykończone cztery nowe pokoje, a poza tym mamy jeszcze trzy pokoje w budynku gospodarczym.

– Aha! – Kasia skinęła głową.

– Jo! Mówię to, żebyście jako moja poszerzona rodzina wszystko wiedzieli. Nigdy nie wiadomo, czy mi tutaj jeszcze kogoś fajnego nie zareklamujecie – uśmiechnęta Felcia przebiegła wzrokiem po całej rodzinie Dziedziców.

– O! To może Czarek będzie miał się gdzie zatrzymać? – pisnęła z radości Alicja, starsza o trzy lata siostra Diany, uderzająco podobna do matki. – Będzie mógł mnie odwiedzić! – Dianie w uśmiechu z powodu szczęścia siostry znów włączyły się dołączki.

– Jak przyjedzie, to się prześpi w saloniku w wozowni. – Henryk Dziedzic zmierzył ją wzrokiem. – Będę go miał na oku! – mrugnął do Jana. – Już i tak robimy pani Felci wielki ambaras... Ale, ale. Czy to z naszego powodu Adam ma się wyprowadzić stamtąd? – Henryk wpatrzył się w Felcję.

– Poznaliście przecież Adama na „Kaszubskiej Studniówce”, tak? – Felcia potoczyła wzrokiem po przyjezdnych; dojrzała potaknięcia. – No to przypomnę, że Adam to dusza człowiek, a do tego wyjątkowo zgodny. Zawsze mówi, że jeśli człek nie ma nic na sumieniu, to prześpi się i na desce, okrywając kocem.

– Jo, jak ci w więzieniu! He, he, he! – wtrącił z uśmiechem Stach.

Kuchnia zatrzęsała się ze śmiechu.

– Zresztą, Henryku... – zaczęła Anna, chcąc jeszcze coś dodać, gdy nieco się uspokoiło, ale nagle przerwała i zamachała dłońmi. – Przepraszam, że ośmieliłam się tak bezpośrednio...

Felcia pokręciła głową. Zastukała nożem w szklaneczkę.

– Kochani! Jeszcze jedna, bodaj najważniejsza sprawa porządkowa. Widzę, że nigdy dość przypominania...

– Wszystkie oczy zwróciły się na nią. – Ależ ja lubię, jak wszyscy mnie słuchają – zachichotała i wciągnęła głowę w ramiona. – No dobra! Przed studniówką mówiłam, że ja jestem Felcia... może być Felcja, no, ostatecznie Feluchna – zaśmiała się. – I niech nikt nie śmie mi mówić inaczej. Zapomnieli?! Nie znoszę żadnych cioć, babć, a już najbardziej pań. Mogę znieść wszystko, tylko nie paniowanie! – Potoczyła groźnie wzrokiem wokół stołu. – A pozostali dorośli też mają swoje imiona. Używajcie ich!

– No, ale... – wyjąkał Henryk Dziedzic.

Felcia pogroziła mu.

– Aha! A gdzie jest nalewka? Kto nakrywał do stołu?

– Ty, Felciu – odezwał się, uśmiechając, Jan.

– To tak mi pomagałeś? To teraz szorujcie obaj z Maćkiem po kieliszki i do spizarni! – Felcia zmierzyła ich groźnym wzrokiem; obaj poderwali się z miejsc.

– No, synu... ale matka nami rządzi! – Jan mrugnął do Macieja.

– Przy gościach może chociaż szmata nie pójdzie w ruch! – Maciej z kolei mrugnął do Jana.

Kuchnia znowu wypełniła się śmiechem.

– Dobrze jest? – spytała Felcia, patrząc w oczy Adeli, Henryka i ich dzieci. – Jo?

– Ależ jest fajnie! Jo! – uśmiechnięty Henryk podkręcił wąsa; piersi pani Adeli falowały jak szalone, dzieci się uśmiechały, a Dianie dołeczki w policzkach to włączały się, to wyłączały.

Po chwili został spełniony toast, po którym Henryk spojrział na Annę.

– Zdaje się, że poprzednio pani... przepraszam... Anno, chciałaś mi coś powiedzieć, czy tak?

– Tak... ale co to było? – zmarszczyła brwi.

– Chodziło wcześniej o Adama, a ty chciałaś, babciu, do niego nawiązać... chyba... – Eliza wzruszyła ramionami.

– Dobrze, że mam tak dobrą przenośną pamięć.

– Anna pokiwała głową i z uśmiechem wskazała na wnuczkę. – Panie... przepraszam, Henryku, przecież pamiętasz, że Adam jest zawołanym architektem, prawda?

– Krótco wówczas o tym, niestety, rozmawialiśmy, ale ja sprytnie zapisałem sobie nazwisko, a potem sprawdziłem w internecie... – podkręcił wąsa – ...to jest ktoś! Zresztą z nazwiskiem Wspaniały nie może być inaczej! Wiem, że ma wiele międzynarodowych nagród. Ale jaki ma pani... przepraszam, jaki masz, Anno, względem niego pomysł?

– Z nim już też wstępnie omówiłam sprawę, a reszta będzie należała do was obu. – Anna uważnie spojrziała na Henryka. – Ty zrobisz wizję, projekt całości, żeby wszystko idealnie wpasowało się w krajobraz, a on będzie projektował pod względem architektonicznym. A naszym szefem, pilnującym spraw wykonawczych i osobiście odpowiedzialnym za niektóre ze wspólnie ustalonych prac, będzie Stach.

Henryk klasnął w dłonie.

– Będziemy jak ten, no... tercet egzotyczny! – zawołał.

– Jo! A ja będę kręcił biodrami, bo mam obfite i falujące! He, he, he! – Stach złapał się za fałdę tłuszczu na brzuchu i zachichotał, czym znowu wzbudził powszechną radość przy stole.

\*

Dziedzicowie szybko zaaklimatyzowali się w „Iskierce”. Uzupełnili niektóre pokoje w wozowni domowymi meblami, które przywieźli z „Zielonego Dworu”. Bez zmian pozostawili tylko salonik, który jeszcze we wrześniu wzbudził ich zachwyt. Siostra Diany, Alicja, wpadła w euforię, kiedy na tydzień przed świętami odwiedził ją Czarek, pucułowaty, z uroczymi piegami na twarzy i ciągle uśmiechnięty szatyn. Oprowadziła go po całej okolicy, na ile pozwoliły na to zimowe warunki. Potem, kiedy rodzice poszli spać, długo szeptali we czwórkę: Alicja, Diana i Sebastian oraz Czarek. Rozstali się na noc z radością w oczach.

Henryk i Adam utworzyli duet i korzystając z każdej wolnej chwili, dyskutowali zawzięcie w bibliotece na strychu. Potem weryfikowali ustalenia w terenie, po czym Henryk nanosił poprawki w swoich szkicach. Od czasu do czasu zapraszali na swoje dysputy Stacha, kiedy potrzebowali informacji w sprawie dostępności w okolicznych tartakach określonych gatunków drewna, albo innych materiałów budowlanych w hurtowniach.

Marysia pojawiła się w „Iskierce” pierwszy raz od pogrzebu w środę po przyjeździe

Dziedziców. Nie obeszło się wówczas bez łez.

– Pani Marysiu... – pani Adela załamała rękę. – Tak pani współczujemy...

– Jest pani dzielną kobietą – wyszeptał pan Henryk łamiącym się głosem, po czym sam zaczął chlipać.

Marysia początkowo wzruszyła się, ale po chwili uśmiechnęła przez łzy.

– Dobrze, Felciu i Anno, że wreszcie wyszłam z domu... – Każda z nich trzymała Marysię za jedną z dłoni. – Dzieci i Kasia uchroniły mnie przed tym, bym sobie czegoś nie zrobiła... A potem Adam... – Marysia pokręciła głową i znowu w jej oczach pojawiły się łzy.

– A któż to nas odwiedził? – od progu poniósł się tubalny głos Adama. – Jak się cieszę, że wreszcie przyjechaliście... – Przywitał się z gośćmi, a potem z domownikami; Marysia wodziła za nim wzrokiem.

– Umówiłam się z Miłozsem, że jak będę chciała wrócić, to podejdzie po mnie. – Spojrzała na Adama.

– Albo ja ciebie odprowadzę – uśmiechnął się do niej.

– Jak praca, Marysiu? – Anna złapała ją za dłoń.

– Zaczynam powoli wchodzić na dawne tory.

– Zrobiłam tłumaczenia wszystkich listów i zaniósłam je do ośrodka.

– Wiem, bo też tam na chwilę wstąpiłam. Może w weekend, w sobotę, przemyślimy, co dalej? Chcę coś zajmować głowę.

– To jest chyba najlepsze lekarstwo... – Adela spojrzała w oczy Marysi.

– Dotąd myślałam, że tylko tak się mówi, ale to jest prawda. Tylko wiecie, co jest najgorsze? Chociaż ze szkoły nie widzę cmentarza, z domu też nie, ale wiem, że on jest blisko, za drzewami, i robi mi się wtedy tak strasznie przykro... – Kolejny raz oczy Marysi wypełniły się łzami.

– Jesteś nadzwyczaj silna, a jak jeszcze w nowym tygodniu zawiozę cię do lekarza... – zaczął Adam.

– To z tą tarczycą? – spytała Anna.

– Tak. Tylko czy ja będę miała siłę pojechać?

– Pojedzie z nami Joasia, żebyś się czuła lepiej, dobrze? Tylko powiedz mi, czy USG tarczycy chcesz zrobić w Gdyni, czy w Bytowie? – Adam spojrzał na nią.

– Dla mnie to obojętne, ale tutaj mogę mieć problemy z dojazdem...

– Ja cię zawiozę! – Kasia klasnęła. – Pojedziemy moim... znaczy firmowym... nowym autem.

– Kupiłaś sobie? A jakie?

– Białe! – Kasia przymrużyła oczy.

– Ale jaka marka?

– Suzuki Grand Vitara! – wykrzyknął za Kasię pan Henryk.

– Noo! – Kasia uniosła nos w górę.

– I białe, tak jak chciałaś? – upewniła się Marysia.

– Mhm – Kasia skinęła głową.

– I to są, Henryku, kobiety – uśmiechnął się Adam. – Białe. Ale jaka marka, to mniej ważne.

– Czy wiecie, że gdybym kiedyś zamierzał kupić sobie jakiś inny samochód, to też chciałbym, żeby był biały? – Jan Werra przy ostatnim słowie delikatnie pacnął dłonią

w stół. – Poważnie.

– A jaka marka, przepraszam? – Henryk podkreślił węża.

– Może... bo ja wiem? Właściwie to mi wszystko jedno. Ważne, żeby był biały.

Wszyscy przy stole zachichotali, nawet Marysia.

– A więc są jednak mężczyźni, którym marka nie robi różnicy, co? – Kasia spojrzała triumfalnie na Adama.

– Słabo jednak znam życie – prychnął Adam.

– Dobrze, że jednak przysłałam. – Marysia potrząsnęła końskim ogonem i spojrzała na Adama.

– Nawet dostałaś kolorów – ucieszył się Adam.

– A wiecie, że to dzięki Adamowi jakoś funkcjonowałam przez ten miesiąc? – W Marysi oczach pojawiły się błyski; przebiegła wzrokiem po siedzących przy stole.

– E tam! – Adam machnął dłonią.

– Adam ma już tutaj swój pokój! – powiedziała Felcia i postukała przekrzywionym palcem po stole.

– Poważnie? Nic mi nie mówiłeś. – Marysia gwałtownie zwróciła się w stronę Adama, aż koński ogon zachybotał.

– Z początku prawie codziennie jeździł tam i z powrotem, ale na dłuższą metę... – Kasia podniosła brwi.

– Gdybym wiedziała, to bym się nie zgodziła – powiedziała Marysia ściszym głosem.

– Zejdźcie ze mnie, proszę – Adam się uśmiechnął. – Mówiłem ci, Marysiu, że mam autopilota... No, ale jak z tym USG?

– A ty dasz radę załatwić w Gdyni jeszcze przed wizytą u lekarza?

– Zaraz zadzwonię do przyjaciela i będę wiedział.

– Dobry wieczór – od progu kuchni doszedł głos Miłosza. – Przyszedłem po mamę.

– O! Zasiadiałam się, synku... – Marysia spojrzała na syna.

– Ja bym odprowadził – Adam uśmiechnął się do Miłosza.

– Damy sobie radę. To blisko. Nie trzeba. – Miłosz wykonał przeczący ruch głową.

– Miłosz, dziecko... – Marysia zaczęła, przerwała i spojrzała na syna. – No dobrze, dziękuję za dobre słowa i do zobaczenia – przeniosła wzrok na Adama.

– To pa, Marysiu! – rozległy się głosy.

Kiedy Marysia z synem opuścili „Iskierkę”, w kuchni przez kilka chwil panowała cisza.

– Hmm! Czy Miłosz jest zawsze taki zasadniczy?

– Kasia spojrzała na Adama.

– Jest jeszcze młody, chociaż uważam, że dobrze opiekuje się mamą.

– Ale mnie chodzi o ton... i w ogóle.

– Kasiu... on jest jeszcze młody – powtórzył Adam.

\*

– A co ty tak stoisz w tym oknie? – Adela fuknęła na Henryka. – Lepiej byś poszedł porozmawiać z Felcią o pieniądzach.

– No, właśnie patrzę, kiedy będzie wychodziła od gości z tamtego budynku. Poszła tam jakiś czas temu. O! Idzie, może tu ją zaproszę.

– No to leć!

Henryk starał się szybko zejść na dół, ale kiedy wyszedł przed wozownię, Felicia skręcała już za dom.

– Felciu! Felicjo! – zawołał.

Poczekala na niego przy werandzie.

– Co się stało, Henryku?

– A poluję na ciebie, bo musimy wreszcie porozmawiać o pieniądzach! – wykrzyknął stłumionym głosem.

– O jakich znowu pieniądzach? – Felcia zakręciła się i ruszyła przez werandę do sieni.

– Ależ, Felciu, tak nie wolno! Ciągłe mnie zbywasz... – głos mu się załamał.

Weszli do kuchni.

– Siadaj, Henryku! – Wskazała mu miejsce.

– Felciu. Przecież tak nie może być. Po nowym roku syn i starsza córka będą zarabiać. Już byli na rozmowie w Bytowie w jednym miejscu, ale zobaczą jeszcze gdzie indziej. Diana będzie ci pomagać we wszystkim, co tylko chcesz. Czasami włączyć się może Adela. W cięższych domowych pracach ja jestem, nie chwałąc się, dobry... – Podkręcił wąża i spojrzał na Felcię błyszczącym okiem.

– Wszystko rozumiem, ale czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś powiedziała mi jakąś kwotę, którą będę co miesiąc ci płacił za to, że tu mieszkamy i jemy. A właśnie! Syn może cię póki co wspomóc, a nawet wyręczyć w gotowaniu. Chętnie też włączy się Adela... Pieniądze nie leżą na ulicy!

– Co wy tak głośno rozmawiacie o pieniądzach?

– Do kuchni wkroczyła Anna.

– Bo ten ciągle mnie nachodzi – poskarżyła się Felcia.

– No tak! Teraz wszystko na mnie! – Henryk załamał ręce. – Już od kilku dni staram się porozmawiać z nią o pieniądzach, a ona mnie ciągle zbywa! – zawołał dramatycznie Henryk.

– Bo nie powinienes za nią z żadnymi pieniędzmi chodzić – ucięła krótko Anna.

– No, ale jak to? – Henryk opadł na oparcie.

– A tak to! – Anna poparła swoje słowa głębokim skinięciem głową.

– No widzisz? Tak to! – triumfowała Felcia.

– O co tu chodzi? – Henryk na przemian to unosił, to opuszczał ramiona.

– Chodzi o to, że twoje koszty tak naprawdę są moimi kosztami – cedziła wolno słowa Anna.

Do ostatniego słowa Felcia kiwała głową, ale przy ostatnim poderwała się. Równy z nią poderwał się Henryk.

– Jak to? – wrzasnęła Felcia.

– Nie rozumiem! – zawołał gromko Henryk.

– Uspokójcie się... – Anna falowała dłońmi nad stołem. – Tak, dobrze... – oceniła, że uspokoili się wystarczająco. – Zakazuję wam rozmawiać o jakichkolwiek pieniądzach.

– Co ty mówisz? Ja w swoim domu nie mogę rozmawiać, o czym chcę?

– Jak by to wam powiedzieć, żebyście zrozumieli raz na zawsze... – Anna podrapała się po głowie, potem poprawiła gumkę w kitce, a na koniec strzepnęła ze stołu niewidoczne okruchy. – Jest tak. Te pieniądze, o których tu rozmawiacie, to znaczy Henryk usiłuje coś się od ciebie, Felciu, o nich dowiedzieć, to są moje koszty – zamilkła i spoglądała raz na Felcię, raz na Henryka.



Oboje nie wyglądali, jakby cokolwiek już zrozumieli z tego, co miała im do zakomunikowania.

– Wydaje mi się, sądząc po waszych minach i gestach, że nie bardzo nadążacie za mną. Czy tak? – Słowom Anny odpowiedziało skinięcie głów Felci i Henryka. – Felciu, zgodziłaś się, żebym mieszkała u ciebie z moimi dziewczynami do czasu wybudowania mojego siedliska, czy tak?

– Tak! To znaczy nie! Możecie tutaj mieszkać na zawsze i już, bez żadnych warunków wstępnych. Czy siedlisko będzie, czy nie!

– A pieniądze rosną na drzewach, tak? – Anna zmrużyła oczy, Felcia też przymrużyła swoje; Henrykowi ze zdziwienia oczy zrobiły się jak księżycy w pełni.

– A właśnie?! – zebrała się w sobie Felcja. – Czy możesz mi powiedzieć, jak to się dzieje, że od września, kiedy letników jest mniej, to pieniędzy na koncie pojawia się więcej? Przecież nie głupia i wyciągi z banku rozumiem! Zawsze rozumiałam! Już się kiedyś Maćkowi wydawało, że nie rozumiem.

– Felciu, dobrze. Kto opłaca wszystkie media? Ty! Kto robi zasadnicze zakupy do jedzenia, do zapewnienia czystości? Ty! Kto opłaca Ewelinkę... chyba dałaś jej jakąś podwyżkę, co? – Anna zmierzyła Felcię, a ta spuściła wzrok.

– Dodałam jej więcej o dwieście złotych, to mało?

– Dodaj jej od nowego roku jeszcze dwieście, bo teraz zużywa więcej na buty – roześmiała się Anna.

– Ty pyro!

– Ależ wy jesteście fajne... – Henryk podkreślił wąsa.

– No i dalej, Felciu. Kto finansuje wszelkie remonty, naprawy? Ty! Kto rusza głową, jak my idziemy spać? Ty!

– A tu przepraszam cię. Ja chodzę wcześniej spać!

– zachichotała Felcia.

– Ale wstajesz wcześniej i kiedy ja schodzę o szóstej, to już czekasz na mnie z kawą. Co by ci tu jeszcze wyliczyć? Nie chce mi się więcej ruszać głową, czuję, jakbym była w potrójnym zerze – mrugnęła do Felci.

– Ha, ha, ha! – Felcia roześmiała się w głos; przyłączyła się do niej Anna.

Henryk spoglądał na nie zakłopotany.

– Ale jak przyjeżdżali letnicy, to oczywiście były jakieś wpływy, tylko że musiałam cały czas kombinować, a teraz przy stałych mieszkańcach i tylko dwóch pokojach zajętych przez letników, na koncie rośnie, choć powinno maleć.

– Felciu, i tym się martwisz?

– Nie tak się umawialiśmy! – naburmuszyła się Felcia.

– Nie strzelaj focha! – Anna roześmiała się głośno.

– No, to jak wreszcie będzie z tym moim płaceniem, bo wciąż nie rozumiem? – Henryk rozłożył ramiona.

– Posłuchaj, Henryku! Macie tu być i cieszyć się życiem. Będziemy przejechać moje... – Anna zamilkła na moment, bo Felcia się wykrzywiła – i... jej pieniądze.

– Tu Felcia uśmiechnęła się. – Ty, Henryku, zapracowujesz sobie na pensję projektowaniem u mnie. Przecież jeśli nie będę wykorzystywać pieniędzy Władka, to gotów on się jeszcze obrazić, a wtedy grozi nam konflikt międzypaństwowy. Jasne?

– Dla mnie wszystko jasne. – Felcia wydeła wargi.

– A ja niczego nie rozumiem. – Henryk uniósł ramiona i szarpnął za końcówkę wąsa.

– Chodzi o to, że na tym etapie nie powinieneś tutaj tracić swoich pieniędzy. Jak zaczniesz wydawać dzieci za męż, żenić, to zobaczysz. A jak ci coś zostanie, to cię potem obzdulimy. – Anna i Felcia uśmiechały się, lecz Henryk nie przestawał wzdychać. – No dobra. Od czasu do czasu dostaniesz jeszcze premie za prace projektowe! Teraz pasuje?

Henryk objął głowę dłońmi. Anna i Felcia roześmiały się w głos.

\*

Święta zbliżały się wielkimi krokami. Felcia uległa sugestiom Henryka i jego syn Sebastian włączył się w przygotowania. Najpierw poprosił o wyliczenie liczby gości. Felcia i Anna początkowo usiłowały sprawę zbagatelizować, ale ten im spokojnie wyjaśnił, w czym rzecz.

– Co innego, jak się robi jeden posiłek dla rodziny, nawet jeśli to Wigilia, powiedzmy, dla dziesięciu osób, a co innego, jak szykuje się kilka posiłków dla około dwudziestu osób na kilka dni – uśmiechał się przy tym do Felci i Anny.

– A skąd ty weźmiesz tyle osób? – Felcia zrobiła wielkie oczy.

– Staram się słuchać wszystkich, zapisuję, co usłyszę, a teraz proszę tę listę zweryfikować. – Położył kartkę na stole. – Nie chodzi mi o nazwiska, tylko o finalną liczbę osób.

Felcia i Anna pochyliły się nad kartką i studiowały wykaz.

– Aniu, on ma rację. Może tak być, że na Wigilię będzie nas prawie dwadzieścia osób. – Felcia wyprostowała się i przyłożyła dłoń do gorących policzków.

– To byłoby pięknie, ale z drugiej strony, może na przykład Ryszard nie da rady przyjechać z mamą i Elą na Wigilię? Na pierwsze święto, czy nawet obydwu, przywiezie je na pewno.

– Ale jest drugi problem, drogie panie – Sebastian znowu się miło uśmiechnął; Felcia i Anna spowaźniały. – Na obiedzie, kiedy przyjechalibyśmy tutaj, przy stole siedziałoby czternaście osób i już było ciasno.

– Jan miał rację, żeby powiększyć kuchnię – Felcia rozejrzała się po pomieszczeniu. – A ja go zbesztalam.

– A jak chciał to zrobić?

– Z sieni można wykroić dwa metry szerokości, a wtedy powierzchnia kuchni zwiększy się o prawie osiem metrów kwadratowych. – Wskazała ręką. – Nasza sień to duży pokój.

– Aha! – Sebastian obejrzał się też w tamtą stronę.

– No! Wtedy można byłoby wstawiać, w razie potrzeby, prawie taki sam wielki stół jak teraz. Sprawa byłaby załatwiona. To możliwe na Wielkanoc, a dzisiaj?

– To co zrobimy? – Felcia opuściła bezwładnie ręce.

Teraz Anna obracała się na krześle, lustrując kuchnię.

– Myślałam o jakiejś dostawce, ale nie da rady... chyba.

– Ale jest duża sala tam... – Sebastian wskazał w kierunku stodoły.

– Tylko to znowu jest kolubryna, na Wigilię się nie nadaje. – Felcia machnęła ręką.

– Tak sobie, drogie panie, myślę, że gdyby poprosić tatę i pana Adama, to może by znaleźli sposób, jak ją zmniejszyć...

– Ale jak to? To bez sensu zmniejszać stodołę – zachnęła się Felcia; Sebastian zasłonił usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Felciu, chyba chodzi o czasowe przysłonięcie części powierzchni, czy tak? – Anna spojrzała na Sebastiana.

– Jeśli tylko Felcia się zgodzi, to już oni coś wymyślą... – Sebastian przymrużył oczy i pokiwał głową.

– Chyba nie ma wyjścia! Ależ to się, Aniu, narobiło... – Felcia ponownie przyłożyła dłonie do pałających policzków. – W ubiegłym roku siedziałam sama, a w tym roku brakuje miejsca... – głos jej się załamał.

– Ciesz się! – zawołała Anna i przytuliła się do Felci. – Już we wrześniu było pięknie, a teraz...?

\*

Nadszedł mroźny i śnieżny wieczór wigilijny. Kiedy Felcia, Anna i Adela weszły do stodoły, gdzie miała się odbyć Wigilia, oniemiały. Wszyscy pozostali już wcześniej widzieli, co tam się dzieje, bo w jakiś sposób byli angażowani w prace. Na wprost wejścia utworzony został świąteczny salon w kształcie owalu, poprzedzony niewielkim holem, gdzie można było pozostawić okrycia zewnętrzne. W salonie, po jego lewej i prawej stronie, stały dwie duże choinki przystrojone bombkami i rozświetlone lampkami. Wokół naprzemiennie bladozielonych i beżowokakaowych ścian, w pewnych odstępach od siebie, ustawiono kilka kredensów,

przystrojonych bożonarodzeniowo, a wolne przestrzenie pomiędzy nimi wypełniały foteliki oraz niewielkie stoliki z jadłem, słodyczami i owocami. Na ścianach wisiały obrazy przodków, widoki z zimowymi akcentami i świąteczne dekoracje. Z fantazyjnego sufitu zwisały dwie duże lampy, oświetlające ustawiony pośrodku olbrzymi stół z krzesłami, nakryty dla dwudziestu czterech osób.

– Boże, jak wyście to zrobili? Jak tutaj pięknie...

– Felcia kręciła głową, zasłaniając co chwilę oczy.

Anna i Adela zachowywały się podobnie.

– Ależ z was artyści. A skąd są te wszystkie meble?

– spytała Anna.

– Jam je przywiózł z „Zielonego Dworu”, bo nowi właściciele nie chcieli ich mieć w mojej dawnej sali sarmackiej. – Henryk Dziedzic skłonił się i zadowolony podkręcił wąsa. – Szkoda było za grosze się ich pozbywać, bardzo je lubimy, a jak się wybudujemy, pójdą na wyposażenie. Opłacało się załatwić transport.

– A jak tutaj zrobiliście ściany? – Anna spojrzała na Adama i Henryka. – Szkoda, że trzeba będzie je zburzyć.

– Nie! Te ściany to tkanina rozpostarta na stelażach, których konstrukcja jest składana; tkaninę zwinie się albo poskłada i kiedyś wszystko można powtórnie użyć.

– Ależ to wszystko pomysłowe! – Felcia pokręciła głową. – Dobrze byłoby mieć taki salon... Potem obejrzymy sobie, Aniu, wszystko dokładnie, a teraz już siadajmy.

Rozpoczęto od łamania się opłatkiem. Początkowo było trochę harmideru, bo większość chciała w pierwszej kolejności podejść do Felci, Anny albo Adeli. W pewnym momencie Kasia stanęła jak wryta. Ściągnęła na siebie wzrok matki i Felci; podążyły za gestem jej głowy. W progu salonu stała Marysia z Joasią i Miłozsem.

– Córcia... jak dobrze, że jednak przyszedłaś! – Felcia objęła Marysię.

Tonowane życzenia mieszały się z pochlipywaniem Marysi.

– Klaus a znaliśmy krótko, bo nawet przede mną nie pochwaliłaś się nim kiedyś, wcześniej. Na pewno zostanie w naszych sercach na długo, bo był cudownym człowiekiem. Jesteś silna i mądra, i wiesz, że to są wszystko twoi przyjaciele. Nasza duża rodzina! – dodała Felcia głośniejszym głosem i przebiegła wzrokiem po obecnych; Marysia uczyniła podobnie.

– Wiem, dlatego wszystkim wam dziękuję. – Objęła Felcię, a potem uściśliła się kolejno ze wszystkimi.

– Siadajmy w takim razie, Stefania chyba jednak nie odważy się dzisiaj ruszyć z domu, więc i Ryszarda nie będzie... – Felcia spojrzała jeszcze raz w kierunku wejścia, a potem na Annę. – Siadajmy!

Wreszcie wszyscy zasiedli do wigilijnego stołu. Posługiwała młodzież, którą dyrygowała Kaśka. Salon wypełnił się przytłumionym dźwiękiem kołęd w wykonaniu „Mazowsza”.

– A ta muzyka, to jak? – Felcia zdziwionym wzrokiem spoglądała wokół.

– Wojtek z „Erina” wypożyczył swój zapasowy zestaw nagłaśniający – wyjaśnił Adam. – Postanowił dołożyć się do urządzenia tutaj Świąt Bożego Narodzenia, bo chce jutro przyjechać.

– Jesteście niesamowici... – Felcia pokręciła głową.

A potem w nieco melancholijnym nastroju rozpoczęto spożywanie dwunastu potraw, które reprezentowały kuchnię kaszubską, poznańską i mazurską. Była grzybowa po poznańsku i czarlina po kaszubsku, karp pieczony według przepisu Anny, a także śledź w śmietanie z jabłkiem, pstrąg oraz dorsz w galarecie, gotowane ziemniaki, obrane oraz w mundurkach, kapusta zasmażana z jabłkami i kisiel z żurawiny. Wszystkim wszystko smakowało.

Po zakończeniu wieczerzy i uprzątnięciu naczyń starsi przenieśli się na fotele pod ścianami. Niebawem pojawił się Gwiazdor, za którego przebrał się Maciej, a Eliza roznosiła paczuski, które wyciągał spod choinek.

– Jak wchodziliśmy, to pod nimi było jeszcze pusto! – Siedząca na foteliku Felcia wskazała dłonią na sterty prezentów pod choinkami. – Kiedy to się tam pojawiło?

– W międzyczasie! – zawołała wesoło Eliza, prychnąwszy śmiechem.

Rozmowy i szelest papierów z rozpakowywanych paczek przytłumiły skrzypnięcie drzwi do stodoły. Tylko Anna wykazała się czujnością; spojrzała w tamtym kierunku.

– *Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...* – zaintonował stojący w progu Ryszard, uginający się pod wielką torbą wypchaną paczuszkami.

Anna podbiegła do wejścia. Przywitali się.

– Pokój przynoszę temu domowi od wszystkich Gochów! – zawołał radośnie.

– A gdzie masz Stefanię i Elę? – zainteresowała się Felcia.

– Mama w zasadzie paliła się do jazdy, ale odradziłem, bo musielibyśmy wracać na noc i mogłaby nie zdążyć na transmisję Pasterki z Watykanu. Tylko to ją przekonało – odparł, uśmiechając się.

– No, ale my tu czekaliśmy! – Felcia posmutniała.

– Powiedziała, że dzisiaj mi ustępuje, ale jutro mam ją do „Iskierki” przywieźć z samego rana – uśmiechnął się i skubnął wąsika.

– Oj, jak dobrze!

Ryszard okrążył stół z opłatkiem w dłoni. Chwilę dłużej zatrzymał się przy Marysi, siedzącej w otoczeniu dzieci. Gdy skończyli składać sobie życzenia, spojrzała ponad nim na

ścianę, na wiszące obrazy przodków.

– Kiedy weszłam i zobaczyłam je, byłam zaskoczona, ale po chwili spojrzałam powtórnie i wewnętrznie się uśmiechnęłam. Kojarzą mi się dobrze... – Jak na komendę Joasia i Miłosz spojrzeli na matkę; ta pokiwała głową, przepraszająco wzruszyła ramionami i powtórzyła: – Kojarzą mi się dobrze i nic na to nie poradzę. Kiedykolwiek jeszcze je zobaczę, to mimo wszystko przywołają miłe wspomnienia – na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Są twoje! – Ryszard złożył pocałunek na jej dłoni.

– Proszę? Co? Nie rozumiem?

– Marysiu, obrazy są twoje!

– Ale ja tylko tak...

– Kojarzą ci się dobrze i masz miłe wspomnienia?

– Spojrzał jej w oczy.

– Tak... ale...

– To są twoje i nie ma o czym mówić. – Skubnął wąsika.

– Ale to są twoi przodkowie!

– W rodzinnym domu mam obrazy autentycznych przodków, a te kupiłem do mojego mieszkanca, żeby trochę poszpanować – uśmiechnął się. – Po pół roku zdjąłem je, bo mi nie konweniowały i schowałem za szafę. Przed waszym ślubem przypomniałem sobie o tym, odkurzyłem i już! – Zakrył usta dłonią, żeby powstrzymać śmiech.

Marysi oczy roześmiały się.

– Mamo! Już nawet wiem, gdzie je powiesić! – Miłosz dotknął ramienia mamy.

– Ale... – Marysia potrząsnęła końskim ogonem.

– Nie ma ale... – rzekł Ryszard.

– Widzisz, mamo? Nie ma ale! Bardzo panu dziękuję! – Miłosz podał Ryszardowi dłoń.

– Dla ciebie, Joasiu... mam figurówki... a dla Miłosza album polskich zamków.

Marysia spojrzała z czułością na Ryszarda.

Od kilku minut dzieci Henryka ustawiały na stole ciasta, owoce i makielki.

– Wracajmy do stołu! – Felcia klasnęła w dłonie i zajęła swoje miejsce. – Czy w obu są takie same makielki? – Felcia taksowała zawartość makutry stojącej tuż przed nią i drugiej, postawionej nieco dalej.

– Te drugie to takie, jakie robimy w Poznaniu. Z bułką maczaną w mleku... – Anna zmrużyła oczy.

– To chcę spróbować tych i tych. Będę lepiej spała... – Felcia poprawiła się na krześle.

\*

Przez dwa kolejne dni Felciny „salon” wciąż tętnił życiem od rana do późnej nocy. Stefani i Eli bardzo się spodobał zrealizowany przez Adama i Henryka pomysł, tym bardziej, że kiedy one przyjechały, kończyli powiększać stół, żeby pomieściło się przy nim i trzydzieści kilka osób.

– Muszę ci powiedzieć, Felciu, że określenie: salon w stodole, podpada pod oksymoron! – Stefania Lew-

-Szciodrowicz z emocji poprawiła sobie okulary w złotych oprawkach.

– Ale, ale, Stefaniu, nie obrażasz ty mnie? – Felcia zachichotała. – Nawet w pierwsze

święto jesteś polonistką.

– Tak trzeba! Panie Henryku, szkoda, że nie prowadzę już żadnych lekcji, bo poprosiłabym pana o udział w którejś z nich, jako żywego przykładu Sarmaty. Gdzieś byśmy pożyczili kontusz i byłoby cudownie.

– Do nóżek padam... – Henryk skłonił się i pokręcił wąsa. – Jest pani bardzo łaskawa.

Pani Stefania pełniła funkcję gwiazdy „salonu” do czasu, kiedy dotarł Wojtek, szantymen z „Erina”, z żoną, kolegami z zespołu i ich żonami oraz z instrumentami. Urządzili koncert kolęd, do śpiewania których raz po raz włączali się siedzący w salonie.

– Pani Felciu... – Do jej ucha nachylił się w pewnym momencie Sebastian, brat Diany.

– Jak ty się do mnie odnosisz! – Felcia głośno na niego fuknęła.

Wszystkie oczy zwróciły się w tym kierunku.

– Ale... – zaczął, jękając się, chłopak.

Felcia tylko na to czekała. Roześmiała się wniebogłosy.

– A mówiłam, a prosiłam, mówcie mi Felcia. Żadna pani! – ostatnie słowa zawołała z groźną miną, ale śmiejącymi oczami.

– Ależ mnie pani nastraszyła... – Sebastian pomachał dłonią przed swoją twarzą. – Chciałem powiedzieć, Felciu, że w stodole brakuje tylko jednego, kuchni – uśmiechnął się.

– Stachu! Gdzie ty jesteś? – zawołała rozbawiona już na całego Felcia. – Słyszysz, co mówi Sebastian? Kuchnię trzeba tutaj pilnie robić!

– Przeca mówiłem o tym kiedyś! – odkrzyknął Stachu.

– Jak się trochę ociepli, to coś pokombinujemy... w przybudówce! – Pokazał kciukiem za siebie.

– Czyli będzie i kuchnia! Dobrze, że o tym powiedziałaś. – Felcia mrugnęła do Sebastiana. – Na Wielkanoc będzie ci już łatwiej... – Ten zrobił wielkie oczy.

\*

Adam pierwszy raz od dłuższego czasu był spokojny o Marysię. Przyglądał jej się ukradkiem i cieszył z każdego przejawu jej dobrego humoru. Kilka razy, kiedy spotkali się wzrokiem, obdarowywał ją uśmiechem, a ona zawsze rewanżowała się tym samym. Wystarczało mu to. Czuł także na sobie ukradkowe spojrzenia Miłosa. Nie unikał go w czasie świąt, ale starał się raczej być od niego nieco dalej.

Kiedy przyjechali Wojtek i Konrad z żonami, trochę bardziej się wyluzował.

Pod wieczór Marysia, opuszczając z dziećmi „Iskierkę”, przy pożegnaniu zaprosiła go na drugi dzień na kawę. Spojrzał na nią śmiejącym się wzrokiem. Nie zdążył się odezwać, bo Miłosz był szybszy.

– Przecież dzisiaj widzimy się... a jutro, mamo, miała przyjść twoja koleżanka ze szkoły... – Spojrzał na Adama zaczepnie.

– Wiesz, Marysiu, może to i racja, zwłaszcza że jutro też mi zbytnio nie pasuje. Nieładnie jest odmówić, ale na swoje usprawiedliwienie mam to, że Konrad i Wojtek chcieli się jutro spotkać ze mną w Gdyni. Przepraszam. Może przed Sylwestrem wpadnę?

Marysia spoglądała to na Adama, to na Miłosa.

– Dobrze, przyjmuję, ale jak wrócisz z Gdyni, odezwij się, proszę. – Wyciągnęła dłoń do Adama.

Kiedy wyszli, w drzwiach stanął Igor.

– Masz mokry policzek – zauważyła Eliza i obtarła mu chusteczką.  
– Popłakaliśmy sobie chwilę przy życzeniach z panią Marysią – uśmiechnął się z zakłopotaniem.  
– Ale ty masz jeszcze coś na tym policzku, to pomadka? – Pociągnęła go bliżej światła. – Nie! To jakaś szrama! – zawołała; świętujący spojrzeli w ich kierunku.  
– Nic takiego. Jak się jest oferumą, to się ma ślady...  
– Nie rozumiem? – Elizie nie było do śmiechu.  
– To przez te zajęcia sportowe, pamiętasz?... Był skok przez kozła, a ja źle się wybiłem i przejechałem się po nim paszczą... Wiesz, jakie ma siedzisko twarde, skórzane. A do tego broniąc się przed upadkiem, zahaczyłem piszczelami o nogi kozła i stąd mój wyjazd na parę dni do domu, i tylko esemesowe życzenia, ale dzisiaj jestem! – zawołał.  
– Ale przedtem pisałeś o siatkówce... – Eliza wbiła w niego wzrok; Igor zmieszał się.  
– Bo tak było... krócej napisać... – zaczął się jękać  
– ...ale to przecież niewielka różnica, co?  
– W słowach niewielka... ale niech będzie. Ważne, że dotarłeś – uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. – Kupię ci coś na lepszą pamięć – szepnęła mu do ucha i roześmiała się; Igor spoglądał na nią speszony.

\*

Sylwester na zasypanym śniegiem wzgórzu pełnym słońca skończył się iście wybuchowo. Ryszard, Maciej i Stach coś tam do siebie pod wieczór poszeptali, a potem uśmiechali się. Kiedy zbliżyła się północ, Henryk Dziedzic wstał, chrząknął, a ponieważ nie wszyscy przy stole go dosłyszeli, postukał nożem w szklankę. Dopiero wówczas ucichł gwar i wszystkie oczy skierowały się na niego.

– Zostałem upoważniony przez radę mężczyzn do wygłoszenia toastu noworocznego. – Rozejrzał się wokół i podkreślił wąsa. – Właściwie precyzyjniej byłoby powiedzieć, że uprosiłem ich, abym to ja mógł go wygłosić.

Skłonił się kilkakrotnie, przenosząc spojrzenie z Jana na Ryszarda, a potem na Macieja.

– Przepraszam, rzecz jasna, że pozostałych panów nie pytaliśmy. Są w roku takie chwile, kiedy powinniśmy oczyścić głowę ze złych myśli, wspomnieć stary odchodzący rok i życzyć swoim najbliższym, przyjaciółom i sobie samym sukcesów na nadchodzący Nowy Rok. Kochani! Jaki był ten stary rok? – Piersi Adeli unosiły się od kilku chwil jak szalone, a Dianie włączały się i wyłączały dołeczki. – Dla nas, Dziedziców, zaczął się fatalnie, ale skończył... znakomicie... – Henrykowi załamał się głos. – Bo są jednak na świecie ludzie dobrzy, bezinteresowni, którzy... – znowu się zająknął – ...którzy... – spojrzał bezradnie wokół – ...Ryszardzie, ratuj! Nie dam rady... – ...Spojrzał przeproszająco zażawionym okiem w jego kierunku i opadł na krzesło.

– Kochani! – Ryszard wstał i skubnął wąsika.

– Wzruszenie oznacza czyste serce i piękną duszę! Taki jest Henryk. Dziękuję ci, przyjacielu, że mocno podciągnąłeś już toast, a ja go tylko szybko dokończę... – Rozległ się tłumiony śmiech. – I nie będę już wracał do starego roku, zajmijmy się raczej nowym. On będzie lepszy, tak to czuję, już ostatnie dni stanowią pewien przełom. Życzę wam wszystkim, kochani, aby plany, które sobie stawiacie, zostały w Nowym Roku zrealizowane. Tylko nie zapomnijcie o jednym, co tutaj kiedyś ładnie powiedział pewien

klasyk... – Ryszard spojrział przeciągle na Annę i skłonił się. – Szczęściu trzeba pomagać, wierzyć w plany i włączać się w ich realizację. Nic za darmo! Najlepszego Nowego Roku! Zdrowie!

Kieliszki powędrowały w górę. Ryszard poczekał na ich odstawienie.

– A teraz, kochani, zapraszam was na zewnątrz, za dziesięć minut czeka tam na was niespodzianka.

Powstał hałas, zaczęły padać pytania, jednak wszyscy posłusznie nakładali zimowe obuwie i ciepłe odzienia. Po kilku minutach ponad dwudziestoosobowa gromada sylwestrowych gości stała przed „Iskierkową” bramą.

– Już! – Ryszard powiedział cicho do telefonu.

Za moment w niebo wzniosły się kolorowe ognie. Świsty i huki wypełniły dolinę. Zza wzgórz co i raz wlatywały w górę różnokolorowe fajerwerki, rozbłyskując wachlarzowo tysiącami ogników, kręcąc się jak kołowrotki albo wolno opadając. Kanonada trwała kilka minut. Anna tuliła się do Ryszarda, Kasia do Macieja, a Eliza do Igora.

– Ryszardzie! Ależ to pięknie zorganizowałeś! – zawołała Felcia, kiedy wrócili do „salonu”.

– Taki przełomowy rok, więc trzeba to było uczcić...! – przerwał, zasłonił usta i rozejrzał się wokół.

– Marysia poszła z dziećmi do domu grubo przed północą – szepnęła mu Anna. – Chyba się zorientowała, że coś się szykuje. Ech...

– Igor współpracuje z chłopakami z Kartuz bawiącymi się w takie rzeczy; zrobił im zdalne sterowanie i napisał program. Reszta to już drobiazg – wrócił do wyjaśnień Ryszard. – Co prawda bałem się trochę, czy uda im się po ciemku wszystko dobrze rozmieścić i połączyć... – Ryszard z wyraźną ulgą skubnął wąsika.

– Oni zwyczajni są do robienia tego w ukryciu i pod osłoną nocy. Ja bałem się tylko, czy wyjdzie z nowym programem, bo to było z nim dopiero pierwszy raz, bez próby – uśmiechnął się Igor. – Na noc świętojańską zrobimy jeszcze lepsze fajerwerki.



## *Na ratunek*



*P*ilkudniowej odwilży na Kaszuby wróciła zima. W weekend poprzedzający ferie zimowe zaczęła się opadami śniegu, a potem przyszły mroźne dni. Oczka wodne i okoliczne jeziora zaczęły pokrywać się lodem. Joasia już trzy dni umawiała się z koleżankami na wyjście z łyżwami gdzieś na lód, żeby poślizgać się, wypróbować swoje figurówki. Kiedy Marysia usłyszała jej rozmowę z koleżanką, powiedziała córce:

– Przejdźcie się na spacer, ale bez łyżew. Jutro w szkole będzie wylewane lodowisko, więc wytrzymajcie.

– Aj, bo to już trzeci dzień ferii... Miłosz, pójdiesz z nami?

– Dobra, też się przejdę.

– A dokąd pójdziecie? – Marysia spojrzała na dzieci.

– Może w kierunku Bawernicy? Zobaczymy, jakie są warunki na kulig – rzuciła Joasia.

– Nie, po szosach nie chodźcie, bo wąsko i trzeba uważać na samochody...

– No, to może w kierunku Mausza.

– To już lepiej, tylko za długo nie bądźcie, bo spada temperatura. O! już osiem stopni! Kasia przyjechała. Będę miała z kim pogadać. Ubierzcie się ciepło! Tylko weźcie komórkę. Muszę was mieć pod telefonem, jak będziecie się opóźniali! – zawołała za nimi, bo zdążyli już wybiec. – Tylko najpierw włączę ją na ładowanie.

– Rozejrzała się wokół.

Dzieci Marysi minęły się z Kasią przy furcie. Zamienili ze sobą kilka słów i dzieci popędziły. Kasia weszła do środka i otrzepała buty.

– Cześć! Dziękuję ci, że wpadłaś. – Marysia wbiegła do przedpokoju; przyjaciółki uściskały się. – Tak się cieszę. Czegoś miałam poszukać... – podrapała się po czole. – Zaraz sobie przypomnę.

– Potrójne zero? – Kasia zmrużyła oczy. – Tak jak ci pisałam, przyszło mi na myśl, czy nie zrobić sobie wolnego, i po starannym przemyśleniu... zrobiłam je sobie! – Kasia zdjęła kurtkę i roześmiała się. – Nagadałam się już z dziewczynkami i postanowiłam zmienić sobie trochę środowisko – mrugnęła.

– Kawę chyba wypijesz? – Marysia, nie czekając na odpowiedź, ruszyła do kuchni; Kasia podążyła za nią.

– No jasne! Kiedy jechałam do ciebie, to minęłam się blisko „Iskierki” z Adamem. Pewnie też będzie chciał cię odwiedzić.

– Jest taki dobry... – Marysia uciekła z wzrokiem.

– Nie wiem, jak mam mu się odwdzięczyć. – Podeszła do kredensu po filiżanki.

– Odwdzięczyć? Adamowi? To przegrana sprawa! Przecież on to robi, bo... – Kasia zawahała się; Marysia odwróciła się w jej stronę i spojrzała badawczo – ...bo przysięgł – skończyła cicho.

– Tak, przysięgł... – Marysia przysiadła na krześle i spojrzała za okno. – Wtedy na cmentarzu słyszałam, co mówi, ale w tamtej chwili najważniejsze dla mnie było, żeby

dotrwać. Wzruszenie i tarczyca.

– A właśnie! Nie mówiłaś nic, jak wizyta u lekarza i USG?

– Widzisz, jeszcze to! – Marysia podniosła głos i pokręciła głową. – Umówił mi USG i specjalistę. Młody profesor, ale wiesz, taki kliniczny, nie jakiś wykładowca. Już mi pani doktor od USG powiedziała, że to był najwyższy czas. Usadowiły mi się w cieśni tchawicznej dwa spore jaja... – uśmiechnęła się i pokazała palcami – ...i one mnie dusiły przy stresie, przy wysiłku. No wiesz. Ale USG to jednak naprawdę wynalazek! – Marysia pokręciła z podziwu głową.

– Tak, Adam wszystko widzi...

– ...i jest wyjątkowy! – dokończyła cicho Marysia.

– Wszystko załatwił, jak mówił, wizytę u profesora i USG – Marysia przymknęła oczy. – To on mi ciągle przypominał o niej.

– Ale jak terapia?

– Może być tak, że te leki, hormony, będę brała już dożywotnio. No, ale trudno. Po miesiącu powinnam zacząć odczuwać pierwsze efekty działania leku.

– To dobrze, że byłaś...

– A widzisz, miałam naładować komórkę! Gdzie, cholera, ten kabel? – Marysia rozejrzała się wokół. – No nie, w kuchni na pewno nie ma. Idźmy z kawą do pokoju.

Podniosła tacę i ruszyła przodem. Jedna usiadła na sofie, druga na fotelu.

– Aa, wiszą już przodkowie!

– Myślałam, że to jest głupi pomysł wieszając je w domu, ale Miłosz tak się zakręcił, że machnęłam ręką.

Kasia z uśmiechem popatrzyła na przodków Ryszarda, którzy nie byli jego przodkami, ale dobrze kojarzą się Marysi.

– A jak w szkole?

– W ubiegłym tygodniu udało mi się zrobić korekty w planie, bo po feriach wprowadzamy nowy plan. Jak ja lubię te kółka i krzyżyki – westchnęła Marysia.

– Nikt nie lubi krojenia chleba tępyim nożem, ale czasami człowiek tego się podejmuje.

– A wiesz, że dyrektorka powiedziała mi jakoś podobnie... – Marysia schyliła się za okruczem ciasteczka. – A, tutaj jest ten kabel! No tak. Wczoraj położyłam na poręczy, pewnie spadł i ktoś go trącił głębiej. W życiu bym nie znalazła! – Ruszyła truchtem do kuchni po komórkę.

– A kiedy masz jakąś kontrolę? – spytała Kasia, gdy ta wróciła z komórką.

– Mam zrobić po miesiącu badania poziomu hormonów i skontaktować się z lekarzem telefonicznie. Miałam szczęście, bo inny by mi kazał przyjechać. – Marysia pokiwała głową.

Plotkowały sobie o różnych sprawach codziennych. Kasia zauważyła, że Marysia jest bardziej rozluźniona niż jeszcze dwa tygodnie temu w sylwestra. To prawda, że czas leczy rany – pomyślała.

– Ależ ja jestem gęś... – Marysia pokręciła z dezaprobatą głową. – Włożyłam kabel, ale komórki nie włączyłam! – Wpisała kod i odłożyła na stolik.

Komórka po chwili odezwała się sygnałem. Marysia spojrzała na wyświetlacz.

– Nie odebrałam telefonu od Miłosza. Tym razem ja nawaliłam, a tak im gadałam przed wyjściem.

Wybrała numer telefonu.

– Przepraszam, synku... Bożenka? Co się stało? Co? Boże!!... Gdzie?!... Pierwsza przystań?... Kto dojeżdża...? Już jadę!

Marysia zerwała się z sofy i ruszyła biegiem do przedpokoju.

– Lód się załamał i Joasia wpadła do wody. Miłosz próbuje ją wyciągnąć, ale lód pęka, bo jeszcze jest za cienki. Adam już tam dojeżdża! – pokrzykiwała. – Telefon odebrała Bożenka, koleżanka Joasi, bo Miłosz leży na lodzie i próbuje jej podać gałąź. Kasiu! Zawieziesz mnie nad Mausz! Boże!

– Marysiu, spokojnie... Adam już tam jest... da radę!

Wskoczyły w kozaczki, porwały kurtki i po chwili pędziły Kasinym suzuki w kierunku Mausza. Marysia zacisnęła palce do krwi.

– Boże! Boże! To moja wina! – zawodziła.

Kasia poznawała zachowanie swojego suzuki w terenie. Włączyła napęd na cztery koła. Samochód słuchał jej poleceń. Pędziła drogą przez pola jak szalona. Za niecałe cztery minuty były na miejscu. Już z daleka ujrzała samochód Adama.

– Ma ją! – krzyknęła.

Zza drewnianego pawilonu stojącego blisko brzegu jeziora wyłonił się Adam z Joasią na rękach; zmierzał w kierunku samochodu.

– Widzę, Boże, moje dziecko! – zawołała Marysia.

– Mamo! Mamusi! – krzyknęła rozpaczliwie Joasia na widok matki; Miłosz stał obok blady i trząsł się; z przemoczonej kurtki kapała woda. Dwie koleżanki spoglądały przerażone na Joasię.

– Kasiu, wieź ją do szpitala w Bytowie! Masz napęd na cztery koła, ja nawet tu się ślizgałem – rzucił Adam. Marysia otwierała już tylne drzwi. – Masz jakiś koc? Nie? To już ci daję! Mam trzy. Okryjcie ją! Miłosz, zrzuć tę mokrą kurtkę i spodnie i też się owiń kocem; dzwońcie po drodze do szpitala, że jedziecie z wypadku, topienia się. Wyjaśnijcie wszystko. Ja też zadzwonię zaraz.

– Ale ty jesteś cały mokry! – wrzasnęła Kasia.

– Pędźcie, ja się ogrzeję w swoim samochodzie.

Adam spoglądał, jak Kasia energicznie zawraca i rusza w przeciwnym kierunku niż do Parchowa. Chyba tędy bliżej do szosy i nie trzeba się wspinać – pomyślał. Też tędy wróć.

– Któraś z was się jeszcze zamoczyła? – zwrócił się złym głosem do przestraszonych dziewcząt.

– Nie, żadna. Joasia weszła na lód sama.

– To wracajcie teraz pędem do domu! – wrzasnął wściekły. Obie ruszyły biegiem w kierunku Parchowa.

Wsiadł do wozu. Ogrzewanie, szybko! Co jest, do cholery? Samochód krztusił się, ale w końcu zapalił. Ujechał kilkadziesiąt metrów i silnik zaczął prycać, aż wreszcie zgasł i samochód zatrzymał się. A to co znowu? Paliwo?! Szlag mnie trafi! Miałem zatankować. Zapomniałem! Czemu się, komórko, wyłączyłaś? Szlag, szlag, szlag!! Bateria siadła, a ja kabelki mam w torbie w „Iskierce”. O cholera, ale zimno.

Wysiadł i rozejrzał się wokół. Domków dużo, ale nikogo tu nie ma. Chyba dopiero przy szosie jest jakiś gospodarz. Idę tam. Boże, ależ zimno!

– Adam! Jak ty wyglądasz! Toż z ciebie jeden sopel!  
– Henryk patrzył przerażony na Adama. – Gorący prysznic i do łóżka! Zaraz robię grog! Wszystko już wiemy. Uratowałeś Joasię. Zdążyłeś.

Resztką sił Adam wszedł pod prysznic, a potem ciepło się ubrał. Gdy znalazł się w łóżku, Henryk poił go grogiem. Szybko zasnął, przykryty kołdrą i kocami. W pewnej chwili coś go obudziło. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się wokół.

– Adam, masz prawie czterdzieści jeden stopni. Jedzie po ciebie karetka. – Henryk potrząsał nim delikatnie.

– Która godzina?

– Po dwudziestej trzeciej! Spałeś kilka godzin, ale byłeś coraz bardziej gorący. Zmierzyliśmy ci temperaturę i radziliśmy się lekarza dyżurnego. Robiliśmy ci zimne okłady na czoło. Powiedział, że przyjadą po ciebie zaraz, bo idzie śnieżycy i potem może być gorzej. Oni wiedzą, że to ty uratowałeś Joasię.

– A co z nią?

– Obserwują ją, ale raczej nic jej nie będzie. Kasia dzwoniła, że jutro albo pojutrze wróci do domu. Zanim tutaj dotarłeś, ponad godzinę byłeś na mrozie. Przemoczony. Kiedy wróciłeś, było już minus jedenaście stopni. Teraz jest minus piętnaście.

– Nic nie pamiętam, kręci mi się w głowie.

– Tato! Karetka przyjechała! – Sebastian wpadł do pokoju Adama.

Po chwili wszedł lekarz z sanitariuszem.

– A więc tak wygląda nasz bohater – rzucił lekarz na powitanie.

Szybko, ale sprawnie osłuchał Adama.

– Przed chwilą rozmawialiśmy... – wyjaśnił Henryk, widząc zaniepokojony wzrok lekarza.

– Nie kontaktuje – stwierdził lekarz. – Bierzemy go. Po nosze! Biegiem!

– Straszna gorączka! Ponad czterdzieści jeden stopni. Będziemy go w karetce schładzać, ale to, niestety, wróży ciężkie zapalenie oskrzeli. Na szczęście jest silny – rzucił lekarz. – Pomożecie, panowie, sanitariuszowi przenieść pacjenta do karetki, dobrze?

\*

Adam uchylił powieki. Coś go oślepiało. Gdzie ja jestem? Ludzie w białych i zielonkawych uniformach? Poczul swędzenie w krtani i tchawicy. Próbował odkaslnąć, ale ból mu na to nie pozwalał. Wygiął się z wysiłku.

– Proszę więcej się nie siłować – usłyszał miły głos. – Zaraz podam coś, co przyniesie ulgę. Będzie gorzkawe, ale to lekarstwo. Jak to w szpitalu.

Po chwili znowu zasnął. Kiedy obudził się ponownie, znowu coś go oślepiało. Tym razem było to światło dzienne, z okna.

– Proszę teraz podać pacjentowi antybiotyk – usłyszał męski głos.

Przez uchylone powieki zauważył, że jest podłączony do kroplówki, a z ciała wychodzą jakieś kabełki.

– Dobrze, że pan jest silny... – Ktoś położył mu dłoń na ramieniu, spoglądając w uchylone oczy. – Czy ma pan siłę, żeby porozmawiać z pacjentką, którą pan uratował?

– Raczej nie dam rady. Chcę spać – wyszeptał przez spierzchnięte wargi.

– Ona dzisiaj nie wyjdzie ze szpitala, bo wciąż ją obserwujemy; ale ma tylko lekką grypę

i co najwyżej może mieć jeszcze katar.

Adam dostrzegł uśmiechniętą twarz lekarza.

Co kilka godzin przebudzał się i dalej zasypiał. Czasami podeszła pielęgniarka, czasami lekarz. Po światłach lamp zorientował się, że nadszedł wieczór, a potem noc, bo wokół było ciszej. Gdy kolejny raz się obudził, za oknami było szaro. Otworzył szerzej oczy.

– O, widzę, że pan przytomniej patrzy – usłyszał miły głos pielęgniarki, ale po tembrze głosu zorientował się, że to jest inna niż poprzednio.

– Dawno tyle nie spałem – powiedział cicho.

– Leżenie w szpitalu też ma swoje plusy – pielęgniarka uśmiechnęła się. – Czy pan czuje, że dałby radę coś zjeść, czy wciąż jeszcze nie?

– Sam nie wiem, ale może...

– Kawalek chleba i lekka herbata, nic takiego. Przyjmuje pan sporo antybiotyków i tak się zapowiada przez kilka dni. Ciut pana uniosę, dobrze?

Po chwili mógł przesunąć wzrok w lewo, a potem w prawo. Wydało mu się, że ktoś do niego macha. Spojrzał uważniej w tamtym kierunku. Znajoma postać. Długie blond włosy, ładna buzia. Tak. To Joasia. Uśmiechnął się lekko i uniósł ramię. Zauważył, że Joasia zmierza w jego kierunku.

– Panie Adamie, dziękuję! Gdyby nie pan...

– Ty też byś mnie wyratowała, prawda? – próbował się uśmiechnąć

– Pan sobie żartuje, a ja myślałam, że jest pan na mnie wściekły. Przepraszam za kłopot i dziękuję za... wyratowanie. – Dojrzał, że jej oczy zaszkliły się.

– Mnie, oprócz przeziębienia pęcherza, w zasadzie nic nie jest, jutro rano wychodzę, ale pan jest poważnie przeziębiony. Ja kąpałam się tylko kilka minut, a słyszałam, że pan marzył ponad godzinę. – Teraz jej strapiona buzia starała się o uśmiech.

– Należę do gdyńskich morsów i uwielbiam zimowe kąpiele. Zawsze siedzę najdłużej ze wszystkich w wodzie – Adam mrugnął do niej. – Jak będziesz się nudziła, to przyjdź za dwie, trzy godziny, bo umówiłem się z czarnulą na jedzonko – mrugnął.

Joasia przypadła do niego, pocałowała go w policzek i pogładziła ręką po drugim.

– Jest pan szorstki, ale... taki kochany! – Znowu jej oczy się zaszkliły; odwróciła się i odeszła wolno.

– Czekałam, aż fanka odejdzie – powiedziała ciepłym głosem czarnowłosa pielęgniarka.

– Co godzinę przychodzi na pana popatrzeć. Dała panu całusa, więc to chyba coś poważnego... – Poprawiła Adamowi poduszkę. – Wczoraj była tutaj z mamą. Ona też wpatrywała się w pana jak w obraz.

– Ale wczoraj pani przecież nie było...

– To było akurat wtedy, gdy obejmowałam dyżur. A potem dałam panu kilka świństw, co leczą... i pan długo spał – mrugnęła. – Proszę, kanapka i herbata. Trzeba się zmusić. Będę patrzyła z daleka.

Pod brodę przysunęła mu stolik na wysuwanej łapie. Gryzł drobnymi kęsami niewielką kanapkę z masłem i starał się pić małe łyki bladej herbaty. Za każdym razem głowa opadała mu na poduszkę. Kiedy wreszcie skończył, pielęgniarka pojawiła się prawie natychmiast.

– Myślę, że znowu pan trochę pośpi po kroplówce z antybiotykiem – wskazała na stojak.

Po kilku minutach sen ponownie przyszedł.

\*

– Ależ Joasia płakała... – Kasia spojrzała na Marysię.

– Wzruszyła się, kiedy odwiedziła Adama. Ona jest taka wrażliwa. Ponoć Adam spytał ją, czy też by go wyratowała, i jeszcze żartował, że lubi się długo kąpać, szczególnie zimą...

– Marysia przewróciła oczami.

– Skąd on bierze na to siły?

– Jest silny, to fakt. Eliza jeszcze w czerwcu zeszłego roku powiedziała, że z takim partnerem spokojnie by opłynęła Kółko Raduńskie. Poza tym nie kłamał, że należy do gdyńskich morsów, mówił mi o tym kiedyś. – Kaśka mrugnęła.

– Ma poczucie humoru ta moja córca... Adam zresztą też! Jutro, jak przyjedziemy po Joasię, to weźmiemy Wojtka albo Henryka, żeby go ogolił. – Po chwili milczenia odezwała się znowu:

– Dobrze, że Adam doszedł wtedy do Frydrychowa. Ale on tam poszedł inną drogą albo... – Marysia spoglądała szeroko otwartymi oczami na Kasię.

– Też o tym myślałam. Jak wyjechałyśmy na szosę, to zaczęło sypać i padało chyba ponad godzinę. W śniegu mógł się zmylić... Gospodarz ponoć twierdził, że wszedł do niego równo z biciem zegara o trzynastej, a jak myśmy ruszały, to było kilka minut przed południem. Czyli szedł ponad godzinę, a tam jest marszu na góra piętnaście minut!

Popatrzyły na siebie.

– Joasia mówiła, że najpierw te zakupy, po które jeździ z nimi co tydzień, teraz to... czuje płynącą od niego ojcowską dobroć... – Marysia zamilkła, ale pozostał jej lekki uśmiech na twarzy. – Pocałowała go w policzek.

– Nagle zwróciła głowę w stronę Kasi. – Powiedziała, że szorstki, ale... miły – mrugnęła.

– Tak. Adam jest wyjątkowo szarmancki i ...wspaniale tańczy.

– Też tańczyłam z nim na ślubie. Tak mi było dobrze, że nie chciałam zmieniać partnera – przyznała Marysia. – Dopiero jak mnie Klaus przywołał... – zamrugnęła oczami i wzruszyła ramionami.

– Oj ty!

– Kacha! Mówię szczerze!

– Ot, życie... – Kasia przymrużyła oczy.

– Chyba jutro da się już z nim porozmawiać, co? Chcę mu wreszcie podziękować... – powiedziała cicho Marysia i sięgnęła po chusteczkę. – Gdyby nie on...

– Tak. Pojawił się tam jak anioł.

– Tak właśnie o nim cały czas myślę; jest zawsze i wszędzie, kiedy potrzebuję pomocy... – Marysia przyłożyła ręce do piersi. – Nawet Miłosz nie miał wątpliwości, do kogo pierwszego kazać Bożence zadzwonić, kiedy ja nie odpowiadałam. Ciekawa jestem, czy teraz zmieni swój stosunek do Adama – zamilkła.

\*

– Ogolony, wypchniony... – Henryk zrobił krok do tyłu i przyglądał się Adamowi, przechylając głowę; podkręcił z zadowoleniem wąsa. – Możesz już przyjmować damy! Pan pozwoli, będę w sąsiedniej izbie! – Skłonił się zamasyście; pacjent na łóżku przy drzwiach

zachichotał.

Do sali weszła Marysia z dziećmi. Adam starał się unieść nieco wyżej.

– Poczekaj, nie siłuj się... – Marysia podeszła szybszym krokiem do łóżka. – Miłosz, pomóż mi.

– Tylko nie za wysoko. – Pielęgniarka stanęła w progu. – O tak! Starczy.

– Dzień dobry – padło z trzech ust.

– Przepraszam, że leżę... – Adam uśmiechnął się.

– Już możesz jeść... Wczoraj rozmawiałam z siostrą. Przywiozłam więc od Felci trochę rosółku. Ja nie zdążyłam nic zrobić. – Marysia spuściła oczy.

– Mnie tu dobrze karmią – próbował się uśmiechnąć.

Marysia wyciągnęła z ciepłej skarpety niewielki słoik, łyżkę i bezceremonialnie przystąpiła do karmienia Adama. Joasia uśmiechała się, Miłosz zacisnął usta i od czasu do czasu nerwowo potrząsał głową. Słoik szybko opróżnił się.

– Jak mi jutro odczepią te wężyki, to ja wam zrobię tutaj przyjęcie – Adam mrugnął do Joasi.

– Ty to jesteś... – Marysi zaśmiały się oczy. – A masz może na coś specjalnego ochotę?

– Tak. Wyjść stąd jak najszybciej.

– To przeze mnie, ale niech pan jeszcze trochę wytrzyma. Lekarz mi obiecał, że nie wypuszczą pana tak długo, aż będzie pan jak nowy! – Oczy Joasi rozbłysły. – Mogę na jutro coś upiec – Dziewczynka przysiadła na łóżku.

– Wstawaj, Joaska! – syknął Miłosz.

– Może siedzieć, bo jesteśmy pacjentami z jednego szpitala – Adam mrugnął w stronę Miłosza; ten uciekł wzrokiem.

– Po telefonie do pana Bożenka zadzwoniła jeszcze do straży pożarnej, ale jak pan przyjechał, to ona oddzwoniła do nich, że już nie muszą. Właśnie ruszali... – Miłosz zmienił temat. – Potem jeszcze trzy razy dzwonili do mnie, kiedy jechaliśmy tutaj. Upredzili też szpital.

– A ja miałem, niestety, telefon rozładowany i nie zadzwoniłem do szpitala...

– Już powiedziałam dzieciom, że telefonów trzeba pilnować – wtrąciła Marysia.

– Mamuś, ale... – Miłosz zaczął i machnął ręką.

– Panie Adamie. Dziękuję za uratowanie Joasi. – Wyciągnął dłoń do Adama. – Chcę jednak powiedzieć, że i tak będę mamę przed panem bronił – potwierdził skinieniem głowy.

– Miłosz! Jak możesz! – Marysię z wrażenia przytknęło; spojrzeli na siebie z Adamem.

– Widzisz, Miłosz... Nie mam ci za złe tych słów, choć dobrze byłoby, żebyś sprawiedliwiej oceniał ludzi – Adam próbował się uśmiechnąć; Miłosz znowu uciekł wzrokiem.

– Chyba już pójdziemy, Adamie, nie będziemy dłużej cię męczyć – Marysia uśmiechnęła się. – Najwcześniej pojutrze cię wypiszą, ale ja codziennie będę. Jeszcze za chwilę wejdzie na moment Kasia. – Marysia położyła rękę na jego dłoni.

– Trzymaj się, Marysiu. – Adam przycisnął jej rękę drugą dłonią.

– Do widzenia, panie Adamie. – Joasia pocałowała go w policzek i pogładziła po drugim policzku.

– Adamie, cześć! – zawołała od progu Kasia. – Cieszę się, że najgorsze masz już za sobą. Drżeliśmy o ciebie, a chyba najbardziej Marysia – dodała ciszej i przysiadła na krzeselku.

– Za dużo na nią spada. Ledwie zaczęła wychodzić na prostą po pogrzebie, a teraz to.

Opiekuj się nią, póki nie wrócę – poprosił, podnosząc na Kasię oczy.

– Widzę, że zmęczyły cię wizyty, więc ja też już znikam. Trzymaj się, do jutra! – Poklepała go po dłoni.

– Będę spał – Adam uśmiechnął się blado, odprowadzając Marysię wzrokiem do drzwi.

– Do jutra! – od progu zawołał szeptem Henryk, który czekał już w gotowości na wyjście Kasi.

\*

Kasia usiadła ciężko na krześle. Ręce opadły jej wzdłuż ciała. Spoglądała na filiżankę z kawą.

– Czy ktoś może mnie nią napić?

– Co ty mówisz? – Felcia zmarszczyła brwi. – Aha! Chyba dogadujesz mi, że nie ma nic na stole. Już podaję drożdżówkę. – Podeszła do kredensu po półmisek z ciastem. – Zaraz będziesz silniejsza – uśmiechnęła się.

– Nie, to nie to! – Kaśka wyprostowała się na krześle i pomieszała w filiżance. – Za dużo ostatnio gonitwy. Czy wiesz, Felciu, jak Adam frygał twój rosółek?

– Smakował mu?

– Marysia opowiedziała mi, że go karmiła... Mówiła, że cały czas patrzył jej w oczy, jakby nie chciał, żeby przerwała. Od niej to on by wszystko zjadł... – Spojrzała przeciągle za okno.

– Co ty powiesz...? – Felcia popatrzyła czujnie na Kaśkę.

– No tak... taki był głodny!

– Aha!

– Dobrze, że my teraz wszyscy w większości jesteśmy zmotoryzowani, bo jak coś się stanie, to można zawieźć albo w mig karetka przyjedzie.

– Masz rację... Tak jak było ostatnio. Adam szybko popędził do jeziora, ty też tam zaraz byłaś i szybko do szpitala, a potem przyjechała po niego karetka.

– Właśnie dlatego to powiedziałam.

– A ja rzekłam coś innego? – Felcia wzruszyła ramionami.

– Nie, tylko miałam wrażenie, że powtarzasz po mnie.

– E tam!

– Kiedyś to mieliście tutaj na pewno gorzej. Jak nie daj Bóg wydarzył się jakiś wypadek, to był kłopot, żeby dojechać do szpitala.

– Na szczęście tu zawsze było spokojnie i nic takiego się nie działo. – Felcia machnęła ręką.

– Ale przecież zawsze się coś dzieje. Ktoś złamie rękę albo nogę... o potknięcie nietrudno.

– A wiesz, że to ciekawe. My w tym Parchowie tacy jacyś byliśmy niepechowi, ostrożni... Ktoś tam się czasem zaciął sierpem czy kosą. Bywało, ale od powojnia mieliśmy tutaj ambulatorium i nie było problemów... Do niego się leciało i już.

– Zupełnie nic? – Kaśka spojrzała na Felcię, mrużąc oczy. – A jakby się komu stało coś poważniejszego, że trzeba byłoby jakąś ranę szyć, to co?

– Kasiu! Mówiłam! U nas są przecież od dawna lekarze. Szczęśliwie do połowy lat sześćdziesiątych nikomu we wsi nic się nie stało. Wtedy synowi gospodarza poharatało



nogę pod snopowięzanką. Potknął się i już!

– Nikomu nic się nie stało?

Felcia wzruszyła ramionami i podrapała się po głowie.

– Wtedy wszyscy spotykaliśmy się częściej, rozmawialiśmy o swoich sprawach i takich tam duperelach. Nie! Nic tutaj nikomu się nie stało, bo bym coś wiedziała, pamiętała. Nawet lekarz zawsze mówił, że fajnie się u nas pracuje, bo nie ma żadnej roboty.

– U nas na ulicy to co chwila coś się działo. A to chłopak złamał rękę, a inny nadział się brzuchem na sztachetę, że trzeba było szyć, albo koleżanka się pocięła o pękniętą szybę ...

– Kacha! To u was w tym Poznaniu jakieś same ofermi mieszkają! – Felcia roześmiała się w głos; Kaśka patrzyła na nią zdziwionym wzrokiem.

– Chyba przejadę się, Felciu, jeszcze dzisiaj do Gdyni. Muszę wypróbować autko na dłuższej trasie. – Kaśka poderwała się.

– Do Maciusia? To pozdrów go od nas i niech sobie zrobi w najbliższy weekend wolne, a nie ciągle jakieś referaty-sraty. Hi, hi, hi!

\*

O kurczę! W Parchowie nigdy nic się nie stało! Przecież by pamiętała! Ja mam wąpić w słowa Felci? No, aktorką jest niezłą, ale fałsz bym wyczuła... chyba. Przecież nie jest w znowie z Maciejem! Nie! To niemożliwe! Kaśka co chwila pocierała się palcami po czole. Dobrze chociaż, że dzisiaj jest czarna droga. Nie lubię śniegu na szosie, mimo że mam napęd na wszystkie koła. A w dupę napęd! Grabie czy widły? Oto jest pytanie! Już on popamięta te swoje grabie!

Drzwi otworzył zaskoczony.

– Kasiu... mogłaś chociaż esemesa przysłać... mogłaś zadzwonić... ja znowu lodówkę mam nie tego...

– jękał się, tłumacząc.

– Maćku! – Usiadła w fotelu, rozchylając tylko nieco płaszcz. – Mogłabym poczekać do wieczora, pewnie byś mnie zabrał do jakiejś nieznannej sobie knajpki i źle się czuł, a ja bym udawała, że wszystko jest dobrze. Ja tak nie chcę! Daję tobie i sobie ostatnią szansę. Opowiem ci pewną historię, zadam pytanie i poczekam na twoją reakcję, odpowiedź.

Maciej otworzył usta, Kasia uciszyła go wzrokiem.

– Rozmawiałam z Felcią o wypadkach w Parchowie, tych ostatnich i tych dawnych. Wyobraź sobie, że ona nie przypomina sobie żadnej, rozumiesz, żadnej historii z lat, kiedy byłeś chłopcem, młodzieńcem, żeby we wsi było jakieś złamanie, poważne rozcięcie, szycie ciała, kiedy byłaby konieczna wizyta w szpitalu. Opowiedziała, że wasz lekarz z tamtych czasów nawet się temu dziwił i nie chciał zamieniać Parchowa na inną wieś. Ambulatorium było prawie cały czas bezrobotne. Mieszkali tutaj ludzie, którzy się nie kaleczyli i nie musieli szukać pomocy dalej niż w tym ambulatorium.

Kaśka wpatrywała się piorunującym wzrokiem w Macieja. Nie wiedział, gdzie schować oczy.

– Zadaję proste pytanie. Co to jest za blizna na brzuchu, do której wystarczy mi się dotknąć, a przężysz się do skoku! – Skierowała palec w jego stronę. – Masz zawsze ochotę uciekać z łóżka. Może to jakaś duperela, ale ja nie chcę żadnych tajemnic! Mieliśmy mówić sobie prawdę o najbardziej błahych sprawach! Co to jest?

– zawołała, nie przestając wskazywać palcem na jego brzuch.

– Czy musisz tak grubiańsko?

– Aha! Ważna jest teraz forma, czy tak? Możesz jeszcze zawsze powiedzieć, że matka kłamała albo że nie pamięta.

Maciej zasłonił twarz dłońmi. Milczał.

– Czy będziemy się tak bawić, że ja zadaję pytanie, a ty przeżywasz? Myślisz, że ja tego nie przeżywam też? – Kaśka podniosła głos. – Nie spytasz mnie choćby, dlaczego tak głośno mówię? Odpowiadam wyprzedzająco. Chcę, żebyś dobrze słyszał, co mówię i o co pytam! Czekam!

Opuścił ręce i spoglądał na Kasię przerażonym wzrokiem. Ta wpiła palce w oparcia fotela i oddychała głęboko.

– Zadam ostatni już raz to pytanie. Co to jest za blizna? Tylko nie mów teraz, że to nie były grabie, czy widły, a patyk leszczynowy gdzieś nad Mauszem albo nad Słupią, i że ci koleżanka zaszyła na okrętkę szpagatem, żeby mama się nie dowiedziała.

Maciej kręcił głową na boki i milczał.

– Nie musisz mnie odprowadzać. W Parchowie powiem, że miałeś referaty-sraty, jak to ładnie nazwała Felcia. Żegnaj.

Wstała, zapinając kurtkę po drodze do drzwi.

\*

Kasia, martwiąc się sobą, niewyjaśnioną sprawą z Maciejem, z radością obserwowała Marysię, jak z dnia na dzień zmienia się w kontaktach z Adamem. W szpitalu coraz więcej się do niego uśmiechała, mówiła więcej, potrafiła się cieszyć, kiedy on ją za coś komplementował, lub choćby podziękował za przyjazd. Kasia cieszyła się z tej przemiany przyjaciółki, ale łapała się na tym, że właściwie wciąż nie ma zdania, jak powinno im się ułożyć. Czasami miała nieodparte wrażenie, że czują się na tyle swobodnie, iż zapominają o jej obecności.

– Wydaje mi się, że przestałam odczuwać wielki ciężar na tchawicy – powiedziała mu Marysia któregoś razu, promiennie się uśmiechając. – Już mnie tak nie dusi!

– To jest dopiero nowina! – zawołał. – A ja od wczorajszego wieczora nie mam już temperatury i jeśli wszystko będzie dobrze, pojutrze mogę wracać do domu.

Patrzyli na siebie szczęśliwym wzrokiem, aż Kasia nie dowierzała temu, co widzi. Musiałby to widzieć Miłosz – pomyślała i uśmiechnęła się. Marysia spojrzała na nią badawczo.

– Coś powiedziałam nie tak?

– Nie! Po prostu się cieszę, że obydwoje wychodzicie na prostą.

– Oczywiście leki bierzesz na czczo, tak? – spytał Adam, zaglądając w oczy Marysi.

– Pierwsze dni nie mogłam przywyknąć, ale teraz już dobrze. Muszę wstawać pół godziny wcześniej, żeby je wziąć przed śniadaniem. Obiecałam tobie i profesorowi, że się przyłożę – odparła ze śmiejącymi się oczami.

– Widzisz? To dopiero nieco ponad miesiąc, a już odczuwasz zmianę... – Adam pogładził ją po dłoni, którą poprawiała mu jasek pod głową.

To oni przeżyli takie ciężkie chwile i potrafią się teraz cieszyć drobiazgami, a ja mam się przejmować, że jakiś wyrośnięty harcerz nie chce się przyznać, czy ktoś mu włożył

grabie w brzuch, czy do dupska? Zasłoniła usta dłonią, krztusząc się naraz od śmiechu.

– Czy ja coś zrobiłam? – zdziwiła się Marysia.

– A może ja? – dodał Adam.

Oboje wpatrywali się w nią. Zmyśliła, że przez moment wyobraziła sobie pewną scenę u Roberta w domu. Spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Robert narzekał do żony, że podczas świąt mógł najadać się ciasta do woli, a teraz musi prosić. Żona mu odpowiedziała, że wtedy było dużo, bo niektórzy zamawiający nie odebrali i trzeba było je zjeść, bo inaczej by się zepsuło. Mówił, że gdy mu to powiedziała, to ze zdziwienia nie mógł wykrztusić słowa.

Patrzyli na nią dziwnie. Niedowierzanie Marysi było aż nadto widoczne na jej twarzy.

– Kasiu, a możesz jaśniej? – Adam nie wytrzymał.

– Bo jej rodzice mają w Kartuzach cukiernię – wyjaśniła. – Jemu się wydawało, że żona nagle zaczęła dbać o jego linię, albo mu żałować; obie te sytuacje jakoś by zaakceptował, ale tu się okazało, że mógł zjeść więcej tylko dlatego, żeby się ciasto nie zepsuło.

Adam uśmiechnął się, wykrzywiając usta, i machnął dłonią.

## Warunkowa studentka



- Viva! Victoria! – wrzasnęła Eliza, trzymając indeks.
- Zostaję na studiach!
- Z czego ty się, głupia, cieszysz? Że masz warunek? – Wika zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.
- Warunek... to po prostu poślizg kontrolowany! Próbowałam ci wyjaśnić w grudniu, że poświęcam laborki z chemii dla dobra swojej studenckiej przyszłości, ale ty mnie nie słuchałaś... – Eliza przedrzeźniała Wikę, kręcąc głową jak ona.
- Chcesz mi powiedzieć... – Wika zawiesiła głos i spojrzała z niedowierzaniem na przyjaciółkę.
- Jest awans!... – przerwała jej, śmiejąc się Eliza – ...choć będzie trochę kosztował. Ktoś mi tę ekstrawagancję zafunduje, ale obiecuję sponsorowi, że to pierwszy i ostatni raz!
- Ale ty jesteś modelka!
- A gdyby tobie się to przytrafiło, to Leti i Olek nie zafundowaliby ci?
- Zafundowali!
- Ale drugi semestr zrobimy sobie, Wiczko, przed czasem, co? – Eliza zmrużyła oczy.
- Tylko jak my jesteśmy w stanie przewidzieć, jak on się potoczy? – Wika potrząsnęła kitką.
- Jak to jak? Po prostu wcześniej opracujemy swoje własne zasady strategii i taktyki, i będziemy działać zgodnie z przyjętym planem.
- Ale... na czym oprzemy główne założenie?
- Na pracy drużynowej, jeśli dalej aktualne jest twoje zaproszenie do wspólnej nauki. Zostaniemy najlepszym duetem w historii zakładu biologii morza! Przybij! – Eliza wyciągnęła dłoń w górę, a Wika przybiła.
- Ale fajnie! – pisnęła.
- Może byś wpadła choć na weekend do „Iskierki”? Poznałabyś Alicję i Sebastiana, może Stachu zorganizuje kuling, jak on to mówi? – spytała Eliza.
- A dokąd oni jeżdżą tym... kulingiem? – Wika zachichotała.
- Szosą w kierunku Bawernicy, ale zaraz za mostkiem nad Słupią zjeżdżają w kierunku leśniczówki i dalej w las.
- Tylko że ja dopiero dzisiaj pogadam z moimi, a ty byś już pewnie po zajęciach chciała jechać.
- Przedwieczorne autobusy są zawałone, więc jutro będzie lepiej. Mogłybyśmy pojechać koło dwunastej. Jak nie bytowskim, to do Kartuz, a tam Kasiula nas przechwyci.
- Czeka na telefon! To pędzę!
- Eliza oniemiała, kiedy Wika bez ostrzeżenia zakręciła się i ruszyła pędem do szatni. Nigdy tak nie robiła. Eliza machnęła dłonią. To nic, ja mam za to dużo czasu, więc mogę iść powoli.
- Eliza! – dosłyszała ciche wołanie z półpiętra; odwróciła się – Aleks!

- Gdzieś ty bywał? Zmieniłeś się jakoś... – Schodząc w dół, przyglądała mu się uważnie. – Zapuściłeś grzywę?
- Nie tęskniłaś za mną? – Ogarnął ją powłóczystym spojrzeniem.
- Nie miałam czasu! – zaśmiała się.
- Jesteś w dobrym humorze, więc semestr, jak rozumiem, poszedł ci okej.
- Właściwie okej, ale z jednym... warunkiem.
- Z zawstydzeniem wciągnęła głowę w ramiona.
- E, tam. Sponsor już wie?
- A wiesz, że tak samo powiedziałam Wice?
- A ona jak?
- Wika, rzecz jasna, na czysto!
- Wow! – wykonał gest podziwu i czupryna na moment odsłoniła mu czoło. Wika zmrużyła oczy.
- Pokaż, pokaż, co tam masz? – Wyciągnęła dłoń w kierunku głowy.
- A tam... to ta cholerna winda. Będę miał zamię, chyba dożywotnio.
- Ach, to dlatego mnie omijałeś... – Pokręciła z dezaprobatą głową.
- Nie! Czasu nie miałem, bo trochę przegięliśmy z Kubą w kwestii taktyki i walczyliśmy, żeby mieć do tyłu tylko dwa egzaminy, chociaż groziły nam trzy.
- Uups! To rzeczywiście błędy w taktyce. Dokąd teraz?
- Mam jeszcze dwie godziny, ale potem możemy spotkać się w „Cafe Anioł”.
- Dzisiaj obiecałam swoim gospodarzom, że zjemy uroczysty podwieczorek – uśmiechnęła się. – Po nim będę wypełniona po korek, bo wcześniej zostaną podjęta przez nich także specjalnym obiadem. Nie ma takiej siły, która zmusi mnie do wyjścia później, pod wieczór, na miasto, tym bardziej że rano wyjeżdżam na wieś.
- Jak ty możesz?
- Trzeba było zaawizować się, to może... Ale nic się nie martw, po feriach wracam znowu i wtedy się spotkamy.
- Zaklepane?
- Ja na pewno nie zadzwonię, znasz mnie – zmrużyła oczy.
- Tak tylko mówisz, ale... no dobrze, to do po feriach. Pa!
- Pa!

\*

Eliza i Wika biegły naprzeciw siebie z wypakowanymi plecakami. Eliza w czerwonej puchatej kurtce, a Wika w podobnej, żółtej.

- Do kiedy możesz być?
  - We wtorek mam wrócić!
  - To super! Dzwoniłam do mamy i urwie się dzisiaj z pracy, więc możemy jechać tym do Kartuz, będzie taniej.
  - Aleś ty pyra!
  - Pięć czy dziesięć złotych to też pieniądz.
- Za pół godziny autobus przejechał pod estakadą obwodnicy Trójmiasta przecinając Karwiny.

– To teraz już jesteśmy na prawdziwych Kaszubach! – ucieszyła się Eliza.

- Ale Gdynia to też Kaszuby – poprawiła ją Wika.
- Masz rację. Słuchaj! Wczoraj wpadłam na uczelni na Aleksa!
- Kiedy? Nie mówiłaś nic.
- Zaraz jak popędziłaś do szatni, on nie wiadomo skąd pojawił się na półpiętrze.
- I co? Gdzie się ukrywał tyle czasu?
- O to samo go spytałam. To zderzenie z windą musiało być niezłe. – Eliza zmarszczyła się. – Została mu duża blizna i maskuje ją plerezą.
- Ale aż tak... i dlatego włosy zapuścił? – Wika spojrzała z niedowierzaniem.
- Mhm.
- Obie zamilkły i spoglądały po sobie zza przymrużonych powiek.
- Opowiadałaś, że Igor też ma jakąś bliznę, czy tak? – Wika pierwsza nie wytrzymała.
- Wiesz, że także o tym pomyślałam?
- Tak czułam.
- Na policzku, taka na cztery centymetry, a do tego miał przecież jeszcze stłuczoną nogę. – Eliza spojrzała na Wikę.
- Obaj w jednym czasie kontuzjowani... Ciekawe. A może to Igor puścił te drzwi od windy na Aleksa?
- rzuciła Wika; wpatrywały się w siebie intensywnie.
- Czy może myślisz...?
- A ty wyklucasz? – Wika rozłożyła dłonie.
- Hmm. Ciekawe, ciekawe... Tym bardziej, że w esemesie napisał o kontuzji podczas gry w siatkówkę, a kiedy przyjechał do Parchowa, opowiadał o skoku przez kozła.
- Kozła?
- Na hali sportowej.
- Aaa.
- I po tym kozle przejechał się bużką... – Eliza pokręciła głową. – Opowiadałam ci kiedyś o człowieku w kapturze na Kamiennej Górze, pamiętasz?
- Dalej cię prześladowuje?
- Najpierw budził we mnie strach, a potem czasami sama się za nim rozglądałam... – Eliza mrugnęła.
- No co ty?
- Kiedy wracałam po ciemku, na ogół pojawiał się, ale w drugiej połowie grudnia i teraz przed końcem semestru już go nie widziałam.
- Może ktoś zawiadomił policję?
- Wcześniej często rozmawiałam o tym z panią Franciszką, więc gdyby ktoś coś doniósł na policję, to ona by o tym wiedziała od sąsiadów. Oni tam się znają od kilkudziesięciu lat!
- No, to jest ciekawe!

\*

- Wszyscy urodzeni w Pyrlandii jeżdżą suzuki – zawołała Wika, witając się z mamą Elizy.
- A kto jeszcze jest z Pyrlandii? – Kasia uśmiechnęła się.
- No jak to kto? Dziadzia ma alto, a urodził się w Wieluniu, a tata jeździ swiftem!
- To Wieluń jest w Poznańskim?
- A niech pani spróbuje go przekonać, że nie.

– Dobrze.

Już na wstępie w samochodzie zrobiło się wesoło. Potem, do samego Parchowa, rozmawiały o wszystkim i o niczym, byle było wesoło. Co chwila następował wybuch śmiechu.

– Eliza, a wiesz, dokąd chciałabym zrobić pierwszy spacer? – spytała Wika poważnym tonem, gdy minęli Parchowski Młyn. Ta zaprzeczyła. – Do kwaciarni, a potem na grób Klausea... Jak Marysia się czuje? – Spojrzała na mamę Elizy.

– Już lepiej, ale było z nią ciężko. – Kasia skinęła kilkakrotnie głową. – Dzieci przeżyły to lepiej.

– Wiesz co, Wika? Jeśli to ci nie będzie przeszkadzało, to może razem pójdźmy na cmentarz. Trochę oszczędzicie sobie potem czasu, a ja przy okazji się z wami przejdę. – Kasia zerknęła w lusterko, zaparkowawszy pod dużym sklepem.

– Super!

\*

– No, to teraz macie dwa tygodnie spokoju! – Felcia klasnęła w dłonie, gdy Kaśka, Eliza i Wika weszły do kuchni. – Akurat trafiłyście na obiad!

– Opowiadajcie ze szczegółami – Anna przymrużyła oczy.

– Oj, babciu, na pewno oczekujesz jakichś sensacji, a tu zwykła proza – wyszczerzyła się Eliza.

– Nie, po prostu powiedz mi, dlaczego ta matma, jak ją nazywasz, o mało co nie wypchnęła cię z uczelni?

– Ale nie wypchnęła! – Eliza zanurzyła łyżkę w talerzu i mrugnęła do Wiki. – Tydzień temu zaliczyłam zaległe kolokwium z matematyki. O!

– A w drugim semestrze mamy zamiar być prymuskami! – dorzuciła Wika.

– Coś takiego? Teraz ledwo, ledwo, a niedługo będziecie prymuskami?

– Ja nie ledwo, ledwo, tylko w okolicach środka peletonu, ale będzie, jak postanowiłyśmy! – dopowiedziała Wika.

– Przecież ja też zostawiłam za sobą całkiem sporą gromadę – Eliza prychnęła.

– One sobie tak marzą, a będzie jak będzie – Kaśka mrugnęła do mamy; Eliza i Wika jak na komendę potrząsnęły głowami.

– Dobra! To była moja wina i skończmy tę dyskusję razem z zupą – oświadczyła z pełną buzią Eliza.

– Musimy tak długo? – wsparła ją Wika.

– Ale wyście się rozwydrzyły! – Anna się roześmiała. – Macie rację. Co było, a nie jest... i tak dalej.

– Powiem ostatnie zdanie na ten temat... – Eliza zmrużyła oczy. – W strategii nie popełniłam żadnego błędu, choć w taktyce zdarzyły się. W drugim semestrze te błędy zostaną wyeliminowane, bo skupimy się głównie na jeździe drużynowej. Będziemy załogą supertandemu!

Dłonie Elizy i Wiki powędrowały jak na komendę w górę i dziewczyny przybiły sobie piątkę. Dziedzicowie przyglądali się tej rozmowie jak kibice na meczu tenisowym.

– Kto by was nie znał, gotów pomyśleć, że studiujecie kolarstwo... – Dołeczki Diany włączyły się kilkakrotnie.

– Za moich czasów nie mieliśmy dostępu do książek o strategii i taktyce studiowania, nie to co teraz

– uśmiechnął się Henryk Dziedzic. – Podoba mi się natomiast, że o tym wszystkim rozmawiacie na luzie. Przeszkody są po to, żeby je pokonywać. – Odłożył łyżkę i podkręcił wąsa. – Tak samo powiedzieliśmy sobie niedawno z Adamem i Stachem, kiedy poszliśmy przez ośnieżone pole w kierunku lasu. Mogliśmy ominąć rów wypełniony białym puchem, ale któryś powiedział coś o pokonywaniu przeszkód i postanowiliśmy go przeskoczyć. Jeden po drugim wylądowaliśmy w samym jego środku, po pas w śniegu. Ale było wesoło! Po chwili byliśmy jednak na drugiej stronie, bo pomogliśmy sobie wzajemnie stamtąd wyjść. I było krócej! – zaśmiał się głośno. – Co prawda później musieliśmy się suszyć, ale dzięki temu dostaliśmy po kielichu nalewki – mrugnął do Felicji.

– Chyba wypiliście nie po jednym, a po dwa albo trzy! – sprostowała pani Adela.

– Bo Felcia przypominała sobie po pierwszym kieliszku, że ma wiśniówkę specjalną, z cytryną, przeciw przeziębieniom, i musieliśmy rozpocząć kurację od nowa! A dobra kuracja to co najmniej dwa kieliszki.

– Nawet ja się wtedy załapałem – klasnął w dłonie Jan. – Mnie też coś drapało w gardle. Zresztą dzisiaj też! – spojrzał z ukosa na Felcię.

– No, to przynieś karafkę ze szpitala, przygotowałam ją i tylko czekałam, który sobie pierwszy przypomni – Felcia zaśmiała się. – Będzie dla zdrowia i za sukcesy naukowe.

– Wracając do tych przeszkód, panie Henryku, ze mną było podobnie, tylko ja poszłam dookoła, ale i tak pośliznęłam się na zmrożonych liściach. Dupsko stłukłam, ale jakoś dobiegłam – zachichotała Eliza. – A czego tam szukaliście pod lasem?

– Koniecznie chciałem się dowiedzieć, jakie są na jego skraju drzewa, czy to wszystko brzozy, jak się stąd wydaje, czy może są buki albo też dęby. Do tego chcę dopasować nasadzenia różnych iglaków tam, koło lasu, a potem wokół całego siedliska.

– To trzeba było podchodzić aż pod sam las i narażać się na marsz po głębokim śniegu? – Kaśka też się zdziwiła.

– Tata lubi wyzwania i niepotrzebne marsze. – Dianie włączyły się dołączki. – Co chwila chodzi do wsi, żeby dokupić blok i miękkie ołówki.

– Kupuję, bo są, a po drugie spacer to zdrowie i wietrzę umysł. Jak wrócę ze spaceru, to jaśniej widzę. A gdybym kupił na raz wiele bloków, wiele też bym stracił... – sapnął i podkręcił wąsa.

– U nas też tak było. – Pani Adela spojrzała na Kasię. – Jak wychodził po śniadaniu, to wracał w obiad, czy trzeba było, czy nie – pani Adela westchnęła. – A czasami potrzebowałam go.

– No... ale innymi czasami byłem pod ręką – zachichotał Henryk.

– Ależ tu teraz, Felciu, wesoło! – Wika spojrzała na gospodynię, a potem na panią Annę.

– Lubię tak! Rok temu siedziałam tu jak palec, kiedy szedł zymk<sup>[3]</sup>, a potem zbliżały się Jastrzę<sup>[4]</sup> – Felcia podparła brodę, uśmiechając się radośnie. – A nalewek mam tyle, że starczy na jeszcze raz tak dużą gromadę! No, dziewczynki, pomóżcie podawać drugie danie!

– Felcia skinęła na Elizę i Dianę i ruszyła w kierunku kuchenki.



Ferie minęły szybko. Elizie wydawało się, że mama podczas nich była trochę nie w formie. Kiedy Maciej przyjechał na weekend kończący ferie, dostrzegła, że dziwnie na siebie spoglądali.

– Muszę przed majem skończyć tę pracę naukową, nad którą siedzę, bo później jeszcze korekty, a chcę w tym roku od czerwca do późnej jesieni mieć spokojną głowę – usłyszała wówczas jego komentarz, gdy mama spytała go o rzadkie odwiedziny Parchowa.

– Prace, monografie, konferencje, zjazdy, spotkania, prezentacje, artykuły, sruły! – skwitowała Kaśka i zrobiło się wesoło.

W drugim semestrze Eliza potrafiła już lepiej planować sobie naukę. Dostrzegła, że nawet nadrabianie zaległości z chemicznych laberek sprawia jej pewną przyjemność, chociaż irytowała ją bardziej niż w pierwszym semestrze doktorka, która zrobiła się nieco bardziej żółwowa. Takie Eliza odnosiła wrażenie. Zawsze chciała, żeby do każdego sprawozdania zrobić coś dodatkowego, a przy rozmowach zaliczeniowych zadawała seriami pytania wyciągająco-zakopujące. Po rozmowie podsumowującej drugą zaległą laborkę uśmiechnęła się jednak szeroko.

– Jesteś najlepszą moją studentką od kilku lat!

– No, co też pani doktor...! – Eliza zbaraniała.

– Trochę żałuję, że tak długo do tego dochodziłaś, ale rozmowy z tobą to była czysta przyjemność – mrugnęła, wpisała czwórkę do indeksu i zamasyście się podpisała. – No, nie patrz tak! Gdybyś tak jak teraz pracowała w pierwszym semestrze, miałabyś piątkę, bo na tyle umiesz, ale sama, kochana, rozumiesz – pokręciła głowę. – Zasady.

Eliza, która już ruszała do wyjścia, usiadła raz jeszcze przy jej biurku.

– To jak pani doktor tak szczerze, to ja też. Nie jestem fanką chemii i to wszystko... – pomachała dłońmi – ...było na siłę.

– Ale teraz rozumiesz, o czym mówisz... znaczy myślisz chemicznie, tak?

– No tak, rozumiem, ale...

– Eliza! – pani doktor zawołała nieoczekiwanie konspiracyjnym szeptem i obejrzała się wokół; Eliza podążyła za jej wzrokiem. – Kiedyś miałam tak samo! I co...? A potem był doktorat, no wiesz – mrugnęła. – Teraz chemię lubię!

– Czyli że niby co, ja też chemię polubię? – Eliza nachyliła się ku pani doktor.

– Wtedy mi się sprawdziło stare powiedzenie: nie lubię, bo nie umiem. A jak się nauczyłam... na siłę, to polubiłam. I już. Idziesz dobrą drogą i tak trzymaj. Na pewno już lubisz chemię, chociaż sobie tego jeszcze nie uświadamiasz! Teraz zajmę się inną słabą chemiczką, albo chemikiem, ale z potencjałem. Takim, jaki u ciebie dostrzegłam – zaśmiała się głośno. – A tobie życzę powodzenia!

Kiedy Eliza wyszła na korytarz, chciało jej się krzyczeć, ale po chwili stwierdziła, że to nie ma sensu, bo w końcu nic jej się nie udało, tylko po prostu umie chemię, bo jest z niej dobra.

– Fajna jest ta chemia! – wyrwało jej się.

– Że co? Przeginasz!

Eliza zatrzymała się. To był głos Aleksa. Wygięła się. Za załomem holu stał właśnie on i uśmiechał się. Omiatał ją powłóczystym spojrzeniem od stóp do głów.

– Chemia...? Zaraz powiesz, że to twój ulubiony przedmiot? – Ani się spostrzegła, kiedy pocałował ją w policzek. – Aleś ty cieplutka!

- A cześć! Co tu robisz, słodziaczkę? – zmrużyła oczy.
- Ja! Słodziaczek? – rozejrzał się. – Podoba mi się to... – wystartował z powtórnym całusem, ale tym razem zdążyła się uchylić – ...brakowało mi ciebie – zatrzepotał rzęsami.
- Aleks. Ty jesteś model. Stoisz tutaj nie wiadomo po co i nagle takie teksty. Chociaż... też miłe. Jak tam winda? – Wskazała czoło. – Wymienili na nową?
- Śmiejesz się, czy u mnie byłaś? – zdziwił się. – Słuchaj, w zeszłym tygodniu właśnie rozpoczęli wymianę na rozsuwaną. Nowa pewnie utnie mi nos! – zawołał, śmiejąc się. – Ale zmieńmy temat... Widziałem, jak wchodziłaś do chemicy, i się zacząłem.
- Trudno było się nie domyślić, przecież bez powodu byś ściany nie pilnował – uśmiechnęła się.
- Poznański pitaval się znalazł – mrugnął.
- Nie obrażasz mnie?
- Tata tak czasami mówi do mamy, kiedy ona próbuje czegoś dociec, ale dodaje „gdyński”... Wyjaśnił mi, że dawno temu był czeski serial detektywistyczny o praskim pitavale, czyli detektywie, i że jej dociekliwość z nim mu się kojarzy.
- Aha! A dobry ten serial?
- Pytasz mnie, czy dobry czeski film?
- A widziałeś *Pociągi pod specjalnym nadzorem*?
- A ty oglądałaś? Mnie się nie zdarzyło obejrzeć żadnego czeskiego filmu, przynajmniej nie pamiętam.
- To straciłeś okazję zobaczenia, jak się robi stempelki na młodej pupie, na biurku zawiadowcy! – zarżała.
- Co? Gdzie?
- Dobra. Co z tą kawą?
- A pójdziesz?
- Dzisiaj jest wyjątkowa okazja, bo mam święto
- uśmiechnęła się.
- Ale dzisiaj...? – skrzywił się.
- Albo dzisiaj, albo... już nigdy!
- Może być o siedemnastej przy naszych schodach? – wyrzucił z siebie błyskawicznie.
- Może być. Wtedy jeszcze ci opowiem, jak bohaterowi filmu zwiędła lilija – zachichotała.
- Jaka znowu lilija...?
- No dobrze. Do siedemnastej. Pa!
- Nie poznaję cię. Jakaś ty się zrobiła...
- Wyszczekana czy dociekliwa?
- Uśmiechnął się i pokiwał głową.
- Wiesz, Aleks, bo ja to jestem poznański pitaval. Pa!

\*

Czekał pod schodami. Nie uchyliła się, gdy chciał ją pocałować. To mieściło się w jej planie na ten wieczór. Niedługo potem siedzieli przy ulubionym stoliku w „Cafe Anioł”.

– Pani Franciszka mi powiedziała, że zakapturzony już nie chodzi po Kamiennej Górze – zaskoczyła go, gdy kelnerka odeszła po przyniesieniu kawy i ciasteczek.

Popatrzył na nią spłoszonym wzrokiem.

– Wiesz, to dziwne... – Eliza kontynuowała, jakby nie zauważała zmiany wyrazu jego twarzy – ...ostatni raz widziałam go, kiedy odprowadzałeś mnie przed świętami, a następnego dnia dowiedzieliśmy się z Wiką, że miałeś spotkanie trzeciego stopnia... z drzwiami od windy! – Wbiła w niego nieco szyderczy wzrok; widziała, że oniemiał.

Pocierał czoło dłonią, a potem zaczął wyrównywać plerezę nad blizną.

– Bo... ja... – zmarszczył jeszcze czoło. – No dobra! Powiem ci, jak było. – Przetarł oczy i poklepał się po rozgrzanych policzkach.

Eliza siorbnęła łyk kawy. Zrobił zdziwioną minę.

– To było umyślnie, żeby cię wreszcie ośmielić do mówienia – przymrużyła oczy; Aleks skinął głową.

– Kiedy pożegnaliśmy się wtedy przy parkingu, po chwili drogę zastąpił mi jakiś facet w kapturze

i powiedział, że nie powinienem tutaj przychodzić. Zbaraniałem. Nie miałem ochoty na rozmowę, bo akurat zaczął padać śnieg. Odepchnąłem go lekko, gdyż nie chciałem wejść w śnieg, a jak pamiętasz, wtedy nie wszędzie było odśnieżone. Poślizgnąłem się i lecąc w biały puch, podświadomie złapałem go i przewróciliśmy się obaj. Zaczęliśmy się szamotać. Najpierw lekko, ale z każdą chwilą coraz mocniej, wreszcie zupełnie na poważnie. Szarpaliśmy się nie na żarty. Przypadkiem zderzyliśmy się czołami. On widocznie zdenerwował się i wyprowadził wreszcie jeden cios, a ja mu porządnie oddałem, on mnie kolanem strzelił w udo, ja chciałem mu oddać, ale uchylił się. Nogi nie dałem rady już wyhamować, a tego dnia miałem ciężkie buty; trafiłem go chyba w kość piszczelową i puścił mnie – roześmiał się.

– I to wszystko?

– Wszystko! Wstałem, otrzepałem się i poszedłem. Obejrzałem się, on też wstał. Przez ten śnieg i szamotaninę nawet nie było szansy, żeby mu się przyjrzeć. Dopiero w autobusie ktoś powiedział, że z czoła płynie mi krew, a kiedy dojechałem do domu, to miałem już niezłe limo. Dlatego przez kilka dni nie byłem wizytowy

– wykonał przepaszający gest.

– Aha! Rozumiem! Bo podsumowując, jako ten poznański pitaval... – uśmiechnęła się – ...wcześniej na Kamiennej Górze pojawiał się facet w kapturze, ale od tamtego czasu nie jest już widywany. Wiem to od pani Franciszki.

– Poważnie? Wiesz! Ja go też chyba czasami widywałem, ale zawsze z daleka. Bywają różnie zakręceny ludzie. Chyba po naszej szamotaninie zmienił swój rewir... – Chciał się uśmiechnąć, ale Eliza zmierzyła go wzrokiem; spoważniał.

– I nigdy nie widziałeś jego twarzy?

– Ja miałbym się oglądać za facetami? – Teraz on ją zmierzył. – A może chciałaś go sobie, pitavalu, narysować, na podstawie mojej opowieści? Stęskniłaś się za nim? – Aleksowi puściły nerwy; po chwili roześmiał się.

– E tam, tak tylko z ciekawości pytam. – Starła się nadać twarzy obojętny wyraz.

\*

Kiedy po krótkiej rozmowie z panią Franciszką i zjedzeniu kolacji siadła wreszcie do biurka, zauważyła, że Igor przysłał esemes, zapraszając na spotkanie. Odpisała, że jak chce,

może teraz zadzwonić. Po chwili pokój wypełniły dźwięki *Mostu na rzece Kwai*.

- Cześć, Igor!
- Witaj, Eliza. Mam ochotę wpaść do Gdyni i gdzieś cię wyciągnąć.
- Nie, tutaj nie ma sensu...
- Czy możesz mi wyjaśnić dlaczego?
- Ojej, dlaczego?! Bo szkoda twojego i mojego czasu...
- Ciągle nie potrafię tego zrozumieć... A w Parchowie zobaczymy się?
- Tak, zobaczymy się, jak ustalaliśmy...
- Czy mam to traktować jako zaproszenie?
- Tak! Zapraszam!... Udało mi się wreszcie chemię wyczyścić... – wykrzyknęła radośnie.
- O, to gratuluję!
- Dziękuję... Jutro chyba pojedę się uczyć do Wiki, bo czekałam, aż zamknę sprawę z chemią!
- To pewnie długo posiedzicie...
- Nie! Później niż o dwudziestej nie będę wracać...
- Ale jeśli się boisz iść sama z autobusu, to ja...
- Nie boję się, bo pani Franciszka powiedziała, że człowiek z kapturem już się nie pojawia na Kamiennej Górze... Jesteś tam? Słyszałeś?... Bo coś ucichłeś... Czyli rozumiem, że do Parchowa przyjedziesz, tak?
- Tak, oczywiście, przyjadę.
- To super. Pa, Igorio.
- Pa.

Kiedy Igor przyjechał do Parchowa, Eliza najpierw się ucieszyła, ale zaraz potem przypomniała sobie historię człowieka w kapturze i rozmowę z Aleksem. Za dużo było zbieżności, żeby mogła wątpić w to, czy to nie on. Nie miała żadnego pomysłu, jak go wciągnąć w rozmowę na ten temat, więc zrobiła się oschła, żeby nie powiedzieć, zimna. Sama się sobie dziwiła, że przychodzi jej to z taką łatwością. Widziała, że Igor źle się z tym czuje, że przypatrują jej się dziwnie Diana i Alicja. Miała wrażenie, że Dianie z tego powodu było nawet przykro. A ta co? – pomyślała sobie wtedy. Żebyś ty, dziewczyno, wiedziała, co on ma na sumieniu! Kiedy Alicja zaproponowała grę w scrable, rozemocjonowała się nią na tyle, że zapomniała być w stosunku do Igora oschła. Bawiła się dobrze, tym bardziej że dzięki dwóm udanym kombinacjom zdecydowanie prowadziła w rozgrywce. Na jego uśmiechy odpowiadała uśmiechem. Kiedy jednak kolejny raz się do niej uśmiechnął, uzmysłowiła sobie, że przestała trzymać formę. Znowu stała się oschła, a Igor po chwili ponury. Pod wieczór wyjechał, a niedzielę już nie wrócił. W następny weekend, gdy postanowiła znowu pojechać do Parchowa, Igor się tam w ogóle nie pojawił. Zaczęła sobie wówczas wyrzucać, że stosuje chyba zbyt radykalną metodę, ale gdy zobaczyła nieciekawą minę mamy, bo Maciej znowu nie przyjechał, przeszło jej. Ja sobie stroję żarty, chcę sobie wychować Igora, a ona ma poważniejsze problemy. Zaproponowała wtedy grę w makao, w którą kiedyś uwielbiały grać z babcią i dziadkiem. Kuchnia przez cały wieczór rozbrzmiewała śmiechem. Mama się rozchmurzyła, a o to jej chodziło.

\*

Anna zmarszczyła brwi, gdy córka weszła powiedzieć jej dobranoc.

– Kasiu... czy coś się dzieje? Masz taką niewyraźną minę.

Anna dostrzegła wówczas dziwny błysk w jej oczach, który odczytała jako irytację zadany pytaniem.

– Wiesz, mammo... – Kasia zawahała się. – Mam pewne kłopoty... z nową pracownicą.

Anna nie spuszczała wzroku z córki.

– A co, chce więcej pieniędzy, czy z umowami wycieczkowymi załatwia coś nie tak?

– Nie... – Kasia zmarszczyła czoło. – Ona... chyba przystawia się do Roberta! – wyrzuciła z siebie gwałtownie.

Anna знаła córkę doskonale. Wyczuła, że to jest jej odpowiedź *ad hoc* i pewnie niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

– No, nie wiem... – Anna spróbowała stosowanej niekiedy w rozmowach z córką metody zakwestionowania jej słów; bywało, że często potem się otwierała.

– Wiadomo... że nie wiesz, bo to nie ty, a ja dostrzegłam. Myślę o tym, ale wciąż nie wiem, jak się zachować.

– Najważniejsza jest szczerłość i chęć znalezienia rozwiązania. Nie zawsze trzeba za wszelką cenę stawiać na swoim... – Anna mrużąc oczy, wolno cedziła słowa.

Kaśka potrząsnęła głową.

– Ale, mammo... – zaczęła, lecz matka położyła palec na ustach, dostrzegając na twarzy córki lekki niepokój.

– Idź już spać i pomyśl o tym, co ci powiedziałam. Dobranoc, córcia.

– Dobranoc, mammo.

Na korytarzu Kaśka pacnęła się w czoło. Mama jednak poznała, że coś jest ze mną nie tak i nie dała się zbyć byle czym. Weszła do pokoju i rzuciła się na łóżko, przykrywając głowę poduszką. Muszę bardziej uważać na swoje gesty i mimikę. Tego jeszcze brakuje, żebym zaczęła się jej radzić, jak rozwiązać moją sprawę. Ale z tą szczerością ma rację! Tylko tym razem to ktoś inny nie potrafi być szczerzy, otwarty, przyznać się do czegoś, a ja się tym gryzę, bo naprawdę nie wiem, co zrobić.

Czym jest to coś, czego Maciej nie może mi powiedzieć? Może miał jakąś operację? Ale co jest do ukrycia w operacji, na przykład, wyrostka? Wyciągnęła głowę spod poduszki i rozejrzała się. A w ogóle co człowiek w tym miejscu ma? Wyrostek? Kurczę! Nigdy nie miałam bladego pojęcia o organach wewnętrznych człowieka. Wiem, gdzie jest serce, ale wątroba? Gdzieś na dole... chyba, a może z boku? A żołądek? Też gdzieś na dole, w brzuchu. Muszę jutro postudiować te sprawy.

## *Karnawałowe niespodzianki*



- Trochę bałam się jechać, bo zimą właściwie nigdy nie jeździłam. – Anna podała Ryszardowi torbę, a po chwili wieształ już jej płaszcz.
  - Miałem właśnie schodzić... – Ryszard spojrział przepaszająco.
  - Nic się przecież nie stało... Wyjechałam kwadrans wcześniej przez warunki, które spodziewałam się spotkać. Najgorzej będzie wjechać po powrocie pod górkę... – pomogła sobie gestem.
  - Może pojedziemy razem i będę cię asekurował?
  - Teraz zawsze jest na miejscu jakiś kierowca, więc dam radę. – Anna machnęła dłonią i przeszła do pokoju. – A cóż tu za masa papierów?
  - Przygotowuję dokumenty dotyczące twojego, a właściwie teraz jeszcze Władka, spadku. Zapomniałaś? Dzisiaj siedziałem nad samym wnioskiem, bo załączniki przygotowałem wcześniej.
  - Ciągle mam wątpliwości, czy powinnam się w ten spadek mieszać.
- Ryszard zmarszczył brwi.
- Anno. Ty jesteś masochistką – uśmiechnął się.
- Felcia ma rację, że twoją specjalnością jest zawracanie kijem Wisły.
  - Ale co w tym dziwnego, że powiedziałam, co czuję?
  - Poczekaj moment – Ryszard wyszedł na chwilę; wrócił z tacą z filiżankami parującymi kawą. – Powiedz mi, co cię dzisiaj boli?
  - Przecież ja nie jestem córką Zalewskich, ale Józefy Kuszer, prawda?
  - No prawda.
  - A zatem nie mogę być spadkobierczynią po Zalewskich.
  - Co ty powiesz? – Na twarzy Ryszarda pojawiło się rozbawienie.
  - Teraz to sobie ze mnie kpisz. – Annie wcale nie było do śmiechu.
  - Przecież ustaliliśmy, że Władek przejmuje spadek, a potem przekazuje tobie aktem darowizny, czy tak?
  - Tylko wiesz... On od września ze mną nie rozmawiał, więc ja nie wiem, czy to wszystko jest jeszcze aktualne, czy nie zmienił zdania?
  - Coś ty teraz powiedziała? Przecież już kiedyś mówiłem ci o mojej rozmowie z nim!
- Więc o co ci chodzi?
  - No, jak to o co? On do mnie nie dzwonił. – Anna wskazała dłonią na siebie.
  - Czyli o akcie notarialnym, który przysłał we wrześniu, już zapomniałaś?
  - Ale może od tego czasu zmienił zdanie?
- Ryszard roześmiał się głośno.
- Wiesz, że ja jestem niespotykane spokojnym człowiekiem, ale...
  - Ryszard, wyjaśnij mi to raz jeszcze, proszę.
  - Jeśli Władek nie dzwoni do ciebie, czy tak jak dzisiaj nie chcesz słuchać moich argumentów, nie wierzysz mi, to czy nie byłoby dobrze po prostu podnieść telefon i samej

do niego zadzwonić?

– Ależ ja tobie wierzę, ale...

– Poczekaj, Anno, chwilę, nic nie mów... – Ryszard spojrział na zegarek, po czym wziął w dłoń komórkę i zaczął operować przyciskami. – U nich dochodzi dziewiąta rano, pewnie je albo skończył śniadanie i może jest w pobliżu telefonu? – Ryszard uśmiechnął się.

– Co ty robisz?

Ryszard położył palec na ustach.

– Tak, to ja, Władku! Witaj!... Jak miło cię słyszeć... Kończę kompletować już dokumenty i w najbliższych dniach trafią do sądu... Nie mam pojęcia, ale za dwa, trzy miesiące będzie pierwsze posiedzenie... Wyobraź sobie, że właśnie siedzi koło mnie i sam jej to powiesz... – Ryszard przekazał słuchawkę zaskoczonej Annie, która z wrażenia zaczerpnęła kilka głębokich oddechów.

– Tak, jestem tu! Dzień dobry, Władku... I tobie także życzę wszystkiego najlepszego w Nowym Roku!... Martwiłam się, bo nie dzwoniłeś, i zastanawiałam się, czy to wszystko jest aktualne... No tak, ale mogłeś się rozmyślić... Ale słowo też mogłeś zmienić!... Przepraszam, już nie będę... Dobrze, na przyszłość sama zadzwonię... Pozdrowię... Swoich również pozdrów... Trzymaj się i do usłyszenia. Pa!

– No i co, Aniu?

– No, wszystko podtrzymuje, tak mówi... – Anna uśmiechnęła się i przymrużyła oczy.

– Słuchaj, Aniu, on naprawdę ma teraz większe problemy niż przekomarzenie się z tobą. On nie wie, gdzie jest Max, i to go gnębi; mówiłem ci już kiedyś.

– Ale dalej zupełnie nic nie wie?

– Wie, że od października Max jest w siłach specjalnych, cokolwiek to oznacza. Ale, Anno, szkoda gdybać. Czy teraz ze spadkiem już wszystko dobrze?

– No niby dobrze... ale wiesz... – twarz Anny ponownie jednak zmarkotniała – ...ckni mi się za Sołaczem. Nie byłam tam od czerwca zeszłego roku.

– Teraz jest zima, nawet nie ucieszysz oczu widokiem swojego ogrodu.

– Mimo to chciałabym tam pojechać, choć na dwa, trzy dni... – Anna spojrzała na Ryszarda błagalnie.

Ten uśmiechnął się i skubnął wąsika.

– A obiecasz mi, że potem będzie już wszystko okej?

– Tak! – Anna poderwała się ze swojego fotela i ucałowała Ryszarda. – Kiedy możemy pojechać? – Zaczęła rozglądać się po pokoju.

– Czego szukasz?

– Kalendarza.

– Moment, Aniu. – Podeszedł do biblioteczki i podał kalendarz.

Anna podekscytowana przerzucała kartki.

– O! Koniec karnawału już dziesiątego lutego... to znaczy niedziela ostatniego weekendu karnawałowego. To już za półtora tygodnia!

– Wówczas możemy pojechać, ale najpierw papiery muszą trafić do sądu.

– Jak się cieszę! – Klasnęła w dłonie. – Możesz poczęstować mnie jakimś winem? – Podskoczyła na fotelu. – Masz może jeszcze tę co kiedyś malagę?

– Oczywiście – Ryszard uśmiechnął się.

W miarę zbliżania się do Poznania Anna czuła się coraz bardziej podekscytowana.

– Pokochałam Kaszuby, chcę zostać w Parchowie już na zawsze, ale teraz czuję się, jakbym wracała z kolonii. – Spojrzała na Ryszarda zza przymrużonych rzęs.

Gdy zobaczyła Poznań, rozglądała się, jakby ujrzała go po raz pierwszy. Zanim pojechali na Sołacz, Ryszard musiał objechać całe centrum, a na koniec przedefilować przed jej Operą. Na trasie do Poznania zrobili już zakupy, więc teraz po rundzie wokół centrum pojechali prosto do domu. Ryszard ucieszył się, że auto będzie garażować. Kiedy Anna weszła do kuchni, stanęła przed suszarką obok zmywaka i utkwiała w niej wzrok.

– Te stojące tutaj szklanki... To mi w ogóle nie wygląda, jakby dom szedł na sprzedaż... – Spojrzała na Ryszarda.

– Anno. Przecież Kasia była tutaj chyba ze trzy razy; ostatni raz w listopadzie, może nie zdążyła schować? Myślę, że na wiosnę oferty posypią się, bo wówczas Sołacz jest najbardziej zauważany.

– Może tak być. – Anna po tych słowach nagle rozchmurzyła się. – Co powiesz na to, że dzisiaj zrobimy obiadokolację w domu, żebym mogła przygotować sobie coś na jutrzejszy wieczór?

– Aa, to dlatego kazałaś mi wziąć garnitur? A masz jakiś pomysł, czy ja powinienem zaproponować?

– Ty wymyślasz miejsce na obiad, a ja wieczór. Przy czym po obiedzie musimy być w domu przed siedemnastą.

– Ciężkie warunki, ale dobrze. Przyjmuję. – Ryszard cieszył się z dobrego humoru Anny. – A ty już masz pomysł na wieczór, czy dopiero pomyślisz?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewna swego, ale zaraz sprawdzę.

Podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Głucho! Aha, przecież Kaśka go wyrejestrowała!

– roześmiała się. – Dobrze, że są komórki! – Wyciągnęła notes, a potem ponaciskała klawisze. – Witaj, Bogusiu! Tak, to ja, jestem już w Poznaniu... Och, to dobrze... Co? Łożę?... Szalona!... Dyrektor sam zaproponował?... Ty mu powiedziałaś?... Dziękuję bardzo... Podejdę jutro około dziesiątej, będziesz?... Ach, sobota! Gdzie proponujesz?... To blisko. Poplotkujemy trochę... Do zobaczenia. Pa!

– Domyślam się, że opera?

– Tak, lekkie karnawałowe przedstawienie. *Orfeusz w piekle*, wesola rzecz. Ubawisz się.

– W waszej operze byłem kilka razy. Zawsze pod ogromnym wrażeniem i przedstawień, i samego budynku. W pięćdziesiątym piątym roku, bodaj w czerwcu, Maciej zabrał mnie na premierę *Halki*. Arię Jontka pamiętam do dzisiaj: *Szumią jodły na gór szczycie, szumią sobie w dal, mnie młodemu smutne życie...* Śpiewał ją... czekaj, takie dziwne nazwisko... – Ryszard zmarszczył czoło.

– Może Kouba? Marian Kouba?

– Tak, oczywiście, to był on! – Ryszard aż klasnął.

– Ja co prawda jestem barytonem, ale często sobie podśpiewywałem tę tenorową arię. Później, kiedy wróciłem do Bytowa, straciłem kontakt z żywą operą. Nie wiem, czy wiesz, ale w Bytowie jeszcze nie pobudowaliśmy sobie opery – zachichotał. – Za to zawsze miałem sporo płyt winylowych z muzyką poważną, bo nie tylko interesowała mnie opera;



oczywiście, mam więcej płyt z muzyką lekką, bo ta mnie głównie zajmowała. Jak wrócimy, to pokażę ci je, a może czegoś posłuchamy.

– To ja najpierw przejrzę swoje fatalaszki... – Anna uśmiechnęła się kokieteryjnie – ... a potem będę przygotowywać jedzonko. Na tej etażerce leżą albumy Jutki; najstarsze lata są pod spodem. Gdybyś chciał, żebym coś dopowiedziała, to wołaj mnie, ale tam są raczej wystarczające podpisy. W kuferku obok mamy rodzinne dokumenty z urzędów, jeszcze z zaborów i nowsze, a pod nimi wspomnienia, pamiątniki. Możesz wszystko przeglądać – uśmiechnęła się, pomachała i zniknęła w holu.

Ryszard przeglądał z zainteresowaniem albumy. Przed jego oczami przesuwiała się historia rodziny Jutki od początku dwudziestego wieku, przez lata międzywojenne, okupację i późniejsze czasy. Poznał jej dziadków, rodziców, ich rodzeństwo. Jutka była śliczną dziewczyną, a potem kobietą. O! Jest i Jan Bartkowiak. Ryszard poprawił okulary. Elegancki młody mężczyzna z Jutką na ulicy, to on. A tutaj w samochodzie. Tak, to pewnie ten sam daimler-benz, którym jechali przez Kaszuby do Berlina latem 1937 roku. Kolejny album. Mała Ania w wózek, potem jako pierwszoklasistka. Wszechobecne ruiny. Pierwsza Komunia Święta i ciągle ruiny. Tak to było. Pokiwał głową. Różne uroczystości rodzinne, ciotki, wujkowie, a to pewnie wakacje, gdy była w liceum; jakieś obozy, harcerstwo. A to już Ani matura. To były czasy.

– Widzę, że się wciągnąłeś – nagle zagadła mu nad uchem Anna. – Moja matura, tutaj moje koleżanki, a tutaj z Mikołajem w pięćdziesiątym szóstym, gdy już studiowałam. Wiele zdjęć zrobiliśmy wtedy w różnych miejscach w centrum Poznania, wszędzie tam, gdzie było widać na murach ślady po kulach. To jest z Kochanowskiego pod budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa. Do dzisiaj, jak sobie to przypominam, to drzę. Dlaczego nie zawahano się strzelać do bezbronnych ludzi?! – podniosła głos. – Obejrzyj też nasze późniejsze albumy, albo najpierw pamiątniki Jutki.

– Tak zrobię – Ryszard uśmiechnął się.

– Teraz będę w kuchni. Jutro pójdę na ciemnoniebiesko, może być? – spytała z progu.

– Będziesz wyglądała bosko!

– Będę pasowała do twojego garnituru w paski

– rzuciła z uśmiechem i zniknęła.

Ryszard wyciągnął plik dokumentów z kuferka i dojrzał pod nimi kilka brulionów. Dokumenty potem

– odłożył je na stolik. Osiem brulionów. Sporo. O! Pisała po polsku. A mnie się wydawało, że według Anny – tylko po niemiecku. A może to chodziło o dokumenty? Miała cudowne pismo z zawijasami – spojrzał do pierwszego brulionu. Prowadziła zapiski systematycznie: latami, miesiącami. No tak, przecież to wspomnienia, właściwie kronika. Ale nie dzień po dniu. Aha! Opisywała tylko ważne zdarzenia. Przeglądał kolejne bruliony w poszukiwaniu lat bliskich drugiej wojny światowej. W czwartym brulionie znalazł trzydziesty siódmy rok. Wertował go w poszukiwaniu lipca. Pod datą 15 lipca zaręczyny. Jak ona się z nich cieszyła, czuć to z każdego zdania – Ryszard uśmiechnął się do siebie. Kolejny wpis dopiero 20 lipca. Tym razem czytał uważniej.

*Dwudziestego lipca 1937 roku.*

*Jutro z Janem wyruszamy z Poznania do Berlina-Charlottenburga. Nasza podróż to druga część jego*

prezentu zaręczynowego. Jestem bardzo szczęśliwa, bo czegoś takiego – oprócz bogatego pierścionka zaręczynowego z szafirem – nie spodziewałam się. Okazało się, że wszystko ustalił z moją siostrą wcześniej. Kochany Jan. Po drodze odwiedzimy Toruń i Gdynię, gdzie mamy pierwszy nocleg, a dwudziestego drugiego zanocujemy pierwszy raz w Niemczech. Będzie to w Bütow, po polsku w Bytowie, u rodziny jego kolegi, lekarza z Berlina, państwa Raschke. Potem odwiedzimy duże miasta Kolberg i Stettin, gdzie może zatrzymamy się na kolejny nocleg. Dwudziestego piątego Jan ma pierwszą rozmowę z profesorem Kurtem von der Lanckenem, którego przyjacielem jest poznański mentor i wychowawca Jana, profesor Karol Gustaw Jonsher. Tęsknię za siostrą i myślę spędzić z nią wiele miłych dni, ciesząc się wspólnie jej malutką córeczką Alicją. Kiedy już będę na miejscu, opiszę kilkudniową podróż, bo zamierzam się podczas niej cieszyć i z góry przewiduję, że na nic nie będę miała czasu.

Ryszard odetchnął. Przewrócił kartkę i nową stroną omiół wzrokiem. O! Jakież plamy albo krople wody? Dotknął palcem i wrócił do czytania.

*Dwudziestego piątego lipca 1937 roku.*

Wszystko się pozmieniło. Jestem w szoku, bo zamiast w Charlottenburgu, jestem w Bütow, blisko naszej granicy. Otóż tuż przed nią, we wsi Parchowo, znaleźliśmy obok stawu, przy spalonych łanach zbóż, dziecko w wózekczku. Dziewczynkę. Kilka kilometrów przed nią spotkała nas krótkka, ale straszna burza. Nie wiemy, skąd tam wzięło się dziecko, ale Jan zdecydował, że nie ma czasu szukać jej rodziny, tylko natychmiast trzeba wieźć je do szpitala. Dziewczynka była przemoczona i wychłodzona po gradowej burzy, chociaż miała też na rączce ślad lekkiego oparzenia. Najbliższy szpital był w Niemczech, zaś do polskiego szpitala w Kartuzach było dwa razy dalej. Tak byłam przerażona, że nawet nie wiem, jak przejechalśmy przez granicę. W szpitalu w Bütow podaliśmy, że to moja córka Anna Nagengast. Tak trzeba było zrobić, bo inaczej cofnęliby nas być może do Polski albo nawet oskarżyli o kradzież dziecka. Nawet nie poprosili o dokumenty matęj. Cud. Pierwszą noc spędziliśmy u państwa Raschke, tak jak Jan miał zamówione. Jan musiał wyjechać wczoraj do Berlina, żeby nie stracić praktyki lekarskiej, bo taki był przecież cel jego wyjazdu. Przed wyjazdem zatatwił dla mnie pokój przy Lauenburger Strasse 23 u miłych starszych państwa Sonneberg. Mata Ania musi być jeszcze w szpitalu, chociaż dzisiaj jest już jej trochę lepiej. Teraz płaczę, ale nie dlatego, że nie pojechałam do siostry, tylko bardzo boję się o tę kruszynkę. Zakochałam się w niej. Na noc zostanie jeszcze pewnie w szpitalu. Rozmawiałam dzisiaj z Janem telefonicznie, ale dziwna to była rozmowa. Nie mam pojęcia, jak to się wszystko dalej potoczy, dlatego ciągle modłę się, żeby mata wróciła do zdrowia. Zdrowaś Maryjo, taskiś pełna...

Ryszard poderwał się z fotela. Co za zbieg okoliczności. Przecież to chodzi o jego kamienicę!

– Anno! – zawołał. – Czy ty masz pojęcie?! Trafiłem na adres domu, w którym Jutka mieszkała wówczas w Bytowie, i okazuje się, że to jest mój dom! – Trzymał otwarty brulion na przeczytanym przed chwilą opisie.

– Co ty mówisz?! – Anna usiadła z wrażenia; spojrzała do brulionu. – Czyli Lauenburger Strasse, jak się domyślam, ulica Lęborska, to dzisiejsza Sikorskiego, a przedwojenny numer to twój dom. Jesteś pewien?

– Kiedy kupowałem mieszkanie, dotarłem do starych dokumentów i pamiętam doskonale nazwę ulicy i przedwojenny numer domu. Załatwiając sprawę kupna, poznałem w mojej kamienicy kobietę, która mieszka w niej od lat przedwojennych!

– To ona może pamiętać Jutkę! A rozmawiałeś z nią o niej?

– Aniu! Przecież wówczas nie miałem bladego pojęcia o żadnych Nagengastach, ani o dziecku z Parchowa, a nawet ostatnio, kiedy całą historię już znałem, to skąd miałem wiedzieć, że może chodzić o nasz dom?

– A ta pani to Niemka czy Polka?

– Moim zdaniem, to typowo kaszubskie nazwisko Dumke, więc chyba Polka, ale to wszystko, co wiem

– rozłożył ręce.

– To jest wręcz nieprawdopodobne! – Anna była podekscytowana.

Cudowny wspólny wieczór przy obiadokolacji z lampką wina nie pozwolił Annie zapomnieć o tej sprawie. Pytania o Bytów, o panią Dumke wracały co jakiś czas jak bumerang. Nawet następnego dnia – podczas obiadu w restauracji czy wieczorem podczas przedstawienia w operze – Anna nie potrafiła wytrzymać, by nie zadawać Ryszardowi pytań o tę sprawę. Natomiast do końca ich pobytu w Poznaniu sprawa sprzedaży jej domu nie powróciła w rozmowach już ani razu.

\*

Kiedy wrócili do Parchowa, Anna wszystkich zaraziła swoimi emocjami. Temat Lauenburger Strasse – pani Dumke nie schodził z wokandy, kiedy więc tylko Ryszard przyjechał po nią po dwóch dniach od ich powrotu z Poznania, w „Iskierce” wreszcie odetchnięto z ulgą.

– Zaprosimy panią Dumke na kawę, co ty na to?

– Ryszard spytał Annę, kiedy ruszyli w drogę.

– Trzeba tylko kupić jakieś smaczne ciastka, żeby dobrze wypaść – zatroskała się Anna.

– Mówisz, że ciastka są tu najważniejsze? – zażartował i spojrzał na nią roześmiany.

– Nie śmieję się, nie znasz kobiet. W takich sprawach forma jest bardzo istotna, a ciastka do niej się zaliczają.

Pani Dumke okazała się osobą bardzo towarzyską, ale też znającą się na obyczajach. Kiedy Ryszard poszedł ją spytać, czy nie zaszczyciłaby ich wizytą, bo jego pani ma wielką ochotę ją poznać, najpierw była na nie, potem trochę się krygowała, aż wreszcie powiedziała, że owszem, ale musi się odrobinę przygotować, a i gospodarzom dać trochę czasu.

– Przecież widziałam przez okno, że państwo dopiero wchodzili do domu – powiedziała z rozbijającą szczerością.

Przyszła dokładnie po pół godzinie. W ręku trzymała dużą czekoladę Wedla z orzechami, obwiązaną czerwoną wstążeczką. Ubrana w bluzkę z pięknym żabotem, była nieco niższa od Anny i szczuplejsza. Miała lekko podkreślone siwe włosy, niebieskie oczy, delikatnie pomalowane usta i czarne klipsy.

– Sława Dumke – przedstawiła się, spoglądając z ciekawością na Annę.

– Anna Nagengast-Prawosz. Dziękuję i szczerze pani powiem, że to jest czekolada, którą od wielu lat niezmiennie kupuję, bo trzyma i jakość, i smak – Anna uśmiechnęła się

do gościa.

– Tak sobie myślę, że to nasze pierwsze, ale nie ostatnie spotkanie, więc na wstępie wyjawię, że z mamą Ryszarda, Stefanią, byliśmy w jednym liceum nauczycielkami, koleżankami po fachu.

– No niemożliwe! – Ryszard był wyraźnie zaskoczony.

– Umówiliśmy się, że nie zdradzę panu tego, że się znamy – wyznała z pociesznie konspiracyjną miną.

– To pani wciąż mnie szpiegowała? – Ryszard roześmiał się; obie panie przyłączyły się do niego.

Już sam początek spotkania sprawił, że panie poczuły do siebie sympatię. Okazało się, że pani Sława także nie uznaje innej kawy niż zmielonej w ręcznym młynku.

– Co prawda staram się ją pić rzadko, bo robi mi się potem kwaśno, ale lubię. Dzisiaj wypiję... – ostatnie słowa powiedziała wolno, jakby zastanawiając się nad czymś – ...ale czuję, że pani nie chodzi tylko o towarzyszkę do wypicia kawy, czy tak?

– W rzeczy samej. Moja mama mieszkała w Poznaniu w jednej kamienicy, w jednym mieszkaniu, od urodzenia aż do... – Anna zawahała się.

– Proszę mówić śmiało... aż do śmierci, czy tak?

– Tak właśnie – potwierdziła Anna.

– To na pewno była lepsza ode mnie, bo ja tutaj mieszkam dopiero od szesnastego roku życia... – pani Sława uśmiechnęła się – ...ale niewykluczone, że również pomieszkałam aż do śmierci – wzruszyła ramionami.

– Ryszard mi wspominał, że pani mieszka w tej kamienicy od czasów przed drugą wojną światową... – Anna spojrzała na panią Sławę, a ta przytaknęła – ...chciałabym pani coś pokazać... – Wyciągnęła z trzymanej koperty jedno ze zdjęć i podała pani Sławie, zauważając, że ma długie palce i szczupłe zadbane dłonie.

– To przecież nasz przedwojenny Markt... – Pani Sławie zaświeciły się oczy. – O! To robił fotograf Hafer – odczytała napis na odwrocie. – Pamiętam go. A kto w ogóle jest na tym zdjęciu...?

Spojrzała na Annę, która milcząc, przyglądała się jej z przymrużonymi oczami. Z rozbawionej twarzy pani Sławy wpatrującej się w zdjęcie zniknął z wolna uśmiech; wpatrywała się uważnie w postać uśmiechniętej kobiety z wózcikiem na zdjęciu. W końcu jej twarz stała się poważna.

– Skąd pani ma to zdjęcie? – Zmierzyła wzrokiem Annę.

– Z archiwum...

– Z jakiego archiwum? Skąd prywatne zdjęcie w jakimś archiwum? Przecież ja tę kobietę i dziecko pamiętam, nawet wózczyk poznaję... – Przez moment na twarzy pani Sławy pojawił się uśmiech, ale po chwili ponownie stała się poważna. – One mieszkały tutaj latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Zaprzyjaźniłyśmy się. To jest pani Jutka z Poznania, a to jej córeczka, nasza mała rozkoszna Ania... – Pani Sławie rozbliżyły oczy.

– Te zdjęcia pochodzą z archiwum domowego...

– Anna wyciągnęła jeszcze kilka zdjęć z koperty – ...a tym dzieckiem jestem ja... – powiedziała cicho.

– Ja chyba śnię! – zawołała pani Sława, przykładając dłonie do policzków. – Przepraszam, ale muszę coś zobaczyć.

Poderwała się na równe nogi i ruszyła w kierunku Anny.

– Chce pani sprawdzić, czy mam tę brunatną plamkę na łopatce? Kółeczko, rombik, serduszko...? – Anna uśmiechnęła się. – Jest tam, jak wtedy. – Wskazała palcem na plecy.

Pani Sława stanęła jak wryta.

– Tak, to właśnie chciałam zobaczyć! To ty naprawdę jesteś Ania! Boże! To nieprawdopodobne! Pozwól, niech cię przytulę.

Anna i pani Sława chwilę trwały w objęciach, po czym kobieta wróciła na swoje miejsce i łapczywie wypila łyk kawy.

– O mało co bym się zdenerwowała, ale jestem wyćwiczona w radzeniu sobie ze stresami – machnęła dłonią. – Tyle lat! Co za historia! Jestem ciekawa wszystkiego, co się z tobą, dziecko, działo przez cały ten czas, ale... poczekajcie, zaraz wracam!

Odwróciła się i nad podziw zwawo ruszyła w kierunku wyjścia.

Anna patrzyła na Ryszarda oniemiała, a Ryszard w zdumieniu skubał wąsika, wzruszając ramionami. Milczeli. Niebawem pani Sława pojawiła się z powrotem. W dłoni trzymała małe pudzeczko, pokryte czerwonym sukmem.

– Ależ historia... – wpatrywała się uśmiechnięta w Annę. – Nie urodziłam się w Bytowie, ale niedaleko stąd – wykonała nieokreślony ruch dłonią. – Ale o tym kiedy indziej. Pracowałam w tym domu, u państwa Sonneberg. Miałam służbówkę na parterze. Pokoje na najwyższym piętrze często komuś wynajmowali... – pokazała palcem w górę – ...a sami mieszkali tutaj i niżej. – Wskazała palcem w dół. – Jak wyście były, to oprócz sprzątanego wynajmowanych pokoi należało do mnie opieranie cię, przygotowywanie jedzenia i pomaganie w kąpielu.

– To znaczy gdzie mieszkaly wtedy Jutka i dziecko? – Ryszard wyglądał na zdezorientowanego.

– Piętro wyżej, w takim samym pokoju jak ten

– pani Sława uśmiechnęła się. – Jutka często stawała w wykuszu... – pokazała za siebie – ... przy oknie z tobą na rękach i tak cię usypiała. Kiedy zasnęłaś, uczyła mnie niemieckiego.

Annie ze zdziwienia rozszerzyły się oczy.

– Ale jak to?

– Pani Jutka mówiła perfektnie po niemiecku, a ja słabo.

Uciekłam ze wsi... – Znowu jak wcześniej machnęła ręką. – Na dalszą ucieczkę to ja byłam wtedy za głupia i za biedna... – Pokiwała głową. – Zgadałyśmy się z Jutką, że mam w planie pójść do szkoły, tylko problemem jest słaba znajomość języka niemieckiego. Zmarnowałam już ponad rok. Męczyłam się, kalecząc ten język, zresztą nie lubiłam go... – wzdrygnęła się – ...i to był mój problem. Przekonała mnie, że język niemieckich sąsiadów, a teraz pracodawców, obowiązujący w tutejszych urzędach, muszę znać doskonale. Uczyła mnie więc tego języka, a pani Sonneberg nie mogła się nadziwić: Polka uczyła Polkę niemieckiego. Wcześniej nie miałam ciągu do gramatyki, no wiesz... – uśmiechnęła się. – Po miesiącu codziennych wielogodzinnych rozmów właścicielka była zachwycona moimi postępami. To zdecydowało, że załatwiła mi pójście od nowego roku szkolnego do szkoły. Z jej zdaniem tutaj się liczono.

– Ale właściwie jaki interes miała właścicielka, żeby załatwić pani szkołę?

– Ponoć to była jędza, choć do mnie miała dziwną słabość... ja zresztą tego nigdy nie wykorzystywałam!

– potrząsnęła głową. – Byłam jej bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiła. Gdy

trafiłam do niej, opowiedziałam swoją historię ucieczki z domu, a ona z kolei zaczęła coś mówić o swojej córce. Wkrótce przerwała i nie dokończyła. Później na mieście dowiedziałam się, że ją wyklęła, a ta wyjechała do Berlina. Ponoć za to, że zrobiła się z niej puszczalska. W Bytowie było, jak na tamte czasy, bardzo dużo restauracji i hoteli, przyjeżdżało tu wielu turystów, zamek, czyste powietrze, niedaleko także ładne jezioro, więc pokus nie brakowało. No wiecie... – rozłożyła dłonie – ...chyba pani Sonneberg miała potrzebę przelać na kogoś resztę swoich matczynych uczuć i padło na mnie. Nigdy nie dała mnie skrzywdzić.

– Ona była Niemką, a pani Polką, ale w przyrodzie zdarzają się takie przypadki... – Annie trudno było ukryć zdziwienie.

– Przy końcu września niemieckie koleżanki z klasy, zresztą nauczyciele także, nie mogli się nadziwić mojemu niemieckiemu. Robiłam błyskawiczne postępy, bo każdego dnia siedziałam jeszcze długo w noc po rozmowach z Jutką. Co dzień chętniej. Ona, żeby mnie uczyć języka, kupiła dobre książki do gramatyki, a potem, kiedy już wyjechała, bardzo mi one pomagały. Szkolne były gorsze – zaśmiała się. – Pani Sonneberg płaciła mi niewielką pensję za utrzymywanie czystości w pokojach na wynajem, a oprócz tego karmiła i ubierała za darmo. Miałam więc pieniądze. W podziękowaniu za to, co Jutka dla mnie zrobiła, kupiłam dla niej, a właściwie dla ciebie, krzyżyk z łańcuszkiem. – Otworzyła puzderko i podała Annie. – Proszę, jest wreszcie twój!

– Ale ja nie mogę go przyjąć... Przecież to jest pani pamiątka!

– Moją pamiątką był on jeszcze pół godziny temu, a teraz dostajesz go ty, bo dla ciebie został kupiony!

– Ryszardzie! Ja tak nie mogę! – Anna zareagowała nerwowo i spojrzała błagalnie na Ryszarda; ten bezradnie rozłożył ręce. – Przecież ja pani właściwie nie znam!

– Ale ja ciebie znam! Musisz go wziąć! – twardo powiedziała pani Sława. – I mam nadzieję, że będziesz nosić... – dodała ciszej i na moment zamilkła. – Rozmowy z twoją mamą, spacer z wami, obserwowanie twoich kąpiel, nauka niemieckiego, to są moje najpiękniejsze wspomnienia z całego życia. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie spotkało mnie od nikogo obcego tyle ciepła i bezinteresowności. A do tego od takiej damy! Bo Jutka była piękną i nadzwyczaj mądrą damą.

– A jak to się stało, że krzyżyk nie trafił ostatecznie do mojej mamy?

– Mieliście ponoć wyjechać w ostatnią niedzielę września albo następnego dnia. Zaplanowałam więc, że dam go jej w sobotę na spacerze. W tygodniu wyjechałam na wycieczkę do Słupska, nazywał się wtedy Stolp, do Darłowa, po niemiecku Rügenwalde, i do Kołobrzegu, dawniej Kolberg. Bardzo mi się te miasta podobały, ale miałam pecha, bo szkolny autobus się zepsuł i zamiast dwóch dni, wycieczka trwała trzy dni. Mieliśmy wrócić w piątek, a wróciliśmy w sobotę po południu, kiedy już was nie było. Jan, twój tata, przyjechał w piątek i następnego dnia rano wróciliście do Polski.

– A wie pani, dlaczego tak szybko wyjechali? – Anna spojrzała w oczy pani Sławy; ta wzruszyła ramionami.

– Może nie mówiła mi prawdy, a tak naprawdę miała już dość tych wczasów tylko we dwie albo Jan musiał pilnie być w Poznaniu?

– Wczasów?

– Tak! Stać ich było na taką ekstrawagancję... – Pokiwała głową z wyrazem podziwu na twarzy. – Mówiła, że ty się tutaj wspaniale czujesz, a w porównaniu do centrum Poznania

to tutejsze powietrze jest jak sanatoryjne. Miałaś przecież ostre zapalenie oskrzeli po tym, jak zawiąło cię w samochodzie przez jej nieuwagę, i wołała zostać tutaj do powrotu Jana, niż jechać bez niego do Berlina albo Poznania obcym samochodem. Po kilkunastu dniach byłaś ślicznie opalona!

– A chce pani wiedzieć, jaka była prawda? – Anna spojrzała przenikliwie na panią Sławę.

– Prawda? Przecież wszystko, co mówię... wynika z tego, co pamiętam, co mi wówczas opowiadała Jutka...

– Nie... – Anna pokręciła głową. – Oni nie mogli, nie chcieli odwlekać ani o jeden dzień oddania mnie moim biologicznym rodzicom w Parchowie – powiedziała dobitnie; oczy pani Sławy zrobiły się okrągłe.

## *Ślady wiosny*



Anna wracała z gminnego ośrodka kultury. Po drodze weszła do kwaciarni po znicze i stroiki. Ze zdziwieniem dostrzegła, że są już w sprzedaży z akcentami wielkanocnymi. No tak, przecież tylko niewiele ponad dwa tygodnie zostało do świąt. Najpierw odwiedziła grób Bronka, a potem zamyśliła się nad grobem Klauza. Tak chciał pomieszkać z Marysią. Jakiż ten los jest przewrotny. Biedna Marysia. Dobrze, że się dziewczyna podniosła z tej tragedii. Dobrze, że Adam się pojawił, bo tylko jemu przez dłuższy czas ufała, tylko jego tolerowała. Teraz nawet uśmiecha się do niego. Miłe to takie. A on? Tak jak przysiągł nad grobem, opiekuje się nią, jest zawsze pod ręką. Teraz ma co prawda dodatkowy argument do tak częstych przyjazdów ze względu na projektowanie z Henrykiem siedliska. Dobry z Adama człowiek. Chociaż... Anna nie mogła nie zauważyć dziwnych błysków w jego oczach, kiedy w pobliżu pojawiała się Marysia. Czyżby? A właściwie dlaczego nie? Uśmiechnęła się. Jej wzrok zawisł na gałązkach brzozy. O! Już pączki nabrzmiały. Lada dzień pojawią się kotki. Co ja będę dzisiaj robiła? A może przejadę się do Ryszarda? Dobra myśl.

\*

– Ale dlaczego do niej poszłaś? Przecież mogłaś do mnie zadzwonić!

– Spotkałam ją przed domem i mi powiedziała, że na pewno cię nie ma, i jeśli nie masz niczego innego w planie, to będziesz około piętnastej. Na ogół tak wraca, powiedziała. Ponieważ zaczęło mżyć, a parasolkę zostawiłam w samochodzie, przyjąłem zaproszenie.

– Ale teraz płaczesz, Anno. Trzeba było trochę zmoknąć i przyjść do mnie do biura. Ale nie! Ja dopiero jakąś godzinę temu wróciłem z Borzyszkowów!

– No widzisz! – Anna wytarła oczy i nos. – A poza tym skąd ja mogłam wiedzieć, że tak rozmowa z nią się potoczy. Tyle przeszła w swoim życiu – pokręciła głową. – Dlaczego, Ryszardzie, tak jest, że wartościowi ludzie jak ona muszą czasem przeżywać piekło na ziemi. I spójrz, po tym wszystkim nie wyprowadziła się stąd. Uznała, że to była jej kara za ucieczkę z domu rodzinnego. A przecież tak naprawdę to została przez matkę porzucona, wygoniona. Matka jej nie chciała, to co miała zrobić?

– Ja czułem, że coś musi w niej siedzieć, bo przecież pani Sonneberg, zanim uciekła przed frontem, zostawiła jej dokument, że ustanawia ją właścicielką tego domu. Pokazała mi ten dokument, kiedy rozmawiałem z nią pierwszy raz. Ten dom nie został zniszczony, choć większość innych wokół była w gruzach. Nowe władze były nawet gotowe zaakceptować ten dokument, ale ona zrzekła się domu. Chciała tylko, żeby pozwolili jej zamieszkać w którejś z trzech służbówek. Tyle powiedziała mi kiedyś.

– No tak, ale to było już po gwałcie... – Anna odezwała się cicho. – Ona nie chciała żyć, tyle że dobrzy ludzie nie dali jej umrzeć. Ci, którzy się nią wówczas zaopiekowali, to byli Niemcy, Ruth i Gunter Krollowie. On był krawcem, łagodny człowiek, ona też cicha kobieta, dobrali się idealnie. Szył tanio i jeździł po okolicy rowerem. I Niemcy, i Kaszubi



lubili ich. Gdy zbliżał się front, nie chcieli stąd uciekać jak inni, więc znajomi Kaszubi ukryli ich. Kiedy po opuszczeniu miasta przez Ruskich wrócili do domu, Sława ledwo żyła. Do gwałtu doszło w ich mieszkaniu. Pocięła się jeszcze szkłem, ale nie było jej dane umrzeć, bo oni się uparli i wyciągnęli ją z tego. Krollowie byli jedynymi, którzy wiedzieli, co się z nią stało. Wyjechali stąd dopiero w czterdziestym szóstym roku, gdy władza wytworzyła taką psychozę, że większość miejscowych, którzy znali ich sprzed wojny, odwróciła się od nich, nie chciała ich znać. Nie wytrzymali tego.

– Słyszałem, że w czasie wyzwolenia Polski był rozkaz, aby bojcy oszczędzali Polki. Mogli brać Niemki i Żydówki... Za tknięcie Polki ponoć była śmierć. – Ryszard spojrział na Annę.

– Może i tak było... Złapali ją na Markcie i ledwo wytłumaczyła im, że jest Polką. Kiedy odchodziła, wyciągnęli z jakiegoś ukrycia inną kobietę. Krzyczała, że nie rozumie, czego od niej chcą. Mieszanina niemieckiego i kaszubskiego. Wtedy pani Sława cofnęła się i odezwała do niej w podobnym języku. Ci azjatyccy, rusczy bojcy pociągnęli je obie na Bismarckplatz. Dla nich Kaszubki to też były Niemki. – Anna pokręciła głową i przymknęła oczy. – Nie odwiedza tamtej strony miasta – dodała po chwili. – Poroniła w piątym miesiącu... – Anna zamknęła oczy i umilkła.

– Ale przecież mogła potem załatwić formalne przepisanie na siebie domu, sprzedać go przy pierwszej lepszej okazji, wyjechać stąd i urządzić się po nowemu.

– Ryszardzie! To skromna i uczciwa kobieta. Ona kochała i kocha Bytów, i nie chciała takiego prezentu. Wystarczyła jej ta służbówka. O tym piśmie od pani Sonneberg wiemy tylko oboje...

– Teraz rozumiem... – Ryszard pokiwał głową. – To dlatego poprosiła, by wystawiono jej dokument, że państwo zarekwirowało dom.

– W niewielkim pokoiku ma tyle książek... – Anna pomogła sobie gestem. – Całe życie na tych niewielu metrach, skromnie, lecz gustownie urządzonych.

– Tak, to tylko dziesięć metrów kwadratowych – potwierdził Ryszard.

Anna pokiwała głową. Zapadło milczenie.

– Wiesz, Ryszardzie, pani Sława bardzo by się chciała spotkać z twoją mamą – przerwała ciszę Anna.

– Co ty powiesz? – Ryszard poderwał się.

– Tyle lat czekała na kogoś, komu wreszcie opowie, co się stało. Trafiło na mnie. Zupełnie jak z Felcią...

– Anna pokręciła głową. – A teraz chce wreszcie pójść do ludzi! – uśmiechnęła się. – Wiesz, bardzo lubiła twoją mamę, chyba najbardziej w szkole. Obiecałam jej, że ani ja, ani ty, nikomu nic nie opowiemy. Powiedziała, że nie musiałam jej o tym mówić, bo tego akurat była pewna.

– Czyli była pewna, że ty mi wszystko opowiesz?

– Tak. Uważa, że ciebie przez te kilkanaście lat na tyle poznała, że wie o tobie wszystko. „Zachowuje się jak kryształowy człowiek i chyba takim jest”, powiedziała. Widzę, że jest znakomitym psychologiem!

– Anna pocałowała Ryszarda w policzek.

– Jesteś cudowna...

– Niedaleko Bytowa jest jej gniazdo, Studzienice, o których też mi kilka słów zdążyła powiedzieć.

– To stamtąd pochodzi. Myślałem, że raczej z innej strony Bytowa.

– Powiedziała mi, że jako nauczycielka miała wrażenie, że jest lubiana, chociaż dziwiło ją to, bo nigdzie nie bywała i w stosunku do uczniów zawsze utrzymywała dystans. Zaskoczyła ją natomiast olbrzymia ilość kwiatów i upominków, kiedy odchodziła na emeryturę. Tyle nigdy wcześniej u nikogo nie widziała.

– Niedawno, po pierwszej kawie z nią, poszedłem do urzędu miasta porozmawiać z kimś o niej... – przerwał na moment, bo zobaczył zdziwienie w oczach Anny. – No wiesz, w oświacie! – Anna skinęła głową.

– Ona zapisała się w historii tego liceum złotymi zgłoskami. Na pewnym etapie proponowali jej nawet objęcie stanowiska dyrektorki. Nie zgodziła się... Wiesz co, Aniu? Dajmy już dzisiaj z tym spokój. Muszę teraz pomyśleć, jak tu zaaranżować jej spotkanie z mamą. Ależ mama się ucieszy! – spojrzał na Annę radośnie.

– A może dasz mi wreszcie trochę malagi na odtrucie? – Anna zatrzepotała powiekami.

– Trzeba było tak od razu mówić! Ja też mam ochotę na coś, ale mocniejszego, bo dzisiaj przez kilka minut chodziłem bez płaszcza i za bardzo się schłodziłem – otrząsnął się.

Przesiedli się na fotele w wykuszu. Ryszard wyciągnął z leżącej na stoliku koperty pismo.

– To jest pismo z sądu. Jako pełnomocnik Władka dostałem informację, że pierwsze posiedzenie sądu odbędzie się dwudziestego trzeciego kwietnia.

– O! – Anna uśmiechnęła się.

– Ponieważ nie ma ani słowa, że niezbędne są jakieś dodatkowe dokumenty czy uzupełnienia, wydaje mi się, że sprawa powinna być prosta.

– Ale to może okazać się dopiero potem...

– Sądzę, że Władek szybko zostanie prawomocnym właścicielem, a przepisanie na ciebie pójdzie już siłą rozpędu. To nie są skomplikowane sprawy. – Ryszard skubnął wąsika.

\*

Ostatnia sobota, poprzedzająca Wielki Tydzień, była pogodna. Jeszcze w piątek z rana padało, potem przyszedł wiatr na zmianę pogody, osuszył kałuże i postrząsał krople deszczu z gałęzi. Felcia z Anną wyszły na gazon poczyścić go trochę po zimie. Uśmiechały się do błękitków, które już wystawały ponad rabatki, cieszyły ze śladów innych wiosennych kwiatów, które zaczęły powoli opuszczać gościnną zimową ziemię, aby niedługo rozpocząć swoje kolejne kolorowe życie.

– Dzień dobry, mammo! Dzień dobry, Anno!

Od furtki kroczył uśmiechnięty Maciej.

– O! Przyjechałeś! Jak się cieszę... – Felicja wyprostowała się.

– Ja też się, Maćku, cieszę. – Anna spojrzała na niego, mrużąc po swojemu oczy.

– Mam nadzieję, że Kasia jest na miejscu, czy tak?

– Jest! Zaczniście przygotowywać kawę, a my za kwadrans, pół godziny dołączymy do was – rzuciła Felcia, gdy Maciej przywitał się z nimi.

– Wziąłem urlop aż do świąt, więc zdążymy się jeszcze napić kawy. Najpierw, jeśli Kasia się zgodzi, chętnie bym się przeszedł na spacer. Potrzebuję odetchnąć polami, lasem.

– Jesteś...! – ze schodów werandy cicho odezwała się Kasia. – Spacer... też myślałam o nim; chyba wyczytałeś w moich myślach... – Nadstawiła policzek do pocałunku; Maciej okręcił się i pocałował ją w usta.

Felcia i Anna uśmiechnęły się.

– Idziesz tak, czy coś innego nałożysz? – Kasia spojrzała pytająco. – Bo ja ubiorę się na sportowo. – Zakręciła się i ruszyła pędem w głąb werandy.

– Ja pójdę jak stoję! – zawołał za nią.

– Zaraz będę...! – doszedł go jej okrzyk z wnętrza domu.

Poszli miedzą w kierunku lasu.

– Myślałam, że jest ciut cieplej...

– Kasiu, wybacz mi – zaczął bez wstępów. – To zdarzyła się dawno – dotknął brzucha.

– To nie były grabie, niestety. Poznałem kiedyś kobietę...

Kasia przystanęła i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Mów... – Pokręciła głową, musnęła ustami policzek Macieja i wsunęła rękę w jego dłoń. – Chodźmy... – wyszeptala; Maciej podziękował jej spojrzeniem.

– Ożeniłem się, a niedługo potem wyjechałem na stację badawczą na Grenlandię. Okazja, żeby mieć dorobek naukowy, ciekawość życia, no i można było się dorobić. Wszystko razem.

– To było męczące... – Kasia zajrzała mu w oczy.

– Ja bym wytrzymał jeszcze ze trzy, cztery lata, ale... – spojrzał na nią niepewnie; ścisnęła dla odwagi jego palce. – Naiwny byłem, młody, głupi i zakochany. Po trzech latach coś mnie podkusiło, żeby sprawdzić, ile na koncie brakuje jeszcze do mieszkania własnościowego. W banku o mało co bym zemdlał. Zero na koncie, rozumiesz? Ze-ro! Kasjerka pokiwała głową. Taki wasz los, powiedziała. Kiedy wróciłem do domu, była w kuchni, kroїła mięso; trochę umiała gotować. Spojrzała na mnie i już wszystko wiedziała. Jak mogłaś, spytałem. Nawet nie krzyknąłem... – pokręcił głową – ...przecież ją kochałem. W jej oczach pojawiły się łzy, zacisnęła usta i zamachnęła się nożem, z całej siły, od dołu. Nawet nie zdążyłem się poruszyć. Poczulem pieczenie i ciepło w brzuchu. Wyszedłem z domu na miękkich nogach. Jakoś dotarłem na pogotowie, bo niedaleko miałem, a tam straciłem przytomność. Potem karetka, szpital, rozmowa z lekarzem dyżurnym. Trzeba wezwać milicję, powiedział. Uprosiłem go, żeby tego zaniechać, bo nie chcę zrobić jej krzywdy. Starszy człowiek, długo kręcił głową, ale zgodził się. On jeden wiedział, co się wydarzyło. Odwiedził mnie potem na oddziale wewnętrznym. Jedyne mój gość w szpitalu. Wrócił do rozmowy o mojej żonie. Powiedziałem mu jeszcze raz, że nie chcę jej skrzywdzić. Ona przecież skrzywdziła pana dopiero dwa razy, więc może pan poczekać na więcej, prawda? – spytał, a właściwie stwierdził. Powiedział mi, że podczas rozmowy z nim, kiedy mnie przywieźli karetką, podałem między innymi telefon domowy; ja tego nie pamiętałem, musiałem to zrobić bezwiednie, bo wówczas kolejny raz zemdlałem. Rozmówiłem się z pana żoną – dodał. Może pan złożyć dokumenty o rozwód, ona całą winę weźmie na siebie. Powiedziałem jej, że w rozmowach z nią będę pana reprezentował.

Maciej zatrzymał się.

Kaśka patrzyła rozszerzonymi oczami w jego oczy. Pojawiły się w nich łzy i zadręsa broda.

– Przepraszam cię, Maćku... Nie chciałam.

Objęli się ramionami i trwali długo w bezruchu. Maciej odchylił się wreszcie do tyłu i spojrzał w twarz Kasi.

– Powiedział mi ten lekarz wówczas jeszcze jedną rzecz – zamilkł na chwilę. – Nie będę mógł mieć prawdopodobnie dzieci, choć kiedyś trzeba by zrobić dokładne badania i ewentualnie wykonać jeszcze jedną operację. – Machnął ręką i wolno ruszył.

– I co, zrobiłeś te badania?

– Trzymałem się z dala od kobiet, miałem uraz.

Kaśka dogoniła go i złapała za dłoń.

– Ale jak to tak?

– Po tygodniu w szpitalu i rekonwalescencji zmieniłem konto, zlikwidowałem upoważnienie dla żony na wypłatę pieniędzy w pracy, załatwiłem sobie wyjazd z kolei na Antarktydę. Spędziłem tam cztery lata, zarobiłem na mieszkanie, w międzyczasie zrobiłem doktorat, obroniłem go, a reszta już poszła.

– A kobiety? – Przytrzymała go; ich wzrok się spotkał.

– Co mam ci powiedzieć?

– Prawdę... – Kasia zmrużyła oczy i pocałowała go w usta.

– W Polsce żadnych. Poznałem na stacji Angielkę, singielkę jak ja, i... polubiliśmy się. Pierwszy raz przespaliśmy się po trzynastym grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Byłem przybity, ona to widziała, pocieszała mnie i tak jakoś wyszło. Do tamtej pory nigdy nie robiłem sobie weekendów, wypadów na ląd, bo po co. Na Sylwestra poleciliśmy do Afryki Południowej.

– I co, Casanovo?

– Czy ty naprawdę chcesz, żebym o tym mówił? Może już dosyć? – chrząknął i poprawił na nosie lennonówki.

– Bo zanim ja tobie coś powiem, chcę się dowiedzieć, co ona...? No wiesz? – zachęciła go kuksańcem.

– Nie, to krępujące.

– No mów! – zawołała, śmiejąc się.

– Tylko jedno... powiedziała, że była raz na Mont Blanc, ale już więcej nie musi, bo ma to samo ze mną, bez strachu. – Teraz Maciej się zaśmiał.

– Wiesz... – poczekała, aż się uspokoił. – Ja byłam tylko na Kasprowym Wierchu, kiedyś kolejką, ale z tobą w Krakowie znalazłam się na Mount Evereście! – Wpiła mu się w usta. – Jak ja ciebie kocham, wariacie – wyszeptala, kiedy na chwilę oderwali się od siebie.

– Kasiu... dlaczego mnie spotkało takie szczęście?

– Trzymał jej twarz w dłoniach; jego twarz, całe ciało śmiało się. – Kasiu! – zawołał i rozejrzał się wokół.

– Wracajmy na kawę, chcę, żeby wszyscy zobaczyli, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi! – Znowu wpiła się w swoje usta.

Szli szybkim krokiem w kierunku domu, jakby się do czegoś spieszyli. Kiedy usiedli zdyszani przy stole, Maciej złapał Kasię za dłoń; Felcia i Anna podążyły za tym gestem wzrokiem i uśmiechnęły się.

– To co, Maćku, lada dzień będą przebiśniewi? Zawiązki widzieliście? – Felcia przenosiła wzrok z Kaśki na Macieja i z powrotem.

– Tak, mammo! A skoro nawet i u ciebie błękitki na gazonie się wykluły, krokusy

spęcniały i tulipany pokazały liście, no to chyba naprawdę zaraz będzie wiosna! – powiedział Maciej, pięknie modulując swój baryton.

Dawno go tutaj nie widziano i nie słyszano tak wesołego. Twarz Anny, która spoglądała to na córkę, to na Maćka, też promieniała radością.

\*

We wtorek Anna wybrała się z Ryszardem do Bytowa, by pobobrować po sklepach z upominkami. Lubiła sprawiać przyjemność i obdarowywać „zajęczkami” swoje dziewczynki, a teraz „Iskierkowa” rodzina postawiła przed nią znacznie większe wymagania.

– Ryszardzie, zatrzymajmy się na chwilę przy kapliczce – poprosiła, gdy minęli ostre zakręty tuż za Parchowem. – Tyle razy ją mijam i zawsze jakoś nie pasuje... – rozłożyła ramiona.

– Dobrze, Anno.

Zaparkowali przy skrzyżowaniu, z którego odchodziła wąska droga w kierunku Jamnowskiego Młyna.

– Pieta<sup>[5]</sup>... Nie myślałam, że to takie чудо – powiedziała Anna cicho, kiedy stanęła przed figurką. – A wiele razy zastanawiałam się, co to może być... Na spacer też trochę tutaj nieporęcznie... – Spojrzała na Ryszarda z miną, jakby chciała się wytłumaczyć.

– Ładna kompozycja; biała rzeźba z elementami różowymi i ciemnobrązowy krzyż za nią. No i masywny postument – dopowiedział Ryszard.

– Jakież skarby mamy pod nosem! – Anna była uradowana. – Spójrz, już nawet są bazy, żółte prymulki i kolorowe wstążki – taksowała otoczenie rzeźby.

– *Matko Bolesna, módl się za nami* – przeczytała napis na postumencie. – Nasze wzgórze musi być szczęśliwe, mając taki skarb u swoich stóp.

– Ładnie to ujęłaś. – Ryszard obszedł drewniany brązowy płotek wokół figurki i stanął za nią. – Chodź, zobacz, jaki tutaj jest napis!

– *Ofiara Józefa i Marji Poblóckich, 1928r.* – przeczytała głośno Anna, kiedy podeszła do niego. – Szczodrzy ludzie... – pokiwała głową. – Sporo ma już lat ta figurka. Po powrocie spytam Felcię o tych ludzi, bo pewnie gdzieś tutaj niedaleko mieszkali, czy nadal mieszkają.

Kiedy ruszyli dalej, Annie przypomniało się jeszcze, że już wiele razy Felcia dopytywała ją, czy widziała przedwojenny budynek przejścia granicznego w Jamnie.

– A nie zatrzymywałyście się nigdy przy nim? – Ryszard zerknął w jej kierunku.

Anna zaprzeczyła. Za kilka minut byli na miejscu. Budynek stał przy samej drodze.

– Wygląda jak dworek! – zachwyciła się Anna.

– Pięknie utrzymany. Ładny dach i okna u góry. Nawet tam muszą być wysokie pokoje – oeniła ze znanstwem. – Spójrz, tutaj ktoś mieszka. – Wskazała na firanki w oknach i kwiatki w skrzyńkach.

– Ile razy bym tędy nie przejeżdżał, zawsze było tu elegancko. Gospodarze muszą mieć smak. Spójrz na kolumny po bokach drzwi wejściowych i na pergole przy nich, jak ładnie się komponują z całym budynkiem.

Weszli na kilka schodków w górę, ale po chwili zeszli z powrotem.

– Nie będziemy gospodarzom przeszkadzać... Spójrzmy jeszcze raz na budynek z drugiej strony szosy – poprosiła Anna.

– Zabudowania gospodarcze, które widać z tyłu, też pewnie są tu od przedwojnia – wskazał Ryszard.

– Ciekawe, jak Jan i Jutka wytłumaczyli się tutaj

– przyszło Annie do głowy.

– Myślę, że tutaj nie było problemów, gorzej było po stronie niemieckiej.

– A wiesz, ja sobie kiedyś wyobrażałam, że pogranicznicy z Polski i Niemiec urzędowali tutaj w jednym budynku.

– A widziałas już gdzieś takie cudo? – Ryszard spojrział na Annę, uśmiechając się.

– Prawdę mówiąc, nie...

– Za kilkaset metrów, w Pomysku, jest budynek, w którym urzędowali Niemcy. – Wyciągnął dłoń w kierunku Bytowa. – Tam na pewno mieli trudniej, ale jak wiemy, Jan dał radę.

Po kilku minutach zatrzymali się i tam. Piętrowy, pokryty brązowymi deskami budynek, a obok drugi, nieco mniejszy – stanowiły dawny kompleks graniczny po stronie niemieckiej.

– Też wciąż zamieszkane budynki – rzuciła Anna.

– Ale ten po naszej stronie ładniejszy – uśmiechnęła się.

– Nasz jest stylowy, sarmacki, jak by powiedział Henryk. – Ryszard skubnął wąsika; Anna pokiwała głową. – Po stronie niemieckiej wszystkie budynki przejść granicznych, przynajmniej tu, na Kaszubach, były zbudowane w tym samym stylu. W domu mam nawet jakieś materiały dotyczące przedwojennych przejść granicznych w naszym regionie, więc może kiedyś przywiozę je do „Iskierki” żebyście mogli wszyscy pooglądać.

– To może być ciekawe!

Po nieco ponad trzech godzinach byli z powrotem w Parchowie.

– Felciu! Obejrzałam wreszcie kapliczkę za parchowskimi zakrętami!

– To ty nigdy wcześniej nie zatrzymałaś się tam?

– zdziwiła się Felcia. – Żartuję. Pamiętam tamtych Pobłockich – powiedziała z namysłem. – Mieli duże gospodarstwo i byli dobrymi Kaszubami, i Polakami. Zasłużyli się dla Parchowa, a figurka z krzyżem to ślad po nich na naszej ziemi po wsze czasy.

– A potem zatrzymaliśmy się jeszcze przy przejściu granicznym! – Anna uśmiechnęła się do Adeli, która towarzyszyła Felci.

– Byłam pewna, że już dawno obejrzałyście ten budynek. Czekałam tylko na to, aż mi o tym powiesz, by w zamian opowiedzieć ci coś, co może cię zainteresować. Przyniosę tylko zdjęcia.

– To nie mogłaś mi sama przypomnieć, Felciu?!

– Mogłam... ale też zawsze zapominałam! Tyle tu się wciąż dzieje! – zachichotała i skierowała się do sieni.

Po chwili była z powrotem, trzymając w dłoni kopertę.

– Dziadek lubił nowości i grał na bandonii, a potem na akordeonie; tata też trochę na nim grał. Dziadek, pierwszy we wsi, miał też aparat fotograficzny i robił zdjęcia prywatne i na różnych imprezach. Posegregowałam kiedyś te fotografie... – popukała palcem w kopertę – ...tę podpisałam: Straż Jamno – Ignacy Wasielewski.

– A któż to był Ignacy Wasielewski<sup>[6]</sup>? – Anna spojrzała na Felcię.

– Ważna osoba! On służył na przejściu granicznym! W trzydziestym ósmym roku

pewnie też tam był, kiedy Jutka z Janem pędzili do Bytowa.

– No, ale był czy nie był? – dopytała Adela.

– Czy tego dnia akurat tam był, tego nie wiem, ale służył tu!

– No tak, jasne.

– Słuchajcie więc i oglądajcie...

– Felciu, jeśli tylko pozwolisz... – wtrącił się Ryszard. – Mówiłem Ani po drodze, że mam w domu materiały dotyczące strażnic, przejść granicznych przed drugą wojną na Kaszubach. Pamiętam, że jest tam także coś o Jamnie. Przy opisie każdego przejścia pojawiają się nazwiska. Przywiozę kiedyś, może będzie coś o Ignacym Wasielewskim.

– Jo! – skwitowała Felcia z uśmiechem i wyciągnęła z koperty zdjęcia. – Spójrzcie. To jest ten sam budynek przed wojną. Nie pytajcie mnie o lata, bo nie wiem, ale na górze schodów, po lewej stronie stoi Ignacy z dzieckiem na ręku. Wiem, bo tata napisał na odwrocie: Ignac z dzieckiem, a i ja go rozpoznałam. – Podała zdjęcie Annie. – U góry w oknach pewnie jego żona i niektóre z ich dzieci.

– Ten sam budynek! Tylko na dole były okiennice, a teraz ich nie ma.

– Pan Ignacy ożenił się z Kaszubką z Jamna. To była Agnieszka z domu Pałubicka. Pamiętam ją i jej rodzinę, bo dziadek i rodzice znali się z nimi. Na tym zdjęciu widać, że urodziwa była z niej dziewczyna – uśmiechnęła się Felcia.

– Z drugiej strony fotki jest data trzydziesty drugi rok – przeczytała Anna, spoglądając na Felcię.

– Kiedyś już przyjechałam, widząc tę datę, że chłopczyk na kolanach taty to mój rówieśnik Tadeusz, z którym potem chodziłam na religię – Felcia uśmiechnęła się. – Na tym zdjęciu z kolei Ignacy jest tylko z żoną, chociaż spojrzałam na uwagę dziadka: Wasielewscy z dziećmi. Albo mu się notatka pomyliła, albo była inna odbitka, bo zdjęcie tu na środku jest prześwietlone i dzieci nie widać.

– Jakież tam wisi oryginalny obraz! – zauważyła Anna; podała zdjęcie, jak poprzednie, Ryszardowi.

– To z kolei jest zdjęcie albo z komunii świętej Zygmunta, albo z jakiegoś innego święta, bo Rozalka ma na głowie wianek. – Felcia postukała palcem po fotce.

– Oni, zanim stąd wyjechali, mieli piątkę dzieci; w trzydziestym szóstym urodził się Wacuś.

– Ładne dzieciaki... – Anna przymrużyła oczy.

– O, na tym zdjęciu ze szlabanem Ignacy stoi pośrodku... – Felcia podała Annie kolejną fotografię.

– A z następnym zdjęciem wiąże się piękne wspomnienie, bo przedstawia jedną z orkiestr jednostek granicznych, które koncertowały w Parchowie. Ignacy grał w niej na klawirze... Musiała być wczesna wiosna albo późna jesień, bo na krzaku nie ma liści. Ale najważniejsze! Spójrzcie! Oni stoją na tle przedwojennego budynku sołectwa w Parchowie! – Felcia aż podskoczyła.

– A ilu ich było na przejściu granicznym w Jamnie?

– Bo ja wiem... Pamiętam, jak Ignacy mówił kiedyś tacie, że z samego Poznania jest ich siedmiu, dlatego tutaj dobrze się czuje.

– Z Poznania? – zdziwiła się Anna.

– I teraz sobie myślę, że to mógł być powód, że tak szybko przepuścili ich samochód przez przejście! – Felcia pokiwała głową.

– Może... kto wie? – zgodził się Ryszard.

– Pamiętam też, że Ignacy grywał z tatą i innymi kolegami na zabawach, uroczystościach rodzinnych i różnych imprezach. W twoje chrzciny, Aniu, było ciepło, więc przyszli też i tobie zagrać. – Felcia pochwyciła jej dłoń.

– Na chrzcinach urządzało się tutaj zabawy? – zdziwiła się Anna.

– Nie! Oni tego dnia mieli grać we wsi na jakimś weselu, ale że Broniek i Krysia byli we wsi bardzo lubiani, to zrobili im i tobie prezent. Pamiętam, jak wodziłaś za nimi oczkami.

– To rzeczywiście było sympatyczne z ich strony...

– Anna przymrużyła oczy.

– Pogranicznicy często bywali u nas we wsi. Kiedyś przyjechała nawet ciężarówka z książkami i można było sobie wypożyczyć. Był tu także kiedyś ich teatr... o orkiestrach już mówiłam. Próbowali nawet pomagać założyć harcerstwo, byłam na spotkaniu z jednym z żołnierzy przed wakacjami trzydziestego dziewiątego roku, ale zaraz przyszła wojna i... – Felcia posmutniała.

– To masz ciekawe wspomnienia, Felciu – pochwalił Ryszard.

– Pamiętam, że latem trzydziestego dziewiątego roku żegnaliśmy ich przy przydrożnym krzyżu w Jamnie. Piękna uroczystość. W przeddzień rodzice gościli na obiedzie u nas całą rodzinę Ignacego; mieli wówczas pięcioro dzieci. Jego żona, Agnieszka, powiedziała wtedy w tajemnicy mamie, że jest w ciąży. Wiem, bo zawsze siedziałam tuż przy mojej mamie. Czyli potem mieli już sześcioro dzieci. A on zginął zaraz na początku wojny, ale gdzie i jak, nie wiem...

– Postaram się przejrzeć te swoje materiały i jeśli znajdę w nich coś ciekawego, to przywiozę – obiecał paniom Ryszard.

\*

Wielki Tydzień minął szybko. Maciej wspólnie z ojcem kursowali do południa pomiędzy Parchowem a Bytowem w charakterze dostawców. Część towarów zanosili wprost do kuchni Felci, inne zaś surowce do kuchni w stodole, którą Stach zdążył „zorganizować” jeszcze w lutym. Obie kuchnie ustaliły wcześniej między sobą, która co przygotowuje. Sebastian, szefujący tej w stodole, od środy zrobił sobie urlop i przystąpił do przygotowań dań mięsnych i wędlin, zaś Felcia, Anna i Adela zajęły się w „Iskierkowej” kuchni ciastami i sałatkami warzywnymi. Obie kuchnie współpracowały na wesoło, wybierając dania i przysmaki z różnych regionów. Adam z Henrykiem i dziećmi przez kilka wieczorów szykowali w stodole salon na śniadanie wielkanocne. Salon został obficie „ujajczony” i „uzajączkowany” – jak to nazwała Kasia, ale nie brakło także baranka wielkanocnego, tradycyjnego symbolu tego święta. Wiele było także akcentów związanych z królującą od kilku dni wiosną.

W niedzielę, po kościele, salon zaczął się z wolna zapełniać. Felcia i Jan powitali wszystkich przy wielkanocnym stole święconym jajkiem. Jeszcze przed rozpoczęciem śniadania, nie czekając, aż wszyscy zakończą składać sobie życzenia, Henryk podał Annie opasłe tomisko.

– Anno, moja dobrodziejko! – skłonił się z galanterią; Anna obdarowała go uśmiechem. – Oto, jako prezent od „zajączka”, wizja architektoniczna siedliska. Mam nadzieję, że wspólnie... – wskazał dłonią w kierunku Adama – ...udało nam się odczytać twoje myśli i słowa... – lekko pochylił głowę – ...i zgodzisz się na rozpoczęcie właściwego



projektowania. Staraliśmy się nie naruszyć naturalnego ukształtowania terenu i zaplanowaliśmy wszystkie budynki tak, aby cieszyły wzrok, miały duszę i spełniały oczekiwaną funkcjonalność. – Henryk podkręcił węża i się uśmiechnął.

– Dom mieszkalny, hotelik i stajnia, a także plac

zabaw dla dzieci, ogródek czy parking, będą oddzielone zagajnikami z drzew iglastych, skwerkami, gazonami, wśród których staną niewielkie altanki i mostki nad strumykiem z kaskadami, zaś ule w zagajniku kwitnących krzewów i lip dopełnią całości. Będzie pięknie i sielsko... – ramieniem zatoczył łuk w powietrzu. – Na skraju siedliska, bliżej lasu, stanie nasz dom... – głos Henrykowi zdrztał; wskazał na Adelę i dzieci – ...z prawdziwych bali... – ze wzruszenia aż zaniemówił.

– Henryku, dziękuję... i tobie, Adamie, również.

– Anna wyczuwała obu panów, a po kilku chwilach wertowania książki rzekła: – Pozwólcie, że teraz ją odłożę; myślę, że po śniadaniu objaśnicie mi to i owo.

Śniadanie przebiegło w miłej atmosferze. Posiłek rozpoczęto żurkiem z białą kielbasą na ciepło. Potem każdy sięgał do półmisek z plasterkami szynki, baleronu, polędwicy, pasztetu, schabu na zimno, fantazyjnie ułożonymi na liściach sałaty, przystrojonych pomidorami koktajlowymi, winogronami i kawałkami pomarańczy. Były też jajka faszerowane nadzieniem z pieczarek, kolorowe pisanki, jajka przepiórcze, rolada serowa pokrojona w plastry i sałatka jarzynowa. Apetyt dopisywał wszystkim.

– Henryku, ciągle myślę o tym domu z bali, o jakim powiedziałeś na końcu swojej mowy. Zresztą zauważyłam też rysunek takiej chaty. Dlaczego właśnie taka konstrukcja? – Anna spojrzała na Henryka.

– Mówiłem już wiele razy o mojej sarmackiej obsesji... – podkręcił węża. – Dom z bali jest jej elementem. Czy wiesz, że on może stać grubo ponad sto lat? Trzeba go oczywiście doglądać, konserwować, ale moim marzeniem było chociaż trochę pomieszkać tak jak kiedyś Sarmaci. Przekonałem do tego moją rodzinę, chociaż nie było łatwo.

– A skąd weźmiesz taki budulec? – spytał Jan.

– Aaa! Mam już od jakiegoś czasu kontakt z brygadą góralską z Białki Tatrzańskiej. Niedaleko Nakła trafiłem przypadkowo na budowany zajazd z bali. Potem jeździłem dwa razy w tygodniu oglądać postęp prac. Nazywali mnie inspektorem – zaśmiał się. – Taka chata to jest coś cudownego i prawie niezniszczalnego. W środku ciepło jak w uchu, nawet w najcięższe mrozy, a nade wszystko zdrowo. Żadnych chemicznych środków konserwujących, tylko same naturalne...

– Ustąpiłyśmy mu, bo jeśli to jest jego życiowe marzenie, to niech mu się spełni – Adela przerwała tyradę Henryka.

– Jesteś cudowną żoną... – Felcia pokręciła z uznaniem głową.

– A ty, Felciu, opowiadałaś, że tam, gdzie Jan ma teraz gabinet, miałaś salonik ze swoimi bibelotami i też z niego zrezygnowałaś – uśmiechnęła się Adela.

– Bo wy wszystkie jesteście cudowne! – Jan uniósł obie dłonie ponad stół i potrząsając nimi, spoglądał na siedzące wokół niego kobiety.

– Pozostał ci jeszcze wyćwiczony gest kapłański...

– Ryszard mrugnął w stronę Jana.

– Nawet nie pomyślałem o tym – zawstydził się Jan. – Powiedziałem to szczerze.

– Nikt co do tego nie ma wątpliwości. – Felcia pogłaskała go po dłoni. – Ja się bez mojego saloniku mogę obejść, wiele lat go miałam, a teraz, kiedy jesteś wreszcie przy mnie,

w zupełności mi wystarczasz. Po co mi jakieś bibeloty?

Zrobiło się jeszcze milej i cieplej. Kiedy wszyscy nieco zmęczeni się jedzeniem, Anna położyła przed sobą księgę z rysunkami Henryka i Adama.

– Domyślałam się, że jako architekci macie pewne umiejętności, zdolności, ale te rysunki same w sobie stanowią dzieła sztuki. Nawet gdyby siedlisko nigdy nie powstało, to zawsze będę miała co oglądać! – Anna strzeliła oczami na boki.

– Ania! – wrzasnęła Felcia. – Znowu zaczynasz?

– Tak mi się tylko powiedziało. Przepraszam!

– Anna zmieszała się.

– To niech ci się już nigdy, pamiętaj, nigdy, tak nie powie! Włodek wszystko tobie potwierdził, tak mi przekazałaś... – spojrzała wzrokiem pełnym błyskawic w jej stronę – ... więc dzisiaj tylko podziwiał... albo zgłaszaj reklamacje – zachichotała.

– Ojeju! – Anna machnęła dłonią. – Felcia ma rację. Żebyście wszyscy wiedzieli na przyszłość... – rozejrzała się wokół – ...oni tego nie zrobili dla jaj... – wskazała na „jajeczne” dekoracje w salonie – ale na poważnie. Będzie tak, jak na tych rysunkach. Podziwiałam zdolności, możliwości, efekty pasji Henryka w „Zielonym Dworze”, więc wiedziałam, że i tu wszystko będzie mi się podobać.

Henryk podkręcił węża i głęboko odetchnął.

– Spójrz, Felciu! Część zabudowań będzie też szachulcowa!

Felcia przesiadła się na sąsiednie krzesło. Teraz ona przewracała karki i poruszała z podziwu głową.

– Wyście to sami wymyślili? – Spojrzała na Henryka i Adama, którzy usiedli naprzeciw.

– Tak! Tak! – grzecznie jak sztubacy odpowiedzieli jeden po drugim.

W salonie rozległ się śmiech.

– Więc słuchajcie... – Anna ściszyła głos i nachyliła się nad stołem – ...bo drugi raz nie powtórzę – roześmiała się; Kasia i Eliza przybiły sobie piątkę. – Kiedy tylko Władka sprawa przed sądem zakończy się pozytywnie, można będzie formalnie zacząć występować o te... no te... – spojrzała pytająco na Adama, mrużąc oczy.

– Pozwolenie budowlane! – wykrzyknął Adam.

– No właśnie – skinęła Anna. – A wiecie co? W najbliższych dniach warto byłoby zrobić z tego albumu ksero i wysłać Władkowi... – spojrzała znowu na Adama.

– Jeśli dacie mi adres mailowy, zeskanuję u siebie i prześlę Władkowi sam. Będzie już miał rysunki przed sobą, zanim twój głos, Anno, tam doleci – mrugnął.

– No dobrze, dziękuję, tak zrobimy! Powiedzmy, że na sobotę zaplanuję rozmowę, wystarczy?

– Możesz nawet w środę. Przypomniałem sobie, że mam ze sobą aparat firmowy... – mrugnął – ...dzisiaj wieczorem porobię zdjęcia i można wysłać nawet jutro! – Adam pokazał kciuk.

– Super! To jutro porozmawiamy jeszcze na spokojnie.

\*

W wejściu do salonu stanął Stach Janik z żoną i patrząc na stół, złapał się za głowę.

– Czy w tym Parchowie wszyscy poszaleli? Poszliśmy się trochę przespacerować, żeby odpocząć od stołu, a Stefa mówi, zajdźmy i złożmy życzenia. – Stefa dała mu kuksańca. –

A nie! To ja tak mówiłem, a ona powiedziała, żeby dać wam spokój! He, he, he! Ale jednak przyszła za mną!

Salon zatrzęsł się od śmiechu.

– No więc tak myślałem, że u was da się trochę odpocząć od jedzenia... – Stach kontynuował tyradę – ...ale was też zdrowo poniosło! – Wskazał głową na stół. – A nie można było zrobić tak jak na co dzień, normalnie? Pajda chleba i szmalec? He, he, he!

– Stachu, daj już spokój! – Stefa nie wiedziała, czy się zaśmiać jak inni, czy strofować męża.

– No dobra! To życzę wszystkim wszystkiego najlepszego, a teraz chyba coś posmakuję, bo taki kawał się przeszedłem, że... zgłodniałem! – Diana z włączonymi dołączkami właśnie stawiała przed nimi talerze. – Ale jak zjemy, to moglibyście pójść z nami na spacer. – Łypnął wzrokiem w jedną i drugą stronę. – A właściwie to idźcie już teraz, to nie będziecie mi patrzeć na talerz. He, he, he!

– Stachu, i jak tu cię nie kochać! – Kasia potargała go po czuprynie.

– Widzisz, Stefa, jak ja mam? Co chwilę mnie jakaś cizia zaczepia... – spojrzał na żonę.

– I tak rzadko ulegam! He, he, he!

Salon kolejny raz zatrzęsł się od śmiechu.

\*

Na stole pojawiły się ciasta: babki, mazurki, placki, a nawet białostocki sękacz, prezent od babci Julii.

– O, Igorek! – zawołała nagle Felcia, której wzrok zbłądził w stronę wejścia do salonu.

– Siadaj, chłopcze!

– Kartuzy życzą wszystkim zdrowych i spokojnych świąt Wielkiej Nocy! – zawołał Igor, rozglądając się wokół.

Eliza z pewnym ociąganiem podeszła do niego.

– Myślałam, że raczej jutro przyjedziesz – szepnęła i nadstawiła policzek; Igor spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem.

– Rodzice wybrali się do kuzynostwa, a ja jakoś nie miałem ochoty. Mogę zostać nawet do jutra... – przerwał, gdyż dostrzegł cię niechęci czy też zniecierpliwienia na jej twarzy.

– A na jutro masz jakieś plany?

– Wyspać się, może spacer... – wzruszyła ramionami; Igor zmarszczył brwi.

Usiedli przy stole. Igor od czasu do czasu z kimś zamienił słowo, uśmiechnął się, ale czuł się dziwnie. Od chwili wejścia do salonu czuł także na sobie wzrok Diany, czasami uśmiechnął się do niej. Dostrzegał, że wówczas włączały jej się dołączki i zaraz odwracała wzrok w inną stronę. Kiedy dojrzał na stoliku pomiędzy kredensami dziwną księgę, spytał Elizę, co to takiego.

– Możesz obejrzyć, to wizja siedliska. Henryk i Adam ją przygotowali – poinformowała go chłodno; spojrzał na nią zdziwiony.

Po chwili przesiadł się na fotelik. Przewracał strony. Diana siedząca w pobliżu odwróciła się z krzesłem w jego stronę i czasami coś komentowała. Kiedy podnosił na nią wzrok, za każdym razem widział uśmiechnięte dołączki. Eliza zerkała w ich stronę i wzruszała ramionami. W pewnym momencie Igor wyciągnął komórkę, spojrzał na ekran, nacisnął przycisk, czytał esemes. Po chwili przeprosił i wyszedł z salonu. Gdy wrócił, Eliza

spojrzała na niego. Wskazał na telefon.

– Niestety, muszę przeprosić – rzekł, rozkładając ramiona. – Tata prosi, żebym przyjechał, bo chcą jeszcze dzisiaj pojechać z kuzynostwem do Gdańska. Ciotka nie bardzo się czuje...

– Ale tak nagle? – Eliza spojrzała na niego z niedowierzaniem

– Takie życie... ale w zasadzie to może i dobrze?

– Spojrzał na nią nieco dziwnie.

Eliza wyczuła w jego wzroku nutę ironii. Co ja znowu odwalam? Przecież można to było inaczej załatwić, kiedy indziej, a nie dzisiaj! Potarła czoło.

– Coś się stało, Igorze? – zainteresowała się Anna, widząc emocjonalną rozmowę między chłopakiem a Elizą.

– Muszę, niestety, wrócić do domu, bo tata potrzebuje samochodu; chcą, czy muszą pojechać do ciotki.

– Podszedł do krzesła Anny. – Tego nie planowali. Ale może jutro wpadnę...? – uśmiechnął się; przeniósł wzrok na Elizę, ale z jej twarzy nie wyczytał niczego.

– No, niestety, czasami tak bywa... – włączyła się Felcia. – Tylko przyjeżdż z rana. Jest tyle dobrego do jedzenia, a ty lubisz pojeść...

– Tak! – uśmiechnął się. – Bardzo lubię. – Pokiwał głową i jeszcze raz spojrzał na Elizę; żadnego sygnału.

Zdziwił się, że za nim wyszła. Do bramy dotarli bez słowa.

– To pa! – rzucił, wsiadając do samochodu.

– Pa – odparła cicho.

Ale mnie załatwił. Bez słowa! Ja to muszę jakoś inaczej rozegrać, bo będzie się ciągnęło w nieskończoność! Odwróciła się, gdy samochód Igora zniknął za wzgórzem. Dojrzała, że od stodoły idzie w jej kierunku Diana.

– Może się przespacerujemy? – zagadnęła Elizę.

– Teraz...? Albo dobrze, pójdźmy. – Eliza skinęła głową. – Za pięć minut przy bramie? – spytała; Diana podniosła dłoń.

Ruszyły w kierunku wsi.

– Ależ wesoło... tylko że ja lubię od czasu do czasu trochę się poruszać, rozprostować nogi. – Dianie w uśmiechu włączyły się dołeczki. – Wiesz, w zajeździe byłam ciągle na nogach, a tutaj muszę sobie szukać okazji do chodzenia.

– Ja w zasadzie też lubię ruch, ale czuję, że przez te pół roku zasiedziałam się. – Eliza klepnęła się w biodro. – Stachu to wesoły człowiek, prawda? – uśmiechnęła się.

– Mhm. Wesoły... – Diana urwała i spojrzała na Elizę. – Twoja babcia i Felcia cały czas wpatrzony były w Igora...

– Mówisz?

– Nie mów, że tego nie widzisz. Udał ci się on.

Eliza spojrzała na Dianę; ta pokiwała głową.

– Rzadko tacy się zdarzają. Spójrz, mógł ojcu coś odpowiedzieć, że... no, cokolwiek, a on bez gadania prosto do samochodu.

– Przyznaję, że jest akuraty.

– Albo jak Felcia napomknęła, żeby jutro przyjechał z rana. Tylko się uśmiechnął i... zgodził się. – Dołeczki na policzkach Diany znowu zadrgały. – Powiedz mi, jeśli możesz, czy ty się na Igora gniewasz?

– Nie, chyba się nie gniewam. – Eliza zmarszczyła się i na moment zamilkła.

Zerkała na Dianę. Kiedyś Wika coś mi mówiła o Igorze, teraz ta. A wcześniej mama. Każda chce mnie prostować. Dlaczego tak się dzieje? Może to jednak ze mną jest coś nie tak?

– Wiesz co, Diano, zmieńmy temat – uśmiechnęła się do niej. – Powiedz mi, jak tu w ogóle spędzasz czas?

– To dobre pytanie... – Na policzkach Diany znowu pojawiły się dołeczki. – Rozleniwiłam się. Mam za mało zajęć. Ala z Sebastianem jeżdżą do Bytowa i chwają sobie, a ja w czym się tylko da, staram się wspomagać Felcię i jeszcze się nudzę. Tyle tylko, że Ewelinka zaczyna patrzeć na mnie krzywo.

– A dlaczego?

– Pewnie się boi, że Felcia nie da jej dodatkowych groszy, bo ja zabieram jej pracę.. – Diana nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy zrobić smutną minę.

– Posłuchaj, rozmawialiśmy kiedyś o studiach...

– Eliza spojrzała na Dianę. – Babci komputer stoi prawie cały dzień wolny. Pomyśl najpierw, co ci w duszy gra, zrób sobie listę, a potem szukaj po internecie. Za rok, dwa, może ci się już nie chceć.

Diana zatrzymała się. Jej wzrok przesuwiał się to w lewo, to w prawo, wreszcie zatrzymała go na Elizie i uśmiechnęła się. Dołeczki się włączyły.

– Tak właśnie zrobię! Widzisz, że spacer się przydał?

– Jo! – Eliza zaśmiała się w głos. – Tak trzymaj!

– śmiały się obie.

\*

Adamowi momentami wydawało się, że Miłosz na niego spogląda. Rozmawiał właśnie z Ryszardem i Kasią, kiedy znowu poczuł wycelowany w siebie jego wzrok. Uśmiechnął się do niego i zaprosił go bliżej. Miłosz rozejrzał się na boki, ale Adam ponowił gest; Miłosz skinął głową.

– Nie chciałem przeszkadzać...

– Tak sobie tylko świętecznie gadamy o siedlisku

– Adam mrugnął.

– Wyszukałem niedawno w internecie pana nazwisko i pojawiło się sporo ciekawych projektów, których pan był autorem. – Chłopak podniósł kciuk do góry.

– Niektóre takie, że hej!

– Dlatego właśnie rozmawiamy, jak Adam teraz do tego podejździe – Ryszard wskazał na album. – Będzie musiał projektować zupełnie w innym stylu, albo nawet poziom obniżyć... – zaśmiał się.

– Pojawiało mi się wówczas podobne pytanie. – Miłosz pokiwał głową i przysunął sobie krzesło w poblizze foteli, gdzie siedzieli. – Obejrzałem na przykład centrum konferencyjne w Pizie, które pan zaprojektował, i aż mnie wcisnęło w krzesło.

– Bo to jest tak...! – Adam spojrzał wokół; dojrzał Henryka i skinął na niego, po czym poczekał, aż Henryk usadowi się obok. – Henryku, mamy akademicką dyskusję na temat poziomu, stylu projektowania naszego siedliska.

– Najprościej mówiąc, musimy wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności... – Henryk

zaczął z patosem.

– Słyszycie? – Adam spojrział na Miłosza, a potem na Ryszarda i Kaśkę.

– Może to wydać się dziwne, ale im coś ma wyglądać mniej okazale, czy też zwyczajnie wkomponować się w otoczenie, tym z reguły projektanta czeka trudniejsza praca. – Henryk podkreślił węża. – Nowy obiekt nie może naruszać istniejącej wcześniej harmonii, trzeba temperować swoje czasem rozbujane pomysły, żeby pokazać się, wyżyć. Adam będzie miał ciężko, ale... poradzi sobie!

– Szkoda, że nie znałem Henryka wcześniej, bo byśmy wygrali kilka konkursów, gdzie niewiele nam zabrakło... – Adam poklepał Henryka po ramieniu.

– Dobrodzieju, ale pojechałeś! – Henryk odsłonił zęby.

– Nie! Masz nadzwyczajne wyczucie krajobrazu, przyrody, zwracasz uwagę na szczegóły... jak wówczas z drzewami na brzegu lasu – roześmiał się Adam.

– Ale warto było pójść i nawet się zmoczyć w tym śnieżnym rowie... – Henryk zwrócił uśmiechniętą twarz w kierunku Felci.

Podeszła Marysia i przysiadła na krześle Miłosza; syn przytrzymał matkę za ramię.

– Pan Adam z panem Henrykiem wyjaśniają mi, że muszą obniżyć loty, by nie schrzanić siedliska – powiedział z pewnym zdziwieniem Miłosz; Marysia zrobiła okrągłe oczy.

– Nie dziw się, Marysiu, twój syn ma fajne poczucie humoru i znakomicie spuentował to, o czym powiedział Henryk. Musimy przy projektowaniu siedliska po prostu zejść na ziemię, a nie bujać w obłokach. – Adam pokiwał głową.

– To właśnie miałem na myśli! Wyczuł mnie pan!

– Miłosz wyciągnął przed siebie zwiniętą pięść, a Adam przytknął swoją i zrobili żółwika; roześmiali się.

## *Kolorowy prezent*



Poszło o dodatkowe drzwi do kuchni w stodole. Jan rzucił Stachowi pomysł, żeby popatrzył, czy nie zmieszczą się drzwi wprost z kuchni na zewnątrz, żeby ograniczyć wędrowniki przez stodołę przy gościach.

– Jak się da, to się zrobi – odparł wówczas Stach, tylko łypiąc okiem, a dzisiaj przywiózł bez zapowiedzi drzwi.

Kiedy Jan zobaczył przez okno Stacha z przyczepą, nałożył w sieni chodaki i ruszył w kierunku werandy.

– A ty dokąd? Co tam Stach ma robić, o czym ja nie wiem?

Jan zaczął nieporadnie tłumaczyć. Z każdym kolejnym zdaniem był coraz czerwiejszy, a Felcia coraz głośniejsze wykrzykiwała.

– Ale w ogóle dlaczego mi się wtrącasz! – wrzasnęła wreszcie; Jan z wrażenia aż przysiadł.

– Felciu, przecież tak będzie poręczniej... – czerwony jak burak Jan próbował coś jeszcze tłumaczyć.

– Zresztą chciałem ci zrobić niespodziankę – rzucił, myśląc, że tym ją udobrucha.

– Już kiedyś o tym mówiliśmy! – Uderzyła pięścią w stół. – O wszystkim ja decyduję! – wrzasnęła kolejny raz.

– Uspokójcie się! Cicho! – powstrzymał ich krzyk; w drzwiach kuchni stała Anna z wyciągniętą uspokajająco dłonią.

– Bo... – Felcia próbowała coś wyjaśnić, ale Anna pokręciła głową. – Siadajcie.

– Ja już bardziej nie mogę usiąść... – Jan zrobił pocieszoną minę.

– A ten jeszcze dowcipkuje! Krucafuks!

– Cicho bądźcie! O co wam poszło? Kto zaczął?

Felcia i Jan spoglądali po sobie.

– Ja namówiłem Stacha, żeby zrobił w stodole drzwi zewnętrzne do kuchni... To miała być dla Feli niespodzianka – zaczął niepewnie Jan.

– Może to niegłupi pomysł z tymi drzwiami, ale sam pomysł, Janie... Felcia i niespodzianki! – Anna wysunęła wargę i wzruszyła ramionami.

– Czemu zaraz na mnie? Każdy lubi niespodzianki, ale te drzwi są po prostu do kitu! – rzuciła ze złością Felcia.

– Czyli gdyby były lepsze, może byś nie miała nic przeciw? – Anna przymrużyła oczy.

– Ale mógł chociaż coś wcześniej powiedzieć! – zgłosiła rozeźlona Felcia.

– Przestań, kobito, warczeć – Anna uśmiechnęła się i pogładziła ją po dłoni.

– A, bo...

– No, to jedno mamy ustalone. Drzwi zewnętrzne mogłyby być, tak? – Anna spojrzała na Felcię i Jana; obydwójce skinęli głowami. – Powinny być lepsze, tak?

– Ale Felcia ich jeszcze nie widziała, ja zresztą też... – Jan rozłożył ramiona.

– No, to może pójdziecie najpierw zobaczyć je z bliska, bo jak Stach się rozpędzi... –

Anna wstała i ruszyła do sieni. – Idę z wami, bo sama jestem ich ciekawa.

– Już z progu kuchni odwróciła ku nim uśmiechniętą twarz. – No chodźcie, chodźcie.

Stach, pogwizdując, łypnął okiem na zbliżającą się trójkę.

– To ja se dzisiaj posiedzę, a wy porobicie! He, he, he! – przywitał ich rubasznie. – Mogą być? – Wskazał na przyczepę.

– To lite drewno? – Felcia dotknęła i uśmiechnęła się. – A jak wiozłeś, to wyglądały na jakieś takie... szare. – Spojrzała na Stacha.

Ten wskazał na złożoną już folię.

– A miały się po drodze zakurzyć? – spytał pociesznie. – Dobre są?

– Mnie się podobają – wyrwała się Anna.

– Jako drzwi... też mi się podobają... – powiedziała Felcia z ociąganiem.

– A tobie? – Stach spojrzał na Jana.

– Nie myślałem, że będą takie fajne – Jan uśmiechnął się niepewnie.

– To jest prezent ode mnie i liczę na zniżki przy uroczystościach... He, he, he!

– A jakie ty jeszcze możesz mieć uroczystości? – zainteresowała się Felcia.

– Jak interes zwietrzyła, to już liczy – Stach zaśmiał się. – Zaraz, zaraz... chrzciny jedno i drugie były, jedna komunია już też, ale... druga wnet. Wesela będą... a potem już tylko... stypy. He, he, he!

– A daj ty, chłopie, spokój! – Felcia pokręciła głową.

– To co, wycinamy? – Stach nacisnął przycisk piły; maszyna zawyła.

– Jeszcze chwilę, poczekaj! – Zasłoniła uszy Anna.

– Musi być głośno przy takiej robocie! He, he, he! No, to jak, Felcia, wycinamy?

– Dobra! Niech będzie, tylko czy dasz sobie radę sam? – Felcia przechyliła głowę, spoglądając, czy ktoś nie siedzi w jego samochodzie.

– Idzie już chłop na skróty, rozmawiałem właśnie z nim przez telefon, zanim przyszlście. O! Jest! – Wskazał na bramę.

– No dobra, to my już nie przeszkadzamy. To ile za te drzwi? – Felcia trąciła go biodrem.

Stach obejrzał się na Jana i mrugnął.

– Nie rzuć się zaraz na mnie... – też trącił Felcię biodrem – ...nic! Powiedziałem, że to jest mój wkład w stodołę! Przy poprzedniej robocie zdarłem z ciebie. He, he, he!

– Kiedy? Przy jakiej? – Felcia wzięła się pod boki.

– Żartowałem. – Cała czwórka roześmiała się.

– Jak się zmęczycie, to zajdźcie na werandę na kawę – Felcia rzuciła na odchodne.

– Jo! – Stach uniósł dłoń w górę.

Anna, Felcia i Jan ruszyli w kierunku domu, oglądając się za siebie.

– I po co był ten cały wrzask? – spytała Anna, kiedy odeszli kilkanaście metrów; spojrzała na Felcię, a potem na Jana.

– A bo musi mi mówić wszystko wcześniej – burknęła Felcia.

– Felciu... Ja bym wreszcie chciał ci zrobić naprawdę jakąś... gospodarską niespodziankę. – Jan zerknął na Felcię.

– Czemu nie? Lubię niespodzianki... – Felcia spojrzała filuternie na Jana. – Tylko... zawczasu mi o tym powiedz – zaśmiała się w głos. – A gdzie są Dziedzice? – Spojrzała jak gdyby nigdy nic na Annę.

– A z godzinę temu ruszyli w kierunku Bytowa – odparła Anna. – Stach powiedział



Henrykowi, gdzie znajdzie sklepy z okuciami do drzwi i okien, i pojechali popatrzeć.

– A po co im okucia? – zdziwił się Jan.

– Henryk robi wszystko zgodnie z planem. Okucia już chce wybrać, a może nawet kupi. Mówił mi, że do ich chaty ma wstępnie już wszystko zaplanowane i policzone!

– Jest niesamowity... – Jan pokiwał z uznaniem głową.

Kiedy weszli do kuchni, Felcia włączyła gaz pod czajnikiem i zaczęła ustawiać filizanki na stole.

– Miałam was o coś spytać... – Podniosła oczy najpierw na Annę, a potem na Jana i wskazała na każdego z osobna palcem. – Przeglądałam dokładnie wydruki z banku... – omiotła znowu ich wzrokiem – ...i coś mi się nie zgadza.

Anna wzruszyła ramionami; Felcia pokiwała głową.

– Aha! Tak mówisz... A ty, Janie? – zwróciła się groźnie do Jana, który wciągnął głowę w ramiona. – Wcześniej wiedziałam, że coś jest nie okiej, ale mnie zagadaliście i odpuściłam. Ponieważ wciąż nie byłam pewna, kto wpłaca pieniądze, postanowiłam dokładnie prześledzić i teraz już wiem. – Znowu jej palec wskazał na Annę i Jana. – Kiedyś wpłacał Maciej, ale wykryłam go, a od niedawna pojawiły się trzy nowe cykliczne wpłaty. Dwa źródła już się wyjaśniły, a to trzecie... też się domyślam. To pewnie Adam... – Zmierzyła wzrokiem Annę; ta znowu wzruszyła ramionami.

Felcia wyciągnęła z wazonika kwiatek i zaczęła z niego obrywać płatki. Anna zrobiła okrągłe oczy.

– Widzisz, Aniu? Ty robisz tak samo, a tak nie można – zostanie ci tylko łodyżka, czyli puste konto. Skończą ci się pieniądze i co wtedy? A masz przecież budować siedlisko!

– Ależ, Felciu...!

– Bo nie taka była umowa!

– Jeszcze brakuje, żebyś mi powiedziała, że zjadli chléb čžkò sǎ zarôbiô<sup>[7]</sup> – zaśmiała się Anna.

– Z czego się śmiejesz? Żebyś wiedziała, że... dobrze powiedziałaś.

– Witam serdecznie! – dziwną rozmowę przerwał nagle radosny głos Ryszarda stojącego w progu kuchni; cała trójka spojrzała w jego stronę. – Byłem zawieźć różne drobiazgi na Sudomie – mrugnął do Anny

– i wracając, pomyślałem sobie, że możecie być jeszcze przed kawą. No i widzę, że się wstrzeleli! – Przywitał się z wszystkimi; Anna poderwała się do zrobienia kawy, Felcia uniosła się, w końcu jednak machnęła dłonią. – Ale widzę, że jesteście jacyś tacy...

– Wiesz, Ryszard, jakie oni mi robią numery...?

– Felcia oskarżycielsko wskazała palcem na Annę i Jana.

– Oni? Jakie?

– Bez uzgodnienia ze mną wpłacają pieniądze na moje konto!

– I ty się tym martwisz? Jo?

– No, ale...

– Żeby tak mnie ktoś chciał wpłacać pieniądze bez uzgodnienia, w życiu bym się nie przyznał i nie protestował – uśmiechnął się i skubnął wąsika.

– Żartujesz! – Felcia poczuła się zbita z pantofelku.

– Jo! Żartuję! – zaśmiał się.

– No, ale powiedz poważnie... – Felcia zmarszczyła czoło.

– A śpią tutaj, jedzą, no co tam jeszcze... – Przebiegł wzrokiem wokół.

– No, ale...

– I to cię męczy, martwi, prawda? – Spojrzał na nią, uśmiechając się szeroko; Felcia z niepewną miną skinęła. – A przecież zawsze mówisz, że kón mō wikszĳ łep, niech sã jĳscy<sup>[8]</sup> – roześmiał się głoĳno.

– Czy wy się jakoĳ umawiacie, rozmawiacie ze sobã w niewidzialny sposób? – Felcia potrząsnęła głowã.

– Najpierw Ania, teraz ty zasuwacie mi przysłowiami, a to jest przecież moja specjalnoĳć – parsknęła śmiechem.

\*

Adela i Kasia kręciły się pomiędu kuchniã a kredensem, a Diana i Eliza co chwila stawiały coĳ na stole. Ubrana odĳwiętnie Felcia przyglãdała im się, nie mogãc poradziĳ sobie z bezczynnoĳciã. Rano kobiety zdecydowały, że dwudziesty siódmy kwietnia, imieniny Felicji, jest tylko raz do roku i ona powinna trochę odpocząĳ. Felcia nudziła się, rozmawiała od niechcienia z resztã domowników siedzãcych przy stole i momentami zerkała w stronę wejĳcia.

– A co ty tak, Felciu, co chwilę spoglãdasz na sień? – zauważył Jan.

– A, bo Ania dzisiaj rano nie zeszła na kawę – odparła ponuro. – Teraz teĳ jej nie ma. Moĳe źle się czuje, czy co? A moĳe zezdzie? – spojrzãła pytãco na Kaĳkę i Elizę, ale te wzruszyły tylko ramionami.

– Połóĳcie jeszcze dodatkowe widelce do ryby – zadysponowała Adela. – A moĳe damy teĳ drugie talerzyki? – Spojrzãła na Dianę i Elizę.

Felcia juĳ chciała coĳ podpowiedzieĳ, ale tylko machnęła dloniã.

– *Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...* – od strony schodów, a potem z sieni, rozległ się śpiew.

Do kuchni weszła Anna cała we wstãżeczkach i kokardkach.

– Felciu kochana! Zawsze mówisz, że jestem twoim najulubieńszym prezentem imieninowym, ale wiem, że nigdy nie zostałam ci wręczona jak naleĳy. – Anna zmrużyła pociesznie oczy. – Dzisiaj to nadrabiam.

Felcia zaniemówiła, zamachała dłońmi, raz jeszcze obejrzała Annę od stóp do głów i zerwała się z miejsca. Najpierw przytuliła jã i wycãłowała, po chwili spojrzãła na niã raz jeszcze i – zaczęła płaĳac wokół niej w dzikim tańcu. Domownicy wstali i śmiejąc się, odĳpiewali chóralne *Sto lat*; Felcia powoli uspokãjała się.

– Wczeĳniej się o ciebie martwiłam, a przed chwilã omal nie pękłam ze śmiechu. Co ci przyszło do głowy? – Na przemian dotykała kokardek, wstãżeczek i gładziła Annę po policzku.

– Chciałam zobaczyć twojã radoĳć i nie rozczarowałam się... warto było. Moĳesz mnie zacząĳ powoli rozwiãzywać. Zacznij od tej... – Anna wskazała na kokardkę na czubku głowy – ...dalej juĳ pójdzie łatwo.

– Nie, jeszcze nie... – Felcia potrząsnęła głowã.

– Niech chociaĳ trochę się napatrzę, tyle się przecież namęczyłaĳ, a ja... naczekałam – zachichotała.

Śniadanie upłynęło na wesoło. Dopiero po nim Felcia pozwoliła na rozpakowanie

Anny. Kiedy Eliza pociągała za pierwszą wstążkę od kokardki, do kuchni weszli Stach i Stefa.

– Stój, Eliza, poczekaj, niech się napatrzę! – zawołał Stach; Eliza opuściła dłonie. – He, he, he! To mi dopiero prezencik!

\*

Dziewczyny siedziały na wykładzinie w pokoju Wiki. Kacperek położył pysk na nodze Wiki i gdy któraś z nich głośniejsze coś powiedziała, otwierał leniwie oko.

– On potrafi tak godzinami się ze mną uczyć. – Wika wskazała głową na psa. – Jak mam więcej książek na podłodze, najczęściej wybiera sobie jedną z nich i tam kładzie pyszczek.

– Pamiętasz, jak myślałam, że Kacperek to twój chłopak?

– Obsmiałyśmy się, no nie? – Wika przymrużyła oczy; Eliza potwierdziła.

– Za co się teraz weźmiemy? Czy jeszcze raz rzucimy okiem na przykłady z matmy, które mogą być na kolokwium, czy też... – rozważania Elizy przerwała melodia *Mostu na rzece Kwai*. – Kurczę, zapomniałam wyłączyć! Igor! O, nie! Nie odbiorę! – wyciszyła telefon.

– Eliza, nie rozumiem cię. Przecież tę sprawę można załatwić w bardziej cywilizowany sposób. – Wika potrząsnęła głową.

– To znaczy w jaki?

– Przecież możesz się z nim chyba rozmówić.

– Naprowadzałam go, ale on tak jakby szedł w zaparte. A teraz wygląda na to, że to ja jestem czemuś winna.

– A czujesz się winna...? Bo to jednak ty nie chciałaś się z nim umówić.

– Posłuchaj, Wika! Dzwoni Igor. Powiedzmy, że mam ochotę się spotkać. Najszybciej jest w Gdyni za godzinę, godzina spotkania i powrót godzina. Trzy do czterech godzin ma z życiorysu! Ile razy mogę to tłumaczyć! – Eliza potrząsnęła głową.

– Przecież spotkasz się z nim, więc nie ma, że z życiorysu! Nie rozumiem ciebie. – Wika pokręciła głową.

– Kiedyś, na samym początku, powiedziałam mu coś podobnego, a on zamiast to zrozumieć, przyjechał mnie szpiegować!

– Nie zrozumiałaś mnie. On przyjeżdżał cię ochraniać.

– No, nie żartuj. Czy Gdynia jest jakimś kryminalnym miastem? Nie! Owszem, kiedy czasem wracałam sama po zajęciach i było ciemno, czułam się tak, jakby krowa lizała mnie po plecach, ale nie ma tragedii. Jakby co, to potrafię szybko przebierać nóżkami.

– Ale jednak ten czas, kiedy pojawiał się facet w kapturze, to chwaliłaś sobie. – Wika spojrzała Elizie prosto w oczy.

– Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, to się złąkłam – zaśmiała się Eliza.

– A czy nie możesz porozmawiać z Igorem tak jak ze mną?

– Mogę. Tak, mogę, tylko on musi chcieć. Zaproponować i przeprosić, że mnie szpiegował.

– Ale ty też nawaliłaś, bo poszłaś na randkę z innym.

– Zrobiłam to jemu na złość! Przecież wystarczy, jak się spotkamy co dwa tygodnie w Parchowie.

– Ty nic do niego nie czujesz? Umawiasz się z innym chłopakiem, nawet jeśli to jest tylko na złość, a potem się dziwisz, że on jest podejrzliwy i przyjeżdża sprawdzić, czy nic ci nie grozi. Ty masz jakąś winę i on też. Wyjaśnijcie to sobie!

– A do tego wszystkiego jeszcze ta kontuzja. Najpierw powiedział, że to siatkówka, a potem kozioł. Ciekawa jestem, co by za trzecim razem wymyślił? – Eliza wzruszyła ramionami. – Zresztą dlaczego my w ogóle tyle na jego temat mówimy?

– Eliza. Gdybym nie była z wami w Gniewie, to bym ci nic nie powiedziała. – Wika pokręciła głową.

– Chcę, żeby było po mojemu! Najpierw on mnie przeprosi, a potem ja mu powiem, że z Aleksem byłam tylko dla kawału – rzekła w zamyśleniu Eliza. – Ale jeszcze z innej strony, bili się o mnie – zaśmiała się.

– Tylko Wika, przypadkiem nic mu nie mów! A wiesz, że jeszcze Diana próbowała mi wstawić gadkę umoralniającą na jego temat?

– Kiedy?

– Na Wielkanoc, ale udało mi się zmienić temat

– Eliza mrugnęła. – Fajna z tej Diany dziewczyna.

– Widzisz? Wszyscy się o ciebie martwimy i chcemy, żeby ci było jak najlepiej.

– A ja tego właśnie nie chcę! Chcę wszystko sama!

## *Mull of Kintyre*



– Marysiu! Marysiu! Jadę do Szkocji! – Kaśka wbiegła z krzykiem do domu przyjaciółki. – O! Adam! – Stała się jak wryta. – Cześć, nie pomyślałam, że o tej porze cię zastanę.

– Przepraszam cię... – Adam uśmiechnął się szeroko.

– Siadaj, Kasiu, i opowiadaj – poderwała się Marysia. – Już ci robię kawę.

– Bez kawy nic bym nie powiedziała! – pisnęła Kasia. – Ale, ale! Ja wam przeszkodziłam – zreflektowała się.

– Cieszyliśmy się z dwóch rzeczy, zanim narobiłaś hałasu. – Marysia potrząsnęła końskim ogonem.

– Z czego? – Kasia przenosiła szybko wzrok z Marysi na Adama i z powrotem.

– Spokojnie, Kasiu – zaśmiała się Marysia. – Ciebie też trzeba wysłać na badania tarczycy, bo jesteś taka nadpobudliwa.

– Czasami jestem, ale dzisiaj to specjalna sprawa. Mówcie szybko, bo ja przecież chcę wam powiedzieć o swojej Szkocji.

– TSH, FT3 i FT4<sup>[9]</sup> mam w normie! – pisnęła Marysia. – To przez Adama!

– Chyba dzięki Adamowi... – Kasia zmarszczyła czoło.

– No, wiadomo, aż chce mi się krzyczeć i nawet żartować!

– No, to daj pyska. – Kasia i Marysia przytuliły się. – Adaś, ty też daj pyska, bo to, rzecz jasna, twoja zasługa.

Adam delikatnie uśmiechał się i machał palcami, jakby się opędzał przed chmarą much.

– Ja tylko robiłem za kierowcę i telefonistę. Następne badania Marysia ma dopiero za trzy miesiące

– uśmiechnął się szeroko.

– No! – Marysia znowu pisnęła.

– A druga sprawa?

– Widziałaś na Wielkanoc, jak Miłosz fajnie rozmawiał z Adamem?

– Tak i nawet zdziwiłam się, że ustąpiła mu ta niechęć w stosunku do Adama... – Kasia spojrzała na Marysię.

– Momentami to była nawet wrogość... – Marysia pokiwała głową.

– Dziewczyny. To nie były ani niechęć, ani wrogość. – Adam pokręcił głową. – Myślę, że Miłosz kreował się na głowę rodziny, a ja swoją mową pokrzyżowałam mu plany. Mówiłem z serca, ale mogłem też trochę pomyśleć o nim.

– A skąd mogłeś wiedzieć, że tak pomyślał? – Kaśka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ale tak mogło być. Dlatego uważam, że bronił tej wymyślonej dla siebie roli, a ja stawałem na jego drodze.

– Patrz, Marysiu, jak faceci potrafią wszystko racjonalnie wytłumaczyć – parsknęła Kasia.

– Dobrze, że Adam czuł to, pilnując, by nie dochodziło do eskalacji napięć pomiędzy nim a Miłozsem.

- Marysia spojrzała z wdzięcznością na Adama. – Dziękuję ci za to, Adaś...
- Sięgnęła ponad stołem do jego dłoni i pogładziła ją; Adam przytrzymał ją i pocałował z czułością.
- Kasi zrobiło się ciepło na sercu na widok miłych gestów obojga. Uśmiechnęła się.
- Czego tak się cieszysz, Kacha?
- Och, Marysiu! – Kasia zmrużonymi oczyma spojrzała najpierw na przyjaciółkę, a potem na Adama. – Bo to miłe, co opowiadacie. Teraz ja jeszcze raz zacznę... Jadę do Szkocji! – wrzasnęła, aż Marysia podskoczyła na krześle.
- Uważaj, bo ja się nie mogę stresować! – Pogroziła Kasi palcem.
- Ale ja musiałam, bo bardzo się cieszę! – Kasia aż zarumieniła się z podniecenia. – Jesienią Maciej był na konferencji w Szkocji i spotkał się wówczas z naukowcem stamtąd, którego znał już jakiś czas. Ech, to długa opowieść... nie na dzisiaj. W każdym razie tamten facet, Szkot, z klanu Campbellów, ma wiejski domek tuż koło Mull of Kintyre! Najpierw pojedziemy do Edynburga, a potem na kilka dni do tego domku.
- A co jest na tym Mull of... coś tam? – Marysia zmarszczyła brwi.
- To jest cudowny, straszny, niesamowity cypel na półwyspie Kintyre... A znasz piosenkę Paula McCartneya o tym tytule?
- Bo ja wiem? Może?
- To znakomita piosenka! W „Erinie” śpiewali ją Greg z Suzan – poświadczył Adam. – Oczywiście znałem ją już wcześniej z wykonania Paula.
- A kiedy jedziecie? – Marysia potrząsnęła końskim ogonem.
- To może być każdego dnia! Maciej właśnie teraz załatwia, a jak będzie miał bilety na samolot w rękę, zadzwoni. Mam być w gotowości. Więc od wczorajszego wieczora jestem spakowana i czekam! – Kasia klasnęła w dłonie.
- Jestem, mam! – z przedpokoju doszedł głos Miłosa.
- Wszedł do pokoju i uśmiechnął się.
- O! Jest i pani Kasia, i pan Adam. Widziałem wasze samochody. Dzień dobry – przywitał się z mamą, a potem z Kasią i Adamem. – A Joasi jeszcze nie ma?
- Poszli gdzieś na wycieczkę. No, nie patrz tak, to w ramach biologii. Czy w swoich zasobach muzycznych masz McCartneya *Mull of* coś tam? – Marysia zaśmiała się.
- Mam, a co?
- To dasz mi potem odsłuchać – uśmiechnęła się.
- A czemu akurat ten utwór?
- Bo Kasia niedługo tam jedzie... z Maciejem...
- Marysia skrzyżowała ręce na piersiach i przewróciła oczami.
- Uupsss! – Miłosz uśmiechnął się do Kasi. – Gratuluję i życzę miłej podróży.
- Kiedyś oglądałam na MTV klip z tą piosenką i byłam zauroczona. Prosta melodia, fajna aranżacja i orkiestra kobziarzy maszerująca brzegiem morza, u podnóża Mull of Kintyre... – Kasia przymknęła oczy. – Niby nic takiego, ale zamarzyłam wówczas, żeby tak kiedyś tam pojechać.

\*

Pojechali do Szkocji w ostatnim tygodniu maja. Lot do Edynburga, a potem serdeczne przywitanie na lotnisku przez przyjaciela Macieja.

– Hello Matt! – Kendraw zawołał radośnie.  
– Hello Kendraw! – odpowiedział mu Maciej.  
Panowie objęli się, klepiąc się żywo po plecach.  
– Kathleen...? – Kendraw uśmiechnął się jowialnie do Kasi.  
– Trafiliś i to za pierwszym razem – uśmiechnęła się Kasia.  
Rozłożył ramiona; ta mrużąc oczy, pozwoliła mu się objąć.  
– Widzę, że masz podobne do mojego poczucie humoru! – roześmiał się. – Jeśli nie zapomnimy, to przy kolacji możemy zalegalizować kielichem przejście na ty, bo Matt już mnie nauczył, że taki jest wasz zwyczaj.  
– Zamiast Kathleen, możesz mówić mi Kasia  
– uśmiechnęła się do niego.  
– Jak? – Podrapał się po głowie. – Kasza?  
– Jeśli tak ci łatwiej, to niech będzie Kasza! – Rozbawiona Kaśka machnęła dłonią.  
– Okej, Kasza! Kiedy spotkaliśmy się na konferencji, Matt uczył mnie swojego imienia, ale to było na trzeźwo, więc się nam nie udało! – zaśmiał się głośno. – Nazwałem go więc po naszymu.

Daleki od postury naukowca piegowaty jegomość, o siwiejącej rudawej czuprynie, okazał się nadzwyczaj sympatycznym, dowcipnym i uczynnym człowiekiem. Pierwszy dzień i noc gościł ich u siebie. Kasia poznała jego żonę Lindę, z którą od razu znalazła wspólny język. Zwiedzanie z Kendrawem do późnego wieczora zamku w Edynburgu było niezapomnianym przeżyciem. Kasia już tu kiedyś była, ale miejsc, dokąd ich teraz zaprowadził, i ciekawostek, które im opowiedział, próżno by szukać w bedekerach i sama nigdy by ich nie odkryła. Kendraw okazał się więc także człowiekiem zakochanym w historii Szkocji i jej bohaterach, zresztą wspomniał, że dlatego był tu kiedyś przewodnikiem.

Kolejnego dnia przemieścili się rolls-royce’em kuzyna do posiadłości klanu Campbellów, Inveraray Castle, leżącej na zachodnim brzegu jeziora Loch Fyne. Całą podróż do tego zamku wypełniły opowieści Kendrawa o historii Szkocji, praprzodkach popierających Roberta Bruce’a w walce o niepodległość, a także o rodzie Mitchellów, wywodzącym się z klanu Campbellów. Za Glasgow jechali długo wzdłuż brzegów jeziora Loch Lomond, z wieloma w większości zamieszkanymi wyspami. Gdy wjechali w góry, Kasia powiedziała:

– Czekałam na Grampiany, bo trochę o tych górach poczytałam i wiele sobie po nich obiecuję – rzuciła, śmiejąc się.

– Nie są one zbyt wysokie, ale widoki na długo zapamiętasz. Sam wiele razy tędy jeździłem i wciąż nie mogę się nadziwić – pokiwał głową Kendraw.

Po napatrzeniu się na łagodne szczyty porośnięte roślinnością albo też ostre, skaliste, często jeszcze ze śladami śniegu, i po przejechaniu trasy wiodącej pięknymi górskimi dolinami, dotarli do brzegów jeziora Loch Fyne.

– Celem naszej podróży jest jego zachodni brzeg  
– wskazał Kendraw.

Droga wokół jeziora prowadziła przy samym brzegu. Znowu mijali kolorowe miasteczka i wsie. Kiedy z daleka ujrzeli wreszcie zamek o czterech basztach, który skojarzył się Kasi nieco z zamkami Disneya, Kendraw zatrzymał samochód.

– Kolejni naczelnicy klanu są od trzystu lat książętami hrabstwa Argyll i noszą także

gaelicki tytuł Syna Wielkiego Colina – ostatnie słowa wypowiedział z emfazą. – Hedley Wright, kuzyn, bywa u naczelnika klanu częściej, bo ten bardzo interesuje się rozwojem jego firmy produkującej whisky. – Zerknął w lusterku na Kasię. – Popiera powrót do tradycji, rozwój narodowego przemysłu, nawet jeśli to tylko alkohol. Tak ten świat jakoś się ukształtował, że najlepsze biznesy, znajomości i tak dalej, zawiera się, pijąc alkohol. – Rozłożył zabawnie ramiona.

– Szczerze mówiąc, ta wasza tytułatura, obyczaje, łącznie ze sprawami dotyczącymi whisky, są wprawdzie imponujące, ale i wielce skomplikowane – wytknął Maciej. – Trudno to wszystko spamiętać.

– Historii Szkocji i poszczególnych hrabstw uczy się oczywiście w szkołach, ale ambicją każdego członka klanu jest poznawanie dziejów samemu, poszukiwanie źródeł, studiowanie ich, w szczególności dotyczących własnego klanu. Dam wam w prezencie książkę o naszym klanie, z której wszystkiego będziecie mogli się dowiedzieć. Dostaniecie dla siebie całą basztę! – Wskazał na zamek i wystawił kciuk, po czym zaśmiał się wniebogłose. – Nawet gdybyście czegoś w nocy chcieli i stamtąd wołali, nikt was nie usłyszy! – zerknął na Macieja, a potem na Kaśkę w lusterku.

Zwiedzanie zamku, spacer po jego otoczeniu, a potem spotkanie podczas kolacji przy świecach z naczelnikiem klanu wywarły na Kasię niezapomniane wrażenie.

– Bardzo się cieszyliśmy na waszą wizytę, bo mało osób z Polski dotąd tu zawitało. Waszą historię i waleczność Polaków ogólnie znamy. Polacy są tacy sami jak my! Wroga dopaść i zgnieść... – Zacisnął pięść.

– Bitwa o Anglię i wasze dywizjony lotnicze, czy też marynarze i okręty albo spadochroniarze, a także bitwa pod Monte Cassino... Tu się o tym pamięta! Szkoci i Słowianie to pokrewne dusze! – naczelnik zakończył uroczysty toast.

Potem chwilę porozmawiał z Kendrawem i Maciejem o biologii. Zaintrygowała go zwłaszcza tematyka morskich invaderów<sup>[10]</sup>, takich jak raki amerykańskie, moczarka kanadyjska czy ryba babka.

– Kendraw, mam nadzieję, że tego dobrze pilnujesz, żeby nam jakieś świństwo do Szkocji nie przyłazło! Znowu trzeba będzie wojować! – Cała trójka roześmiała się wesoło.

Bezpośredniość, erudycja i wiedza Kendrawa, a nawet jego poczucie humoru urzekły Kasię; w tym ostatnim dostrzegła nawet pewne podobieństwo do rubaszości Stacha Janika.

– Maćku, czy nie uważasz, że Kendraw to trochę taki nasz Stach? Na wszystkim się zna, wszystko załatwi, obróci w żart... no wiesz.

Maciej spojrział najpierw na nią, po chwili na Kendrawa i wreszcie zaczął się śmiać.

– Ależ ty jesteś niesamowita! Masz rację. Już poprzednio mi się wydawało, że skądś faceta znam...

– Teraz już oboje się śmiali.

Kendraw był nieco skonsternowany ich rozbawieniem. Maciej wyjaśnił mu, w czym rzecz.

– To trzeba było wziąć tego Stacha ze sobą! Tyle komnat w zamku stoi pustych! – Znowu roześmiał się głośno.

Kiedy po południu następnego dnia ruszyli w dalszą podróż, Kendraw zakomunikował:

– Dzisiaj jedziemy do wiejskiego domku naszej rodziny na Mull of Kintyre. Tam



spędzicie pozostałe dni sami! – Oderwał ręce od kierownicy i radosnym wzrokiem spojrzął do tyłu na Kasię. Ta zamiast podziękować, wrzasnęła po polsku:

– Trzymaj fajerę!

Kendraw skurczył się, przyhamował, a po chwili spojrzął najpierw do tyłu, a potem na Maćka.

– Co się stało? – spytał kolegę, który śmiał się i wycierał łzy.

– Masz... pilnować... kierownicy – wyjąkał Maciej, nie przestając się śmiać.

– Ale... bo... – Kendraw też się zająkał; niepewnie spoglądał w lusterko na Kasię. – Kasza, tu mam taki automat... – wskazał na deskę rozdzielczą – ...który włączam i on pilnuje przed głupimi ruchami albo zdjęciem rąk z kierownicy. Przepraszam.

– A co to ja wróżka? – roześmiała się; Kendraw niebawem się rozpogodził i głęboko odetchnął.

Kasię bardzo cieszyła perspektywa, że wreszcie zostaną z Maciejem sami, chociaż po prawdzie te niemal trzy dni spędzone z Kendrawem, jego rodziną, zamkiem w Edynburgu oraz członkami klanu Campbellów w Inveraray Castle, były cudowne i przyniosły jej wiele wzruszeń. Nieustannie fotografowała to z lewej, to z prawej strony szosy, bo przecież obiecała mamie i córce, że przywiezie oprócz folderów i albumów sporo zdjęć. Dwa wcześniejsze dni to również masa zdjęć w Edynburgu, potem na trasie wzdłuż obu jezior i w Gremphanach. Przejeżdżali przez uroczę miasteczka i wsie, gdzie również nie wypuszczała aparatu z rąk.

Kiedy ujrzała wiejski domek rodziny Kendrawa, oniemiała. Kiedyś dostała w prezencie akwarelę z angielskim wiejskim domkiem. Ten był jakby kopią tamtego. Piętrowy, z polnego kamienia o dwuspadowym dachu, z gankiem i ławeczkami. Po obu bokach ganku kwitnące żółte krzewy. Wokół domku także kamienny murek i drewniana furka na skobel. Zielone pnącza na murze, wysokie drzewo wyglądające zza domu, a po jego bokach wysokie żywopłoty.

Gdy rozładowali się, poszli jeszcze z Kendrawem na spacer pod latarnię morską. Stały tam dwa autobusy, ale ludzi nie było widać. Ciekawa budowla zaintrygowała Kasię; nie przypominała krajowych latarni. Za chwilę ruszyli w stronę wierzchołka klifu. Wydało jej się, że słyszy *Mull of Kintyre* McCartneya. Przystanęła i rozejrzała się wokół.

– Za czym tak się rozglądasz, Kasiu? – Maciej chrząknął i poprawił okulary; Kendraw dziwnie się uśmiechał.

Znowu usłyszała tę melodię. Nie! Nie przesłyszałam się! Oczy jej rozblęły. Teraz słyszała bez wątpienia. Dźwięki muzyki dobiegały wyraźnie od podnóża klifu. Za chwilę stali już na skraju jego wierzchołka. Spojrzała w dół. Brzegiem plaży maszerowała orkiestra szkockich dudziarzy przy dźwiękach jej ulubionego *Mull of Kintyre*.

– Boże! – zakryła dłońmi usta. – To nieprawdopodobne! Co tu się dzieje?

– Wysłuchaj spokojnie, Kasiu, do końca. Przecież oni w nieskończoność nie będą tak chodzić. – Maciej ją przytulił, a ona oparta o niego patrzyła oczami jak spodki i słuchała.

Gdy orkiestra skończyła grać, pomachała muzykom dłonią. Kobziarze jak jeden mąż odmachali jej. Tamburmajor dał znać batutą i nagle z dołu rozległ się gremialny okrzyk:

– Kathleen! Kathleen!

Kendraw i Maciej przybili sobie piątkę. Kasia przyłożyła dłonie do płonących policzków. Nie mogła zrozumieć, że to, co widzi i słyszy, dzieje się naprawdę. Jeszcze raz pomachała orkiestrze. Odwróciła się w kierunku Macieja, patrząc mu w oczy.

– Dziękuję... – zaczęła i zaniemówiła, bo coś odwróciło jej uwagę.

Ponad jego ramionami zauważyła w oddali dwie postaci idące od latarni. Nie! To niemożliwe! Przypatrzyła się uważniej. Tak, to jednak oni! Ruszyła w ich stronę najpierw wolno, po chwili przyspieszyła, a wreszcie zaczęła biec.

– Susan! Greg!

Padli sobie w ramiona.

\*

Ognisko płonęło niedaleko brzegu. Członkowie orkiestry byli już przebrani w swobodne stroje, także mieszkańcy okolicznych domostw zeszli się licznie nie wiadomo kiedy. Każdy na długim patyku smażył kiełbasę.

– Tak samo było na klipie! – Kasia znowu przytuliła się do Macieja. – Powiedzcie, jak wyście to zrobili?

– spoglądała na Kendrawa i Grega, zdając sobie sprawę, że to oni odpowiadają za jej niespodziankę.

– Przecież to proste – wyjaśnił Greg z uśmiechem.

– Orkiestra mojego klanu miała ładną wycieczkę. Część kolegów nigdy tutaj nie była, teraz jeszcze kiełbaski i piwo, a do kieszeni wpadnie parę groszy jak za koncert. To jest Szkocja!

– uśmiechnął się i podniósł rękę w kierunku członków zespołu.

– Yes, yes! Kathleen! – rozległ się okrzyk.

Wtem dwóch kobziarzy wyłoniło się zza wielkiego głazu, jeszcze inny trzymał gitarę. Susan dała znak i zaintonowała piosenkę. Po chwili chóralny śpiew zebranych wokół ogniska poniósł refren nad wodą, odbił od skarpy i wrócił do nich ponownie.

*Mull of Kintyre*

*Oh mist rolling in from the sea*

*My desire*

*Is always to be here*

*Oh Mull of Kintyre.*

Och, ta mgła płynąca od morza,

Moim pragnieniem

Jest zawsze być tutaj

Och, Mull of Kintyre<sup>[11]</sup>.

\*

Kasia przyglądała się Maciejowi. Poruszał się po niewielkim saloniku domku Kendrawa z dużą swobodą, ale co było dla niej ważniejsze, miał wreszcie doskonały humor. Uśmiechał się, zagadywał, był pełen inwencji.

– Tłuszcz z kiełbasek trzeba by czymś rozcieńczyć, co ty na to? – rzucił z uśmiechem.

Chętnie przystała. Z wyborem trunku też nie mieli problemów; postawili na szkocką whisky o nazwie Kilkerran. Teraz przygotowywał kieliszki.

– W garażu... – Maciej wskazał palcem w dół – ...jest mini morris. Możemy go używać,

ile chcemy

– uśmiechnął się.

– Cudownie! – Kaśka złożyła dłonie.

– Greg mi szepnął, że ich orkiestra ma szansę na udział w tegorocznym The Military Tattoo w Edynburgu, dlatego zależało im, żeby pojechać z Kendrawem.

– Maciej usiadł obok Kasi i pogłaskał ją po ramieniu.

– Ale przecież Greg mieszka w Glasgow, a autobusy jechały tam właśnie...

– Podejrzewam, że autobusy i oni wylądują dzisiaj w Inveraray Castle. Zwolniło się jedno miejsce na Edynburg, a księżę może ich zgłosić ze swojej puli, bo niespodzianie wypadła orkiestra jego klanu.

– Życzę im tego... ale ciągle myślę, jak ty to wszystko tutaj zorganizowałaś?

– Gdyby nie Kendraw, który wiedział, jak dotrzeć do szefa orkiestry McLachlanów, byłoby to trudniejsze, a reszta... to już twoi przyjaciele.

– Kochani są... Przyjadą na pewno na „Pobocza Folku”, bo o tym z kolei zdążyła mi szepnąć Susan.

– Powiedziałem też Gregowi o Klausie... – Maciej pokiwał głową. – Prosił, żeby przekazać Marysi wyrazy współczucia, ale potem poprosił o jej telefon.

– Maćku, dziękuję ci bardzo za wszystko... – Kasia odstawiła swój kieliszek na stolik i poczekała, aż on uczyni podobnie. – Kocham cię... bardzo – wpiła się w jego usta.

– Ja też ciebie, Kasiu, kocham – wyszeptał, gdy na chwilę oderwali się od siebie, aby zaczerpnąć powietrza.

Kasia wyprostowała się i uśmiechnęła szeroko.

– Muszę ci jeszcze powiedzieć, że do twarzy ci z bliźną. – Wskazała na jego brzuch.

– Jak... co... nie rozumiem! – Teraz on wyprostował się raptownie.

– Spokojnie. Wczoraj pewnie myślałaś, że zasnęłam, a ja po prostu ze szczęścia nie mogłam – zmrużyła oczy. – Przewijałam sobie film, od chwili kiedy się poznaliśmy... – uśmiechnęła się.

– Oszukujesz mnie... – Maciej pogroził palcem.

– Bynajmniej – zaprzeczyła. – Wczoraj też byłam na Mount Evereście i jeszcze miałam ze sobą składaną drabinkę – roześmiała się. – Nigdy dotąd tak wysoko się nie wspierałam – pogłaskała go po policzku. – Wszystkie kolejne miejsca na podium też zajmujesz.

– Jesteś niesamowita... trochę pijesz do tej Angielki?

– Nie! Myślę, że to inteligentna kobieta... – Kasia potwierdziła słowa opuszczeniem powiek. – Użyła pięknego porównania, ja papuguję je, ale zdobywam wyższe szczyty.

Maciej przyciągnął do siebie Kasię.

– Ale zaczęłaś coś o bliźnie. O co ci chodziło?

– Kiedy wracałaś z łazienki, otworzyłeś szeroko drzwi i dopiero po chwili zgasiłeś światło... – Wygięła się do tyłu i popatrzyła mu w oczy. – Obie moje kamery cię zarejestrowały, choć trochę były przymknięte.

Pokazała dwoma palcami na oczy i uśmiechnęła się.

– Ach, to tak! Teraz muszę się czołgać po ciemku

– zaśmiał się Maciej.

– Nie masz się czego wstydzić! – zachichotała.

– Z tej strony cię nie znałem – szepnął, kręcąc głową.

– Ty mnie dopiero poznasz! – obiecała. – Wiesz, chyba dzisiaj długo nie posiedzę... –

Zmrużyła oczy i obserwowała jego mimikę. – Widzę, że nie załapałeś. Chcę po prostu znowu położyć się jak najszybciej koło ciebie.

Pocałowała go.

\*

– Skąd wiedziałeś, że chciałam pójść obejrzeć wschód słońca?

– Bo powiedziałaś mi...

– Nie. Nic nie mówiłam – zaprzeczyła.

– A jednak. Kiedy wczoraj wróciłem... bo na chwilę wyszedłem, wyszeptowałaś, żebym obudził cię przed świtem. Domyśliłem się, że chodzi ci właśnie o to.

– Wczoraj naprawdę szybko zasnąłam. Kamery nic nie zarejestrowały – uśmiechnęła się, wciskając rękę w jego dłoń, a potem wpychając obie do kieszeni jego kurtki.

– Przez uchylone drzwi łazienki wymacałem ręką wyłącznik i dopiero wtedy wyszedłem... żeby cię światło nie raziło – uśmiechnął się.

– Tyle starań, a ja zasnąłam... – Pocałowała go w policzek. – Ależ mokra trawa. Dobrze, że nałożyliśmy kalosze.

– A chciałaś iść w adidasach – przypomniał.

– Dobrze, że jesteś. Lubię, jak za mnie myślisz... Tutaj możemy stanąć. Spójrz! Niebo jest, a morza nie ma.

– Mhm. Gruba warstwa mgły sięga prawie do połowy wysokości klifu. Wchód właściwie już się zaczął... – Spojrzał przed siebie, a potem na zegarek.

Daleko na horyzoncie, na styku mgły i nieba, pojawiła się ciemnoróżowa poświata, z każdą chwilą jaśniejąca. Kiedy horyzont zaczął się skrzyć jasnym różem, zza niego wysunął się wierzchołek tarczy słonecznej w otoczce ciemniejszej, rzucający promienie na niebo i na otulającą morze mgłę, aż do klifu pod ich nogami. Tarcza z każdą chwilą unosiła się wyżej, powiększała i coraz bardziej jaśniała. Gdy wreszcie ukazała się w całej okazałości, skrzący się żółtawy korytarz połączył daleki horyzont z podnóżem klifu.

– Piękny kolorowy koncert. Dziękuję, Maćku. – Kasia pocałowała go.

Trzy dni w wiejskim domku minęły jak z bicza strzelił. Pogoda była jak dla nich. Chłodne poranki, ale im przytulonym do siebie było ciepło. Potem powolne śniadanie, długi spacer, przejażdżka na obiad do któregoś z okolicznych miasteczek, dużo fotografowania, powrót i rozmowy aż do kolacji, z muzyką w tle, a potem znowu zdobywanie szczytów.

Kiedy samolot był już nad morzem, Kasia skonstatowała, że przez ostatnie trzy dni ani przez moment nie nudziła się z Maćkiem. Byli zupełnie sami, na końcu świata, a jej było dobrze. Oparła głowę o jego ramię, a dłoń wsunęła do jego dłoni. Przymknęła oczy. Jakie piękne słowa jej wczoraj powiedział... Będziemy już zawsze razem...

Otworzyła na chwilę oczy i spojrzała w jego twarz. Uśmiechnął się. Kochany.

## *Spotkanie po latach*



– Dobrze, Ryszardzie, że miałem szczęście i ciebie też zastałem – zaczął Adam, gdy okrążył stół, żeby przywitać się ze wszystkimi.

– A cóż takiego się stało? – zaciekawiał się Ryszard.

– Władysław Zalewski przysłał swoją opinię na temat wizji siedliska. – Adam mrugnął do Anny.

– I co? – Jej oczy zaświeciły się.

– Proszę spojrzeć... – Adam podał jej kartkę.

– I to wszystko? – rzuciła Anna, gdy omiotła tekst wzrokiem; przekazała kartkę Ryszardowi.

Ryszardowi też nie zabrało wiele czasu przeczytanie treści listu.

– Aniu! To jest najbardziej treściwa opinia, jaką kiedykolwiek w życiu czytałem. – Ryszard uśmiechnął się i podał z kolei list Henrykowi.

Henryk wyciągnął z kieszonki kamizelki okulary i osadził je na nosie.

– Od władysławzalewski małpa i tak dalej, do adamwspaniały małpa i tak dalej... – czytał głośno – ...piątek dwudziesty trzeci maja dwa tysiące dwa, godzina dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, temat opinia siedlisko, załączniki... nie ma załączników. – Rozłożył dłonie; wszyscy wpatrywali się w niego uśmiechnięci. – Treść listu. Adamie, jestem pod wrażeniem. Wszystko mi się podoba. Zaczynajcie budować. Władek. PS. Wytyczne co do finansowania przywiezie mecenas Antoni Gryka.

Henryk odłożył kartkę, popukał w nią palcem, uśmiechnął się i podkreślił wąsa.

– Tak. To jest konkretny człowiek. Adamie, to zabieramy się do dzieła. Też bardzo się cieszę i też pierwszy raz widzę tak konkretną opinię inwestora. Masz, Ryszardzie, rację!

– Ale to wam wystarcza? – Anna przenosiła wzrok z Henryka na Adama i z powrotem.

– Nam tak – uśmiechnął się Adam, a Henryk przytaknął. – Teraz, Anno, decyzja ostateczna należy do ciebie i... Ryszarda, bo chyba Ryszard będzie cię wspomagał w sprawach finansowych, czy tak?

– Ale przecież na finansowaniu inwestycji ja się nie znam... – Anna wzruszyła ramionami.

– Moim zdaniem... – Ryszard skubnął wąsika – ...nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyście zwlekać z rozpoczęciem projektowania siedliska. Po przyjeździe mecenas Gryki spotkamy się raz jeszcze i uzgodnimy szczegóły. My we trzech... – Ryszard wskazał na Henryka i Adama – ...spotkamy się jak najpilniej i omówimy sprawy techniczne.

– I to ja rozumiem! – Henryk podkreślił wąsa.

– Zatem czekam na propozycje terminu spotkania.

– Adam podniósł kciuk.

– Widzisz, Aniu, że to wszystko jest proste? – Ryszard uśmiechnął się. – Teraz mamy ważniejszą sprawę. – Spojrzał na nią raz jeszcze. – Mama powiedziała mi, że w każdej chwili gotowa jest spotkać się z panią Sławą, ale liczy, że Felcia też przyjedzie na plotki –

mrugnął do niej.

– Do Stefci, w każdej chwili! – klasnęła Felcia.

– Aha! Jeszcze jedno! Przywiozłem materiały dotyczące przedwojennej straży granicznej i Ignacego Wasielewskiego – rzekł i skubnął z zadowoleniem wąsika.

– I znalazłeś w nich coś ciekawego? – spytała Felcia.

– Jest tego dużo i zostawię te materiały tobie, Felciu. Postaram się dokonać na ich podstawie pewnego skrótu, ale to informacje historyczne, archiwalne, zrozumiecie...

Ryszard spojrział wokół i wyciągnął z tekturowej jasnej teczki gruby plik dokumentów. Wybrał z pliku kilka zaznaczonych kartek, rozłożył je przed sobą i nabrał powietrza.

– Ignacy<sup>[12]</sup> był wielkim człowiekiem, choć ze względu na średni wzrost nigdy nie stawał z przodu. Pamiętacie go ze zdjęć – uśmiechnął się. – Felcia poprzednio odmalowała nam Ignacego jako człowieka ciepłego, rodzinnego, ujmującego i uczynnego, grał, jak pamiętacie, także na klarncie, a więc posiadał również artystyczną duszę. Można by tak jeszcze długo wyliczać, ale ja teraz będę cytował tylko suche fakty, pochodzące ze źródeł oficjalnych, archiwów.

Po tym wstępie zapanowała wokół cisza.

– Zanim trafił na początku lat dwudziestych dwudziestego wieku do Jamna, przeżył już bardzo wiele.

– Ryszard pokiwał głową. – Urodził się w Wielkopolsce, w Morownicy koło Śmigła, kiedy do dwudziestego wieku brakowało sześć i pół roku. Był najstarszym z ośmiorga rodzeństwa. Pomagał ojcu w gospodarstwie i chodził do pruskiej szkoły. Nie miał wyboru! – rozłożył dłonie. – Jego rodzina była bardzo muzykalna.

Ojciec i synowie utworzyli kapelę dudziarską, dorabiając na weselach i potańcówkach. Teraz już wiecie, co mu tak naprawdę w duszy grało – uśmiechnął się lektor.

– Wielkopolska górą! – pisnęła Kaśka.

– Tak, Kasiu. – Ryszard mrugnął do niej. – Może nie wszyscy wiedzieli, że na dudach grali i grają nie tylko Szkoci. – Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół.

– Doskonale się uczył, ale ubóstwo rodziców uniemożliwiło mu dalszą naukę... Kilka miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny światowej został zmobilizowany do armii pruskiej, a po jej wybuchu skierowany, tak jak wielu Wielkopolan w tamtym czasie, na front zachodni... – zawiesił głos. – Nie przypomina wam to czegoś? – Ryszard obiegnął wzrokiem wokół; dojrzał skinięcia głów. – Macie rację. Taki sam był los Kaszubów przed pierwszą i drugą wojną światową... – Sam też pokiwał głową. – Po kilku miesiącach wojowania został ranny w bitwie pod Sedanem...

Odłożył kartkę na stół.

– Mam w związku z tym faktem pewną wątpliwość, bo wyczytałem, że drobny odłamek z granatu utkwił mu w oczodole i lekarze początkowo nie zdecydowali się go usunąć, żeby jakiegoś nerwu nie uszkodzić. Czy potem przeszedł jakąś operację, nie ma danych... – pokręcił głową – ...ale nie można wykluczyć, że żył z tym odłamkiem cały czas..

– Taki jest los żołnierzy w ogóle, a w czasie pierwszej wojny to była w ogóle makabra – wtrącił Jan. – Tam, we Francji, chyba przez kilka miesięcy trwała wojna pozycyjna, a zginęło prawie siedemset tysięcy żołnierzy. Stali naprzeciw siebie w okopach i strzelali. Z kolei gdzie indziej było podobnie, na święta składali sobie życzenia, a potem znowu strzelali albo nawet walczyli na bagnety. Straszne! Prawdziwa rzeź!

Wokół stołu panowało całkowite milczenie.

– Tak było! – zgodził się Ryszard. – Po leczeniu Ignacy trafił znowu na front i dostał się do niewoli francuskiej – kontynuował rozpoczętą opowieść. – Po dwóch latach, kiedy generał Haller zaczął tworzyć we Francji polską armię, wstąpił do niej. Zdążył jeszcze walczyć przeciwko Niemcom w Wogezach i Szampanii... – zawiesił głos. – Rozumiecie?! W mojej ukochanej Szampanii, gdzie nic nie powinno zakłócać dojrzewania winogron i produkcji szampana. To też pewnego rodzaju barbarzyństwo. – Potrząsnął głową. – Kiedy wojna się wreszcie skończyła, armia Hallera została przetransportowana drogą morską do Gdańska i Ignacy wrócił do niepodległej już Polski. Potem, razem z tą armią, wojował przeciwko Ukraińcom pod Lwowem, przeciwko Czechom i Niemcom na południu Polski i wspierał powstańców śląskich. Wreszcie armia Hallera została skierowana na Pomorze, między innymi z zadaniem budowy polskiej administracji i obsadzania nowych polskich granic. Ignacy od tamtego czasu służył na posterunku Straży Celnej w Jamnie. Trafił tutaj z Kościerzyny, gdzie był jeden z Inspektoratów Granicznych. Został zaewidencjonowany pod numerem 2156; te numery nosili na wypustkach przy szyi. W Jamnie było ważne przejście drogowe na trasie Gdańsk – Berlin. Takie jak ta placówki stanowiły najniższe ogniwo systemu zabezpieczenia granicy. Ich stan osobowy wynosił średnio około dziesięciu strażników, funkcjonariuszy.

W połowie lat dwudziestych Ignacy Wasielewski ukończył podchorążówkę Straży Granicznej i został starszym przodownikiem; takie nazewnictwo obowiązywało wówczas w tej formacji. Wkrótce potem Straż Celna została przekształcona w Straż Graniczną. – Ryszard popatrzył wokół. – Chciałem, żebyście mieli obraz tego, jak to wszystko wyglądało od strony organizacyjnej. Polska była przecież po dwustu latach niewoli. W latach dwudziestych na granicach z Niemcami trwała tak zwana wojna celna, z ofiarami wśród przemytników. Tu w Jamnie też używano broni i było co najmniej kilka ofiar! – Pokiwał głową. – To była wówczas bardzo odpowiedzialna i niebezpieczna służba.

W tym czasie, jak już Felcia nam opowiedziała, założył też rodzinę – mrugnął w jej kierunku. – Ponieważ ta formacja była nie najgorzej opłacana, po jakimś czasie zaczął budować sobie dom blisko miejsca urodzenia, w Wielkopolsce. Kiedyś chciał tam wrócić z rodziną. Zapomniałem podać wam zdjęcia, które udało mi się z tych plików wykonać, oglądajcie sobie w międzyczasie. – Przekazał plik zdjęć w ręce Felci. – Tam jest też jego zdjęcie z numerem 2156, o którym wcześniej mówiłem. A ty, Aniu, spójrz najpierw na to ciekawe zdjęcie. To Poznań. Poznajesz, co tam jest w tle? Ja jakoś nie kojarzę.

Anna rzuciła okiem i pokiwała głową.

– To jest Pomnik Wdzięczności, który stanął w trzydziestym drugim roku na obecnym placu Mickiewicza jako wotum za odzyskaną niepodległość, w miejscu zburzonego w dziewiętnastym roku pomnika Bismarcka. Zbudowany był w postaci łuku triumfalnego. Niemcy go zburzyli we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku zaraz po wejściu do Poznania, a ogromną figurę Chrystusa przetopili na kule armatnie – powiedziała ciszej. – Barbarzyńcy! – dodała ze złością. – Najpierw dowiedziałam się o nim od Jutki, mam w domu przedwojenną książeczkę, album poświęcony pomnikowi. A potem teść mi opowiadał, jak to z było z jego powstaniem, bo był członkiem komitetu budowy.

– A dlaczego nie odbudowano go po wojnie? – spytał Henryk.

– Przy komunistach, pomnik z olbrzymią figurą Chrystusa? – Popatrzyła na niego

zdziwiona. – Kiedy w osiemdziesiątym pierwszym roku, w dwudziestą piątą rocznicę wydarzeń czerwcowych, stawiano tam pomnik z wielkimi krzyżami dla ich uczczenia, niewiele osób zdawało sobie sprawę, że tym samym powrót w to miejsce przedwojennego pomnika staje się prawie niemożliwy. Ktoś mocno chichotał... – Pokiwała głową.

– Ale ludzie się nie zorientowali? – spytał Jan.

– Niektórzy tak, ale inni ich zakrzyczeli... – Machnęła dłonią. – Pomnik Wdzięczności był zbudowany całkowicie ze składek społeczeństwa jako wotum za odrodzoną Polskę. Poświęcony był Najświętszemu Sercu. Tam był napis... poczekajcie moment... – potarła czoło – ...*Sacratissimo Cordi Polonia Restituta*, czyli Najświętszemu Sercu Polska Odrodzona. Przepraszam, Ryszardzie, kontynuuj.

Spojrzała na niego; ten skinął głową i odchrząknął.

– Pod koniec trzydziestego siódmego roku sytuacja polityczna z Niemcami zaostrzyła się. Straży Granicznej nadano charakter bardziej militarny. Jej oddziały podporządkowano władzom wojskowym, zmieniono nazwy stopni na wojskowe. I tak Ignacy został starszym sierżantem. W trzydziestym dziewiątym roku latem, jak Felcia nam poprzednio opowiedziała, rodziny musiały opuścić granice. To był bezwzględny rozkaz! Pamiętacie pożegnanie funkcjonariuszy i ich rodzin z lokalną społecznością przy krzyżu w Jamnie, prawda? – Spojrzał wokół. – Przełożeni Ignacego nie chcieli go zwolnić do rezerwy, bo miał olbrzymie doświadczenie wojskowe, wojenne! Zresztą on sam czuł się wciąż potrzebny Polsce. Prawdziwy patriota. W tajemnicy przed najbliższymi zgłosił się do służby celnej na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Awansował do stopnia plutonowego podchorążego i został mianowany polskim oficerem celnym, otrzymując skierowanie do placówki oficerskiej w Szymankowie. Miał swoje biuro na pierwszym piętrze szymankowskiego dworca PKP. To taki szczegół, ale zaraz dowiecie się, jak bardzo był istotny.

Znowu przebiegł wokół wzrokiem.

– Inwazja Niemiec na Polskę była kwestią niewiele już dni. Dowództwo niemieckie przywiązywało ogromną wagę do uchwycenia nieuszkodzonych mostów na Wiśle przez zaskoczenie. Dzięki temu planowano okrążyć polskie wojska i szybko je rozbić. Kiedy Ignacy i jego kolega zorientowali się, że Niemcy z formacji paramilitarnych i cywile okrążyli dworzec w Szymankowie, udało im się w ostatniej chwili wbiec na piętro i zabarykadować w swoim pokoju. Wystrzelili raketę, co było sygnałem dla saperów z Tczewa, że Niemcy lada moment mogą próbować uchwycić tczewski most. W przypadku takiej ewentualności most miał zostać wysadzony. Takie było ustalenie najwyższych władz wojskowych!

Gdy Niemcy dojrzeliby wystrzeloną raketę, wpadli we wściekłość. Zwłaszcza że już wiedzieli, iż z przejścia mostu nici. Przechwycony przez nich polski pociąg, obsadzony niemiecką załogą oraz ukrytymi żołnierzami i puszczony w kierunku Tczewa, polski kolejarz – po zorientowaniu się, kogo pociąg wiezie – skierował na ślepy tor. Niemcy mieli jeszcze plan awaryjnego nalotu i zrzucenia niewielkich bomb przy przyczółkach mostowych, żeby zniszczyć instalację zaminowującą, to znaczy kable. – Spojrzał kolejny raz wokół. – Kiedy Ignacy z kolegą zabarykadowali się na piętrze, Niemcy byli już na terenie budynku dworca. Po wyważeniu drzwi do pokoju celników wpakowali Ignacemu w klatkę piersiową całą serię z karabinu maszynowego, natomiast drugiemu celnikowi odcięli pociskami nogę w biodrze. Obaj musieli zginąć, ponieważ udaremnili Niemcom



błyskawiczny i niespodziewany atak, który miał doprowadzić do opanowania mostów na Wiśle oraz dworca w Tczewie.

Gdyby nie ich bohatera postawa, kampania wrześniowa trwałaby o wiele krócej. Ignacy zginął, a właściwie został zamordowany, zanim rozpoczęła się wojna. Potem na stacji urządzono polowanie na pozostałych przy życiu celników i kolejarzy. Nikogo nie oszczędzono. Dwadzieścia jeden ofiar. Niemieccy kolejarze wieczorem ułożyli pomordowanych w głębokim rowie, przysypali piaskiem i postawili tablicę z napisem „Tu leży polska mniejszość narodowa”. Potem, na mogile, Niemcy urządzili śmietnik.

Ryszard głęboko odetchnął.

– Co za historia. – Jan otrząsnął się. – Felciu, może... jeśli pozwolisz, ja wezmę te materiały i spróbuję je jakoś opracować, może uda się znaleźć kogoś, kto by to wydał. Co myślisz? – Spojrzał na Felcię.

– Nie ma nikogo lepszego od ciebie – zgodziła się Felcia, uśmiechając się do niego. – Jest tyle innych rzeczy dotyczących historii Parchowa, ciekawostek...

– Felciu, kochani! – odezwał się zachęcony Jan.

– Właśnie kilka dni temu wymyśliłem coś i czekałem na okazję, żeby wam o tym powiedzieć. Mam zamiar zająć się badaniami, spisywaniem ciekawostek z historii Parchowa. Dowiedziałem się, że nad monografią Parchowa pracuje profesor Borzyszkowski<sup>[13]</sup> z Gdańska, Kaszuba jak ja, więc chyba się dogadamy, żeby nie dublować tematyki. Wybiorę się do niego wkrótce

– uśmiechnął się. – Zacznę też myśleć o grodzisku<sup>[14]</sup> w Gołczewie. Moim Gołczewie – podkreślił i potoczył wzrokiem wokół.

– Znalazłeś wreszcie swoje miejsce – uśmiechnęła się Felcia i pogładziła go po dłoni.

– A cóż tam za grodzisko jest w twoim Gołczewie?! – Anna aż poderwała się z krzesła.

– Jutro wybierzemy się tam na wycieczkę, obiecuję... – Jan podniósł palec w górę – ... i jeszcze Grabowo mnie czeka. – Tu wymienił uśmiech z Elizą. – Dowiedziałem się od Marka Pyrchy, który mieszka w Ruslandzie, jaką wersję tej nazwy oni uważają za prawdziwą. Tych wersji jest ponoć wiele – dodał, rozglądając się wokół. – Dawno, dawno temu, jeden z ich przodków miał przydomek czy przezwisko czy przydomek Car. Czy dlatego, że był groźny jak car Iwan, czy też nosił się z ruska w rubaszce, albo był na jakiejś wojennej wyprawie, nie wiadomo. Stworzona została zbitka dwóch nazw. Od cara był RUS, z niemieckiego LAND, czyli ziemia, kraj. I tak zostało Rusland. Ale to wcale nie musi być najważniejsze tłumaczenie tej nazwy – uśmiechnął się.

– No, to już zacząłeś działać? – upewniła się zadowolona Felcia.

– Tak jakby...

\*

Dwa samochody zajęły pod rodowy dom Lew-Szczodrowiczów. Z Ryszardem przyjechały Anna i pani Sława Dumke, a z Kaśką – Felicja Skierka. Pani Stefania stała na tarasie i wpatrywała się w swoich gości. Na jej twarzy widać było głębokie wzruszenie. Wyciągnęła ręce w kierunku Sławy Dumke, która powoli weszła na taras. Objęły się bez słowa i chwilę tak trwały.

– Sławka, jak ja się cieszę, że wreszcie jesteś, że odważyłaś się... – Pani Stefania spojrzała po chwili w oczy swojej dawnej koleżanki z grona nauczycielskiego.

– Dojrzałam, Stefano. Dosyć zabawy w pustelniczkę... Sama namówiłam twego syna Ryszarda, żeby mnie do ciebie przywiózł. Przez te lata bardzo za tobą tęskniłam... – Przytuliły się ponownie.

– Felciu kochana, jak dobrze cię znowu widzieć!

– Pani Stefania wyściskała się z kolei z Felcią. – Sławko, to jest Felcia Skierka, u niej mieszka Ania z córką i wnuczką. Mówcie sobie po imieniu... tak bym chciała – uśmiechnęła się do obu; Sławka i Felcia zgodnie pokiwały głowami.

– Ale niech Ania też mi mówi po imieniu. Proszę cię... – Sławka dotknęła dłoni Anny; ta skinęła głową.

– Wejźmy już do środka, bo dzisiaj jak dla mnie jest zbyt wietrznie.

Stefania otrząsnęła się i pokuśtykała w kierunku sieni.

Gdy weszły do salonu, pociągnęła Sławkę za sobą na sofę, Felcia i Anna usiadły obok na fotelach, zaś Kaśka i Ryszard na przystawionych krzesłach.

– A Eli nie ma? – Anna rozejrzała się.

– Mają jakiś wieczór autorski na zamku; zadzwoniła. Przyjedzie późnym wieczorem, wczoraj zapomniała o tym. – Stefania rozłożyła dłonie. – Tak chciała się spotkać ze swoją profesorką od niemieckiego...

– Szkoda, ale co się odwlecze... Stefano... – uśmiechnęła się Sławka. – Masz fajny kosmiczny pojazd. Widziałam w sieni.

– To właśnie powód, dla którego nie bywam w Bytowie. Wpadają do mnie codziennie albo Ela, albo Ryszard i to mi wystarcza. Ostatnimi czasy odwiedza mnie także Ania. – Stefania spojrzała na nią z uśmiechem. – Ale widzę, że ty jesteś w superformie... – Przeniosła wzrok na Sławę i poruszyła komicznie rękoma i nogami.

– Odpukać, ale chyba dlatego, że do wiejskiej dziewczuchy, która cały czas siedzi w ciepłku, nie zdążył się dobrać reumatyzm... – Sława klepnęła się w kolano

– ...a od końca wojny nie robię więcej niż wokół siebie.

– Jakiej wiejskiej dziewczuchy? – Stefania zrobiła zdziwioną minę.

– Też chciałam o to spytać – odezwała się Felcia.

– Bo po mnie to widać, że ze wsi, ale po tobie nic a nic. Takich żabotów dziewczuchy wiejskie nie noszą – zachichotała.

– Chyba nie śmiesz się ze mnie, Felciu? – Sławka uśmiechnęła się dobrotliwie, poprawiając żabot.

– W życiu... Tylko... on jest miastowy. Nigdy takiego nie miałam. – Felcia pokręciła głową.

– Ech. Chciałam przez te wszystkie lata uchodzić za dziewczynę z miasta, więc już dawno wymyśliłam sobie odpowiedni strój, ale... to tylko dekoracja. – Sława przebiegła wzrokiem wokół. – Miałam szczęście, że nikt nigdy nie wywłócił na światło dzienne mojego aktu urodzenia, zawsze po nowy dowód chodziłam sama, to i nikt nie wiedział, że nie urodziłam się w Bytowie.

– To skąd ty pochodzisz? – Stefania przybrała poważną minę.

– Urodziłam się w Stüdnitz... niedaleko. – Machnęła dłonią Sławka. – Przed wojną tak się nazywały Studzienice – wyjaśniła.

– Ale dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś...? Miałybyśmy wiele wspólnych tematów, bo ja też ze wsi – powiedziała z wyrzutem Stefania.

– Stefcu... Nigdy nie było okazji, ale nawet gdybyś mnie spytała... i tak bym ci nie

powiedziała prawdy... – Sława spojrzała na gospodynię, a potem przeniosła wzrok na Annę i uśmiechnęła się do niej. – Jestem dziwaczką i niech tak pozostanie.

– Ale masz tam chyba jakąś rodzinę... bywasz u niej czasami, tak? – Stefania zmarszczyła czoło i poprawiła okulary.

– Tylko raz wyjechałam dla przyjemności z Bytowa... na wycieczkę do Kołobrzegu. Chciałam z dziećmi powtórzyć swoją przedwojenną wyprawę. To było w pięćdziesiąty siódmym roku, kiedy pierwszy i ostatni raz byłam wychowawczynią klasy.

– Ale jaki to ma związek z moim pytaniem? – Stefania potrząsnęła głową.

– A taki, Stefania, że wcześniej przysięgam sobie... – Sławka przeniosła wzrok na moment na Annę – ...że nigdy stąd nie wyjadę prywatnie, dla przyjemności, donikąd, nawet na krótko, a w szczególności do miejsca swoich urodzin – zamilkła i spojrzała za okno; pozostali też milczeli. – Po jakimś czasie pomyślałam sobie jednak, że wiele lat minęło od wojny, więc może powinnam skorygować przysięgę. Objęłam wychowawstwo klasy, czego ani wcześniej, ani potem już nie czyniałam...

– No właśnie, to mnie zawsze dziwiło! – przerwała jej Stefania. – Kiedyś ktoś rzucił takie pytanie na radzie pedagogicznej, nie było cię wtedy na niej. Dyrektor wyjaśnił tak: pani Sława Dumke ma tyle innych obowiązków, że cieszcie się państwo, że ona jest. Spytał, czy ktoś chce ją w czymś wyręczyć, to wówczas on może się jeszcze zastanowi. Nikt się nie zgłosił – uśmiechając się, pokiwała głową Stefania.

– Bardzo mądry człowiek. Potem kiedyś przekazał moją sprawę swojej następczyni i tak zostało – skinęła głową Sława. – Zawsze miałam poza uczeniem niemieckiego dużo pracy, ale tak wybrałam – skwitowała, machnąwszy dłonią.

– Ale o co chodziło z tym Kołobrzegiem? – wtrąciła pytanie Anna.

– Tego nie zdążyłam ci opowiedzieć. Najpierw byliśmy w Słupsku, Ustce i Darłowie. Widać tam było jeszcze zniszczenia, ale wytłumaczyłam sobie, że przecież wojna skończyła się niedawno; przecież Bytów też był zniszczony. Kiedy natomiast wjechaliśmy do Kołobrzegu, zmartwiałam. Przeraził mnie wygląd czegoś, co stanowiło niegdyś centrum miasta. Podczas swojej przedwojennej wycieczki byłam zachwycona tym miastem, a teraz nic ze starego obrazu nie dojrzałam. Chyba tylko zachowane ceglane mury jakiegoś kościoła... Miasto wypalonych kikutów. Nie było co dzieciom pokazywać. Wróciły wszystkie najgorsze wspomnienia z wyzwalania Bytowa...

Zasłoniła oczy i pokręciła głową; zapadła krótka cisza.

– W Bytowie też dużo było zburzone, ale zaczęto odbudowywać, chociaż kościół stał, a tam...? Nic. Pustynia. Osłabłam i ledwo wróciłam z tej wycieczki. Wówczas porozmawiałam z dyrektorem.

– Przecież już wówczas się znałyśmy, Sławko, dlaczego nic mi wtedy o sobie nie powiedziałaś? – Stefania spojrzała na Sławę z wyrzutem.

– Bo ty lubiłaś wtedy fantazjować... – Sława pokręciła głową; Stefania podniosła brwi.

– Pamiętasz, jak zrobiłaś się młodsza o trzy lata?

– Cicho, nie wydawaj mnie – zachichotała Stefania.

– Czyli ślub, Stefciu, w którym roku ostatecznie miałaś, w trzydziestym czwartym? – Anna uśmiechnęła się.

– No jasne, że w trzydziestym pierwszym. – Stefania machnęła dłonią. – Przecież Rysio urodził się w rok po ślubie, a nie dwa przed – zachichotała.

– Mama ciągle lubi sobie robić z nas żarty... – zakłopotany Ryszard skubnął wąsika.

– Wtedy po prostu czuję się młodsza... Ale przerwaliśmy Sławce. Mów dalej, proszę – zachęciła ją wzrokiem.

– Jutka, mama Ani, która nie była jej prawdziwą mamą, czego wówczas nie wiedziałam... – Sława rozłożyła dłonie – ...stała się moją powiernicą. Mówiłam ci, Aniu, o przedwojennej sobocie, pamiętasz? – Spojrzała na nią; Anna przytaknęła. – Miałam jej wówczas opowiedzieć, skąd się wzięłam w Bytowie, ale ona wyjechała z Janem i tobą dzień przed moim powrotem z wycieczki. Chciałam wreszcie komuś opowiedzieć całą prawdę, bo pani Sonneberg też wszystkiego nie zdradziłam. Po sześćdziesięciu trzech latach od spotkania z Jutką teraz Ania stała się moją powiernicą... – jej wzrok ponownie zatrzymał się na Annie – ...dużo już jej opowiedziałam, ale o Studzienicach wszystkiego jeszcze nie zdążyłam.

Anna pokiwała głową.

– W tej wsi, zanim stamtąd wyjechałam, a właściwie uciekłam, była karczma, zajazd Franza Kiliana. Wiem, że wcześniej kierował nią niejaki Glowinski, a przed nim Leo von Gostomski. To był zasłużony Kaszuba. Już jako dziecko wiedziałam od ojca, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku podpisał deklarację w sprawie przyłączenia powiatu bytowskiego do Polski.

– Dobrze rzeczy pamiętasz... – uśmiechnęła się Felcia.

– Pamiętam trochę dobrych z tamtych lat i też z lat wojennych, ale złych niestety więcej i dlatego stałam się pustelniczką. – Sława pokiwała smutno głową i spojrzała na Annę.

– Czy to był powód, żeby się tak zamknąć, Sławuś? – spytała ciepło Stefania.

– Na przykład nie wiem, skąd się naprawdę wzięłam, na ile prawdziwe są moje dane z aktu urodzenia, który wykrałam ze szkatułki mojej macochy – wyrzuciła z siebie Sława i wzruszyła ramionami.

– A nie mogłaś jej spytać, tylko uciekać? – Felcia zmarszczyła brwi.

– Byłam w domu najgorszym popychadłem, więc uciekłam, ale tak naprawdę to ona mnie wygoniła... Nawet nie wiem, czy miała ślub z moim ojcem, który był współnikiem owego Kiliana. Ojciec był pijakiem, ale miał dobre odruchy. Czasami dał mi lizaka albo cukierka i kazał zwiewać, żeby matka nie widziała. Miałam dwie siostry i brata, ale oni traktowali mnie jak... ech... – Machnęła dłonią. – Moja prawdziwa mama musiała być kobietą delikatną i chyba nawet nie stąd, bo imienia Sława, z tego, co wiem, na Kaszubach dziewczynkom na chrzcie nie dawano.

– Fakt... – Stefania pokiwała głową.

– Jo! – potwierdziła Felcia.

– Ojciec, jak pamiętam, podobał się kobietom. Opowiadał mi, że kiedyś dużo jeździł. Może jakiejś panience z dobrego domu albo jakiejś artystce złamał serce i tak się urodziłam. Może przyjechała za nim i zostawiła mnie. Tego nie wiem, nigdy nie chciałam się dowiedzieć i chyba już zostanie tak jak jest....

– Ale dlaczego? Ja też mogłam nie szukać, a jednak zdecydowałam się – zaprotestowała Anna.

– Ty musiałaś szukać...!

– Dlaczego musiałam?

– Bo miałaś mnie znaleźć, żebyś ci opowiedziała o Jutce – Sławka zachichotała i machnęła dłonią. – Kiedy miałam dziesięć, a nawet jeszcze dwanaście lat, kochałam Studzienice, mimo że czasami bałam się w naszej chacie mieszkać. Była wybudowana tak ze

dwa kilometry od wsi, w bezpośrednim sąsiedztwie lasu; letnie susze i bezdeszczowe burze przyprawiały mnie o trwogę. Ale to był mój dom. W stodole któregoś lata szerszenie zbudowały gniazdo. Bałam się, ale wiedziałam, jak je omijać. Kiedyś w nocy obok domu mieliśmy pożar; spłonęła drewnitnia. Tata urodził się w sąsiedniej wsi Przewóz; opowiadał mi o niej, do dziś pamiętam każde jego słowo – zamyśliła się na chwilę. – Do trzydziestego trzeciego roku wieś nazywała się Pschywors, potem Adolfsheide. Kiedy ją zakładano, według przywileju z tysiąc sześćset dziewiętnastego roku jako szlachecką wieś, nazywała się Neu-Klonschen.

– Ależ ty masz pamięć! – Anna z podziwu otwarła szeroko oczy.

– A ja to co? A Stefcia? My nie mamy? – fuknęła Felcia.

– Was już podziwiałam, ale teraz jestem pod wrażeniem słów Sławki – załagodziła Anna, mrużąc oczy.

– Tata umiał liczyć, pisać i czytać, więc kiedy matka nie słyszała, a sam nie był pijany, opowiadał mi różne wydarzenia z historii. Wziął mnie kiedyś do tej swojej wsi. Czekałam na niego przed najbogatszym domem; tak mi wtedy o nim powiedział. Wyszła z niego starsza kobieta i dała mi talerz zupy na stoliku pod drzewem. Uśmiechnęła się. Moja macocha nigdy się do mnie nie uśmiechała... – Pokręciła głową. – Potem z domu dobiegły krzyki, tata wybiegł i poszliśmy z powrotem. Kiedy już mieszkałam w Bytowie, to sobie wymyśliłam, że to mogli być jego rodzice, a on poszedł chyba pożyczyć od nich pieniądze. Tata musiał mieć długi, bo w domu ciągle były wrzaski o pieniądze. Kilian też się na niego wydierał. Kiedy niedługo zapił się na śmierć, matka wciąż wyrzekała na te jego długi. Stała się dla mnie jeszcze bardziej okropna. Kiedy miałam szesnaście lat, nie wytrzymałam tego i uciekłam do Bytowa, chociaż bratu powiedziałam, że nie zatrzymam się aż w Warszawie.

– Przypomina mi się opowieść Tadzia o jego mamie Józefie, która z dziećmi wyjechała z Wielunia za pracą do Gdyni. To także mama Ani – uśmiechnęła się Felcja.

– Tak, mówiła mi. – Sławka skinęła głową.

– A gdzie dokładnie leżą Studzienice? – spytała Stefania, poprawiając okulary.

– Czternaście kilometrów na południe od Bytowa. Wyjeżdża się z Bytowa przez most, w Udorpiu jest rozwidlenie; prosto jedzie się na Chojnice, a do Studzienic skręca się w lewo. Teraz to jest duża gminna wioska, a Przewóz to wioska mała, dwa kilometry od Studzienic. Tam jest bardzo długie jezioro rynnowe, jakby potrójne, które w Studzienicach nosi nazwę Studzieniczno, w Kłęcznie nazywa się jezioro Kłęczno, a najbardziej na południe, Jezioro Ryńskie.

– Coś ty chyba bujasz, Sławka... Tyle rzeczy wiesz, jakbyś codziennie tam bywała – Stefania przerwała opowieść koleżanki.

– W Studzienicach są od lat piękne ośrodki wczasowe. Opodal mojego dawnego rodzinnego domu znajdują się aż trzy – ostatnie słowa Sławka wypowiedziała z dumą.

– A skąd tyle wiesz, jeśli nie byłaś tam od trzydziestego szóstego roku?

– Na targu w Bytowie, na górcie, niedaleko zamku, znam się od wielu lat ze starszą kobietą, która stamtąd przyjeżdża i handluje. Zgadałyśmy się kiedyś o Studzienicach. Skłamałam jej... – zachichotała – ...że przed wojną byłam tam ze szkołą na wycieczce, a ona mi zawsze opowiadała różne ciekawostki, co i jak tam się dzieje. Oprócz tego kupuję przewodniki kaszubskie, mapy, książki o historii Bytowa i okolic, i się wie. Po prostu! – Sławka wzruszyła ramionami.

– To może teraz wreszcie zrobisz sobie jakąś wycieczkę do Studzienic? – uśmiechnęła się Stefania.

– Gdybym miała taki kosmiczny pojazd jak ty, to teraz, kiedy już przestałam być pustelniczką, to kto wie...

– Sławko, może ja tam z tobą pojedę na przejażdżkę? Obejrzyj sobie Studzienice choćby zza szyb samochodu, bez zatrzymywania się... – Anna spojrzała w jej oczy.

– Może...

– A powiedz mi, Sławciu, jak ty biedna przeżyłaś ostatnie dni wojny, zupełnie sama w Bytowie? – Stefania spojrzała na Sławkę zatroskanym wzrokiem.

Tę zamurowało. Zwróciła się w stronę Anny, jakby szukając pomocy, ale ta dyskretnie wykonała przeczący ruch głową.

– Kiedy front się zbliżał, wybuchła tu panika i histeria... zresztą, Stefciu i Felciu, przeżyłyście to pewnie podobnie jak ja. – Sławka potrząsnęła głową. – Szkoda słów o tym. Pani Sonneberg była zrezygnowana i załamana. Ona, bogaczka, została tutaj sama i wyszła z miasta w kolumnie, razem z innymi, ciągnąc po śniegu wózek z dyszlem. Jej mąż jako ochotnik, tutejszy działacz NSDAP, pojechał bronić Kołobrzegu. On się od dawna z nią nie liczył.

– Ja miałam rodziców i jakoś mnie obronili, chociaż wiele dziewczyn z okolicy zostało okrutnie doświadczonych... – Felcia pokiwała głową.

– A ty, Stefciu? – spytała Sławka.

– Mnie schował mąż w tej sofie... Daj palec... – Stefania pokierowała palcem Sławki, aż wyczuła pod kilimem otwór.

– A to co?

– Oficer rosyjski, wychodząc po przeszukaniu domu, strzelił w sofę, kula tylko mnie drasnęła. Tu mnie schował mąż... i żyję.

– Może pani Sonneberg dotarła do Słupska, a może nie. Ci, którym udało się dotrzeć do jakiegoś portu, mieli szansę ewakuować się, pozostali byli bez szans. Ja tu zostałam, ale że w ogóle przeżyłam, to był cud... Za co Pan Bóg nas pokarał, że musimy żyć pomiędzy takimi degeneratami?

– To znaczy... o kim mówisz? – Stefania zmarszczyła brwi.

– O Niemcach i Rosjanach. Czytałam przez te wszystkie lata głównie książki historyczne. Chciałam się dowiedzieć, zrozumieć, ile winy w tych wszystkich hekatombach dotyczyło nas, Polaków. Na zachód, od czasów Chrobrego, nie chadzaliśmy, na północ nigdy, a na wschód od siedemnastego wieku też już nie. A przecież to, co zrobili nam Szwedzi w osiemnastym wieku, i to, co zrobili nam Niemcy i Rosjanie podczas drugiej wojny światowej, jest czymś potwornym. Tyle narodu wymordowali, ludzi ograbili z dóbr. A przecież były jeszcze czasy zaborów...! Czytałyście może piękną i mądrą powieść Jana Zaharyasiewicza *Na kresach*? Kupiłam ją w antykwariacie w Słupsku, jak musiałam tam jeździć na studia. Oczywiście, żeby nie zwariować, czytam też literaturę piękną, całkiem lekkie rzeczy

– uśmiechnęła się.

– Nic mi nigdy nie mówiłaś, że zajmuje cię historia. – Stefania otworzyła szeroko oczy.

– Tę książkę mieli też moi rodzice, a ja odziedziczyłam po nich. To powinna być obowiązkowa lektura w każdej klasie maturalnej. – Pokiwała głową.

– A te *Na kresach* to o naszych dawnych ziemiach wschodnich? – spytała Felcia. – Bo

jak lektura, to może i ja powinnam przeczytać? – zachichotała.

– Nie – zaprzeczyła Sława. – Kresy u Zaharyasiewicza to wschodnie rubieże Niemców: Wielkopolska, Pomorze. Zawsze kiedy patrzę na mapę, to stwierdzam, że dwa takie krwiożercze narody, jak Niemcy i Rosja, powinny mieszkać obok siebie i niech się między sobą rzną, rabują i gwałcą, ale resztę niech zostawią w spokoju! – Sławka podniosła głos. – Pan Bóg mógł kiedyś lepiej pomyśleć i zamienić nam miejsce z Niemcami.

– Widzisz, Aniu? – widocznie przejęta Felcia pomogła sobie gestem. – A dziwiłaś się niedawno, dlaczego myślę podobnie... To dlatego latam w gwiazdy albo zwiedzam jak ta głupia świat, żeby zająć czymś innym głowę. Sławka wytłumaczyła to chyba jaśniej niż ja; rozumiem ją.

W salonie zrobiła się cisza. Kobiety spoglądały po sobie. Ryszard opuścił głowę.

– Kochane kobiety, a może już dosyć tych smutnych opowieści? Może napiłybyście się po lampce dobrego wina? – spytał.

Wszystkie jak na komendę spojrzały na niego.

– No, że ty, Rysiu, o tym zapomniałeś? Wiedziałam, że na coś mam ochotę. A przecież nawet kawy nie zrobiłeś... Szkoda, że Ela ma dzisiaj ten wieczór autorski... – Stefania z dezaprobatą pokręciła głową.

– Już chciałam lecieć do bagażnika po nalewkę... ale nie zapakowałam – zachichotała Felcia.

– Wiecie co? Ostatni raz wypiałam kieliszek alkoholu na uroczystości, gdy odchodziłam na emeryturę, może już czas skończyć także z abstynencją? – Sława zaśmiała się cicho.

– Ryszardzie, nie sknerz, daj coś... – zaśmiała się Anna.

– Kasieńko, pomożesz? – Ryszard poderwał się i spojrzął na nią błagalnie.

– No jasne! A ty, mamó, zacznij rozmowę o kwiatkach albo o robotach na drutach, albo... – Kaśka zmrużyła oczy.

– Dziecko! Ty chyba nie wiesz, co mówisz! – ofuknęła ją Anna.

– W życiu nie trzymałam drutów w rękach – przyznała się cicho Sława.

– A ja kiedyś trzymałam, bo dostałam od ciotki w prezencie, ale potem głęboko schowałam, żeby sobie krzywdy nie zrobić – Stefania zachichotała.

Wszyscy w salonie roześmiali się w głos.

\*

Ryszard przywitał się serdecznie z Anną, ale zaraz pokręcił głową.

– Sławka trzy razy już tu zachodziła, bo chce ci coś jeszcze powiedzieć.

– To może najpierw skoczę do niej na kilka minut, bo inaczej będziemy siedzieć jak na szpilkach? – Anna spojrzała na niego; Ryszard skinął głową.

Po chwili pukała już do Sławki.

– Aniu, dziękuję ci, że nie wydałaś mnie u Stefci!

– Sława przytuliła Annę. – Wejdz do środka, usiądźmy. – Pociągnęła Annę za sobą.

– Sławciu, przecież słucham, czuwam... tajemnica to tajemnica. Już myślałam, że ty sama chcesz im wtedy powiedzieć.

– Nie! Przez moment nawet żałowałam tego wyjazdu, ale Ryszard był czujny i zamknął tę rozmowę. Jakie to wino było pyszne! Potem było już miło. W nocy spałam jak suseł – uśmiechnęła się.

– I dobrze, że tak się skończyło, bo przy tych emocjach mogłybyście jeszcze długo sobie opowiadać i każda chciałaby czymś mocniejszym zaskoczyć pozostałe.

– Masz rację. Gdybym opowiedziała na przykład to, co mówiła mi ta kobieta ze Studzienic na targu, to mogłoby się tak stać!

– A co ona ci takiego opowiadała? Czy coś o twojej rodzinie? – zaciekawiła się Anna, mrużąc oczy.

– Jakiej rodzinie? Słyszałaś, co mówiłam o moich przyrodnych siostrach i bracie, prawda? Chyba nie chciałabym ani słyszeć o nich, ani spotkać się z nimi.

– Sława spojrzała smutno na Annę.

– Ale chyba opowiadała ci coś o twoim przyrodnim rodzeństwie, bo jakoś mówisz ogródkami?

– Nie! Mówiła o innych sprawach, innych rodzinach. Kiedyś opowiedziała, jak to w miejscowości Ugoszcz, pięć kilometrów od Studzienic, Rosjanie zamordowali księdza, na polu obok plebanii, tylko za to, że ukrywał gosposię.

– Z tego, co mi Felcia kiedyś opowiadała, i Stefcia także, to już wiem, że podobnych historii było wiele. Każdy powód dla Niemców czy Rosjan był dobry.

– Ta kobieta mówiła mi jeszcze kiedyś o dwóch braciach i siostrze ze Studzienic, że ich los był strasznie pokręcony. Obaj bracia służyli w Wehrmachcie, bo Niemcy po prostu wzięli ich do wojska i już. Przecież żyli na terenie Niemiec! Jeden z nich walczył pod Stalingradem, drugi, niestety, zginął w obronie Berlina, dwa tygodnie przed końcem wojny. Ten pierwszy wrócił spod Stalingradu z odmrożonymi stopami, amputowano mu palce, a później, w latach osiemdziesiątych zaczęły się dalsze problemy, być może na skutek tych przejść w czasie wojny. Najpierw amputowano mu jedną nogę powyżej kolana, a potem drugą. Bardzo cierpiał. I za co to wszystko? Czuł się Polakiem, ale mógł to sobie wykrzyknąć... w lesie. A potem po wojnie wszyscy w Polsce takim jak on to wypominali. Tylko co oni mogli zrobić?!

Sława podniosła głos i zacisnęła mocno swoje długie palce.

– Nikt nie chce pamiętać, jak to było w czasie pierwszej wojny światowej. Że Polacy strzelali do siebie z obu stron frontu. Sprzeciw, odmowa – to był najczęściej wyrok śmierci od razu, pójdzie na wojnę niosło jakąś szansę, że się przeżyje. A gdyby który z nich uciekł, to rodzina byłaby represjonowana. Straszne! Ech... Musimy, Aniu, starać się, żeby już do tych tematów nie wracać. To jest takie bolesne... – Pokiwała głową. – To chciałam ci dzisiaj powiedzieć.

– Będę miała się na bacności, Sławciu.



## *Rok na boku*



– Przybijaj, Wika! – wrzasnęła Eliza, gdy wyszły z dziekanatu.

– Nie wierzę! – Teraz Wika dała upust swojej radości.

– No i co? Miałam rację? Stanowimy tandem? – Eliza przystanęła na schodach i zmrużyła oczy.

– No! Miałaś, miałaś... – Wika odpowiedziała także zmrużeniem oczu; obie koleżanki przytuliły się.

– Udowodniłaś sobie, no i mnie też, że z matmy to jesteś potęgą... – Wika pokręciła głową z podziwu. – Ale i tak nie kumam, jak to się stało, że o mało co w tamtym semestrze by cię ona pogrzebała.

– Nauka, Wiczko, kosztuje... – Eliza przewróciła oczami.

– Ja ci dam Wiczko! – Dała Elizie kuksańca i ruszyła biegiem po schodach. – Lecimy na lody! – wrzasnęła.

Siedziały na Świętojańskiej w kawiarence i wpatrywały się w ogromniaste porcje lodów, jakie przed chwilą przyniosła im kelnerka.

– Co to jest? – roześmiała się Eliza.

– Chciałaś duże? No, to masz. Nie trzeba było latać do kibelka. Wybrałam po nazwie. One się nazywają Big Holiday!

– Wielkie wakacje?

– A niech tam tłumaczą, jak chcą... – Wika zgarnęła łyżeczką odrobinę śmietany z posypką orzechową z wierzchołka porcji. – Mniam! Tyle wakacji!

– No, chyba się nie martwisz? Ja tylko dokończę pakowanie i mogę jechać!

– Dzisiaj? – Wika zrobiła wielkie oczy.

– Kasiula czeka na podgrzaniu, żeby wpaść po swoje dziecko! – zarżała Eliza.

– A co ty na to, gdybyście mnie zwinęły po trasie? Dziadkowie i Leti z Kacperkiem już tam są, a tata może dopiero przyjechać na weekend!

– Też pytanie. Jasne! Ile godzin ci potrzeba od momentu, jak się rozejdziemy?

– Ze trzy godziny...? Dojedzie Kasiula? – Wika mrugnęła porozumiewawczo.

– Okej, już pytam! – Eliza postukała po klawiaturze i podniosła telefon do ucha. – Hej, mami!... Zapamiętaj dzisiejszą datę, osiemnastego czerwca!... Tak! Już po!... Big Holiday! Jemy lody o takiej nazwie i mamy wolne do trzydziestego września! Wielkie wakacje!... Wszystko ci opowiem po drodze!... Czyli godzina piętnasta, okej!... Po drodze zajedziemy tylko po Wikę... Nie! Dziadek ją odbierze... To pa! – Odłożyła komórkę, podrapała lodową kulkę i włożyła do ust łyżeczkę, przymykając oczy. – Małmazja...

– A bioderka tylko się cieszą! – Wika poklepała się po boku i pisnęła: – Czyli po trzeciej będziecie u mnie, tak?

– Mhm. Jeszcze esemesniemy sobie, jak ruszymy... Ja cię kręcę! – Eliza wykrzyknęła i położyła dłoń na ustach. – Sorry! – skłoniła się do siedzących przy sąsiednim stoliku. – Dasz wiarę? Miałyśmy plan, ale że on wyjdzie nam bez pudła...? – zmrużyła oczy; Wika

uczyniła podobnie.

– Tandem, czyli duet! – prychnęła Wika. – Jeszcze nigdy nie miałam takich długich wakacji. W ubiegłym roku zaczęłam dwa tygodnie później.

– A ja dwudziestego drugiego czerwca, kiedy babcia zrobiła Kasiuli i mnie musztrę – zachichotała Eliza.

– Ty! Tutaj jest ajerkoniak! – Popukała łyżeczką o puchar, wskazując żółty kolor na jednej z kulek.

– Damy radę! – Wika prychnęła. – Czy jeszcze ktoś z grupy zaliczył wszystko w zerówkach?

– Chyba tylko Justyna.

– Aha!

– Słuchaj, rozmawiałam wczoraj wieczorem z Kasiulą. Ależ ona jest zakręcona po tej wyprawie do Szkocji z Maćkiem... – Eliza wyróciła oczami. – Cieszę się, bo niechby sobie ułożyli życie. Mama miała ciężko, a Maciej...? Nic w zasadzie o nim nie wiem, ale jest fajny.

– Fajny... Do Krzyśka w zasadzie też nic nie mam, ale dzięki niemu... jest Igor! – Wika przymrużyła oczy.

– Igor... Igorio – Eliza przymknęła oczy. – Rozmówię się z nim i... wrócimy do normalnych stosunków! – zakończyła twardo.

– Uupss! Podoba mi się to! – zachichotała Wika.

– Tak mi się tylko wyrazy złożyły...

– Eee tam. Tak tylko mówisz... – Wika machnęła dłonią, nie przestając się śmiać.

– Ale najpierw się z nim rozmówię! – zawołała Eliza i przyłączyła się do śmiechu koleżanki.

\*

– Czyli jesteście najlepszym tandemem na roku? – Kaśka uśmiechnęła się do lusterka.

– Byli tacy, hi, hi... co niedawno mocno w to wątpili – zaśmiała się Wika.

– Oj, dziewczynki. Tak się tylko mówi... Wyście coś mówiły, to i ja coś powiedziałam, czy też babcia, ale przecież wiadomo, że wam kibicowałyśmy – Kaśka ponownie się uśmiechnęła. – Puszczę wam coś fajnego.

Włączyła odtwarzacz. Rytmiczne uderzenia akordów gitary rozpoczęły utwór, a po chwili popłynęły słowa nastrojowej piosenki:

*Mull of Kintyre*

*Oh mist rolling in from the sea;*

*My desire*

*Is always to be here*

*Oh Mull of Kintyre.*

– Znacie? – spytała Kaśka, gdy na moment śpiew ucichł, a melodię powtarzały instrumenty.

– To *Mull of Kintyre*, McCartney. Lubię... ale Olek to by się zsiął – zaśmiała się Wika.

– Tak lubi? – Kaśka spojrzała w lusterko.

– Jak ma fazę, to potrafi kilkanaście razy słuchać w kółko czegoś, co lubi.  
– I to też?  
– Nie wiem, bo na ogół słucha w słuchawkach – prychnęła Wika. – Ale to jest w jego typie.  
– Właśnie tam byłam z Maciejem... – Kaśka pokazała palcem na odtwarzacz i uśmiechnęła się – ...na tym tytułowym cyplu. Spełniło mi się kolejne marzenie...  
– mrugnęła. – Nie myślałam, Eliza, że Susan i Greg zrobią mi taki show.  
– Czy to, co mówiłaś, że przyjadą latem, to już jest pewne? – Eliza spojrzała na matkę.  
– Oni sami mi tak powiedzieli, więc na pewno mają to wpisane w plany! Ładnie się zapowiadają wakacje. Którego dzisiaj mamy? – Kaska zerknęła w lusterko na dziewczyny.  
– Powinnaś przecież pamiętać datę, którą ci dzisiaj wykrzyczałam – wypomniała żartobliwie Eliza.  
– Ach tak, osiemnastego! – Kaśka pacnęła się w czoło. – Ssss! – syknęła. – Za pięć dni ognisko, rozpoczęcie sezonu – zapowiedziała z uśmiechem.  
– Wow! – zawołała Eliza.  
– Będę! – dodała Wika.  
– Ależ w tym roku będzie ono wielkie. Dochodzi pięcioro Dziedziców, może i Adam będzie... – Kasia uśmiechnęła się.  
– A Igorio wie? – Wika spojrzała na Elizę.  
– Właśnie piszę do niego esemes.  
– Popatrzcie, dziewczynki, na pola i łąki. Chabry, maki, zboża zaczynają żółknąć... O! I rzepak jest na żądanie. Uwielbiam... a kiedyś w ogóle nie zauważałam. Rumianek kwitnie, łubin kolorowy... – napawała się Kasia.  
– O! I oset jest! – roześmiała się Eliza.  
– Błękitne oczka i błękitne niebo, zielone łąki i mamy wszystkie kolory Kaszub – podsumowała Wika.  
– Ale myśmy od zeszłego roku się zmieniły, córcia, prawda? – Kaśka zerknęła w lusterko.  
Podróż minęła błyskawicznie i już niedługo domownicy „Iskierki” składali gratulacje Elizie i Wice.  
– Podkarmię cię, chudziaczku! – zawołała Felcia, ściskając Elizę. – Ciebie też, tylko częściej wpadaj!  
– Objęła z kolei Wikę.  
Obie dziewczyny roześmiały się.  
– Ja bym mogła w Zielonym Dworze mieszkać przez cały rok i dojeżdżać stamtąd na studia... – Wika uśmiechnęła się do Elizy; ta skinęła głową. – Ale stołowałabym się u ciebie, Felciu! – zmrużyła oczy.  
– Na Boga! O jakim ty „Zielonym Dworze” mówisz?! – zawołał nagle dramatycznym głosem Henryk Dziedzic i zamarł.  
– No, jak to o jakim? O naszym! Dziadziusiów i naszym! Przecież tam mamy domek!  
– Co, gdzie, jak? – Wzburzony pan Henryk potrząsał głową. – Mówisz o naszym „Zielonym Dworze”? Odkupiliście go?  
– Dlaczego, panie Henryku, mielibyśmy odkupywać coś, co do nas należy? Sami od siebie? – Wika zrobiła zdziwioną minę.  
Cała reszta, oprócz Dziedziców siedzących na werandzie, w napięciu wyczekiwała,

czym skończy się ta dziwna wymiana zdań.

– Może coś źle usłyszałem, ale chyba powiedziałaś, że mogłabyś cały rok mieszkać w „Zielonym Dworze”, czy tak?

– No... tak...

– A gdzie jest ten wasz „Zielony Dwór”?

– On jest tam, gdzie... bo ja wiem, dla mnie on jest od zawsze zupełnie niedaleko, przez pole – uśmiechnęła się Wika.

– Jak to niedaleko... przez pole?

Wszyscy na werandzie, oprócz Dziedziców, wybuchnęli śmiechem.

– Adelo, Henryku! Tak się nazywa osada z kolonią domków letniskowych nad Mauszem, gdzie oni mają swoją działkę!

Henryk spuścił powietrze,

– No nie, już myślałem, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności odkupiliście nasz zajazd!

– Musicie w takim razie, panie Henryku, szybko nas odwiedzić, żeby zobaczyć to nasze cudo – uśmiechnęła się Wika. – O! dziadziuś przyjechał! – poderwała się.

– Siedź! – krzyknęła Felcia. – On wypije z nami kawę! – Felcia podeszła żwawo do krawędzi werandy.

– Tadziu! Tadziu! – krzyknęła w kierunku bramy.

\*

– Kochani! – Felcia spojrzała wokół ogniska. – Jak ja was wszystkich kocham! – Zaplotła dłonie na piersi. – Zaczynamy kolejny sezon agroturystyczny, chociaż, między nami mówiąc, od jakiegoś czasu sezon trwa tutaj nieustannie. Od chwili przybycia do Parchowa z wielkim bum... – Felcia mrugnęła – ...rok temu Ani, Kasi i Elizy trwa u nas nieustanny sezon... na szczęście!

Stach rzucił na ogień gałązki jałowca. Zaskwierczało i snop iskier uniósł się w górę.

– Jak ja to lubię! – Felcia wskazała na ogień. – Rób tak, Stachu, od czasu do czasu jako tło do wiersza, który będzie jak zwykle na rozpoczęcie. Dotąd zawsze ja go wybierałam, a dzisiaj chcę się podzielić z Anią przyjemnością otwarcia sezonu.

– Nie wiem, czy trafię wszystkim w gusta, ale odkąd pamiętam ten wiersz, zawsze kojarzył mi się ze szczęściem – zaczęła Anna. – Nie umawiałam się z Felcią, a ona przed chwilą też tyle powiedziała o szczęściu. Chciałabym, żebyście kiedy będę czytać ten wiersz, co chwila, w myślach, dopowiadali sobie też słowo szczęście, bo jego nigdy za dużo. Wtedy ten wiersz lepiej smakuje... – Anna pokazała wokół uśmiechniętą twarz.

*Na dzień dobry*

Czesław Miłosz

Czasem wiatr zdmuchnie smutek przelotny,

Ciepłym tchnieniem znów dłonie ogrzeje,

I przegoni wszystkie kłopoty,

Więc dziękuję wiatrowi, że wieje.

Czasem deszcz o szyby zadzwoni

Mokra trawa kroplami łśni  
Łzami łatwiej tęsknotę zasłonić,  
Więc dziękuję deszczowi za łzy.

Czasem słońce w gonitwie do lata  
Znowu ogród barwami roznieci  
Pozapala iskry na kwiatach,  
Więc dziękuję słońcu, że świeci.

No, a czasem się do mnie uśmiechniesz  
Znikną smutki szaro-niebieskie  
Stoisz w progu i słońce masz w oczach,  
Więc dziękuję Ci za to, że jesteś...

Rozległy się oklaski. Anna potoczyła wzrokiem wokół i zatrzymała go na Ryszardzie. Ten podziękował uśmiechem i złożył pocałunek na jej dłoni. Felcia na moment wstała i klasnęła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Kochani! Agroturystyczny sezon dwa tysiące drugiego roku uważam za otwarty! – zawołała. – Częstujcie się.

Do ogniskowego różna ustawiła się kolejka. Gdzieś w oddali zamruczało. Prawie wszyscy zebrani wokół ogniska unieśli głowy w górę.

– Spokojnie, to ewentualnie tylko burza – uśmiechnął się Maciej. – Jakby co, to wiadomo dokąd wiać, prawda? Stachu! Tylko ognisko zostaw na miejscu!

– Jakby co, to różno od wczoraj w kuchence już działa. I to dzięki Stachowi! – uśmiechnął się Sebastian.

Niebo zaścieliło się ciemnymi chmurami. Pomruki burzy zamieniły się w coraz bliższe grzmoty, a horyzont, od czasu do czasu, zaczęły rozświetlać błyskawice. Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, nastąpiła sprawna ewakuacja. Panie pozbierały na tace jedzenie i napitki, panowie zaś poskładali siedziska. Za kilka minut wszyscy odnaleźli się w komplecie w stodole. Kiedy ostatni zmoczeni schowali się do jej wnętrza, w środku trwał istny festiwal ochów i achów nad wystrojem przygotowanym przez Henryka i Adama. Tym razem wewnątrz zostało ustylizowane na połączenie tawerny z Dzikiego Zachodu ze... stajnią. Kilka siodeł, uprząże, chomąta, wędzidła, lejce, orczyki stanowiły dekorację sali, której centralnym elementem był długi kontuar z krzesłami barowymi, do tego kilka kredensów i stoły ustawione w literę U.

– Przewidzieliśmy pracę w dużym zespole... – roześmiał się Henryk i podkręcił wąsa.

– Jest też widok na scenę, bo może jakieś panienki będą chciały zatańczyć i pokazać publice swoje wdzięki, jak to niegdyś w tawernach bywało – Adam dołączył swój śmiech do Henrykowego.

– Ania, nareszcie coś dla nas! – wrzasnęła Felcia, wywołując ogólne rozbawienie.

Kiedy większość pozajmowała miejsca przy stołach, na salę wkroczył Sebastian z tacą wypchaną srebrnymi zawiniątkami, w asyście Elizy i Wiki. Cała trójka uśmiechała się.

– Danie według przepisu tandemu z wydziału...

– Sebastian wskazał na dziewczyny.

– ...biologii morza...! – krzyknęły zgodnym chórem.

– ...la banana una chocolata – dokończył Sebastian. – Się proszę częstować.

Banany w czekoladzie stały się przez kilka minut hitem imprezy, aż do burzowego grzmotu, który bez ostrzeżenia namierzył jakiś cel w pobliżu Parchowa. Ściany stodoły się zatrzęsły, szyby w oknach i szkła zadzwoniły zgodnie. Gdy ucichły kobiece piski i wrzaski, będące trybutem wobec burzy mijającej właśnie wieś, za spektakularny występ, przed stołem, przy którym siedziały obok siebie Felcia i Anna, a nieco z boku Kasia, pojawił się Maciej Skierka z bukietami chabrów przetykanych makami. Dwa razy chrząknął.

– Kochane matki... – skłonił głowę i uśmiechnął się.

Felcia i Anna oniemiały. Ich dłonie na ślepo poszukały się i złączyły. Na sali ucichło. Kasia przyłożyła dłonie do policzków.

– ...i ty, Kasiu kochana... Czasami trzeba się nachodzić, żeby znaleźć swoje szczęście. Moje pojawiło się tutaj zniemacka, z burzą sprzed roku... – uśmiechnął się  
– ...dzisiejsze grzmoty zamówiłem na rocznicę tamtego pamiętnego dnia. Mam nadzieję, że za chwilę znowu odezwie się piorun, bo dlaczego nie...

Ściany stodoły zatrzęsły się jak na zamówienie, szkła znowu zadzwoniły zgodnie.

– Cóż ja mogę obiecać, żebyś uwierzyła mi, że mam szczerą wolę poślubić cię, Kasiu, i zostać z tobą na zawsze? – uśmiechnął się. – Wiem! Jeśli kiedykolwiek wbiją mi się na przykład grabie w brzuch, to przyznam się od razu. Może komuś ten przykład wyda się dziwny, ale Kasia zrozumie. Oprócz tego oświadczam, że nie ma takiej siły, która mogłaby spowodować, że przestanę cię kochać. Będziesz musiała się ze mną męczyć do tak zwanego końca, cokolwiek to oznacza. Kasiu, kocham cię, choć jeszcze nie tak dawno nie pomyślałbym, że takie coś może mi się przytrafić. A teraz sakramentalne pytania: czy chcesz zostać moją żoną, czy jesteś gotowa także ty mnie pokochać oraz czy nasze matki mają coś przeciw? Żeby matkom było łatwiej podjąć męską decyzję, dodam trochę błękitu do mojej prośby.

Podszedł bliżej i wręczył Felci oraz Annie bukiety chabrów.

Obie patrzyły jak oniemiałe na to, co się przed nimi dzieje. Spojrzały po sobie i zgodnie zawołały:

– TAK!

– Kasiu kochana! Matki zgadzają się! – Maciej przyklęknął po drugiej stronie stołu naprzeciw Kasi, trzymając w ręku malutki pakuneczek. – Proszę cię w takim razie, abyś zgodziła się zostać moją żoną. – Wyciągnął rękę z uchylonym wieczkiem małego pudełeczka.

Kasia zmrużyła oczy, wychyliła się najpierw w kierunku matki i Felci, a potem Elizy. Zewsząd dojrzała wzruszone skinięcia głów.

– Żeby tobie ułatwić, a pozostałym utrudnić, powiem, że nic mnie tak nie przekonało, jak obietnica ewentualnego przyznania się kiedyś do posiadania grabi w brzuchu. Mogłabym ich nie zauważyć, a to przyznanie się wiele nam, w razie czego, ułatwi we współżyciu...

– Rozległ się głośny śmiech uczestników imprezy.

Kasia błyskawicznie usunęła na boki stojącą przed nią zastawę, zgrabnie przerzuciła nogi na drugą stronę stołu i stanęła obok Macieja. Spoglądała zza zmrużonych rzęs na trzymany przez niego w pudełeczku pierścionek z szafirem.

– Skąd wiedziałeś, że o takim marzyłam?

– Okazuje się, że mam słuch i pamięć. Kiedyś rozmawiałaś z mamą o takim

pierścionku. – Maciej uśmiechnął się. – Kasiu, odpowiedz mi na moje pytanie, czy się zgadzasz, bo... już długo klęczę! – zaśmiał się.

– No jasne, że się zgadzam!

Maciej wstał i pomógł Kasi wsunąć na palec pierścionek, a potem pocałowali się. Ze sceny, dzięki refleksowi Ryszarda, odezwała się przygrywka do *Stu lat...* Cała sala huknęła śpiewem. A potem było jeszcze *Niech im gwiazda pomyślności...*

Kasia z Maciejem podeszli do Anny i Felci. Obie kobiety śmiały się i płakały na przemian ze szczęścia. Potem z gratulacjami do zaręczonych ustawiła się kolejka. W pewnym momencie Felcia i Anna ruszyły w kierunku sceny.

– Chcemy kankana! – zawołały chórem.

Ryszard popatrzył na nie w osłupieniu.

– No, graj wreszcie tego Offenbacha! – przynagliła go Anna tupnięciem już ze sceny.

Ryszard zaczął przygrywkę. Wszyscy poderwali się od stołów i ruszyli w kierunku sceny. Anna i Felcia, powiewając spódnicami, rzuciły się w szalonego kankana, a reszta wybijała rytm. Po chwili doskoczyła do nich Eliza, a zaraz potem Wika. Gdy skończył się taniec, wszystkie cztery, zziajane, przytuliły się mocno do siebie.

– Aniu! Dotąd byliśmy chrestną rodziną... a teraz będziemy prawdziwą! – Znowu objęły się.

– Teraz kankan dla was! – zawołał Ryszard, wskazując na stojących pod sceną i raz jeszcze zagrał przygrywkę do tańca.

– I co, nie mówiłam, że zatańczymy na scenie? – zaśmiała się Felcia, ciągnąc Annę do stołu.

Burza znad Parchowa oddalała się powoli.

\*

Marysia spoglądała błyszczącymi oczami na Kasię i Macieja.

– Pamiętam, jak zobaczyliście się po raz pierwszy... – uśmiechnęła się i potrząsnęła końskim ogonem.

– A ja od razu poczułam motyle w brzuchu i cały czas miałam dreszcze, pamiętasz? – Kasia zmrużyła oczy.

– Dziewczyno, rumienię się, przestańcie już... – Maciej spojrział błagalnie na obie.

– Prawda cię boli? – zaśmiała się perliście Marysia.

– Tak się cieszę, Marysienko, że wracasz do formy. – Maciej pogładził ją po dłoni.

– Wiecie, co mnie najbardziej cieszy i dzięki czemu wracam, jak mówisz, do formy? – spytała Marysia. – To jest powód, spójrzcie... – Wskazała głową na siedzących przy kontuarze, obok siebie, Adama i Miłosza. – Oni się do siebie uśmiechają, a teraz podali sobie dłonie. Boże! Coś się chyba stało! – Marysia zawołała konspiracyjnym szeptem i złapała Kasię za dłoń.

W tym momencie wzrok Miłosza i matki spotkał się. Miłosz gestem spytał, czy mogą do niej podejść. Marysia skinęła głową.

– Mamo, porozmawialiśmy sobie szczerze z panem Adamem – powiedział syn, kiedy stanęli obok, i uśmiechnął się do matki; Adam potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Pogratulowałem Miłoszowi ukończenia osiemnastu lat. Przeprosiłem go, że zapomniałem o tym – Adam uśmiechnął się, podnosząc pociesznie brwi i ramiona.

– To było, mamó, trochę inaczej. Ja sam podszedłem do pana Adama i zacząłem mówić, że od niedawna pewne sprawy widzę wyraźniej – Miłosz uśmiechnął się szeroko.

Do matki zbliżyła się uśmiechnięta Joasia, chcąc coś powiedzieć. Marysia położyła palec na ustach, wskazując na Miłosza; córka potwierdziła skinieniem powiek.

– Powiedziałem zgodnie z tym, co myślę, że dzięki panu Adamowi doszłaś, mamó, do siebie... – kontynuował Miłosz.

– Posłuchaj, Miłosz, może zostawmy to między sobą... – poprosił Adam.

– Nie. Bo zbyt dużo wyrządziłem wam przykrości, uprzykrzyłem mamie i tak trudne chwile. – Miłosz pokręcił przecząco głową. – Naprawdę myślałem, przepraszam, mamó, za szczerość, że będzie gorzej, ale dzięki panu Adamowi było tobie, ale i nam z Joasią, łatwiej, lżej. To, że jesteś w lepszej formie, to właściwie jego zasługa – podsumował; Marysia zaszklily się oczy, przyciągnęła do siebie Joasię.

– Miłosz, jestem pod wrażeniem. Jesteś wielki!

– Kasia złapała jego dłoń. – Widać, że to prawdziwa pełnoletność. Życzę ci spełnienia wszystkich marzeń, udanej za rok matury i znakomitych riffów i solówek

– wycalowała go.

– Dziękuję, pani Kasiu – uśmiechnął się do niej.

– Ale to jeszcze nie wszystko, mamó, co chciałem ci powiedzieć. – Miłosz spojrzał na matkę przenikliwie.

– Powiedziałem panu Adamowi, że może...

– Miłosz, nie! – przerwał mu, śmiejąc się Adam.

– Muszę dokończyć i dobrze, że wszyscy, co powinni, tego słuchają – uśmiechnął się do mamy i siostry.

– Pan Adam może... u nas bywać! – zaśmiał się i spojrzał na niego; Adam poklepał go po plecach. – Przecież, mamó, jesteś wtedy radośniejsza, oboje z Joasią to widzimy. – Pokiwał głową. – Pana Adama przysięga wtedy, wiesz, była szczerą, chociaż mam wrażenie, że z jego strony, to nie tylko... przyjaźń.

Marysia i Adam spojrzeli po sobie; Miłosz pokiwał głową i znowu się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że ze strony mamy to chyba też coś więcej niż... przyjaźń – dokończył Marysia uśmiechnęła się i klepnęła Miłosza w dłoń.

– No wiesz, synu...



## *Czy pani jest... wolna?*



*W* przeddzień rozprawy sądowej przewidywanej przez Ryszarda jako zakończenie sprawy przejęcia przez Władysława Zalewskiego, przyrodniego brata Anny, parchowskiej ojcowizny, do Bytowa przyjechał jego prawnik z Ameryki, mecenas Antoni Gryka – nieco ponadczterdziestoletni mężczyzna, szatyn o piwnych oczach i krótko ostrzyżonych włosach. Do tej pory wspierał Ryszarda stamtąd, a teraz Władek wysłał go, aby obaj poznali się bliżej. Ryszard z Antonim odbyli długie wieczorne spotkanie, po którym rozstali się zadowoleni.

– To widzę, panie Ryszardzie, że czeka nas raczej tylko formalność – uśmiechnął się mecenas Gryka.

– Nie dopuszczam innej myśli – potwierdził Ryszard.

Trwająca od południa rozprawa przebiegła sprawnie i zakończyła się odczytaniem postanowienia.

– Zamykam posiedzenie sądu – ogłosił sędzia, nałożył biret i podniósł się; wszyscy obecni na sali rozpraw również wstali.

Ryszard uśmiechnął się do Anny.

– No, to pierwszy etap mamy za sobą – powiedział szeptem i uściśnął delikatnie jej dłoń; Anna skinęła głową.

– Ale teoretycznie ktoś może się jeszcze zgłosić w terminie odwoławczym, czy tak? – spytała, spoglądając mu w oczy.

– Masz, Anno, rację, ale tylko teoretycznie, bo praktycznie nikogo takiego nie ma.

– Czyli po prostu musi minąć... ten czas i już! – Podniosła kciuk i uśmiechnęła się z ulgą.

– Możemy więc przekazać naszemu mocodawcy serdeczne gratulacje – Ryszard zwrócił się do stojącego z jego drugiej strony mecenas Antoniego Gryki.

– Oczywiście! Jeśli dobrze zrozumiałem, uzasadnienie zostanie przesłane na pański adres... – Mecenas spojrział na Ryszarda.

– Dokładnie tak, w terminie kodeksowym – potwierdził.

Schodzili po ciasnych schodach.

– Panie Antoni... – zagadnął Ryszard – ...wszystko poszło sprawnie, więc została nam godzina do obiadu. Co pan na to, żebyśmy się nieco przebrali, by poczuć się w jego trakcie swobodniej?

– Nie śmiałybym nic takiego sugerować. U nas...

– Wiem... – przerwał mu Ryszard, skubiąc wąsika

– ...ale proszę spojrzeć na to z drugiej strony. Spotykamy się w gronie wyłącznie rodziny, jest gorąco, ma pan hotel w tym samym budynku co restauracja. Może więc jednak?

– Przekonał mnie pan – mecenas Gryka uśmiechnął się. – U nas trochę za bardzo trzymamy się konwenansów.

Uczestnicy obiadu spotkali się o piętnastej przed wejściem do restauracji. Oprócz Anny,

Ryszarda i mecenasa Gryki, pojawiła się zgodnie z wcześniejszym ustaleniem Kasia, która przywiozła ze sobą Felcię i Jana, a także Adam, który przywiózł Marysię i małżeństwo Dziedziców.

– A Maciej? – Anna spytała cicho córkę.

– Dojedzie niebawem; musiał zostać na posiedzeniu Rady Wydziału. Siła wyższa... – Rozłożyła dłonie.

Ryszard przedstawił przybyłym mecenasa Grykę. Czterdziestokilkuletni mężczyzna dosłownie zaniemówił, gdy Kasia podała mu dłoń. Peszyła go jej uroda i elegancja, a gdy spoglądała na niego, spuszczał wzrok. Zanim dotarli do stołu, zdążyła mu zaproponować, aby usiadł obok niej. Trochę go to ośmieliło, twarz mu się rozpromieniła.

– Ponoć u was jest jakoś podobnie, ale w naszej rodzinie wszyscy mówimy sobie po imieniu... – Felcia spojrzała na mecenasa.

– Ale przecież... – zamrugał oczami.

– Nie podoba się? Nie czuje się pan członkiem naszej... szerokiej rodziny? – zaśmiała się Felcia.

– Nie śmiałym... – uciekł z oczami.

– Jesteś, chłopcze, na obiedzie rodzinnym, więc ja ci każę! – Felcia klepnęła w stół i zachichotała; wszyscy pozostali uśmiechnęli się.

– Jeśli tak... – spojrzał wokół niepewnie – ...to zupełnie co innego – uśmiechnął się. – Jesteście wszyscy tacy przyjaźni; w Ameryce jest ciut inaczej.

– Widzisz, Antoni, dlatego my wolimy być tutaj, gdyż to „ciut inaczej” dużo dla nas znaczy. – Henryk pokazał dwoma palcami ciut, zaśmiał się i podkreślił wąsa.

– Myślałem o trochę większej różnicy. – Mecenas pokazał palcami trochę większy ciut i też się roześmiał.

– Poczytaj sobie o sarmatyzmie! – doradził Henryk podniosłym głosem. – Komu mogę, temu o tym mówię, więc tobie też rzeknę. Umiłowanie wolności, gościnność, dobroduszość... – Henryk odliczał na palcach

– ...męstwo, odwaga oraz kultywowanie tradycji. Gdybyś pobyl trochę w Parchowie, podszkoliłbym cię i wówczas spojrzałbyś na wiele spraw inaczej.

– Pan Władysław opowiadał mi o waszym sercu, gościnności... Ja do Ameryki przyjechałem, jak miałem trzy latka, i tego wszystkiego z Polski niestety nie pamiętam. Musiałem godzić pracę ze studiami, rodzice mi wówczas umarli... – przyciszył na moment głos

– ...a potem praca, czyli jak mówią u nas kariera, i nie za bardzo starczało czasu, by zająć się Polską, sarmatyzmem, nawet nie było czasu na ożenek... – Rozłożył zabawnie dłonie.

– Ja też się nie ożeniłam, ale... – zaczęła dowcipnie Kasia, jednak natychmiast przerwała, czując na sobie wzrok matki i Felci; Antoni usłyszał jej słowa, nie dostrzegłszy wszakże wzroku dwu kobiet.

– Czy pani jest... wolna? – spytał ją cicho, ale Kasia udała, że nie dosłyszała pytania.

– Tak, tak, warto poświęcić trochę czasu na historię ojczyzny! – Henryk uzupełnił swoją wcześniejszą myśl z patosem.

– Na drugi raz musisz przyjechać razem z Władysławem, zobaczysz wszystko własnymi oczami – uzupełnił Ryszard i skubnął wąsika.

– Będę musiał... Gdybym tu przyjechał na dłużej, może bym się nawet ożenił...? – Rozejrzał się wokół stołu i znowu zatrzymał wzrok na Kasi.

– Wie pan... w Ameryce kobiet pewnie nie brakuje, po co jechać taki szmat drogi – wtrąciła Adela, uznając, że musi coś powiedzieć.

– Może i nie brakuje, ale Polek nie jest tam aż tak dużo, a innej nie chcę – rzekł dobitnie i rozłożył dłonie. – A tutaj co kobieta, to Polka – uśmiechnął się i ponownie spojrzał na Kasię.

Dyskusję tę przerwało podanie przez kelnerów aperitifów. Ryszard nie omieszkał przy okazji powiedzieć kilku słów.

– Anno... i wy, kochana rodzino! – uśmiechnął się i skubnął wąsika. – Nie da się ukryć, że najgorsze już za nami. Ponieważ odbyliśmy już z Henrykiem i Adamem robocze spotkanie i ustaliliśmy sobie na nim harmonogram działania, a wczoraj wieczorem rozmawiałem z Antonim o sprawach związanych z finansowaniem budowy siedliska, pozwólcie, że nieco uprzedzając jego słowa... – wskazał na Antoniego – ...powiem, że zaczynamy budowę już na poważnie. Na zdrowie!

– Czując się wywołanym... – Antoni spojrzał na Ryszarda i odstawił kieliszek – ...chciałbym ci, Anno, wręczyć dokument, który podpisał kilka dni temu Władysław.

Podał Annie wiśniową teczkę.

Anna otworzyła ją i wpatrzyła się w tekst dokumentu; czytała go w ciszy.

– To jest akt notarialny, którym Władek czyni mnie administratorką jego własności. – Przebiegła go wzrokiem. – Mogę podejmować wszelkie decyzje dotyczące budowania na jego gruntach, a nawet zbywania ich części, jeśli uznam to za celowe. – Anna uniosła brwi; podała dokument Ryszardowi.

Teraz Ryszard przebiegł tekst wzrokiem.

– Są tutaj jeszcze dwie bardzo istotne sprawy – zwrócił się do Anny. – Jest passus, gdzie Władysław zobowiązuje się, w czasie jak najkrótszym od chwili uprawomocnienia się wyroku, przekazać Annie ojcowiznę w postaci darowizny; jej koszty chce sam ponieść. Zawarta jest również uwaga, że na koszty budowy siedliska będzie przekazywał sukcesywnie niezbędne finanse na konto bankowe wskazane przez administratorkę, czyli Annę Nagengast-Prawosz – zakończył Ryszard z zadęciem.

Rozległy się przytłumione oklaski. Anna skromnie spuściła oczy.

– Jest jeszcze jedna ewentualność, o której poinformowałem mnie w ostatniej chwili Władek, że mianowicie może utworzyć specjalne konto w swoim banku, którego współwłaścicielką lub osobą upoważnioną uczyni ciebie, Anno – uzupełnił Antoni. – Ale o tym możemy porozmawiać na spokojnie, bo planuję przebukować bilet na powrotny samolot o dwa, trzy dni – uśmiechnął się i spojrzał znacząco na Kasię; ta uciekła wzrokiem.

– Jeśli tak, to może kolację zjemy w „Iskierce”?

– podchwyciła w lot Felcia; Anna trąciła ją kolanem.

– Wszystko oczywiście zależy od Antoniego, bo sprawa przebu... coś tam, to chyba trudna sprawa, prawda?

– Nie ma nic prostszego, Felicjo! – błysnął okiem Antoni. – Załatwię to od ręki. Mam zapisane telefony w Warszawie, gdzie mogę zadzwonić, gdybym miał taką potrzebę. Przygotowałem się na wszystko. Bilet przypadkiem też wziąłem z pokoju. – Wyciągnął go z kieszeni koszuli.

Na klawiaturze komórki wystukał numer telefonu.

– Halo, chciałbym przebukować bilet do Chicago, planowany odlot w dniu... – Antoni wstał i wyszedł do holu restauracji; wszyscy odprowadzili go wzrokiem.

– To znaczy będę miał czas na podszkolenie go z sarmatyzmu – zażartował Henryk, podkręcając węża.

– Mamo, Felciu! Wszystko jest pod kontrolą, uspokójcie się – Kasia uśmiechnęła się do nich. – Marysiu, potrzebujemy jakiejś atrakcyjnej kobiety, ale naprawdę dobrej... – mrugnęła do koleżanki.

– Nie no, przestańcie... – zachnęła się Anna.

– To może ja, Kasiu, zaproszę tutaj Magdę do obejrzenia Parchowa – zaferował się Adam, który jakby nie dosłyszał uwagi Anny. – To naprawdę bardzo porządna dziewczyna, kobieta. Tylko co będzie, jak ona da się złapać Antoniemu...?

– Mówisz poważnie? – Marysia spojrzała z niedowierzaniem na Adama. – Ja też mam koleżankę nauczycielkę, pannę, która kiedyś nieszczęśliwie się zakochała...

– Marysiu! Wiesz, że lubię czynić dobro, ale widzę, że ty też... – Adam rozłożył ręce. – Tym razem mogę tylko stracić... Magdę... – uśmiechnął się – ...ale czego nie robi się dla rodziny!

– Adaś! Jesteś boski! – Felicja klasnęła. – Ty też, Marysiu! Zaprosicie jedną jednego dnia, a drugą innego dnia! Chodzi o to, żeby się nie zorientowały, o co chodzi, że to konkurs piękności! – zachichotała.

– Widzisz, mamuś? – Kaśka spojrzała na Annę, a ta tylko złapała się za głowę.

– Ależ z was... modele – jęknęła z rozbawieniem.

Od strony holu wracał zadowolony mecenas Antoni Gryka.

– Przebukowałem bilet na dziesiątego! – zawołał, zbliżając się do stołu. – Jak szaleć, to szaleć! – Roześmiany spoglądał na Kasię. – Aha, Ryszardzie! Zadzwoiłem od razu do Władka, życzył nam smacznego, kazał szczególnie pozdrowić Anię... – spojrzał na nią – ... ale pozdrawia wszystkich. – Wykonał serię gestów dłońmi ponad stołem.

– A powiedziałaś mu o rozprawie? – Ryszard zmierzył go wzrokiem.

– Zapomniałem! – Antoni zrobił wielkie oczy.

– Żartuję! – roześmiał się głośno. – Tak się z wami rozbawiłem, że zaczynam dowcipkować, co mi się rzadko zdarza.

Przebiegł wzrokiem wokół stołu, znów zatrzymując wzrok na Kasi.

\*

– Jaki ten Antoni jest miły, ale też mocno z niego zakręcony człowiek. A jak adorował Kasię... – Adela westchnęła.

– Przypomniał mi się film *Żona dla Australijczyka*, pamiętacie? – zaśmiał się Henryk.

– No właśnie, ja cały czas miałem poczucie, że z podobną sytuacją już gdzieś, kiedyś, się spotkałem, a to było chyba na tym filmie... – Adam pokiwał głową.

– Nie pamiętam go dobrze, ale po głowie mi biega, że o coś podobnego tam chodziło.

– Felcia dobrze wykombinowała, żeby zaprosić te dziewczyny oddzielnie – wtrąciła Marysia.

– Doskonale! Ma świetny refleks! – potwierdził Adam. – Na kiedy dasz radę zaprosić swoją koleżankę? – mrugnął.

– Muszę najpierw wymyślić jakiś dobry pretekst, ale myślę, że albo na jutro, albo na sobotę.

– To w takim razie ja pojedę jutro do Gdyni, pochodzę wokół Magdy, zresztą mnie

będzie łatwiej, bo ona już kiedyś chciała zobaczyć Parchowo i spotkać się z Kasią – mrugnął Adam.

– Muszę powiedzieć, podobnie jak Anna, że wy naprawdę jesteście modele! – zawołała Adela. – Czy ty łapiesz, Henryku, co oni kombinują?

– Przyznam, że z trudem, ale Antoni nie jest zepsutym człowiekiem i chyba warto mu jakoś pomóc – uśmiechnął się Henryk i podkręcił wąsa. – A ja go za to wyszkolę na Sarmatę! – Złapał się pod boki.

\*

Antoni Gryka, zamiast skręcić na werandę, skierował się w stronę bramy „Iskierki”; Ryszard podążył za nim.

– Ależ tutaj jest pięknie. Przez całą drogę z Bytowa też było pięknie, ale ten widok... – Podniósł rękę w kierunku doliny. – Tylko raz w życiu byłem na wsi, na obozie skautów, spaliliśmy w drewnianych szałasach. A nie! Jeszcze kiedyś klient zaprosił mnie na wędkowanie na jezioro, ale ryba wyszarpała mi wędzisko i pociągnęła je ze sobą pod wodę. Gość nie był z tego powodu zbyt zadowolony, bo ono było drogie, z włókna węglowego, i dopiero chciał się nim nacieszyć. Szybciej niż było w planie dopłynęliśmy do mariny i skończył się mój piknik na wodzie... – skończył smutno.

– Antoni, naciesz oczy tym, co widzisz! Chociaż z drugiej strony, dzięki samolotom, z Chicago do nas nie jest już teraz tak daleko jak kiedyś. – Ryszard wykonał ramieniem ruch po łuku, imitując świstem dźwięk samolotu.

– Masz rację, Ryszardzie! Ależ ta wasza Kasia jest śliczną kobietą... i do tego panna. Tak ją zrozumiałem... – Antoni pytająco spojrział na Ryszarda.

– Tak, to śliczna kobieta... ale chyba dopiero jest pierwszą, z którą u nas sobie porozmawiałeś, tak?

– Spojrzał na Antoniego; ten skinął głową. – Zobacysz jeszcze inne, bo tutaj co chwila jakieś bywają, więc możesz szybko zmienić zdanie – podsunął mu Ryszard.

– Poważnie? – Antoni się uśmiechnął. – Skoro tak mówisz... – zamyślił się. – Pokaż mi, proszę, jaki obszar przewidziany jest na siedlisko Anny, bo rozumiem, że to gdzieś tutaj, po sąsiedzku. Jeśli zobaczę, jak to wygląda w naturze, będę miał lepsze wyobrażenie o wizji siedliska przysłanej przez Adama.

Podeszli w pobliże szczytu wzgórza. Ryszard wskazywał mu poszczególne elementy terenu, tłumacząc, gdzie ma co zostać wybudowane, czy jakie mają być nasadzenia. Pokazał też przebieg sztucznego strumienia.

– Ależ to będzie pięknie zagospodarowane! – Antoni pokiwał głową. – Muszę się starać nie podpaść Władkowi, bo chcę zobaczyć, jak to zostanie zrealizowane.

– Z ciebie też jest lepszy model! – zaśmiał się Ryszard. – Wracajmy! Zaraz obejrzysz gospodarstwo Felci. Tam się też nawzdychasz.

\*

Marysia zapukała do pokoju Adama.

– Adam? Nie spisz? – spytała głośno, a po chwili nacisnęła klamkę, bo nie usłyszała odpowiedzi.

– Przepraszam! – Adam odwrócił głowę. – Nie słyszałem! Jak projektuję, to potrafię się wyłączyć. Spójrz, tu mamy studium hoteliku – zaprosił ją gestem, wskazując ekran monitora. – Tam... – wskazał na arkusz leżący na łóżku – ...jest jego szkic, a teraz próbuję go przetransponować do wersji 3D.

– A co to za dziwny program?

– To AutoCAD, program do projektowania. Prawdziwy kombajn.

– Ależ on jest sprytny... I obracać tym możesz ... Ho, ho, ho – pokręciła głowę.

– Wykorzystuję każdą wolną chwilę, żeby coś w nim robić, bo to moja pasja.

– Rozmawiałam z Grażynką po drodze do domu. Przyszłam specjalnie, żeby ci to powiedzieć – uśmiechnęła się. – Dobrze, że ona nie zorientowała się w naszej grze. Widziałam, że Antoniemu się podobała, ale Grażynka ma w tej chwili kolejną fazę nieszczęśliwego zakochania się. Była dwa tygodnie temu na weselu kuzynki i tam bawiła się z bratem pana młodego. Szuka pretekstu do odwiedzenia kuzynki, bo obiekt jej westchnień mieszka po sąsiedzku... – Rozłożyła dłonie.

– Trudno. Nic na siłę. Czekam na telefon od Magdy, czy bardziej pasuje jej jutro, czy niedziela? Mam plan, aby pojechać po nią albo z Kasią, albo z tobą. Co ty na to?

– Jutro obiecałam dzieciom pójście razem nad Mausz, na kąpielisko, ale w niedzielę...? Czemu nie. Może by z nami mogła pojechać wówczas Joasia? Nie widziała letniej Gdyni. Była tam późną jesienią.

– Jeśli jutro nie wypali, to może zabiorę was na wycieczkę do Trójmiasta w przyszły weekend? Mam co prawda tylko dwa pokoje, ale jeden oddam tobie z dziećmi. – Wykonał zapraszający gest dłonią.

– Pięknie byłoby – uśmiechnęła się Marysia. – Ja też bym chętnie obejrzała Trójmiasto.

\*

Kaśka wpadła w objęcia Magdy.

– Tak chciałam cię zobaczyć, dowiedzieć się, jak ułożyłaś sobie życie! – zawołała głośno Magda, spoglądając w stronę bagażnika, gdzie Adam pakował jej torbę. – Odpowiedz mi na jedno pytanie, tylko szczerze, bo jeśli potwierdzisz, to się uspokoję... – wyszeptala aksamitnym głosem do ucha Kasi. – Czy Adam jeździ tam do ciebie, czy po coś innego?

– Widujemy się, ale przyjeżdża... do innej kobiety

– Kasia odpowiedziała jej też szeptem. – Poznasz ją dzisiaj... – zmrużyła oczy.

– Uspokoilaś mnie... Bo już myślałam, że jeździ tam pić, czy co... Kiedyś tak miał... – Pokiwała głową.

– Jak tylko jesteście razem, to zaraz sobie coś szepczecie. Za każdym razem! – powiedział Adam ze sztucznym wyrzutem w głosie i roześmiał się.

– Obgaduję cię, szefie, że obiecałeś premię i jak na razie nici z tego – Magda uśmiechnęła się zadziornie.

– I zawsze, jak w takich okazjach bywa, chcesz załatwić to przez Kasię, tak?

– Tak i nie ukrywam tego! – roześmiała się perliście.

– To znowu ci się udało! – teraz Adam się roześmiał. – A na ile liczyłaś?

– Przynajmniej na dwie... a nie, na trzysta złotych!

– A przypomnij mi, czy skończyłaś swoją elektryczną część projektu pensjonatu?

– Oczywiście! Jak na razie, to tylko ja skończyłam, bo inni...

– Madzia! Ty dostaniesz, bo skończyłaś, i tak to zakomunikuję w poniedziałek. Żebyś nie mantyczyła za innymi, to oni też dostaną, ale dopiero wtedy, jak każdy z nich skończy, i mniej od ciebie. To też zakomunikuję w poniedziałek i to będzie od tej pory stała zasada.

– To może ja poczekam...! – Magda przewróciła oczami, wsiadając do samochodu.

– Tobie zrobię przelew osobiście już w poniedziałek; także za zaległy miesiąc, ale o tym sza. A w ogóle podziękuj Kasi, bo przez nią staję się coraz porządniejszym człowiekiem i zaczynam widzieć, albo przynajmniej doceniać, indywidualne zaangażowanie. Na razie twoje! – uśmiechnął się do lusterka.

– Tylko dzięki mnie? – Kasia spojrzała na niego przeciągle.

– Jeszcze dzięki... Marysi – znowu uśmiechnął się do lusterka. – Poznasz ją, Madziu, dzisiaj, ale o tym, potem, całkowite sza.

Magda uśmiechając się, skinęła głową.

\*

Późnym popołudniem wyruszyli w dwa samochody na cypel. Kasia pojechała swoim z Elizą, żeby w drodze powrotnej zabrać Marysię z dziećmi, a Adam wziął Magdę i Antoniego. Było duszno i bezwietrznie. Kasia, Marysia, Magda i Eliza z rozpędem rzuciły się w wodę, jakby to robiły wspólnie od dawna. Narobiły przy tym sporo pisku. Adam spoglądał kątem oka na Antoniego, który jak urzeczony wpatrywał się w Magdę.

– Powiedz mi, Adam, tylko szczerze, żeby nie było tak jak wczoraj z Kasią, czy Magda jest mężatką? – spytał cicho Antoni.

– A ty mi najpierw zdradź, czy to twój poważny plan, żeby w Polsce szukać sobie żony, czy może tylko zabawa?

– Szczerze? Tak jak rozmawiają ze sobą dorosłe chłopaki?

Adam popatrzył w jego twarz. Nie dostrzegł w niej nic, co by mogło wskazywać na jakąś grę, planowanie jakiejś nieuczciwości.

– Tak, na ile możesz szczerze.

– Jeżdżę sporo po Stanach, dziewczyn jest tam rzecz jasna dużo, ale albo ja nie potrafię szukać, albo omijają mnie te właściwe... – machnął ręką – ...a tutaj w ciągu trzech dni podoba mi się już druga i to bardzo. Dobrze, że nie wyglupiłem się za bardzo z Kasią... – Antoni pokręcił głową.

– Niby jasne, co mówisz, choć nie do końca. Może jeszcze kiedyś do tego wrócimy. Powiedz mi w takim razie, w jaki sposób myślisz poznać, czy znaleźć sobie u nas kobietę, a w przyszłości żonę?

– Sam nie wiem... – Antoni najpierw wzruszył ramionami, a potem szeroko je rozłożył.

– Dawno mi nie było nigdzie tak dobrze, tak beztrosko jak u was. Mam wrażenie, że znam cię od dawna... – spojrział na Adama. – Nie wiem, co się ze mną dzieje? Władek miał rację... – Pokiwał głową. – Może więc najpierw się schłodzimy, zanim ci odpowiem? Dawno nie pływałem, chociaż na uczelni byłem na roku najlepszym pływakiem w stylu grzbietowym.

– No dobra, to schładzajmy się! – Adam skinął głową i ruszył biegiem w kierunku wody; Antoni próbował go dogonić.

Obaj zniknęli z łoskotem pod wodą. Cztery nimfy oglądające ich bieg i skok wpatrywały się w wodę, szukając miejsca, gdzie się wynurzą. Jakieś dwadzieścia metrów od

brzegu z pluskiem wynurzył się Adam. Otrząsnął włosy i pomachał kobietom. Kilka metrów dalej wystawił głowę Antoni. Zachował się podobnie jak Adam.

– Ale pyszna woda! – krzyknął i rzucił się na plecy.

Jego ramiona rytmicznie zataczały łuk ponad wodą, dłonie uderzały z chlupotem o jej powierzchnię, a ramię szybko ginęło w toni. Po chwili ramię wynurzało się spod wody i znowu zataczało łuk. Raz jedno, raz drugie, naprzemiennie. Stopy z dużą szybkością falowały wodę, bez głośnego uderzania, co powodowało utrzymanie ciała stabilnie, w poziomie.

– Kurczę, płynie jak motorówka – pisnęła Eliza.

– Jak jakiś zawodowy pływak... – Magda spoglądała za nim, przytrzymując dłoń nad oczami.

Popłynął pięćdziesiąt metrów w jedną stronę, po chwili zrobił nawrót i popłynął z powrotem.

– Ho, ho, ho! – Kaśka poruszyła głową na boki.

Antoni przewrócił się na brzuch i prychnąwszy, zbliżał się powoli w kierunku brzegu.

– Przez ostatnich dwadzieścia lat byłem tylko kilka razy na basenie – parsknął, gdy znalazł się na płyciźnie w pobliżu Adama.

– Wiecie, że on na roku najlepiej pływał grzbietowym? – rzucił Adam w kierunku kobiet.

– A gdzie studiowałeś, Antoni? – spytała Magda.

– Na University of Illinois Chicago, prawo.

– Pewnie drogo, co?

– Trzy razy rzucałem, bo wydawało mi się, że nie dam rady, ale zapożyczyłem się i ostatecznie skończyłem.

– Co znaczy: zapożyczyłeś się? – Magda zmarszczyła brwi.

– Gdybym był sportowcem, miałbym o kilka tysięcy dolarów rocznie taniej, ale mniej bym się też nauczył. Takie są koszty bycia na uczelni sportowcem – pokiwał głową.

– Nigdy bym nie pomyślała – zdziwiła się.

– Musiałem wybrać ciężką pracę fizyczną, żeby jakoś funkcjonować, po trzecim roku udało mi się załapać do kancelarii adwokackiej jako stażysta. To było za mało, żeby starczyło na wszystko, ale tam podpowiedzieli mi, jak zdobyć kredyt na dalsze uczenie się. Kiedy skończyłem studia, przez pięć lat spłacałem kredyt.

– A jak zacząłeś pracować u Władka Zalewskiego?

– spytała Kaśka.

– Całkowity przypadek. Dostałem się wreszcie do nieco lepszej kancelarii adwokackiej. Ona nie czekała na klientów, takich z ulicy, jak ta poprzednia, ale miała już stałych klientów biznesowych. Między innymi sieć ochronek Władysława Zalewskiego. Cała masa umów z różnymi podmiotami i to przez cały rok na okrągło. Ale to chyba jest nudne, co? – Spojrzał na Magdę, a potem przenosił wzrok kolejno na każdą z kobiet.

– Mnie to wciągnęło. – Magda przysunęła się bliżej Antoniego i uklękła w wodzie podobnie jak on; Kasia i Adam spojrzeli przez moment na siebie.

– W tym biurze była specjalizacja. Ja dostałem obsługę firm oczyszczających Chicago. Nudne, ale miałem stałą stawkę, wyższą niż w poprzednim biurze. Bez nazwiska, bez koneksji w branży, bez niezbędnego doświadczenia, żeby aplikować do lepszych biur. Ale ja nie miałem specjalnych wymagań, po tym jak rodzice szybko się zawinęli jedno po



drugim, kiedy byłem na pierwszym roku.

– To ciężko ci było – szepnęła współczująco Magda.

– Tam, jak się idzie na studia, to każdy ma należytą świadomość, jak będzie. Masz pieniądze albo zarobisz – to skończysz. Nie, to nie! – Antoni pokiwał głową.

– Do tego biura przyjechał kiedyś Włodek Zalewski na konsultacje, chciał jakichś wyjaśnień. Starszy prawnik, który prowadził jego sprawy, zachorował, więc szef poprosił, żebym go obsłużył. Pan Włodek zaprosił mnie po kilku dniach z kompletem umów i aneksów do siebie. Porozmawialiśmy, opowiedziałem mu swoich studiach i o życiu, a on zaproponował mi pracę u siebie. I to wszystko.

– Jasny gwint! – wrzasnęła Eliza. – To ja od nowego roku idę na prymusa, na same piątki!

– Dziecko, co ty! Zachowuj się, nie wyrażaj się!

– Kaśka zaśmiała się.

– A ile płacisz za studia? – spytał Antoni.

– Tyle co za stancję, książki, dojazdy, ale za same studia nic... – Pokręciła głową Eliza.

– Jesteś pewna? – Kaśka zmrużyła oczy.

– Oj, mamuś. To się zdarzyło, ale się nie powtórzy. Bo wiesz... – spojrzała na Antoniego – ...zawaliłam na pierwszym semestrze jeden przedmiot i musiałam za drugi semestr płacić kilkaset złotych. Studiowałam warunkowo.

– Kto płacił, dziecinko? – wtrąciła słodziutko Kaśka.

– No ty, mamuś, ale...

– No tak, u was jest tak, a u nas inaczej. Ale może popływamy jeszcze, co?

– A mógłbyś mnie nauczyć stylu grzbietowego?

– spytała raptem Magda.

– Pod warunkiem, że się nie boisz łaskotek, bo niestety będę musiał czasami cię dotknąć... – Antoni podrapał się po głowie.

– Nie boję! – zawołała ochoczo Magda.

Kasia i Adam znowu spojrzeli po sobie.

\*

Na wieczór Henryk przygotował ognisko. Magda ani na chwilę nie odstępowała boku Antoniego.

– Czy ty widzisz to co ja? – Kasia spytała cicho Marysię; po chwili podszedł do nich Adam.

– Mówił mi parę rzeczy o sobie, jak pobiegłyście do wody – powiedział Adam. – To dobry facet. Nie myślałem, że miał tak ciężko.

– No i chyba dobrze, że Grażyna nieszczęśliwie się zakochała – Marysia prychnęła.

– Patrzcie, jak to jest. Włodek, tak ciężko doświadczony przez życie, nigdy się nie zepsuł... wiecie, o czym mówię – Kaśka zmrużyła oczy. – A teraz ten. Trafił na Władka i wygląda, że jest uczciwy aż do bólu. Ile on ma lat?

– To sześćdziesiąty albo sześćdziesiąty pierwszy rocznik. Jak my. – Adam spojrzał na Kasię. – Wiecie co? Jeśli stracę Madzię, to się nie powieszę! – Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– No wiesz? To dopiero kilka godzin ich znajomości! – Kasia uniosła brwi.

– Znam ją dobrze. Ona albo kogoś polubi od razu, albo nawet nie podejdzie. – Adam pokiwał głową. – Ale macie rację, to dopiero kilka godzin i to jeszcze nic nie znaczy.

\*

Adam usłyszał pukanie.

– Proszę! – zawołał.

W drzwiach stanęła Magda. Uśmiechała się, jakby miała coś na sumieniu.

– Czy sądzisz, że mogłabym...

– Przepraszam, Madziu... – przerwał jej, bo rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

– Proszę!

Drzwi uchyliły się i stanęła w nich roześmiana Kaśka; Adam uśmiechnął się.

– Szłam właśnie do ciebie, Madziu, pogadać, ale wydało mi się, że idziesz do Adama, i nie pomyliłam się

– przymrużyła oczy. – Co tak spiskujecie po cichu, że nic za drzwiami nie dosłyszałam z waszej rozmowy?

– uśmiechnęła się.

– To ja już może opowiem wam obojgu, z czym przyszłam do Adama. – Magda machnęła dłonią i usiadła na jego łóżku, podciągając kolana pod brodę. – Eliza i Wika poszły ze mną i Antkiem na spacer, jako przewodniczki. Weszły w las, żeby zobaczyć, czy są kurki, a my szliśmy dalej brzegiem szosy...

– Czy będziesz zdawała relację z całego spaceru w ten sposób? – ponaglił ją Adam.

– Wiedziałam, że to wcale nie będzie takie proste powiedzieć wam, o co mi chodzi...

– A o co, Madziu, chodzi? Możesz przejść do rzeczy bez wstępu?

– On... – Magda wskazała nieokreślone miejsce poza pokojem, a na koniec uśmiechnęła się – ...intryguje mnie! – Wzruszyła ramionami. – Znam się z nim od wczoraj, a mam wrażenie, że już od dawna – ściszyła głos i potrząsnęła głową. – Tyle tylko, że on jest z Ameryki... – Zrobiła smutną buzię.

– No i w czym jest problem? – prychnęła Kaśka.

– Ty się, Kacha, śmiejesz, a ja pytam poważnie.

– Madziu, czy ty się boisz latać samolotem? – Adam zmarszczył komicznie czoło.

– O! Teraz ty! Nie boję się, przecież wiesz. Uwielbiam latać.

– To gdzie jest problem? – powtórzył pytanie Kaśki.

– Czy on już wam coś mówił...?

– Kto? – udała nieświadomą Kaśka.

– No ten... – Magda ponownie wskazała nieokreślone miejsce poza pokojem – ...

Antoni!

– No co ty? – Kaśce rozszerzyły się oczy.

– Polubiłam go, rozmawialiśmy od wczoraj prawie o wszystkim... – wzruszyła ramionami i zrobiła śmieszny minę – ...no i zaproponował mi wyjazd do Ameryki. Powiedziałam mu, że bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia, a on na to... myślałam, że zemdleję, a wy się jeszcze nabijacie! – Magda wystrzeliła z siebie szybko potok słów i odetchnęła głęboko.

– Madziu, gratuluję! – zawołał stłumionym głosem Adam.

– I ty się zastanawiasz? – dodała Kaśka.

- No, bo praca... – Zrobiła smutną minę i spojrzała na Adama.
- Madziu, o ile mnie pamięć nie myli, masz zaległy urlop z ubiegłego roku, czy tak? – Adam pomógł sobie gestykulacją.
- Nie wykorzystałaś w zeszłym roku urlopu? Przecież kodeks pracy... – zachichotała Kaśka i zerknęła na Adama.
- Kacha... Nie psuj mi kadry!
- No już dobra! – Kasia uśmiechnęła się. – To kiedy chcesz z nim jechać?
- On ma bilet na dziesiątego... ja mam aktualną wizę do Stanów, więc jakby dostał bilet na teraz, to mogłabym... nie, no nie... – Zasłoniła oczy dłonią
- Madziu, jesteście oboje... super! – Adam opadł na krzesło, ręce wyciągnęły mu się do samej podłogi, cały podrygiwał ze śmiechu.
- Tobie to z Marysią wolno, Kaśce z Maciejem też wolno, a mnie nie wolno? Przecież ja jestem młodsza od was! – teraz Madzia zaczęła się śmiać. – Antek czeka w nerwach, co mu odpowiem!
- A co ci serce podpowiada? – Kaśka zmrużyła oczy.
- Jechać! Chciałabym... – wyznała.
- Madziu, urlop masz podpisany. – Adam wyciągnął w jej stronę zaciśniętą do żółwika pięść.
- To pędzę! – Magda zerwała się błyskawicznie z łóżka i za chwilę było słyhać szybki tupot jej nóg na schodach.
- No i doigraliśmy się! – Adamem wstrząsał śmiech.
- Ależ my jesteśmy modele! – rzała Kaśka.

## Taniec Henrietty



Eliza nie wiedziała, czy ma się już roześmiać, czy jeszcze trochę podrażnić się z Igorem. Szybko wybrała drugie rozwiązanie.

– Czyli mówisz, że wtedy ten gość rozdarł ci kaptur? – zaśmiała się.

Igor przewrócił oczami.

– Staralem się ciebie chronić.

– Tego dnia, w śnieżycy także?

– Wszędzie było zasypane śniegiem i ja nie miałem którędy się stamtąd zmyć. Obiektywnie rzecz biorąc, musieliśmy na siebie wpaść, bo on musiał tamtędy pójść, a ja nie zdążyłem oddalić się jak zwykle – Igor niepewnie się uśmiechnął.

– Ale żeby zaraz okładać się pięściami jak jacyś smarkacze?

– Tak sypało, że naprawdę nie wiedziałem, co się dzieje. On nie miał kaptura, ale mój kaptur przeszkadzał mi, żeby zobaczyć jego twarz.

– Czyli nawet nie wiesz, jak on wyglądał?

– Ależ ty ze mnie ciągniesz... – Igor machnął dłonią. – Długo tak jeszcze?

– Czekam, czym zakończysz to opowiadanie. – Eliza zmrużyła oczy.

– To na pewno był jakiś bubek z Kamiennej. – Pokiwał głową Igor; Eliza roześmiała się.

– Przecież mnie nie chodzi o to, z kim się szarpałeś, tylko po co taki kawał drogi jeździłeś?

– To już powiedziałem. Żeby jakby co, móc cię ochronić.

– Przed czym, skoro zawsze czekałeś na górze, w pobliżu ulicy Mickiewicza?

– No tak. No bo gdzie miałem cię szukać? Po całej Gdyni?

– Ech, Igorio... tak się nie dogadamy... – Eliza pokręciła głową.

– Może to i trochę wyglądało, jakbym cię śledził... – wydukał wreszcie skonsternowany i zrobił minę.

– No, no! Ciepło!

– Znowu chcesz mnie poddusić? – Igor wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Dokończ po prostu poprzednią myśl.

– No dobrze. Zły byłem, że nie chcesz się ze mną umówić i przyjeżdżałem trochę dla ochrony, i trochę... z zazdrości... – Igor z zawstydzenia zrobił grymas.

– Nie trzeba było tak od razu? Przecież trzeba sobie ufać. – Eliza zmrużyła oczy.

– Już tak nie będę robił, ale przecież kiedyś mogłaś się zgodzić na spotkanie...

– Igorio... Znowu wracasz do tego. Miałam problem sama ze sobą i te twoje esemesy wcale mi nie pomagały. Możemy zamknąć tę sprawę na dzisiaj?

– uśmiechnęła się przymilnie.

– To jeszcze kiedyś będziesz chciała do tego wrócić? – Igor zachnął się.

– Kto wie...? Ciesz się, Igorio, że przyjechałeś...

– Eliza wcisnęła piąstkę w jego dłoń i spojrzała mu w twarz.

– A jakie masz plany wakacyjne? Wyjeżdżacie gdzieś stąd? – Igor popatrzył na nią

uważnie.

– Nie wiem jak one... – machnęła ręką w kierunku „Iskierki” – ...ale ja tego lata nie mam zamiaru ruszyć się poza Parchowo ani na krok. Myślę natomiast, żeby ściągnąć tutaj kogoś z mojej poznańskiej paczki. Na parę dni.

– Ale tyle wokół się dzieje, tyle jest interesujących rzeczy do zobaczenia, których jeszcze nie widziałas...

– Igor pokręcił ze zdziwienia głową.

– Wymieniaj...

– Truskawkobranie na Złotej Górze... A nie, ono już było. Turniej w Bytowie, „Koncert na Dachy” w Kłęczynie... – spojrzał na Elizę i zmarszczył czoło – ...na następny raz przygotuję się lepiej – uśmiechnął się.

\*

Eliza chciała koniecznie pokazać Wice, że powoli wraca do dobrych stosunków z Igorem. Kiedy telefonicznie wpraszała się do niej, również w imieniu Igora, na wycieczkę łodzią po jeziorze, nie mogły się obie powstrzymać od śmiechu, gdy użyła właśnie tego słowa: stosunki.

– Mam ochotę przyjrzeć się pewnemu miejscu po drugiej stronie jeziora, bo mijaliśmy je wiele razy samochodem, nigdy jednak nie zatrzymując się – powiedziała Wika. – Co ty na to?

– Mnie spodoba się na pewno sama wyprawa łodzią, a jeśli będzie jeszcze coś interesującego, to tylko plus.

– Czyli jutro o dziesiątej na przystani. Daj Igorowi zadanie domowe, żeby znalazł coś o Grabowie Parchowskim. Pomiędzy Kłodnem a tą wsią stoi przy drodze intrygujący kamienny ołtarz z krzyżem.

– Dobrze. Powtórzę mu!

Pół godziny temu ich łódź spacerowa opuściła przystań dawnego „Dalmoru”. Eliza z Wiką siedziały na rufie i przyglądały się Igorowi, który sprawnie wiosłował.

– Elegancko wiosłujesz – pochwaliła Eliza.

– Przy wiosłowaniu ważniejsza jest technika, a nie krzepa – uśmiechnął się. – Mówię oczywiście o takich niewielkich odległościach. – Wskazał głową najpierw na jeden, a potem na drugi brzeg.

– To samo mówi Olek, bo przecież on też nie jest Tarzanem, a wiele razy był szybszy niż napakowane dziady – potwierdziła Wika.

– Sama widzisz, Eliza – ucieszył się Igor.

– Wykąpiemy się teraz czy potem? – spytała Wika, pokazując zatoczkę, do której już zeszłego lata przyplęwały.

– Schłodzimy się w powrotnej drodze – odparła Eliza.

Niedługo zacumowali u przeciwnego brzegu jeziora i ruszyli pod górę.

– Ale, Igorio, nie powiedziałeś nic, czy dowiedziałeś się czegoś o tym miejscu? – spytała Eliza.

– Trudno było w internecie coś znaleźć, ale zadzwoniłem do ojca. W zasadzie też niewiele mi powiedział. To raczej tylko hipoteza, ale zobaczmy najpierw ołtarz.

Zbliżyli się do rozstaju dróg, tuż za którym wśród przydrożnych brzoź stał ołtarz.

– Z samochodu wygląda bardziej niepozornie – rzuciła Wika, kiedy byli już blisko.

Podeszli pod ołtarz zbudowany z dwóch głazów, ułożonych jeden na drugim. Na górnym, nieco wklęsłym, stała skrzynka z małymi begoniami. Za kamieniami, pomiędzy dwóch masywnych żelaznych uchwytów, wystawał stary poszarzały drewniany krzyż, z zamocowaną pośrodku pasyjką. Poniżej przyczepiony był kawałek drewna z narysowaną twarzą Chrystusa w cierniowej koronie.

– Ależ to cudo – zachwyciła się Eliza.

– Widać, że ludzie tu wciąż przychodzą – pokiwała głową Wika.

– Z całą pewnością można powiedzieć tylko tyle, że tutaj, gdzie stoi ten ołtarz, była kiedyś wieś szlachecka... – odezwał się zza ich pleców Igor.

– To jednak coś znalazłeś! – wykrzyknęła Eliza.

– Ale tak naprawdę to w zasadzie wszystko. Czy ktoś z tamtej wsi mieszka tam... – wskazał na pobliską wieś – ...nie wiadomo. Z zapisu, który znalazłem, wynika, że wieś spłonęła w okresie międzywojennym. Czy był to pożar z zaproszenia, czy od burzy, nie wiadomo, ale sądzę, że wieś spłonęła doszczętnie, a wraz z nią jakaś część okolicznego lasu. Ludzie najpewniej stąd sobie poszli, bo spłonął ich cały świat. – Rozłożył dłonie.

– Może pójść do wsi i popytać o najstarszego mieszkańca...? – zaczęła Eliza.

– To mogło się wydarzyć nawet osiemdziesiąt lat temu... Myślę, że lepiej będzie zacząć od zapytania kogoś w sulęczyńskiej gminie, w ich ośrodku kultury – zaproponował Igor.

– Masz rację – zgodziła się Wika. – Dawniej, bo przecież mamy tu działkę od czterdziestu lat, a nie było jeszcze tamtego kościółka... – wskazała głową na pobliską wieś – ...dochodził z tej strony jeziora śpiew ludzi, modlitwy, więc może jeszcze wówczas były tutaj odprawiane nabożeństwa.

– Mogło tak być – skinęła głową Eliza. – W każdym razie trochę zaspokoiliam ciekawość – uśmiechnęła się. – To co, wracamy?

Stali jednak dalej, jakby nie mogąc się oderwać od tajemniczej kapliczki.

– Wiecie co? Przypomniałam sobie, że Felciowy Jan zaczyna się interesować sprawami historycznymi Parchowa i okolic. – Eliza spojrzała na przyjaciół. – On się ucieszy, że będzie miał nowe wyzwanie. Aktualnie zajmuje się Ignacym Wasielewskim.

– Tym, o którym Felcia kiedyś opowiadała? – spytała Wika.

– Tak, bo przedwczoraj przyjechał Ryszard z archiwalnymi materiałami i zrobił nam wykład na temat przedwojennej straży granicznej. Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy... w łodzi wam streszczę, ale stanęło na tym, że dalej zajmie się tą historią Jan. Może nawet wyda ją w postaci książki?

Wika i Igor pokiwali głowami.

– To co? Wracamy? – Eliza powtórzyła pytanie sprzed kilku chwil.

– Mhm... Momencik... pomodłę się przez chwilę...

– Wika przeżegnała się; Eliza i Igor uczynili podobnie.

Za kilka minut płynęli w kierunku zatoczki.

– Ładnie słońeczko grzeje, co? – Eliza powachlowała się dłonią. – Może ja bym trochę powiosłowała?

– Spojrzała na Igora i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku środkowej ławki, na której on siedział.

Igor lekko się uniósł, a Eliza przesunęła nieco w prawo, by się z nim wyminąć.

Wykonała jednak zbyt gwałtowny ruch, łódź się zachybotła, a ona łapiąc równowagę, odruchowo chwyciła wiosło, które wypięło się z dulki. Siłą inercji gibnęła się razem z wiosłem w kierunku wody, więc nie pozostało jej nic innego, jak puścić wiosło i poddać się sile grawitacji. Z wdziękiem rzuciła się na plecy do wody, a wiosło obok niej zniknęło w toni. Po chwili wynurzyła się i prychając, otrząsnęła się.

– I jak ty, Igorio, chodzisz? No jak? – zaśmiała się.

– A wiosło gdzie? – Rozejrzała się wokół.

– O, tam! – Igor prychnął, wskazując na wodę po drugiej stronie łodzi.

Szybko ściągnął spodnie i koszulkę i wskoczył do wody.

– A ja...? – zaśmiała się Wika.

– Teraz ty dowodzisz! – wrzasnęła Eliza. – Możesz płynąć dokąd chcesz, ale radzę ci za nami do zatoczki. – Pogroziła koleżance palcem.

Kiedy Eliza wychodziła na brzeg, Igor był tuż za nią.

– Przepraszam... – rzucił i uśmiechnął się.

– To przecież ja zawiniłam... – odparła szczerze.

– Ale i tak chcę cię przeprosić. – Nachylił się i szybko pocałował ją w policzek.

– Miałaś przeproszać, a nie całować, draniu – zaśmiała się

– Gorzko! Gorzko! – wydarła się na cały Mausz Wika.

\*

– Mówiłaś mi kiedyś, Kasiu, że chętnie byś pojechała jeszcze raz na kazimierzowski festiwal do Krakowa

– zagał Maciej.

– A co, masz jakąś propozycję? – zmrużyła oczy.

– Tak, ale może nie na festiwal, a na koncert, może nie tylko z muzyką żydowską, ale również kaszubską i ukraińską i może nie do Krakowa, ale też do miejsca zaczynającego się na literę K! – podkreślił i zaśmiał się.

– Brzmi fajnie, ale o co chodzi? – Kaśce śmiały się oczy.

– Niedaleko, nad jeziorem w Kłęczynie, już czwarty rok z rzędu odbywa się impreza pod nazwą „Koncert na dachu”. Organizuje to rodzina Szroederów, bliscy tych od naszych parchowskich „Modraków”. Znam się z nimi, ale nie dlatego chcę pojechać, tylko tam na ogół jest dobra muzyka, a w tym roku gościem ma być Michael Alpert, znakomity klezmer.

– Na Kazimierzu też grają zespoły klezmerskie. Lubię tę muzykę, więc bardzo chętnie – uśmiechnęła się Kasia.

– Ja też chcę! – wrzasnęła zniecierpliwiona Eliza.

– Czy ty musisz mnie, dziecko, straszyć? – Kaśka wstrząsnęła się.

– Bo wy tak tiu, tiu, a dziecko siedzi i może też by miało ochotę wybrać się na taki koncert?

– Maćku, a jest tam jakaś granica wiekowa? – spytała z kamienną twarzą Kasia.

Maciej nie wytrzymał i prychnął.

– Jedziemy we trójkę – zdecydował roześmiany.

Pojechali w piątkę; dołączyli się Olek Maćkowiak z Wiką.

Przedwieczorne Kłęczyno przywitało ich sporym tłumem. Kiedy podeszli do miejsca, gdzie

odbywał się koncert, akurat trafili na popisy kabaretowe Oli Zwierzyńskiej i Olka Grotowskiego. Raz po raz następowały wybuchy śmiechu żywo reagującej publiczności. Wieczór miał zwieńczyć koncert o wielu muzycznych kolorach: kaszubsko-ukraińsko-żydowskich. Kasia była wniebowzięta.

– Mamy Kazimierz pod ręką – uśmiechnęła się.

– Ale mi zrobiłeś ucztę!

– Zauważ, że prawie w każdym z występujących zespołów jest przynajmniej jeden Szroeder. Niektórych znam, bo pochodzą stąd, ale inni to także w większości rodzina – Maciek uśmiechnął się. – Uzdolnione muzycznie są bestyje – mrugnął.

– Ja większość z tych zespołów poznałam na klezmerskich wieczorach w Krakowie. I Alperta tam słuchałam, i kapeli Teatru z Sejn, i Mini Orkiestry Przełomu Stuleci z Torunia. Wiecie, że w tej orkiestrze grają i śpiewają naukowcy, i to techniczni, fizycy?

– W życiu bym nie pomyślał... – wtrącił Olek. – Kiedyś, gdy byłem na wagarach...

– Tato...! – wykrzyknęła Wika.

– Ej tam... Bez wagarów nie ma nauki – uśmiechnął się Olek. – I na tych wagarach, które spędziłem na terenie Targów Poznańskich, przed którymś z pawilonów był koncert takiej muzyki. Mogłem wreszcie posiedzieć i... odpocząłem sobie dobrą godzinkę – mrugnął.

– A potem zostały jeszcze tylko dwie godziny wagarowych lekcji i mogłem jakby nigdy nic wracać do domu!

\*

Ryszard zabrał Annę do Wejherowa. Sam miał tam spotkanie z klientem, a dla niej przewidział nadzwyczajne cacko, o zobaczenie którego kilka razy się już dopominała. Po wkroczeniu na teren Kalwarii Wejherowskiej, zwanej często Jerozolimą Kaszubską, Anna zmówiła Zdrowaś Maryjo. Przed wyjazdem trochę poczytała o jej historii, z której dowiedziała się, że budowę zaczęto w 1649 roku, a po kilku latach była już w zasadzie gotowa dla pątników. Różne były potem jej losy, udzielane przywileje, ale od końca drugiej dekady

XVIII wieku pielgrzymi odwiedzający ją otrzymywali odpust zupełny na wieczność. Uśmiechnęła się samym wzrokiem. Przybyła tutaj przecież z poważnymi intencjami. Miała więc zamiar odwiedzić każdą z kaplic i szczerze się pomodlić.

Spoglądając na plan, który zostawił jej Ryszard, i porównując z faktycznym układem terenu, postanowiła, że zacznie zwiedzać zgodnie z numeracją kaplic na planie. Pierwszym celem była Góra Oliwna z Kaplicą Wniebowstąpienia na szczycie. Trochę dziwnie się czuła z plecaczkiem zamiast torebki, ale po kilkudziesięciu metrach marszu pod górę stwierdziła, że to jednak niezły wynalazek. Nie mogła się nadziwić, że trzysta pięćdziesiąt lat temu cała Kalwaria została wzniesiona w ciągu zaledwie kilku lat. Musiał to być też spory wysiłek finansowy dla wojewody Jakuba Wejhera i jego rodziny. Dwadzieścia cztery kaplice i jeden kościół. A przecież jednocześnie wojewoda budował także miasto. Wielki człowiek – i nie dziwiła się, że tak bardzo kochany i szanowany na tej ziemi do dzisiaj.

Gdy dotarła do Kaplicy Wniebowstąpienia, spróbowała ogarnąć wzrokiem teren Kalwarii. Ogromny, nie da się. Pokręciła głową. Schodziła zgodnie z planem wolno w dół, wybierając kolejne kaplice. Każda z nich była na swój sposób piękna. Nawet się nie



obejrzała, kiedy dotarła do ostatniej w tej części Kalwarii, piątej z kolei odwiedzanej przez nią, Kaplicy Cedronu, zbudowanej z czerwonej cegły. A obok dojrzała strumyk, dający nazwę kaplicy. W czasach biblijnych strumień Cedron oddzielał Górę Oliwną od Jerozolimy. Planista Kalwarii Wejherowskiej, oliwski cysters ojciec Robert z Werden, wyliczył odległości pomiędzy stacjami, opierając się na faktycznych pomiarach Drogi Krzyżowej Chrystusa w Jerozolimie i oznaczył krzyżami w terenie lokalizację przyszłych kaplic.

Przeszła ostrożnie przez szosę. Aha! To jest Brama Jerozolimska. Spojrzała na zegarek. Minęło dopiero nieco ponad pół godziny. Jestem w dawnej Jerozolimie i zmierzam na Górę Syjon. Potem odwiedziła Dom Annasza, Wieczernik, Dom Matki Bożej, Dom Kajfasza i Pałac Piłata. Przypominała jej się historyczna wędrówka Chrystusa. Pięknie to odtworzono tutaj. Wyszła z kaplicy, która miała przypominać, że... Piłat umył ręce.

Teraz zaczynam Drogę Krzyżową. Zatrzymywała się przy każdej kolejnej kaplicy, żeby obejrzeć ją z zewnątrz, zajrzeć do wnętrza i odmówić modlitwę. Spojrzała na plan. Aha! To jest pierwsza kaplica, którą tutaj wzniesiono – Kaplica Pierwszego Upadku Chrystusa. Prosta, ale wymowna. Pomodliła się. Ruszyła dalej i zatrzymała się przy kolejnej. To jest dopiero cudo! Spojrzała do planu: Kaplica Spotkania z Matką. Napisane, że najpiękniejsza. Mnie też najbardziej ze wszystkich dotąd się podoba. Uśmiechnęła się. Ruszyła wolnym krokiem naprzód. Brama Łez i Kaplica Płaczących Niewiast... Spojrzała do planu. Teraz wchodzę na Górę Golgotę. Pokiwała głową i spojrzała w górę. Na szczycie jest Kościół Trzech Krzyży, a w nim Chrystus i dwóch łotrów. Przeczytała, że figury wyrzeźbił tutejszy franciszkanin, brat Juniper Wrocławski. W kościele odmówiła kolejny już dzisiaj raz modlitwę.

Dobrze, że jestem sama, bo mogę się skupić i na podziwianiu, i na modlitwie. Ryszard mówił, że bym powyżej tego kościoła rozejrzała się za płytą nagrobną Adelajdy. Widzę! Jest! Prosta płyta. Adele de Lynar z domu Kesyrling. Oj, młodo umarła, miała niecałe dziewiętnaście lat. Anna pokiwała głową i wyszeptwała Wieczny odpoczynek... Ryszard obiecał, że opowie jej historię Adelajdy. Pewnie intrygująca.

Ruszyła w dół, w kierunku ostatnich już kaplic. Jaki śliczny szachulcowy domek! To kapliczka Matki Bożej Bolesnej. Jaka cudowna pieta. Nie mogła oderwać oczu od Bolesnej Matki z martwym Synem. Przymknęła oczy i odmówiła modlitwę. Dotarła do ostatniej Kaplicy – Grobu Chrystusa. Bliźniacza kapliczka jest w Kalwarii Zebrzydowskiej, a tę spławiono z Krakowa Wisłą. Anna przyklękała. Modlitwa sama popłynęła z jej ust. Dziękuję ci, Chryste, że oświeciłeś mnie i dałeś mi siły, abym zamieszkała na Kaszubach. Uśmiechnęła się. Podniosła oczy w niebo. Panie Boże, jestem tutaj bardzo szczęśliwa. I mam Ryszarda...

\*

Siedziała pod parasolem i zastanawiała się, czy pójść samej do kościoła Świętej Anny, czy poczekać na Ryszarda. Omiatała rynek wzrokiem, gdy dojrzała go, zmierzającego wolnym krokiem w jej stronę.

– Bardzo się zmęczyłaś? – spytał Ryszard.

– Bardzo nie, ale się zmęczyłam, bo czasami nadkładałam drogi. Zamiast pięciu kilometrów, zrobiłam chyba z siedem – przymrużyła oczy. – Warto było, bo to piękna

Kalwaria. Przeczytałam w przewodniku, że przychodzi tutaj rocznie ponad siedemdziesiąt pieszych pielgrzymek. A są jeszcze pielgrzymki zmotoryzowane i tacy jak ja, pielgrzymi indywidualni.

– A czy wiesz, skąd przychodzi do Wejherowa najstarsza pielgrzymka?

– Nie mam pojęcia.

– Kiedyś ruszała ze Stolzenbergu, dzisiejszego Gdańska Chełma, ale w dziewiętnastym wieku jej tradycje przejęli pielgrzymi z Oliwy. Nazywają ją „matką wszystkich pielgrzymek”. – Ryszard przysiadł obok Anny.

– Z nią związana jest prawdopodobnie jeszcze jedna kaplica, tak zwana Brama Oliwska, ale ona stoi dalej, poza terenem samej Kalwarii. O ponad trzystuletniej tradycji pielgrzymkowej mówi się także w przypadku grup z Kościerzyny, Pucka i Oksywia w Gdyni.

– Oglądałam przed wyjazdem zdjęcia, które zrobiła tutaj Eliza, ładne, ale nie oddają tego, co sama zobaczyłam. Ponad dwie godziny kontemplacji przydało mi się. Dawno się tyle nie modliłam. Składałam prośby i obietnice... – Spojrzała mu w oczy.

– A o mnie też pomyślałaś?

– Tak, cały czas. – Pocałowała go w policzek; Ryszard przytulił ją.

– Czy masz siłę pójść dalej od razu, czy może wypijemy coś... – Rozejrzał się i wskazał na stoliki pod parasolami.

– Jakiś sok. Kawy tutaj nie chcę.

– Musimy kiedyś pojechać w miejsce, w którym będziesz mogła zobaczyć tańczące feretrony – uśmiechnął się Ryszard znad szklaneczki z sokiem.

– Gdzieś już tę nazwę słyszałam... – Anna zmarszczyła brwi.

– Na Kaszubach jest wzruszająca tradycja<sup>[15]</sup>... Narodziła się prawdopodobnie tutaj... – Ryszard wskazał w stronę Kalwarii – ...na początku osiemnastego wieku. Musiał mieć któryś franciszkanin sporą wyobraźnię. Feretrony oddają ukłony, a właściwie to jest cudowny, wręcz nieprawdopodobny taniec. Cztery osoby trzymające obraz na drewnianych uchwytach, czyli feretron, najpierw trzy razy podrzucają obraz, potem wykonują obrazem ukłon w przód, z kolei w tył, na prawo, na koniec na lewo. Kiedy pielgrzymki przychodzą do celu, choćby tu, na Kalwarię, wygląda to trochę jak jakieś zawody sportowe, ale ma swoje głębokie uzasadnienie. Jest to bowiem wykonanie obrazem znaku krzyża świętego lub Trójcy Świętej. Na zakończenie feretrony zataczają koło i robią ukłon w przód. Koło jest znakiem doskonałości jednego Boga w Trzech Osobach, a ukłon w przód pozdrowieniem. Z początku zabawy z feretronem wydawały mi co najmniej dziwne, ale kiedy spotyka się wiele pielgrzymek w Wejherowie, Wielu czy Sianowie, nie można się napatrzeć. Feretrony oddają „ukłony” świątyniom macierzystym, świątyniom docelowym, krzyżom przydrożnym, czy jak my tutaj mówimy „Mękom Pańskim”, kapliczkom, kościołom i sobie wzajemnie.

– Niesamowite! – Anna potrząsnęła głową.

– A jeśli do tego dodać wymyślne stroje młodych ludzi niosących taki feretron, coraz to nowe układy taneczne, to chociaż jest to pielgrzymka, ludzie klaszczą i wiwatują. Trudno dostać się do obsady niosącej feretrony, z reguły są tam ludzie młodzi.

– Muszę kiedyś to zobaczyć! – Anna klasnęła w dłonie i zostawiła je przed sobą złożone.

Po kilkunastu minutach ruszyli wolnym krokiem w kierunku kościoła Świętej Anny.

– Zakonników franciszkanów, bo to ich kościół, sprowadził tutaj Jakub Wejher, postanowił bowiem zbudować im klasztor. To było w tym samym okresie co budowa miasta. Przybyli z Wielkopolski. – Ryszard spojrział na Annę, która podniosła brwi, i skinął głową. – Wśród nich był ojciec Grzegorz Gdański, pierwszy gwardian wejherowskiego konwentu.

Stali na wprost kompleksu klasztoru franciszkanów, którego głównym elementem była bryła kościoła.

– Nie jest on zbyt wielki, ale fasadę ma uroczą. Od czasu po ostatniej wojnie franciszkanie skoncentrowali się na szerzeniu kultu maryjnego – kontynuował Ryszard. – Skupił się on wokół obrazu Matki Boskiej Wejherowskiej, który od dawna słynął łaskami. Zobaczmy go w bocznej nawie. – Wskazał na kościół. – Papież Jan Paweł II przychylił się do próśb w tej sprawie i koronował obraz podczas mszy w Sopocie w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, dzięki czemu powstało wejherowskie sanktuarium pasyjno-maryjne, które jest celem licznych pielgrzymek.

Ruszyli w kierunku wejścia do kościoła.

– W budynku po lewej stronie była na samym początku szkoła. Część jako elementarna, część jako kolegium przygotowujące do wyższych szkół duchownych. W dziewiętnastym wieku Prusacy w ramach walki z polskością i katolicyzmem doprowadzili najpierw do jej zamknięcia, a w czasach Kulturkampfu<sup>[16]</sup> do kasacji zakonu, którego nie było w mieście aż do czasu po drugiej wojnie światowej. Kalwarię w tym czasie opiekowali się duchowni diecezjalni.

Weszli do wnętrza. Usiedli w ostatniej ławce; Anna wodziła wzrokiem wokół.

– Jest śliczny ... – wyszeptła.

– Wyposażenie pochodzi zasadniczo z drugiej połowy osiemnastego wieku. Pięć późnobarokowych ołtarzy, rokokowa łoża patronacka po lewej stronie prezbiterium, a po drugiej stronie kazalnica w tym samym stylu – szeptał Ryszard.

– A gdzie jest ten obraz słynący łaskami?

– Przejdźmy bliżej ołtarza głównego. Balaski<sup>[17]</sup> też są z osiemnastego wieku – dodał; Anna skinęła głową.

Po chwili stali w prezbiterium, spoglądając na cudowny obraz.

– Bardzo mi się podoba Matka Boża Wejherowska...

Anna cofnęła się nieco i usiadła w pierwszej ławce. Przyglądała się obrazowi z delikatnym uśmiechem; po chwili uklękła i przymknęła oczy. Po kilku minutach wstała i wolnym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia.

– Piękny chór i organy, i w ogóle tak jakoś jasno w tym kościele.

– Możemy zwiedzić jeszcze podziemia, załatwiłem nam wejście.

– Jak dobrze! – ucieszyła się.

Spacerowali po nisko sklepionych ceglanych podziemiach, oglądając w części muzealnej pamiątki po założycielach i inne związane z historią kościoła. Następnie skierowali się do dalszej części podziemi, z kryptami grzebalnymi rodzin Wejherów i Przebendowskich oraz zakonników.

– Podobnie jak na Wawelu albo w Poznaniu w katedrze. Dobrze, że można cofnąć się w dawne lata. Wtedy ma się pewność, że obowiązkiem człowieka jest zostawianie po sobie

śladów, dobrych śladów. – Anna pokiwała głową.

– Ładnie to powiedziałaś. – Ryszard pogładził jej dłoń.

\*

Zatrzymali się w niewielkim hoteliku blisko rynku. Pod wieczór poszli na spacer w kierunku Pałacu Przebendowskich. Kiedy Anna wzięła Ryszarda pod rękę, uniósł jej dłoń na moment do góry i pocałował.

– Liczę na to, że będzie jakoś ciekawie podświetlony, żeby był odpowiedni nastrój do opowiedzenia historii Adelajdy Leynar – uśmiechnął się.

Weszli na teren parku, którego ozdobą był pałac.

– Płyte, o której mi mówiłaś, odnalazłam z łatwością. Bardzo młodo umarła biedaczka... – powiedziała z żalem Anna.

– Adelajda była najstarszą z trzech córek pierwszego właściciela dóbr wejherowsko-rzucewskich z rodu Keyserlingk. Tak się oni poprawnie piszą, z literą k na końcu – wtrącił Ryszard, widząc zdziwiony wzrok Anny. – Hrabia Otto, ich ojciec, kupił miasto w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Wcześniej właścicielami miasta, po rodzie Wejherów, byli magnaci polscy, kolejno książę Michał Kazimierz Radziwiłł i Jan III Sobieski oraz brytyjski kupiec, Szkot, baron Aleksander Gibsone. Od pierwszego rozbioru Polski ziemie te wraz z Wejherowem weszły w skład zaboru pruskiego, a nazwa zmieniła się na Neustadt in Westpreußen. – Rozłożył dłonie. – W czerwcu tysiąc osiemset dziesiątego roku Adele poślubiła Carla von Lynaara, podporucznika Gwardii Przybocznej króla pruskiego.

– To tylko niecały rok byli razem.

– Tak, to smutne. Musiała bardzo kochać Carla, bo ponoć zostawiła rodzinne bogactwo, by wyjść za mąż za biednego oficera armii pruskiej. Żeby go poślubić, musiała przejść na katolicyzm. Jaki był powód jej śmierci, nie wiadomo, są tylko przypuszczenia. Mogła umrzeć przy porodzie, co w tamtych czasach zdarzało się często, a mógł być inny, całkiem prozaiczny powód. Tak się dziwnie zdarzyło, że mogiła Adelajdy jest jedyną mogiłą przedstawiciela rodziny Keyserlingków w Wejherowie.

– A dlaczego?

– Niestety, wejherowianie chcieli mieć większy park, więc rodzinny cmentarzyk Keyserlingków padł ofiarą tych chęci – wyjaśnił Ryszard.

– Dziwne to...

– Mogło tak być, że kiedy hrabia Otto rozpoczął przebudowę pałacu, chociaż wielu ciągle nazywa go zamkiem, nie przewidywał czyjejkolwiek śmierci w najbliższym czasie, w związku z czym cmentarzyka przy pałacu jeszcze nie było. Powstał dopiero później – rozważał. – A dlaczego Adele pochowano na wzgórzu kalwaryjskim? Może ona je kochała, może chciano dodać jakiś nimb romantyczności miejscu jej pochówku? Może tam sobie z Carlem wyznali miłość?

Anna zmrużyła oczy.

– Piękną i romantyczną legendę stworzyłeś. No, bo jak nie ma żadnych dokumentów, to któż to wie.

– Właśnie! Wydaje mi się jednak, że wbrew dziwnym pojawiającym się sugestiom, Adele nie była odtrącona przez rodzinę za przejście na

katolicyzm i mezalians, raczej nie, bo w tym samym dniu co ona, ślub wzięła także jej młodsza siostra.

– Coś takiego?

– Przygotowałem się na tę okoliczność i poszperałem trochę<sup>[18]</sup> – przyznał Ryszard i z zadowolenia skubnął wąsika. – Adela, chociaż ona była trojga imion, Anna Charlotte Adelheid, miała dwie młodsze siostry: Klementynę Zofię – o trzy lata młodszą oraz Emmę Karolinę – o sześć lat młodszą. Fakt ślubu dwóch sióstr w jednym dniu, moim zdaniem, podważa plotki o odrzuceniu przez rodzinę za poślubienie katolika. Ślub odbył się na pewno z wielką fetą. Klementyna Zofia otrzymała dobra wejherowskie, zapewne po śmierci siostry, a że wyszła za swojego kuzyna Archibalda

Ernesta von Keyserlingka, to majątek ten pozostał w rodzinie Keyserlingk. Jej młodsza siostra Emma Karolina, wychodząc za mąż za Eugena von Belowa, weszła w posiadanie dóbr rzucewskich. Doszło w ten sposób do rozdziału dotychczasowych dóbr wejherowsko-rzucewskich.

– Ależ ciekawa historia... ale to wszystko też przypuszczenia, czy tak?

– Myślę, że wejherowianom należy się piękna legenda i niech poszukują, piszą na ten temat dramaty, kręcą filmy. Może dotrą do jakichś innych dokumentów niż ja. Któż to wie...

– Cytujesz Felcię i mnie – roześmiała się Anna.

– Lubię cytować mądrych, bo to, co ci opowiedziałem o Adeli i jej rodzinie, tego wcześniej ktoś mądry gdzieś się doszperał. – Ryszard pocałował Annę w policzek. – A oto i nasz pałac w całej krasie!

Przed ich oczami w zapadającym zmroku stanął rozświetlony kolorowo pałac Przebendowskich, chluba Wejherowa. Środkowa część w barwie pomarańczowej, boczne w różowej. Zbudowany w kształcie litery C, atrakcyjny architektonicznie, dwukondygnacyjny budynek, z trzecią kondygnacją w przyziemiu.

– Ładnie mu w tym parku – zachwyciła się Anna.

– Służy najlepiej jak można wejherowianom. Tutaj od siedmiu lat znajduje się Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej.

– O, jak pięknie!

\*

– Pojedziemy teraz, Anno, do Piaśnicy – zakomunikował Ryszard, gdy po śniadaniu i rozliczeniu się z hotelem wsiedli do samochodu.

– Daleko to?

– W kilometrach blisko, ale w kwestii faktów związanych z mauzoleum, które tam zobaczymy, daleka droga do pełnego wyświetlenia wszystkiego, co się tam wydarzyło – odrzekł z poważną miną.

– Wiesz, że sama chciałam zobaczyć Piaśnicę, bo sporo o tym rozmawiałam ze Stefanią, Sławą i Felcią. Będę więc pierwszą z naszej czwórki, która odwiedzi to miejsce – zauważyła smutno Anna.

– Piaśnica, a właściwie jej lasy, stała się miejscem kaźni elit kaszubskich w czasie drugiej wojny światowej... – Ryszard pokiwał głową – ...ale potem pokażę ci jeszcze dwa miejsca, żeby poprawić trochę humor.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu<sup>[19]</sup>. Blisko drogi Anna dostrzegła najpierw krzyż, potem wysoki obelisk i jeszcze jeden krzyż.

– To tu?

– Tak, Anno.

– Zanim przyjechałam na Kaszuby, niewiele słyszałam... o tym miejscu – przyznała.

– Wiesz... – westchnął Ryszard – ...są tacy, którzy przyrównują Piaśnicę do Katynia. – Zatrzymali się przy pierwszym z grobów. – Tyle że tam stracono oficerów i ta sprawa była znana jeszcze w czasie trwania wojny, a tutaj ginęła ludność cywilna.

– Dlaczego oni... – Anna przyłożyła palce do ust

– ...byli tacy nieludcy?

– Masz na myśli Niemców, prawda? – Ryszard popatrzył na nią. – Ciągłe i ciągle się nad tym zastanawiam. Wątpię, czy oni... sami znają na to odpowiedź... – pokiwał głową.

Zamilkli i ruszyli w kierunku kolejnych grobów. Po kilku minutach spędzonych w milczeniu podążyli w stronę obelisku upamiętniającego tę kaźń.

– Opowiedz mi, proszę, w miarę dokładnie, co i jak się tutaj wydarzyło.

Anna przycupnęła na ławeczce w pobliżu obelisku.

– Ofiarami mordów tutaj popełnionych byli cywile<sup>[20]</sup>: kobiety, mężczyźni, dzieci i niemowlęta... – Ryszard przerwał, widząc nerwowy ruch Anny, ale po chwili mówił dalej. – O Katyniu w powojennej Polsce nie wolno było wspominać ze względu na podległość wobec ZSRR, ale o Piaśnicy także nie informowano szeroko naszego społeczeństwa, pomimo że zbrodniarzami byli hitlerowcy, Niemcy.

– Dobrze, Katyń to była sprawa polityczna, do dzisiaj Rosjanie mataczą... Raz się przyznają, raz nie, ale tutaj? Przecież obozy koncentracyjne, Warszawa... to są sprawy ewidentne, skąd więc mimo wszystko tak małe nagłośnienie, czy wręcz długi czas ukrywania tych zdarzeń u nas, w Polsce, w Piaśnicy?!

– Od kilku lat zaczyna być coraz głośniejsze, pojawiło się już bardzo dużo materiałów na ten temat. Choćby książka pani Reginy Osowickiej z Wejherowa: *Piaśnica. Miejsce martyrologii i pamięci*. Mam ją od zeszłego roku i ciągle ją studiuję, więc o niej przede wszystkim wspominam.

– Może mi ją pożyczysz? – Anna spojrzała na Ryszarda; ten skinął głową.

– Niedawno znajomy przesłał mi książkę Dietera Schenka o Albercie Forsterze, namiestniku Hitlera w Gdańsku. Autor jest niemieckim kryminologiem i literatem. Oparł pracę na dokumentacji przechowywanej w niemieckim archiwum w Ludwigsburgu. Przedstawił w książce informacje o eksterminacji około sześćdziesięciu tysięcy osób w czterystu trzydziestu dwu miejscach Pomorza Gdańskiego. I to tylko w okresie od jesieni trzydziestego dziewiątego do wiosny czterdziestego roku. Cytuje zestawienia sporządzone przez Ministerstwo Sprawiedliwości Niemiec, z których wynika... – Ryszard sięgnął do kieszonki w koszuli – ...że najwięcej egzekucji dokonały oddziały policji porządkowej, policji i służby bezpieczeństwa, gestapo i Selbstschutzu na Kociewiu, gdzie zamordowano dwadzieścia pięć tysięcy osób i na Kaszubach – osiemnaście tysięcy osób, w tym ponad czternaście tysięcy tutaj.

Gdy Ryszard skończył, Anna przymknęła oczy i zamyśliła się.

– Ciągłe nie rozumiem, dlaczego o tym powszechnie się nie mówiło i nie mówi? – ocknęła się i potrząsnęła głową.

– Starano się w ten sposób ukryć prawdę o ofiarach, głównie kadrze przywódczej ludności pomorskiej. Jedynie mieszkańcy Pomorza osiedleni tu od pokoleń nie zapomnieli tego, co naprawdę wydarzyło się w Piaśnicy – głęboko odetchnął. – Pamiętają zwłaszcza rodziny pomordowanych, które nadal oczekują na zadośćuczynienie od strony niemieckiej. Znaczna część ofiar była z Pomorza. Rozstrzeliwano księży, zakonników, nauczycieli, osoby pełniące ważne stanowiska w życiu publicznym, urzędników oraz działaczy organizacji i stowarzyszeń politycznych, wojskowych, społecznych, sportowych, kulturalnych i religijnych. Najwięcej osób rozstrzelano jedenastego listopada trzydziestego dziewiątego roku w Święto Niepodległości Polski i ósmego grudnia tego samego roku. Te listy były już gotowe przed pierwszym wrześniem.

Anna znowu przymknęła oczy. Ryszard spojrział na nią.

– Czy mam przestać?

– Dokończ, proszę.

– Po zakończeniu „akcji” wiosną czterdziestego roku organizatorzy i sprawcy zadbali, aby ślady zbrodni zostały dokładnie zatarte. Na mogiłach posadzono młode krzewy i drzewka oraz pokryto teren darnią. – Ryszard zatoczył ramieniem łuk. – W drugiej połowie czterdziestego czwartego roku, kiedy najwyższe władze Rzeszy Niemieckiej stanęły wobec konieczności ewakuacji z okupowanych terenów, sprawcy zbrodni popełnionych na Pomorzu przystąpili do dokładniejszego niszczenia wszelkich śladów w obawie przed możliwością ich ujawnienia i poniesienia za nie odpowiedzialności. Do zacierania śladów w Piaśnicy wykorzystano grupę więźniów z obozu w Stutthofie. Przez dwa miesiące, w sierpniu i we wrześniu owego roku, więźniowie zakuci w kajdany byli zmuszani do rozkopywania mogił, wydobywania z nich ciał i palenia na leśnym palenisku. Po zakończeniu prac esesmani zamordowali także więźniów i ich ciała spalili.

– Boże... – Anna złapała się za głowę. – A te dzieci, niemowlęta...?

– Tutaj przywożono też całe polskie rodziny, które do czasu wojny mieszkały i pracowały w Niemczech, więc... Także pensjonariuszy zakładów i szpitali psychiatrycznych. – Ryszardowi głos uwiązł w gardle; odchrząknął. – Piaśnica była swego rodzaju poligonem ćwiczebnym, którego „doświadczenia” powielano potem w wielu innych miejscach okupowanej Polski i Europy. Miejsce to wybrano ze względu na dogodny dojazd autobusami i drogą kolejową oraz odludne położenie.

– Przecież to nie ludzie... Skąd oni się wzięli?

– Mamy z nimi nieustanny kłopot. Można powiedzieć, że od tysiąca już lat...

– Dlaczego oni tak nienawidzą innych, a nas w szczególności...?

Ryszard przytulił Annę. Oboje milczeli dłuższą chwilę.

– Pójdźmy zapalić znicze – poprosiła Anna.

Podeszli do obelisku. Ryszard ustawiał i zapalał przyniesione lampki. Anna modliła się z zamkniętymi oczami.

\*

Po dwudziestu kilku minutach jazdy w milczeniu dotarli do Rzucewa. Anna ożywiła się dopiero na widok czerwonych murów neogotyckiego pałacu.

– A cóż to za cudo?

– Powiem ci, że w historii tej posiadłości, tutejszych ziem, zamieszane są te same rody

co w przypadku pałacu w Wejherowie.

– Czyli Przebendowscy i Keyserlingowie?

– Bingo! – zaśmiał się Ryszard, rad z ożywienia Anny. – Z tym, że na długo przed nimi mieszkał tu ród Wejherów... – Anna spojrzała na niego ze zdziwieniem; on zaś pokiwał głową – ...ale wcześniej oczywiście też tutaj coś było – uśmiechnął się. – Aniu, proponuję kawę, albo spacer... a potem kawę.

– Wybieram to drugie – Anna zmrużyła oczy.

– Ten pałac został wybudowany w połowie dziewiętnastego wieku, gdy właścicielami było małżeństwo Emmy z domu Keyserlingk<sup>[21]</sup> i Gustawa von Belowa<sup>[22]</sup>. Zaprojektował go niemiecki architekt Fryderyk August Stüller, który projektował też pałac dla Czartoryskich w Rokosowie.

– No proszę! Wzięli kogoś z dobrą marką! – Anna roześmiała się. – Jest bardzo miły, taki... romantyczny. Nie wiem czemu, ale kojarzy mi się z Anglią... – Przechyliła głowę na boki, przyglądając się bryle pałacu.

– Wiesz, że ja też kiedyś miałem takie pierwsze skojarzenie? – ucieszył się Ryszard. – Po śmierci Gustawa Rzucewo, ale też Osłonino i Sławutówko, przejął jego syn Karol, a potem syn Karola, też Gustaw, z żoną Henriettą. Mam pomysł, żebyśmy w drodze powrotnej do Parchowa zajechali na chwilę do Sławutówka, to wtedy powiem jeszcze kilka słów o tej ostatniej parze.

– Obejdźmy go dookoła – poprosiła Anna, biorąc Ryszarda pod rękę. – Wiesz, mój miły, jeśli kiedykolwiek będziesz miał ochotę na budowę jakiegoś pałacu, to chciałabym, żeby to był taki. Bardzo mi się podoba. – Anna zmrużyła oczy; Ryszard uśmiechnął się. – Zaprosisz mnie do swojego pałacu na weekend?

– Zaproszę cię na stałe! – zaśmiał się Ryszard.

Po drodze obejrzeli ruiny kaplicy grobowej, którą wybudował Karol von Below, a potem doszli aż do brzegu Zatoki Puckiej.

– O! Hel widać! – ucieszyła się Anna; odetchnęła głęboko powietrzem znad morza. – Czuję, że teraz naprawdę będzie mi smakowała kawa. Dojrzałam.

– Ja też. – Ryszard pocałował Annę.

Za niecałą godzinę, po wypiciu kawy w stylowych wnętrzach pałacu, dotarli do Sławutówka. Anna już w pełni odzyskała pogodę ducha. Wspominała ciągle wystrój pałacu w Rzucewie, gdzie najbardziej spodobała jej się ośmiokątna dwukondygnacyjna biblioteka, z ośmiokątnym stołem pośrodku. Piętro wyżej otaczała ją balustrada i półki wypełnione książkami. Droga z holu do biblioteki wiodła przez przytulny salonik z sofą i pianinem.

Przed Sławutówkiem już z daleka widać było interesującą bryłę pałacu o dwóch kondygnacjach i wielospadowym dachu, o bardzo rozbudowanych elewacjach, z wieżą w narożniku.

– Ależ on jest ładny! – wykrzyknęła podekscytowana Anna, kiedy Ryszard wjechał na pałacowy podwórzec, przejeżdżając obok dobrze zachowanych zabudowań folwarcznych.

– W ubiegłym roku zaprosili mnie tutaj klienci z Redy na obiad – powiedział Ryszard. – Proponuję, Anno, abyśmy obeszlili pałac dookoła, bo chcę, żebyś go koniecznie obejrzała z drugiej strony – poprosił, kiedy opuścili auto; Anna skinęła głową. – Hrabia Gustaw von Below wybudował ten pałac w tysiąc dziewięćset dwunastym roku, w miejsce starego dworu. Gustaw był wszechstronnie wykształconym, wybitnym pruskim dyplomatą,



znającym wiele języków, w tym polski, ale tutaj bywał bardzo rzadko – rządziła tu jego żona Henrietta<sup>[23]</sup>. Ponoć była bardzo sprawiedliwa, dobrodusza, ale także wymagająca. Kiedy Gustaw zakończył wreszcie karierę dyplomatyczną, osiadł w swoich dobrach na Kaszubach. Długo nie nacieszył się nimi, zmarł tutaj

– Ryszard wskazał na pałac – ...z powodu ataku astmy na początku wojny, w czterdziestym roku.

– Jaki malowniczy staw! – zawołała Anna, kiedy znaleźli się po drugiej stronie pałacu. – Z tej strony jest on rzeczywiście znacznie ładniejszy – uśmiechnęła się, spoglądając na budowlę. – Wiesz, wybuduj jednak swój pałac w tym typie – zmrużyła oczy. – Rzucewski jest za duży, a ten bardziej kameralny, akuratny. Podobają mi się przybudówki, wieżyczki i to, że z werandy można zejść wprost nad staw.

– Będę miał to na uwadze – zaśmiał się Ryszard.

– Wracając do Henrietty... Po śmierci męża została tutaj sama, pochowała go wśród ukochanej natury, na wzgórzu obok przepływającej przez park i staw małej rzeczki Gizdepki. – Spojrzał na Annę przeciągle. – Wiesz... może dokończę ci tę historię... kiedyś.

– Nie, opowiedz teraz. Czuję, że jest w niej coś niezbyt miłego, czy tak? – Dotknęła jego ramienia i przyjrzała mu się badawczo; Ryszard skinął głową.

– Kiedy dotarł tutaj front w czterdziestym piątym roku, osiemdziesięcioletnią hrabinę odnaleziono ukrytą w piwnicy. Miała pewnie nadzieję, że da się jeszcze porozmawiać z żołnierzami Armii Czerwonej na temat losu swojego i swoich rodaków. Niektórzy Niemcy, tak jak ona, pozostali tutaj; nie zdecydowali się ewakuować wcześniej. Czerwonoarmiejcom daleko jednak było do rozmowy, a zwłaszcza poważnej. Zmusili ją, żeby wyszła na łąkę, tu nad staw i zaczęli strzelać jej pod nogi, aby podskakiwała, tańczyła. Azjatycka zabawa... – Pokiwał głową. – To była Niemka, ich wróg. Znęcali się nad nią. Została ranna, pewnie poważnie. Nie pozwolili pracownikom jej ruszyć; konała przez tydzień w tym samym miejscu, gdzie ją postrzelono. Potem nie pozwolono jej pochować. Jednemu z pracowników pałacu udało się wreszcie wykraść ciało Henrietty, pewnie pod osłoną nocy, i pochowano ją obok męża

– zakończył z poważną miną.

Anna zaniemówiła. Kręciła głową.

– Boże! Boże! – wykrzyknęła po chwili. – Powiedz mi, Ryszardzie... czy Polacy zawsze będą musieli cierpieć, albo od tych... – wskazała na wschód – ...albo od tych? – wskazała na zachód. – Jedni warci drugich! Skąd oni się wzięli!

## Siostry



- Olek zaprosił całą „Iskierkę” do Zielonego Dworu na swoje imieniny. Działka Kuszerów pękała w szwach, a babcia Julia z dumy.
- Widzisz, Tadziu, tak powinna wyglądać impreza! – zawołała entuzjastycznie.
  - Może nie wszyscy lubią takie imprezy... – mruknął Tadeusz, wzruszając ramionami, i spojrzał na Olka.
  - Jest naprawdę super! – Olek mrugnął do teścia.
  - Damy radę, tato.
  - *Gdzie strumyk płynie z wolna...* – zaintonowała rozradowana babcia Julia. Dziadek Tadzio syknął.
  - Znowu ci się nie podoba? – machnęła dłonią babcia. – Eliza, a gdzie jest Igorek? – krzyknęła, odwracając się w jej kierunku.
  - Nie wiedział, że jedziemy tutaj...
  - A dlaczego?
  - Bo nikt mu pewnie nie powiedział. – Wika wyręczyła Elizę i spojrzała na nią.
  - To jego nie ma w Parchowie? – Babcia Julia zmarkotniała.
  - Przecież Kartuzy są całkiem niedaleko – poddała Wika, podciągając śmiesznie ramiona.
  - No właśnie! – uśmiechnęła się babcia Julia. – To może by przyjechał?
  - Gdyby wiedział, na pewno by przyjechał. – Wika pokiwała głową.
  - Elizka, proszę cię, zadzwoń po niego, będzie jeszcze weselej – uśmiechnęła się babcia Julia.
  - Nie daj się prosić... – Wika zmrużyła oczy. – Nawet się nie obejrzysz, a on już tu będzie.
  - Mówicie...? – spytała, ociągając się Eliza.
  - Jestem przeciwny śpiewaniu. – Dziadek Tadzio popatrzył srogo na żonę.
  - Znaczy nie chcesz, żeby przyjechał Igorek? – zdziwiła się babcia Julia.
  - Juluś... nie jestem przeciwko niemu, a przeciw głośnemu śpiewaniu! – Dziadek Tadzio był bliski irytacji.
  - Że też takie rzeczy w ogóle mówisz... – Babcia Julia ostentacyjnie obróciła się do niego bokiem.
  - Oj, Juluś, przecież Igor jak najbardziej może przyjechać – powiedział dziadek ugodowo.
  - No, to dzwoń, Eliza, nie przeciągaj już! – zawołała zadowolona babcia Julia; Wika mrugnęła do Elizy.
  - Skoro tak mówicie... – Eliza odeszła nieco w bok, żeby swobodnie rozmawiać, i sięgnęła po telefon.
  - Jedzie, za niecałą godzinę będzie – oświadczyła po niedługiej rozmowie.
  - Igorek to ma klasę! Masz szczęście, że trafiłaś na takiego chłopaka! – Babcia Julia

z podziwu pokręciła głową. – Inne muszą prosić i prosić... – Wskazała głową na dziadka Tadzia i roześmiała się. – Widzisz, Tadziu?

– Poczekaj, Juluś... Zobaczymy za pięćdziesiąt parę lat! – zaśmiał się.

W niespełna godzinę Igor zameldował się przed działką. Uśmiechnięty wyciągnął z bagażnika gitarę.

– Dzień dobry wszystkim! – zawołał. – Dla solenizanta od Kartuz męski kwiatek – uśmiechnął się do ojca Wiki i podał butelkę.

– *Gdzie strumyk płynie z wolna...* – zaintonowała powtórnie babcia Julia.

Igor szybko zdjął z gitary pokrowiec i dołączył do śpiewu, a wraz z nim pozostali.

– Piękny ten wasz Zielony Dwór... – Henryk Dziedzic podkręcił węża.

– Jesteśmy tutaj już czterdzieści lat, ale tylu ludzi jeszcze nigdy u nas nie było! – Dziadek Tadzio wzruszył ramionami.

– Kiedyś musi być pierwszy raz – filozoficznie rzucił Olek, uzupełniając kieliszki.

A potem były kielbaski i szaszłyki, i od czasu do czasu piosenka. Nawet dziadek Tadzio, zdopingowany przez Jana, Felcię i Annę, śpiewających coraz to inne piosenki, przypomniał sobie *Pod żaglami Zawiszy...* Igor zagrał i tę melodię, a dziadek Tadzio chętnie włączył się do jej śpiewania. Potem opowiedział historię tej popularnej od 1935 roku piosenki, ulubionej przez Zawiszaków, załogi flagowego jachtu Związku Harcerstwa Polskiego „Zawiszy Czarnego”, a od tamtego czasu obecnej we wszystkich harcerskich śpiewnikach obozowych i innych.

Gdy zrobiło się już mocno szaro, Anna dała ekipie z „Iskierki” sygnał do odwrotu.

– Przyjedziemy jeszcze nie raz, ale teraz i tak będzie kolej na was – uśmiechnęła się do babci Julii.

W drodze powrotnej do Parchowa Eliza jechała z Igorem.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś – zwróciła się do niego, gdy ruszyli.

– Przecież wiesz, że zawsze przyjadę z największą przyjemnością. Tylko dzwoń – uśmiechnął się; Eliza pogładziła go po dłoni.

Gdy dotarli do „Iskierki”, korzystając z zamieszania, wyciągnęła go na krótki spacer. Kiedy zeszli ze wzgórza, przytuliła się do niego.

– Fajnie, że jesteś – szepnęła i pocałowała go w policzek.

Igor zatrzymał się i odwrócił do niej przodem. Jego usta wolno zbliżały się do jej warg. Czekwała na nie uśmiechnięta z przymkniętymi oczami. Całowali się długo i namiętnie.

\*

Anna, korzystając z niespodziewanego wyjazdu Ryszarda do klienta, zaproponowała Sławie wycieczkę do Studzienic. Ta jakby na to czekała.

– Dasz mi pięć minut i możemy jechać! – Jej oczy rozbłysły radością.

W ciągu kilkunastu minut dojechały nad Jezioro Studzieniczne.

– Miała rację ta pani z targu – powiedziała cicho Sława. – Ładnie jest tutaj. Kiedyś tak nie było. Pamiętam z tamtych lat tylko odcienie szarości... – szepnęła jeszcze ciszej i pokiwała głową.

– Ładne domki, a woda na pewno czysta, bo wokół żadnego przemysłu nie ma, wszędzie tylko łąki albo sosnowe lasy. – Anna zwolniła, mijając niewielki pomost i kąpielisko.

– A możemy się na chwilę zatrzymać? Chciałabym się trochę przespacerować... – Sława spojrzała pytająco na Annę.

– No przecież!

Weszły na pomost. Sława z uśmiechem spoglądała na wodę.

– O, rybki są. Chyba to okonie, bo mają paski. A tam przy brzegu idzie rak! – zawołała.  
– Mieszkańcy pewnie pilnują, żeby nikt nie zanieczyszczał wody. Też bym pilnowała, chociaż do naszego domu stąd jeszcze chyba z kilometr. – Wskazała ręką.

– A może tam podjedziemy? – Anna spojrzała na Sławę; ta pokręciła przecząco głową.

– Pójdźmy pieszo w tamtą stronę, tu tyle nowych domów. Jeśli spotkamy kogoś po drodze, to spytam o nasz dom. – Spojrzała na Annę.

– Idźmy, dzisiaj nie jest zbyt duszno.

Przy najbliższym domu pani Sława zobaczyła mężczyznę w średnim wieku. Podeszła do furtki.

– Nie wie pan, czy w ostatniej chacie przy lesie mieszka jeszcze ktoś od przed wojny?

– Stamtąd kilka lat temu wyjechało do Bytowa małżeństwo z dziećmi i babcią. Ale zaraz! W drugiej części domu mieszkała starsza pani, ale zamieniła się z młodym małżeństwem. Ona miała tam cztery izby, chociaż korzystała tylko z jednej, a ci młodzi mieszkali niedaleko ode mnie. O, w tym żółtym parterowym bliźniaku...

– Wskazał po drugiej stronie drogi. – Mieli tylko jeden pokój i kuchnię. Teraz ona mieszka tutaj, a oni tam.

– A zna ją pan? – Sława popatrzyła w oczy mężczyźnie.

– Nie... – odpowiedział. – My mieszkamy w Studzienicach dopiero od paru lat. Te wszystkie domki powstały w ostatnich kilkunastu latach. Tamten pod lasem ci młodzi wyremontowali i też fajnie wygląda. Żałuję, że to nie ja pomyślałem kiedyś, bo miałbym bliżej na grzyby – zaśmiał się.

– Do widzenia panu – pożegnała się Sława i ruszyła w kierunku żółtego domu; zaskoczona Anna wyciągnęła nogi, żeby ją dogonić.

– Sławuś, czy jesteś pewna, że chcesz tam pójść?

– Aniu, teraz albo nigdy. A co mi tam! – Machnęła ręką i uśmiechnęła się. – To na pewno nie jest moja macocha... – rzekła twardo, patrząc na Annę z powagą.

– Ciekawa jestem po prostu, kto to.

Przed żółtym domkiem na ławeczce siedziała nieco przygarbiona, siwa kobieta. Wyglądała na zmęczoną życiem. Już od kilkunastu metrów przeprowadzała wzrokiem Annę i Sławę, zbliżające się w jej kierunku. Sława zatrzymała się przed furtką; przypatrując się siedzącej kobiecie.

– Czy pani mieszkała kiedyś tam pod lasem? – spytała Sława bez słowa powitania.

– Kiedyś tak – odparła tamta.

– Kiedyś... ale dawno? – Sława uzupełniła poprzednie pytanie.

– Od urodzenia – odparła kobieta krótko.

Sława pokiwała głową. Spojrzała na Annę i głęboko westchnęła.

– Chcesz tego, Sławciu? – Anna rzuciła cicho, domyślając się jej intencji. Sława skinęła głową i jeszcze raz głęboko westchnęła.

– Ja też tam kiedyś mieszkałam... przed wojną – powiedziała, chwytając się obiema rękami furtki. – I też od urodzenia.

– To chyba niemożliwe... – Tamta pokręciła głową i wbiła wzrok w Sławę; uniosła się

z wolna.

– A jednak... Mieszkałam tam z dwiema siostrami i bratem, ale pani nie znam – z trudem wypowiadała słowa Sława, trzymając się kurczowo furtki.

Anna dostrzegła, że dygocze; złapała ją pod ramię.

– Sławka, może nie – poprosiła cicho.

Wyższa od Sławy o głowę kobieta zbliżała się powoli do płotu.

– Jestem Gertruda, moja siostra Weronika i mój brat Bogdan zginęli, kiedy przyszli Rusczy... – Kobieta zatrzymała się po drugiej stronie furtki; w jej oczach pojawiły się łzy. – Czy ty jesteś...? – Położyła rękę na furtce tuż obok ręki Sławy; jej szeroka spracowana dłoń kontrastowała ze szczupłą, o długich palcach dłonią Sławy.

– Tak... ja jestem... Sława.

Z ust przybyłej wydostał się cichy, przerywany szept; nogi się pod nią ugięły; Anna przytrzymała ją, by nie upadła.

– Jeśli mnie wtedy nie znienawidziłaś na śmierć, siostrze, to proszę, wejdź – powiedziała cicho Gertruda i otworzyła furtkę.

Sławka stała z opuszczoną głową i chwiała się; wstrząsały nią spazmy. Po chwili uspokoiła się nieco, podniosła mokre od łez oczy w górę i otworzyła ramiona. Obie kobiety przypadły do siebie, płacząc.

Anna stała bezradna. Nie wiedziała zupełnie, co ma ze sobą zrobić. Pierwsza oprzytomniała Gertruda.

– Z daleka przyjechałaś, siostrze?

– Tak, aż z Bytowa. – Sława pokiwała głową.

– Przecież Bogdan mówił nam, że miałaś wyjechać za granicę.

– Musiałam mu tak powiedzieć. On był łatwowski. – Sława spojrzała siostrze w oczy.

– Pamiętasz, że taki był? – Gertruda uśmiechnęła się blado.

– Wszystko pamiętam... – Sława przymknęła oczy

– ...choć niektóre rzeczy wolałabym zapomnieć.

– Jesteś wielkoduszna. Mnie się nie udało zapomnieć, że tyle przykrości wyrządziłyśmy ci z Weroniką.

– Gertrudo, powiedz mi, co Bogdan wtedy powiedział matce?

– Nic nie powiedział. Zagroziłyśmy mu z Weroniką, że jeśli piśnie słówko, to my też odejmiemy. Ten jeden raz w życiu nie wygadał się. Bał się, że zostanie sam z matką... Ale powiedz, gdzie byłaś przez te wszystkie lata, zanim przyjechałaś tutaj z Bytowa?

– W Bytowie – teraz Sława uśmiechnęła się blado.

– Żartujesz?

– Nie. – Sława pokręciła przecząco głową. – Mieszkałam przez te wszystkie lata, aż do dzisiaj, w Bytowie, w jednym i tym samym domu.

– Boże! – jęknęła Gertruda.

Zapadło milczenie. Po chwili kobieta złapała Sławę za rękę i pociągnęła w kierunku ławki. Usiadły.

– A pani kim jest? – Gertruda jakby ocknęła się i spojrzała na Annę.

– Jestem dzieckiem, którym pani siostra opiekowała się czasami w Bytowie w trzydziestym ósmym roku.

Gertruda potrząsnęła głową.

– Chyba nie zrozumiałam... Czy może pani jaśniej?

– Sławka pomagała mojej matce... – wyjaśniła Anna.  
– Bo przez moment pomyślałam, że to może twoja córka... – Gertruda spojrzała na Sławę.  
– Chciałabym mieć dziecko, ale niestety... wojna... – Opuściła głowę.  
Gertruda złapała siostrę za ramię; wpatrywała się z napięciem w jej twarz.  
– Ciebie też to dotknęło?  
Sława rozszlochała się.  
– U nas pojawili się nagle żołdacy – zaczęła mówić kamiennym głosem Gertruda. – Ja się jakoś wymknęłam ze stodoły, a Weronika nie zdążyła. Znaleźli ją tam. Słyszałam tylko, jak wyła... – teraz Gertruda zaczęła szlochać. – Potem usłyszałam strzały. Uciekłam do lasu, przecież był zaraz przy domu. Długo biegłam, ile sił w nogach. Szukali mnie, strzelali na oślep, ale ja znałam las doskonale, jak reszta rodzeństwa i ty. – Spojrzała na Sławę. – Zmyliłam ich, biegnąc jakiś czas strumieniem... Daleko w lesie znalazłam trupy niemieckie, odarłam je z płaszczy, od jednego wzięłam buty i jakoś przeżyłam. Po trzech dniach odważyłam się wrócić... Matka leżała na środku podwórza, Weronika w stodole na słomie... prawie goła, cała w ranach i krwi... Boże! – Złożyła dłonie i spoglądała na Sławę.  
– Bogdan leżał na środku klepiska, też we krwi, a obok niego rozchełstany żołdat z widłami w brzuchu – Gertruda zaniósł się płaczem.

\*

Herbata zrobiona przez Gertrudę ostygła w szklankach; siostry nawet jej nie ruszyły. Każda chciała drugiej opowiedzieć jak najwięcej o swoim samotnym, ciężkim życiu. Sława o nauczycielstwie, a Gertruda o pracy na własnym niewielkim gospodarstwie, a potem w okolicznych ośrodkach wypoczynkowych. Więcej płakały niż rozmawiały, ale kiedy Anna zaczęła namawiać Sławę do powrotu i obiecała siostronom babskie spotkanie za kilka dni, obie się uśmiechnęły.

– Będziemy się często spotykać, ale teraz powinnyście trochę ochłonąć – uśmiechnęła się do obu.

Przytuliły się mocno na pożegnanie, spoglądając po sobie zapłakanymi oczami.

Anna odwiozła Sławkę do Bytowa.

– Szkoda, że Gertruda nie zdecydowała się wyjść za mąż – rzuciła, kiedy już dojeżdżały do miasta.

– Ona zawsze była uparta, a to było jej stanowcze postanowienie, Aniu. Po tym, jak zobaczyła zbrukane ciało swojej ukochanej siostry, znenawidziła cały męski ród. One się naprawdę kochały!

Anna pokiwała głową. Za jakiś czas Sławka znowu się odezwała:

– Kiedyś ci powiedziałam, że Studzienice pamiętam w szarych kolorach. Dzisiaj ujrzałam je znowu kolorowe, jak przed dwunastym rokiem życia. Dziękuję, że namówiłaś mnie na ten wyjazd – uśmiechnęła się.

Po przyjeździe do miasta Anna odprowadziła Sławkę do domu, a potem wpadła na chwilę do Ryszarda, żeby mu zrelacjonować ostatnie wydarzenia. Kiedy wreszcie wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę powrotną do domu, uśmiechnęła się – nie do wiary, pomyślałam: do domu!

Puściła cicho muzykę i odpoczywała.

\*

- Mówię ci, Felciu, bałam się, że będę miała z nimi poważniejszy problem.
- Kaszubskie kobiety są twarde, dzisiaj wspomnienia odżyły, ale na pewno chciałyby trochę od nich odpocząć, uśmiechnąć się.
  - Zastanawiam się, czy Sławka nie będzie chciała wziąć Gertrudy do siebie... Coś mi takiego zabrzmiało w jej słowach podczas powrotnej drogi.
  - Staraj się nie podnosić tego tematu. One same muszą do tego dojrzeć. – Felcja położyła dłoń na dłoni Anny. – Zaraz przyjdzie córca – zmieniła temat; uśmiechnęła się. – Chce mi coś powiedzieć, w jakiejś sprawie się poradzić. Ucieszyła się, kiedy jej powiedziałam, że już jedziesz.
  - Dawno jej nie widziałam, wpadła tylko na kawę, jak byli Susan i Greg.
  - Za bardzo kojarzą jej się z Klausem.
  - Halo! Już jestem! – Wpadła na werandę, dysząc i wiercąc pupą Marysia. – Cześć, mamciu... – Uściśnęła się z Felcią. – Dzień dobry, Anno... – Objęły się.
  - Wciąż nie mogę się przyzwyczaić, żeby mówić ci po imieniu. A Kacha jest?
  - Skoczyły z Elizką na cypel, zaraz będą.
  - Postuchaj! – Spojrzała przeciągle na Felcię i chwyciła ją za dłoń. – Ty też, Aniu. – Koncentrowała się.
  - Jeszcze nie minął rok od śmierci Klausa... – zaczęła, spoglądając z dziwnym błyskiem w oczach na jedną, a potem na drugą. – Myślałam, że się nie podniosę z rozpacz. Najpierw nie chciałam żyć; wiecie, że chciałam sobie coś zrobić, ale kiedy spojrzałam na Joasię i Miłosza, wyrzuciłam to z głowy. Dobrze, że wtedy była u mnie Kasia i Maciej.
  - Jesteśmy! – Na werandę wpadły hałaśliwie roześmiane Kasia i Eliza. – O! Marysia! – zapiszczała Kasia.
  - Siadaj i słuchaj! Ty też możesz, mała... – spojrzała na Elizę.
  - *Chciałabym...* – zanuciła cicho Eliza. – Bo czuję, że tu będzie coś ważnego, a potem żadna mi nie powie jak należy.
  - Ty zołzo! – Kasia dała jej kuksańca.
  - Cicho już! Skończyłam na tym, że jak dobrze, że byłaś wówczas u mnie... wiesz! – Marysia spojrzała na Kasię. – A zaraz potem pojawił się u mnie w domu Adam... – Przymknęła oczy. – Gdybym wcześniej przyszła tutaj... – spojrzała na Felcię – ... pewnie bym się rozkleiła i miałabyś ze mną, mamciu, kłopot. Tak by było – pokiwała głową. – Zresztą nie miałam na to siły. Gdy zobaczyłam Adama, przez głowę mi przeleciało, że kiedyś mówiłaś mi, co trzeba robić, by być twardym. Stwierdziłam na początek, że nie będę angażować całego twojego domu... – spojrzała wokół – ...a spróbuję skorzystać tylko z jego wsparcia. Poza tym pomyślałam, że nie mogę mu zrobić przykrości, bo pojawił się z sercem na dłoni. Anioł wstąpił w moje progi; słyszałam, jak rozmawiał z dziećmi, chociaż Miłosz się boczył... taka była prawda. – Spojrzała wokół. – I po jakimś czasie poczułam się bezpieczna.
  - Wiesz, córca... – Teraz Felcja złapała Marysię za dłoń. – Byłam trochę zła i było mi ciut przykro, że nie przyszedł wtedy do mnie, że nie chcesz nikogo z nas widzieć, ale kiedy Adam zdał nam pierwszą relację, wiedziałam, że jesteś pod dobrą opieką. Nikt, żadna z nas, nawet ja, nie dalibyśmy ci wówczas takiego wsparcia. Chyba cię rozumiem... Chciałaś spokoju. – Felcja pokiwała głową.

– Tak właśnie! Nie mogłam, nie czułam się wcześniej gotowa do rozmowy o tym z tobą, z wami, ale kiedy przy ognisku zobaczyłam, że Adam swoją konsekwencją i ciepłem oswoił Miłosza, zaczęłam jeszcze inaczej na niego patrzeć. Przecież kiedy uratował Joasię, a był taki chory... – nabrała powietrza – ...wracając ze szpitala do domu, modliłam się o jego powrót do zdrowia. A on? Jak gdyby nigdy nic. Jeszcze żartował z Joasią. Klaus był dobry, ale... to jest anioł! Wierzycie mi? – spojrzała wokół.

– Pasujecie do siebie – uśmiechnęła się Felcia; Marysia zasłoniła oczy.

Zapadło krótkie milczenie. Wszystkie kobiety wpatrywały się w napięciu w drobną, znowu pełną życia, a teraz nieco onieśmieloną szatynkę.

– Długo traktowałam go prawie jak brata, opiekował się mną i dziećmi jak bliska rodzina. Powiedział wtedy, pamiętacie, że tak robią przyjaciele. Przyznam się wam do czegoś – powiedziała ciszej. – Niedawno dojrzałam w nim mężczyznę i nic na to nie mogę poradzić... – potrząsnęła głową. – Możecie tego nie akceptować, nie rozumieć, ale tak jest! – W oczach swoich słuchaczek nie dojrzała jednak żadnego sprzeciwu, żadnej przygany. – No, co jest? Nawet na mnie nie nakrzyczycie?

– Marysiu, córciu... – Felcia spojrzała na nią i uśmiechnęła się. – Dostałaś dobrą lekcję... Ja tobie już wszystko powiedziałam. Jak chcesz, to jeszcze raz powtórzę: Pasujecie do siebie i już! – zakończyła i rozłożyła dłonie.

Marysia potrząsnęła głową.

– Ale... ja myślałam... – Spojrzała na Felcię, ta pokręciła głową.

– Aniu, Kasiu... – Spojrzała na nie.

– Felcia ci już wszystko wyjaśniła... Po prostu pasujecie do siebie. Mnie też tak kiedyś powiedziała i się sprawdziło.

Marysia przeniosła wzrok na Kasię.

– Czego się po mnie spodziewasz? Powiem krótko: pilnuj go – uśmiechnęła się i zmrużyła oczy.

– Ja zgadzam się ze wszystkim, co zostało wcześniej powiedziane – wyrzuciła z siebie szybko Eliza, nie czekając na spojrzenie Marysi, ani na jej pytanie.

\*

– Siostra mojej przyjaciółki jest moją przyjaciółką...

– Stefania złapała za ręce obie siostry. – Jesteście trochę młodsze, dlatego prosiłam Anię, żeby was przekonała, abyście jednak to wy przyjechały do mnie.

Sława i Gertruda uśmiechnęły się.

– Czyli ja jestem smarkula, a Ania osesek? – zaśmiała się Felcia.

– Felciu! Ja mam prawie dziewięćdziesiąt lat, Sławcia i Gertruda plus minus osiemdziesiąt, ty, Felciu, około siedemdziesiątki, a Ania sześćdziesiąt z ogonkiem. Ładnieśmy się dobrały do plotkowania.

– Będziemy plotkować? – Felcia założyła ręce na brzuchu i uśmiechnęła się szeroko.

– Ania mówi do swojej córki i wnuczki „dziewczynki”... Bardzo mi się to podoba! – Pogładziła Annę po dłoni. – Ja wam też tak chcę powiedzieć, dziewczynki! – Spojrzała wokół i roześmiała się. – Wszystkie wreszcie odnalazłyśmy się, tyle smutnych rzeczy już zostało powiedziane, więc może dzisiaj na wesoło?

– Kawały będą? Jo? – Felcia machnęła dłonią.



– Powspominajmy miłe zdarzenia, wieś z dawnych lat, potrawy... – Stefania poprawiła okulary na nosie.

– Mogę pierwsza? – Gertruda spojrzała na gospodynię.

– Zaczynaj!

– Zaraz za stodołę mieliśmy dwa pola. Przychodzili ludzie ze wsi i pomagali matce; czasami przychodził ojciec, jak go Kilian puścił z karczmy. Najpierw szli chłopci z kosami, za nimi kobiety wiązały powróżami snopy. Potem szła dzieciarnia. Stawialiśmy snopki albo układało się w takie okrągłe kopy, albo w podłużne.

– Słyszałam, że na te długie mówiło się gdzieś sztygi... – wtrąciła Anna.

– Różnie się to nazywało. – Stefcia machnęła dłonią.

– Ale jeszcze dzień wcześniej przychodził wujek, obchodził pole, klepał i ostrzył kosy przed stodołą na specjalnym pieńku. W otwór w pieńku wstawiał kawał żelaza, a potem przesuwiał po nim kosę i pukał młotkiem raz z jednej, raz z drugiej strony. Potem ostrzył kamieniem i znowu na przemian, raz z jednej strony, raz z przeciwnej. Jak mu to sprytnie i szybko szło! – Gertruda uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Siadaliśmy wkoło i patrzyliśmy, i patrzyliśmy. Potem w czasie koszenia też co jakiś czas klepał kosę, ale na pole brał małą ławeczkę.

– Ja jeździłam na żniwa w czasach snopowiązałek

– włączyła się Anna. – Ale jak nie było sznurka, to kobiety też musiały wiązać snopki powróżami. Ja tylko stawiałam kopki. I pamiętam wszędzie te źdźbła

– uśmiechnęła się.

– Ja najlepiej wspominam sianokosy, ale to już po wojnie, jak rodzice jeszcze żyli. Dawali mi duże drewniane grabie, ale lubiłam to... – Felcia popatrzyła tęsknie na odległe pola.

– Wykopków nie lubiłam, bo na ogół było mokro, deszczowo, a kosze ciężkie i to znoszenie kartofli na kupę albo sypanie od razu na wóz... Trzeba było we dwie – wspominała Gertruda.

– Lubiłam też młockę u nas, bo maszyna głośno huczała, gruby pas śmigał po stalowych kołach i zawsze mi się wydawało, że wszyscy ze wsi nam zazdroszczą.

– A pamiętasz, Sławka, jak pomagałyśmy układać snopki w stodole? – Gertruda uśmiechnęła się do niej.

– Wolałam skoki z góry na dół niż układanie – Sława odpowiedziała śmiechem. – Mimo że układania snopków nie lubiłam, bo byłam do nich zawsze za mała, to chętniej tam szłam niż do innej pracy, zwłaszcza że w pierwszej kopie stała zawsze duża kana od mleka z chłodną wodą, czasami z sokiem z malin. No i mogłam się wtedy do woli najeść chleba z samym masłem albo powidłami.

– U nas czasami była czarna kawa albo mama poprzedniego dnia gotowała duży gar jakiegoś kompotu i on potem stał w kanie całą noc w zimnej wodzie, a na polu też w kopie – wtrąciła Felcia.

– Mieliśmy jakiś czas dwie krowy... – ciągnęła Gertruda. – Matka robiła sery, a ze śmietany z odstalego mleka ubijała masło w cierzynce. Inni nazywali ją kierzynką. Masło smakowało inaczej niż teraz.

– W Wielkopolsce cierzynkę nazywano masielnicą

– wtrąciła Anna.

– A pamiętacie czarlinę? – Felcia spojrzała wokół; Gertruda i Sławka pokiwały głową.

- U nas też się ją jadło, najczęściej w okolicach Gwiazdki – potwierdziła Stefania.
- A co to takiego? – spytała Anna.
- To zupa z krwi... z kaczki albo gęsi, z kawałkami mięsa – odpowiedziała Sława.
- Aha! U nas nazywa się ją czerniną! – przerwała jej Anna.
- Lubiłam ją. Wybierałam z niej napęczniałe śliwki albo suszone winogrona czy już po wojnie rodzynki
- Sława uśmiechnęła się. – W domu, w Studzienicach... – spojrzała na Gertrudę – ...też się najadałam jej do syta, bo któraś z was nie lubiła czarliny.
  - Ja nie lubiłam. – Gertruda machnęła dłonią. – Faj!
  - Moja mama miała po babci kołowrotek i przędła nici, a ja jej czasami pomagałam – przypomniała sobie Felcia.
    - U nas nie było kołowrotka... – potrząsnęła głową Gertruda.
    - Po świniobiciu robiło się kielbasy, ale ja i tak najbardziej lubiłam pasztetową i... zylcę, po waszemu...
- Felcia zwróciła się do Anny – ...zimne nóżki – zaśmiała się głośno.
  - Dziewczynki! – zawołała Stefania. – A może macie ochotę na świeżą pasztetową z chlebkiem własnej roboty? Zylc też jest! Wczoraj Ela przywiozła od krewnych. Bo tak gadamy, gadamy, a ja nawet o kawie nie pomyślałam, a wy może głodne jesteście?!

## *Dziecko szczęścia*



N ostatnie trzy dni lipca do „Iskierki” przyjechali z Poznania Zuza i Jolka ze swoim osobistym kierowcą Oskarem. Maluch, ręcznie pomalowany przez Oskara, prezentował się okazale. Gdźieniedzie wisały błękitne smarki, ale Oskar pokazał swoją głęboką wrażliwość artystyczną, zamalowując je czerwonymi kleksami. Dziewczynom się to podobało i to było najważniejsze.

– Słuchaj, Eliza! Jak przemierzaliśmy się przez miasta i wioski, to ludzie zatrzymywali się z rozdziawionymi gębami! – zawołała, śmiejąc się, Jolka.

Pogoda im dopisała, więc spędzali całe dnie, plotkując wesoło na cyplu. Dołączała do nich czasami Wika i Diana, a pod wieczór pozostałe Dziedziczątka.

– Szkoda, że tylko na trzy dni przyjechałyście... – Tak Eliza codziennie rozpoczynała rozmowę po pierwszej kąpieli.

– Czy ty, Eliza, pomijasz mnie umyślnie, czy masz sklerozę? – codziennie buntował się na wesoło Oskar.

A potem było opowiadanie wesołych zdarzeń z roku akademickiego. Pierwszego dnia Jolka w pewnym momencie zawahała się, czy opowiedzieć o Zydze, po chwili przełamała się jednak.

– Halloween to była ostatnia impreza, na której byłam z Zygą. W kółeczku zaczął się uśmiechać do jakiejś lali, nie studentki nawet, i wkurzyłam się zdrowo na niego. Miał szlaban na mnie aż do połowy lipca... – uśmiechnęła się.

– No i co? – Eliza klepnęła Jolkę w ramię.

– Jolka nie ma charakteru... – mruknął Oskar.

– Zejdź ze mnie, okej? – Jolka pociągnęła go za dreda.

– No, ale o co chodzi? – naciskała Eliza.

– Wpadliśmy niedawno na siebie w Reserved na Świętym Marcinie... – wzruszyła ramionami Jolka.

– Stał i ślepił, oczywiście ani be, ani me! A ja w obłądnej miniówie – zachichotała.

– I co?

– Powiedziałam mu, że albo mnie zaprasza na lody, albo do spotkania za kolejny rok! – zaśmiała się.

– I co dalej?

– Jedziemy za tydzień na Mazury!

– Super!

– A jak tam twój Igor? – Jolka spytała w rewanżu Elizę.

– Też mieliśmy długo ciche dni, ale od niedawna jest tendencja zwyżkowa... – Eliza zmrużyła oczy.

– A u mnie nawet nie pytajcie... – machnęła dłonią Zuza. – Oskar, nie słuchaj!

Oskar posłusznie zasłonił sobie uszy.

– Kocham się nieszczęśliwie, platonicznie, w takim Wieśku z czwartego roku historii...

ale nic więcej nie powiem. Albo nie, powiem. Przyszły rok to będzie być albo nie być dla naszego ewentualnego związku. Bo jeszcze będę go widywała na uczelni, a potem gdzie go znajdę?

– Aleś ty modelka – prychnęła Eliza.

– A kochałaś się kiedyś nieszczęśliwie?

Eliza pokręciła głową.

– A ja już trzeci raz z rzędu.

– Oskar!! – wrzasnęła Eliza.

– Nie krzycz tak, bo mi bębenki pękną! – Oskar uśmiechnął się.

– To ty wszystko słyszałeś? – Jolka spojrzała na niego z wyrzutem.

– Jolka... Przecież moje dłonie są małe, a uszy duże, więc...

Roześmiali się wszyscy w głos.

– Ale powiedz wreszcie, Oskarku, jak tam twoje studia? – spytała Eliza.

– Wiesz, Akademia Sztuk Pięknych to jest naprawdę coś – uśmiechnął się tajemniczo. –

Mamy sporo wyzwania. – Pokiwał głową.

– Nic nie mówiłeś... – Jola spojrzała na niego z wyrzutem.

– A dałyście mi dojść do słowa?

– No, bo jak miałaś gadać, to zastanawiałeś się...

– Tak... i wtedy zawsze któraś wchodziła mi natychmiast w słowo.

– No dobra, to opowiedz coś o tych wyzwaniach

– naciskała Eliza.

– Słuchajcie, dziewczyny. Patrzę na was i narysowałbym kilka cudownych obrazów, ale mieliśmy zajęcia z żywą modelką... – Spojrzał wokół z głupią miną.

– Ach, wy zbereźniki! – oburzyła się Zuza.

– My? Ja? Musiałem patrzeć na siedemdziesięcioletnią pomarszczoną gołą babę i narysować młodą nimfę... – Przymknął oczy.

– I co? – zainteresowała się Wika, aż usiadła.

– Docent powiedział, że nie mam polotu, i kazał mi przyjść jeszcze raz. Beee!

– Ha, ha, ha! – roześmiała się Eliza.

– Wcale mi nie było do śmiechu, bo drugi raz też zawałem. To znaczy docent powiedział, że jest już trochę lepiej, ale trzeba próbować do skutku. Musiałem pójść trzeci raz.

– No i...? – Wika zmrużyła oczy.

– No i... ale nie pogniewasz się, Eliza?

– Ja? A dlaczego miałabym się gniewać? – Eliza potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Bo narysowałem ciebie z pamięci. – Teraz Oskar wzruszył ramionami.

– Ty łobuzie! – roześmiała się Eliza.

– Eliza, poczekaj, ale co na to docent? – Wice spodobała się historia Oskara.

– Docent powiedział, że bierze moją pracę na wystawę... Jest doskonała, i wstawił mi do indeksu piątkę!

– Przeginasz... – Eliza spoważniała. – Ale ty przecież nigdy nie widziałeś mnie na golasa!

– A wyobraźnia? A poza tym trochę się w tobie kochałem... Pamiętasz sprawę zwierzątek i dredów?

– Oskar przewrócił oczami.

Wika opadła na plecy, zanosząc się śmiechem.

– Tak czułam, Eliza, że wszystkiego mi o jego dredach wtedy nie opowiedziałaś.

– Ona ci opowiadała o moich intymnych sprawach?

– Ojeju! A stało się coś?

– No, niby nic... – Oskar machnął dłonią. – W takim razie i tobie nic się nie stanie, jak moja wizja powisi sobie do końca lata w Centrum Kultury... – Oskar uśmiechnął się przepraszająco.

– W Zamku? Do końca lata?

– Jak chcesz, mogę załatwić na dłużej. – Oskar popatrzył na Elizę.

– Oszalałeś?!

– Nie! Po prostu wymyśliłem na poczekaniu tę całą historię! – Teraz Oskar zaczął się śmiać do rozpuku.

– Ale wiesz co? Namaluję cię kiedyś i dam na wernisaż.

– Ani się waż!

– Ale z rudymi włosami... tu i tam... – zaśmiał się i poderwał z ziemi. – I będziesz miała dużo piegów, żeby cię nikt nie poznał! – Oskar ruszył biegiem do wody.

– Fajny ten Oskar... – spojrzała za nim melancholijnie Zuza.

– No jasne, że fajny. Ma poczucie humoru i w ogóle... – Wika uśmiechnęła się.

– Z tego, co wiem, wciąż jest wolny... – powiedziała ciszej Jolka.

– Ale czemu mi to mówisz? – Zuza potrząsnęła głową.

– No wiesz. Ma auto, poczucie humoru, jest artystą...

– No, to muszę się zastanowić. – Zuza wstała i ruszyła wolnym krokiem do wody.

Na takich rozmowach i zabawach minęły im szybko trzy dni. „Paczka” z Poznania przedłużyła pobyt w Parchowie do rana czwartego dnia, bo trzeciego dnia na cypel przyjechał Igor, a na wieczór zapowiedział ognisko. Tańczyli do północy.

\*

Sierpień tego lata był w historii Parchowa wyjątkowy. W pierwszą niedzielę pochłonęła wszystkich wielka feta z okazji siedemset pięćdziesiątej rocznicy powstania wsi<sup>[24]</sup>. Najpierw odbyła się uroczysta Msza św., największa w historii parafii, na którą przybyli szacowni goście, ale też tłumy wiernych. Odprawił ją biskup pelpliński Jan Bernard Szlaga i na koniec odsłonił pamiątkową tablicę przy kapliczce w sąsiedztwie plebanii i niedaleko kościoła. Stoją tam od dawna i czuwają nad wsią Chrystus i Święta Rodzina. Posadzono jeszcze drzewko obok kościoła, a potem za mikrofonem, przy drewnianym ołtarzu, pojawił się profesor Józef Borzyszkowski.

Jan poderwał się,

– To ja tutaj... dzisiaj... zaraz go poznam – jękając się z emocji, konspiracyjnym szeptem rzucił w kierunku Felci; wielu ludzi spojrzało w jego stronę, Anna zaś obdarowała go uśmiechem.

Potem kiwał cały czas głową, jakby demonstrując zgodę ze słowami profesora, i od czasu do czasu inicjował oklaski. A ten pięknie opowiadał o historii wsi, przytaczał zdarzenia wielkiej chwały, ale także te mniej radosne.

– Znowu się czegoś dowiedziałem – cieszył się Jan.

Kiedy kawalkada wiernych i gości ruszyła w kierunku szkoły, nie wiedzieć jak i kiedy – Jan szedł już obok profesora i rozmawiał z nim. Obaj potakiwali głowami, pomagając sobie niekiedy gestykulacją.

– Byłby dzisiaj został u nas, ale ma na jutro z rana zaplanowane ważne spotkanie – powiedział do „Iskierkowiczów” Jan, kiedy pojawił się obok nich,

– Porozmawiałaś sobie? – Felcia ujęła jego dłoń.

– Bardzo... bardzo przystępny człowiek! Był zadowolony, że chcę się do tego wszystko zabrać... Umówiliśmy się na spotkanie po jego urlopie. Będziemy współpracować! Ale się cieszę!

Na boisku powitano biskupa chlebem i solą, a potem występ gonił występ, wszystkie podziwiane przez licznie zebraną publiczność. Na początek przedstawiony został program kabaretowy, który rozbawił publiczność do łez.

– Dobrze, że mamy tutaj Jaromira... – Felcia pokiwała głową, gdy ogłoszono krótką przerwę.

– Poznałam się z nim i jego rodziną na jesieni. Marysia mi ich przedstawiła – przypomniała sobie Anna.

– Widzę, że czego oni się nie dotkną, to zamienia się...

– ...w złoto! To prawda! – przerwała jej Marysia.

– Żebyś wiedziała! Szukałam innego słowa, ale to jest... odpowiednie. – Anna zmrzyła oczy. – Oglądałam przecież i występ jego teatru „Dialogus”. Też super! Zresztą całą Biesiada Teatralna, na którą mnie zabierałaś, Marysiu, jesienią, to też w znacznym stopniu jego dzieło, czy tak? Nigdy bym się nie spodziewała zobaczyć tutaj na przykład przedstawicieli Teatru Ósmego Dnia od nas, z Poznania!

– Tak, racja! I „Remusonalia” to też jego pomysł. A pamiętasz, Anno, chór „Cassubia Cantat”? To również jego dziecko!

– Oj, żeby tylko wam go nie podkupili... – Anna śmiejąc się, pokręciła głową.

– Stąd ma żonę, Joasię od Kapiszków, której rodzice, Waldemar i Maria, założyli „Modraki”; przecież też nie raz oglądałaś ten zespół – wtrąciła Felcia. – W razie potrzeby przywiąż go do studni – zachichotała.

– Jak to jest, że niektóre rodziny mają tak dobre artystyczne geny, które przekazywane są przez pokolenia i nie giną? – Anna uśmiechnęła się.

– W Kłęczynie Barbara i Boguś, tutaj Joasia i Jarek, w Sejnach brat Jaromira Wojciech – swoim cudownym barytonem wtrącił Maciej. – Jak jeszcze ich dzieci pójdą w ślady rodziców, a wiadomo, że pójdą, bo nie mają wyjścia, to czekają nas tutaj przez wiele lat występy Szroederów! I niech się plenią! – roześmiał się.

– Gdyby nie Władzia Łangowska<sup>[25]</sup> i Basia Smętkowa, które jak mogą wspierają taką działalność, to może by aż tak owocnie nie było... – Marysia potrząsnęła po swojemu końskim ogonem.

– Masz rację, Marysieńko! – Maciej pokiwał głową. – Rozsądny mecenat i danie dużej swobody twórcom, artystom, to zawsze jest źródło sukcesów. Chociaż na ręce trzeba im spoglądać... – Podniósł palec.

– Nie myślałem, że tu jest aż tak kulturalnie...

– Jan zrobił śmieszny minę. – No, nie patrzcie się tak na mnie, to był niewinny żart. Kiedyś myślałem, że takich ludzi jak ja jest mało... – zmarszczył pociesznie twarz – ...ale mogę już

nie wracać z mojej artystycznej emerytury, skoro tak nas tutaj zabawiają.

– Teraz jeszcze Anna wspomaga nas językowo, ale miewa też różne pomysły artystyczne i oni jej słuchają – dodała Marysia, popatrując wokół. – Nie mówiłam wam o tym, ale to prawda!

– Oj tam, oj tam... – Anna spuściła oczy.

– Przecież wiesz, że całe życie pracowałam w operze – zaśmiała się Marysia.

– Powiedziałaś im? Miałaś nie mówić!

– Już ponad rok temu! Dopiero potem mi zakazałaś!

– Ale to już było po ptokach! – rzuciła Eliza powiedzeniem dziadka Wiki, wzbudzając powszechne rozbawienie.

– A „Kupalia Międzynarodowy Obrzęd Świętojański”?

Wyciągnęłam cię kiedyś, Aniu, na jedno seminarium, pamiętasz? – przypomniała sobie Marysia. – Tam bywają Białorusini, Ukraińcy i Żmudzini... Jaromir też jest w to zamieszany, ale w ogóle w GOK-u mamy szczęście do dobrych instruktorów.

– Dobro zawsze przyciąga dobro – podsumowała Anna. – Bądźcie już cicho, bo skończyła się przerwa.

Po kabarecie i występach „Modraków”, „Modraczków” i innych artystów z gminy odbył się pokaz walk rycerzy z zamku w Bytowie. Wszyscy się zdziwili, kiedy po ich zakończeniu kasztelan Paweł Dziezba podszedł do Ryszarda z dwoma rycerzami.

– Witamy serdecznie... nasz Lwie. – Skłonił się do pasa; przywitali się serdecznie.

– A jak mnie pan tutaj wypatrzył, kasztelanie?

– Czulem, że tam, gdzie najpiękniejsze białogłowy, chociaż dzisiaj jest ich w Parchowie nadzwyczaj wiele, tam będzie i nasz Lew! – uśmiechnął się kasztelan Paweł i skubnął krótkiego wąsika; Ryszard uczynił podobnie, roześmiali się obaj.

– Co prawda, to prawda.

– Dobrze, że bywacie na takich imprezach. – Ryszard pokiwał z uznaniem głową. – A jak tutaj z naborem nowych kandydatów na rycerzy?

– Wygląda na to, że dwóch przyjedzie do Bytowa w tygodniu, to porozmawiamy, zobaczą, co robimy, czym dysponujemy, jakie mamy plany.

– Tylko spokojnie...

– Wiadomo, panie Lwie. Toć to przecież misja

– uśmiechnął się kasztelan Paweł.

– O tym nigdy nie zapominajcie – rzekł z naciskiem Ryszard i pożegnał się serdecznie z rycerzami.

– Pani Anno, proszę wpaść choćby na lody! W czwartek mamy próby strzelania. – Kasztelan skłonił się przed Anną i innymi damami.

– Cóż za dobrze wychowani młodzi ludzie – cmoknął z podziwu dziadek Tadeusz, który pojawił się niespodziewanie z Wiką.

– A Julcia? – Felcia rozejrzała się wokół.

– Byłem z nią trochę na mszy, z tyłu, ale potem odwiozłem, bo ktoś musi być z Kacperkiem.

– A Leti i Olek? – spytała Anna.

– Są gdzieś tutaj, bo Olek chciał koniecznie wysłuchać profesora; zamieniliśmy się rolami – roześmiał się Tadeusz, rozglądając się po tłumie.

Późnym popołudniem rozpoczęła się zabawa taneczna, która nie chciała się skończyć.

Kilka razy przerywał ją deszcz, ale wszyscy cierpliwie czekali, aż się skończy. Potem kilka tańców było potrzeba, żeby trawa się wysuszyła, i zabawa trwała dalej i dalej. Skończyła się o brzasku.

\*

– Marysiu kochana... – Susan objęła Marysię. – Nic tobie już nie powiem... – spojrzała jej w oczy, a potem przeniosła wzrok na Adama... – przeszłaś wiele, ale dobrze, że myślisz pozytywnie.

– Zagramy dzisiaj coś dla Klausa... – obiecał Greg.

– Nie przyjdę tam... ale zagrajcie bardzo głośno, to posłucham sobie w domu... Otworzę okna na oścież

– uśmiechnęła się.

– Nakręcę film i puścisz sobie, kiedy zechcesz – obiecał Adam.

– Tak, chcę... proszę.

– Kasiu, Maćku! Pisałem wam w mailu, że dzięki Kendrowi, no i oczywiście Synowi Wielkiego Colina, orkiestra McLachlanów wystąpiła na Military Tattoo i to w wieczór rozpoczynający całą imprezę! – Greg prawie zapał z dumy.

– Sami sobie pomogliście – odparł Maciej.

– Ojciec zainwestował w nowe kilty. W tartan wpleciona została specjalna nitka i przy przygaszonych światłach, wyglądało to ba-jecz-nie! Pierwszego dnia nikt nie dostał większych oklasków.

– Super! – roześmiała się Kasia.

– Ale widziałam, że przywiozłeś czterech chłopaków! – Marysia potrząsnęła końskim ogonem.

– Jak im kiedyś opowiedziałem, jakie tutaj są piękne dziewczyny, Kaszubki, to wszyscy chcieli jechać. O Kasi nawet nie wspominam... O! przepraszam... – Spojrzał po pozostałych kobietach siedzących przy stole. – Tutaj są tylko piękne kobiety. Dobrze, że nie wziąłem ich ze sobą, bo pewnie zaraz by się oświadczali – mrugnął; Alicja splonęła rumieńcem; Dianie pokazały się dołeczki, Wika, Eliza i Joasia uśmiechały się wesoło.

– Mówiliśmy wam w ubiegłym roku, że Szkoci i Kaszubi do siebie lgną? Zresztą do Włochów też! – Kasia zaśmiała się.

– Kaszubi kochają wszystkich... jeśli im tylko nie dokuczają – rzekł, kiwając głową Maciej.

– Ale wracając do ubioru... – Greg postanowił dokończyć swoje opowiadanie. – To nie były zwykłe kilty, tylko Great Kilty, których część można rozwinąć jako pelerynę. Po którymś nawrocie rozpuścili je i było jeszcze bardziej ba-jecz-nie! – zaśmiał się. – A do tego nowe sporrany<sup>[26]</sup> i berety z nowym wzorem hackle, potrójnym czerwonym piórkiem. I to najwyższe z nich, też jakby świeciło...

– Wyglądało ba-jecz-nie! – zachichotała Marysia.

– Byłaś tam? – Greg przybrał poważną minę, ale zaraz zaśmiał się głośno.

– Marysiu! Na przyszły Edynburgh czuj się zaproszona – mrugnęła Susan; Marysia zrobiła wielkie oczy. – Oczywiście, wraz z osobą towarzyszącą... – omiotła Adama wzrokiem.



\*

W sobotnie przedpołudnie trzeciego już weekendu sierpnia w „Iskierce” pojawił się bez zapowiedzi Ryszard. Część domowników przygotowywała się właśnie do kawy, młodzież zbierała się do wypadu na mauszowski cypel. Ryszard po przywitaniu się przysiadł obok Anny.

– Chętnie wypiję kawę, ale mam propozycję, abyśmy zaraz potem wyskoczyli na weekend nad Sudoć. – Zajrzał jej w oczy.

– Ale tak znieńacka, nie jestem gotowa... – Spojrzała na Felcię, a potem na Kasię.

– Wysztafirowana jak zawsze i niegotowa – prychnęła Felcia.

– No wiesz... – Kasia spojrzała z wyrzutem na matkę.

– Mówiłaś mi kiedyś, że jedną torbę masz zawsze gotową do wyjazdu, więc może przypadkiem wystarczy ją tylko wziąć? – Ryszard pokręcił głową.

– W zasadzie... hmm, no, niby tak. – Wzruszyła kilkakrotnie ramionami. – Tylko coś bym musiała do niej jeszcze dorzucić – uśmiechnęła się.

– To ile czasu potrzebujemy po kawie? – Pocałował ją w rękę.

– Góra pół godziny.

– No, to sprawa załatwiona.

Felcia zaklaskała.

– Widzicie? To jest bajer na najwyższym poziomie!

– zachichotała. – Co tak na mnie patrzycie?

Roześmiany Ryszard rozejrzał się wokół i skubnął wąsika.

Niedługo Anna z Ryszardem jechali już w kierunku Sudomia.

– Ale powiedz mi teraz, co tak nagle? Dzisiaj?

– Anno! Minęła już połowa lata, a ty ciągle jesteś czymś zajęta... Już dwa tygodnie temu mogliśmy pojechać, ale wtedy w sobotę miałaś sprawę ze Sławą i Gertrudą.

– A w niedzielę było parchowskie święto... – potwierdziła Anna. – No tak, a w kolejny weekend odbywały się Pobocza Folku, gościliśmy Susan i Grega. Ależ ja ich lubię... – Anna zmrużyła oczy. – Potem wyskoczyliśmy na imieniny Olka... A dzieciaczki, wnuki Zbyszka, czemu teraz nie bawią w Sudomiu? – Spojrzała na Ryszarda badawczo.

– Bo dziadek Zbyszek spełnia ich marzenia – uśmiechnął się. – Chcieli poopalać się nad Morzem Śródziemnym.

Omawiali ostatnie wydarzenia, trochę Ryszard dowcipkował i ani się Anna obejrzała, jak dotarli na letnisko.

– No tak, już po świętojankach... – Spojrzała na krzewy porzeczek po wyjściu z samochodu. – Śliwek trochę będzie, ale u mnie jest więcej – uśmiechnęła się. – Ryszardzie! A przecież zakupy! Tak się ucieszyłam z wyjazdu, że zupełnie o nich zapomniałam.

– Anno, wczoraj po południu spokojniutko je zrobiłem, a pod wieczór przywozłem. Zajrzyj do lodówki.

Anna pocałowała go.

– Obiad dzisiaj robię ja. Dobrze, że nie zamrażałeś polędwiczki, zrobię z niej coś fajnego – rzuciła po zajrzeniu do środka.

– Po obiedzie możemy zwiedzić jezioro – uśmiechnął się. – Sprawdzę tylko, jaki jest

stan akumulatora, żeby potem nie było zaskoczenia.

– Co masz na myśli?

– Inwestujemy tu wspólnie ze Zbyszkim, mówiłem ci. Na wiosnę dokupiliśmy silnik akumulatorowy do łodzi, żeby można się było łatwiej przemieszczać z łowiska na łowisko.

– Dobrze to... – Anna pokiwała głową. – Wiesz, z czego się najbardziej cieszę?

– Nie bardzo.

– Trochę odpocznę od Kasiuli, bo z tą swoją suknią to już trochę przesadza. Ciągłe tylko: może taka albo taka, a może żółta, nie, łososiowa... I kupuje kolejne materiały.

– To ze szczęścia... Zdąży się ogarnąć. – Ryszard pocałował ją w policzek

Po leniwym obiedzie, który wzbudził entuzjazm Ryszarda, wybrali się na dwugodzinną przejażdżkę łodzią po jeziorze.

– Wiesz, że przez chwilę drzemałam? – Anna odwróciła twarz ku sternikowi.

– Mnie też się oko przymykało, dlatego czasami skręcałem w kierunku środka – uśmiechnął się.

– Dobrze, że na wodzie mało łódek – zażartowała Anna.

– Cudownie mi z tobą, odpoczywam, kiedy jesteś blisko.

Anna usiadła tyłem do kierunku jazdy; patrzyła teraz Ryszardowi prosto w oczy.

– Ja przy tobie się wyciszam, poza tym czuję się bardzo bezpieczna – szepnęła.

– Jak miło słyszeć takie słowa. Może zdecydujesz się przyjechać tutaj ze mną na wędkowanie na początku września, po ślubie Kasi?

– Jak będzie ciepło, to może nawet z tobą wypłynę, ale poranne mgły i chłód to nie dla mnie. Ale za to będę czekała ze śniadaniem – uśmiechnęła się.

Po powrocie spędzili cudowny wieczór przy lampce wina, z muzyką z Radia Gdańsk.

– W domu raczej oglądałam telewizję ... – Anna spojrzała na Ryszarda, jakby chciała się usprawiedliwić. – Tutaj prawie przestałam. Dzięki temu lepiej śpię.

Kiedy zgasili światło, dostrzegła olbrzymi talerz księżycy.

– Felcia pewnie dzisiaj na niego patrzy. Przysuwa sobie fotel na brzeg werandy i otula kocem. Jak jest chłodno, to spogląda z biblioteczeki, ze swojego strychu – uśmiechnęła się.

– A ty lubisz patrzeć na księżyc?

– Przy Feli nauczyłam się, polubiłam. Na Sołaczu zasłaniałam okno w stołowym, ale w sypialni mam okna na wschód, więc widzę go tylko chwilę, kiedy wynurza się zza horyzontu; potem już defiluje przed oknami Kasi i Elizy – zaśmiała się.

– Sprytna jesteś. Lubię zadawać się ze sprytnymi...

– Uniósł się na łokciu i spojrzał w jej oczy, w których dostrzegł dwa lśniące księżyce. – Przyszło do mnie szczęście, moja ty czarnooka... – Pocałował ją.

– Kocham cię, Ryszardzie – wyszeptała.

\*

Igor przyjechał po południu i dziwnie się wdzięczył. Eliza przyglądała mu się zaintrygowana, ale nie chciała spytać go wprost; miała ochotę jeszcze trochę popatrzeć, jak się męczy. Wreszcie, jak przewidziała, sam nie wytrzymał.

– Mam ojca auto na własność! – Podniósł dumnie brodę.

– Właśnie widzę, że chodzisz jak paw – zachichotała.

– Ale z ciebie sadystka... – Pokręcił głową.  
– No, to opowiedz, jak to się stało. – Poczochrała go po języku.  
– Kiedy zeszłego roku w listopadzie Kasia wzięła w leasing vitarę, też chciał kupić takie auto dla siebie. Ale wiesz, jak to jest z Krzysiem – mrugnął. – Na Wielkanoc już mówił, że kupuje je lada dzień, ale faktycznie odebrał samochód w ubiegłym tygodniu.  
– I nie pochwalił się tutaj!  
– Musiał szybko wracać do Poznania, żeby pozamykać sprawy przed urlopem. Przedwczoraj pojechali vitarą z Zuzanną do Włoch, a starego grata przekazał mnie – uśmiechnął się. – Tak powiedział, ale on ma dopiero siedem lat!  
– No, no, no... – Eliza pokręciła głową. – A do Gdańska będziesz nim jeździł?  
– A wiesz...? Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym, ale chyba nie.  
– Mhm. To dość rozsądnie... – Eliza uniosła brew.  
– Zrobiłaś teraz tak, jak dawno nie robiłaś – uśmiechnął się.  
– To znaczy jak?  
– Jak Vivien Leigh. Jesteś coraz bardziej do niej podobna. – Złapał ją za dłoń i rozejrzał się szybko wokół. – Co tak pusto w tym obejściu?  
Zaśmiała się. Pierwszy raz usłyszała takie określenie dla „Iskierki”.  
– Babcia chyba poszła się zdrzemnąć, a Dziedzice pojechali po jakieś zakupy.  
– A ty?  
– Ja chciałam pójść do Wiki, ale na imieniny Olka zwaliliśmy się taką kupą, że niech trochę odetchną.  
– To może ja cię porwę na lody? – Pocałował ją znienacka; zmierzyła go wzrokiem.  
Teraz nachylił się wolniej i znowu ją pocałował. Nie uchyliła się, tylko mocno przywarła do jego ust. Zdziwiony, odsunął się nieco i spojrzał w jej oczy.  
– No, co tak patrzysz, kartuziaku? – spytała zupełnie niespłoszona. – Jak mamy jechać na te lody, to jedźmy! A dokąd?  
– Najbliżej mamy do Sulęcyna.  
– Trzy minuty, tylko wezmę dokumenty...  
Eliza odwróciła się i popędziła do sieni. Kurczę, cicho, bo się babcia obudzi! – upomniała samą siebie. Zmieniła kłapanie w koci chód. Z wieszaka wzięła malutki plecak, pogrzebała w szufladzie, ze stolika wyciągnęła dokumenty. Kiedy już wyszła z pokoju, pokręciła głową. A szczoteczka do zębów? Po chwili była na dole.  
– No, to możemy jechać na te lody. – Spojrzała na Igora przeciągle. – Jakie masz płyty?  
– Tatowe – mrugnął. – W szufladzie znajdziesz.  
Eliza wygrzebała ze schowka płytę Bee Gees.  
– Lubisz ich? – zdziwił się.  
– Wiem, jestem dziwna. – Pokiwała głową. – Im starsze kawałki, tym bardziej je lubię.  
– A ja z kolei wolę te młodsze... – Wzruszył ramionami.  
Przeglądała listę utworów na płycie.  
– Dobra, to najpierw słucham ja do dziesiątego kawałka, a potem ty drugą dziesiątkę – mrugnęła i włożyła płytę do odtwarzacza.  
– Lubię twoje poczucie humoru – zerknął na nią.  
Eliza kiwała głową w rytm piosenki i cichutko nuciała.  
– Masz ładny głos. Szkoda, że nie śpiewasz głośniej.  
Nagle położyła rękę na jego dłoni trzymającej kierownicę. Spojrzał na ich dłonie.

– Nie przeszkadzam ci?

Zaprzeczył.

– Uczę się kierować... – Teraz ona na niego zerknęła. – Delikatnie prowadzisz. Na zakrętach nie szarpiesz. Jesteś bardzo ostrożny. O! Chyba minęliśmy zjazd do Sulęcyna – zerknęła na niego. – Czy ty mnie porywasz, kartuziaku?

– Jedziemy... na lody. – Przewrócił oczami.

– To gdzie jest teraz kolejna budka? – Spojrzała na niego przeciągle.

– Ciągłe w Sulęczynie, tylko musimy zawrócić inną drogą. – Wskazał kierunek.

– A gdybyśmy pojechali prosto, to dokąd dojedziemy?

– Gdybyśmy jechali długo, to do Kartuz, a gdyby jeszcze dalej, to do Gdyni. – Spojrzał na nią uśmiechnięty.

– To jedź prosto, aż ci powiem, że wracamy, okej?

Pokiwał głową.

– *Massachusetts* to piękna piosenka. Dlaczego teraz takich się nie pisze?

– Może po prostu nie znamy wszystkich...

– Ja znam bardzo dużo, ale takich pięknych nie ma. Posłuchaj zresztą jej słów... – Położyła palec na ustach.

Piosenka wybrzmiała.

– I co? – spytała i spojrzała na niego.

– Ładne.

– I tyle? – Pokręciła głową. – A to, że oni kochają ten stan, słyszałeś?

Zmarszczył czoło i zerknął na nią.

– Aż tak się nie zagłębiałem.

– Czasami warto...

Igor co chwilę zerkał na nią.

– Lubię z tobą być, Eliza... Lubię, jak do mnie mówisz, bo mówisz mądrze. Jak ciebie długo nie słyszę, to... – Spojrzał na nią z ukosa i zamilkł.

– To... – zachęciła go gestem.

– ...to mi czegoś brakuje. Po prostu tęsknię za twoimi słowami, głosem.

– Przyhamuj, Igorio. Zatrzymaj się na chwilę. – Rozejrzała się dokoła.

Igor zjechał na pobocze.

– Jak chcesz, to słuchasz, kartuziaku... – Poglądziła go po policzku. – Ja też za tobą czasami... tęsknię. Pocałuj mnie.

Igor nachylił się. Całowali się długo i namiętnie. Eliza westchnęła głęboko.

– Jedźmy już na te lody...

Nie zdążyli przesłuchać całej płyty, bo dotarli do Kartuz. Eliza w międzyczasie doszła do wniosku, że druga dziesiątka słuchana z Igorem też jest niczego sobie.

– Zjedzmy gdzieś tutaj lody.

– To może weźmiemy na wynos? – Spojrzał na nią niepewnie. – W domu podam w kryształowych pucharkach, Zuzanna ma śmietanę i różne posypki... Podam je ładniej niż tutaj – dodał z nutą przechwałki.

– No, podoba mi się ta propozycja.

– Na wszelki wypadek mam słoik... – Pokazał na zawiniątko.

– Każdy ma coś ze sobą na wszelki wypadek – rzuciła ze śmiechem, zakładając swój mały plecaczek.

Kupił osiem kulek. Cztery wybrała ona, cztery on.

– Samochód może zostać w rynku, to niedaleko

– mrugnął.

Mieszkanie rodziców Igora było wysokie, trochę podobne do tego po Jutce na Szamarzewskiego.

– Aha, to jest pokój stołowy, a tutaj pewnie wylądowałeś z porcelaną... – Wskazała na ścianę naprzeciw drzwi.

– Ty jesteś jak detektyw! – podniósł brwi. – Taki szczegół zapamiętałaś.

– Mam znakomitą pamięć, więc uważaj na słowa

– ostrzegła, mrużąc oczy.

Uśmiechnął się szeroko.

– To ty sobie pozwiedzaj mieszkanie, a ja się zajmę lodami.

Pokazał palcem w kierunku drzwi.

Podobało jej się mieszkanie, nawet bibeloty na kredensie. Zuzanna... – uśmiechnęła się do swoich myśli

– ...ma gust. Bo to na pewno głównie ona dba o mieszkanie.

Aha! Tutaj Igorio mieszka, śpi. Nie przekroczyła progu, ale lustrowała jego pokój od wejścia. Wygodne biurko, no tak, dwa monitory, rozłożone książki i duży notatnik, spora biblioteczka, fotelik i lampa stojąca, no i wygodne łóżko – uśmiechnęła się. Skierowała się do sąsiednich drzwi. A tutaj pewnie sypialnia Zuzanny i Krzysia. Wygodnie mają!

– Pani. Podaję!

Spotkała się z Igorem w przedpokoju.

Wrócili razem do stołowego. Igor puścił jakąś muzykę, ale nie chciała go pytać, co to takiego. Przypatrywała mu się znad pucharu. Rozmawiali o drobiazgach. Było jej dobrze. Gdy zjadła, wskazała gestem na swój telefon. Pokiwał głową.

– Mamo, jestem z Igorem na lodach w Kartuzach. Przyjechał i... wybraliśmy się na przejażdżkę jego samochodem... To straciłaś lody w miłym towarzystwie... Nie wracaj! Jedź na obiad. Wrócę na kolację, chyba że się zagadamy... Mamuś. Można się przecież zagadać. Nigdy się nie zagadałaś? Żartuję, wrócimy. Pa.

Igor przesiadł się do niej na sofę. Wpatrywali się w siebie. Po chwili poczuła jego usta, a za moment jego dłonie. Wszędzie. Było cudownie. Ocknęła się, bo dotarły do niej słowa Igora.

– Kocham cię – powiedział i uśmiechał się.

– Ja też cię kocham, kartuziaku.

Znowu obsypał ją pocałunkami i wszędzie czuła jego miłe w dotyku dłonie. Odchyliła się.

– Wiesz, Igorio... Wracajmy, proszę cię...

Wbrew słowom, przytuliła się do niego mocno.

– Ale przecież możesz zostać.

– I mam powiedzieć, że masz w domu sporo łóżek, więc nie będziemy sobie przeszkadzać? – spytała, patrząc na niego przeciągle, i uśmiechnęła się. – Widzisz mój plecaczek? – Skinął głową. – Przygotowałam się, żeby zostać, ale poczekam, aż mnie porwiesz gdzieś... daleko – uśmiechnęła się.

– Jesteś niesamowita!

– Jeszcze jednego całusa masz ode mnie bonusowo

– przywarła do jego ust.

Za godzinę wchodzili na werandę „Iskierki” z małym termosikiem pełnym lodowych kulek.

– Gdzie są jakieś pucharki, śmietana i posypki? – zawołał Igor; Felcia uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Eliza miała wrażenie, że Kasiuła głęboko odetchnęła. Usiadła obok niej.

\*

Za sprawą Kaśki ostatnie dwa tygodnie sierpnia były w „Iskierce” szalone. Przygotowania do wesela nabierały coraz większego rozpędu. Najpierw Adam i Henryk coś sobie szkicowali, potem zaprosili Stacha i zza stodoły dochodziły dźwięki maszyn stolarskich i stukanie młotkami. Kiedy cichły, niekiedy z wnętrza budynku dochodziły ciche odgłosy wiertarek. Gdy i one ucichły, do ostatecznych konsultacji zostały zaproszone Felcia, Anna i Adela. Szczególnie podpowiedzi tej ostatniej przydawały się, bo miała na swoim koncie przygotowanie wielu wesel w „Zielonym Dworze”.

A Kaśka? Wcześniej mówiła o sukni białej, długiej, dopasowanej, z rozcięciem od kolana. Jeszcze w lipcu kupiła materiał, a potem znalazła w Bytowie krawcową, która wpasowała ją w swoje terminy. Cóż z tego, kiedy raptownie jej się odmieniło. Stwierdziła nieoczekiwanie, że biała suknia to jednak nie dla niej, że wcześniej przesadziła i nie chce w bieli pozować na młódkę. Zaczęła zmieniać koncepcję sukienki. Najpierw radykalnie. Inny kolor, inny krój. Biegała między sklepem w Bytowie a krawcową, potem zaczęła poszukiwać odpowiedniego materiału w Kartuzach, a nawet Kościerzynie. Najpierw poddała się Marysia, potem Anna machnęła ręką, bo cokolwiek by nie podpowiedziały, też było źle. Wreszcie krawcowa załamała

ręce i zagroziła, że nie uszyje sukienki, bo owszem, ma trzy nowe kupony materiału i trzy nowe pomysły na jej krój, ale w dziesięć dni to nawet u Chanel czy u innego Armaniego nie zdążyliby uszyć.

– Nie chciała pani poprzednio oglądać żadnych katalogów sukien ślubnych, tylko dała mi pani fotkę Julii Roberts z gali Oscarów. Pocięłam materiał, suknia jest sfastrygowana, ale wisi... o, tam! – Pani Bernadetta wskazała głową na wieszak. – I teraz co? Same wymiary to nie wszystko! Albo do jutra do dziesiątej pani się zdecyduje, albo ja się wycofuję. Pożyczę pani dwa moje najlepsze katalogi, tylko proszę ich nie zniszczyć, bo mi je koleżanka kiedyś przywiozła z Niemiec!

Kaśka wróciła od niej zrozpaczona. Od kolacji siedziała u siebie na łóżku i czwartą godzinę bez przekonania wertowała na przemian Verę Wang i Óscara de la Rentę. Po długich męczarniach wybrała po trzy suknie z każdego katalogu i zastanawiała się teraz, czy kolory kupionego materiału będą odpowiednie.

– Szlag mnie trafi! Nie mam ani koloru, ani kroju!

– wrzasnęła. Usłyszała ciche „puk, puk”, drzwi się uchyliły, a w szczelinie ukazała się twarz córki.

– Chodź no tutaj! – warknęła na nią Kasia.

– Jak ty się, kobieto, odnosisz do córki! – Eliza odpowiedziała jej w ten sam sposób i zmrużyła oczy.

Kaśka poczuła, że coś jej puszczą, bo riposta córki, a teraz jej mina rozbroiły ją. Też

zmrużyła oczy.

– Malutka, pomóż, bo mamusia jest... w czarnej dupie... – Poklepała łóżko obok siebie.

– Fajne katalogi... To jakaś Japonka? – wskazała na nazwisko Wang w katalogu.

– To ty jej nie znasz?! – Kaśka rozłożyła dłonie.

– Mamuś, jak się dziecku przez całe życie kupowało w Okrągłaku ubiory z bawełny przemysłowej... – zachichotała Eliza.

– Ale fajne były, co nie?

– Wszystko było fajne, tylko zawsze musiały być oprócz tego jeansy i ekstra T-shirty! – mrugnęła.

– Mam kłopot, córcia, i musisz mi pomóc. – Kaśka poklepała Elizę po dłoni.

– No dobra! Pokazuj, co tu masz.

Pochyliły się nad projektami zaznaczonymi przez Kaśkę.

– Fajne, wszystkie fajne... – Eliza spojrzała na matkę – ...ale nie dla ciebie.

– Jak to nie dla mnie?

– Normalnie! Może jedną z tych sześciu jakoś dałoby się dostosować dla ciebie, ale w pozostałych wyglądałabyś jak beza albo... – machnęła dłonią. – Mnie pewnie byś przekonała do którejś z nich, ale to nie są wzory dla ciebie. – Pokręciła głową.

– To co ja mam zrobić?! – Kaśka opadła na plecy, aż łóżko zatrzeszczało.

– Szkoda łóżka, jeszcze może się przydać na noc poślubną... – Eliza mrugnęła i zachichotała.

– No wiesz! – wykrzyknęła Kaśka z udawanym oburzeniem.

– To po co się żenisz?

– Ja wychodzę za mąż!

– Co za różnica!

– No dobra, córcia, dosyć żartów. – Kaśka wyprostowała się. – Poradź coś... – spojrzała na nią błagalnie.

– A jaki miałaś pomysł na początku? Pytam, bo patrzę na kolory próbek materiałów, które dokupiłaś...

– Wskazała na ścinki leżące na szafce. – Moim zdaniem, one nie wróżą sukni sukcesu.

– No co ty? – Kaśka otworzyła szeroko oczy; Eliza swoje zmrużyła i pokiwała głową.

– A pokaż mi fotkę Julii Roberts, od której zaczęłaś zabawę.

– W szufladzie.

Eliza wyciągnęła fotkę i porównywała z każdą suknią, zaznaczoną przez matkę w katalogach. Za każdym razem wykonywała przeczący ruch głową.

– Żadna z nich nie umywa się do tej! – powiedziała dobitnie po oględzinach. – Twój wcześniejszy wybór był i-de-a-lny! – podkreśliła.

– No co ty, córcia? – Kaśka nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozzłościć. – Może ty sobie kpisz z mamusi?

– Kasiula moja kochana. Twój pierwszy wybór, z którym się żyłaś tyle lat, jest idealny!

– Poważnie?

– A pamiętasz, że mi kiedyś pokazałaś to zdjęcie, jak jeszcze żył dziadzia? Obiecałaś sobie i mnie, że jeśli pójdziesz do ślubu, to właśnie w takiej sukni. Tak było?

– Tak było, ale czy sukienka nie będzie jednak zbyt ekstrawagancka z takim pęknięciem? – Kaśka pokazała wirtualne rozcięcie, zaczynając tuż nad kolanem.

– Przegięłaś...

– Za wysoko? To mogę zrobić od kolana!  
– A co ty jesteś jakaś ciotka trypcia? – Eliza zachichotała. – Od pół uda! Niech się wszyscy zsikają, a najbardziej Maciek!  
– No wiesz! – Kaśka przyłączyła się do śmiechu.  
Drzwi się uchyliły. W drzwiach pojawiła się głowa Anny.  
– A co się stało, że się tak po nocy chichracie? Ja też bym chciała.  
Usiadła z drugiej strony łóżka.  
– Wybrałam krój sukni! – wrzasnęła Kaśka. – Spójrz! – Podała matce fotkę Julii Roberts.  
– Zawsze mówiłam, że to najlepszy wybór – rzekła Anna, wrzuszając ramionami.  
– Ty też?! – Kaska zdziwiła się.  
– A pamiętasz, jak kiedyś przyniosłam to zdjęcie i powiedziałam ci, że widzę cię kiedyś w takiej na twoim ślubie?  
– Ty? – Kaśka zmarszczyła czoło i podrapała się po głowie; przeniosła wzrok na córkę, a potem z powrotem na matkę. – Chyba rzeczywiście tak było – pokiwała głową. – Kochane jesteście! – Złapała matkę i córkę za dłonie. – Ale zrobię coś inaczej! – wykrzyknęła niespodzianie. – Pęknięcie będzie od pół uda!  
– I bardzo dobrze, córca. Niech sikają. Masz się czym chwalić! Odziedziczyłaś to po mnie. – Anna poklepała się po udzie.  
– I po mnie, Kasiulko! – Eliza też poklepała się po udzie.

\*

Pod kościół zajechał biały mercedes. Ludzie stawali na palcach, żeby zobaczyć młodą parę. To była niespotykana gratka, bo zenił się Maciej Skierka, syn Felicji z „Iskierki”, z jedną z tych, co zeszłego lata u niej zamieszkały.

Kasia Prawosz wyglądała olśniewająco. Długa biała suknia z pęknięciem od pół uda, na głowie niewielki biały toczek z woalką i różyczką w krwistoczerwonym kolorze, włosy upięte w hiszpański koczek, złote kolczyki, na szyi złoty łańcuszek, na nogach białe pantofelki. W dłoniach odzianych w rękawiczki trzymała bukiet z gerberów. Maciej Skierka prezentował się atrakcyjnie w szarym garniturze z krwistoczerwoną muszką i takiegoż koloru różyczką wpiętą w klapę, z kitką i w okularach lenonkach.

Świadkowali im Krzysztof i Magda. Proboszcz rozpromieniony opowiadał o młodych sercach, które pokochały się i chcą poświadczyć to uczucie przysięgą przed ołtarzem.

– Bo miłość, kiedy by nie przyszła, to oznaka, że serca są młode. A kiedy jest miłość, zawsze trzeba się spodziewać jej owoców. Nie bójcie się tego – uśmiechnął się promiennie.

A potem były przysięgi obojga i *Ave Maria* odśpiewana z chóru przez Wojtkę i jego zespół z „Erina”. Przed kościołem ryż i drobne pieniążki fruwały w powietrzu. Anna i Felcia ustawiły się pierwsze w kolejce do życzeń; nie obeszło się bez łez. Kiedy państwo młodzi wsiedli do samochodu, na moment został on otoczony niewielkim tłumem gości, a gdy ludzie rozeszli się, a samochód mógł ruszyć, rozległ się hałas ciągnionych przez niego kolorowych puszek.

– To my robimy taki rumor? – spytała Kasia, śmiejąc się i rozglądając wokół.

– Niech wszyscy wiedzą, że mamy ślub! Pewnie to robota Elizy i młodych Dziedziczek – Maciej dołączył ze swoim śmiechem.



Felcia i Anna, wzruszone, już czekały na nich przed werandą z chlebem i solą. Potem był tradycyjny toast szampanem, rzut kielichami za siebie i głośne *Sto lat*. Kiedy radosny tłum gości ruszył do sali weselnej w stodole, Maciej wziął Kasię na ręce i przeniósł przez próg. Olbrzymi stół w kształcie litery U zajmował ponad połowę powierzchni dawnej stodoły. Ściany, sufit i scena były bogato udekorowane kaszubskimi motywami. Kredensy wzdłuż przeciwnej do wejścia ściany przystrojono dzbanami i wazonami pełnymi kwiatów. Ściany za kredensami i dwie pozostałe wraz z nieco obniżonym sufitem i olbrzymimi lampami zwisającymi nad każdym ze stołów, imitowały wnętrze dawnej kaszubskiej chaty. Kasia przyłożyła dłonie do policzków.

– O mamuniu! – zawołała.

– Jestem, córcia! – zaśmiała się Anna.

– Chyba śnię! Jak wyście to zrobili? – Szukała wzrokiem Henryka i Adama.

– Drobiazg! – machnął ręką Adam.

– Niech się szczęści młodej parze! – Henryk podkręcił wąsa.

Jan pełnił należną mu rolę gospodarza. Spoglądał radośnie na tłum gości przy stołach. Wyczekał, aż wszyscy zajmą miejsca.

– Kochani goście, młoda paro! Serce rozpiera mi radość, że doczekaliśmy z Felicją tak pięknej chwili. Upoważniła mnie także Anna... – wskazał ją i pochylił głowę – ...abym powiedział, że również ona jest pełna szczęścia. Lato, które wciąż trwa, przyniosło wiele kolejnych zmian. Maciej, nasz syn, i Kasia, córka Anny, powiedzieli sobie przed chwilą „tak”. Coś magicznego jest w tych kobietach, które wraz z burzą pojawiły się tutaj rok temu, że garniemy się do nich, a wszyscy nawzajem do siebie – zatoczył ramieniem łuk wokół stołu. – Przyznam, że pewne sprawy zaczynają mi się wymykać, nie potrafię ich pojąć. Bo nasze grono wciąż i wciąż się powiększa, nie widać temu końca. Traktujemy się wszyscy jak rodzina, chcemy tego.

Maciej odnalazł drogę do domu rodzinnego i mnie tutaj sprowadził, a najważniejsze, że spotkał serce, które bije w rytm jego serca. Spotkali się przypadkiem, a to dowód na to, że nie wolno lekceważyć przypadków. Trzeba wyciągać ręce do szczęścia i tulić je do siebie. Nasze wzgórze dzięki tym trzem kobietom... – wskazał Annę, Kasię i Elżę – ...stało się już rok temu wzgórzem pełnym słońca. Dzisiejszym ślubem i weselem kończymy pierwszy, całoroczny sezon pełen szczęścia. Życzę im, aby szczęście i dobro zagościły na zawsze w ich sercach, a nam pozostałym, abyśmy byli tego świadkami. Niech wszystkie kolejne dni będą w waszym życiu takie radosne jak dzisiejszy, a najważniejsze, abyście się kochali. Niech mi będzie wolno zacytować słowa naszego parchowskiego pasterza...

– Jan spojrział na proboszcza; tamten pokręcił przecząco głową – ...jest nieśmiały, ale to było piękne, więc powtórzę: „Bo miłość, kiedy by nie przyszła, to oznaka, że serca są młode. A kiedy jest miłość, zawsze trzeba się spodziewać jej owoców. Nie bójcie się tego”. Sto lat, Kasiu i Maćku!

Pod dach stodoły wzbil się silny jak grom śpiew z kilkudziesięciu gardeł. Gdy goście skończyli śpiewać i trochę ucichł szum po toaście, Kasia wstała i postukała łyżeczką w kieliszek.

– Trochę złamię dotychczasową tradycję i zabiorę głos, mimo że jestem panną młodą – uśmiechnęła się.

– Pod naszymi szerokościami przemowa panny młodej raczej się nie zdarza, na komediach amerykańskich zaś często. Chcę wam wszystkim, moja rodzinno, coś powiedzieć, co jest

naszą tajemnicą... – Spojrzała przeciągle na Maćka. – Może nawet nie zdążył się jeszcze domyślić, ale... co mi tam – machnęła ręką. – Jak powiedział mój teść, tyle się tutaj dzieje, że nawet on nie pojmuje; ja wielu spraw też nie pojmuję, mimo to powiem wam kilka prostych słów, na pewno je zrozumiecie i ucieszycie się ze mną, z nami... – rozejrzała się wokół. – Maćku, przyjaciele... – dotknęła ręką brzucha – ...tutaj rośnie nasze dziecko szczęścia!

Nachyliła się do Maćka i pocałowała go.

– Gorzko, gorzko! – po chwili widocznego osłupienia rozległy się okrzyki.

– Ale ja... przecież... to niemożliwe...! – Maciejowi oczy się rozszerzyły; chciał się poderwać, podnieść, ale jakaś siła dociskała go do krzesła.

- [1] *Homo sum; humani nihil a me alienum puto* (łac.) – Jestem człowiekiem; nic co ludzkie nie jest mi obce – słowa Terencjusza, rzymskiego komediopisarza.
- [2] *Gaudeamus* (łac.) – radujmy się; tutaj: Raduj się, Elizo.
- [3] Zymk (*kasz.*) – wiosna.
- [4] Jastrë (*kasz.*) – Wielkanoc.
- [5] Pietà (*wł.*) – w sztukach plastycznych przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwe ciało Jezusa.
- [6] Opowiadanie Felci na podstawie: Michał Skrzypczak, *O nieznanym bohaterze z Morownicy*, <https://ck-smigiel.pl/historia/2006>.
- [7] *Przysł. kaszubskie* – Zjedzony chleb ciężko odrabiać.
- [8] *Przysł. kaszubskie* – Koń ma duży łeb, niech się martwi.
- [9] TSH, FT3, FT4 – jedne z najistotniejszych hormonów badanych przy chorobach tarczycy.
- [10] Invader (*ang.*) – w biologii: gatunek inwazyjny.
- [11] Refren piosenki Paula McCartneya *Mull of Kintyre*  
– tłumaczenie: [www.tekstowo.pl/piosenka,paul\\_mccartney,mull\\_of\\_kintyre.html](http://www.tekstowo.pl/piosenka,paul_mccartney,mull_of_kintyre.html).
- [12] Opowiadanie Ryszarda na podstawie: Michał Skrzypczak, *O nieznanym bohaterze z Morownicy*, <https://ck-smigiel.pl/historia/2006>.
- [13] Józef Borzyszkowski, ur. 1946 w Karsinie, profesor nauk humanistycznych, senator II kadencji, były wicewojewoda gdański. Autor wielu prac, m.in. *Modro kraina. Dzieje i współczesność gminy Parchowo*, Gdańsk – Parchowo 2005.
- [14] Gołczewo – wieś obok Parchowa. Znajduje się tam dobrze zachowane grodzisko z IX wieku, z wałem, resztkami fosy i majdanem.
- [15] Opis obrzędu za: Wikipedia.
- [16] Kulturkampf (*niem.*) – „walka kulturowa”; tutaj mowa o działaniach kanclerza Otto von Bismarcka w l. 1871–1878, skierowanych na walkę z polskością i wpływami Kościoła katolickiego w zaborze pruskim.
- [17] Balaski – element wyposażenia kościoła, dzisiaj rzadziej wykorzystywany, oddzielający prezbiterium od nawy głównej, przy którym dawniej wierni w pozycji klęczącej przystępowali do Komunii św. Na ten czas balaski były przykrywane przez ministrantów białym obrusem.

[18] Historia Adelajdy na podstawie: [www.pulswejherowa.pl/1696/kim-bya-adela-ann-charlott](http://www.pulswejherowa.pl/1696/kim-bya-adela-ann-charlott).

[19] Autor opisuje wygląd mauzoleum z 2002 roku – w opisie nie uwzględniono więc dokonywanych potem sukcesywnie na terenie Mauzoleum zmian, w tym m.in. zbudowanej w roku 2010 nowej kaplicy, pełniącej jednocześnie funkcję pomnika, oraz innych nowych elementów, upamiętniających dokonany w Piaśnicy mord.

[20] Relacja o mordach w Piaśnicy na podstawie: [rebelia.pl/post/4653/piasnica-1939-1940-zbrodnia-wciaz-okryta-tajemnica](http://rebelia.pl/post/4653/piasnica-1939-1940-zbrodnia-wciaz-okryta-tajemnica).

[21] Emma Gertruda von Keyserlingk, córka Ottona von Keyserlingka, właściciela Wejherowa.

[22] Pełne nazwisko: Gustaw Fryderyk Eugen von Below.

[23] Historia Henrietty von Below na podstawie: <http://www.moje-morze.pl/gizdeпка.html> oraz <http://www.nadmorski24.pl/aktualnosci/10103-palac-w-slawutowku-czyli-niepowtarzalne-piekno.html>.

[24] Relacja z obchodów rocznicy na podstawie: Józef Borzyszkowski, *Modro kraina. Dzieje i współczesność gminy Parchowo*. Gdańsk – Parchowo 2005, s. 623 i dalsze.

[25] Mowa o Władysławie Łangowskiej, będącej wójtem gminy Parchowo w latach trwania akcji sagi, oraz Barbarze Smętek, szefowej GOK w Parchowie.

[26] Sporrán – torba noszona przez Szkotów z przodu kiltu, zrobiona ze skóry lub futra, utrzymywana na łańcuchu owiniętym wokół talii.

## *Spis treści*



*Tak tu cicho o zmierzchu*  
*Gaudeamus Eliza*  
*Biblioteka na strychu*  
*Konferencja na wierzchu*  
*Czarna dziura*  
*Studencki przekładaniec*  
*Ostatnia jazda*  
*Mężczyzna nigdy nie płacze*  
*Przełomy*  
*Na ratunek*  
*Warunkowa studentka*  
*Karnawałowe niespodzianki*  
*Ślady wiosny*  
*Kolorowy prezent*  
*Mull of Kintyre*  
*Spotkanie po latach*  
*Rok na boku*  
*Czy pani jest... wolna?*  
*Taniec Henrietty*  
*Siostry*  
*Dziecko szczęścia*